

# Fualkner William

## ZAŚCIANEK

### Rozdział I

Sadyba Francuza była kawałkiem żyznej ziemi, położonym w dolinie rzeki o dwadzieścia mil na południowy wschód od Jefferson. Zagłębione wśród pagórków, wyraźnie określone, choć bez wytyczonych granic, wykraczające na terytorium dwóch hrabstw i nie podlegające władzom żadnego, osiedle to pierwotnie było jedną z olbrzymich plantacji sprzed wojny domowej, a ruiny dawnej wspaniałej rezydencji — pusty szkielet olbrzymiego domu, rozwalone stajnie, chaty murzyńskie, zarosły chwastami ogród, terasy wyłożone ceglami i szerokie aleje — dotychczas były znane jako posiadłość Starego Francuza, chociaż jej pierwotne granice istniały już tylko w żółtych rejestrach kancelarii zarządu hrabstwa w Jefferson i nawet część niegdyś urodzajnych pól od dawna już przeobraziła się w cyprysowo- -bambusową dżunglę, której pola te wydarł ich poprzedni właściciel.

Był on prawdopodobnie cudzoziemcem, choć niekoniecznie Francuzem, bo dla tych, którzy tu przyszli po nim i zatarli niemal wszystkie ślady jego pobytu, każdy, kto mówił z cudzoziemskim akcentem albo różnił się od innych wyglądem czy rodzajem zajęcia, był Francuzem, bez względu na to, do jakiej narodowości by się przyznawał, tak samo jak dla ich współczesnych, zamieszkałych bliżej miasta (gdyby się osiedlił na przykład w Jefferson) byłby nieodwołalnie Niemcem. Teraz nikt już nie wiedział, kim on był naprawdę, nawet Will Varner, który liczył sześćdziesiąt lat i objął w posiadanie znaczną część jego pierwotnych dóbr, łącznie z miejscem, gdzie stała zrujnowana rezydencja. Bo dawno już nie było cudzoziemca, Francuza, znikł razem ze swoją rodziną, niewolnikami i całym splendorem. Jego marzenie, jego rozległe ziemie były teraz rozparcelowane na małe farmy z obciążoną hipoteką i dyrektorzy banków w ' Jefferson wydzielali je sobie wzajemnie, nim w końcu sprzedano je Willowi Varnerowi i po dawnym właścicielu pozostały już tylko wały ochronne nad rzeką, wzniesione przez jego niewolników na przestrzeni dziesięciu mil dla zabezpieczenia przed powodzią, i szkielet ogromnego domu, który różni spadkobiercy uprawnieni i nie uprawnieni rozbierali i rąbali po kawałku; orzechowe filary i poręcze schodów, dębowe posadzki, które w pięćdziesiąt lat później byłyby bezcennym niemal zabytkiem, nawet framugi drzwi kolejno w ciągu trzydziestu lat szły na opał. Zapomniano nawet jego imienia, to, co było niegdyś jego dumą, stało się tylko legendą o ziemi, którą wydarł był dżungli i ujarzmił, by uwiecznić to nazwisko, którego ci, co przyjechali tu po nim w rozklekotanych wozach lub na grzbiecie mula czy nawet przyszli na piechotę, ze skałkowymi strzelbami, psami i dziećmi, z przyrzadami do pędzenia whisky domowego wyrobu i księgami psalmów protestanckich, nie potrafili nawet odczytać, a cóż dopiero wymówić, i które obecnie nie miało już nic wspólnego z niegdyś żyjącym tu człowiekiem. Jego дума, jego marzenie obróciły się w proch razem z zagubionymi prochami jego kości, a jego legenda — w uporczywie powtarzaną pogłoskę o pieniądzach, które zakopał gdzieś w pobliżu, kiedy Grant szedł przez te ziemie, kierując się na Vicksburg.

Spadkobiercy jego włości przywędrowali tu z północnego wschodu przez góry Tennessee w etapach oznaczonych według narodzin i wzrostu pokoleń dzieci. Przybywali z wybrzeży Atlantyku a przedtem z Anglii, z marchii szkockich lub walijskich, jak wskazywały niektóre nazwiska — Turpin i Hailey, i Whittington, McCallum i Murray, i Leonard; i Littlejohn albo inne, jak Riddup i Armstid, i Doshey, które mogły nie pochodzić znikąd, bo żaden człowiek nie wybrałby ich sobie dobrowolnie. Nie przywozili z sobą niewolników ani mebli Chippendale czy Phyfe; właściwie wszystko, co z sobą przywieźli, większość ich mogła unieść w rękach (i tak też się działo najczęściej). Wybierali kawałek ziemi, budowali chatę o jednej lub dwóch izbach i nigdy jej nie pobilali, żenili się

między sobą i płodzili dzieci, i dobudowywali jedną po drugiej izby w swoich pierwotnych domostwach, i także ich nie malowali; ale to było wszystko. Ich potomkowie sadzili jeszcze bawełnę na polach w dolinie i kukurydzę u podnóża gór, a w ukrytych grotach górskich pędzili whisky z kukurydzy i sprzedawali to, czego nie wypili. Urzędnicy stanowi przybywali do tego kraju i znikali w tajemniczy sposób. Części garderoby i przedmioty należące do zaginionych — filcowy kapelusz, surdut, parę miejskich butów albo nawet pistolet — można było czasem zauważyć na jakimś dziecku albo staruszku. Urzędnicy hrabstwa nie wtrącali się do nich, chyba tuż przed wyborami. Byli to protestanci, demokraci i ludzie nader płodni; utrzymywali własne kościoły i szkoły, żenili się między sobą, rzadko popełniając cudzołóstwa, nieco częściej zabójstwa; byli własnymi sędziami i wykonawcami wyroków. W całej okolicy nie było ani jednego właściciela ziemi Murzyna, a Murzyni z innych stron bali się przejeżdżać tędy po zmroku.

Will Varner, obecny właściciel majątku Starego Francuza, był najważniejszą osobistością w okolicy. Miał najwięcej ziemi, był szefem okręgu wyborczego w jednym hrabstwie, a sędzią pokoju w drugim i członkiem komisji wyborczej w obydwóch, a przez to samo głównym źródłem, jeśli nie prawa to przynajmniej porad i konsultacji wśród ludzi, którzy byliby odrzucili pojęcie konstytu-  
anty, gdyby o nim kiedykolwiek słyszeli, którzy przychodzili do niego nie z pytaniem: „Co mam robić?“, ale „Co by pan chciał, żebym zrobił, gdyby mógł mnie pan do tego zmusić?“ Był farmerem i lichwiarzem, i weterynarzem. Sędzia Benbow z Jefferson powiedział kiedyś o nim, że nigd-^ żaden człowiek w łagodniejszy sposób nie potrafił wykrwawić muła albo wypełnić urny fałszywymi głosami. Miał większość najlepszych ziem w okolicy a hipotekę na wszystkich innych. Miał sklep i odziarniarkę, młyn i kuźnię w samym centrum wsi, a w okolicy uważano, że jeśli ktoś z sąsiedztwa kupował, odziarniał bawełnę albo meł kukurydzę czy podkuwał konia u kogokolwiek innego, przynosiło mu to pecha, żeby nie powiedzieć więcej. Chudy był jak żerdź u płotu i prawie równie długi, miał rudo-siwe włosy i wąsy, i małe, twarde, błyszczące, niewinnie-błękit- ne oczy. Wyglądał na dyrektora niedzielnej szkoły metodystów, który w dni powszednie prowadzi pociąg pasażerski, albo na właściciela linii kolejowej czy też kościoła, a może jednego i drugiego. Był skryty, chytry i wesoły, obdarzony rubasznym humorem i prawdopodobnie dotychczas nie wyżyty seksualnie (uszcześliwił swoją żonę szesnaścior- giem dzieci, chociaż tylko dwoje z nich pozostało w domu, reszta rozproszyła się po świecie, pożeniła lub zmarła na przestrzeni między El Paso i Alabamą) sądząc po kolorze jego włosów, które jeszcze w sześć

dziesiątym roku życia były bardziej rude niż siwe, Był zarazem ruchliwy i rozleniwiony, nie robił nic (jego syn prowadził wszystkie interesy rodzinne) i spędzał na tym czas, <sup>T</sup>stałe poza domem, bo wyruszał, zanim jeszcze syn zszedł na śniadanie, i nikt nie wiedział dokąd, <sup>1</sup>choć zarówno jego jak i tłustego białego konia, na którym jeździł, można było zobaczyć wszędzie naraz w promieniu dziesięciu mii o jakimkolwiek czasie, a przynajmniej raz w miesiącu w ciągu wiosny i lata albo wczesnej jesieni widywano go siedzącego w wygodnym krześle domowej roboty, na zachwaszczonym trawniku przed domem Starego Francuza, podczas gdy stary biały koń stał uwiązany przy sąsiednim płocie. Krzesło to zrobił mu kowal, przepiłował przez środek pustą beczkę po mące, wyciął brzegi i wmontował wewnątrz siedzenie; na nim to siadywał Varner obrócony plecami do upadłych splendorów wielkopańskiej siedziby, żując tytoń albo paląc fajkę z kaczana, rzucając przechodniom jakieś wesołe słowo, ale nie zapraszając nikogo do towarzy\*stwa. Ludzie, którzy go tam widzieli, albo ci, którym to opowiadano, przypuszczali, że obliczał tam w samotności przyszłe zdobycze hipoteczne, gdyż jedyną osobą, której kiedykolwiek coś na ten temat powiedział, był pewien wędrowny agent sprzedający maszyny do szycia, Ratliff — o połowę młodszy od niego. — Lubię tu siedzieć, próbuję pojąć, co musiał odczuwać głupiec, który

po\*  
trzebował tego wszystkiego — ■ nic ruszał się, nie wskazywał nawet głową ceglanego tarasu i zarośniętych ścieżek prowadzących do ruin z kolumnami stojących za nim — tylko po, to, żeby tu jeść i spać. — Potem dodawaj^ nie udzielając Ratliffowi żadnych dalszych wskazówek, które mogłyby go naprowadzić na prawdziwy ślad: — Jakiś czas myślałem, żeby zlikwidować to, uprzętnąć. Ale, mój Boże! Ludzie zrobili się tacy leniwi, że im się nawet nie chce wdrapać na drabinę, żeby rozebrać resztę desek. Wolą, zdaje się, iść do lasu i ściąć drzewo, niż sięgnąć ręką po małą deskę sosnową. Ale mimo wszystko zachowam to, co jeszcze z tego zostało. Po prostu po to, żeby mi przypominało o moim błędzie. To jedyna rzecz, którą w życiu kupiłem tak, żeby jej nic móc potem odprzedać.

Syn, Jody, był dobrze zbudowanym, tęgim mężczyzną około trzydziestki, z lekką nadczynością tarczycy, nie tylko nie żonatym, lecz na wskroś przesiąkniętym tą atmosferą niezłomnego starokawalerstwa, którą rozsiewał wokół siebie jak o niektórych ludziach mówi się, że emanują zapach świętości czy mistycyzmu. Rył gruby, z brzuszkiem, zapowiadającym pokaźne rozmiary za dziesięć czy dwanaście lat, ale dotychczas udawało mu się uchodzić za romantycznego, młodzieńca. Nosił w zimie i w lecie (z wyjątkiem najgorętszych dni, kiedy obywatel się bez surduta) zarówno w niedzielę jak i w dni powszednie białą wykrochmalonn koszulę

bez kołnierzyka, zapiętą przy szyi grubym, złotym guzem pod garniturem z czarnego sukna. Włożył na siebie ten garnitur w dniu, gdy go przywiózł od krawca z Jefferson i nosił codziennie w każdą pogodę, dopóki go nie sprzedał któremuś z Murzynów ze służby, tak że prawie w każdą niedzielę wieczorem cały garnitur lub jego część można było zobaczyć — i prędko rozpoznać — na letnich spacerach po drogach. Potem zastępował go nowym ubraniem. Przez kontrast z niezmiennym kombinezonem roboczym ludzi, pośród których żył, było w Jodym coś niezupełnie pogrzebowego, ale ceremonialnego — właśnie ze względu na to zakorzenione, nieprzejednane starokawalerstwo. Toteż patrząc na niego poprzez zwiotczałość i ledwie dostrzegalną tuszę można było dostrzec wiecznego, nieśmiertelnego drużbę, apoteozę celibatu męskiego, tak jak pod obrzmiałymi tkankami gracza z roku 1909 widziało się zjawę szczupłego niegdyś i wysportowanego piłkarza. Był dziewiątym z szesnaściorga dzieci swoich rodziców. On kierował firmą, której jego ojciec pozostał nadal tytularnym właścicielem i która zajmowała się głównie przejmowaniem hipotek i odziarnianiem bawełny, a także pilnował rozproszonych farm, które, najpierw jego ojciec sam, a potem obydwaj razem nabyli w ciągu ostatnich lat czterdziestu.

Pewnego popołudnia był w sklepie, zajęty odmierzaniem i cięciem postronków z nowe go kłębu bawelnianego sznura, związał je w pętle i zawieszał na gwoździach wbitych w ścianę, kiedy słysząc za sobą jakiś szelest, odwrócił głowę i zobaczył we framudze otwartych drzwi mężczyznę niezwykle małego wzrostu, w ogromnym kapeluszu i za dużym palcie, stojącego w zupełnie sztywnej pozie.

— Pan Varner? — spytał przybysz głosem właściwie nie szorstkim, a w każdym razie nie tyle świadomie szorstkim, co zardzewiałym od rzadkiego używania.

— Jestem jednym z Varnerów — odpowiedział Jody, swoim przyjemnym głosem, miękkim i twardym jednocześnie. — Czym mogę panu służyć?

— Nazywam się Snopes. Słyszałem, że pan ma farmę do wydzierżawienia.

— Ach tak? — powiedział Varner przesuwając się tak, aby widzieć twarz przybysza w pełnym świetle. — Ciekawym, skąd pan to słyszał.

Farma ta była nowym nabytkiem, którego on i jego ojciec dokonali zaledwie tydzień temu na sprzedaży z licytacji, a przybysz był nietutejszy. Jody nie znał go nawet z nazwiska.

Tamten nie odpowiedział. Varner widział teraz jego twarz; para zimnych, szarych oczu pod krzaczastymi, siwiejącymi brwiami i krótka, stalowoszara broda, sztywna i skręcona jak runo owcy.

— Gdzie pan już dzierżawił farmę? — spytał Varner.

— Na zachodzie. — Mówił tonem niezbyt ostrym, ale krótko i zdecydowanie, i bez żadnej infleksji głosu, jakby już zamknął za sobą drzwi.

— To znaczy w Teksasie?

— Nie.

— Rozumiem. Po prostu na zachód stąd. Dużą ma pan rodzinę?

— Sześć osób.

Nie zrobił właściwie ani pauzy, ani nie śpieszył się, by wypowiedzieć następne słowo. Było jednak coś, co Varner wyczuł jeszcze, zanim martwy głos zdecydował się wyjaśnić: — Chłopak i dwie córki. Żona i jej siostra.

— To dopiero pięć.

— Ze mną sześć — powiedział martwy głos,

— Zwykle się nie wlicza samego siebie do rąk roboczych na własnym polu — powiedział Varner. — Więc pięć rąk czy siedem?

— Mogę dostarczyć sześć par rąk do pracy.

Głos Vamera także się nie zmieniał, łagodny i twardy zarazem:

— Nie zamierzam w tym roku przyjąć dzierżawcy. Maj już za pasem. Chyba obrobię pole sam i wezmę ludzi na dniówkę. Jeżeli w ogóle będę chciał coś z nim zrobić w tym roku.

— Mogę pracować na tych warunkach — powiedział tamten. Varner spojrział na niego.

— Widzę, że panu śpieszno, żeby się tu osiedlić.

Tamten nie odpowiedział. Varner nie mógł się zorientować, czy tamten patrzy na niego, czy nie. — Ile pan zamierza płacić dzier- } żawy?

j — Ile pan żąda?

\* — Jedną trzecią i jedną czwartą część <sup>1</sup>/<sub>2</sub> zbiorów — powiedział Varner. — Wszystko,

co panu potrzeba, może pan wziąć z magami zynu. Żadnej gotówki.

— Rozumiem. Zaopatrzenie wartości siedemdziesięciu pięciu centów za dolara.

— Właśnie — odrzekł uprzejmie Varner. Teraz nie mógłby nawet powiedzieć, czy tamten patrzy na niego, czy nie.

— Zgoda — powiedział tamten.

Stojąc na ganku przed sklepem, ponad pół tuzinem ludzi ubranych w kombinezony, siedzących w kucki i strugających scyzorykami tyczki z drzewa, Varner patrzył, jak przybysz kulejąc schodzi po stopniach nie patrząc ani w lewo, ani w prawo i spośród zaprzęgów I i osiodłanych wierzchowców uwiązanych pod | gankiem wybiera chudego muła bez siodła, I w zniszczonej uździe od pługa i z lejcami I ze sznurka, podprowadza go do schodków, | wsiada niezdarne i odjeżdża, wciąż się nie | oglądając.

| — Stąpa tą nogą, jakby ważył ze dwieście i funtów — zauważył jeden z ludzi na ganił ku. — Kto to jest, Jody?

Varner cmoknął i splunął na drogę. — Nazywa się Snopes — powiedział.

— Snopes? — powtórzył tamten. — Teraz już wiem. Więc to on.

Teraz już nie tylko Varner, ale i inni spojrzeli na mówiącego — był to chudy mężczyzna w absolutnie czystym, chociaż splwiałym i połatanym kombinezonie i nawet świeżo ogolony. Twarz miał łagodną, prawie smutną, aż do chwili gdy się w niej dostrzegło dwa zupełnie różne wyrazy: chwilowy statyczny spokój przysłaniający stały wyraz widocznej, choć nieciężkiej troski. Jego usta wydawały się młodzieńczo świeże i kwitnące, dopóki się nie zrozumiało, że może to po prostu wynikać z tego, że przez całe życie nie żuł tytoniu; charakterystyczna twarz żyjącego prototypu wszystkich mężczyzn, którzy żenią się młodo, mają same córki i sami są tylko najstarszą córką własnej tony. Nazywał się Tull. — To jest ten, co przez całą zimę mieszkał z rodziną w starej szopie bawełnianej u Ike McCaslina. Ten, co był zamieszany w historię ze spalaniem stodoły niejakiego Harrisa dwa lata temu w hrabstwie Grenier.

— Co? — spytał Varner. — Jak to? Spalił stodołę?

— Nie mówię, że to on sam spalił — powiedział Tull. — Mówię tylko, że był jakoś zamieszany w tę sprawę, coś z tym miał wspólnego.

— Ale jak dalece był zamieszany?

— Harris kazał go aresztować w czasie rozprawy.

— Rozumiem — powiedział Varner. — Po prostu przypadek pomylenia tożsamości. Zapłacił za podpalenie komuś innemu.

— Tego nie dowiedziono — powiedział Tull. — Przynajmniej, jeżeli Harris nawet znalazł jakiś dowód później, już było za późno. Bo tamten już wyjechał. Potem się sprowadził do McCaslina zeszłego roku we wrześniu. On i jego rodzina pracowali na dniówkę, zbierali bawełnę dla McCaslina, a McCaslin pozwolił im przezimować w starej szopie, której nie używał. To wszystko, co wiem. Nie powtarzam żadnych plotek.

— Rozumiem. Nikt nie chce zasłużyć na opinię plotkarza, — Stał nad nim ze swą szeroką, poczciwą twarzą, w swoim czarnobiałym ubraniu, uroczystym i sfatygowanym; wyglansowana koszula była brudna, spodnie wystrzępione z workami na kolanach; strój ceremonialny i niedbały zarazem. Cmokał krótko i hałaśliwie. — Ładna historia — powiedział. — Podpalacz stodoły. Ładna historia.

Wieczorem przy kolacji powtórzył ją ojcu. Dom Varnera był jedynym w okolicy budynkiem piętrowym, nie licząc dziwnego, zbudowanego w połowie z grubych bierwion, w połowie z desek budynku zwanego Hotelem Littlejohn. Mieli także kucharkę, nie tylko jedyną służącą Murzynką, ale w ogóle jedyną służącą w całym okręgu. Trzymali ją

od wielu lat, mimo iż pani Varner dotychczas mówiła i prawdopodobnie w to wierzyła, że trzeba jej cały czas pilnować, bo nie potrafi nawet zagotować wody. Opowiadał to tego wieczora, podczas gdy jego matka, pulchna, żwawa i ruchliwa kobieta, która urodziła szesnaścioro dzieci i przeżyła już pięćoro spośród nich i która dotychczas zdobywała nagrody za najlepsze konserwy z owoców i jarzyn na dorocznym kiermaszu w okręgu, krzątała się kursując między jadalnią i kuchnią, a jego siostra, tęga i nalana dziewczyna, czynna z oczyma jak dymne ciepłarniano i winogrona, z ustami zawsze lekko otwartymi i tymi i piersiami dobrze rozwiniętymi już w trzynastym roku życia, siedziała na swoim miejscu pogrążona w sennym odrętwieniu. Młodej samicy, najwidoczniej nie potrzebującej sobie zadawać żadnego wysiłku, żeby nie słuchać. \*

— Podpisałeś już z nim kontrakt? — spytał ją Will Varner. .

— Nie zamierzałem podpisać, póki mi Varner nie powiedział, że Tuli nie powiedział o tej stodole. Ale i teraz myślę, że dam mu papier do podpisania już jutro. \*

— Możesz mu od razu wskazać dom, którego ry ma spalić. Czy też chcesz mu zostawić wybór do własnego uznania?

— Jasne — powiedział Jody. — Pomówimy!

o tym także. — Potem dodał i w tej chwili jego ton stał się znowu całkiem poważny, i znikła cała lekkość ataków i ripost. — Mu\*

szę się tylko upewnić, jak to naprawdę było z tą stodołą. Ostatecznie to na jedno wychodzi, czy on to zrobił, czy kto inny. Trzeba tylko, żeby on się nagle przekonał podczas zbiorów, że ja myślę, że to on. Posłuchaj. Przypuśćmy, że jest tak.

Pochylił się nad stołem, z brzuchem wysuniętym naprzód i pełen napięcia. Matka wyszła do kuchni, skąd dobiegał jej energiczny głos, karcący pogodnie murzyńską kucharkę. Córka w ogóle nie słuchała.

— Mamy kawałek ziemi, z którego obecni właściciele nie zamierzają nic wyciągnąć o tej porze roku. Tymczasem sprowadza się tam człowiek i chce ją wydzierżawić za część zbiorów, a w ostatniej farmie, którą wydzierżawił, zapala się stodoła. Mniejsza o to, czy on sam spalił stodołę, czy nie, chociażby to uprościło sprawę, gdybym mógł sprawdzić, że to on. Najważniejsza rzecz, że się spaliła podczas jego pobytu w tym miejscu i to było tak oczywiste, że uznał za właściwe opuścić te strony. Więc przychodzi tutaj i bierze w dzierżawę kawałek ziemi, z którego nie zamierzaliśmy w tym roku nic zebrać, zaopatrujemy go w sklepie we wszystko, zupełnie w porządku. Gość zbiera żniwa, właściciel sprzedaje i ma przygotowaną gotówkę, a facet przychodzi po swoją część. „Co to, słyszałem o jakiejś historii ze stodołą?” Nic więcej. „Co to o panu opowiadają, jak to było z tą stodołą?”

Spojrzelali sobie w oczy. Jedna para zamglo-

nych, lekko wyłupiastych, druga — błękitnych i bystrych.

— Co on na to odpowie? Co może odpowiedzieć, jeżeli nie: „Dobrze. Co pan teraz zamierza zrobić?”

— Stracisz to, co wziął na rachunek w magazynie.

— Jasne. Tego się nie da uniknąć. Ale ostatecznie człowieka, co ci wyhoduje i zbierze bawełnę za darmo, musisz przynajmniej żywić bezpłatnie przez ten czas. — Czekaj — dodał po chwili. — Tam do diabła, nie potrzebujemy nawet tego robić. Po prostu podrzucę mu pod próg parę spróchniałych gontów z zapalką położoną na wierzchu, nazajutrz po zakończeniu zbiorów. Będzie wiedział, że wszystko skończone i nie pozostaje mu nic innego, jak prysnąć. To skróci o dwa miesiące jego rachunek w sklepie i będziemy musieli wydać tylko tyle, żeby opłacić kogoś, kto zwiezie zbiory do szopy. — Patrzyli jeden na drugiego. Dla jednego z nich sprawa była już przesądzona, zlikwidowana, już to widział, choć miało to nastąpić dopiero za sześć miesięcy. — Do licha, będzie musiał to zrobić. Nie może walczyć. Nie ośmieli się.

— Hm — powiedział Will. Z kieszeni rozpiętej kamizelki wyjął poplamioną fajkę z kaczanu i zaczął ją nabijać. — Lepiej byś się trzymał z daleka od takich ludzi.

— Posłuchaj — powiedział Jody. Wyjął wykałaczkę z porcelanowego naczynia na stole i usiadł z powrotem. — Palenie stodół to niezdrowa rzecz i facet, co ma takie przyzwyczajenia, musi znosić ich skutki.

Nie poszedł ani następnego dnia, ani trzeciego. Ale wczesnym popołudniem trzeciego dnia osiodławszy swego srokatego konia i przywiązawszy go do filara ganku, zasiadł przy biurku w kantorku za składem, zgarbiony, w czarnym kapeluszu zsuniętym na tył głowy; jedna szeroka, porosła czarnymi włosami dłoń leżała nieruchoma i ciężka na biurku, niby połeć szynki, w drugiej trzymał pióro i z namysłem kreślił słowa kontraktu swoim ciężkim, niezdarnym piórem.

W godzinę później, pięć mil za wsią, z kontraktem wysuszonym bibułą i starannie złożonym w tylnej kieszeni spodni, siedział na grzbiecie konia obok wozu, który zatrzymał się na drodze. Był to otwarty wóz z siedzeniem pośrodku, zniszczony i zmaltretowany, oblepiony jeszcze zeschniętym błotem z zeszłorocznej zimy,\* ciągnęła go para kuców włochatych, dzikich i ruchliwych jak górskie kozły i niemal równie małych. Z tyłu przyczepione było do niego pudło blaszane wielkości i kształtu psiej budy i pomalowane tak, że przypominało dom, i w każdym z namalowanych okien twarz malowanej kobiety uśmiechała się ponad maszyną do szycia, również namalowaną. Varner, siedząc na koniu, rzucił skonsternowane, zgorzone i oburzone spojrzenie pasażerowi wozu, w odpowiedzi na jego uprzejme pytanie:



— Ko i co, Jody, słyshałem, że macie nowego dzierzawcę?

— Co u diabła! — zawołał Varner. — Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że podpałił drugą stodołę? Jeszcze^ po przyłapaniu podpałił drugą?

— Och — powiedział człowiek jadący w wozie. — Nie będę twierdzić na pewno, że on podpałił jedną czy drugą stodołę, powiem tylko, że obie spaliły się w tym czasie, kiedy tam pracował. Można by myśleć, że ogień biegnie za nim tak, jak psy biegną za niektórymi ludźmi. — Mówił głosem tak przyjemnym, tak niedbałym i spokojnym, że nie od razu można było poznać, iż więcej jest w nim przebiegłości niż humoru. Był to Ratliff, agent firmy sprzedającej maszyny do szycia. Mieszkał w Jefferson i przebywał większą część obszaru czterech hrabstw z parą swoich krzepkich koników z wymalowaną psią budą, w której znajdowała się prawdziwa maszyna do szycia, całkowicie wyekwipowana. Dzień po dniu, w odległości dwóch hrabstw, można było dostrzec zabłocony, zdezelowany wóz i niedopasowany zaprząg, przywiązany gdzieś w cieniu najbliższego drzewa, i uprzejmą, łagodną twarz Ratliffa w czyściutkiej, niebieskiej koszuli bez krawata, siedzącego w kucki pośród gromady ludzi przed sklepem na skrzyżowaniu dróg albo (wciąż siedzącego w kucki i na pozór wodzącego rej w rozmowie, chor w rzeczywistości słuchającego innych piiniej, niż się zdawało, ale to można było spostrzec dopiero później) pośród kobiet, w otoczeniu sznurów zawieszonych świeżo wypraną bielizną, tary i poczerńiałych od sadzy kotłów, w pobliżu źródła aJbo studni, albo też na ganku przed domem rozpartego w wiklinowym fotelu z uprzejmym uśmiechem, zawsze grzecznego, syjącego anegdotami i nieprzeniknionego. Sprzedawał może trzy maszyny do roku, przez resztę czasu ziemię, bydło, używane narzędzia rolnicze, a od czasu do cza\* su instrumenty muzyczne lub jakiegokolwiek inne przedmioty, niepotrzebne ich właścicielowi, kolportując od domu do domu nowiny z czterech hrabstw, które objeżdżał, docierając wszędzie jak gazeta, powtarzając ustne zlecenia osobiste, dotyczące ślubów i pogrzebów albo konserwowania jarzyn czy owoców z dokładnością i solidnością obsługi pocztowej. Pamiętał każde nazwisko i znał wszystkich, ludzi, psy i muły w obrębie 50 mil. — Powiedziałem tylko, że to już szło za nim, kiedy Snopes przyjechał do tego domu, który dał mu De Spain, z wozem zawalonym gratami, tak samo jak przedtem, kiedy jechał do tego domu, gdzie mieszkali u Harrisa czy gdzie indziej, i mówi: „No, wchodźcie” i wtedy piec i łóżka, i krzesła jakby same zeskoczyły z wozu i weszły do domu. Widać przyzwyczajeni byli do częstych przeprowadzek bez ludzi do pomocy. Ab i ten gruby, co go nazywają Flem (był jeszcze jeden-mały, pamiętam, że go kiedyś gdzieś widziałem. Nie

było go z nimi wtedy. A w każdym razie nie ma go teraz. Może zapomnieli mu powiedzieć, żeby wyszedł ze stodoły) siedzą sobie pośrodku i te dwie grube dziewczyny na dwóch krzesłach w wozie; pani Snopes i jej siostra, wdowa, siedziały na betach w tyle, bo nikt się nie troszczył, czy one jadą, czy nie, i do tego wszystkiego jeszcze meble. I wóz się zatrzymuje przed domem, Ab patrzy i mówi: „To się nie nadaje nawet dla świń”.

Varner siedząc na koniu spojrzął na Ratliffa z niemałą grozą.

— No dobrze — ciągnął Ratliff. — Jak tylko wóz się zatrzymał, matka Snopes i wdowa wysiadają i zaczynają rozładowywać, dwie córki wciąż się nie ruszają, siedzą rozparte w krzesłach, odświętnie ubrane i żują gumę, aż wreszcie Ab odwraca się i zaczyna kląć i wrzeszczeć, żeby nareszcie zeszły z wozu i pomogły pani Snopes i wdowie taszczyć piecyk kuchenny. Wykurzył je niby dwie jałówki, co za drogo kosztowały, żeby je grzmocić kijem, a potem on i Flem siedli sobie i patrzą, jak tamte dwie biorą starą szczotkę i latarnię z wozu i stoją znowu jak te kukły, aż wreszcie Ab jak się nie pochyli i nie smagnie lejcami przez pośladek tę, co stała najbliżej. „A wracajcie zaraz i pomóżcie matce z piecem!” — wrzeszczy za nimi. Potem on i Flem złążą z wozu i idą do De Spaina.

— A stodoła? — zawołał Varner, — Mówisz, że poszli prosto do...

— Nie, nie. To później. Stodoła była później. Wtedy jeszcze nawet nie widzieli, gdzie jest. Stodoła zapaliła się w odpowiednim czasie i kiedy należało, trzeba to powiedzieć na jego korzyść. Tamto była tylko taka sobie wizyta z czystej przyjaźni, bo Snopes wiedział, gdzie są jego pola i nie miał nic innego do roboty, tylko zacząć je drapać motyką, bo już była połowa maja. Tak jak teraz —

•dodał tonem łagodnej niewinności. — Ale też słyszałem, że zawsze zawierał kontrakty później niż inni. — Nie śmiał się jednak. Jego przebiegła, śniada twarz była tak łagodna i niewzruszona jak zawsze, a bystre oczy pozostały nieprzeniknione.

— No tak — powiedział Varner gwałtownie. — Jeżeli on przy podpalaniu stosuje taką metodę, jak opowiadasz, to pewnie nie potrzebuję się martwić aż do Bożego Narodzenia. No, mów. Co on musi zrobić, zanim użyje zapalek? Może rozpoznam w porę przynajmniej jakieś objawy?

— Dobra — powiedział Ratliff. — Więc ruszyli drogą zostawiając panią Snopes i wdowę, jak się szamotały z piecykiem kuchennym, a tamte dwie stały z pułapką na myszy i nocnikiem w ręku, i poszli do majora De Spain. Na ścieżce, co prowadziła do domu, leżała kupa końskiego gnoju, jeszcze świeża, i Murzyn powiedział, że Ab wstąpił w nią naumyślnie. Może patrzył na nich z okna.

W każdym razie Ab wszedł w tych butach utyłanych w gnoju na frontowy ganek i zastukał, a jak czarny mu powiedział, żeby otarł nogi, Ab przeszedł koło niego, jakby nie słyszał, i czarny mówi, że otarł resztę gnoju akurat o dywan, co kosztował sto dolarów, i wołał: „Halo, De Spain”, a pani De Spain wyszła i spojrzała na dywan, a potem na Aba i kazała mu się wynosić. A potem De Spain wrócił do domu na obiad i pewnie pani De Spain musiała mu powiedzieć dwa słowa, bo gdzieś przed wieczorem pojechał do domu Aba, a za nim czarny na mule ze zwiniętym dywanem. Ab siedział właśnie na krześle przed drzwiami, a De Spain w krzyk: „Dlaczego, do ciężkiej cholery, nie pracuje pan na polu?” Tamten ani ruszył się z krzesła. „Pewnie zacznę dopiero jutro. Nigdy się nie zabieram do roboty w ten dzień, co się przeprowadzam”. Chyba pani De Spain musiała mu dobrze w uszy nakłaść, bo nie zsiadł wcale z konia, tylko mówi: „Niech pana diabli wezmą, panie Sno- pes! Świństwo”. Ale Ab wciąż się nie rusza i mówi: „Jakbym się tak trząsł nad dywanem, to bym go nie kładł w takim miejscu, gdzie ludzie mogą po nim deptać”.

Ale się nie śmiał, siedział na wozie, zadowolony i swobodny, bystre złośliwe oczy świeciły w łagodnej, śniadej twarzy, gładko wygolonej i czyściutko wyszorowanej, wychylającej się z idealnie czystej, spłowiałej koszuli, i mówił niedbałym, swobodnym głosem, podczas gdy Varner z twarzą nabrzmiałą i zaczerwienioną patrzył na niego płonącymi oczyma.

— Wtedy Ab krzyknął coś w głąb domu i wyszła jedna z dziewcząt, i Ab jej mówi: „Weź ten dywan i wypierz”. I nazajutrz rano Murzyn znalazł dywan zwinięty i rzucony na ganek przed drzwiami, a na ganku były jeszcze inne ślady stóp, ale tym razem to było tylko błoto i słyszałem, że jak pani De Spain znowu rozwinęła dywan, De Spain odezwał się jeszcze gorzej niż przedtem — czarny mówi, że to tak wyglądało, jakby do prania użyli cegły a nie mydła — bo pojechał do Aba jeszcze przed śniadaniem, akurat jak Ab i Flem zaprzęgali, żeby wyjechać w pole. Siedział wściekły jak osa na swojej kobyle i kłął w żywy kamień, właściwie nawet nie Aba, ale jakby wszystko, wszystkie dywany i końskie łajno. Ab nic nie mówił, tylko dalej zapinał sprzączki i rzemień, aż wreszcie De Spain powiedział, że dywan kosztował go setkę dolarów we Francji i że potrafi Abowi dwadzieścia buszli z tej kukurydzy, co jej Ab jeszcze nawet nie posiadał. I pojechał z powrotem do domu. Może w gruncie rzeczy wcale go to wszystko nie obchodziło. Może myślał, że teraz, kiedy już coś w tej sprawie załatwił, pani De Spain da mu spokój i może, jak przyszyły żniwa, wcale już nie pamiętał o tych dwudziestu buszlach. Tylko że Abowi to się nie podobało. Toteż następnego dnia wieczorem, kie

dy major leżał sobie bez butów w hamaku, zjawia się woźny, chrząka i wreszcie powiada, że Ab pozwał majora do sądu.

— Psiakrew — mruknął Varner. — Cholera!

— Pewnie — potwierdził Ratliff. — Tak samo też De Spain sobie powiedział, kiedy wreszcie zrozumiał co i jak. No i przyszła sobota i wóz zajeżdża przed skład i wysiada Ab w swoim płaszczu i swoim księżow- skim kapeluszu i podchodzi do stołu powłócząc tą swoją kulową nogą, co to według wuja Bucka McCaslina pułkownik John Sar- toris przestrzelił ją Abowi, bo ten chciał mu ukraść gniadego ogiera pod wierzch w czasie wojny, a sędzia powiada: „Rozpatrzyłem pańską skargę, panie Snopes, ale nic nigdzie w przepisach prawnych nie znalazłem o dywanach, a co dopiero o końskim łajnie. Ale przyjmuję pozwanie, bo dwadzieścia buszli dla pana to za dużo i człowiek taki zapracowany, na jakiego pan wygląda, nie będzie miał czasu zebrać dwudziestu bu- szli. Toteż zostanie pan skazany na grzywnę w wysokości dziesięciu buszli, jako odszkodowanie za zniszczony dywan”.

— Więc wtedy podłożył ogień — powiedział Varner. — No tak.

— Ja bym chyba tego tak nie powiedział — odparł Ratliff. — Ja tylko wiem, że tego samego wieczora stodoła majora De Spain zapaliła się i spłonęła doszczętnie. Ale tak czy inaczej De Spain przyjechał tam na swojej kobyłe mniej więcej w tym samym czasie, bo ktoś go słyszał, jak jechał drogą. Nie powiem, że przyjechał w porę, żeby zgasić pożar, ale dosyć wcześnie, żeby zobaczyć coś innego, co mógł uważać za dostatecznie obce ciało, żeby usprawiedliwić użycie strzelby, i strzelił nie zsiadając ze swojej kobyły, trzy czy cztery razy, aż to coś rzuciło się i skryło w rowie, gdzie już nie mógł gonić ze swoją kobyłą. I nie mógł też powiedzieć, kto to był, bo każde zwierzę może kuleć, a każdy człowiek nosić białą koszulę, tylko że jak dojechał do domu Aba (co musiało być niedługo potem, sądząc po galopie, który tamten facet usłyszał na drodze), Aba i Flema nie było, i nikogo, tylko cztery kobiety. I De Spain nie miał czasu zajrzeć pod łóżka ani gdzie indziej, bo była jeszcze szopa kryta deskami z cyprysu \*tuż obok dużej stodoły. Toteż wrócił tam w te pędy, a jego Murzyni nanosili już wody w beczułkach i moczyli worki z konopi, żeby kłaść na dachu i pierwsza osoba, jaką widzi, to Flem w swojej białej koszuli. Stoi tam i przygląda się pożarowi, z rękami w kieszeniach, żując tytoń. „Dobry wieczór — mówi FJem. — Prędko się pali to siano”, a De Spain nie schodząc z konia krzyczy: „Gdzie twój ojciec? Gdzie jest ten...?”, a Flem na to: „Jeżeli go nie ma gdzieś tutaj, to musiał wrócić do domu. On i ja wyszliśmy razem, jak tylko zobaczyliśmy ogień”. De Spain dobrze wiedział, skąd wyszli, i wie-

d.iał toż. dlarzego. l'yłko In l«->. ni»' było wa/ur, bo jak już mówiłom, każdy rrlówek w ka/»l\m miejscu mo/o kuloć i nosić białą koszulę, i nurt- bańko 7 nalną, klćuą on widział, że ktoś i/.mał do iowii, włody jak sli/olł za pioi wszym la/om. \ nazajutrz rano siedzi sobie właśnie pr/y šiuitlutiui z osmalonymi włosami I biwiaml, kiedy welin- d/i o/arny ! mówi, że ktoś chce się z nim zobaczyć. Więc idzie do swego gabinetu, a tam na niego czeka Ab, już w swoim ksi»;- zówskim kapeluszu l w płaszczu, u wóz już stoi naładowany znowu, lylko że Ab go nie przyprowadził poi) dom, bo tom go mogli zobaczyć. „Tak tui coś wygląda, że pan i ja nie będziemy mogli tle»iNt' 7 sobą ilo ładu — mówi Ab. — Tołóż lepiej nio próbować więcej i rozstać się, zanim dojdzie do jakiegoś nieporozumienia. Wyjeżdżam stąd i,mo", Włody IV Spain pyta: „A co z pańskim kontiaklcim?" „Zrywam (jo" — powiada Ab. A IV Sp<iin: „Ziyw.i pan? Zrywa?" i jeszcze mówi: „Zerwałbym (on kontrakt i jeszcze sio innych i dodałbym jeszcze do lego stodołę, było tylko wiedzieć, /o to do panu strzeliłem we/,oraj wieczoiom", To Ab mówi: „Może mnie pan wezwać do sądu, /oby się dowiedzieć. Tutejsi sędziowie pokoju mają zdaje się zwyczaj wydawać wyroki na korzyść oskat za jących",

— OmJoia — powiedział Varner cicho. — Choina!

Nu lo Ab pokużykał mi tej swojo) sztywnej aod/.o i wiócit,,

'/oby spalił' dom d/ior/awcy dokończył Yat net.

- Nii', nie. Możliwo, i.»- obejrzał się za tym domom z żulom, Ink się to mówi, kiedy odjeżdżał. Alo nic innego nio spalił») się już potom. To zmayı: nio zaraz potem,

— ■ Rozumiem - powiodzi<d Vainer. - P»i- wiedziałeś, o ilo pamiętam, że musiał wr/.urir resztę nafty do ognia, jak IV Spain zaczął do niego strzelać, lak - dodał z oczyma wytrzeszczonymi, z twarzą czerwoną Jak apoplektyk. — l ze wszystkich ludzi w hrabstwie właśnie na topo musiałem trafić, żeby z nim podpisać kontrakt. — Zaczął si<^ śmiać. To ziuic/y zaczął mówić: „Cha, c ha, cha” szybko, alo półgębkiem, słowa wychodziły z kitan, alo nio sięgały wyżej}, nic / nich nio było w jogo oczach. Polom przestał. — Nio mogę przecież tu siedzieć, choćby było bardzo przyjemnie, M»tze jeszcze zdij.ę dojechać na czas i skłonić go, żeby zerwał /o mm} kontrakt w zamian za siarą szopę na bawełnę,

— Albo przynajmniej może za jakąą pustą stodołę! -- krzyknął za nim Kallitk W godzinę później Varner ziłów siedział na koniu, którego zatrzymał tym razem przed turtke} albo raczej przed wyrwą /iobioną w drucianym ogiodzeniu, obwisłym i zardzewiałym. Sama furtka czy to, co z niej zostało, leżało /. boku, wyrwano » nawiasów, a

między zardzewiałymi drutami wyrastała trawa i chwasty, niby między żebrami porzuconego szkieletu. Jody Varner dyszał ciężko, ale nie dlatego, że galopował. Przeciwnie, zbliżywszy się do celu podróży dostatecznie, żeby przypuszczać, że mógłby widzieć dym, jeśli tam był dym, jechał coraz wolniej. Mimo to siedział teraz na koniu przed wyrwą w drucianym ogrodzeniu, zdyszany i nawet trochę spocony, patrząc na pochyloną chatę, na огоłoconym z drzew i trawy kawałku ziemi, walącą się i tak sponiewieraną przez deszcze i słońce, że przybrała kolor starego ula, z wyrazem twarzy człowieka, który się zbliża do nie rozerwanego granatu, grożącego wybuchem.

— Psiakrew — powiedział znowu cicho. — Przez trzy dni nie miał nawet czasu naprawić furtki. A ja nawet nie ośmielię się mu o tym wspomnieć. Nie ośmielię się nawet tak zachować, jakbym wiedział, że tu jest furtka do naprawienia. — Gwałtownie ściągnął cugle. — Jazda — powiedział do konia. — Nie stój tu długo, bo też się spalisz.

Ścieżka (nie była to ani droga, ani wąska dróżka wiejska, po prostu dwie równoległe, ledwie dostrzegalne koleiny, prawie zupełnie zarosłe tegoroczną trawą i chwastami) biegła do zdezolowanego ganku bez stopni, przed głuchym i niemym domem, na który patrzył teraz z pełną napięcia ostrożnością, jakby się zbliżał do zasadzki. Tak był pogrążony w obserwacji, że zapomniał o szcze

34

gółach. Nagle, nie wiedząc kiedy, w jednym z okien bez ramy, zobaczył pod szarą sukienną czapką twarz, której dolna szczęka poruszała się rytmicznie i nieustannie, wysuwając się w bok w jakiś dziwny sposób i która, kiedy krzyknął: „Halo!”, znikła znowu. Miał już krzyknąć drugi raz, kiedy ujrzał za domem sztywną sylwetkę, którą rozpoznał natychmiast mimo braku księżowskiego płaszcza, manipulującą coś przy furtce. Słyszał już od pewnej chwili przeciągłą monotonną skargę zardzewiałego kołowrotu u studni, a teraz zaczął też słyszeć dwa bezbarwne, obojętne głosy kobiece. Przejeżdżając koło domu zobaczył wysoki słup przypominający szubienicę, a obok dwie młode kobiety, zupełnie nieruchome, w których nawet na pierwszy rzut oka można było dostrzec ową senną, nieruchomą solidarność dwóch posągów (ważenie to umacniał tylko fakt, że zdawały się mówić obie równocześnie do niewidzialnego słuchacza albo może do sąsiadów, żadna nie słuchała drugiej) mimo że jedna z nich uchwyciła łańcuch kołowrotu, z ramionami rozpostartymi na całą długość, z ciałem pochylonym i zgiętym, jak figura rebusu, fragment rzeźby przedstawiającej jakiś straszliwy wysiłek fizyczny, zmartwiały w załężku, mimo że w chwilę później kołowrót rozpoczął swoją zardzewiałą skargę, ale znów uciekł prawie natychmiast, tak samo jak ich głosy, kiedy druga kobieta go zobaczyła, a pierwsza przestała ciągnąć łańcuch i za

35

trzymała się w pozie stanowiącej odwrotność poprzedniej, z ramionami spuszczoneymi w dół, i ujrzał dwio szerokie, pozbawione wyrazu twarze, odwracające się powoli i równocześnie, w chwili gdy przejeżdża).

Przeciął nagie podwórze zaśmiecone odpadkami — sterty popiołów, skorupy garnków i puszki po konserwach, pozostawione tu przez ostatniego dzierżawcę. Za drucianym ogrodzeniem pracowały także dwie kobiety i teraz wszyscy troje wiedzieli o jego obecności, bo zobaczył jedną z kobiet rozglądającą się wkoło. Ale mężczyzna („Łajdak, rzezimieszek z koślawą łapą” — myślał Varner w swej bezsilnej furii) nie podniósł oczu ani nie przerwał roboty, którą był zajęty aż do chwili, gdy Varner podjechał prosto do niego. Dwie kobiety obserwowały go teraz. Jedna z nich miała na głowie spłowieły perkalowy czepek, chroniący od słońca, druga — nieforemnych kształtów kapelusz, który w swoim czasie najprawdopodobniej był kapeluszem męskim, a w rękę trzymała zardzewiałą, blaszaną puszkę do połowy wypełnioną pogiętymi i zardzewiałymi gwoździami. ■— Dobry wieczór — powiedział Varner zdając sobie za późno sprawę, że mówi bardzo głośno, prawie krzyczy. — Dobry wieczór paniom. — Mężczyzna odwrócił się powoli, trzymając w ręku ułamany zardzewiały młotek oprawiony w kawałek nieoheblowanego drewna, i jeszcze raz Varner spojrzał w chłodne, twarde oczy pod strzechą potarganych brwi.

— Dzień dobry — powiedział Snopes.

— Wpadłem tylko, żeby zobaczyć, co pan zamierza — powiedział Varner, wciąż za głośno, choć zdawało się, że nic na to nie może poradzić. „Za dużo mam spraw na głowie, żeby panować nad głosem” — pomyślał i zaraz zaczął znowu kłąć w duchu, znowu jakby próbując dowieść sobie samemu, do czego może doprowadzić choćby sekunda nieuwagi.

— Chyba że tu zostanę — powiedział tamten. — Dom nie nadaje się do mieszkania nawet dla świń. Ale myślę, że dam sobie z tym radę.

— Słuchaj pan — powiedział Varner. Teraz krzyczał zdecydowanie, nic go to nie obchodziło, potem przestał krzyczeć, bo przestał mówić, bo nie miał już nic do powiedzenia, choć przez głowę mu przelatywało z błyskawiczną szybkością: „Do diabła, do stu par rogatych diabłów. Nie śmiem mu nawet powiedzieć »wynoś się« i nie wiem, dokąd go wysłać. Boję się nawet kazać go aresztować za spalenie tamtej stodoły, ze strachu, żeby nie spalił mojej”.

Tamten odwracał się już twarzą do płotu, kiedy Varner zaczął mówić. Odwrócił się do połowy, podnosząc wzrok na Varnera niezbyt uprzejmie, a nawet z pewną niecierpliwością, ule c/ekiil, co tamten powie.

— Dobrze — powiedział Varner. — O mie

szkaniu jeszcze możemy pomówić. Bo chyba dojdziemy z sobą do porozumienia. Jakby pan czegoś potrzebował, niech pan tylko przyjdzie do magazynu. Albo nawet i nie. Niech mi pan da znać, a przyjadę, jak tylko najprędzej będę mógł. Rozumie pan? Jakby coś nie było w porządku.

— Potrafię zgodzić się z każdym — powiedział tamten. — Godziłem się z piętnastoma czy dwudziestoma różnymi właścicielami, odkąd zacząłem pracować na farmach. A jak się nie mogę zgodzić, to rzucam robotę, czy to wszystko, czego pan sobie życzył?

„Wszystko — pomyślał Varner. — Wszystko”. Przejechał z powrotem przez podwórze, małą pustynię, którą zaśmiecały sterty popiołu, kawałki niedopalonego drewna, poczerńnięte cegły, gdzie ustawiano niegdyś balie do prania i kotły do oparzania świń. „Wolałbym nigdy niczego nie chcieć, oprócz tej odrobiny, którą chcę teraz” — myślał. Znowu słyszał zgrzyt obracającego się kołowrotu studni. Tym razem zgrzyt nie ucichł, kiedy dwie postacie — jedna nieruchoma, druga spuszczała łańcuch w dół i podnosząca do góry z metronomiczną regularnością w takt niezupełnie muzykalnej skargi kołowrotu — i dwie tępe twarze obróciły się znowu powoli, jakby przybite jedna do drugiej gwoździakami i zsynchronizowane mechanicznym ramieniem, podczas gdy mijał dom i wjeżdżał na zatartą ścieżkę prowadzą

ca do wyłamanej furki, która, wiedział to, będzie jeszcze leżała tam pośród chwastów, kiedy ją zobaczy następnym razem. Miał wciąż w kieszeni kontrakt, zredagowany z tą zdecydowaną i mocną satysfakcją, która, jak teraz myślał, musiała tkwić w jakimś innym czasie albo bardziej prawdopodobnie w całkiem innej osobie. Był jeszcze nie podpisany. „Mógłbym jeszcze dołączyć klauzulę

o pożarze” — pomyślał. Ale nawet nie zatrzymał konia. Oczywiście. A poza tym mogę wykorzystać ten paperek, żeby zabrać się do pokrywania nowej stodoły. Jechał więc dalej. Było już późno i ruszył naprzód wolnym kłusem, który mógł z łatwością utrzymać przez całą drogę do samego domu, z krótkim przystankiem dla zaczerpnięcia oddechu na wzgórzu. Nagle zobaczył na brzegu drogi opartego plecami o drzewo mężczyznę, którego twarz widział w oknie domu. Przed chwilą droga była pusta, a w następnej chwili stał tu człowiek, na skraju małego lasku: ta sama czapka, te same rytmicznie poruszające się szczęki, żujące tytoń, znalazły się tu nie wiadomo skąd, niemal tuż przy piersi konia i wyglądały tak, jakby ich pojawienie się było najprostszym z przypadków — o czym Varner miał sobie przypomnieć i medytować, ale dopiero później. Prawie go już minął, kiedy nagle ściągnął cugle zatrzymując konia. Teraz już nie krzyczał, a jego wielka twarz wyrażała tylko uprzejmość i najwyższą czujność. — Dzień



dobry — powiedział. — Pan jest Flem, prawda? Jestem Varner.

— Tak? — odpowiedział tamten. Splunął. Miał szeroką, płaską twarz i oczy koloru stojącej wody. Robił wrażenie człowieka łagodnego, jak sam Varner, ale był o głowę niższy i ubrany w białą wybrudzoną koszulę i tandetne, szare spodnie.

— Chciałem się z panem zobaczyć — powiedział Varner. — Słyszałem, że pański ojciec miał parę razy kłopoty ze swoimi pracodawcami. Kłopoty, które mogły źie się skończyć. — Tamten nie przestawał żuć. — Może tamci nie postępowali z nim odpowiednio, nie wiem i mało mnie to obchodzi. Ja mówię o ewentualnej pomyłce, każdą pomyłkę można naprawić, to jest ułożyć sprawę tak, żeby człowiek mógł pozostać w poprawnych stosunkach nawet z tym, z kogo nie jest zadowolony. Nie zgadza się pan ze mną? — Tamten wciąż żuł tytoń. Jego twarz była tak pozbawiona wyrazu, jak powierzchnia nieupieczonego ciasta. — Tak, żeby tamten nie musiał myśleć, że jedynym sposobem, w jaki może dowieść swoich spraw, jest zrobić coś takiego, po czym pozostanie mu tylko zebrać manatki i wyjechać następnego dnia. Bo inaczej przyjdzie taki dzień, że człowiek rozejrzy się w koło i zobaczy, że już nie ma dokąd się przenieść w tym kraju.

Varner zatrzymał się. Tym razem czekał tak długo, aż tamten wreszcie się odezwał, choć Varner nie był pewien, czy zrobił to tylko dla tej, czy dla innej przyczyny.

— No, kraj to tu bardzo duży.

— Oczywiście — powiedział Varner uprzejmie, z dumą wypinając pierś. — Ale prędko może stać się ciasny, dla tego, co się wciąż przenosi z miejsca na miejsce. Nie warto tego robić zwłaszcza z powodu sprawy, która, gdyby ją od razu wyjaśnić, nie miałaby żadnego znaczenia. Można by to załatwić w pięć minut, gdyby się znalazł pod ręką ktoś, kto by powstrzymał tego drugiego, za bardzo krewkiego, i powiedział mu: „Chwileczkę. Ten facet nie zamierza ci zrobić krzywdy. Musisz tylko pogadać z nim spokojnie, a wszystko się ułoży. Wiem, że tak jest, bo mi obiecał...” — przerwał znowu. — Zwłaszcza gdyby ten facet, o którym mówimy, mógł go powstrzymać i wytłumaczyć, że na spokoju i zimnej krwi może tylko zyskać. — Varner znów umilkł i po chwili tamten znów się odezwał.

— Co zyskać?

— No, dobrą farmę do pracy Kredyt w sklepie. Więcej ziemi, gdyby uważał, że da radę.

— Praca na farmie nie daje żadnych zysków. Zamierzam to rzucić, jak tylko będę mógł.

— Dobrze — powiedział Varner. — Powiedzmy, że ten człowiek, o którym mówimy, chciał się przenieść c/o innego zawodu. Potrzebna mu życzliwość ludzi, tych ludzi, na

których zamierza zrobić pieniądze. A najlepszy sposób...

— Pan ma sklep, prawda? — powiedział tamten.

— ...najlepszy sposób — powiedział Varner, Potem urwał. — Co pan mówi?

— Słyszałem, że pan prowadzi sklep.

Varner patrzył na niego. Teraz twarz Var-

nera nie była już uprzejma i łagodna. Była po prostu całkowicie spokojna i pełna napięcia. Sięgnął do kieszeni i wyjął cygaro. Sam nie palił i nie pił, natura obdarzyła go tak idealną przemianą materii, że, jakby to sam określił, nie mógł się czuć lepiej, niż się czuł z natury. Ale zawsze miał przy sobie kilka cygar. — Niech pan zapali — powiedział.

— Nie palę cygar — odparł tamten.

— Żuje pan tytoń? — spytał Varner.

— Żuję od czasu do czasu kawałek za pięć centów, dopóki nie zostanie już wcale soku. Ale zapalek do tego nie używam.

• — Oczywiście — powiedział Varner. Spojrzał na cygaro i rzekł spokojnie: — I mam nadzieję, że ani pan, ani nikt z pańskich znajomych nigdy nie będzie używać, — Włożył cygaro z powrotem do kieszeni. Głośno wy-, puścił nosem powietrze. — W porządku — powiedział. — No, więc do zobaczenia na jesieni. Po zniwach.

Przez cały czas nie był pewien, kiedy tamten na niego patrzy, a kiedy nie, ale wtedy zobaczył, że Flem podnosi ramię i drugą

ręką chwyta coś nieskończenie małego, co wyciągnął z rękawa w sposób nieskończenie ostrożny. Varner znowu wypuścił nosem powietrze. Tym razem było to westchnienie. — W porządku — powiedział. — Wobec tego w przyszłym tygodniu. Udzieli mi pan tej zwłoki, co? Ale muszę mieć pańską gwarancję.

Tamten splunął.

— Gwarancję co do czego?

Dwie mile dalej zaskoczył go zmierzch, krótki zmierzch kwietniowy, kiedy okryte kwieciami głogi unoszą w górę rozpostarte białe dłonie pośród ciemniejszych drzew, niby modlące się mniszki. Na niebie pojawiła się już gwiazda, a nad ziemią zaczęły latać lelki. Koń, czując stajnię i kolację, biegł rażno w wieczornym chłodzie, kiedy Varner ściągnął cugle i zatrzymał go na chwilę. „Do diabła — powiedział — stał akurat w takim miejscu, gdzie nikt nie mógł go dojrzeć z domu”.

## ROZDZIAŁ U

mKbM ąliif, agent sprzedający maszyny do MSI szycia, podjeżdżając znowu do wsi na HHi swoim wozie z pudłem, przypominającym psią budę, ęjdzie zamiast maszyny znajdowała się używana pozytywka i komplet no-  
wiutkich zębów do brony, jeszcze związanych drutom fabrycznym, zobaczył starego, białego konia, który  
drzemał na trzech nogach, uwiązany do furtki, a w chwilę później samego Willa Varnera, siedzącego na swoim  
krześle z beczki, pośród niestrzyżonych trawników i zapuszczonych ogrodów plantacji Starego Francuza.

— Dobry wieczór — powiedział swoim gładkim, uprzejmym i nawet pełnym szacunku głosem. —  
Słyszałem, że pan i Jody macie rtowego subiekta w magazynie. — Varner spojrział na niego bystro, czerwonawe  
brwi /jeżyły się lekko nad małymi, twardymi oczyma.

— Więc to się już rozeszło — powiedział. — Jak daleko pan zajechał od wczoraj?

\*-• Siedem, osiem mil odrzekł Ratliff.

— rfn powiedział Varner. — Potrze\* bowali.śmy człowieka.

flyly to prawda. Po prostu potrzebowali

kogoś, kto by otwierał magazyn rano i zamykał wieczorem --- tylko po to, żeby nie wchodziły łam bezpieczeństwa  
psy, bo nuwet włóczęgi, jak Murzyni, którzy zabłądzili w tych stronach, nie zostawali tu po zmierzchu. Czasem  
sam Jody Varner (Will w ogóle nigdy tam nie bywał) musiał wyjechać na cały dzień. Klienci Schodzili i  
obsługiwali się sami albo jedni drugich, wkładając należność za kupione towary — których ceny znali co do  
grosza, jak sam Jody — do pudełka po cygarach wewnątrz okrągłego drucianego klosza do sera.

— Przynajmniej będziecie mieli co dzień zamiecioną podłogę w magazynie — powiedział Ratliff. — Tego  
nie można włączyć do polisy ubezpieczeniowej od pożaru.

— Ha — rzekł znowu Varner. Wstał z krzesła. Wyjął z ust przeżuty baton tytoniu, który wyglądał jak kulka  
mokrego siana, wyrzucił go i wytarł dłoń o spodnie. Podeszedł do furtki, gdzie kowal pod jego kierownictwem  
zainstalował urządzenie, które (choć ani on, ani kowal nigdy czegoś takiego nie widzieli, ani nawet sobie nie  
wyobrażali) działało jak nowoczesne drzwi obrotowe, tylko że zamiast wrzucenia monety, trzeba było podnieść  
przymocowany łańcuchem skobel.

— Wsiądź pan na mego konia i wracaj do skJepu — powiedział Varner. — Ja będę powoził pańskimi  
kucami. Mam ochotę usiąść wygodnie i powozić.

— Możemy uwiązać konia z tyłu i obaj jechać wozem — zaproponował Ratliff.

— Nie, niech pan wsiądzie na konia. Na razie nie pragnę mieć pana bliżej. Pan czasem jest za sprytny jak na mój gust.

— Ależ dobrze — powiedział Ratliff. — Przytrzymał tylne koło, żeby Varner mógł wdrapać się na wóz, a sam wsiadł na konia. Ruszyli, Ratliff jechał tuż przy wozie, tak żeby Varner mógł z nim rozmawiać, nie odwracając głowy.

— Ten podpalacz...

— To nie jest dowiedzione — łagodnie powiedział Ratliff. — Oczywiście, w tym cały kłopot. Jeśli człowiek ma wybrać między mordercą a takim, co się go tylko o to podejrzewa, wybierze mordercę. Przynajmniej wtedy wie, czego się trzymać. Nie musi się już rozpraszać.

— Dobrze, dobrze — powiedział Varner. — No więc ta ofiara oszczerstwa i nieporozumienia. Co pan o nim wie?

— Nic, o czym by warto mówić — powiedział Ratliff. — Tylko to, co słyszałem. Nie widziałem go od ośmiu lat. Wtedy był jeszcze inny chłopak, oprócz Flema. Młodszy. Teraz miałby dziesięć albo dwanaście lat, gdyby jeszcze żył. Musieli go gdzieś zgubić w którejś z przeprowadzek.

— Czy to, co pan o nim słyszał w ciągu tych ośmiu lat, pozwala panu przypuszczać, że mógł zmienić obyczaje?

— Oczywiście — powiedział Rathff. Wiatr unosił lekko na bok kurz wzbijający się spod kopyt trzech koni i osiadający na rumiankach i kwiatach gorczycy, które rozkwitały w rowach przy szosie. — Osiem lat. A przedtem też go nie widziałem przez jakieś dobre piętnaście. Wychowałem się w sąsiedztwie. Chcę powiedzieć, że on mieszkał przez jakieś dwa lata tam gdzie ja. On i mój ojciec dzierżawili u starego Hansa Hollanda. Ab wtedy handlował końmi. Znałem go właśnie w tym czasie, kiedy handel końmi się kończył i Ab musiał się ograniczyć do uprawy ziemi. Nie jest zły z natury, tylko zgorzkniały.

— Zgorzkniały — powtórzył Varner. Splunął. Jego głos brzmiał ironicznie, prawie pogardliwie. — Jody wczoraj wieczorem późno wrócił do domu. Od razu jak go zobaczyłem, poznałem, że coś niedobrego się święci. Wyglądał całkiem tak samo jak wtedy, kiedy był jeszcze mały i przeszkrobał coś, i wiedział, że nazajutrz się tego dowiem, toteż wolał sam mi to powiedzieć pierwszy. „Przyjąłem subiekta do sklepu” — powiada. — „Po co? — pytam. — Czy Sam nie dość dobrze czyści twoje buty w niedzielę?” A on w krzyk: „Musiałem go przyjąć — mówi. — Musiałem, powiadam ci”.

I położył się spać bez kolacji. Nie wiem, jak spał. Nie słuchałem. Ale rano już się tak nie gryzł tą sprawą. Wyraźnie mu ulżyło. „Może się nawet przydać” — powiada. „Nie wątpię — mówię mu na to. — Ale to jest

niezgodne z prawem. A poza tym czy nie lepiej zamiast tego od razu rozwalić budę? Wtedy możesz sprzedać nawet budulec".

Spojrzał na mnie. Ale tylko czekał, aż umilknę, obmyślił to wszystko przez noc. „Trzeba było przyjąć takiego człowieka — powiada. — Człowieka, co jest dosyć niezależny, żeby się sam bronić, bronić własnych praw i interesów. I dajmy na to, że zyski drugiego jemu samemu także przysparzają zysków. Dajmy na to, że to tak, jakbyś płacił pensją krewnemu za to, że pilnuje twoich spraw; powiedzmy, że tego wymaga interes (i sam wiesz o tym tak dobrze jak ja, mówi Jody). Zawsze lepiej, żeby ten kto, także ciągnie z tego zysk, nie był sam za bardzo zaangażowany, no, jednym słowem, żeby to był człowiek niezależny..."

— Równie dobrze mógł powiedzieć „niebezpieczny" — zauważył Ratliff.

— Tak — przyznał Varner. — No i co dalej?

Ratliff nie odpowiedział. Zamiast tego spytał: — Sklep jest na nazwisko Jody'ego, prawda? — Ale odpowiedział na to sam, zanim tamten zdążył się odezwać. — Oczywiście. Po co się pytam? Zresztą to tylko,, z Flemem Jody miał do czynienia. Tak długo, jak Jody będzie go trzymał, może stary Ab...

— No, mów pan — powiedział Varner. — Co o tym myślisz?

— Znaczy, co myślę naprawdę?

— A o co, do cholery, panu się zdaje, że pytam?

— Myślę to samo, co pan — powiedział spokojnie Ratliff. — Ze znam tylko dwóch Judzi, co mogliby spróbować przechytryć tamtych. Jeden z nich się nazywa Varner, ale na imię nie ma Jody.

— A kto jest ten drugi? — spytał Varner.

— To jeszcze nie wiadomo na pewno — powiedział uprzejmie Ratliff.

2

Poza sklepem Varnerów i odziarniarką, młynem i kuźnią, kttfrą wynajmowali aktualnemu kowalowi, szkołą, kościołem i trzema tuzinami domów zgrupowanych w zasięgu obu dzwonów, we wsi była stodoła, ogrodzone drutem pole i położone obok podwórze, ocienione, choć nie porosłe trawą, na którego środku stał budynek niski, niesymetrycznie rozplanowany i częściowo skonstruowany z desek, a częściowo z bierwion, nie pomalowany, dwupiętrowy, znany pod nazwą Hotelu Littlejohn, gdzie za zbutwiałą deszczułą przybitą do drzewa, z nie-zupełnie ortograficznym napisem „Pokoje do wynajęcia z utrzymaniem", zatrzymywali się na noc, spali i jadali komiwojażerowie i sprzedawcy bydła. Była tu długa weranda z mnóstwem krzeseł. Tego wieczora po ko

lacji, zaprowadziwszy wóz do wozowni, a konie do stajni, siedział tam Ratliff w otoczeniu pięciu czy sześciu mężczyzn, którzy przysli tu pieszo z sąsiednich domów. Przy- szliby tu także każdego innego wieczora, ale tego dnia zebrali się, jeszcze zanim słońce całkowicie zaszło, spoglądając raz po raz na ciemny front sklepu Varnera, tak jak Judzie zbierają się, by popatrzeć spokojnie na wystygłe popioły po linczu, albo na drabinę, stojącą jeszcze przy oknie po uprowadzeniu dziewczyny, gdyż obecność białego subiekta w sklepie należącym do człowieka chodzącego jeszcze na własnych nogach i dostatecznie inteligentnego, by robić błędy w rachunkach przynajmniej na swoją korzyść, była czymś tak niesłychanym jak, na przykład, obecność opłacanej białej kobiety w ich własnej kuchni.

— No tak — powiedział jeden z nich — nie wiem nic o tym nowym pracowniku Varnera, ale głos krwi to mocna rzecz, a facet, co ma rodzinę dosyć krewką, żeby podpalić cudzą stodołę..

— Oczywiście — przyznał Ratliff — ale stary Ab nie jest z natury zły. Po prostu zgorzkniał.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał. Siedzieli na krzesłach albo w kucki wzdłuż werandy, nie widząc się wzajemnie. Było prawie zupełnie ciemno, słońce po zachodzie zostawiło tylko jasnozieloną, bladą smugę na niebie. Krzyczały lelki i robaczki

świętojańskie mrugały latając wśród pobliskich drzew.

— Jak, zgorzkniał? — zapytał jeden po chwili.

— No, zgorzkniał — odpowiedział Ratliff uprzejmie, skwapliwie, swobodnie. — Była taka historia podczas wojny. Kiedy jeszcze nikomu nie dokuczał, nie szkodził i nie pomagał ani jednej, ani drugiej stronie, tylko pilnował własnego interesu, to jest zysków i koni — rzeczy, które nie mają nic wspólnego z czymś takim jak polityczne

, przekonania — znalazł się ktoś, co nawet nigdy nie miał konia na własność, i ranił go kulą w piętę. I po tej historii właśnie zgorzkniał. A potem ta sprawa z teściową pułkownika Sartorisa, Miss Rosą Miliard, co ją Ab przyjął do spółki w handlu końmi i mułami, w dobrej wierze i uczciwie, nie zamierzał nikomu szkodzić ani tym w niebieskich, ani w szarych mundurach, zajęty tylko zyskami i końmi, dopóki Miss Rosa nie dała się zamordować temu facetowi, co się nazywał major Grumby i wtedy chłopak pułkownika, Bayard, i wuj Buck McCaslin, i jeden czarny złapali Aba w łesie i coś się stało, przywiązali go do drzewa czy coś takiego, i coś tam było z chłostą podwójnym rzemieniem, a może nawet coś z rozpalonym stemplem do strzelby, chociaż o tym tylko słyszałem, jak ludzie gadali. W każdym razie Ab musiał rozstać się z Sartorisami i powiadają, że się ukrywał długo w górach aż do

c/iisu, kiedy pułkownik wydawał sir- dosyć zajęty budową koiel, żeby Ab mógł bezpiecznie wyjść z ukryciu. I to Jeszcze gorzej go rozjątrzyło, alf jeszcze mógł liczyć rui handel końmi. A później trafił na l'ata Stampera i łamlrn go wysiudał, To iutf mu y.npsiilf> kiew do reszty,

- - Chcesz powiedzieć, że doszło do rozgrywki między nim a Patom Stampeiem i nawet wrócił do domu z lejcami - - powiedział kłóś. Bo wszyscy znali Stampera. Był to człowiek legendarny, choć dotychczas żyjący, nio tylko w tej okolicy, ale też w całym północnym Missisipi i zachodnim Teri- nosoe - otyły i brzuchaty 1ntjic7.y7.no, z oczyma koloru siekiery. Jeździł po całej okolicy w jasnym, kosztownym Sielsonle

0 szerokiach skrzydłach, przewożąc narzędzi rolnicze, i grał w konie tak, jak inni grają w karty, zarówno dla przyjemności pobicia mocnego przeciwnika, jak i dla zysku, razem z chłopakiem stajennym, Murzynem, który był artysUf w tej sarniej mierze, co rzeźbiarz: mógł wziąć każdą siarą szkapę, byle jeszcze powłóczyła nogami, zamknąć się z nią w pierwszej lepszej pustej szopie czy stodole

1 potem nagle, jak czarnoksiężnik, wyprowadź,U: z niej zwierzę, którego Todzona matka by nie poznała, a cóż dopiero właściciel; ci dwaj, Stampor i Murzyn, pracowali w skandalicznej spółce, niby jeden mózg, górujący nad resztą śmiertelnych straszliwą umiejętnością znajdowania się w dwóch miejscach naraz i kierowania dworna jednocześnie osobnymi parami rąk i kompletami palców.

/iobił coś lepszego — powiedział Tlat- iiff. - - Wyszedł z tego zupełnie bnz strat. Bo jeżeli kogoś pobił Steinipcr, to panią Snopes. A nawet i ona nie była tego zdania. Musiała tylko pojechać sama do Jefferson, żeby wreszcie dostać swoją centryfugę, n może i wiedziała cały czas, że prędzej czy później będzie musiała to zrobić. To nie Ab kupił jednego konia a sprzedał dwa Patowi Stamperowi, to pan! Snopes. Ona i Pat użyli Aha jako pośrednika w tej sprawie.

Znowu przez dłuższy czas nikt się nie od\* zywał. Wreszcie ten, który odezwał się pierwszy, spytał: — Jak się o tym wszystkim dowiedziałeś? Chyba tam byłeś też?

— Byłem — powiedział Ratli/f. — Pojechałem z nim tego dnia do miasta po centryfugę. Mieszkaliśmy jakieś dwie mile od nich. Mój ojciec i Ab dzierżawili obaf od starego Hansa Hollanda i często się kręciłem koło Aha i jego stodoły. Bo ja też wariowałem za końmi, tok jak on. Wtedy jeszcze nie skwaśniał na ocet. Jeszcze był wtedy żonaty ze swoją pierwszą żoną, tą, co ją wziął z Jefferson 1 co ją pierwszego dnia ojciec załadował na wózek razem z gratami i powiedział Abowi, że jak jeszcze raz przekroczy Whileleaf Bridge, to go zastrzeli. Nie mieli dziecka, a ja właśnie kończyłem osiem lat i chodziłem do jego domu prawie co

rano i spędzałem u niego cały dzień, siedząc na płocie razem z nim, kiedy sąsiedzi zaglądali przez płot, co go jeszcze Ab zamienił u starego Hansa za drut kolczasty albo zniszczone narzędzia, i Ab łągał akurat tyle, ile było potrzeba, opowiadając, jakie były stare i ile za nie zapłacił. Szalał na punkcie konia, sam ,to przyznawał, ale nie aż tak dalece, jak pani Snopes chciała mu to wmówić tego dnia, kiedyśmy przyprowadzili do domu konia od Beasleya Kemp i puścili go w pole, i wróciliśmy do domu, i Ab zdjął buty na ganku, żeby ochłodzić nogi przed kolacją, a pani Snopes stała w drzwiach grożąc mu rondlem i Ab jej powiedział: „No, Vynie, spokojnie. Zawsze chciałem mieć dobrego konia, wiesz o tym dobrze i nie ma co z tego powodu lamentować, Lepiej podziękuj Bogu za to, że oprócz tej słabości do konia dał mi jeszcze trochę oleju w głowie i obrotności”.

Bo to nie chodziło o konia, nie chodziło

o interes. Interes był dobry, Ab dał tylko Beasleyowi lemiesz od pługa i zużytą tłocznię do melasy starego Hansa i nawet pani Snopes musiała przyznać, że to niedużo za coś, co mogło przyjść na swoich nogach z pola Beasleya do nich, bo jak mówiła, grożąc mu tym rondlem, niewiele mógł stracić na handlu końmi, jeżeli nie miał nic ! własnego, co ktokolwiek zgodziłby się z nim wymienić, choćby na dychawiczną szkapę. i

1 nie dlatego, że Ab zostawił pług daleko f

w polu, tak że pani Snopes nie mogła go widzieć z domu, i tyłem wymknął się z lemieszem i tłocznią na wozie, kiedy myślała, że on jest jeszcze w polu. Ale tak jakby już wiedziała to, czego ja i Ab nie wiedzieliśmy: że Pat Stamper miał tego konia przed Beasleyem i że Ab zaraził się chorobą Stamera od samego dotknięcia. I może nawet miała słuszność, może sam Ab uważał się za Pata Stamera farmy Hollanda albo i całego czwartego okręgu w hrabstwie, nawet jeśli nie był pewien, że Pat Stamper nie podejdzie pod ogrodzenie jego pola, żeby mu nauragać. Oczywiście, myślę, że kiedy siedział tam pod werandą, z nogami w wodzie, a mięso się piekło na obiad i my czekaliśmy, żeby je zjeść i prędko wrócić, i siedzieć znowu na płocie, jak ludzie przyjdą i będą zaglądać, ciekawi, co przywiózł do domu tym razem. Uważam, że Ab nie tylko znał się na handlu końmi nie gorzej niż Pat Stamper, ale mógł się w tym równać z samym starym Hansem. I zdaje się, że kiedy tak siedzieliśmy, ruszając się tylko wtedy, żeby zejść ze słońca, a tu pusty pług stał pośrodku bruzdy dalej w polu i pani Snopes patrzyła na nas z okna i mówiła sobie: „Handlarz koni od siedmiu boleści! Siedzi na płocie, żeby się chwalić i łągać przed bandą próżniaków, kiedy chwasty tak gęsto rosną między bawełną i kukurydzą, że się boję zanieść mu obiad, żeby mnie nie opadły węże”, zdaje mi się, że wtedy



mi

Ab patrzył na to, co akurat wyhandlował, starą skrzynką do listów czy jeszcze trochę drutu kolczastego starego Hansa, czy trochę kukurydzy zimowej, i mówił sam do siebie: „Nie tylko jest mój, ale jak Boga Kocham, to najpiękniejszy koń, jakiego kiedykolwiek widziałem“.

To było przeznaczenie. Jakby sam Pan Bóg postanowił kupić konia za pieniądze z centryfugi pani Snopes. Choć muszę przyznać, że wybierając Aba, wybrał dobrą rękę, chętną i gotową do załatwienia jego interesów. Tego dnia, kiedyśmy wyjechali, Ab nie chciał w ogóle użyć konia Beasleya, bo wiedział, że ten chyba nie zrobi dwudziestu ośmiu mil do Jefferson tam i z powrotem w jeden dzień. Myślał pójść na farmę starego Hansa, żeby pożyczyć muła do roboty z tym, co go miał, i tak by zrobił, żeby nie pani Snopes. Ta cały czas kpiła z niego i dokuczała, że kupił konia do dekoracji i że powinien odprzedać go w mieście przedsiębiorstwu wynajmu koni, jako szyld firmowy, gdyby tylko mogli go jakoś dostarczyć do miasta. Toteż właściwie sama pani Snopes poddała Abowi ten pomysł, żeby wziąć konia Beasleya do miasta. I jak przyszedłem tam tego ranka, zaprzęgliśmy konia Beasleya do wozu razem z mułem. Karmiliśmy go na siłę przez dwa, trzy dni, żeby się wzmocnił do tej podróży tak, że wyglądał teraz lepiej, niż jak przyprowadziliśmy go do domu. Ale i tak nie wyglądał za dobrze.

Wtedy Ab zdecydował, że to wszystko przez porównanie z mułem, bo jak tylko był koń sam albo muł sam, to jeszcze jakoś wyglądało, ale kiedy stał przy innym zwierzęciu czworonożnym, zaraz się wydawał gorszy. „Gdyby można było zaprzęgnąć muła gdzieś pod wozem, tak żeby się nie pokazywał, ale żeby ciągnął i żeby było widać tylko konia!“ — mówił Ab. Bo jeszcze wtedy nie był taki zgorzkniały. Ale i tak zrobiliśmy, co się dało. Ab myślał, żeby domieszać soli do ziarna, żeby koń pił dużo wody, to by przynajmniej żebra tak nie sterczały, ale wiedzieliśmy, że nie zajdzie nawet do Jefferson, a cóż dopiero z powrotem, nie mówiąc już o tym, że trzeba się będzie zatrzymać przy każdym strumyku, żeby go napompować na nowo. Więc zrobiliśmy, co można było najlepszego. To znaczy spodziewaliśmy się najlepszego. Ab wszedł do domu i zaraz wyszedł w swoim kaszubijskim płaszczu (to ten sam, co go ma jeszcze i teraz, co mu pułkownik Sartoris i pani Rosa Miliard dali trzydzieści lat temu) z węzełkiem, w którym były te dwadzieścia cztery dolary i sześćdziesiąt osiem centów, co je pani Snopes ciułała przez cztery lata, i wyruszyliśmy.

Nie myśleliśmy nawet, żeby sprzedać konia. Myśleliśmy o koniu, to prawda, bo nie wiadomo było, czy nie trzeba będzie wieczorem wrócić z koniem Beasleya na wozie, który będzie ciągnął Ab i muł. Ab wykie- rował zaprzęg z obejścia i nie ma na świecie

muła i konia, z którymi obchodzono by się rak ostrożnie i starannie: Ab i ja wdrapywaliśmy się na wszystkie pagórki dosyć strome, żeby z nich spływała woda. I tak chcieliśmy ciągnąć aż do Jefferson. Dzień był gorący, połowa lipca. Byliśmy jakąś milę od Whiteleaf i koń Beasleya czasem szedł, a czasem jechał na dyszlu i twarz Aba robiła się coraz dłuższa za każdym razem, jak koń nie podniósł nogi dość wysoko i potknął się, aż tu nagle bestia zaczęła się pocić, ale jak\*! Rzucił łbem, jakby go kto kłut rozżarzoną żelazem i nagle wlaź w chomąto, pierwszy raz od czasu, jak muł wziął na siebie cały ciężar, i Ab palnął z bicia, wyjeżdżając z zagrody. Więc zjechaliśmy z pagórka i dalej pod górę do Whiteleaf i koń Beasleya wywracał oczyma białymi jak jajka, a grzywa i ogon miotaly się jak trawa w ogniu.

I niech mnie powiesz, jeżeli się nie spocił tak, że całkiem wyglądał na pięknego, ciemnego kasztanka, jakich mało, i nawet żebra tak mu nie sterczały. I Ab, co mówił, żeby zjechać na boczną drogę, tak żebyśmy nie musieli przejeżdżać koło składu, siedział teraz na wozie, jakby na płocie w swoim własnym domu, gdzie był bezpieczny przed Patem Stamperem\* opowiadając Hughowi Mitchell i innym chłopakom przed sklepem, że tego konia przywieźli z Kentucky. Hugh Mitchell nawet się nie roześmiał: „Patrzcie — powiada — ciekaw byłem właśnie, co się z nim siało. Rozumiem, czemu wędrował tyle czasu. Z Kentucky daleko. Herman Short dał Stamperowi muła i hryckę za tego konia pięć lat temu, a Beasley Kemp zapłaci\* za niego osiem dolarów Hermanowi ostatniego lata, a ty ile dałeś Beasleyowi\* Pięćdziesiąt centów<sup>f</sup>?”

Wszystko się stało właśnie przez to. Nie chodziło o to, ile koń kosztował Aba, bo właściwie można powiedzieć, że kosztował co tylko lemiesz od pługa, bo tłochnia 70 pierwsze nie nadawała się do użytku, a po drugie nawet nie była własnością Aba. Nie chodziło też o muła i powóz Hermana. Chodziło o te osiem dolarów gotówką od Beasleya i nie, żeby Ab był zły na Hermana

0 te osiem dolarów, bo Hermana i tak kosztował ten koń muła i bryczkę. Zresztą te osiem dolarów zostało jeszcze w hrabstwie, więc nie ważne, czy je miał Herman, czy Beasley. Chodziło o to, że Pat Stamper, przybysz z obcych stron, przyszedł i zgarnął gotówką dolary hrabstwa Yoknapatawpha.

1 puścili je w ten sposób w obieg. Kiedy człowiek wymienia konia na konia, to jego rzecz i niech go diabeł ma w swej opiece, jeśli może. Ale jak pieniądz w gotówce przechodzi z rąk do rąk, to co innego. I żeby obcy przybłąda wtrącił się w to i sprawił, żeby gotówka przechodziła z kieszeni jednego faceta do drugiego, to tsk jakby złodziej włamał się do czyjś mieszkania i porozrzucił graty po wszystkich kątach, nawet choćby nie ukradł. To jeszcze dziesięć

razy więcej człowieka złości. Toteż nie chodziło tylko o to, żeby wpakować konia Beasleya Kempa z powrotem Stamperowi. Raczej o to, żeby wyciągnąć osiem dolarów Beasleya z kieszeni Pata. I to właśnie chciałem powiedzieć, jak mówiłem, że to przeznaczenie, że Pat Stamper rozbił obóz za miastem tuż przy drodze, którą jechaliśmy właśnie tego dnia, kiedyśmy się wybrali po centryfugę pani Snopes, i że postawił namiot akurat przy drodze, razem z tym czarnym magikiem, tego samego dnia, kiedy Ab jechał do miasta z dwudziestoma czterema dolarami i sześćdziesięciu ośmiu centami w kieszeni i od niego zależała cała duma i honor, cała zręczność i spryt handlarzy końmi w Yoknapatawpha i żądała, żeby je pomścić.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy i gdzie dowiedzieliśmy się, że Pat był w Jefferson tego dnia. Mogło to być w sklepie w White-leaf. Albo może to, że przy takim nastroju Ab musiał przejeżdżać przed namiotem Stampera w drodze do Jefferson, było nie tylko naturalne i logiczne, ale napisane w wyrokach przeznaczenia. Więc jechaliśmy dalej, Ab i ja, próbując ulżyć, jak tylko się dało, temu koniowi za osiem dolarów i wdrapywaliśmy się pieszo na te długie pagórki i koń Beasleya robił, co mógł w swoim chomaćcie, ale to muł odwalał najcięższą robotę, kiedy Ab szedł obok niego przy wozie i kłął w żywy kamień Pata Stampera i Beasleya, i Hughę Mitchella, i Hermana Shorta. Zjechaliśmy w dół, Ab blokował koła, żeby koń nie wpełznął się do chomaćta i nie wyrzucił go na opak jak skarpetki», i wciąż przeklinał Pata Stampera i Beasleya, i Hermana, i Mitchella, aż dotarliśmy do mostu Three Mile i Ab zjechał ze środka drogi w krzaki. Tam wyprzągnął muła i skręcił lejce tak, żeby móc pojechać wierzchem, dał rai dwadzieścia pięć centów i kazał jechać do miasta kupić za dziesięć centów saletry, za pięć smoły i haczyk do wędki numer dziesięć i wracać w te pędy.

Przez to dobrnęliśmy do miasta dopiero po obiedzie. Pojechaliśmy prosto do obozu Pata i koń Beasleya szedł teraz równo i nie gubił chomaćta, a oczy mu błyskały tak dziko jak samemu Abowi i piana szła z pyska, bo Ab natarł mu saletrą dziąsła, a na piersi był dobrze pokłuty drutem kolczastym i pomazany smołą, a do tego jeszcze Ab wbił mu haczyk pod skórę w takim miejscu, że mógł go dotknąć rozluźniając trochę lejce. Murzyn Pata wybiega, żeby złapać konia za uzdę, zanim wpadnie prosto do namiotu, gdzie Pat spał, a Pat sam wychodzi w swoim kremowym Stetsonie, nasuniętym na jedno oko, a oczy ma koloru nowego lemiesza od pług i prawie takie same gorące, a dwa wielkie palce u rąk wetknięte za brzeg kamizelki. — No, ognistego masz pan konia — powiedział.

— To prawda — odpowiada Ab — i właśnie dlatego chciałbym się go pozbyć. Uważaj

pan da coś innego z o tego konia, żebym mógł wrócić do (Jornu, nie mordując chłopaka ani siebie. — iio to był właściwy system: od razu przystąpić do ataku i mówić o zamianie, zamiast kołować i duć się przegadać Patowi. Pat nie widział tego konia od pięciu lat, toteż Ab wiedział, że to, żeby go mógł poznać, jest równie mało prawdopodobne, jak na przykład to, żeby złodziej rozpoznał zegarek wartości dolara, który na chwilą przyczepił się\* do guzika przy jego kamizelce pięć Jat ternu. I Ab nie chciał nabić Pata w butelkę. Chciał tylko odzyskać z powrotem dumę i honor handlarzy koni w hrabstwie Yoknapatawpha, stracone razem z tymi ośmiu dolarami, i to nie dla korzyści, ale dla honoru. I zda je mi się, że wyszło dobrze. I dotąd wierzę, że Ab oszukał Pata i że Pat nie chciał handlować inaczej niż zaprząg za zaprząg, bo chciał zrobić interes z Abem, a nie dlatego, że poznał konia Beasleya. Albo czy ja wiem? Może Ab tak gorliwie się starał oszukać Pata, że Pat nie musiał już próbować oszukać Aba. Wtedy Murzyn wyprowadził parę mułów i Pat stał z dwoma palcami wepchniętymi za pasek od spodni i obserwował Aba żując sobie spokojnie tytoń. Ab jeszcze nie był przerażony, ale stracił nadzieję, bo zrozumiał teraz, że zabrnął dalej, niż chciał, i że teraz trzeba albo zamknąć oczy i brnąć aż do końca, albo wycofać się i rzucić wszystko, wrócić do wozu i odjechać, zanim koń Beasleya bidzie miał dość haczyka. I wtedy to Pat Stamper pokazał, kto to jest Pat Stamper. Ody by zaczął od pokazania Abowi, jaki robi interes, myślę, że Ab wycofałby się. Ale Pat tego nie zrobił. Nabrał Aba zupełnie tak, jak złodziej pierwszej klasy nabiera drugiego złodzieja pierwszej klasy, po prostu przez to, że chce riu powiedzieć, gdzie jest kasa pancerna.

— Mam już dobrego muła — powiada Ab, — Nie chcę tylko tego konia. Wymień mi pan konia na muła.

— Ja też nie potrzebuję dzikiego konia — mówi Pat. — Mogę handlować wszystkim, co chodzi na czterech łapach, byle tylko bym mógł to robić tak, jak chcę. Ale tego konia samego nie kupię, bo go nie chcę, tak jak i pan. Mogę kupić muła. A ten mój za\* prząg jest do pary. Zamierzam wziąć za to prawie trzy razy więcej, niż gdybym sprzedawał pojedynczo.

— Ale będzie pan miał jeszcze jedną parę do sprzedania — mówi Ab.

— Nie — powiada Pat. — Zamierzam od pana dostać za nią więcej, niżbym dostał, gdybym parę rozdzielił. Jak pan chce pojedynczego muła, szukaj pan gdzie indziej.

Na to Ab znowu spojrzął na muły. Wyglądały akurat możliwie. Nie specjalnie dobre, ani nie specjalnie złe, Żaden z nich nie wyglądał tak dobrze jak muł Aba, ale oba razem wyglądały odrobinę lepiej niż jakikolwiek pojedynczy muł. A wi«c był zgu

biony. Był zgubiony od chwili, kiedy I lurfh Mitchell mu powiedział o tych ośmiu dolarach. I'at SUimper chyba też wiedział, że tamten jest zgubiony, w tej samej chwili, kiedy podniósł oczy i zobaczył tego Murzyna, jak trzyma konia Reasleya, żeby nie wszedł do namiotu. Myślę, że chyba już wtedy wiedział, że nie będzie musiał targować się 7. Abem, wystarczy, żeby dosyć długo mówił „nie”. Bo tak też zrobił i stał wciąż oparty o wóz z dwoma kciukami wetkniętymi za pasek, żując tytoń i patrząc, jak Ab udaje, że znowu ogląda muły. I wtedy nawet ja wiedziałem, że Ab pójdzie na ton interes i że wszedł w coś, co uważał za odnogę strumyka, a to się okazały lotne piaski i że teraz już wie, że nawet nie może ustać na nich dość długo, żeby zawrócić. „Dobra — powiedział — biore muły”.

No to Murzyn zaprzął muły i pojechaliśmy dalej, do miasta. A muły wciąż wyglądały w porządku. I niech mnie powiesz, jeżeli nie zacząłem wtedy myśleć, że Ab wpadł w sidła Stampera, ale jakoś się wykaraskał, a jak znaleźliśmy się z powrotem na drodze i już nas nie było widać z namiotu Stampera, twarz Aba zaczęła tak wyglądać, jakby wyglądała, gdyby siedział na płocie w domu i opowiadał, że wariuje za koniem, ale nie aż tak, żeby zupełnie stracić głowę. Jeszcze nie był całkiem spokojny, jeszcze wciąż oglądał i obmacywał nowy zaprząg. Już byliśmy prawie w mieście i nie miał czasu go wypróbować, ale było do tego dosyć okazji w powrotnej drodze. „No .....

mówi Ab \* - jeżeli w ogóle dojdą do domu, to odzyskałem moje osie/n dolarów, psia jego rnać”.

Ale ten Murzyn to był artysta, Ro jak Bóg na niebie, te muły wyglądały jak każde inno zwyczajno muły, co je można oglądać przy setkach wozów na drodze. Zauważyłem, że mają nierówny zryw, kiedyśmy ruszali. Pierwszy szarpał się najpierw w chomacie, potem rwał w tył, a drugi całkiem lak samo i nawet, kiedy już byliśmy na drodze i wóz toczył się jak należy, jeden z nich dostał ataku szalu i rzucił się w poprzek postronków, jakby chciał zawrócić w tył, choćby miał przejść nad wozem, ale Stamper powiedział nam tylko, że dobrał te bydlaki do pary, nic nie mówił, żeby kiedy pracowały w parze i taka z nich była para, że żaden nie miał pojęcia, w jakim kierunku drugi chce ciągnąć. Ale Ab jakoś je wyrównał i pojechaliśmy dalej, i akurat mieliśmy się windować pod tę dużą górę do placu, kiedy muły zaczęły się nagle pocić, całkiem tak samo jak koń Beasleya, kiedyśmy minęli Whiteleaf. No, ale to jeszcze nic, bo dosyć było gorąco. Wtedy też pierwszy raz zauważyłem, że będzie padać, pamiętam, że patrzyłem na wielki] chmurę, na zachodzie, ciężką i błyszczącą, i myślałem, że lunie, jeszcze nim dojedziemy do domu czy do Whitelcaf, kiedy zorientowałem się, że wóz

nie idzie już pod górę i zaczyna się co- fać, zjeżdża z powrotem w dół. Obejrzałem się akurat w porę, /oby zobaczyć, że oba muły stoją teraz w poprzek postronków i patrzą na siebie ponad dyszlem i Ab próbuje je naprostować i wytrzeszcza oczy. Nagle wyprostowały się i, pamiętani, pomyślałem jeszcze, jak to dobrze, że stoją tyłem do wozu, kiedy się naprostowały, bo też ciągnęły razem pierwszy raz w życiu, a w każdym razie pierwszy raz, odkąd Ab był ich właścicielem, no i jechaliśmy pod górę na plac, jak karaluch lezie po rynnie deszczowej; wóz jechał na dwóch kołach, a Ab ściągał tylko lejce i wrzeszczał: „Cholera jasna! Cholera jasna” — i ludzie, przeważnie kobiety i dzieci, uciekali z krzykiem. Ab jakoś potrafił zapędzić muły w uliczkę za sklepem Caina i zatrzymał, blokując jedno koło o koło drugiego wozu, i ten drugi zaprząg (ten był uwiązany) pomógł nam zahamować. Zrobiło się zbiegowisko i pomogli nara się wyplątać, i Ab podprowadził pod tylne drzwi Caina nasze muły, i przywiązał je do słupa, a ludzie wciąż się gromadzili i mówili: „To ten zaprząg Stampera” i Ab dyszał ciężko, i minę miał teraz o wiele mniej spokojną, a twarz czerwoną jak ogień. „Chodź — powiedział mi. — Zabierzemy tę przeklętą centryfugę i wynosimy się”.

Więc weszliśmy do sklepu i daliśmy Cai- nowi ten węzełek pani Snopes, odliczył dwa dzieciąta cztery, sześćdziesiąt osiem i wzięliśmy centryfugę z powrotem do wozu, na miejsce, gdzieśmy go zostawili, Bo był tam jeszcze, z wozem nie było zmartwienia. Pamiętam, że widziałem dno nadwozia i górną część kół tam, gdzie Ab go podprowadził, blisko platformy do załadunku, i mogłem widzieć ludzi od pasa w górę, stojących w uliczce; teraz ich było dwa czy trzy razy więcej i myślałem, że za dużo jest tego wozu i za dużo ludzi, jak na takim obrazku z napisem; „Na czym polega błąd w tym rysunku?”, i wtedy Ab znów zaczął kląć i pobiegł, ciągnąc wciąż swój koniec centryfugi, na brzeg platformy, gdzie można było widzieć, co jest pod nią. Z mułami wszystko było w porządku: leżały na ziemi. Ab je przywiązał razem do jednego kołka jednym postronkiem przeciągniętym przez oba wędzidła i teraz wyglądały całkiem jak dwaj ludzie, co się powiesili na jednej szubienicy, łby jeden przy drugim, sztywno zadarte i oczy wybałuszone, języki wysadzone, szyje wyciągnięte na cztery stopy nad ziemią, nogi zgięte do tyłu pod nimi; wyglądały jak zastrzelone króliki, aż Ab skoczył i odciął je od kołka scyzorykiem. Tak, Murzyn był artystą. Dał im akurat tyle jakiegoś tam proszku, ile trzeba było, żeby doszły do miasta i zjechały z placu, zanim narkotyk przestanie działać. Wtedy Ab wpadł w rozpacz. Widzę go jeszcze, jak w tamtej chwili, wciśnięty w ką

składu Caina między pługi i kultywatory, z pobladłą twarzą i rękoma, co się trzęsły tak, że ledwie mógł wygrzebać z kieszeni i podać mi sześć centów. „Leć do doktora Peabody — powiada łamiącym się głosem — i przynieś mi butelkę. Migiem”. Był w rozpacz. To już nie piaski lotne, to cały wir, i mało brakowało, żeby go wchłonął. Wypił ćwiartkę dwoma haustami i postawił pustą butelkę w kącie, ostrożnie jak jajko, i poszliśmy z powrotem do wozu. Muły jeszcze stały na nogach, załadowaliśmy centryfugę i Ab powolutku odjechał, a ludzie wciąż mówili jeden drugiemu, że to zaprząg od Stampera. Twarz Aba była teraz już nie biała, ale czerwona i słońce zaszło, ale on chyba tego nie zauważył. I nic nie jedliśmy przez cały czas, tego chyba też nie wiedział. I niech mnie powiesz, jeżeli nie wyglądało to tak, jakby Pat Stamper wcale się nie ruszył, tylko przez cały czas stał przy furtce do zagrody, w kapeluszu na bakier i z palcami wciąż zatkniętymi za szelki. Ab siedział na wozie, starając się powstrzymać ręce, żeby nie drżały, a muły Stampera zatrzymały się teraz rozkraczone, ze zwieszonymi łbami i dyszące jak miech kowalski. — Przychodzę po mój zaprząg — mówi Ab.

— Co jest? — mówi Stamper. — Nie powie mi pan chyba, że muły też dla pana za ogniste. Nie wyglądają na to.

— Dobrze — mówi Ab. — Chcę z powrotem mój zaprząg. Mam cztery dolary. Weź pan te cztery dolary jako zarobek i oddaj mi mój zaprząg.

Nie mam — mówi Stamper. — Ja też nie chciałem tego konia. Mówiłem panu. Więc go spławiłem.

Ab milczał przez chwilę. Było trochę chłodniej, wiatr się zerwał i czuć było w powietrzu deszcz. — Ale masz pan jeszcze mego muła — mówi Ab. — W porządku. Wezmę go.

— Dlaczego? — pyta Stamper. — Chcesz pan zmienić ten zaprząg na jednego muła? — Bo Ab już nie był do targu. Siedział na wozie zrozpaczony i nic już nie widział, kiedy Stamper wygodnie oparty o furtkę przyglądał mu się chwilę. — Nie — mówi Stamper — nie chcę tych mułów. Pański jest lepszy. Nie zgadzam się na zamianę. — Wypluł tytoń spokojnie, ostrożnie. — Zresztą przeznaczyłem tego konia do czego innego. Nowy zaprząg. Chce pan rzucić okiem?

— Dobrze — mówi Ab. Murzyn wyprowadził muła Aba i konia, małego ciemnobrunatnego konia. Pamiętam, jaki był błyszczący, choć niebo było zachmurzone i ani śladu słońca. Koń był trochę większy niż ten, któregośmy zostawili Stamperowi i tłusty jak Świnia. Tak, właśnie taki był, nie jak tłusty koń, ale jak wieprz, jak beczka tłuszczu, i skórę miał naciągniętą jak na bębnie. Ledwie mógł chodzić, taki był opasły i nogi stawiał, jakby nic nio ważyły i jakby ich nie czuł. Za gruby — mówi Ab. — Nie dociągnie mnie nawet do domu.

— Ja też tak myślą — mówi Stamper. — Dlatego chcę go splawić,  
— Dobra — mówi Ab. — Muszę go wypróbować. — X zaczął złazić z wozu.  
— Wypróbować? — mówi Stamper. Ab nie odpowiedział. Wysiadł ostrożnie i podszedł do konia, stawiając nogi ostrożnie i sztywno, jakby nic nie ważyły, całkiem tak samo jak koń. Koń miał założone wędzidło i Ab wziął sznur od Murzyna i zaczął wsiadać. — Czekaj pan — mówi Stamper. — Co pan chce zrobić?

— Wypróbować go — mówi Ab. — Już jeden interes dziś z panem zrobiłem. — Stamper spojrzął na Aba. Potem znów splunął i cofnął się o krok w tył.

— Jim — mówi do czarnego — pomóż mu wsiąść. — Murzyn podsadził Aba na konia, ale nie miał czasu uskoczyć jak Stamper, bo jak tylko koń poczuł ciężar na grzbiecie, drgnął tak, jakby Ab miał naelektryzowany drut w kieszeni. Kręcił się w kółko, okrągły jak piłka, nie miał już przodu ani tyłu, całkiem jak kartofel irlandzki. Zrzucił Aba na ziemię, Ab wstał i znów podszedł do konia. „Pomóż mu, Jim” — mówi Stamper i czarny znów go podsadził, a koń znowu go zrzucił. Ab wstał i nic nie zmieniony na twarzy podszedł znów do konia i wziął postronek, kiedy Stamper go zatrzymał. Całkiem jakby twardość tych jego kości, co się nie łamały, to było wszystko, czym mógł zapłacić za coś, co miało w sobie dosyć życia, żeby go dowieźć do domu. — Chce się pan zabić? — mówi Stamper.

«— Dobra — mówi Ab. — Ile?

— Chodź pan do namiotu — mówi Stamper. Więc ja czekałem na wozie. Zerwał się wiatr, a myśmy nie mieli płaszczy. Ale na wozie były worki od kartofli, co nam pani Snopes dała do zawinięcia centryfugi i otulałem ją w te worki, kiedy czarny wyszedł z namiotu i jak odsłonił wejście, zobaczyłem, że Ab pije z butelki. Więc czarny wyprowadził konia i bryczkę i Ab wrócił do wozu. Nie spojrzął wcale na mnie, tylko wyjął centryfugę z worków i włożył ją na bryczkę, potem on i Stamper wsiedli i odjechali z powrotem w stronę miasta. — Zmoczy was, nim dojdziecie do domu — mówi czarny.

— Tak wygląda — powiadam.

— Może chciałbyś coś zjeść, zanim wrócą — mówi — to mam obiad w piecu.

— Nie, dziękuję — powiadam. No to on wrócił do namiotu, a ja czekałem w wozie. Deszcz był mурowany, i to prędko. Pamiętam, myślałem, że w każdym razie mamy teraz worki, to może tak nie zmokniemy. Potem Ab i Stamper wrócili i Ab znowu na mnie nie spojrzął. Wszedł zaraz do namiotu i zobaczyłem, że pije znowu z butelki i tym razem schował ją za pazuchę. Czarny wyprowadził naszego muła i nowego konia i zaprząg, a potem Ab wyszedł i włął na wóz.

— Lepiej daj pan lejce chłopakowi, niech on powozi — mówi Stamper.



— Sam będę powoził — mówi Ab. — Może nie potrafię kupić od pana konia, ale jeszcze potrafię go popędzić.

— Dobrze — mówi Stamper. — Ten sprawi panu niespodziankę.

— I rzeczywiście — powiedział Ratliff. Roześmiał się po raz pierwszy, cicho, niewidzialny dla swoich słuchaczy, chociaż wiedzieli dokładnie, jak musi wyglądać w tym momencie, tak jakby go mogli widzieć, rozparty niedbale w krzesle, ze swoją śniadą twarzą, uprzejmą i bystrą, w spłowiałej, niebieskiej koszuli, z tym samym, widocznym w każdym szczególe, znamieniem wiecznego starokawalerstwa, jakie miał Jody Varner, choć w niczym innym zgoła nie byli do siebie podobni, a i w tym niezupełnie, bo w wypadku Varnera była to jakaś próżna i żalсна galanteria, a u Ratliffa wesoły celibat świeckiego braciszka z trzynastowiecznego klasztoru — ogrodnika czy hodowcy winorośli na przykład. — Koń sprawił nam niespodziankę. Zerwała się burza i deszcz lunął, nim ujechaliśmy milę, i tak jechaliśmy przez dwie godziny, skuleni pod workami, patrząc na tego nowego konia, co był taki tłusty, że nawet nogi stawał, jakby ich nie czuł, i co chwila, nawet na deszczu, szarpał się i podskakiwał, jak wtedy w obozie Stampera, kiedy poczuł ciężar Aba na grzbiecie, dopóki nie znaleźliśmy starej stodoły, gdzie można było schronić się pod dach. To znaczy ja mogłem, bo Ab leżał wtedy na dnie wozu i deszcz siekł go po twarzy, a ja siedziałem na koźle i powoziłem, i patrzyłem, jak ten błyszczący kary koń zmienia się w gniadego. Miałem wtedy osiem lat i zawsze razem z Abem handlowaliśmy końmi na tej drodze za jego polem. Więc wjechałem pod pierwszy dach, jaki napotkałem, i potrząsnąłem Abem, żeby go obudzić. Ochłódł na deszczu i obudził się prawie otrzeźwiony. A po chwili wytrzeźwiał do reszty. — „Co to? — pyta. — Co się znowu stało?” — „Koń! — wrzeszczę — zmienia maść!”

Wtedy był trzeźwy. Wysiedliśmy i Ab wytrzeszczył oczy na gniadego konia w zaprzęgu, chociaż nim zasnął, widział na tym miejscu karego. Wyciągnął rękę, jakby nie mógł uwierzyć, że to w ogóle koń, i dotknął tego miejsca, gdzie lejce musiały ledwie muskać od czasu do czasu tam, gdzie koń czuł jego ciężar, kiedy Ab go wypróbowywał u Stampera, i zaraz wiedziałem, że koń wierzgnie i stanie dęba. Odskoczyłem akurat w chwili, kiedy pędzili na ścianę za mną. Poczułem nawet pęd powietrza we włosach. Potem taki odgłos, jakbyś gwoździem przebił dętkę roweru, i reszta tego grubego karego konia, cośmy go kupili od Pata Stampera, gdzieś znikła. Nie znaczy, żebyśmy ja i Ab zostali sami z mułem. Koń był też. Tylko że był to ten sam koń, którym wyjechaliśmy rano i któregośmy wymienili u Beasleya Kempa za tłocznię i lemiesz od pługa dwa tygodnie temu, dostaliśmy nawet z powrotem haczyk

od wędki, zagięty akurat w tym samym miejscu, gdzie Ab go zagiął i Murzyn tylko trochę go przesunął. Ale dopiero następnego ranka Ab znalazł wentyl od roweru pod skórą, w okolicy łopatki, w jednym miejscu, gdzie człowiekowi, co by miał tego konia od dwudziestu lat, nie przyszłoby do głowy zajrzeć. Bo dojechaliśmy do domu dopiero rano, dobrze już po wschodzie słońca, i mój ojciec czekał w domu Aba, porządnie wściekły. Zdążyłem tylko zobaczyć, że pani Sno- pes stoi w drzwiach, gdzie chyba musiała przesiedzieć całą noc, i pyta: „Gdzie moja centryfuga?” i Ab jej tłumaczy, że zawsze chciał mieć konia i nic na to nie może poradzić, i wtedy pani Snopes zaczęła płakać. Ciągle siedziałem wtedy u nich w domu, ale nigdy jej nie widziałem płaczącej. Wyglądała jak ktoś, co nigdy wiele nie płakał, bo płakała głośno, jakby nie wiedziała, jak się to robi i nawet lzy nie bardzo wiedziały, co mają robić. Stała w swoim starym szlafroku i nie zakryła nawet twarzy i powtarzała: — „Chciałeś konia? Dlaczego konia? Dlaczego konia?”

Wtedy my wyszliśmy, ojciec i ja. Trzymał mnie mocno za ramię, ale jak mu zacząłem opowiadać, co było wczoraj, nie miał ochoty już sprawić mi lania. Ale było już popołudnie, zanim mogłem wrócić do Aba. Siedział na płocie, co ogradza pole, więc ja też się wdrapałem na płot i usiadłem kolo niego. Tylko że pole było puste. Nie widzia

łem już muła ani konia Beasleya też nie. Ale on nic nie mówił, i ja też nic. Po chwili spytał: „Jadłeś śniadanie?”, a ja mówię, że tak, a on na to: „Ja jeszcze nie jadłem”. Więc weszliśmy do domu i jej nie było. Mogłem to sobie wyobrazić, jak Ab siedzi na tym płocie, a ona zbiega ze wzgórza w swoim kapeluszu od słońca i w szalu, i w rękawiczkach i wchodzi do stajni, siodła muła i zakłada uzdę koniowi Beasleya, podczas kiedy Ab, wciąż siedząc na płocie, nie może się zdecydować, czy ma jej pomóc, czy nie.

Więc zacząłem rozpalać ogień w piecu. Ab nie umiał gotować, więc zanim zabrał się do śniadania, zrobiło się tak późno, żeśmy zdecydowali ugotować tyle, żeby starczyło na śniadanie i od razu na obiad. Zjedliśmy, ja umyłem naczynia i wróciliśmy na pole. Pług stał tam wciąż w szczyrim polu, ale nie było komu go ciągnąć, chyba żeby się poszło do starego Hansa, żeby pożyczył parę mułów, a to by było to samo, co pożyczać grzechotkę od grzechotnika. Ale wtedy zdaje się on poczuł, że zniósł już tyle, ile mógł, na ten dzień przynajmniej. Toteż tylko siedzieliśmy na płocie i patrzyliśmy na to puste pole. Nigdy nie było duże i wystarczył jeden koń, żeby się tam zrobiło ciasno. Ale teraz wyglądało jak Texas i pamiętam, zacząłem właśnie myśleć, jakie jest puste, kiedy on zeskoczył z płotu i pobiegł na drugi koniec i patrzył na przybudówkę z boku, przy stodole, co byłaby zupełnie dobra, żeby ją po-

doprzeć i położyć nowy dach. „Następnym razem kupię kobyłę, założę stadninę i będę hodował muły — powiada. — Ta tutaj szopa się nada dla źrebaków, jak się ją trochę poprawi”. Potem wrócił i znów usiedliśmy na płocie i gdzieś pod wieczór zajechał wóz. To był Clivi Odum, wóz miał założone boczne deski i pani Snopes siedziała obok niego. „Nie dostała jej — mówi Ab — nie chciał z nią dobić targu”. Byliśmy wtedy za stodołą i patrzyliśmy, jak Cliff staje z wozem przed furtką i jak pani Snopes wysiada, zdejmując rękawiczki, przechodzi przez pole do obory, wyprowadza krowę i idzie z nią do wozu. Cliff mówi: „Niech pani potrzyma za prząg, a ja ją wsadzę na wóz”. Ale ona nawet się nie zatrzymała, ustawiła krowę przodem do spuszczonej deski w tyle wozu, stanęła za nią i jednym pchnięciem ramienia w zadek krowy załadowała ją na wóz, zanim Cliff zdążył zsiąść, Cliff zamknął tylne drzwiczki, a pani Snopes włożyła z powrotem rękawiczki i szal, wsiedli razem i pojechali.

Więc ja znowu rozpałiłem ogień, żeby mu ugotować kolację, a potem musiałem iść do domu, bo zrobiło się już ciemno. Jak wróciłem następnego ranka, przyniosłem 7 sobą skopek mleka. Ab był w kuchni i szykował sobie śniadanie. „Dobrze, że o tym pomyślałeś — powiada, jak zobaczył mleko. — Chciałem ci właśnie wczoraj powiedzieć, żebyś pożyczył trochę mleka”. Dcilej szykował śniadanie, bo nie oczekiwał jej tak wcześnie, bo trzeba było obrócić dwa razy i zrobić dwa razy po dwadzieścia osiom mil przez dwadzieścia cztery godziny albo może trochę więcej. A jednak znowu usłyszeliśmy wóz i tym razem, jak wysiadała, miała centryfugę. Jak weszliśmy do obory, wiedzieliśmy, że ją taszczy do domu. — Zostawiłeś mleko, tak żeby je mogła zobaczyć, prawda? — mówi Ab.

— Tak — mówię.

— Najpierw pewnie przebierze się w swój stary szlafrok — mówi Ab, — Szkoda, że się nie zabrałem wcześniej do śniadania. — Ale ona nie czekała ani chwili, bo zdaje się zaraz zaczęliśmy słyszeć centryfugę, Robiła głośny, wyraźny szum i kręciła się chyba bardzo prędko, jakby miała odciągnąć galon mleka w jednej chwili. Potem hałas ucichł. — Szkoda, że ma tylko jeden skopek — mówi Ab.

— Mogę jej przynieść drugi jutro rano — mówię. Aie on nawet nie słuchał, patrzył w stronę domu.

— Teraz możesz chyba pójść i zerknąć przez drzwi — mówi. Więc poszedłem i zajrzałem. Zdjęła z kuchni śniadanie Aba i nałożyła na dwa talerze. Nie wiedziałem, że mnie widzi, póki się nie obróciła i nie podała mi dwóch talerzy. Wyglądała całkiem spokojnie jak zwykle, tak jakby była bardzo czymś zajęta.

— Myślę, że zjedlibyście coś jeszcze — mówi — ale zjedzcie to tam. Ja tu będę te

raz zajęta i nie chce, żebyście mi sterczeli w domu, ty ani on. — Więc zabrałem talerze, siedliśmy na płocie i zjedliśmy. I potem znów usłyszeliśmy centryfugę. Nie wiedziałem, że inleko można odciągać więcej niż raz. On zdaje się też nie wiedział.

— Pewnie Cain jej pokazał — mówi Ab jedząc. — Myślę, że jak ona zechce odciągać mleko dwa razy, to odciągnie dwa razy. — Potem centryfuga ucichła, a ona podeszła do drzwi i krzyknęła, żeby jej przynieść talerze, bo chce zmywać, więc wziąłem z powrotem talerze i postawiłem na schodach i potem wróciliśmy i znów siedliśmy na płocie. Teraz pole wyglądało jak Texas i Cansas razem. Myślę, że ona pojechała do tego przekłętego namiotu i powiedziała: „Masz tu swój przeklęty zaprząg, a teraz oddaj pan moją centryfugę, ale prędko, bo muszę wfa- cać zaraz do domu” — mówi Ab, I potem znów posłyszeliśmy centryfugę, a wieczorem poszliśmy do starego Hansa pożyczyć muła, żeby skończyć orać to drugie pole, dalsze, ale nie miał teraz mułów do pożyczania. Toteż jak tylko stary Hans skończył kłać, wróciliśmy i siedliśmy na płocie. I znów centryfuga zaczęła huczeć. Furczało, jakby mleko latało w powietrzu, jakby ją nie obchodziło, czy mleko ma być odciągnięte raz czy sto razy. — Znowu się zaczyna — mówi Ab. — Nie zapomnij przynieść tego drugiego skopka jutro.

— Dobrze, proszę pana — mówię. I znów słuchaliśmy. Bo wtedy jeszcze nie byt zgorzkniały.

— Wygląda na to, że chce się nacios7.yć tą maszynką za wszystkie czasy — mówi.

3

Zatrzymał wóz i chwilę siedział, patrząc na tę samą wylamaną furtkę, na którą patrzył Jody Varner, siedząc na koniu dziewięć dni temu; zarośnięte chwastami podwórze, zmurszały, walący się dom — nieład i ruina, którą wypełniały, jeszcze zanim stanął przed furtką — dwa ostre, bezbarwne kobiece głosy. Były to młode głosy, rozmawiające bez krzyku i bez pośpiechu, z powagą, w której wszelki brak dającego się rozróżnić ludzkie- 9° języka zdawał się zupełnie naturalny, jakby dźwięk ten wydawały dwa olbrzymie ptaki; jakby ponurą i zdumioną samotnością jakiegoś pustego bagniska czy pustyni owładnęły i systematycznie ją zakłócały dwa jazgocące bez przerwy ptaki, ostatnie pozostałe przy życiu okazy wymarłego gatunku, które się tu osiedliły. Jazgot ich ucichł natychmiast na wołanie Ratliffa. W chwilę później dwie młode dziewczyny wyszły do drzwi domu i stały w nich, grube, identyczne jak dwie młode, ogromne krowy, patrząc na niego.

— Dzień dobry — powiedział Ratliff. — Gdzie jest ojciec pań?

Nie przestały wlepić w niego oczu. Zdawały się nawet nie oddychać, chociaż wiedział, że oddychają, muszą, ciała o tej objętości i obdarzone tym potwornym, zdawało się, miazdzącym zdrowiem potrzebują powietrza, i to niemało. Przed oczyma mignęła mu wizja: dwie krowy, jałówki stojące po kolana, z zagłębionym pyskiem w powietrzu, jak w strumieniu czy stawie, którego poziom obniżał się pośpiesznie i bezgłośnie za jednym wdechem, pozostawiając w nagłym osłupieniu drobniejsze napowietrzne istoty rojące się wokół zagłębionych nóg. Potem odezwały się jednocześnie, jak wyćwiczony chór: — W polu.

„Oczywiście — myślał jadąc w tę stronę. — I co tam robi?” Bo nie przypuszczał, żeby Ab Snopes, taki jakim go znał, mógł mieć więcej niż dwa muły. Jednego z nich już widział próżnującego na podwórzu za domem, a o drugim wiedział, że w tej chwili stoi uwiązany do drzewa za składem Varnera, osiem mil stąd, bo zaledwie trzy godziny temu widział go w tym miejscu, gdzie od sześciu dni przywiązywał go co rano nowy pomocnik Varnera. Na chwilę znowu zatrzymał wóz. „Na Boga — myślał. — To będzie właśnie ta szansa, na którą musiał czekać na nowo bez Stampera”. Toteż kiedy zobaczył pole i rozpoznał sztywną, niedużą sylwetkę za pługiem, który ciągnęły dwa muły, nie był nawet zdziwiony. Nie czekał, aż naprawdę rozpozna dwa muły, które jesz

cze co najmniej tydzień temu należały do Willa Varnera, zmienił tylko czas gramatyczny tego słowa. „Nie należały — myślał — jeszcze należą. Na Boga, zrobił coś jeszcze lepszego. Teraz nie handluje już nawet końmi. Teraz zamienił człowieka na parę mułów”.

Zatrzymał wóz przy ogrodzeniu. Pług dotarł do końca pola. Człowiek zawrócił muły, które potrzęsały łbami i ziewały, przerywając równy krok, kiedy piłował im paszcze munsztukiem z niepotrzebną gwałtownością. „Jak zawsze” — myślał. Dotychczas traktuje konia i muła tak, jakby te mu zagroziły pięścią, zanim zdążył się do nich odezwać. Wiedział, że Snopes go widział i nawet poznał, choć tego w niczym nie okazywał. Muły szły teraz znowu równo i wracały, ich delikatne kopyta, wąskie i drobne jak u samy, przebierały żywo po czarnej, urodzajnej ziemi, którą rozrywał gładki lemiesz pługa. Teraz Ratliff widział, że Snopes utkwiał w niego swoje zimne, jasne oczy pod krzaczastymi zmierzwionymi brwiami, tymi samymi brwiami, które pamiętał sprzed ośmiu lat, choć teraz były już siwe — chociaż tamten jeszcze raz szarpnął tylko zaprzęgiem z bezmyślną gwałtownością i zatrzymał pług przewracając go na bok. — Co tu robisz? — zapytał.

— Słyszałem, że pan tu jest, więc się zatrzymałem. Dawno się nie widzieli, prawda? Osiem lat.

Tamten odburknął: — Po łobie ich nie widać. Wyglądasz dalej jak niewiniątko, tak że bez spowiedzi wpuściliby cię do nieba.

— Skoro o niebie mowa... — powiedział Ratliff. Wyciągnął spod siedzenia w wozie butelkę, która wyglądała jakby napełniona wodą. — Najlepszy wyrób McCalluma — zapewnił — z zeszłego tygodnia. To dla pana — podał mu butelkę. Tamten zbliżył się do płotu. Chociaż dzieliła ich teraz odległość niecałych pięciu stóp, Ratliff nie mógł dostrzec nic prócz zimnego błysku pod groźnymi, potarganymi brwiami.

— Przywiozłeś to dla mnie?

— Oczywiście — powiedział Ratliff. — Proszę to wziąć.

Tamten się nie ruszył. — Po co?

— Tak sobie — powiedział Ratliff — po prostu przywiozłem, niech pan spróbuje łyk. Dobra.

Snopes wziął butelkę. Wtedy Ratliff zobaczył, że coś znikło z jego oczu. Albo może po prostu na niego nie patrzyły. — Zaczekam do wieczora — powiedział Snopes. — Nie mogę już pić przy słońcu.

— A w deszcz? — spytał Ratliff. I wtedy uświadomił sobie, że Snopes na niego nie patrzy, chociaż nie poruszył się i nie można było zaobserwować żadnej zmiany w jego twardej i gwałtownej twarzy, kiedy stał trzymając butelkę.

— Powinien się pan tu wygodnie zainstalować — powiedział Ratliff. — Ma pan teraz dobrą farmę, a f-lc-rn rad/i sobie skłędzie, jakby się uczył na sklepikarza. — Ale tamten i teraz zdawał się nie słuchać. Potrząsnął butelką i spojrzął na nią pod światło, jakby oglądał piankę. — Mam nadzieję, że pan tak zrobi — powiedział Ratliff.

Wtedy znów zobaczył jego oczy złe, nieprzeniknione i zimne. — Co cię to obchodzi, czy zostanę, czy nie.

— Nie — odpowiedział Ratliff spokojnie, uprzejmie. Snopes schylił się, ukrył butelką w chwastach przy płocie, polem wrócił do pługa i podniósł go,

— Zajdź do domu i powiedz, żeby ci dali coś do jedzenia — powiedział.

— Dziękuję, nie — odpowiedział Ratliff. — Muszę wracać do miasta.

— Jak chcesz — powiedział tamten. Jedną lejącą otoczył sobie szyję i szarpnął gwałtownie za postronek. Muły ruszyły z otwartymi pyskami, łamiąc od razu krok.

— Dziękuję ci bardzo za butelkę — powiedział.

— Nie ma o czym mówić — powiedział Ratliff. Pług sunął dalej, Ratliff patrzył za nim. „Nie powiedział mi nawet, żebym znowu tu kiedy przyjechał” — pomyślał. Podjął lejce własnego zaprzęgu. — Jazda, króliki! — powiedział — w drogę, do miasta.

## ROZDZIAŁ 111

poniedziałek rano, kiedy Flem Snopes przyjechał, żeby objąć swoje stano\* wisko w magazynie Varnera, ubrany był w nową białą koszulę. Jeszcze nie była ani razu prana, widać było ślady załamania na płótnie, jakby długo leżała złożona na półce i brunatne pręgi na każdej fałdzie przywodziły na myśl zębrę, i nie tylko kobiety, które przysły go obejrzyć, ale także Ratliff (nie na próżno sprzedawał maszyny: nauczył się szyć całkiem nieźle, demonstrował swój towar, i mówiono nawet, że sam sobie szył te swoje niebieskie koszule) wiedział, że ko«szula była skrojona i uszyta w ręku, i to ręką niewprawną, nie przywykłą do szycia. Nosił ją przez cały tydzień. W sobotę była już brudna, ale w następny poniedziałek zjawił się w innej koszuli dokładnie podobnej, nawet jeśli chodzi o pręgi na załamaniach. Do następnej soboty wieczorem ta także była zabrudzona dokładnie w tych samych miejscach, co pierwsza, jak gdyby jej właściciel, mimo że wszedł w nowe życie i środowisko, gdzie obowiązki i zwyczaje były ustalone na długo przed jego przybyciem, wrył na niej od pierwszego dnia swoje własne zna  
mie, swój własny odrębny sposób brudzenia.

Przyjechał na wychudzonym mule, z siodłem, które natychmiast rozpoznano jako należące do Varnerów, i z przymocowanym do siodła blaszanym wiadrem. Uwiązał muła do drzewa za sklepem, odczepił wiadro i wszedł na ganek, gdzie już było około tuzina mężczyzn, wśród nich Ratliff. Nie odezwał się ani słowem. Jeżeli spojrzął na któregoś z nich, tamten tego nie zauważył; tęgi przy- sadkowy mężczyzna w nieokreślonym wieku między dwudziestką i trzydziestką, z szeroką, spokojną twarzą, w której usta, lekko poplamione w kącikach tytoniem, przypominały ciasny szew, oczy miały kolor wody stojącej, a nos -wysuwał się naprzód niby zaskakujący paradoks, maleńki i drapieżny jak dziób małego sokoła. Wyglądało to, jakby nos pierwotnie zaprojektowany został porzucony w połowie roboty przez pierwotnego rzeźbiarza czy rzemieślnika i jakby to niedokończone dzieło podjął ktoś, należący do zupełnie innej szkoły, albo jakiś złośliwy i zwariowany humorysta, albo może ktoś, komu ledwie starczyło czasu, aby umieścić pośrodku twarzy to szaleńcze i rozpaczliwe ostrzeżenie.

Wszedł do magazynu niosąc wiadro, a Ratliff i jego towarzysze siedzieli w kucki na ganku przez cały ten dzień obserwując, jak nie tylko ludzie ze wsi, ale także z okolicy, którzy mogli tu przyjść piechotą, zjawiali się

pojedynczo lub parami, mężczyźni, kobiety  
i dzieci, żeby kupić jakiś drobiazg, obejrzyć nowego sprzedawcę i wrócić. Przychodzili pokojowo usposobieni, lecz absolutnie ostrożni, prawie ceremonialni, jak półdzikie bydło uprzedzone o przybyciu dziwnego zwierzęcia do ich zagrody, aby kupić mąki, lekarstwa, postronki albo tytoniu i obejrzyć człowieka, którego imienia nie znali nawet jeszcze tydzień temu, ale z którym w przyszłości mieli załatwiać transakcje handlowe, obejmujące artykuły pierwszej potrzeby. Około dziewiątej Jody Varner przyjechał na swoim gniedym wierzchowcu i wszedł do sklepu. Słyszeli jego cichy, basowy głos, rozbrzmiewający wewnątrz, ale jeśli chodzi o odpowiedzi, z jakimi się spotykał, to mógł równie dobrze mówić sam do siebie. Wyszedł stamtąd w południe, wsiadł na konia i odjechał. Nowy subiekt nie pojechał za nim. Ale wiedzieli w każdym razie, co zawiera blaszane wiadro, i około południa zaczęli także się rozpraszać  
i zaglądali przechodząc do sklepu koło drzwi, choć nic nie zobaczyli. Jeśli subiekt jadł obiad, to starannie się z tym krył. Ratliff był z powrotem na ganku przed pierwszą, bo żeby zjeść obiad, musiał przejść tylko około stu jardów. Inni także wrócili wkrótce po nim i przed resztą dnia siedzieli tu w kucki, rozmawiając spokojnie o niczym i milnąc od czasu do czasu, podczas gdy reszta ludzi zamieszkałych w pobliżu przychodziła i wyjadała w sklepie pięcio- i dziesięciocentówki, i odchodziła.  
Do końca pierwszego tygodnia byli tu  
i widzieli go wszyscy, nie tylko ci, co w przyszłości mieli za jego pośrednictwem kupować żywność i inne produkty, ale nawet tacy, co przedtem nigdy nie byli klientami Varnera i nie mieli być nigdy — mężczyźni, kobiety i dzieci, małe dzieci, które nigdy przedtem nie przekroczyły progu, za którym się urodziły, chorzy i starzy, którzy w innych okolicznościach mogliby go już nigdy nie przekroczyć, prócz jedyne, ostatniego razu — przybywali na koniach, na mułach  
i wozami. Ratliff był tu jeszcze, jego wóz w którym wciąż znajdowała się pozytywka  
i kolekcja nowych zębów do brony, stał nadal na polu pani Littlejohn z podpartym dyszlem, a krzepkie, niedobre koniki z lenistwa robiły się narowiste; co ranka wypatrywał, jak subiekt nadjeżdża na pożyczonym mule z pożyczonym siodłem w nowej, białej koszuli, która systematycznie i stopniowo każdego wieczora robiła się brudniejsza, z blaszanym wiadrem zawierającym jego obiad (choć jeszcze nie wiadomo kiedy zjadany, bo nikt go przy tym nie widział), jak uwiązuje muła i otwiera sklep kluczem, którego nie spodziewali się ujrzeć w jego rękach przynajmniej jeszcze przez parę dni. Chyba już drugiego dnia otworzy! sklep jeszcze, zanim Ratliff i inni objęli swoje stanowiska. Jody Varner zjawiał się na koniu



około dziewiątej, kiwał im niechętnie głową

i wchodził do sklepu, choć tylko pierwszego dnia zabawił tam dłużej niż piętnaście minut. Jeśli Ratliff i jego towarzysze spodziewali się dostrzec jakiś ukryty prąd albo utajoną iskierkę przebiegającą między młodym Varnerem a subiektem, zawiedli się. Słychać było tylko basowy szept, wciąż skierowany, udawało się, do samego siebie, bo nie było żadnej odpowiedzi, potem obydwaj wychodzili do drzwi i stali w progu, podczas gdy Varner kończył swoje instrukcje, potem Jody cmokał przez zęby i odjeżdżał, i kiedy patrzyli w kierunku drzwi, nie było już w nich nikogo.

Wreszcie w piątek po południu zjawił się sam Will Varner. Może na to właśnie czekał Ratliff i jego towarzysze. Ale jeśli tak było, to na pewno nie Ratliff, lecz inni spodziewali się, że wyniknie z tego coś, co rozświetli tajemnicę. Toteż najprawdopodobniej jeden tylko Ratliff nie był zdziwiony, kiedy wyjaśnienie okazało się całkowicie sprzeczne z tym, czego mogli oczekiwać. Nie, subiekt ujawnił w końcu, dla kogo pracuje, lecz Will Varner ujawnił, kto pracuje dla niego. Przyjechał na swoim białym koniu, starym i tłustym. Młody człowiek, siedzący w kucki na najwyższym stopniu, wstał, wziął lejce i uwiązał konia, a Varner zsiadł i wszedł na ganek odpowiadając wesoło na ich pełne uszanowania pomruki i wołając Ratliffa po imieniu: — Co, u diabła, jeszcze pan nie wrócił

do pracy? — Dwóch innych ustąpiło mu drewnianą, poharataną nożem ławkę, lecz Varner nawet do niej nie podszedł. Zatrzymał się natomiast przed otwartymi drzwiami niemal dokładnie w tej samej pozycji co ci ludzie, chudy, z szyją wyciągniętą jak indyk, zaglądając w głąb sklepu, ale tylko przez chwilę, bo prawie natychmiast zawołał: — Jest tam pan? Jakże panu na imię? Flem. Przynies mi pan baton mojego tytoniu. Jody pokazał panu, gdzie go trzyma. — Podszedł do grupy ludzi, dwóch znowu ustąpiło mu miejsca na ławce. Varner usiadł, wyjął nóż i już zaczął opowiadać swoją historię z wagonu dla palących swoim przeciągłym, jowialnym głosem biskupa, kiedy subiekt (Ratliff nie słyszał jego kroków) stanął obok niego, podając mu tytoń. Nie przerywając opowiadania, Varner wziął baton, odciął porcję do żucia, zamknął scyzoryk i rozprostował nogę, żeby włożyć nóż z powrotem do kieszeni, kiedy nagle umilkł i spojrzał na subiekta, który wciąż stał przy jego łokciu. — No, co tam? — spytał Varner.

— Nie zapłacił pan za to — powiedział sprzedawca. Przez chwilę Varner nie poruszał się, z nogą jeszcze rozprostowaną i odciętym kawałkiem tytoniu w jednej ręce, a nożem, którego nie zdążył jeszcze schować, w drugiej. Żaden z nich się nie poruszył, wszyscy patrzyli spokojnie i uważnie na ich ręce, czy na cokolwiek przedtem patrzyli, kiedy Varner przerwał swoje opowiadanie.

— Tytoń — powiedział sprzedawca.

— Och, dobrze — zgodził się Varner. Włożył nóż do kieszeni i wyciągnął skórzaną sakiewkę, mniej więcej wielkości, kształtu i koloru bakłażana, wyjął z niej pięć centów i dał subiektowi. Ratliff nie słyszał, jak subiekt się zbliżał, i nie słyszał też, jak odchodził. Teraz już wiedział dlaczego: tamten miał na sobie tenisowe pantofle z gumową podeszwą. — Na czym to stanąłem? — powie\* dział Varner.

— Facet zaczął właśnie rozpinąć kombinezon — odpowiedział Ratliff uprzejmie.

Ratliff odjechał następnego dnia. Skłoniła go do tego nie potrzeba jedzenia, zarobienia na życie. Mógł przechodzić w tej okolicy od stołu do stołu, przez sześć miesięcy, nie kładąc ani razu ręki do kieszeni. Skłoniła go jego marszruta, ustalona i wypełniona trasa roznosiciela nowin i przyjemność zaopatrywania detalistów w nowiny, których obecny hurtowy zapas, nie najmniejszy i bynajmniej nie zwietrzały, zgromadził przez ostatnie dwa tygodnie tylko dzięki obserwacji. Miał być z powrotem we wsi dopiero za pięć miesięcy. Jego marszruta obejmowała cztery hrabstwa. Była ona ściśle ustalona, zmiany mogły dokonywać się tylko w jej obrębie. Przez dziesięć lat ani razu nie przekroczył granic tych czterech powiatów, ale tego roku pewnego dnia w łecie znalazł się w Tennessee. Był nie tylko na obcym gruncie, ale w dodatku odgradzony od swego rodzinnego stanu barierrą złota, murem z równiutko ułożonych brzęczących monet.

W ciągu wiosny i lata okazał zbyt wiele gorliwości. Sprzedał więcej, niż mógł dostarczyć, sprzedając i dostarczając maszyny za weksle płatne na przyszłe żniwa, zużywając wypłaconą gotówkę albo uzyskaną ze sprzedaży artykułów, przyjmowanych w zamian jako pierwszą wpłatę, żeby samemu wpłacić zaliczkę hurtownikowi z Memphis na inne maszyny, które z kolei dostarczał za nowe weksle żyrowane przez samego siebie, aż wreszcie pewnego dnia odkrył, że wyprzedził się prawie do bankructwa przez swój optymizm. Hurtownik zażądał od niego gotówki za swoją połowę nie spłaconych weksli dwu- dziesięciodolarowych. Ratliff z kolei zrobił pośpieszny objazd swoich własnych dłużników. Był łagodny, miękki, sypał anegdotami i na pozór nie śpieszył się, jak zwykle, ale wycisnął ich doszczętnie, mimo że bawełna dopiero zaczęła kwitnąć i trzeba było czekać kilka miesięcy, aż w okolicy będą jakieś pieniądze. Zebrał kilka dolarów, używaną uprzęż do wozu, osiem kur, białych Leghornów. Był winien hurtownikowi sto dwadzieścia dolarów. Pojechał do dwunastego z kolei klienta, który był jego dalekim krewnym, i dowiedział się, że tamten odjechał przed tygodniem z partią mułów pociągowych, aby je sprzedać na jarmarku w Kolumbii, w stanie Tennessee. Pojechał tam zaraz swoim wozem, z uprzężą i kurami. Spodziewał się nie tylko

zrealizować swój weksel, byleby zdążył łam dojechać, zanim kłóś spr/eda krewniakowi jakieś nowo muły, «ito także pożyczyć tyle pieniędzy, żeby uspokoić hurtownika. W c/lory dni później znalazł sic? w Kolumbii, gdzie po ochłonięciu z pierwszego zdumienia rozejrzał się; wokół siebie z uszczęśliwionym zachwytem, jak biały myśliwy, który wtargnę! pierwszy w idyllic/Tuj sumo!ność dziewiczej doliny afrykańskiej, wypełnionej kością słoniowej w zasięgu ręki albo strzału z dubeltówki. Jedną maszynę sprzedał człowiekowi, który wskazał mu miejsce pobytu poszukiwanego krewniaka, pojechał z tym krewniakiem do domu kuzyna jogo żony, 0 dziesięć mi! od Kolumbii, i tam sprzedał drugą maszynę. Sprzedał trzy maszyny w dęgu czterech pierwszych dni, zabawił tam miesząc i w sumie sprzedał osiem maszyn, zgarniając osiemdziesiąt dolarów wpłaty gotówkowej, za te osiemdziesiąt dolarów j uprząż, i osiom kur kupił muła, zabrał go cło Memphis, tam sprzedał go na ulicznej licytacji za sto trzydzieści pięć dolarów, oddał hurtownikowi sto dwadzieścia i nowo weksle jako wyrównanie za stare w Missisipi,

1 wrócił tło domu na żniwu z dwoma i pół dolarami gotówkę i pełnym tytułem prawnym do dwunastu weksli na dwadzieścia dolarów każdy, płatnych po odziarnieniu i sprzedaniu bawełny.

(idy zjawił się w Sadybie ! runcuza w listopadzie, ws/.yslko tu wróciło do normalnego stanu. Pogodzone się z obecnością nowego subiektu, nawet jeśli jej nie aprobowano, choć co do Vdinatorów to zdaje się zrobili jedno i drugie. Dawniej Jody był w sklepie w pewnych godzinach dnia, a przez cały c/us znajdował się gdzieś w pobliżu. Teraz, jak stwierdził Ratliif, od kilku miesięcy miał zwyczaj czasem nie zjawiać się tu w ogóle, a klienci, którzy kupowali u niego niemal od czterech lat i obsługiwali się sami, wkładając odpowiednią sumę do pudełka po cygarach pod drucianym kloszem do sera, teraz musieli się zwracać z najmniejszym drobiazgiem do człowieka, którego nazwiska nie znali nawet dwa miesiące temu, który odpowiadał tak i nie na bezpośrednie pytania i nigdy nie patrzył dostatecznie długo na żadną twarz, aby zapamiętać odpowiadające jej nazwisko, a jednak nie mylił się w żadnych sprawach dotyczących pieniędzy; Jody Varner mylił się stale. Oczywiście pomyłki były zawsze na jego korzyść, od czasu do czasu klient stratny był o jakąś szpulkę przędzy czy blaszankę tytoniu, ale odzyskiwał swoje prędzej czy później. Oczekiwali od niego pomyłek, tak jak wiedzieli, że je naprawi, gdy mu się zwróci uwagę, i robił to z szorstko dobroduszością, obracał sprawę w żart, co czasami pozostawiało klienta w niepewności co do reszty rachunku. Ale tego także oczekiwali, ponieważ dawał im żywność i narzędzia rolnicze na długie kiodyt, chociaż wiedzieli, że zapłacą procent za to,

co w jego twarzy wydawało się wspaniałomyślnością i szczerością, bez względu na to, czy procent ten będzie figurował w końcowym rozrachunku, czy nie. Nowy subiekt jednakże nigdy nie robił omyłek.

— Nonsens — powiedział Ratliff. — Ktoś go kiedyś na tym przyłapie prędzej czy później. Nie ma mężczyzny ani kobiety, ani dziecka w promieniu dwudziestu pięciu mil, którzy by nie wiedzieli równie dobrze jak Will albo Jody Varner, co jest w tym sklepie i co to kosztuje.

— Tak — odpowiedział jeden z jego rozmówców, krótkonogi z sympatyczną twarzą i czarnymi brwiami, nazwiskiem Odum Bookwright, — O to właśnie idzie.

— Chcesz powiedzieć, że nikt go nie przyłapał ani razu?

— Ani razu — rzekł Bookwright — i ludziom się to nie podoba. Ale zresztą, jak to wiedzieć?

— Oczywiście — powiedział Ratliff. — Jak to wiedzieć?

— Jeszcze była ta historia z kredytem — powiedział inny, chudy mężczyzna z wielką łysawą głową marzyciela i bladymi krótkowzrocznymi oczyma. Nazywał się Quick i prowadził tartak. Opowiedział, jak prędko odkryli, że subiekt nigdy nie chciał nikomu sprzedać na kredyt. W końcu odmówił wręcz dalszego kredytu człowiekowi, który spłacał długi zaciągnięte w sklepie przynajmniej raz do roku w ciągu ostatnich piętnastu lat, i tego

popołudnia sam Will Varner przygalopował na swoim starym białym koniu i wtargnął jak burza do sklepu krzycząc tak głośno, że słyhać było aż w kuźni po drugiej stronie ulicy: — Jak pan myśli, do ciężkiej cholery, czyj jest ten sklep?

— No, na razie jeszcze wiemy, czyj on jest — powiedział Ratliff.

— Albo za czyj go niektórzy ludzie uważają — powiedział Bookwright. — W każdym razie jeszcze się nie przeniósł do domu Varnera.

Bo subiekt mieszkał już w samym zaścianku. Pewnej soboty rano ktoś zauważył, że za sklepem nie stoi już uwiązany muł. Sklep był otwarty do dziesiątej i później w każdą sobotę i zawsze był w nim tłok. Kilku ludzi widziało, jak gasił lampy i zamykał drzwi na klucz i odchodził na piechotę. A nazajutrz rano subiekt, którego nigdy tu nie widywano od soboty wieczór do poniedziałku rano, zjawił się w kościele i ci, co go widzieli, patrzyli na niego przez chwilę ze zdumieniem i niedowierzaniem. Oprócz sukiennej szarej czapki i spodni z szarego sukna miał na sobie nie tylko czystą białą koszulę, ale także krawat, małą czarną kokardkę przypiętą do kołnierzyka metalową spinką. Miała niespełna dwa cale długości i nie licząc kokardki, którą sam Will Varner wkładał do kościoła, był to jedyny krawat w całej Sadybie Francuza i od tego niedzielnego poranku aż do dnia śmierci nosił ten krawat

albo zupełnie podobny (mówiono o rum później, kiedy już y. osliil prc/osom banku w Jd- leison, że zamawiał je hmlowo), nmlu, trylu- jąca plamka, bez wymiarów i sok rolnym sposobom utrzymywana w równowadze, niby symbol, enigmatyczny znak na białym tle koszuli, plamka, która nadawało Snopcsowi wyraz uroczystej heterodoksji Jody Varnera, podniesiony do dziesiątej potęgi, i która dla tych, co jtj widzieli w ten niedzielny poranek, oznaczała tę samą obelżywą przesady w oce- nie objętości fizycznej, co stukanie sztywnej nogi jego ojca na ganku w sklepie tego wiosennego popołudnia. Odszedł piechotą i wrócił do sklepu następnego ranka także na piechotę i wciqz w krawacie. Do wieczora cały zaścianek już wiedział, że od soboty subiekt stołuje się i mieszka w domu pewnej rodziny, zamieszkałej o mik; od składu.

Will Varner od dawna już wrócił do swojej dawnej, beczynnej i ruchliwej zarazem, beztroskiej egzystencji — jeśli ją kiedykolwiek porzucał. W składzie nie widziano go od święta Czwartego Lipca. I teraz kiedy Jody już nie przychodził podczas długich martwych dni sierpniowych, kiody bawełna dojrzewała i nikt nie miał nic do roboty, zdawało się, że nie tylko władza kierownicza, ale także prawa własności i płynące z nich dochody skupiły się w tej niskiej, odpychającej ligurzo w białej, stopniowo brudzącej się koszuli z niezmienną maleńką kokardką, która w tych dniach wypoczynku czyhała w osialnuh rieuiuah opustoszałego i mocno pachnącego wnętrza, bardzo podobna do pająka, ze wszystkożernego, rhoć nio jadowitego gatunku.

kolein we wrześniu coś się stało. A raczej zaczęło sic; dopiero, chociaż z początku ludzie nie zdawali sobie sprawy, co to jest. Kawelna otworzyła strąki i przystąpiono do zbioru. Pewnego ranka pierwszy z ludzi, który zjawił się w sklepie, zastał tam już Jody Vor- nera. Otworzono zamkniętą na klucz odziarniarkę i Trumbul), kowal Varnerow, jego pomocnik i Murzyn, palacz, czyścili i oliwili maszynię, przygotowując ją do sezonu. Snopos wyszedł ze sklepu, wszedł do szopy, gdzie była odziarniarka, i znikł z oczu na chwilę, także i z pamięci. Dopiero kiedy sklep zamykano tego wieczora, zauważono, że przez cały dzień był w nim Jody Varner. Ale nawet i wtedy nie przywiązano do tego wielkiej wagi. Myślano, że prawdopodobnie sam Jody wysłał subiekta, żeby przypilnował otwarcia odziarniarki, co zazwyczaj robił Jody, przez lenistwo obejmując czasowo obsługę sklepu, bo to mógł robić na siedząco. Dopiero rozpalenie ognia pod odziarniarką i przybycie pierwszych naładowanych wozów wyprowadziło ich z błędu. Wtedy zauważyli, że Jody sam obsługuje sklep, jeździ po to- wary, a subiekt siedzi przez cały dzień na stołku za wagą, podczas gdy wozy podjeżdżają do niej kolejno a później pod rurc; ssącą. Zazwyczaj Jody robił jedno i drugie,

To znaczy większość czasu spędzał za wagą, zostawiając sklep na łaską Opatrzności, jak zawsze, choć raz po raz, po prostu dla odpoczynku zostawiał wóz na wadze, blokując ją na kwadrans czy nawet na trzy kwadransy, a sam szedł do sklepu. Może nawet wtedy w sklepie nie było kupujących, tylko ludzie, którzy przyszedli tu na pogawędkę. Ale to było w porządku, wszystko szło dobrze. Też, kiedy było ich dwóch, wydawało się logiczne, żeby jeden siedział w sklepie, podczas gdy drugi ważył bawełnę, a nie było też powodu, żeby Jody nie miał obarczyć subiekta obowiązkiem ważenia. Wynikałoby z tego, że...

— Oczywiście — powiedział Ratliff. — Wiem, dlaczego Jody został i kto mu kazał zostać. — On i Bookwright spojrzeli po sobie. — To nie wuj Will. Skład i odziarniarka szły same jednocześnie prawie przez czterdzieści lat i tylko jeden człowiek ich pilnował. A w wieku wuja Willa człowiek niechętnie zmienia poglądy. To jasne. W porządku. No więc co?

, Widać ich było obydwóch z ganku. Ludzie przyjeżdżali na załadowanych wozach i stawali w rzędzie, tak że pysk muła dotykał deski w tyle poprzedniego wozu, czekając na swoją kolej, żeby podjechać do wagi, a potem pod rękę ssącą, wysiąść i owinąć lejce koło słupa wejść na ganek, skąd można było obserwować spokojną nieprzenikniętą twarz królującą za wagą, szarą

czapkę, małeńki krawacik i szczęki, poruszające się spokojnym ruchem przy żuciu tytoniu, podczas gdy z wnętrza sklepu dawały się słyszeć krótkie, zirytowane pomruki, którymi Varner odpowiadał, gdy klienci zmuszali go do otwarcia ust. Od czasu do czasu wchodzili tam nawet sami i kupowali worki albo tytoń do żucia czy tabakę w puszkach blaszanych, których chwilowo jeszcze nie

\* potrzebowali, albo po prostu, żeby się napić wody z drewnianego cebrzyka, bo w oczach Jody'ego było coś, czego nie dostrzegali przedtem — jakiś cień, coś pośredniego między zdenerwowaniem a głębokim namysłem i podejrzeniem, które nie było jeszcze zupełnie uczuciem kłębki, ale czymś zdecydowanie poważnym. O tym okresie wspominali później, dwa czy trzy lata później, mówiąc: „To było wtedy, kiedy wykiwał Jody'ego”, chociaż Ratliff zaraz poprawiał: „Chcesz powiedzieć, kiedy Jody zaczął to zauważać”.

Ale to miało nastąpić dopiero w przyszłości. Teraz tylko po prostu obserwowali, nie tracąc nic z oczu. Przez cały ten miesiąc powietrze od świtu do zmierzchu wypełniało wycie odziarniarki, wozy stały rzędem do zważenia i podjeżdżały jeden za drugim do rury ssącej. Od czasu do czasu subiekt przechodził przez, drogę kierując się do sklepu, na jego czapce, spodniach, nawet na krawacie osiadł bawełniany puch; ludzie, którzy wałęsali się koło ganku, czekając na swoją kolej do wagi albo do rury ssącej, widzieli.

jak wchodzi do sklepu i w chwilę później słyszeli jego głos przyciszony i rzeczowy. Ale Jody Varner nie podchodził z nim do drzwi, aby zatrzymać się chwilę w progu, jak przedtem, i patrzyli, jak subiekt wraca do odziarniarki, i na jego barczyste, kwadratowe plecy, posępne, bez formy, bez wieku. Kiedy bawełna została zwieziona, odziarnio- na i sprzedana, Will Varner przystąpił do swego dorocznego obrachunku z dzierżawcami i dłużnikami. Zazwyczaj robił to sam, nie pozwalając nawet synowi, żeby mu pomógł. W tym roku siedział przy biurku z żelazną kasetką na pieniądze, podczas gdy Snopes siedział na skrzyni z gwoździami, na wysokości jego kolan, i trzymał otwarte księgi. W długim jak kiszka, ciemnym pokoju, gdzie na półkach piętrzyły się puszki z konserwami a w kątach i pod ścianami narzędzia rolnicze, a teraz tłoczyli się ludzie cierpliwi, cuchnący ziemią i cierpliwie czekający, aby przyjąć niemal bez kwestii wszystko, cokolwiek Varner uzna, że jest im winien za całoroczną pracę, Varner i Snopes przypominali białego kupca i jego pomocnika tubylca, wyuczzonego jak papuga nadzorcę w jakiejś dalekiej kolonii afrykańskiej.

Ow nadzorca szybko nabierał cech cywilizacji. Nie wiadomo było, ile Varnerowie mu płacili, wiadano tylko, że Will Varner nigdy nikomu za nic nie płacił. A jednak ten człowiek, który pięć miesięcy temu jeździł tam i z powrotem osiem mil do pracy na mule od pługa i wysłużonym siodle, z blaszanym wiadrem pełnym rzepy i ugotowanej zimnej fasoli, teraz nie tylko spał na łóżku w wynajętym pokoju i jadał przy nakrytym stole jak komiwojażer, ale także udzielił znacznej pożyczki, nie określając procentów "i zabezpieczenia, jednemu z mieszkańców wsi i zanim odziamiono resztę bawełny, ogólnie było wiadomo, że można od niego pożyczyć o każdym czasie każdą sumę od dwudziestu pięciu centów do dziesięciu dolarów, jeśli pożyczający zgadzał się dósyc zapłacić za tę dogodność. Następnej wiosny Tuli znalazłszy się w Jefferson z partią bydła, które miało być wysłane koleją, przyszedł odwiedzić Ratliffa. Ratliff leżał chory na woreczek żółciowy w domu, którego był właścicielem i który prowadziła mu jego owdowiała siostra. Tuli powiedział mu o wielkim stadzie chudego bydła, które spędziło zimę na pastwisku w farmie wydzierżawionej przez Snopesów i które (w tym czasie kiedy Ratliff został przewieziony do szpitala w Memphis i operowany, a potem wrócił do domu i znów odzyskał zainteresowanie dla spraw rozwijających się wokół niego) stale wzrastało, aż wreszcie pewnej nocy znikło równocześnie z pojawieniem się stada dobrych Herefordów na pastwisku w innej posiadłości Varnera, którą ten zatrzymał sobie jako farmę na własny użytek, jak gdyby zostało przeobrażone i przeniesione na inne miejsce, w komplecie i nietknięte, tylko tyle,

ze zmienił się jego wygląd i oczywiście wyrosła wartość, później dopiero dowiedziano się, że było dotarło na pastwisko drogą prawa

0 niewykupieniu zastawu, nominalnie przysługującego bankowi w Jefferson, Bookwright

1 Tuli przyszli obaj, żeby mu o tym powiedzieć.

— Może przez cały czas było w piwnicach banku — powiedział Ratliff słabym głosem. — A jak Will mówił, do kogo należały?

— On mówi, że do Snopesa — odparł Tuli. — Mówi „zapytajcie zaufanego przyjaciela Jody'ego”.

— I zrobiliście tak? — spytał Ratliff,

— Bookwright się go zapytał. A Snopes mówi: „Są na łące u Varnera”. A Bookwright na to: „Ale Varner mówi, że to pańskie”. Snopes odwrócił się, splunął i powiada: „Są na pastwisku Varnera”.

Ratliff, chory, jeszcze o czymś nie wiedział. Słyszał tylko, jak o tym mówiono, chociaż w tym czasie poprawiał się już i był dostatecznie zdrów, żeby nad tym rozmyślać, zastanawiać się, sam ciekawy, sprytny i przeniknioty, siedząc teraz w fotelu, podparty poduszkami, przy oknie, z którego mógł obserwować początek jesieni i wdychać przejrzyste, pachnące winobraniami powietrze październikowych południ. Pewnego ranka tej drugiej wiosny pewien człowiek nazwiskiem Houston ze wspaniałym, nakra\*: pianym psem myśliwskim u nogi, podprowa

dził konia przed kuźnię i zobaczył nieznanego pochylonego nad paleniskiem i próbującego rozniecić ogień przy pomocy jakiegoś płynu z zardzewiałej blaszanki. Młody, muskularny, dobrze zbudowany człowiek, odwróciwszy się, ukazał szczerą otwartą twarz

o regularnych rysach, rozpoczynającą się niespełna cal pod linią włosów. — Dzień dobry — pozdrowił go nieznanomy. — Jakoś nie mogę sobie poradzić z tym ogniem. Ile razy poleję węgiel naftą, gaśnie jeszcze prędzej. Niech pan patrzy — miał nalać znowu płynu z blaszanki.

— Zaczekaj pan — mówi Houston. — Czy to nafta, to, co pan tu ma w tej blaszance?

— Stała tam na tej półce — powiedział tamten. — Wygląda jak bańka z naftą, trochę zardzewiała, ale nigdy nie słyszałem, żeby nawet stara nafta nie chciała się palić.

Houston wziął bańkę z jego rąk i powąchał. Tamten go obserwował. Wspaniały pies myśliwski siedział w progu drzwi i patrzył na obydwóch.

— Coś mi to nie pachnie jak nafta.

— Świństwo — powiedział Houston. Postawił z powrotem blaszankę na półce nad paleniskiem. — Niech pan wyleje ten gnój. Trzeba zacząć jeszcze raz od początku. Gdzie jest Trumbull? — Trumbull to był kowal, który prowadził kuźnię prawie od dwudziestu lat aż do dzisiejszego ranka.

— Nie wiem — powiedział tamten. — Nikogo tu nie było, jak przyszedłem.



- Co pan 111 j \* >|>i ł V Tu on puna przysłał?

- Nic nie wiem powiedział tamten. To mój kuzyn dni mi tę pracę. Powiedział, że- l>ym tu był dziś runo, rozpalil ogień i pilnował interesu, póki on nie wróci, Ale jak tylko doleję tej nally...

— A kto 1.0 jest pański kuzyn? -- spytał Houston. W tym momencie nadjechał stary chudy koń, ciągnący rozklekotaną bryczkę, której jedno koło było umocowane drutem i dwoma deszczułkami, złożonymi no krzyż j zdawało się, że trzyma się tylko rozpędem, i rjdy stanie, rozsypie się na drobno drzazgi, W bryczce siedział nowy przybysz — drobny człowieczek z chytrą lisic) twarzą i mini} gaduły, ubrany tak, że żadna z części garde-robry /dawała się nie należeć do niego. Zatrzymał pojazd krzycząc na konia, jakby oddzielało go odeń rozległe pole, wysiadł i wszedł do kuźni już (albo jeszcze) rozmawiając.

— Dzień dobry, dzień dobry — powiedział z błyskiem małych, żywych oczek. — Chce pan podkuć tego konia? To dobrze, świetnie, oszczędzaj kopyta a oszczędzisz wszystko, Ładna szkapa. Widziałem jeszcze lepszą lam dalej, na polu. Ale mniejsza z tym. Kochasz mnie, kochaj mego konia, żebracy nie mogą wybierać. Gdyby pragnienia zmieniały się w konie, mielibyśmy wszyscy konin czystej krwi. Co się dzieje? — spytał człowieka w fartuchu. Umilkł, chociaż Jeszcze zdawał się gwałtownie poruszać, jak gdyby okrywające go ubranie było juk pancierz: ni»- pozwala\* jący dojrzeć, c o robi ciało wewnątrz tego ubrania, a nawet czy jeszcze w nim tkwi.

Nie rozpalileś jeszcze ognia? Zaraz - rzudł się do półki, zdawał się unosić nad nią, nie zwiększając szybkości swych gwałtownych ruchów. Zdjął bańkę, powąchał ją i przechylił, żeby jej zawailość wylać na węgiel w palenisku, zanim ktokolwiek zdążył się ruszyć. Houston zatrzymał go w ostatniej sekundzie, odebrał mu bańkę i wyrzucił ją za drzwi.

— Dopiero co wyrwałem to paskudztwo z jego rąk — powiedział Houston. — Co się lu u diabła dzieje? Gdzie jest Trumbull?

— Och, mówi pan o tym gościu, co tu był przedtem? — powiedział przybysz. — Wymówiono mu dzierzawę. Teraz ja wynajmuję ten zakład. Nazywam się Snopes. 1.0. Snopes. A lo mój młody kuzyn, Eck Snopes. Ale to jest ta sama stara kuźnia, wszystko po dawnemu, tylko obsługa nowa. Jedna nowa miotła przybyła.

— Nic mnie nie obchodzi, jak on się nazywa — powiedział Houston, —\* Czy potrafi podkuć konia? -- Znowu przybysz zwrócił sit\* do chłopaka w fartuchu krzycząc do niego tak, juk krzyczał do konia:

• - Dobrze, dobrze, rozpalzo ten ogień. Houston przypatrywał się przez chwilę, potem sam się zabrał do roboty i ogień wreszcie zapłonął. - Nauczy się • - powiedział nowo przybyły. - - Trzeba tylko trochę po-

czekać. Chłopak dobrze sobie radzi z narzędziami, chociaż dotychczas niewiele zajmował się kowalstwem. Ale daj psu przyzwoite imię, a nie będziesz potrzebował go topić. Dajcie mu parę dni praktyki, a podkuje konia tak prędko jak Trumbull czy ktokolwiek inny.

— Sam go podkuję — powiedział Houston. — Niech on tylko pilnuje miecha. To może zrobić bez praktyki. — Ale jak już podkowa była uformowana i stygła w kadzi, nowo przybyły znowu wpadł między nich jak bomba. Tak, jakby zaskakiwał nie tylko Houstona, ale także samego siebie tą nie\*uchwytną zdolnością istnienia niezależnie od ubrania, tak że nawet jeśli się zdołało chwycić i trzymać to ubranie, nie można było powstrzymać ciała od zrobienia tego, co akurat robiło, dopóki szkoda się nie stała — gwałtowna koncentracja rozpraszającej się energii znikającej w tej samej chwili, kiedy zamiar przybrał kształt realny. Nowo przybyły rzucił się między Houstona i podniesione kopyto, przyłożył do niego podkowę, raniąc konia do żywego drugim uderzeniem młota

0 gwóźdź i znalazł się nagle — on, młotek

1 cała reszta — w kadzi z wodą, wrzucony tam jednym kopnięciem konia, którego Houston i chłopak w fartuchu zdołali wreszcie zapędzić w kąt i przytrzymać, podczas gdy Houston wyrwał gwóźdź i podkowę, cisnął je do kąta i z furią wypchnął konia tyłem za drzwi, a pies podniósł się i spokojnie zaczął znowu iść w pełnej uszanowania odległości za człowiekiem.

— I możecie powiedzieć Willowi Vame- rowi, jeżeli go to interesuje, w co wątpię, że pojechałem podkuć mego konia do White- leaf.

Kuźnia znajdowała się akurat naprzeciwko sklepu, po drugiej stronie drogi. Na ganku było już paru ludzi, którzy obserwowali, jak Houston pod eskortą wielkiego królewskiego psa wyprowadzał konia. Nie potrzebowali nawet przechodzić przez drogę, żeby zobaczyć jednego z nowo przybyłych, bo w tej chwili on sam skierował się w ich stronę, ten mniejszy i starszy, z różową, uśmiechniętą twarzą i błyszczącymi, rozbieganymi oczyma, w ubraniu, które wciąż jeszcze wyglądało, jakby do niego nie należało, i miało tak wyglądać aż do dnia, kiedy w końcu opadnie z jego ciała. Wchodząc po stopniach z daleka już pozdrawiał obecnych i wszedł do sklepu nie przestając mówić, głosem prędkim, gładkim, wymawiając słowa bez znaczenia, jak ktoś, kto rozmawia sam z sobą

o niczym w pustej jaskini. Wyszedł stamtąd po chwili, wciąż rozgadany: — Tak, panowie, precz ze starym i niech żyje nowe. Konkurencja jest duszą handlu, a choć łańcirch nie jest mocniejszy niż jego najsłabsze ogniwo, nie przypuszczam, żebyście się przekonali, że ten chłopak jest za słaby, żeby 'się na nim oprzeć, kiedy raz się nauczy tego, co powinien umieć. To stary zakład, stara

kuźnia, było tylko, że w nim jesł nowii mio-  
ll, i i może uje można rumezyć stor<• <(» psu nowyrli sztuczek, ale młody i riujlly nauczy się wszystkiego.  
l) <imu tylko trochę czn- su, grosz wrzucony w wodę oplaca prorni, kiedy .si(; f; lJ; l odwróci, 'luk, tak, wcbjż  
się biiwić a nigdy nic prueować, jtik powiada ktoś, bez pracy nic nui kołaczy. De» widzenia, punowie. - - Wsiadł  
do bryczki wciąż rozmawia jąo, mówiąc bądź. do chłopuka w kuźni, bądź do chudego l konia, wyrzucając słowa  
jednym tchem, tiio robiąc żadnej przerwy, aby wykazać słuchaczom, do kogo sit; zwraca za każdym razem,  
Odjechał, u ludzi o na ganku patrzyli za nim oszołomieni. W cią- <ii dnia przechodzili iui drugą stronę drogi  
jeden z< l drugim i zagłądali do kuźni, oglądając nowego kowala: spokojno, pusta i otwarta twarz, br»/  
złośliwości, jakby dodana w ostatniej chwili do strzechy włosów na czaszce. Ktoś przyprowadził wóz ze złama-  
nym dyszłem. Nowy kowal /reperował go nawet — chociaż mu to zabrało prawic całe przedpołudnie —  
pracując pilnie, ale w jakimś sennym transie, w którym to, co w nim żyło, zdawało sir; funkcjonować rjdzie in-  
dziej, nie zwracając: uwagi i nie okazując żadnego zainteresowania — nawet jeśli chodzi o pieniądze, klóre miał  
za to zarobić — temu, co robiły jego ręce, zaaferowany, poruszający się ciężko, nn pozór bez żadnych  
rezultatów, mimo że robota w końcu została wykonana. Po południu ukazał się Trumbull,  
siary kowal. Ale jeśli czekali koło kuźni, żeby zobaczyć, co sic\* sianie, kiedy wejdzie ton, klóry jeszcze  
poprzedniego wiecznu musiał uważać swojo prawa za nienaruszalne, U» byli rozczarowani. Przejechał przez  
wieś razem z żoną, na wozie 7. całym dobytkiem, Jeśli nawet spojrział na swą dawną kuźnię, nik l tego nie  
widział: stary człowiek, chociaż jeszcze energiczny, posepny, zręczny, nie wzbudzający niczyjej ciekawości  
jeszcze przedwczoraj. Więcej go już nigdy nie widziano.

W kilka dni później dowiedziano się, że nowy kowal mieszka w tym samym domu, w którym mieszkał jego  
kuzyn (czy jakiegokolwiek łączyło ich pokrewieństwo, nikt co do tego nie miał pewności) Plemj obaj spali razem  
na jednym łóżku. W sześć miesięcy później kowal poślubił jedną 7. córek w rodzinie, u której obaj mieszkali.  
Dziesięć miesięcy później popychał przed sobą wózek dziecinny (niegdyś a może i nadal — należący do Willa  
Varnora, tak jak siodło jogo kuzyna) po wsi w niedzielę, w towarzystwie pięcio- czy sześcioletniego chłopca,  
syna z pierwszej żony, której istnienie także było dotychczas nie znane mieszkańcom zaścianka, co wskazywało  
na niezwykłą energię i ruchliwość w jego życiu prywatnym — przynajmniej w życiu seksualnym — znacznie  
większą niż ta, którą przejawiał w życiu publicznym. Ale to wszystko stało się później. Na razie wiedzieli tylko,  
że w kuźni

jest nowy kowal — człowiek nie leniwy, obdarzony dobrymi chęciami, uczynny, bezsprzecznie sympatyczny, a nawet dobroduszny, w którym jednakże istniały ściśle określone granice koordynacji fizycznej i poza nimi zniknął rysunek i plan, i model, rozbity na martwe części składowe, jak kawałki żelaza i drzewa, rzemienia i niepotrzebnych narzędzi.

W dwa miesiące później Flem Snopes zbudował nową kuźnię. Oczywiście zlecił komuś jej budowę, ale spędzał tam większą część dnia, obserwując, jak rośnie. Była to nie tylko jego pierwsza dokonana w zaścianku akcja, w której można było go zobaczyć uczestniczącego publicznie i jawnie, ale także pierwsza, do której się przyznał z pewną dumą, oświadczając spokojnie i wyraźnie, że podjął ją, żeby ludzie znów mogli korzystać z dobrej roboty kowalskiej. Zakupił kompletnie nowe wyposażenie po cenie własnej sklepu i wynajął do roboty młodego farmera, który w czasie martwego sezonu między siewami a zbiorami był czeladnikiem Trumbulla. W ciągu miesiąca miał z powrotem całą klientelę Trumbulla, a w trzy miesiące potem Snopes sprzedał nowy zakład — klientelę, dobrą opinię i nowy ekwipunek — Varnerowi, otrzymując w zamian stare wyposażenie ze starej kuźni, które sprzedał komuś, kto handlował starym żelastwem, nowy sprzęt przeniósł do starego budynku, a nowy budynek sprzedał pewnemu farmerowi

na oborę dla krów, nie musząc nawet sam sobie płacić za przeprowadzkę i pozostawiając swego kuzyna jako czeladnika nowego kowala — w tym punkcie nawet Ratliff stracił rachubę, jakie korzyści mógł mieć z tego Snopes. — Ale zdaje się, że resztę mogę odgadnąć — powiedział sobie siedząc w fotelu, blade jeszcze, ale już znacznie zdrowszy, przy swoim słonecznym oknie. Piawie mógł to widzieć: sklep wieczorem przy drzwiach zaryglowanych od wewnątrz i zapaloną lampę nad biurkiem, gdzie siedział subiekt, spokojnie żując tytoń, podczas gdy Jody Varner stoi za nim, niezdolny usiąść, z oczyma, w których można dostrzec znacznie więcej niż zeszłej jesieni, dygocący na całym ciele, i mówi drżącym głosem: — Chcę panu zadać jedno wyraźne i proste pytanie

i żądam wyraźnego tak albo nie w odpowiedzi. Ile panu jeszcze trzeba? Jak długo jeszcze będzie to trwać? Ile będzie mnie kosztować obrona jednej przeklętej stodoły pełnej siana?

2

Był osłabiony po chorobie i można to było po nim poznać, kiedy w sąsiedniej uliczce zatrzymał wóz z nową maszyną w psiej budzie i parą tłustych małych kucyków tryskających zdrowiem i wypoczętych po rocznej przerwie, a potem siedział przy kon

tuarze małej restauracyjki, której był cichym współwłaścicielem, z filiżanką kawy w ręku i mając w kieszeni kontrakt sprzedaży pięćdziesięciu kóz pewnemu farmerowi z Północy, który ostatnio założył kozią farmę w zachodniej części hrabstwa. Był to właściwie subkontrakt odkupiony po cenie dwudziestu pięciu centów za kozę od pierwszego zleceniodawcy, który otrzymał go od tamtego człowieka z Północy po cenie siedemdziesięciu pięciu centów za kozę i był już bliski ruiny. Ratliff odkupił kontrakt, bo przypadkowo wiedział o trzodzie około pięćdziesięciu kóz w mało uczęszczanym miejscu w pobliżu Sadyby Francuza, których nie odkrył pierwotny kontrahent, a które Ratliff spodziewał się nabyć, ofiarowując właścicielowi połowę zysku.

Znajdował się już w drodze do Sadyby Francuza, chociaż jeszcze nie wyruszył. Nie widział tego zaścianka od roku. Wyglądał niecierpliwie tej wizyty nie tylko ze względu na przyjemność zawierania nowych transakcji, która była czymś znacznie większym niż sam zysk, ale po prostu rad był, że już nie leży w łóżku i znowu może poruszać się swobodnie, choć jeszcze niezbyt energicznie, w słońcu i na świeżym powietrzu, które inni ludzie pili, w którym się poruszali i handlowali jeden z drugim — przyjemność, w której niepoślednią rolę odgrywał fakt, że jeszcze dotychczas nie ruszył w drogę i że nie było na świecie absolutnie nic, co mogło by go zmusić do wyruszenia, póki sam tego nie zechce. Nie czuł się słaby, kosztował tylko z rozkoszą tego pełnego werwy zmęczenia rekonwalescencji, w którym czas, pośpiech, robota nie istniały, narastające sekundy i minuty, i godziny, których ciało w stanie pełnego zdrowia jest niewolnikiem, zarówno w dzień, jak i w nocy, teraz zmieniły kierunek, czas był teraz tylko sługą i żebrakiem przyjemności ciała, przedtem oddanego w niewolę niepohamowanemu biegowi czasu. Toteż siedział tu, wychudzony, w czyściutkiej, niebieskiej koszuli, za luźnej obecnie na niego, a jednak wyglądający już zupełnie dobrze, z gładką, śniadą twarzą, już nie bladą, tylko jak gdyby trochę jaśniejszą, czystsza, emanujący z siebie jakąś delikatną siłą niby któraś z tych rzadkich roślin leśnych, bez zapachu, odpornych na chłód i kwitnących pośród ostatnich śniegów zimy, w ręku trzymał filiżankę kawy i opowiadał trzem czy czterem słuchaczom o swojej operacji tym żywym, wesołym głosem, któremu trzeba było czegoś znacznie więcej niż zwykła choroba, na to, by go choć odrobinę zmienił, kiedy weszło do sali dwóch mężczyzn. Byli to TuJl i Bookwright. Bookwright miał z sobą rzemienny bicz, owinięty dokoła wielkiego drzewca i wepchnięty do tylnej kieszeni kombinezonu.

— Jak się macie, chłopcy — powiedział Ratliff. — Wcześniej przyszliście.

— Chcesz powiedzieć późno — odpowiedział-

clział Bookwright. Obaj z Tullem podeszli do kontuaru.

— Przyjechaliśmy wczoraj wieczorem, bo mamy dziś załadować i wysłać trochę bydła — powiedział Tuli. — Słyszałem, że chorowałeś. Bardzo mi ciebie brakowało.

— Wszyscyśmy za nim tęsknili — powiedział Bookwright. — Moja żona prawie przez cały rok nie wspominała, że ktoś kupił nową maszynę. Co ci tam wyciął ten rzeźnik w Memphis?

— Portfel z gotówką — powiedział Ratliff. — Myślę, że chyba dlatego mnie najpierw uśpił.

— Uśpił cię dlatego, żebyś mu nie mógł sprzedać maszyny do szycia albo worka zębów do brony, póki nie otworzy swego noża — powiedział Bookwright. Podeszedł do nich barman i położył przed nimi pokrajany chleb i masło.

— Ja proszę o stek — powiedział Tuli.

— Ja nie — oświadczył Bookwright. — Od dwóch dni oglądam befsztyki w surowym stanie. Nie mówiąc już o tym, że je musiałem wypędzać z pola i z grzęd z jarzynami. Proszę o szynkę i pół tuzina smażonych jaj. — Zaczął jeść chleb, połykając ogromne kawały. Ratliff obrócił się lekko na stołku, żeby być naprzeciw nich.

— A więc tęskniłście za mną — powiedział. — Myślałem, że teraz macie tylu nowych przybyszów we wsi, że nie zauważycie braku nawet pół tuzina agentów, co sprzedają maszyny. Ilu kuzynów Flem Snopes zdążył już sprowadzić? Dwóch czy trzech?

— Czterech — krótko powiedział Bookwright, jedząc.

— Czterech? — zdziwił się Ratliff. — To znaczy kowal — w każdym razie ten, co siedzi w dzień w kuźni, póki nie wróci do domu coś zjeść — jakże mu tam na imię: Eck. I ten drugi, agent handlowy, pośrednik.

— Ten ma być nauczycielem w szkole na przyszły rok — łagodnie stwierdził Tuli. — Tak przynajmniej mówią.

— Nie, nie — powiedział Ratliff. — Ja mówię o Snopesach. Ten drugi I.O., ten, co go Jack Houston wrzucił do kadzi z wodą kiedyś w kuźni.

— To właśnie ten — powiedział Tuli. — Mówią, że będzie uczyć w szkole na przyszły rok. Dawny nauczyciel odjechał nagle zaraz po Bożym Narodzeniu. O tym chyba też nie słyszałeś.

Ale Ratliff nie słuchał. Nie myślał o tamtym nauczycielu. Patrzył na Tulla przez chwilę, jego zwykły wesoły wyraz twarzy ustąpił miejsca zdumieniu. — Co? — powiedział. — Uczyć w szkole? Ten facet? Ten Snopes? Ten, co przyszedł do kuźni akurat w ten dzień, kiedy Jack Houston... słuchaj no, stary — powiedział — byłem chory, to prawda, ale na uszy przecież nie chorowałem.

Bookwright nie odpowiedział. Skończył już swój chleb. Przechylił się przez stół i wziął

niósł jeszcze chleba.

— No — powiedział Ratliff — niech mnie powiesz. Wiedziałem, że coś w nim jest nie tak, od pierwszej chwili, jak go zobaczyłem. Więc to było to. Był nie na swoim miejscu w kuźni czy w polu. Ale żeby w szkole — tego sobie jeszcze nie wyobrażałem. Ale oczywiście, że tak. Znalazł jedyne miejsce na świecie czy w Sadybie Francuza, gdzie nie tylko może przez cały dzień gadać te swoje przysłowia, ale jeszcze mu będą za to płacić. Bardzo dobrze. Więc Will Varner trafił wreszcie na cwaniaka. Flem załatwił sklep, potem kuźnię, a teraz zabiera się do szkoły. Został jeszcze tylko dom Willa. Naturalnie potem zacznie skubać was wszystkich, ale ten dom mu zabierze jeszcze sporo czasu, bo Will...

— Tak. — krótko uciął Bookwright. Skończył jeść chleb, który wziął z talerza Tulla i zawołał kelnera. — Przynieś mi pan tymczasem kawałek pasztetu.

— Jaki pasztet, panie Bookwright? — spytał barman.

— Jadalny — odparł Bookwright.

— ... bo Will nie tak łatwo da się wykurzyć ze swojego obecnego domu — ciągnął Ratliff. — Może nawet stanąć okoniem. Toteż Flem będzie musiał zabrać się do was wcześniej, niż sobie wyobrażał.

— Tak — znowu uciął Bookwright szorstko i krótko. Kdnrcr podsunął pasztet. Ra- tliif spojrział na Bookwrighta,

— Co, tak? — spytał.

Bookwright trzymał w ręce kawałek pasztetu, który zamierzał włożyć do ust. Zwrócił swoją ciemną, ostrą twarz w stronę Ra- tliiffa. — W zeszłym tygodniu siedziałem właśnie na kupio trocin w tartaku Quicka. Palacz i drugi Murzyn zgarniali strużyny w stronę pieca, żeby rozpalić ogień. Rozmawiali między sobą. Palacz chciał pożyczyć trochę pieniędzy, mówił, że Quick nie chce mu pożyczyć. „Idź do pana Snopes do sklepu — mówi drugi Murzyn. — Pożycz ci. Pożyczył mi pięć dolarów dwa lata temu i tylko muszę w każdą sobotę wieczorem iść do sklepu i oddawać mu dziesiątkę.” Nawet nie wspomni nigdy tych pięciu dolarów. — Odwrócił głowę i ugryzł kawałek pasztetu, biorąc do ust więcej niż połowę plasterka. Ratliff obserwował go z lekkim zdumieniem, które było prawie uśmiechem.

— Bardzo dobrze — powiedział. — A więc pracuje od góry i od dołu jednocześnie. W tym tempie jeszcze minie trochę czasu, zanim się zabierze do was, prostych białych ludzi ze środka — Bookwright ugryzł Jeszcze jeden ogromny kawał pasztetu. Kelner przyniósł zamówione dania dla Tulla i dla niego, a Bookwright wepchnął resztkę pasztetu do ust. Tuli zaczął krajać swój stek porządnie, na małe kawałki. Jak dla dziecka.

Ratliff obserwował ich obu. — I nikt z was nic z tym nie zrobił? — spytał.

— Co można zrobić? — powiedział Tuli. — To nie w porządku. Ale nie nasza sprawa.

— Ja pewnie coś bym wymyślił, gdybym tu mieszkał — powiedział Ratliff.

— Tak — potwierdził Bookwright. Skończywszy z pasztetem pożerał teraz szynkę. — I w końcu miałbyś jeden z tych krawatów w kokardką zamiast wozu i zaprzęgu. Miałbyś gdzie go nosić.

— Pewnie — powiedział Ratliff. — Może macie rację. — Przestał na nich patrzeć i uniósł w górę łyżeczkę, ale zaraz ją opuścił. — Kawa wystygła jak na przeciągu — powiedział do kelnera. — Może ją pan trochę podgrzeje. Może zamarznąć i rozsadzić naczynie, a wtedy będę musiał zapłacić jeszcze za filiżankę. — Kelner zabrał filiżankę, napełnił ją na nowo i podał. Ratliff ostrożnie wsypał cukru, jego twarz wciąż jeszcze miała ten niezdecydowany wyraz, który można by nazwać uśmiechem, w braku lepszego określenia. Bookwright rozmieszał swoje sześć jajek na straszliwą jajecznicę i jadł je teraz łyżką, głośno cmokając. Obaj, on i Tuli, jedli prędko, ale Tuli robił to z jakąś nienaturalną drobiazgo-wością. Nie rozmawiali, zmiatali tylko wszystko, co było na talerzu, potem wstali, podeszli do pudełka z cygarami i zapłacili rachunek.

— Albo może jeszcze tenisowe pantofle —

powiedział Bookwright. — Nie nosi ich już od roku. Nie — dodał — na twoim miejscu poszedłbym tam całkiem nago. Wtedy nie czułbyś zimna, wracając.

— Oczywiście — łagodnie powiedział Ratliff, Kiedy odeszli, wrócił do swojej kawy, popijając ją bez pośpiechu, rozmawiając znowu z kilkoma słuchaczami, kończąc historię swojej operacji. Potem także wstał, zapłacił skrupulatnie za kawę i naciągnął płaszcz. Był już marzec, ale doktor kazał mu nosić palto. Stał przez chwilę na małej uliczce koło swego wozu i pary drobnych, silnych koników, opastych od beczynności i lśnią- cych nową sierścią, przybraną po zimie, patrząc spokojnie na pudło w kształcie psiej budy: pod spękaną i obłazącą farbą zwiędłych i nierealnych róż twarze kobiece rzucały mu, z konwencjonalnym uśmiechem, nie patrząc, wieczyste zaproszenie. Trzeba go będzie przemalować na wiosnę, musi się tym zająć. „Trzeba coś płomiennego — myślał. — Z jego nazwiskiem. Niech wszyscy wiedzą, że to na jego nazwisko. Tak — myślał — gdybym się nazywał Will Varner, a mój partner nazywał się Snopes, przypuszczam, że żądałbym, żeby część naszej spółki, przynajmniej ta część, która w każdym razie musi być ujawniona, była na jego nazwisko”. Szedł powoli, w szczelnie zapiętym palcie. Było to jedyne palto, jakie można było zobaczyć na ulicy. Ale słońce to dobry lekarz, może, kiedy wróci do miasta, nie będzie już

m



potrzebował palta. A wkrótce też nie będzie musiał wkładać pod spód swetra — maj, czerwiec, lato, długie, gorące dni. Szedł dalej, wyglądał tak jak zawsze, trochę tylko chudszy i bledszy, przystanął dwa razy, żeby powiedzieć dwóm ludziom, przypadkiem czy celowo, że czuje się już teraz dobrze, że doktor w Memphis wyciął prawdopodobnie to, co należało; przeszedł przez plac pod marmurowym spojrzeniem pomnika Konfederata i skierował się do gmachu sądowego i kancelarii, gdzie znalazł to, czego szukał: dwieście akrów, z zabudowaniami, zapisane na Flema Snopesa.

Pod wieczór siedział w swoim wozie, który zatrzymał na wąskiej bocznej drodze między wzgórzami, czytając nazwisko na skrzynce pocztowej. Słup, do którego była przybita, był nowy, ale skrzynka nie; obdrapana i pogięta, kiedyś prawdopodobnie została zgnieciona jakby przez koło od wozu i znowu wyprostowana, choć niezdarne litery nazwiska wyglądały jakby wymalowane wczoraj. Napis, dużymi literami „MINKSNOPES”, zdawał się krzyżeć, rozłożysty, bez pauzy między dwoma słowami ciągnął się i wspinał do wierzchołka skrzynki, aby zmieścić końcowe litery. Ratliff skręcił w dróżkę za słupem — wyboista, wąska ścieżynka, a na końcu wałająca się chata dwuizbowa, jedna z tych chat bez liku rozproszonych na tych górskich terenach, które teraz przemierzał. Zbudowana była na wzgórzu, niżej było zaśmiecone, błotniste podwórze i stodoła chyląca się w dół, gotowa zwalić się od byle dmuchnięcia. W drzwiach stodoły ukazał się człowiek z wiadrem mleka i Ratliff poczuł, że obserwują go także z wnętrza chaty, chociaż nikogo nie mógł dostrzec. Zatrzymał wóz, ale nie wysiadł. — Dzień dobry — powiedział. — Pan Snopes? Przywiozłem panu maszynę.

— Co pan przywiózł? — spytał człowiek na podwórzu. Przeszedł przez furtkę i postawił wiadro na rozwalonym ganku. Był jak jego krewni wzrostu trochę mniej niż średniego, chudy, z gęstymi brwiami, które tworzyły jedną grubą kreskę. „Ale oczy te są\* me” — pomyślał Ratliff.

— Maszynę do szycia — powiedział uprzejmie. Wtedy zobaczył kątem oka kobietę stojącą na chodniku — grubokościstą, o twardej, niezycziwej twarzy i niewiarogodnie żółtych włosach — która wynurzała się z głębi domu ze znacznie większą lekkością i pośpiechem, niżby to zapowiadał fakt, że była boso. Za nią chowało się dwoje dzieci o konopiastych głowach. Lecz Ratliff nie patrzył na nią. Obserwował mężczyznę ze swoim uprzejmym, sprytnym wyrazem twarzy.

— Co to jest? — spytała kobieta. — Maszyna do szycia?

— Nie — powiedział mężczyzna. On też na nią nie patrzył. Podszedł bliżej do wozu. — Wracaj do domu. — Zeszła w dół chodnika poruszając się wciąż z tą samą

szybkością i koordynacją ruchów, niezgodnymi z jej tuszą. Utkwiła w Ratliffie blade, twarde oczy.

— Kto panu kazał to przywieźć tutaj? — spytała. ■

Wtedy Ratliff spojrzął na nią, wciąż uprzejmy i niezrażony.

— Czyżbym się pomylił? — zapytał. — Dostałem zamówienie do Jefferson wysłane z Sadyby Francuza.

Podpisane Snopes. Myślałem, że chodzi o pana, bo gdyby pański... kuzyn? — Żadne z nich się nie odezwało, nie spuszczać zeń wzroku. — Flem. Gdyby Flem potrzebował maszyny, zaczekałby, aż przyjadę. Wiedział, że mam tam być jutro. Zdaje się, że powinienem się był upewnić.

Kobieta zaczęła się śmiać ostrym śmiechem pozbawionym wesołości.

— Więc niech pan ją tam zawiezie. Jeżeli Flem Snopes zamówił u pana coś, co kosztuje więcej niż pięć centów, to nie po to, żeby to podarować. W każdym razie nie swoim krewnym. Niech pan jedzie do wsi.

— Mówiłem ci, żebyś odeszła — powiedział mężczyzna. — Idźże stąd.

Kobieta wciąż na niego nie patrzyła. Śmiała się szyderczo, spokojnie, patrząc na Ratliffa.

— Na pewno nie po to, żeby podarować — powiedziała. — To niepodobne do człowieka, co ma sto sztuk bydła i stodołę, i własne pastwisko, zapisane na swoje imię.

Mężczyzna odwrócił się i zaczął iść w jej kierunku. Cofnęła się, krzycząc do niego,

a dzieci patrzyły spoza jej spódnicy na Ratliffa spokojnie, jakby były głuche albo jakby żyły w innym świecie, dalekim od tego, gdzie krzyczała ich matka, tak jak mogłyby patrzeć dwa psy. — Zaprzecz, jeżeli możesz! — krzyknęła do męża. — Z radością pozwoliłby ci tu zdechnąć i zgnieć, sam wiesz

o tym doskonale. Twój krewniak, z którego jesteś taki dumny, że pracuje w sklepie

1 przez cały dzień nosi krawat! Poproś go

o worek mąki, a zobaczysz, co dostaniesz! Poproś! Może ci podaruje kiedyś jeden ze swoich starych krawatów, żebyś też mógł być ubrany jak Snopes! — Mężczyzna wciąż szedł ku niej. Nie odzywał się ani słowem. Był mniejszy niż ona, szedł wciąż ku niej z dziwnym, ponurym wyrazem twarzy, morderczym, prawie uprzejmym, dopóki nie zamilkła. Zawróciła szybko i weszła do domu, popychając przed sobą, jak bydło, dzieci, które wciąż gapily się na Ratliffa. Mężczyzna podszedł do wozu.

— Pan mówi, że zamówienie przyszło od Flema Snopesa? — spytał.

— Wiem, że przyszło z Sadyby Francuza — powiedział Ratliff — i że wymieniono nazwisko Snopes.

— Kto, jak pan przypuszcza, wymienił nazwisko Snopes?

— Mój przyjaciel — uprzejmie odparł Ratliff. — Najwidoczniej się pomylił. Proszę mu wybaczyć. Czy dojadę tą ścieżką do drogi na Whiteleaf Bridge?

— Jeżeli Flem kazał panu zostawić tę maszynę tutaj, lepiej będzie, jak pan ją zostawi.  
— Powiedziałem już panu, że się pomyliłem i prosiłem o wybaczenie. Czy ta ścieżka...  
— Rozumiem — powiedział tamten. — Pan chciałby dostać trochę wypłaty gotówką. Ile?  
— Pan mówi o maszynie?  
— A o czym mógłbym mówić?  
— Dziesięć dolarów — powiedział Ratliff. — 1 weksel na dalsze dwadzieścia płatne w ciągu sześciu miesięcy. To znaczy na żniwa.  
— Dziesięć dolarów? Z tym zleceniem, które pan dostał od...  
— Nie mówimy teraz o zleceniu — powiedział Ratliff. — Mówimy o maszynie do szycia.  
— Niech pan opuści do pięciu-  
— Nie — powiedział uprzejmie Ratliff.  
— Dobrze — powiedział tamten, obracając się. — Niech pan przygotuje weksel — Wszedł do domu. Ratliff zsiadł z wozu, otworzył drzwiczki psiej budy i wyciągnął spod nowej maszyny blaszane pudełko. Było w nim pióro, starannie zakorkowana buteleczka i mały blok formularzy wekslowych. Wypisywał weksel, kiedy Snopes wrócił i stanął znów koło niego. Ledwie zatrzymało się pióro Ratliffa, Snopes przysunął kartkę do siebie, wziął pióro z jego ręki, umoczył w kałamarzu i podpisał! weksel jednym nieprzerwanym ruchem, nie czytając go nawet, oddał kartkę z powrotem Ratliffowi i wyjął z kieszeni łoż, o co Ratliff nie zdążył spojrzeć, bo patrzył na podpisany rachunek z twarzą idealnie obojętną.  
— Pan podpisał nazwiskiem Flem Snopes — powiedział spokojnie.  
— Tak jest — powiedział tamten. — No więc co? — Ratliff patrzył na niego. — Zrozumieć. Pan żąda także mojego nazwiska, tak żeby w żadnym wypadku jeden z nas nie mógł zaprzeczyć, że podpisał. W porządku — Wziął rachunek« podpisał go znowu i podał Ratliffowi. — A tu jest pańskie dziesięć dolarów'. Niech mi pan teraz pomoże wydostać maszynę. — Ale Ratliff nie ruszył się, bo tamten podał mu nie pieniądze, tylko drugi papier, złożony w kilkoro, z zagiętymi rogami, wybrudzony. Ratliff rozwinął go i zobaczył, że to inny weksel. Datowany był sprzed trzech lat z górą i opiewał na dziesięć dolarów z procentami, płatne na żądanie w rok od daty ważności na imię Isoaka Snopesa lub na okaziciela i podpisany Flem Snopes. Na odwrotnej stronie były dwa nazwiska (Ratliff rozpoznał od razu rękę, która przed chwilą podpisała dwa nazwiska na pierwszym wekslu) odstąpione Minkowi Sivpesowi na zlecenie Isaaka Snopesa (x) jego znak (krzyżyk), a poniżej, wciąż tym samym pismem wysuszony bibułą napis: „Sa imię V- K. Ratliffa na zlecenie Minka Snopesa”.

Ratliff patrzył na papier spokojnie i zupełnie trzeźwo, prawie minutą. — Wszystko w porządku — powiedział tamten. — Ja i Flem Snopes jesteśmy kuzynami. Nasza babka zostawiła każdemu z nas trzech po dziesięć dolarów. Mieliśmy je podjąć, kiedy najmłodszy — to znaczy on — skończy dwadzieścia jeden lat. Flem potrzebował gotówki i pożyczył swój legat od niego na ten weksel. Potem on potrzebował gotówki niedawno temu, i ja odkupiłem od Flema jego weksel. Jeżeli chce się pan dowiedzieć, jak on wygląda, czy coś bliższego, może pan sprawdzić na miejscu w Sadybie Francuza. Mieszka tam razem z Fiemem.

— Rozumiem — powiedział Ratliff. — Isaac Snopes. Mówi pan, że ma dwadzieścia jeden lat?

— Jak mógłby dostać te dziesięć dolarów i pożyczyć Flemowi, gdyby nie miał?

— Oczywiście — zgodził się Ratliff. — Tylko że to jest niezupełnie to samo, co dziesięć dolarów w gotówce.

— Słuchaj pan — powiedział tamten. — Nie wiem, do czego pan zmierza, i nic mnie to nie obchodzi. Ale pan mnie nie oszuka, tak jak ja nie oszukam pana. Gdyby pan nie był pewien, czy Flem zapłaci ten pierwszy weksel, to by pan go nie wziął. A jeżeli pan się nie boi tamtego weksła, dlaczego boi się pan tego, na mniejszą ilość pieniędzy, za tą samą maszyną, chociaż ten jest płatny zgodnie z prawem od dwóch lat. Niech pan mu zawiezie oba te weksle. Po prostu pan mu je odda. I powtórzy mu pan coś ode mnie. Powie mu pan: „Od kuzyna, który jeszcze grzebie w ziemi, żeby wyżyć, dla drugiego kuzyna, który wyrósł z grzebania w ziemi i ma stado bydła i stodołę pełną siana”. Nic więcej. Niech pan powtarza to sobie przez drogę, żeby nie zapomnieć.

— Może pan być spokojny — powiedział Ratliff. — Czy ta droga prowadzi do White-leaf Bridge?

Przenocował w domu u krewnych (urodził się i wychował niedaleko stąd) i dotarł do Sadyby Francuza następnego popołudnia, zatrzymał wó? i konie na podwórzu u pani Littlejohn i poszedł do sklepu, gdzie na gan-ku siedzieli, zdawało się, ci sami ludzie, których widział tu w zeszłym roku, nie wyłączając Bookwrighta. — Jak się macie, chłopcy — powiedział. — Wszyscy w komplecie, jak zwykle.

— Bookwright mówi, że ten facet w Memphis wyciął ci portfel — powiedział jeden z nich. — Nic dziwnego, że musiałeś się potem leczyć przez cały rok. Dziwne, że cię od razu szlag nie trafił, kiedy odzyskałeś przytomność i zobaczyłeś, że go nie ma.

— Wtedy właśnie wstałem z łóżka — powiedział Ratliff. — Gdyby nie to, jeszcze bym tam leżał. — Wszedł do sklepu. Pierwszy pokój był pusty, ale nie zatrzymał się tam nawet tak długo, aby jego zwężone źrenice mogły się przyzwyczaić do półmroku,

jak można było oczekiwać. Poszedł dalej, do kantorka, mówiąc gładko i uprzejmie: — Jak się masz. Jody, dzień dobry, Flem. Nie fatygujcie się. Sam się obsłużę. — Varner stojąc koło biurka, za którym siedział subiekt, spojrzął na niego.

— No, już wróciłeś do siebie, jak widzę — powiedział. — Wróciłem do roboty — powiedział Ratliff idąc za kontuar i otwierając jedyną w sklepie gablotę, gdzie były pomieszone z sobą w nieładzie sznurowadła do butów, grzebień, tytoń, lekarstwa i tanie cukierki. — Może to na jedno wychodzi — zaczął wybierać starannie laseczki kolorowych, pręgowanych cukierków, wybierając jeden, odsuwając inny. Nie spojrzął ani razu w stronę kantorka, gdzie siedzący za biurkiem subiekt nie podniósł wzroku.

— Nie wiecie, czy wuj Ben Quick jest w domu, czy nie?

— A gdzie ma być? —\* powiedział Varner. — Ale myślałem, że już mu sprzedałeś maszynę do szycia dwa albo trzy lata temu.

— Oczywiście — powiedział Ratliff odrzucając jeden z cukierków i wybierając zamiast tego inny. — Dlatego właśnie chcę go zastać w domu, żeby jego rodzina mogła się nim zająć, kiedy zemdleje. Tym razem mam zamiar od niego coś kupić.

— Cóż on u diabła może mieć takiego, żebyś po to zrobił taki szmat drogi?

— Kożę — powiedział Ratliff, licząc cukierki, które włożył do torebki.

— Co?

— Oczywiście — powiedział Ratliff. — Nie posądzałyście go o to, prawda? Ale nie ma żadnej innej kozy w całym hrabstwie Yoknapatawpha ani Grenier, oprócz kóz wuja Bena,

— Rzeczywiście, nie wiedziałem — powiedział Varner. — Ale jeszcze ciekawsze jest, do czego ci to potrzebne?

— Do czego komuś potrzebna koza? — powiedział Ratliff. Zdjął druciany klosz od sera i włożył monetę do pudełka od cygar. — Po to, żeby ciągnęła wóz. W domu wszyscy dobrze się miewają, mam nadzieję. Ty i wuj Will, i Miss Maggie?

— Tak — powiedział Varner. Wrócił znowu do biurka. Ale Ratliff nie zatrzymał się i nie patrzył na niego. Wrócił na ganek częstując wszystkich kolejno cukierkami.

— Z polecenia doktora — powiedział. — Pewnie przyśle mi nowy rachunek na dziesięć centów za to, że mi kazał zjeść cukierka za pięć. Ale tego mu jeszcze nie mam za złe. Gorzej, że mi każe spędzać tyle czasu w fotelu. — Obserwował teraz, uprzejmie i lekko ironicznie, ludzi siedzących na ławce. Ławka była przybita do ściany tuż pod jednym z okien obok drzwi, trochę dłuższa niż szerokość okna. W chwilę później jeden z mężczyzn, który siedział na końcu ławki, wstał.

— Niech pan siada — powiedział. — Nawet gdyby pan nie był chory, to prawdopo\*

dobnie przez sześć następných miesięcy będzie pan twierdził, że tak było,

— Uważam, że coś mi się należy za te siedemdziesiąt pięć dolarów, co mnie to kosztowało — powiedział Ratliff. — Choćby tyle, żeby przez jakiś czas ludziom imponować. Ale widzę, że chcecie mnie trzymać na przeciągu. Posuńcie się i zróbcie miejsce w środku. — Siedział teraz na wprost otwartego okna. Wziął cukierek i zaczął go ssać, mówiąc słabym, przenikliwym głosem o niedawnej chorobie: — Tak, moi drodzy. Jeszcze do dziś leżałbym w tym łóżku, gdybym nie zauważył, że portfela nie ma. Ale dopiero jak wstałem, przestraszyłem się na dobre. Mówię sobie, że przez cały rok leżałem brzuchem do góry, a teraz na pewno zjawił się tu jakiś spryciarz i zasypał nowymi maszynami do szycia nie tylko Sadybę Francuza, ale i całe hrabstwo Yoknapatawpha. Ale Bóg czuwał nade mną. Ledwie wstałem z łóżka, a Bóg czy może kto inny zesłał mi barana, jak niegdyś w Biblii, żeby ocalić Izaaka. Zesłał mi koziego hodowcę.

— Co takiego? — spytał któryś.

— Hodowcę kóz. Nie słyszeliście nigdy o koziej farmie? Bo nikt z was w tej okolicy

o tym by nie pomyślał. Na to trzeba było kogoś z Północy. Ten myślał o tym jeszcze gdzieś tam w swoim kraju, w Massachusetts czy w Bostonie, czy w Ohio i przejechał całą drogę do Missisipi z wypchaną dolarami walizką i kupił sobie dwa tysiące akrów naj\*

piękniejszej ziemi na pastwiska, jaką można znaleźć o piętnaście mil na zachód od Jefferson, i otoczył je ogrodzeniem, prawie nierdzewnym, wysokim na dziesięć stóp, i już miał zostać bogaczem, kiedy nagle okazało się, że mu zabrakło kóz.

— Głupstwo — wtrącił ktoś. — Jeszcze nigdy nikomu na świecie nie zabrakło kóz.

— Zresztą — odezwał się Bookwright nagle i szorstko — jeżeli chcesz to wszystko opowiadać także ludziom w kuźni, możemy tam wszyscy iść od razu.

— Oczywiście — powiedział Ratliff. — Nikt z was nie wie, jak to przyjemnie słyszeć własny głos, kiedy człowiek leżał przez długie miesiące w łóżku, w miejscu, gdzie ludzie, jak nie chcą słuchać, mogą wstać i odejść, a ty nie możesz iść za nimi. — Mimo to zniżył trochę głos, jasny, cienki, powolny i dobroduszny. — No więc, z tym tak było. Musicie pamiętać, że jest z Północy. Oni robią wszystko inaczej niż my. Gdyby ktoś stąd założył kozią farmę, zrobiłby to po prostu i wyłącznie dlatego, że już miał za dużo kóz. Oświadczyłby, że jego dach albo ganek, albo salon czy jakiegokolwiek inne miejsce, którego nie mógłby ochronić przed kozami, jest kozią farmą i to by mu wystarczyło. Ale człowiek z Północy robi to inaczej. Jak się do czegoś zabierze, robi to ze zorganizowanym syndykatem, z książką zawierającą wydrukowane przepisy i prawa, i z zezwoleniem wypisanym złotymi literami i wy-

danym przez sekretarza stanu w Jackson, oświadczającym wszem wobec, że na mocy niniejszego zezwolenia (z powinszowaniem itd.) te dwadzieścia tysięcy \*kóz (czy o co tam chodzi) to rzeczywiście kozy. Nie zaczyna też od kawałka ziemi i kóz. Zaczyna od papieru i ołówka i oblicza wszystko siedząc w bibliotece: tyle a tyle kóz na tylu akrach i tyle a tyle jardów ogrodzenia. Potem pisze do Jackson i dostaje licencję na tyle a tyle ziemi, płotu i kóz i najpierw kupuje ziemię, żeby mieć na czym zbudować płot, potem ogradza ją płotem, żeby nic nie mogło się stamtąd wydostać, a potem idzie kupować to, co nie ma się przedostać przez płot. Toteż z początku wszystko szło jak z płatka. Wybrał ziemię taką, że i sam Pan Bóg nie pomyślałby o założeniu tam koziej farmy, kupił ją prawie bez żadnej fatygi, tyle tylko, że odszukał ludzi, do których należała, i dał do zrozumienia, że zamierza im uczciwie zapłacić i że co do płotu, to nie ma co się tym zajmować, bo on może tam osiąść i zapłaci za to na miejscu. I wtedy dopiero odkrył, że brakuje mu kóz. Przetrasnął całą okolicę, żeby znaleźć tyle kóz, żeby mu ten pozłacany dyplom nie zarzucił kłamstwa. Ale nie mógł. Mimo wszystkich starań, brakowało mu jeszcze pięćdziesięciu kóz, żeby się zgadzało z obwodem płotu. Toteż teraz to nie jest kozia farma, ale bankructwo. Musi albo odesłać z powrotem swoje zezwolenie, albo wytrzasnąć skądś te pięćdziesiąt kóz. Więc teraz siedzi tu i czeka, po przejechaniu tej długiej drogi z Bostonu, z Maine i zapłaceniu za dwa tysiące akrów ziemi i zbudowaniu czterdziestu czterech tysięcy stóp ogrodzenia, i cały jego nieszczęśliwy projekt zależy od tego stada kóz wuja Bena Quicka, bo jak się zdaje, żadnych innych kóz nie znajdziesz na przestrzeni między Jackson i Tennessee.

— Skąd wiesz? — zapytał ktoś\*

— Myślisz, że wstałbym z łóżka i przejechał tyle drogi, gdybym nie wiedział? — odparł Ratliff.

— To najlepiej wsiądź od razu na wóz i jedź się upewnić — powiedział Bookwright. Siedział oparty o jeden ze słupów na ganku, naprzeciwko okna, za Ratliffem. Ten spoglądał na niego chwilę, grzeczny i nieprzenikniony pod zawsze lekko ironiczną maską.

— Oczywiście — powiedział. — Ma już te kozy od dawna. Pewnie mi będzie jeszcze mówił, że nie mogę zrobić tego, a muszę zrobić to, przez najbliższe sześć miesięcy, nie mówiąc już o rachunkach, jakie mi będzie za to przysyłał — dodał zmieniając temat tak gładko i kompletnie, że jak sobie uświadomili później, wyglądało na to, jakby pokazał im nagle kartkę z napisem „Sza” czerwonymi literami, patrząc wesoło i beztrąsko, jak Varner i Snopes wychodzą ze sklepu. Snopes nic nie mówił. Przeszedł przez ganek i zszedł po stopniach. Varner zamknął drzwi.

— Nio za wcześnie zamykasz, Jody? — spytał Ratliff.  
— Zależy od tego, co dla ciebie jest późno — odpowiedział Varner krótko i wyszedł za subjektem.  
— Może rzeczywiście już pora na kolację — stwierdził Ratliff.  
— Więc na twoim miejscu poszedłbym coś zjeść, a potem kupić kozy — powiedział Bookwright.  
— Oczywiście — powiedział Ratliff. — Wuj Ben może mieć jutro dodatkowy tuzin. Jednakże... — wstał i zaplął palto.

— Jedź najpierw po kozy — powiedział Bookwright. Znowu Ratliff spojrział na niego, gładki, nieprzenikniony. Potem spojrział na innych. Nikt na niego nie patrzył.

— Myślę, że mogę poczekać. Czy ktoś z was je u pani LittJejoh/i? Co to jest? — dodał po chwili i inni zobaczyli, na co patrzy?«\* dorosły mężczyzna, bosy, w obdartym i spłowiałym kombinezonie, który byłby zapewne pasował na czternastoletniego chłopca, przechodził drogą pod gankiem, ciągnąc za sobą na sznurku drewniany klocek, z przybitymi u góry dwoma blaszanymi pudełkami od tabaki, patrząc przez ramię z wielkim zainteresowaniem na kurz, który wzbijał za sobą. Przechodząc koło ganku podniósł wzrok i Ratliff zobaczył jego twarz — blade oczy, które wydawały się zupełnie puste, otwarte, śliniące się usta, otoczono lekkim puchem jasnego młodzieńczego zarostu.

— Jeszcze jeden z nich — powiedział Bookwright swoim suchym, szorstkim głosem. Ratliff patrzył za oddalającym się stworem ludzkim: potężne uda, które omal nie rozsadziły kombinezonu, kiwająca się głowa, zwrócona w tył ponad ramieniem, z oczyma utkwionymi w kawałek drzewa.

— I mówią, że wszyscy jesteśmy stworzeni na Jego obraz i podobieństwo — rzekł Ratliff.

— Sądząc po pewnych rzeczach, które widzę tu i tam, można powiedzieć, że i on został w ten sposób stworzony — rzekł Bookwright. >

— Nie wiem, czybym w to uwierzył, nawet gdybym wiedział, że to prawda. Mówisz, że zjawił się po prostu tutaj któregoś dnia?

— Czemu nie — powiedział Bookwright, — i Nie on pierwszy.

— Oczywiście — powiedział Ratliff. — Musiał przedtem gdzieś być. — Dziwny stwór skreślił teraz w bramę do pani Little- john.

— Śpi w stodole — powiedział tamten. — Ona mu daje jeść. Coś tam dla niej robi. Pani Littlejohn potrafi jakoś się z nim porozumieć.

— W takim razie to ona jest zrobiona na Jego podobieństwo — powiedział Ratliff. Odwrócił się; trzymał jeszcze w ręku cukierek, włożył go do ust i otarł palce w połę płaszcza. — No, więc jak z kolacją?



— Najpierw jeźdź po twoje kozy — powiedział Bookwright. — Potem dopiero myśl o jedzeniu.

— Pojadę jutro — powiedział Ratliff. — Może do tego czasu wuj Ben będzie miał jeszcze pięćdziesiąt nowych. — „Albo może pojutrze — myślał idąc w kierunku, skąd w ostrym chłodzie marcowego zmierzchu dobiegał miedziany dźwięk gongu na kolację u pani Littlejohn. — W ten sposób będzie miał dużo czasu. Bo zdaje się, że dobrze to załatwiłem. Musiałem brać pod uwagę nie tylko to, co jak myślę, on wie o mnie, ale to, co on sobie musi wyobrażać, że ja wiem o nim, unieszkodliwiony i odcięty od świata przez ten rok choroby. Ale z Bookwrightem się udało. Zrobił wszystko, co mógł, żeby mnie ostrzec. Poszedł tak daleko, jak człowiek może pójść, kiedy się miesza c!o cudzych spraw, a nawet dalej”.

Toteż nazajutrz nie tylko nie pojechał do właściciela kóz, ale zrobił sześć mil w przeciwnym kierunku, żeby sprzedać maszynę do szycia, której nawet nie miał z sobą. Spędził tam noc i wrócił do zaścianka dopiero w południe na drugi dzień i zatrzymał wóz przed sklepem przy jednym ze słupów ganku, gdzie stał już uwiązany gniady koń Varnera. „Więc teraz już jeździ na koniu — myślał. — No, no.” Nie wysiadł z wozu. — Czy może mi ktoś z was podać cukierków za piątkę? — zapytał. — Będę musiał przekupić wuja Bena przez któregoś z jego wnu

cząt. — Jeden z ludzi wszedł do sklepu i wyniósł mu cukierki. — Wrócę na obiad — powiedział. — Potem będę gotów, żeby jakiś młody, znajdujący się w potrzebie doktor znowu mnie krajał.

Cel jego podróży nie był daleki: niespełna mila do mostu na rzece i trochę ponad milę za mostem. Podjechał do schludnego, dobrze utrzymanego domku z ogromną stodołą i rozciągającym się za nim pastwiskiem. Zobaczył kozy. Czerstwy, mocno zbudowany staruszek siedział w skarpetkach na werandzie. — Jak się masz, Vik? — zawołał. — Co wy tam wszyscy knujecie u Varnerów?

Ratliff nie wysiadł z wozu. — A więc mnie pobił — powiedział. — Pięćdziesiąt kóz! — zawołał tamten. — Słyszałem o takim, co płacił dziesiątkę za to, żeby się pozbyć dwóch albo trzech kóz, ale nigdy, jak żyję, nie słyszałem, żeby kto chciał kupić pięćdziesiąt.

— Sprytny jest — rzekł Ratliff — jeżeli kupił pięćdziesiąt sztuk to dlatego, że wie z góry, że będzie potrzebował akurat tyle.

— Tak, sprytny. Ale pięćdziesiąt kózi Piekło i szatany, mam jeszcze stado, mniej więcej pełen kurnik. Chcesz je?

— Nie — powiedział Ratliff. — Chciałem tylko te pierwsze pięćdziesiąt.

— Dam ci je. Dopłacę ci nawet za to, żeby reszta zwolniła moje pastwisko.

— Dziękuję — powiedział Ratliff. — Trudno, włączę to do kosztów ogólnych.

— Pięćdziesiąt kóz — powtórzył tamten. — Zostań przynajmniej na obiedzie,

— Nie, dziękuję. Zdaje się, że straciłem już dosyć dużo czasu na jedzenie. A w każdym razie na siedzenie i zajmowanie się byle czym. — Wrócił więc do zaścianka. Krzepkie kuce przebyły tę długą milę, a potem tę krótką, szybkim, nierównym kłusem. Gnady koń stał ciągle przed sklepem, a ludzie wciąż siedzieli na ganku, ale Ratliff nie zatrzymał się. Pojechał dalej do pani Littlejohn, uwiązał konie u płotu i poszedł usiąść na werandzie, skąd mógł widzieć sklep. Z kuchni dochodziły smakowite zapachy i wkrótce ludzie z ganku przed sklepem zaczęli wstawać i rozpraszać się, żeby pójść na obiad, ale gnady, osiodłany koń ciągle stał na miejscu. „Tak — myślał — przechytrzył Jody'ego. Człowiek bierze cudzą żonę i wte- ty można tylko zastrzelić go, żeby sobie ulżyć. Ale koń!”

Pani Littlejohn odezwała się za jego plecami: — Nie wiedziałam, że pan już wrócił. Pewnie będzie pan chciał zjeść obiad.

— Tak — powiedział. — Najpierw jeszcze wstąpię do sklepu. Ale zaraz wrócę. — Pani Littlejohn zniknęła w głębi domu. . Wyjął z portfela dwa weksle i rozdzielił je, wkładając jeden do wewnętrznej kieszeni marynarki, drugi do kieszonki koszuli i poszedł drogą w marcowym słońcu, deptając po rozgrzanej ziemi i wdychając zastygłe w bezruchu południowe powietrze. Wszedł po schodach i minął opustoszały ganek, poplamiony tytoniem i poharatany nożami. Wnętrze sklepu było jak piwnica, mroczne, chłodne, pachnące serem i skórą. Po chwili oczy przywykły do ciemności i wtedy zobaczył szarą czapkę, białą koszulę, mały krawat związany w kokardkę i twarz z poruszającymi się szczękami żującymi tytoń.

— Uprzedził mnie pan — powiedział Ratliff. — Ile?

Tamten odwrócił głowę i splunął do skrzynki z piaskiem pod wystyglým piecem.

— Pięćdziesiąt centów — powiedział.

— Zapłaciłem dwadzieścia pięć za kontrakt — powiedział Ratliff. — Należy mi się tylko siedemdziesiąt pięć. Mogę podrzeć kontrakt i oszczędzić sobie fatygi przewożenia ich do miasta.

— Dobrze — powiedział Snopes. — Ile pan daje?

— Wymienię je panu na to — Ratliff wyciągnął pierwszy weksel z kieszeni, do której go włożył.

Zobaczył, jak nowy i jeszcze bardziej nieprzenikniony cień obojętności i bezruchu owładnął tą twarzą bez wyrazu i ciężką masywną sylwetką na krześle za biurkiem. Na moment nawet szczęki przestały żuć tytoń, aJe zaraz zaczęły poruszać się na nowo. Snopes wziął kartkę papieru i spojrzał na nią. Potem położył ją na biurku, odwrócił się i splunął znowu do spluwaczki.

— Pan sobie wyobraża, że ten weksel wart

jest pięćdziesiąt kóz. — Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

— Tak — powiedział Ratliff. — Bo do tego dochodzi pewne zlecenie. Chce pan je usłyszeć?

Tamten patrzył na niego, poruszając szczękami. Poza tym nie ruszał się wcale, zdawało się nawet, że nie oddycha. Po chwili odpowiedział: — Nie. — Wstał bez pośpiechu. — W porządku — rzekł. Wydostał portfel z kieszeni, wyjął złożony papier i podał go Ratliffowi. Był to rachunek Quicka, kwitujący sprzedaż pięćdziesięciu kóz. — Ma pan zapalną? — spytał Snopes. — Ja nie palę. — Ratliff dał mu zapalną i patrzył, jak tamten przykłada ogień i trzyma płonący papier przez chwilę w rękę, potem wrzuca go, jeszcze w płomieniach, do blaszanki z piaskiem i wreszcie rozgniatą nogą spopielały papier. Potem spojrzął na Ratliffa. Ratliff się nie poruszył. I znów na chwilę Ratliff miał wrażenie, że szczęki tamtego zatrzymały się na chwilę. — No? — powiedział Snopes. — I co? — Ratliff wyciągnął drugi weksel z kieszeni. I teraz -wiedział na pewno, że szczęki przestały żuć. Nie poruszały się wcale przez całą minutę, podczas gdy szeroka, nieprzenikniona twarz zdawała się zawieszona jak balon nad wybrudzonym, zgniecionym papierem, a ręce przewracały go to na jedną, to na drugą stronę. Oczy spojrzwały znów na Ratliffa, ale w twarzy nie było ani znaku życia, nawet nie oddychały, jak gdyby ciało

nauczyło się w jakiś sposób użytkować własny, wchłonięty zapas powietrza. — Chciałby pan zrealizować to także — powiedział. Po- dał weksel z powrotem Ratliffowi. — Niech pan zaczeka — powiedział. Podszedł do drzwi w głębi pokoju i zniknął na chwilę. „Co to?” — pomyślał Ratliff i ruszył jego śladem. Ciężka, sztywna postać szła przed nim, w słońcu, w stronę ogrodu otaczającego stajnie. Ratliff patrzył, jak Snopes przechodzi przez furtkę i przecina pole na ukos w kierunku stodoły. Wtedy coś czarnego mignęło mu w oczach, gardło ścisnęło spazm mdłości. „Powinni byli mnie ostrzec — krzyknęło w nim coś. — Ktoś powinien mi o tym powiedzieć”. A potem przypomniał sobie: „Przecież mnie uprzedzili! Bookwright to zrobił. Powiedział: Jeszcze jeden. Ale że byłem chory, jakoś stępiałem i...” Był już teraz z powrotem przy biurku. Zdawało mu się, że słyszy stuk ciągniętego po ziemi drewnianego klocka, zanim wiedział, że to jest możliwe, chociaż w tej chwili słyszał go, kiedy Snopes wszedł i odwrócił się, cofnął, a klocek uderzył o drewniany stopień i próg; drzwi zasłoniła korpulentna postać rozsadzająca kombinezon, spoglądająca wciąż przez ramię na kawałek drzewa, który toczył się i uderzał o podłogę, póki wreszcie nie zaczepił i nie utknął za nogą kontuaru, skąd wyciągnęłoby go nawet trzyletnie dziecko, ale półgłówek szarpnęła tylko bezsilnie za sznurek i popłakiwała, wydając żałosne jęki, zdu

miony, rozkapryszony i przerażony, aż wreszcie Snopes kopnął nogą i uwolnił zaczepiony klocek. Podeszli do biurka, przy którym stał Ratliff: głowa kiwająca się bezwolnie, oczy, które raz, na chwilę, na sekundę otwały się i zobaczyły przed sobą podobne do Gorgony oblicze pierwotnej niesprawiedliwości, nie przeznaczone dla oczu człowieka, i oślepiły od blasku, puste, i na zawsze ogołoczone z wszelkiej myśli, i zaślinione usta otoczone mgiełką jasnego, miękkiego zarostu, — Powiedz, jak się nazywasz — rzekł Snopes. Półgłówek spojrzął na Ratliffa a kiwając woiąż głową, z otwartymi ustami, z których ciekła ślina. — Powiedz — nalegał Snopes bez żadnej niecierpliwości. — Jak się nazywasz?

— Ike H-mope — ochryłym głosem powiedział półgłówek,

— Powtórz jeszcze raz,

— Ike H-mope — potem zaczął się śmiać, ale niemal natychmiast odgłos ten przestał być śmiechem i Ratliff wiedział, że nigdy nie był śmiechem, tylko jakimś szlochaniem, którego nieszczęsny idiota nie mógł już opanować, bo pędziło na łeb na szyję, ciągnąc za sobą oddech, jak coś jeszcze żywego, wleczonego u butów galopującego kozaka na popisie konnej jazdy; jego oczy nad okrągłymi ustami były nieruchome i niewidzące.

— Dosyć — powiedział Snopes. — Cicho bądź. — Wziął w końcu półgłówka za ramię i potrzasał nim, póki płacz nie zaczął cichnąć w głuchym bełkotaniu. Snopes podprowadził kuzyna do drzwi popychając go naprzód. Ike szedł posłusznie, oglądając się ponad ramieniem na klocek z dwoma blaszanymi puszkami po tabace i już drewno miało zaczepić o tę samą nogę od kontuaru, ale tym razem Snopes kopnął je, zanim zdążyło utknąć. Zwalista postać, twarz odwrócona do tyłu, z obwisłymi wargami i spiczastymi uszami- fauna, spłowiały kombinezon, pękający na niewiarogodnie grubych, kobiecych udach, znów zasłoniły drzwi i znikły. Snopes zamknął drzwi i wrócił do biurka. Splunął znowu do skrzynki z piaskiem. — To jest Isaac Snopes — powiedział. — Jestem jego prawnym opiekunem. Chce pan zobaczyć papiery?

Ratliff nie odpowiedział. Patrzył na weksel Jeżący na tym samym miejscu na biurku, tam gdzie położył go Snopes wróciwszy od drzwi z tym samym słabym, ironicznym, nieprzeniknionym wyrazem, jaki miała jego twarz, kiedy patrzył na filiżankę kawy w restauracji przed czterema dniami. Wziął papier z biurka, choć jeszcze nie patrzył na Sno- pesa. — A więc jeśli ja sam wypłacę mu jego dziesięć dolarów, pan się nimi zajmie, jako jego opiekun. A jeśli zainkasuję te dziesięć dolarów od pana, będzie pan mógł znowu odprzedać weksel. Zostanie więc podjęty po raz trzeci. Bardzo pięknie. — Wyjął z kieszeni zapalki i podał je razem z wekslem Snopesowi. — Słyszałem, jak pan kiedyś powiedział, że nigdy pan jeszcze nie spalił

banknotu. Oto ma pan szansę przekonać się, jakie to jest uczucie. — Patrzyj, jak papier płonie, zlatuje i osiada jeszcze płonący na zapluty piasku blaszanki, zamieniając się w popiół, który znikł z kolei pod jego obcasem.

Dziesięć minut później schodził znowu po stopniach, oślepiiony na nowo blaskiem słonecznego dnia, na zakurzoną spokojną drogę. „Chwała Bogu, że ludzie nauczyli się prędko zapominać o tym, czego nie mają odwagi próbować leczyć” — mówił sobie idąc. Pusta droga lśniła mirażem wiosny: migotliwe jasnociemne drganie wiosennych pyłków kwiatnych. „Tak, myślał, zdaje się, że byłem ciężiej chory, niż mi się zdawało. Bo trafiłem kulą w płot, przegrałem na całej linii. Może kolacja dobrze mi zrobi”. Ale kiedy siedział sam w jadalni, nad talerzem, który przed nim postawiła pani Littlejohn, nie mógł jeść. Czuł, jak to, co wydawało mu się apetytem, opuszcza go przy każdym kęsie, ciężkim i bez smaku. Tak że wreszcie odstawił talerz na bok, policzył pięć dolarów zysku — trzydzieści siedem i pół, które miał zarobić na kozach minus dwanaście i pół, które kosztował go kontrakt i plus dwadzieścia za pierwszy weksel. Obgryzionym ołówkiem obliczył trzyletni procent od weksla na dziesięć dolarów plus kapitał (te dziesięć dolarów stanowiłoby jego prowizję przy sprzedaży maszyny, tak że nie była to w każdym razie realna strata) i dodał do pięciu dolarów inne rachunki i monety — obszarpane banknoty, wytarte monety, ostatnie grosze. Pani Littlejohn była w kuchni, zajęta przygotowywaniem zamówionych potraw, które sama podawała, i zmywała naczynia, sprząając także pokoje, gdzie nocowali jej stołownicy. Położył pieniądze na stole koło zlewu. — Ten... jakże on się nazywa? Ike, Isaac. Mówiono mi, że pani trochę go pod- karmia. Nie potrzebuje pieniędzy, ale może czasem...

— Dobrze — powiedziała. Wytarła ręce w fartuch, wzięła pieniądze, ułożyła starannie i stała przez chwilę trzymając je w ręku. Nie przeliczyła ich. — Przechowam to dla niego, może pan być spokojny. Jedzie pan teraz do miasta?

— Tak — powiedział. — Muszę się czymś zająć. Nie wiadomo, kiedy znowu spotkam innego młodego i gorliwego faceta, który umiera z głodu i nie zna innego sposobu zarobienia pieniędzy, jak tylko krajanie człowieka żywcem.

Odwrócił się, potem znowu przystanął, nie patrząc właściwie na nią, z tym samym lekko drwiącym wyrazem twarzy, która uśmiechała się teraz wesoło i sardonicznie zarazem.

— Chciałbym, żeby pani powtórzyła coś ode mnie Willowi Vamerowi. Ale to nie specjalnie ważne.

— Powtórzę mu — powiedziała pani Littlejohn. — Jeśli to nie za długie, to zapamiętam.

—To nin ino specjalnego znaczenia, ale gdyby pani przypadkiem zapamiętała, niech mu pani tylko powtórzy: „Natliff mówi, że to też jeszcze nin dowiedzione.” Hędzie wiedział, co to znaczy.

— Postaram się zapamiętać — powiedziała.

Poszedł do wozu i wsiadł. Nie potrzebował już wkładać palta, a następnym razem nie będzie nawet musiał go z sobą zabierać. Droga zaczęła płynąć pod lśniącymi kopytami małych krzepkich koni. „Po prostu poszedłem nie dość daleko — myślał. — Za wcześnie się wycofałem. Doszedłem do mo- menki, kiedy jeden Snopes podpala stodołę drugiemu Snopesowi i obaj Snopesowie

0 tym wiedzą. Dotąd jakoś to jeszcze grało. Ale na tym się zatrzymałem. Nie doszedłem do momentu, kiedy pierwszy Snopes wraca

1 zdeptuje ogień, żeby polem móc zażądać nagrody od drugiego Snopesa, i obaj Snopesowie o tym też wiedzą.”

rj

Ci, którzy obserwowali subiekta, widzieli teraz nie tylko wywłaszczenie biednego kowala, ale zawładnięcie dziedzictwem. Podczas następnych żniw subiekt nie tylko prezydo- wał przy ważeniu bawełny, ale gdy przy- szedł moment dorocznego obrachunku między Varnerem a jego dzierżawcami i dłużnikami, Will Varner nawet się nie zjawił

osobiście. Snopes robi! ieraz lo, r/ego Varner nie pozwalał nigdy robić nawet swemu synowi: siedzi«} .sarn za biurkiem mając przed sobą gotówkę za sprzedane plony i książki z rachunkami, likwidował rachunki, odłączając długie i przydzielając każdemu z dzierżawców jego część z pozostałych pieniędzy. Ten i ów kwestionował cyfry, tak jak wtedy, gdy subiekt po raz pierwszy zjawił się w sklepie, może dia zasady, Snopes jednak nie słuchał, czekał tyiko, póki nie skończą, nie ucichną, siedząc za biurkiem w swojej wybrudzonej białej koszuli, z maleńkim krawatem w kokardkę, żując bez przerwy tytoń i spoglądając matowymi, spokojnymi oczyma, o których ludzie nigdy nie wiedzieli, czy patrzą na nich, czy nie. Połom bez słowa bruł ołówek i papier i dowodził im, że się mylą. Teraz to już nie Jody Varner wchodził nonszalancko do sklepu i dawał instrukcje subiektowi, kazać mu je wykonywać, teraz to eks- •subiekt szedł dumnie po słopniach, kiwając głową w odpowiedzi na ukłony ludzi na ganku, zupełnie tak samo, jak to robił Will Varner, i wchodził do sklepu, skąd teraz dobiegał dźwięk jego głosu, kiedy krótko i rzeczowo zwracał się do rozwścieczonego i oszołomionego człowieka, który niegdyś był jego pracodawcą i który dotychczas zdawał się nie wiedzieć dokładnie, co się z nim stało. Potem Snopes odchodził i więcej go już w ciągu dnia nie widziano, bo stary, biały koń Willa Varnera miał teraz towarzysza. Był

to gniadosz, na którym przedtem jeździł Jody, a teraz siwek i gniady stały obok stable uwiązane?»? przy tym samym płocie, podczas gdy Varner i Snopes dokonywali irtsp^lacji pól ba wolny i kukurydzy albo trzód bydła, albo granic ziemi: Varner wesół jak szczy- gielek, chytry i bezlitosny jak poborca po\* datków, leniwy, zaafowany i rabelesowski, i Snopes bez przerwy żujący tytoń, z rękoma w kieszeniach nędznych, wygniecionych spodni, wypluwający od czasu do czasu brązową śliną niby kulki 6rutu, Pewnego ranka zjawił się we wsi z nowym wyplatany ze słomy kuferkiem. Tego samego wieczora zaniósł go do domu Varnerów. W miesiąc później Varner kupił nowy powóz z jaskrawo- czerwonymi kołami i zdobną we frędzle buda. Biały, tłusty koń i ogromny gniadosz w nowej, nabijanej miedzianymi gwoździami uprzęży, ciągnąc pojazd o migoczących karmazynową czerwienią kołach i szprychach, przebiegały przez cały dzień po bocznych drogach i uliczkach wsi, podczas gdy Varner i Snopes siedzieli obok siebie ponad wzbijającą się? spod kopyt chmurą kurzu, w gorączkowej atmosferze stałej, niezmiennej wycieczki. A pewnego popołudnia tego samego lata Ratliff znowu zajechał przed sklep i ujrzał na ganku twarz, której nie poznał od razu, ho widział ją tylko raz w życiu, i to dwa lata temu. Ale to trwało tylko chwilę, bo niemal natychmiast powiedział: — Dzień dobry Maszyna jeszcze dobrze się sprawuje-? i patrzył z upr/<jmyrn i absolut\* nie nieprzeniknionym 'wyrazem na U\* wrogą, nieprzystępną iw ars, przekreśloną łukiem jednej brwi, my#Jąc: „f.isi Kol? Ach tak, Mlnk!" \*.

— Dzień dobry — odpowiedział tamten. — Dlaczego nie ma dobrze się sprawować? Czy pan nie twierdził, że sprzedaje Tylko dobie maszyny?

— Oczywiście — powiedział PaMiff, jak zawsze gładki, nieprzenikniony. Wsiadł z wozu, uwiązał go przy słupie ganku, wszedł po schodach i znalazł się pomiędzy czterema iudźml, siedzącymi w kucki, — Tylko te Ja bym to powiedział Inaczej, Powiedziałbym: Ci, którzy się nazywają Snopes, nie kupują innych. — Wtedy usłyszał tętent kopyt, odwrócił głowę i zobaczył Houstooa nadjeżdżającego pędem i pięknego psa biegnącego lekko i silnie pr2y koniu. Houston osadził konia zsiadając niemal w biegu i rzucając luźne cugle przerzucone ponad głową zwie\* rzęcf», jak robią jeźdźcy z zachodu, wszedł na górę po stopniach i zatrzymał się przy słupie, przy którym siedział w kurki Mlnk Snopes.

— Myślę, że pan wie, gdzie jest pański cielak? — powiedział Houston,

— Domyślam się — odpowiedział Snopes.

— Bardzo dobrze — powiedział Houston. Mówił spokojnie, nie drżał tak, j k nie drży

ładunek dynamitu. Nie podniósł nawet głosu. — Ostrzegalem pana. Zna pan tutejsze prawo: Po siewach człowiek musi trzymać swoje bydło u siebie, inaczej ponosi konsekwencje.

— Spodziewalem się, że ma pan pola ogrodzone, tak żeby nie wpuścić cielaka — powiedział Snopes. Potem zaczęli się wzajemnie lżyć, rzucając twarde i krótkie przekleństwa, bez emfazy, jak uderzenia pięści albo strzały rewolwerowe. Obaj mówili równocześnie i żaden się nie ruszył, jeden stał w połowie schodów, drugi wciąż siedział w kucki na ganku, oparty plecami o słup. — Niech pan spróbuje dubeltówki — powiedział Snopes. — To go może wstrzyma. — Potem Houston wszedł do sklepu, a ci na ganku dalej siedzieli spokojnie, człowiek z jedną brwią niemniej spokojny od innych, a po chwili Houston ukazał się znowu i przeszedł obok nich nie patrząc na nikogo, wsiadł na konia i ruszył galopem, a pies pobiegł za nim, silny, z wysoko podniesionym łbem, niestrudzony. Po chwili Snopes także wstał i odszedł drogą. Wtedy ktoś wychylił się i splunął ostrożnie ponad krawędzią ganku na zakurzoną drogę, a Ratliff powiedział:

— Nie zrozumiałem, co z tym ogrodzeniem. Zdawało mi się, że to cielak Snopesa wszedł na pole Houstona.

— Tak było — powiedział ten, który splunął. — On mieszka na tym kawałku ziemi, który dawniej należał do Houstona. Teraz należy do Willa Varnera, To znaczy Varner zajął go za długi mniej więcej rok temu.

— To znaczy, że Houston był winien pieniądze Varnerowi — powiedział drugi. — On mówił właśnie o płotach na tym terenie.

— Rozumiem — powiedział Ratliff. — To było tak sobie powiedziane. Niepotrzebnie.

— To nie o stratę tej ziemi chodzi Houstonowi — powiedział trzeci. — Chociaż on się łatwo wścieka,

— Rozumiem — powiedział znowu Ratliff. — O to, co się z nią stało przez ten czas. Albo raczej o to, komu dał ją w dzierżawę wuj Will. A więc Flem ma jeszcze więcej kuzynów. Tylko, że to zdaje się inny gatunek Snopesów, tak jak wąż wodny to inny gatunek węża. — Pomyślał, że to nie ostatni raz tamten sprawi kłopot swemu kuzynowi. Ale nie powiedział tego, powiedział tylko gładki, nieprzenikniony jak zwykle: — Ciekawym, gdzie teraz jest wuj Will i jego wspólnik. Jeszcze nie znam tak dobrze ich marszruty, jak wy.

— Dziś rano widziałem bryczkę i dwa konie przywiązane do płotu u Starego Francuza — powiedział czwarty, który także wychylił się i splunął ostrożnie ponad krawędzią ganku. Potem dodał jakby od niechcenia: — Flem Snopes siedział na tym krześle z beczki.



## KSIĘGA DRUGA EULA

## ROZDZIAŁ I

Wtedy Flem Snopes zaczął pracować jako subiekt w sklepie jej ojca, Eula Varner nie miała jeszcze trzynastu lat. Była najmłodszą z szesnastorga dzieci, be-niaminkiem rodziny, chociaż wzrostem doścignęła już i prześcignęła swoją matkę w dziesiątym roku życia. Teraz, choć nie ukończyła jeszcze trzynastego, była wyższa i tęższa niż większość dorosłych kobiet i nawet jej pięTsi nie przypominały już tych małych, twardych, ostro zakończonych stożków z okresu dojrzewania czy nawet pierwszej młodości. Przeciwnie, cała jej postać przywodziła na myśl pewną symbolistykę dawnych czasów dionizejskich — złocisty miód, dojrzałe winogrona, gęstą krew żywej winnicy krwawiącej pod twardymi kopytami lubieżnego kozła. Zdawało się, że nie należy do współczesnego, otaczającego ją świata, lecz raczej istnieje w pulsującej życiem próżni, w której dni jej mijały jeden za drugim jakby za dźwiękoszczelną szklaną ścianą, gdzie zdawała się słuchać w posepnym zdumieniu, ze znużoną mądrością odwiecznie dojrzałej samicy, jak rozwijają się jej własne organy. Tak jak jej ojciec była niepoprawnie le-

niwa, chociaż to, co w nim było stałym, zaferowanym i radosnym próżnowaniem, w niej było realną siłą, niezwyciężoną a nawet bezlitosną. Nie ruszała się nigdy i nigdzie z własnej woli, chyba że do i od stołu, do i z łóżka. Bardzo późno nauczyła się chodzić. Miała pierwszy i jedyny wózek dziecienny, jaki do tego czasu widziano w okolicy, niezgrabne i kosztowne pudło, prawie wielkości dwukółki. Używała go jeszcze długi czas, kiedy już przestała się w nim mieścić. Kiedy doszła do takiej wagi, że trzeba było prawie siły dorosłego mężczyzny, żeby ją podnieść i wyjąć z wózka, odebrano go jej przemocą. Wtedy zaczęła przesiadywać na krzesłach. Nie żeby żądała, by ją niesiono, kiedy musiała gdzieś iść. Raczej było tak, jakby już w dzieciństwie wiedziała, że nie ma takiego miejsca, gdzie by chciała iść, nic nowego i ciekawego na końcu żadnej drogi, że każde miejsce jest takie samo jak drugie, zawsze i wszędzie. Póki nie skończyła pięciu czy sześciu lat, ilekroć musiała wyjść z domu, bo matka nie chciała jej zostawiać podczas swojej nieobecności, nosił ją na g rękach służący, Murzyn. Stale widywano tę trójkę na drodze: pani Varner w odświętnej sukni i szalu, a za nią Murzyn zataczający się lekko pod ciężarem tego już niewątpliwie kobiecego ciała o długich, kiwających się nogach; coś jakby dziwaczne porwanie Sabinek w obecności przyzwoitki.

Miała lalki, jak wszystkie jej rówieśnice.

Sadzała je na krzesła, obok własnego krzesła, ale nie bawiła się nimi, i w żadnej nie było ani mniej, ani więcej czegoś, co dawałoby złudzenie życia niż w drugiej. Wreszcie ojciec kazał kowalowi zrobić wózek dla lalek, miniaturę tego, w którym sama spędziła trzy pierwsze lata życia. Był toporny i ciężki, ale jak tamten był to jedyny wózek dla lalek, jaki widziano i o którym kiedykolwiek słyszano w okolicy. Pakowała tam wszystkie lalki, a sama siedziała na krzesła obok. Z początku zdecydowano, że to niedorozwój umysłowy, że po prostu nie osiągnęła jeszcze tego stadium dojrzałości kobiety w miniaturze, wkrótce jednak zrozumiano, że jej brak entuzjazmu dla tej zabawki wynika z tego, że musiałyby się poruszać po to, żeby się nią bawić.

Od okresu niemowlęctwa do wieku ośmiu lat wyrosła na krzesłach, przenosząc się z jednego na drugie, kiedy zmuszała ją do tego konieczność, to znaczy zamiatanie i sprzątanie domu albo posiłki. Posłuszny naleganiom jej matki, Varner zamawiał wciąż u kowala miniaturowe sprzęty domowe — szczotki do zamiatania i maleńką prawdziwą kuchenkę, w nadziei, że znajdzie w tym pożyteczną zabawę, ale wszystkie te narzędzia, zbiorowo czy pojedynczo, nie były dla niej niczym więcej, niż dla starego pijaka szklanka zimnej herbaty. Nie miała żadnych towarzyszek zabaw, żadnych nieodłącznych przyjaciółek. Nie potrzebowała ich. Nigdy nie

znała tych gwałtownych, nieraz krótkotrwałych przyjaźni, w której dwie dziewczynki knują tajną kabałę przeciwko swym rówieśnikom męskiego rodzaju, a także światu dorosłych. Ona nie robiła nic. Równie dobrze mogłaby być płodem w łonie matki. Tak jakby tylko połowa jej się narodziła, bo umysł i ciało zostały albo całkowicie odseparowane od siebie, albo nierozdzielnie złączone i albo tylko jedno z nich wyszło na zewnątrz, albo jedno wyszło nie tyle razem z drugim, ile mając drugie w swoim łonie. — Może wyrosnie na chłopaka w spódnicy i będzie łązić po drzewach — powiedział jej ojciec. — Kiedy? — pytał Jody w przeblysku furii zrodzonej 7. bezsilnej rozpacz. — W tym tempie, w jakim ona się rozwija, żołądź rzucona w ziemię za pięćdziesiąt lat zdąży wyrosnąć na rozłożysty dąb i spróchnieć, i zostać ścięta na opał, zanim ona się wdrapie na drzewo.

Kiedy miała osiem lat, jej brat zdecydował, że będzie chodzić do szkoły. Rodzice również mieli ten zamiar, może głównie dlatego, że Will Varner był nominalnym opiekunem, a także główną podporą i założycielem szkoły. Było to, jak twierdzili inni rodzice w okolicy, jeszcze jedno z przedsięwzięć Varnera i prędzej czy później Varner życzyłby sobie, żeby jego córka uczyła się w szkole, choćby przez pewien czas, tak jakby uważał za konieczne ściągnąć ostatnie centy z jakiegoś obliczenia procentowego.

Panią Varner mało obchodziło, czy jej córka ma chodzić do szkoły, czy nie. Ona sama była jedną z najlepszych gospodyń w okolicy i to pochłaniało jej energię. Znajdowało fizyczną przyjemność, nie mającą nic wspólnego z prostą satysfakcją przewidującego rolnika, w odkładaniu wyprasowanych prześcieradeł albo widoku zastawionych półek, piwnic pełnych kartofli, czy girland wędzonek zdobiących belki stropu. Nigdy nic nie czytała, choć w momencie zamążpójścia umiała trochę czytać. Ale już wtedy rzadko tę umiejętność wykorzystywała, a w ciągu ostatnich czterdziestu lat w ogóle zarzuciła ten obyczaj, woląc mieć do czynienia z wydarzeniami z życia, które mogła komentować i moralizować na ich temat. Toteż nie widziała żadnej potrzeby umiejętności pisania i czytania dla kobiety. Uważała, że właściwego łączenia składników żywności szukać należy nie w jakiegokolwiek drukowanej książce, ale w smaku łyżki, mieszającej potrawę, i że gospodyni, która potrzebuje edukacji szkolnej, żeby wiedzieć, ile ma pieniędzy po odjęciu tego, co wydała, nigdy nie będzie dobrą gospodynią.

To jej brat, Jody, wystąpił nagle w ósmej wiosnie jej życia, jako rzecznik erudycji i w trzy miesiące później gorzko tego żałował. Żałował nie tego, że to on sam nalegał, by chodziła do szkoły. Chodziło mu o to, że był dotychczas przekonany i wiedział, że nadal pozostanie przekonany o potrzebie tego,

za co teraz zapłacił tak drogo. FJo Eula odmówiła rhodzenia do Mkoiy piechotą. Nie miała nic przeciwko lekcjom »ni obecno&c: w r.zkole, po pro:»tu nie chciała chodzić tam na piechotę. Szkoła nie była daleko, Niecałe pół roili od domu Varner6w. A jednak przez pi#//; Jat nauki (którą, licząc według godzin poświęconych wysiłkowi umysłowemu, na- Jc/.ałoby rriierzyć nie w Jatach ζ»ni nawet w miesiącach, ale w dniach) wwożono ją tam w jedną i drugą stronę, Jeździła na koniu, podczas gdy inni; dzieci, zamifefczkałe o t/zy i cztery, i pięć mil od szkoły, chodziły na piechotę larn i z powrotem bez względu na pogody. Po prostu spokojni': i bez dyskusji tri mówiła chodzenia. Nie odwoływała się do łez, ni o stawiała nawet oporu emocjonalnego, a cöz dopiero fizycznego. Po prostu siedziała nie ruszając się z miejsca, nie rnylJąc nawet, pełna ubliżającej i nietykalnej przewrotności, jak radowy i przekorny źrebak, za młody je«zczc, żeby mieć specjalną wartoić, choć mógłby ją uzyskać za rok czy dwa i dlatego wżciekły i zrozpaczony właściciel nia o4mieJa aię go chłostać batem. Ojciec od razu i we właściwy «obie sposób umył od tego ręce. - - Niech siedzi w domu — powie- dział — tutaj też palcem o palec nie uderzy, ale przynajmniej dowie się czegoś o gospodarstwie, jeśli będzie zmuszona przenosić się z krzesła na krzesło, żeby zejść z drogi. Tak czy owak nie chodzi nam o nic więcej, tylko żeby mieć z nią spokój, póki nie dorodnie na tyle, żeby mogła sypiać z mężczyzną bez groźby aresztowania dla r/wie f/y dla niego. Wtedy będzie jii możny wydać za mąż. Możę uda się znaleźć jej takiego męża, który by jednocześnie przygarnął Jody'ego, żeby chłopak nie musiał iść do przytułku. Oddamy im dom i «klep, i cały majdan, a my z tobą pojedziemy s\*»bie na ten światowy kiermasz, co to podobno odbywa się w Saint Louił, a jeill nam się tam »podoba, kupimy sobie namiot i osiadziemy tam na 5.lale.

Ale brat nalegał, żeby chodziła do szkoły. Nadal odmawiała chodzenia na piechoty l siedziała cicho, miękka, kobieca i nieruchoma nie mydląc i nawet, jak się zdawało, nie kichając, kiedy batalia między matką a bratem toczyła oię ponad jej apokojną głowa- Toteż w końcu Murzyn, który nosił w, kiedy matka ftzła z wizytą, wyprowadził z szopy rodzinny ekwipaż i jeździł z nia co dzień pół mi/i do szkoły i czekał tam w południe albo 0 t//ecie, kiedy kończyły się lekcje. Trwało to dwa tygodnie. Potem pani Varner położyła temu koniec, bo wydawało jej »i<\* marnotrawstwem, tak jak marnotrawstwem było ugotować dwudziestogalonowy kocioł zupy dla jednej osoby. Postawiła ultimatum: je/.ii Jody chce, żeby jego siostra chodziła do szkoły, sam musi tego dopilnować. Ponieważ i tak jeździ co dzień konno do sklepu 1 z powrotem, może wziąć łużę na siodło i za- wieźć ja do szkoły i z powrotem. Podczas dysputy szalejącej, zanim utknęła, jak zwy

kle, na martwym punkcie, Eula siedziała znowu na stopniach ganku, nie myśląc i nie słuchając, z taną ceratową teczką na książce, którą jej kupiono, póki brat nie podjechał i nie krzyknął, żeby zesłała i usiadła za nim. Zawoził ją do szkoły, a potem przyjeżdżał po nią w południe i czekał, aż skończą się lekcje. To trwało prawie miesiąc. Potem Jody zdecydował, że ma przejść na piechotę dwieście jardów ze szkoły do sklepu i tam się z nim spotkać. Ku jego wielkiemu zdumieniu zgodziła się bez protestów, To trwało dokładnie dwa dni. Drugiego dnia po południu brat przywiózł ją, pędząc co koń wyskoczy, i wpadł do domu z furią, — Nic dziwnego, że tak prędko zgodziła się chodzić do sklepu i czekać tam na mnie — krzyczał do matki, stojąc w hallu i trzęsąc się ze złości i oburzenia. — Gdyby ustawić mężczyznę co sto kroków, chodziłaby piechotą przez całą drogę. Zupełnie jak suka! Jak tylko przechodzi koło stworzenia w długich spodniach, dostaje gorączki! Można to wyczuć na dziesięć kroków!

— Głupstwo — powiedziała pani Varner. — Zresztą nie zawracaj mi tym głowy. Sam się upierałeś, żeby chodziła do szkoły, nie ja. Wychowałam osiem innych córek i wszystkie powyrastały jakoś szczęśliwie. Ale jestem gotowa się zgodzić, że dwudzie- stoośmioletni kawaler może lepiej o tych rzeczach wiedzieć ode mnie. Jeżeli chcesz, żeby przestała się uczyć, możesz być pewien, że ani ja, ani twój ojciec nie będziemy się sprzeciwiali. Przywiozłeś mi cynamon?

— Nie —■ powiedział Jody. — Zapomniałem.

— Postaraj się nie zapomnieć wieczorem. Bardzo mi jest potrzebny.

Toteż skończyły się piesze spacerunki ze szkoły do sklepu. Brat czekał na nią w szkole. Już od pięciu lat widok ten stał się nieodłączną częścią życia wsi, oglądany cztery razy na dzień przez pięć dni w tygodniu: gniady koń, niosący na grzbiecie rozszoszczonego, ziejącego furią mężczyznę i dziewczynkę, której nawet w dziewiątym, dziesiątym i jedenastym roku życia było za dużo: za dużo nóg, za dużo piersi, za dużo pośladków, za dużo rozlanego miękkiego ciała, które w zestawieniu z jaskrawą ceratową teczką, na pierwszy rzut oka dającą się rozpoznać jako teczka na książki dla klas wstępnych, stanowiło obelżywą karykaturę wszelkiej idei edukacji. Nawet siedząc na siodle za swoim bratem istota zamieszkująca w tym ciele zdawała się prowadzić dwa odrębne i rozdzielone życia jak niemowlęta w czasie karmienia piersią. Istniała jedna Eula Varner, dostarczająca krwi i pokarmu nogom, pośladkom i piersiom i druga Eula Varner, która tylko w nich mieszkała i szła tam, gdzie szły one, bo to było mniej kłopotliwe i czuła się z tym wygodnie, ale nie brała udziału w ich pracy, tak jak człowiek mieszkający w domu, którego nie kazał zbudować, ale

w którym wszystkie meble są na miejscu i czynsz zapłacony. Pierwszego dnia rano Varner popędził konia szybkim klusem, żeby jak najprędzej z tym skończyć, ale niemal natychmiast uczył za sobą ciężar całego tego ciała, które nawet usadowione nieruchomo na krześle zdawało się wykazywać nieprzewycięzoną awersję do linii prostych, opierając swe bezkosztne okrągłości o jego plecy. Widział samego siebie wiozącego — nie tylko przez cały widnokrąg zaścianka, ale przez całą olbrzymią scenę zamieszkałego świata, ogromnego jak samo słońce — kalej- doskopiczny zwój elips samicy. Toteż zwolnił krok do stępa. Musiał zresztą, gdyż siostra jedną ręką czepiała się jego szelek albo poły surduta, a w drugiej trzymała teczkę. Tak przejeżdżali przed sklepem, gdzie na ganku siedziała w kucki urzędująca tu zwykle grupa mężczyzn, i przed werandą pani Littlejohn, gdzie zazwyczaj siedział jakiś komiwojażer czy handlarz końmi (i Varner przypuszczał teraz, był przekonany, że wie także, dlaczego oni tu są, zna prawdziwą przyczynę, dla której przybyli dwadzieścia mil z Jefferson) aż do samej szkoły, gdzie już zebrały się inne dzieci w kombinezonach i tanich perkalikach, i zniszczonych butach matki czy ojca — jeśli w ogóle były obute — po przejściu na piechotę czterech czy pięciu mil. Zsuwała się z konia, a jej brat stał jeszcze chwilę piniąc się ze złości, patrząc za oddalającą się sylwetką, która już nauczy- profesor, staruszek, był z natury skłonny do pijaństwa i jeszcze bardziej skłaniała go ku temu niesubordynacja jego uczniów. Dziewczynki nie miały respektu dla jego poglądów ani wiedzy, ani umiejętności ich przekazywania, a chłopcy absolutnie nie uważali go za kogoś, kto mógłby, już nie nauczyć ich czegoś, ale zmusić do posłuszeństwa czy nawet przyzwoitego zachowania i grzeczności — stan rzeczy, który od dawna przekroczył stadium zwykłej niesforności i stał się czymś w rodzaju rzymskiej bukoliki, jak szczucie bezzębego, wynędzniałego niedźwiedzia.

Tak więc wszyscy, nie wyłączając samego nauczyciela, wiedzieli, że nie będzie on już pełnił tej funkcji w następnym roku. Ale nikogo specjalnie nie interesowało, czy szkoła będzie funkcjonowała w przyszłym roku, czy nie. Byli właścicielami szkoły. Zbudowali ją sami i płacili nauczycielowi, posyłali do niej swoje dzieci wyłącznie wtedy, kiedy nie było dla nich roboty w domu, tak że była otwarta tylko w okresie między żniwami a siewami, od połowy października do marca. Nie zrobiono jeszcze nic w sprawie znalezienia nowego profesora, aż pewnego dnia w lecie Varner pojechał przypadkowo w interesach do sąsiedniego powiatu, musiał tam przenocować i został zaproszony na nocleg do małej, ponurej, smaganej wiatrem chaty, z podłogą z nieforemnych desek, na małej jałowej farmie, w górach. Kiedy wszedł do cha

ty, zobaczył siedzącą przy wystyglým ognisku niewiarogodnie starą kobietę, która ssała brudną fajkę glinianą i miała na sobie ciężkie, męskie buty, niezwyklej formy i dziwaczne. Varner jednak nie zwrócił na nie uwagi, póki nie usłyszał za sobą głošnego tupania. Odwrócił się i zobaczył dziesięcioletnią mniej więcej dziewczynkę w podartej, choć zupełnie czystej perkalowej sukience i butach zupełnie takich samych jak buty staruszki, może nawet jeszcze większych. Zanim odjechał następnego ranka, Varner zobaczył w tym domu jeszcze trzy pary takich butów i ušwiadomił sobie, te nie są podobne do żadnych butów, jakie kiedykolwiek w życiu widział lub o jakich choćby słyšał. Jego gospodarz wytłumaczył mu, co to jest.

— Co? — spytał Varner. — Piłka nożna?

— To taka gra — powiedział Labove. — Studenci w to grają na uniwersytecie. — Wytłumaczył mu to obszerniej. Chodziło

o jego najstarszego syna. Nie było go teraz w domu, pracował na tartaku, żeby zarobić

i wrócić na uniwersytet, gdzie był przez jeden normalny kurs letni i pół następnego semestru akademickiego. Wtedy to na uniwersytecie zaczęto uprawiać ten sport i stąd pochodziły buty. Syn chciał się uczyć, żeby zostać nauczycielem, tak przynajmniej mówił, kiedy wyjechał na uniwersytet pierwszy raz. To znaczy chciał studiować. Ojciec nie widział w tym żadnego pożytku. Farma była

wolna od długów i miała kiedyś przypaść w udziale synowi i zawsze dawała tyle, że mogli żyć. Ale syn nalegał. Mógł pracować na tartakach i oszczędzić dosyć, żeby zapisać się na kurs letni, i uczyć się na profesora, ponieważ tylko tego uczono na letnich wykładach. Miał wrócić do domu pod koniec lata, żeby pomóc przy ukończeniu zbiorów. — Zarobił więc pieniądze pracując ciężiej niż na farmie — powiedział stary Labove. — Ale miał blisko dwadzieścia jeden lat. Choćbym chciał, nie mogłem mu bronić, żeby robił, jak mu się podoba, i zapisał się na kurs letni, który miał trwać osiem tygodni, tak że powinien wrócić w sierpniu, ale nie wrócił. — Przyszedł wrzesień, a syn wciąż nie wracał. Nie wiedzieli nawet, gdzie jest, ale nie tyle byli niespokojni, co zmartwieni, a nawet trochę urażeni, że zostawił ich samych, kiedy tyle było roboty w polu: zebrać i odziarniać bawełnę, ściąć i zwieźć do stodół kukurydżę. W połowie września nadszedł od niego list. Miał zostać jeszcze na uniwersytecie przez całą jesień: dostał tam robotę, muszą poradzić sobie przy żniwach bez niego. Nie pisał, o jaką robotę chodzi, i ojciec był pewien, że znowu pracuje na tartaku, bo nigdy by nie mógł skojarzyć płatnego zajęcia z nauką. I znów nie mieli

o nim wiadomości do października, kiedy przyszła pierwsza paczka. Zawierała dwie pary dziwacznych, podkutych butów. Trzecia para przyszła na początku listopada, a dwie



ostatnia para zaraz po Święcie Dziękczynienia, to znaczy pięć par, chociaż było ich w rodzinie siedmioro. Toteż używali ich bez prawa własności jak parasola, kto znajdował wolną parę butów, wkładał ją na nogi — „To znaczy cztery pary” — wyjaśnił Labove. Staruszka (bobka starego Labove) upatrzyła sobie od razu pierwszą parę, która wynurzyła się z pudełka, i nie pozwoliła ich nosić nikomu innemu. Lubiała słuchać kołyszac się w fotelu na biegunach, jak blaszki na podszwach uderzają o podłogę. Ale były jeszcze cztery inne pary. Tak że teraz dzieci mogły chodzić obute do szkoły i wróciwszy do domu zdejmowały buty z nóg, do dyspozycji kogoś z rodziny, kto musiał wyjść. W styczniu syn wrócił do domu. Opowiedział im o tej grze. Grał w nią przez całą jesień. Pozwolili mu zostać na uniwersytecie przez cały trymestr jesienny za to, że grał. Buty im dawano za darmo.

— W jaki sposób zdobył aż sześć par? — spytał Varner.

Labove nie wiedział. — Może mieli ich dużo w tym roku. — Oprócz tego na uniwersytecie dali synowi sweter, piękny gruby, granatowy sweter z wielką czerwoną literą M naszytą na przodzie. Sweter także zabrała prababka, chociaż był na nią za duży. Nosiła go w niedzielę, zimą i latem, kiedy jeździli wszyscy do kościoła. W pogodne dni czerwona litera, barwy odwagi i hartu, lśniła jak rycerski sztandar w słońcu, a w dni s /are, przyćmiona i mniej jaskraw/, u Je jeszcze czerwona, jeszcze waleczna rozpościerała się no wyschniętej piersi i brzuchu staruszki, kiedy ta siedziała kołyszac się m krześle i ssąc zgasły gliniany fajkę.

— Więc teraz też tarn jest? — spytał Varner. - Ora w piłkę nożną?

— Nie — powiedział rnu I .above. - - Teraz pracuje na tartaku. Obliczył, że pracując zamiast uczyć się podczas kursu letniego oszczędzi dosyć pieniędzy, żeby pozostać na uniwersytecie, nawet gdyby przestali go tam trzymać dla gry w piłkę, i w ten sposób będzie miał za sobą pełny rok regularnych studiów, zamiast kursu letniego, gdzie tylko uczono ludzi na nauczycieli w szkole wiejskie).

— Myślałem, że on chce być nauczycielem — powiedział Varner.

— Nie — odparł Labove. — Ale tylko tego mógł się uczyć w letniej szkole. Pewnie się pan będzie śmiał, jak pan to usłyszysz. On mówi, że chce być gubernatorem.

— Naturalnie — powiedział Varner.

— Będzie się pan śmiał.

— .....Nie — powiedział Varner. - Wcale się nie śmieję. Gubernator, fiardzo dobrze. Następnym razem, jak go pan zobaczy, proszę mu powiedzieć, że gdyby chciał odłożyć sprawę gubernatorstwa na rok albo dwa i uczyć w szkole, niech przyjedzie do Sadyby Francuza i porozumie się ze mną.

Było to w lipcu. Może Varner nie spodzio-

wał się właściwie, że Labove przyjedzie z nim się porozumieć. Ale nie zrobił żadnego dalszego wysiłku, żeby wypełnić wakujące miejsce, o którym z pewnością nie zapomniał. Niezależnie od swoich obowiązków kuratora szkoły miał własne dziecko, które za rok albo dwa zacznie chodzić do szkoły. Pewnego popołudnia na początku września leżał bez butów w swoim hamaku, rozwieszonym między dwoma drzewami na podwórzu swego domu, kiedy zobaczył zbliżającego się i przechodzącego przez podwórze człowieka, którego nie widział przedtem nigdy w życiu, a jednak poznał od razu człowieka, który był nie tylko chudy, ale składał się wyłącznie ze skóry i kości; miał czarne włosy, proste jak druty i twarde jak koński ogon, wydatne kości policzkowe jak Indianin, bladoniebieskie, spokojne oczy, długi nos myśliciela, ale z lekko wygiętymi nozdrzami, znamionującymi dumę, i cienkie wargi, zdradzające ukrytą bezlitosną ambicję. Była to twarz sędziego, twarz wyrażająca niezłomną wiarę w moc słowa jako zasadę, dla której warto umrzeć, jeśli trzeba. Tysiąc lat temu byłaby to twarz mnicha, bojowego fanatyka, który by odwrócił się od świata z prawdziwą radością, poszedłby na pustynię i spędził resztę swoich dni i nocy spokojnie i bez chwili zwątpienia w siebie, walcząc nie o zbawienie ludzkości, o którą bynajmniej nie dbał i dla której cierpień nie miał nic prócz pogardy, ale przeciwko własnym dzikim i nienasyconym żądom.

— Przyszedłem panu powiedzieć, że nie mogę uczyć w pańskiej szkole w tym roku — powiedział. — Nie mam czasu. Załatwiłem sprawy tak, żebym mógł studiować na uniwersytecie przez cały rok.

Varner nie wstał z hamaka. — To tylko jeden rok. A następny?

— Umówiłem się z właścicielem tartaku. Wrócę tam na następne lato. Albo może będę robił co innego.

— Tak — powiedział Varner. — Sam

o tym trochę myślałem. Bo szkoła tutaj nie musi być otwarta wcześniej niż pierwszego listopada. Może pan do tego czasu być w Oxfordzie i grać sobie w piłkę. Potem może pan tu przyjechać, otworzyć szkołę i zacząć lekcję. Może pan tu przywieźć swoje książki z uniwersytetu i uczyć się z nich dalej, a tego dnia, kiedy będzie pan miał mecz, może pan pojechać do Oxfordu i zagrać i niech oni sprawdzą, czy pan dosyć pilnie ślęczał nad książkami i czy się pan czegoś nauczył, jednym słowem, co tam będą chcieli wiedzieć. Potem pan może wrócić do szkoły, nawet dzień czy dwa nie robią różnicy, dam panu konia, który pana zawiezie w osiem godzin. Stąd do Oxfordu jest tylko czterdzieści mil. A w styczniu, jak przyjdą egzaminy, o których mi mówił pański ojciec, może pan zamknąć szkołę i znów pojechać i siedzieć tam, póki pan nie załatwi swoich

praw, Potom mo/o pan zakończyć lula] lekcjo w marcu i wrócić Uuu nu resztę roku, a/, do końca następnego października, jeśli pan clut\ Uważam, że kto naprawdę chce, nie będzie mu Irudno studiować przy czterdziestu milach odległości. Więc juk?

Varner już od jakiegoś czasu wiedział, że tamten przestał na niego patrzeć, chociaż sio, nie poruszył i jogo oczy były wciąż otwarte,

I.nbove siał nieruchomo w białej, idealnie czystej koszuli, pranej widocznie lak częsło, że była cieniutka jak siatka nu moskily, w surducie i spodniach lakże absolutnie czystych, mimo że nic należały do lego samego garnituru, a surdut był trochę nu niego za ciasny, i Varner wiedział, że to jedyne spodnio i marynarka, jakie posiada, a posiada je, ponieważ przypuszcza, albo mu powiedziano, że nie można przychodzić w kombinezonie na uniwersyteckie wykłady. Siał tu, ogarnięty nie pełną niedowierzania radością i nadzieją, ale jakąś wyniszczającą furio, a jego kościste ciało zdawało się ukształtowane nie przez wpływ otoczenia, lecz skurczone i wyniszczone tym, co tkwiło wewnątrz niego, niby rozpalony piec. --- Dobrze - powiedział będąc lu na pierwszego listopada. — Odwracał się już, (jolów do odejścia.

Nie chce pan wiedzieć, juku będzie pańska pensja?

— Oczywiście — powiedział f.above, zatrzymując sic;. Varner powiedział mu, rrio ruszając się z hamaka, gdzie Jezał ze skrzy

żowanymi nogami w skarpetkach zrobionych w domu na drulach.

A tu gra w piłkę? - powiedział. Lubi pan to?

Nie - odpowiedział Lubove.

Słyszałem, że niewiele się różni od prawdziwej bójki.

- 'Tak • znowu krótko uciął I.above, uprzejmy i wyczekujący, patrząc nu bystrego starego człowieka bez butów, rozciągniętego leniwie w hamaku. Zdawało się, że tamten rzucił już na niego przekleństwo swego własnego, niezłomnego przekonania o absolutnej nieważności lego czy innego momentu, czy serii momentów i trzyma go tutaj i zmusza do myślenia o tym, o czym nigdy nikomu nie mówii i o czym nie zamierzał rozmawiać, ponieważ teraz nie miało to już znaczenia. Zaczęło się to przed końcem łuta ubiegłego roku. Zamierzał wrócić do domu z końcem Irymestru, zgodnie z daną ojcu obietnicą, że mu pomoże w ukończeniu zbiorów. Ale tuż przed końcem trymestru znalazł posadę właściwie spadła mu z nieba. Brakowało jeszcze dwóch czy trzech tygodni do zbieraniu i odziarniania bawełny, i urządził się już tak, że mógł zostać do połowy września przy niewielkich kosztach dodatkowych. Większość tego, co mógł zarobić, byłaby więc zyskiem na czysto. Przyjął posadę. Była to piaca przy budowie i urządzaniu boiska cło pi/kj nożnej. Nie wiedział wiec/y, co to jest boisko piłkarski«' i mało go to obchodzi\*

A

ło. Dla niego była to tylko sposobność zarobienia co dzień pewnej sumy pieniędzy i nawet nie zatrzymywał łopaty, myśląc od czasu do czasu, z zimną ironią o tej grze, dla której przygotowanie pola wymagało znacznie więcej pracy i kosztów niż przygotowanie takiego samego pola, gdzie rosłaby bawełna. Zaiste, gdyby poświęcić tyle czasu i pieniędzy dla jednego zbioru, powinno by się zebrać co najmniej złoto. Toteż kiedy we wrześniu zaczęto używać boiska, jeszcze zanim było skończone, wciąż jeszcze raczej z szyderstwem niż zaciekawieniem, odkrył, że młodzi ludzie, którzy po nim biegali, nie grają nawet na serio, tylko trenują. Obserwował ich przy tym. Prawdopodobnie obserwował bardziej uważnie albo przynajmniej częściej, niż to sobie uświadamiał, i musiało być w jego twarzy czy oczach coś, o czym nie wiedział, bo któregoś dnia jeden z nich (zorientował się już, że grą kieruje opłacany nauczyciel) powiedział do niego; — Myślisz, że zrobiłbyś to lepiej? Dobrze! Spróbujemy! — Tego wieczora siedział na schodach przed drzwiami domu trenera, w suchym, zakurczonym wrześnieowym mroku, powtarzając: „Nie” spokojnie i cierpliwie.

— Nie będę pożyczał pieniędzy po to tylko, żeby się pobawić — powiedział.

— Nie musisz pożyczać, mówiłem ci — powiedział trener. — Twoja nauka będzie opłacona. Możesz spać u mnie na poddaszu

i karmić mego konia i krowę, i rozpalać

ogień, a ja ci za to dam utrzymanie. Czy nie rozumiesz? — To nie jego twarz go zdradziła, bo rozmawiali po ciemku, i nie przypuszczał też, żeby to było w jego głosie. A jednak trener powiedział: — Rozumiem. Nie wierzysz mi.

— Nie — powiedział. — Nie wierzę, żeby ktokolwiek dawał mi wszystko za to tylko, żebym grał w piłkę.

— Chcesz spróbować i przekonać się? Zostaniesz tutaj i będziesz to robił tak długo, aż ktoś nie przyjdzie do ciebie i nie zażąda pieniędzy.

— A czy wtedy będę mógł odejść?

— Tak — powiedział trener. — Masz moje słowo.

Tak więc tego wieczora napisał do ojca, że nie przyjedzie na koniec żniw, a jeżeli będą musieli nająć kogoś do pomocy na jego miejsce, to on wyśle pieniądze. Dali mu treningowy dres i tego popołudnia, tak samo jak poprzedniego, kiedy jeszcze nosił kombinezon, w którym pracował, jeden z graczy nie mógł podnieść się od razu, więc wytłumaczyli mu to: że istnieją reguły w grze i nie wolno stosować metod brutalnych. Cierpliwie próbował zrozumieć, pojąć różnicę. — Ale jak doniosę piłkę do tej linii, jeżeli pozwolę im się złapać i przewrócić?

Nie opowiedział tego. Stał tylko przed hamakiem w swoim czyściutkim, nie dobranym do pary garniturze, opanowany i poważny, odpowiadając na pytania Varnera krótko .

i cicho „tak” i „nie”, podczas gdy tamto wszystko szybko, gładko przebiegało w jego pamięci, skończone, dalekie i nic już nie znaczące, kiedy sama jesień mijała szybko jak sen, jak obraz w teleskopie. Wstawał w swojej lodowatej izdebce na poddaszu o czwartej rano i rozpałał ogień w mieszkaniach pięciu profesorów, potem wracał, żeby nakarmić i wydoić krowę. Później wykłady, nauka

i destylowana wiedza o wszystkim, co człowiek kiedykolwiek mógł wymyślić i zgłębić, bluszczem pokryte mury i klasztorne pokoiki przesiąknięte tą wiedzą, obfitą, nie znającą granic prócz zdolności i zainteresowania słuchacza, popołudnia poświęcane na trening (wkrótce został z nich zwolniony i przychodził co drugi dzień, resztę popołudni spędzał grabiąc liście w pięciu ogródkach), przygotowanie węgla d drzewa do rozpalenia ognia na dzień następny. Potem znowu krowa, i wreszcie, otulony w palto, które mu podarował trener, zasiadał do książek pod lampą w swojej nie ogrzewanej mansardzie, czytając, póki nie zasnął nad zadrukowaną stronicy. Robił to przez pięć dni do sobotniego punktu kulminacyjnego, kiedy prznosił ten pozbawiony znaczenia, pogardy godzien, okrągły przedmiot przez uciekające

i niedorzecznie białe linie. A jednak w ciągu tych sekund, mimo pogardy i głębokiego uporu, mimo twardego, spartańskiego dziedzictwa, żył pełnią dzikiej swobody — odtrącająca z pogardą ziemia, ciężki oddech, chwytające

ręce, pośpiech, ryk mas zapelniających amfiteatr, jego twarz, nawet wówczas wyrażająca to sarkastyczne niedowierzanie. I buty. Varner obserwował go z rękoma założonymi pod głowę.

— A te buty? — spytał Varner.

„To dlatego, że nigdy naprawdę nie wierzyłem, że to potrwa aż do następnej soboty” — mógł odpowiedzieć Labove. Ale nie zrobił tego. Stał z rękoma opuszczonymi, patrząc na Varnera.

— Chyba zawsze ich mieli mnóstwo pod ręką — dodał Varner.

— Kupowali je hurtem. Zawsze mieli w zapasie wszystkie numery.

— Jasne — powiedział Varner. — Pewnie wystarczyło komuś powiedzieć, że stare buty na niego nie pasują albo że je zgubił.

Labove nie odwrócił wzroku. Stał spokojnie pc-trząc w oczy człowiekowi rozciągniętemu w hamaku. — Wiedziałem, ile kosztują buty. Próbowałem dowiedzieć się od trenera, ile warta jest para. Dla nich. Ile jest warte dotknięcie piłką ziemi za linią bramki przeciwnika. Ile jest wart wygrany mecz.

— Rozumiem, brał pan buty tylko wtedy, kiedy pan wygrał. I wysłał pan pięć par do domu. A ile razy pan grał?

— Siedem — powiedział Labove. — Raz było tak, że nikt nie wygrał.

— Rozumiem — powiedział Varner. — Dobrze. Teraz pewnie chciałby pan wrócić

do domu, zanim się zrobi ciemno. Będę miał tego konia gotowego na listopad.

Labove otworzył szkołę w ostatnim tygodniu października. W/ ciągu tego tygodnia stłumił przy użyciu pięści stan buntu, który zostawił mu w spadku jego poprzednik. W piątek wieczorem na koniu, którego mu dał Warner, przebył czterdzieści mil drogi do Oxfordu, był na rannych wykładach i grał w piłkę po południu, spał w niedzielę aż do południa, a o północy był już z powrotem na swoim łóżku z wypełnionym słomą siennikiem, w nie ogrzewanym pokoju wynajętym w Sadybie Francuza. Wynajmował go u pewnej wdowy, zamieszkałej w pobliżu szkoły. Posiadał na własność brzytwę, spodnie i marynarkę z dwóch różnych garniturów, dwie koszule, palto trenera, podręcznik prawa, wyroki sądowe stanu Missisipi, Horacego po łacinie i Tukidydesa po grecku — gwiazdkowy podarunek profesora klasyki, w którego domu co rano palili w piecach — i najjaśniejszy lampę, jaką kiedykolwiek widziano we wsi, niklową z wentylami, tłokami i z manometrem. Kosztowała niewątpliwie więcej niż cała reszta jego dobytku razem wzięta i kiedy ją stawiał na stole zбитym z nieheblo\* wanych desek, ludzie przychodzili z odległości kilku mil, żeby podziwiać jej ostry, nieruchomy blask.

Do końca tego pierwszego tygodnia znali go wszyscy — zgłodniałe usta, dumne spojrzenie bez odrobiny wesołości, wyrazista,

tsfzydka twarz powleczonego niebieskawym śladem golonego zarostu — portret Woltera a zarazem pirata z epoki elzbietafakiej. Mówiono też do niego „panie profesorze”, mimo że wyglądał na ty'e lat, ile miał — dwadzieścia jeden — i mimo że szkoła składała się z jednej tylko izby, gdzie zasiadali uczniowie od sześcioletnich dzieci do dziewiętnastoletnich mężczyzn, których szacunek musiał sobie wywalczyć pięściami, a program zaczynał się od samego abecadła, a kończył na rudymentach ułamków zwykłych. Uczył wszystkich wszystkiego. Nosił w kieszeni klucz od szkoły, tak jak kupiec nosi klucze od sklepu. Otwierał klasę co rano, zamiatał podłogę, rozdzielał między chłopców, zależnie od wieku i wzrostu, zajęcia takie jak noszenie wody i rąbanie drewna dopilnowując wykonania swych poleceń metodą perswazji, popychania i ośmieszania i pomagając im czasami, nie po to, żeby dać przykład, ale z jakąś niedbałą i pogardliwą fizyczną przyjemnością spalania nadmiaru energii. Bez litości zatrzymywał starszych chłopców po lekcjach, stojąc przed drzwiami, żeby zagrozić drogę i uprzedzić ich zamiary, kiedy próbowali uciec przez okno. Zmuszał ich, żeby z nim razem włązili na dach położyć nowe dachówki, czym dotychczas zajmował się Varner jako opiekun szkoły, kiedy nauczyciel dostatecznie znużył go narzekaniem

i skargami. Do późna w noc przechodnie widzieli blask patentowanej lampy w oknie

izdebki, gdzie śleczął nad książkami, które nie tyle lubił, ile uważał, że powinien je przeczytać, wchłonąć, wycisnąć z nich wszy\* stko do ostatniej kropli, z tą samą pogardliwą gorliwością, z jaką rąbał drzewo na opał, mierząc przewracane stronicie według uciekających sekund nieodwołalnego czasu, pełzających wolno i nieubłagane jak gąsienica, która obgryza liść.

W każdy piątek po południu wsiadał na krzepkiego konia Vamera i jechał do miejscowości, gdzie miał się odbyć następny mecz, albo do kolei, która mogła go tam dowieźć, niekiedy ledwie przybywając na czas, żeby się przebrać przed gwizdkiem. Ale zawsze był z powrotem w szkole na poniedziałek, choć czasem oznaczało to, że tylko przez jedną noc — sobotnią — mógł przespać się na łóżku między czwartkiem a poniedziałkiem. Po meczu na Święto Dziękczynienia, rozegranym między dwoma drużynami dwóch kolegów stanowych, jego fotografia ukazała się w gazecie z Memphis. Sfotografowany w pełnym rynsztunku i dlatego większość mieszkańców wsi nie rozpoznałaby go na zdjęciu. Ale umieszczono tam jego nazwisko i to by wystarczyło, tylko że nie przywiózł ze sobą tej gazetv. Nie mieli pojęcia, co robi w te końcowe dni tygodnia, wiedzieli tylko, że je spędza na uniwersytecie. Mało ich to zresztą obchodziło. Akceptowano go, a choć tytuł profesora nadawał mu pewną godność, była to przecież godność dla kobiet, mająca znaczenie w świecie na wskroś kobiecym, jak tytuł pastora. Nie odmówiliby mu butelki whisky, ale nie piliby z nim razem, a choć w rozmowach prowadzonych przy nim nie byli tak wstrzemięźliwi, jakby był prawdziwym pastorem, to jednak, gdyby im odpowiedział tym samym językiem, byłby stracił posadę z początkiem następnego roku i wiedział o tym dobrze. Przyjął tę godność poważny i skupiony w tym samym duchu, w jakim mu ją ofiarowano, a nawet wychodził na jej spotkanie, z tą posępną samowystarczalnością, która nie była właściwie ani dumą, ani wyzwaniem.

Wyjechał na tydzień w okresie półrocznych egzaminów na uniwersytecie. Po powrocie wymusił u Vamera urządzenie boiska do koszykówki. Sam wykonał część roboty z pomocą starszych chłopców i nauczył ich grać. Przy końcu następnego roku jego drużyna pobiła już wszystkie drużyny, z jakimi mogła się spotkać, a w trzecim roku zawiózł ją, sam uczestnicząc w niej jako jeden z zawodników, do Saint Louis. Grając w kombinezonach i na bosaka pobili na Turnieju Doliny Missisipi wszystkie inne drużyny biorące udział w rozgrywkach.

Kiedy ich przywiózł z powrotem do wsi, miał już zdane egzaminy. W ciągu trzech lat uzyskał absolutorium w zakresie filozofii

i magisterium prawa. Miał opuścić teraz zaścianek po raz ostatni — książki, piękną lampę, brzytwę, tanią reprodukcję Alma Tademy,

JL.

którą profesor klasyki podarował mu na drugie Boże Narodzenie — żeby wrócić na uniwersytet i słuchać na przemian wykładów filozofii i prawa, od rana do późnego popołudnia. Musiał teraz używać okularów do czytania i przechodził z jednej auli do drugiej mrugając oczyma, które boleśnie raziło światło, w jedynym posiadanym niedobranym garniturze, pośród roześmianych chłopców i dziewcząt, ubranych lepiej niż wszyscy ludzie, jakich kiedykolwiek w życiu widział, zanim tu przyjechał; właściwie nie spoglądali na niego z pogardą, raczej nie widzieli go wcale, tak jak nie widzieli słupów z latarniami elektrycznymi, których on także nie widział przedtem, zanim tu przybył, przed dwoma laty. Poruszał się między nimi z takim samym wyrazem twarzy, jaki miał na terenie boiska, kiedy przekraczał uciekające linie, pocięte okuciami butów, patrząc na dziewczęta, które przybyły tu najprawdopodobniej po to, żeby znaleźć mężów, i na młodych Judzi, których cel pobytu w tym miejscu był mu nie znany.

Potem pewnego dnia stał razem z innymi w wypożyczonej todze i birecie, kiedy wręczano mu ciasno zwiniętą rolkę pergaminu, nie większych rozmiarów niż zwinięty kalendarz ścienny, ale tak jak kalendarz zawierająca w sobie minione trzy lata — zatarte listwami na podeszwach białe linie, noce na grzbiecie niestrudzonego konia i inne noce, kiedy siedział otulony w palto w izdebce ogrzanej tylko światłem lampy, przewracając stronicę zapisane martwymi słowami. W dwa dni później stał pośród innydi kandydatów przed Radą Palestry w sali sądowej w Oxtordzie i został przyjęty do palestry, Tego samego wieczora siedział jako jeden z biesiadników przy hałaśliwym stole w jadalni hotelowej, gdzie prezydował sędzia w otoczeniu profesorów prawa i innych osobistości oficjalnych. Kył to prezsionek tego świata, którego progi starał się przekroczyć przez trzy lata — cztery, licząc ten pierwszy rok, kiedy jeszcze nie widział swego celu. Musiał tylko siedzieć z tym zastygłym wyrazem twarzy i czekać, aż ucichnie ostatnia peryfraz, rozplynie się w końcowych oklaskach, żeby potem wstać, wyjść z sali i iść dalej, w kierunku obranym przed trzema luty, nie zatrzymując się, nie patrząc wstecz. I nic mógł tego zrobić. Nawet pomimo tych czterdziestu mil przebytych już w kierunku wolności (wiedział to, mówił tak), godności i szacunku dla samego siebie, nie mógł tego zrobić. Musiał wracać, przyciągany nieubłaganą siłą promieniowania jedenastoletniej dziewczynki, która nawet siedząc ze zmrużonymi od słońca oczyma jak kot na schodach szkoły podczas pauzy i jedząc zimny kartofel, wyglądała jak bogini z jego Homera i Tukidydesa, niepokalane a jednocześnie zepsute, Tego pierwszego ranka, kiedy brat przy



wiół ją do szkoły, Labove powiedział sobie: „Nie. Nie. Nie tutaj. Nie zostawiaj jej tutaj”. Uczył w szkole dopiero od roku, jedyny pięciomiesięczny okres przerywany co tydzień nocnym kłusowaniem do Oxfordu i z powrotem, i jeden raz dwutygodniowymi wakacjami, w okresie egzaminów styczniowych, mimo to nie tylko wyciągnął szkołę z chaosu, w jakim ją pozostawił jego poprzednik, ale nawet wprowadził coś na kształt ładu do programu nauki. Nie miał żadnego pomocnika, nie było nawet przepierzenia w jedynej klasie, a jednak posegregował uczniów zależnie od ich zdolności, wprowadzając dyscyplinę, której nie tylko byli posłuszni, ale w którą w końcu zaczęli wierzyć. Nie był z tego dumny, nie był nawet zadowolony. Niemniej pewną satysfakcję sprawiła mu świadomość, że jest to ruch, postęp, jeśli nie w kierunku zdobycia wiedzy, to przynajmniej w kierunku narzucenia porządku i dyscypliny. Potem, pewnego dnia, odwróciwszy się od tablicy, zobaczył ośmioletnią twarz i czternastoletnie ciało o kształtach kobiety lat dwudziestu, które w momencie przekroczenia progu wniosły do posępnej, źle oświetlonej i źle ogrzanej klasy, przeznaczonej dla rozwijania podstawowej edukacji protestanckiej, wilgotny powiew odurzenia wiosną, triumfalny pogański kult dla wszechwładnej matki bogów i ludzi.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie, żeby zobaczyć to, co jej brat miał prawdopodobnie odkryć ostatni. Zobaczył, że nie tylko nie będzie się uczyła, ale że w książkach nie ma nic, ani tutaj, ani gdzie indziej,:: co kiedykolwiek potrzebowałyby wiedzieć, bo urodziła się już całkowicie wyposażona we wszystko, czego trzeba, żeby nie tylko stawić czoła, ale i zwyciężyć wszystko, cokolwiek mogła wymyślić przyszłość wychodząca jej na spotkanie. Zobaczył dziecko, które przez następne dwa lata miał obserwować z uczuciem, z początku uważanym przez niego samego tylko za wściekłość, dziecko dorosłe w ósmym roku życia, i które prawdopodobnie osiągnęło i minęło okres dojrzewania już w łonie matki, a teraz spokojne, odurzone i nawet nie nasepione, posłuszne jakiemuś przymusowi, przenosiło tylko z jednych czterech ścian do drugich tę właściwość biernego oczekiwania poprzez gromadzące się dni kwitnienia i nie dającego się przyspieszyć czasu, do chwili kiedy spokój ten zmaćci przeznaczony jej mężczyzna, którego imienia ani twarzy prawdopodobnie jeszcze nie znała. Przez pięć lat patrzył, jak brat przywoził ją co rano i jak zostawała tu, dokładnie tak jak ją pozostawiał, w tym samym miejscu i niemal w tej samej pozycji, z rękoma leżącymi na kolanach, bez ruchu przez całe godziny, jak dwa oddzielnie drzemzące ciała. Odpowiadała: „Nie wiem\*”, kiedy w końcu zdołał przyciągnąć jej uwagę, albo, pod presją: „Jeszcze się o tym nie uczyłam”. Jak gdyby jej mięśnie i tkanki były nieczułe na

zmęczenie i nudę albo jak gdyby symbolizując uśpione dziewictwo, obdarzona była życiem, ale nie wrażliwością, i czekała tylko, aż przyjedzie jej brat zazdrosny, rozjątrzony kapłan-eunuch i zabierze ją stąd.

Przychodziła do klasy co rano ze swoją ceratową teczką, w której jeśli nosiła coś oprócz pieczonych patatów, zjadanych w czasie pauzy, Labove nigdy nie zdołał się o tym przekonać. Samym tylko przejściem między drewnianymi ławkami przeobrażała klasę w gaj Wenery, podniecając wszystkich obecnych tam przedstawicieli rodzaju męskiego, od dzieci, ledwie wkraczających w okres dojrzewania, do młodzieńców dziewiętnasto\* i dwudziestoletnich (z których jeden był już mężem i ojcem i potrafił zaorać dziesięć akrów ziemi między wschodem i zachodem słońca) i zamieniając ich w zaciekłych rywali, walczących o pierwszeństwo złożenia z siebie ofiary. Czasami w piątki wieczorem odbywały się w klasie gry i zabawy pod jego nadzorem. Nie brała w nich udziału, ale była ich dominującą, centralną postacią. Siedząc koło pieca, tak samo jak podczas lekcji, roztargniona i spokojna wśród piskliwych wrzasków i tupania, była oblegana i atakowana równocześnie w dwunastu ciemnych kątach, pod tuzinem perkalowych czy barchanowych sukienek. Nie była nigdy na czele ani na szarym końcu klasy, nie dla\* tego że nie uczyła się i że była córką Yarnera, a Yarner rządził szkołą, ale dlatego, że klasa, w której się znalazła, po dwudziestu czterech godzinach przestawała mieć pierwsze i ostatnie szeregi. Po roku nie było już nawet jakiejś niższej klasy, z której mogłaby przejść do wyższej, dlatego że nigdy nie byłaby na żadnym końcu czegokolwiek, w czym krążyłaby krew. Istniało tylko centrum, tak jak w roju pszczół, i ona była tym centrum, oblegana i napastowana, a jednak nie zmałona i nie tknięta, pozbawiona nawet pamięci, spokojnie przekreślająca całą długą sumę ludzkiego myślenia i cierpienia, które nazywa się wiedzą, nauką, mądrością, do głębi rozwiązała a zarazem nieskalana: królowa, matka wszechstworzenia. Patrzył na to przez dwa lata, ciągle, jak mu się zdawało, tylko z wściekłością. Pod koniec drugiego roku zdał swoje egzaminy i otrzymał dwa dyplomy. Wtedy się skończyło. Jedyne powód, dla którego objął pracę w szkole, przestał istnieć. Cel został osiągnięty za cenę, którą należało zapłacić i której nie najmniejszą częścią było przebywanie konno czterdziestu mil tam i z powrotem, nocą, gdyż zgodnie ze swą tradycją i dziedzictwem farmera uprawiającego ziemię własnymi rękoma, nie wsiadał na konia dla przyjemności. Teraz mógł iść dalej, porzucić zaścianek i nigdy już tu nie wracać. Przez pierwsze sześć miesięcy wierzył, że to zrobi, i przez następne osiemnaście jeszcze to sobie mówił. Szczególnie łatwo było mu nie tylko mówić, ale nawet w to wierzyć, kiedy był daleko stąd,

nu indworsyleeir pr/ez dwu osłalnle iniesiiiijo tiymeshn wloNonncijo I pizez nusli;pne osiem tygodni h\*tu ieijo, W czasie klôiyeh iponmd/il iozd/ialy «weqo c/.wwlcqo roku nkad»\*iinr- kifi|(\* i później W < IrjffII łych ośmiu lyqodni, klôro. w szkole uważano /,\*» jeqo wakacje, n kln/1• sp<;dzi! priirujip' nu Idilnku, choć iuz leur/ nie poir/nbował już pieniędzy, mój? skończy\*” slndhi Im\*/I\*!l!“, «1\*\* miałby nlu- ral o U; sinmj wii;coj w kieszeni, kiedy przejdzie pr/i/, ostatnie drzwi i spojrz na prosi«!, Iwiinlif drofp;, fjdzio nic nie bt;d/lo między nim .1 jeqo colom, prócz Jeijo osoby; polom szosu<sup>1</sup> Iyr/oilni na jesieni, kiedy w każdej sol>nt<; pn południu białe linie uciekały spod jejio słóp, h w powietrzu rozbrzmiewały hl- sleiyczo krzyki, I w ci.ppi lyrli mkn,|cyeh sekund, wbrew sobie samemu, żył intensywnym, dzikim, skupionym żydom, nawol jeżeli <lt>l y< hczus niezupełnie w lo wierzył,

Polom pi'wnetjo dnia odkrył, że okłamywał Stline<jo siebie pr/ez pr/iWle dWfl hlla. Hylo lo włody, gdy wrócił n.i uniwersytet, w dnuim roku wiosny, mniej wi<;rnj mi rnie- siijf: przed osi,d nimi oq/nmlnamí. Nie rozsiał sic; ze s/kołi| loi nudnie, chorjż, kiedy opuś- eił wie<;, przed miesiącom, myślał, że już nie wróci, nvvir/.ij<c za rzecz u/.f(odniom} między nim #1 Vtiineiein, że uczy w lej szkoło tylko po lo, żeby móc skończy/: .studia uniwersyteckie. Toleż wierzył, że opuści zaścianek iid zawsze. )jo końcowych erj/atninów biakowa- lo jeszcze iuucsi<|<'<i, polem eijzundn adwokae- ki i drzwi ix;d<| dln rdf!C|o otworl.it. Miał nw- wel. przyrzeczony po.sodtj w zawodzie, który Wyb/al, Wtedy lo pewnego popołudnia, kifsdy nirzerjo sii; nie .spodziewuj<|0 wszedł do jadalni tlił nhind, jeffu (jospodyrd powiedzbla mu: — Mmii dla pana coś SJTHH znerjo, Mij/ mojej siostry przywiózł lo ze wsi — I postawiła przed nim talerz. Uył lo jeden pieczony putni. I w chwili gdy tjospodyni zawołała: — Ależ punie l.ab,ovo, pan jest rboryl — uda- lo ntu sh; wsUić ) wyj/«\ Kiedy znalazł si<; w swoim pokoju, zrozumiał w końcu, że musi lam Jechać, wyius/.yc w lej chwili, choćby'

11.1 pjecholi;. Widział jy, czuł nawel. Jej za puch, kli'dy skfdziihi Kun, n,i scïiothifh jo- flz(p: kiirlelel, żujije rjo sp>»koinii\* z l>j slr.isz- liw<| zdolriości«j Islnlenin bozruduie i uiešwiu<sup>u</sup> doinie poztí uhruniem, a iuiw'ł (jorzrtj jeszcze, Ink jnkhy hyl.i nnqn i n.iwel nie zda wołu snhin z terjo .spitiwy. Tnriiz wied/ud, że przuz le dwu ltdii hyhi ohetiid nie iui scïioducti szkoły, ule w jcrjo inyśluch, że lo nie było wArinkłóń/; ule strurh i że w fzza lej bariery, klóni wzniósł pr/.(d sob\*) Jiiko rei, nie byhi celem ani mol<), lecz punkiem, do klórujrn musiał dolizoć Ícik jak skazaniec, uciekający przed rjri)żb<j spaleniú żywcem, bioqnie nie po to, by uzyskać iuirpod<;, tylko unikn<|f zniszczenia.

Ale wledy nie poddoł sir; josczo naprawili;, choć iaz po raz pieiwszy wymówił słowa: „Nłó wróci\*“, rizedłni nie trzeba ich było wymawiać, bo dotychczas myślał, że idzie

dalej. Ale przynajmniej mógł jeszcze głośno zapewnić sam siebie, że nie wróci, i to mu pomogło w czasie egzaminów i promocji adwokackiej, i w czasie bankietu. Przed samą uroczystością podszedł do niego jeden z kolegów, neofita jak i on. Po bankiecie mieli jechać do Memphis na dalszy ciąg święcenia triumfu, już mniej ceremonialny, to znaczy pijatyka w hotelu, a potem, dla niektórych przynajmniej — burdel. Odmówił, nie dlatego, żeby dotychczas był niewinny, ani nie dlatego, żeby nie miał pieniędzy na te rzeczy, lecz dlatego, że do ostatniej chwili jeszcze wierzył, jeszcze zachował swoją czysto emocjonalną i bezpodstawną wiarę górala w wykształcenie, w białą magią stopni naukowych, która była odpowiednikiem dawnej wiary mnicha w jego drewniany krzyż. Ostatni toast ucichł wśród ostatnich oklasków i hałasu odsuwanych krzeseł; drzwi się otwarły, wolna droga czekała i wiedział, że nią nie pójdzie. Podszedł do kolegi, który go zaprosił do Memphis i zgodził się. Wsiadł z pociągu razem z całą grupą na stacji w Memphis i zapytał spokojnie, gdzie się znajduje burdel.

— Do licha, bracie — odpowiedział kolega. — Hamuj się, przynajmniej dla formy musimy najpierw znaleźć pokój w hotelu,

Ale on nie chciał. Poszedł sam pod wskazany adres. Zdecydowanym ruchem zastukał do podejrzanych drzwi. To także nie miało mu pomóc. Nie spodziewał się tego zresztą. Była w nim ta cecha, bez której żaden człowiek nie może być ani całkowicie odważny, ani w zupełności tchórzliwy; zdolność widzenia obu stron kryzysu i wyobrażenia siebie w roli już zwyciężonego, sama w sobie nieodłączna od jego własnej przegranej i klęski, „Przynajmniej nie moim dziewictwem będzie gardziła!” — mówił sobie. Nazajutrz pożyczył arkusz taniego poliniowanego papieru (koperta była różowa i niegdyś naperfumowana) od swojej towarzyszki z tej nocy i napisał do Vamera, że będzie uczył w szkole jeszcze przez następny rok - Uczył w niej dalsze trzy lata. Żył jak prawdziwy mnich, ponury budynek szkoły, mała jałowa wieś były jego Górą Oliwną, jego ogrodem Getsemani i — wiedział to także — jego Golgotą. Był ana- choretą z dawnych czasów, w pełni sił męskich. Nie ogrzewana wynajęta izdebka była jego całą pustelniczą, wąskie łóżko ze słomianym siennikiem na podłodze z nieheblowanych desek — kamiennym posłaniem, na którym leżał złany potem w lodowate noce zimowe, nagi, skostniały, z zaciśniętymi zębami i z nogami włochatymi jak faun. Potem świtał dzień i mógł wstać, ubrać się, jeść śniadanie, którego smaku nawet nie czuł. Nigdy zresztą nie zwracał wielkiej uwagi na to, co je, ale teraz nawet nie zawsze wiedział, że to zjadł. Potem szedł otworzyć szkołę, siadał na swoim krześle i czekał, aż ona wejdzie do klasy. Długi czas myślał, żeby się z nią ożenić, zaczekać aż dorośnie i poprosić

o jej rękę, ale odrzucił tę myśl. Przede wszystkim nie chciał mieć żony, w każdym razie nie teraz, a prawdopodobnie nigdy. I nie chciał jej jako żony, chciał jej tylko na jeden raz, tak jak człowiek ze zgangrenowaną ręką czy nogą pragnie ciosu siekiery, który go uzdrowi. Mimo ■ to zapłaciłby nawet tę cenę, żeby się wyzwolić z obsesji, wiedział jednak, że to być nie może, nie tylko dlatego, że jej ojciec nigdy by się na to nie zgodził, ale także z jej powodu, z powodu tej naturalnej jej właściwości, która absolutnie przekreślała wszelką wartość wymienną obietnicy dzielenia życia czy zdolności przywiązania, nędznej ceny, jakiej żąda mężczyzna za to, co nazywa swoją miłością. Niemal widział jej męża, którego kiedyś będzie miała. Będzie to karzeł, gnom, bez gruczołów i żądy, i jako czynnik fizyczny w jej życiu będzie znaczył nie więcej niż nazwisko właściciela na tytułowej stronie książki. Znowu było to samo, znowu porównanie zaczerpnięte z książek, śmiertelna skaza druku, który' już raz go zdradził; kulawy Wulkan, małżonek Wenery, który nie będzie jej posiadaczem tylko właścicielem, dzięki jedynej sile, jaką daje władza, martwa władza pieniądza, bogactwa, błyskotek, fatalaszków, tak jakby mógł być właścicielem nie obrazu czy posągu, ale na przykład pola. Widział to: piękna, bogata ziemia płodna i obficie użyźniona nawozem, wieczna i nie dająca się przeniknąć temu, kto miał tytuły do jej własności, ziemia, która nie pamięta, pochłaniająca dzie- sięćkroć więcej żywych nasion, niż mógł przez całe życie wydzielić i pomieszać jej właściciel, dająca tysiąckroć obfitsze żniwo, niż mógł kiedykolwiek spodziewać się zebrać i zaoszczędzić.

A więc to było wykluczone. Mimo to został tu nadal. Został dla przywileju czekania, aż skończy się ostatnia lekcja i klasa opustoszeje, żeby później mógł wstać i podejść ze swoją spokojną i potępioną twarzą do ławki, i dotknąć ręką deski, rozgrzanej jeszcze ciepłem jej ciała, albo nawet uklęknąć i przyłożyć twarz do deski, ocierając się o nią policzkiem, całować twarde, nieczułe drzewo, dopóki nie ulotni się ciepło. Oszalał. Wiedział o tym. Były teraz chwile, kiedy nie chciał jej posiąść, tylko ją zranić, widzieć tryskającą i spływającą krew, widzieć tę pogodną twarz, naznaczoną niezniszczalnym piętnem śmiertelnego strachu, pod jego twarzą, chciał zostawić na niej jakiś niezniszczalny, własny ślad i patrzeć, jak traci wszelkie ludzkie cechy. Potem uciekał się do egzorcyzmów. Odpędzał od siebie tę wizję i wtedy odwracały się ich role. On sam leżał natrętny i sponiewierany przed tą twarzą, wyrażającą mimo swoich zaledwie czternastu lat znużoną wiedzę, której on nigdy nie osiągnie, przesyty wszelkimi eksperymentami perswazji. Był jak dziecko w obliczu tej wiedzy. Jak młoda dziewczyna, dziewica, oszołomiona i zdumiona, usidlona nie przez

\*

dojrzałość i doświadczeni« uwodziciela, lecz przez ślepe i bezlitosne siły wewnątrz jej istoty, z którymi współżyła od Jat, nie wiedząc nic o ich istnieniu i uświadamiając je sobie dopiero w tej chwili. Tarzał się w kurzu przed ławką, dysząc jak w agonii. „Pokaż mi, co robić. Powiedz mi. Zrobię wszystko, co mi każesz, wszystko, żeby się nauczyć i wiedzieć to, co ty wiesz”. Był szalony. Wiedział o tym. Wiedział, że wcześniej czy później coś się stanie. I wiedział także, że cokolwiek to będzie, on poniesie klęskę; mimo że nie widział jeszcze tej szpary w swoim pancerzu, nie wątpił, że ona ją znajdzie nieomylnie, instynktownie, nie zdając sobie nawet sprawy, że była w śmiertelnym niebezpieczeństwie. „Niebezpieczeństwo?” pomyślał, krzyknął: „Niebezpieczeństwo? Nie dla niej, dla mnie. Boję się tego, co mógłbym zrobić, nie z jej powodu, bo nie istnieje nic, co potrafiłbym zrobić ja, ani żaden inny mężczyzna, żeby ją zranić. Boję się tego, czym to będzie dla mnie”.

Wtedy, któregoś popołudnia, znalazł swoją siekiere. Odrąbywał wciąż z jakimś radosnym spazmem zwisające nerwy i strzępy zgangrenowanej kończyny jeszcze długo po pierwszym niezręcznym cięciu. Nie słyszał żadnego dźwięku. Ostatnie kroki ucichły i ostatni raz zamknęły się drzwi. Nie słyszał, jak się otworzyły na nowo, ale coś kazało mu oderwać twarz od ławki i spojrzeć. Była znowu w klasie, patrzyła na niego.

Wiedział, że nie tylko poznała miejsce, gdzie klęczał, ale że wiedziała, dlaczego. Może w tej chwili wierzył, że wiedziała to przez cały czas, bo zobaczył od razu, że nie jest ani przerażona, ani się z niego nie śmieje, tylko po prostu ją to nie obchodzi. Nic wiedziała także, że patrzy w twarz potencjalnego zabójcy. Puściła tylko drzwi i przeszła między rzędami ławek w stronę pieca. — Jody jeszcze nie przyjechał — powiedziała. — A na dworze jest zimno. Co pan tu robi na ziemi?

Wstał. Szła dalej nie zatrzymując się, niosąc ceratową teczkę, którą nosiła już od pięciu lat i którą, o ile mu było wiadomo, otwierała w domu tylko po to, żeby włożyć do niej zimne kartofle. Zbliżył się do niej. Stała i spojrzała na niego,

— Nie bój się — powiedział. — Nie bój się.

— Co? — zapytała. — Czego mam się bać? — Cofnęła się o jeden krok, nie więcej, patrząc na jego twarz. Nie bała się. „Tego się jeszcze nie nauczyła” — pomyślał, a potem smagnęło go coś wściekłego i zimnego zarazem, może pogarda i uczucie, że go z czegoś obdarło, choć nie objawiło się to w jego twarzy, która nawet uśmiechała się lekko, tragiczna, zboląta i potępiona.

— Tak — powiedział. — W tym całe nieszczęście. Nie boisz się. Tego właśnie musisz się nauczyć. To jest ta jedyna rzecz, której cię w każdym razie nauczę. — Na- uczył ją jeszcze czegoś, chociaż miał to zauważyć dopiero po upływie minuty czy

dwóch. Nauczyła się istotnie jednej rzeczy w ciągu pięciu lat szkoły i teraz miała zdać 2 tego egzamin. Ruszył ku niej. Nie cofnęła się. Wtedy złapał ją. Poruszał się tak szybko i bezlitośnie, jakby była piłką na boisku albo jakby on miał piłkę, a ona stała między nim a ostatnią białą linią, której nienawidził i której musiał dosięgnąć. Złapał ją, trzymał mocno, dwa ciała starły się z sobą gwałtownie, bo nie ruszała się nawet, żeby uniknąć zetknięcia, a cóż dopiero, żeby się zacząć opierać. Zdawała się zahipnotyzowana przez chwilę absolutnym, bezwładnym i miękkim zdumieniem, duże, nieruchome jej oczy były niemal na wysokości jego oczu, a ciało — które zdawało się istnieć poza ubraniem i które, nie wiedząc nawet o tym, przeobraziło w jakiś bachiczny sabat, to, czemu za cenę trzech lat wyrzeczeń i oporu, biczowania i nieustającej walki z własną nieubłaganą krwią, mógł poświęcić swoje życie — było tak płynne i pozbawione sprężystości, jak cudowne, nietknięte mleko.

Potem ciało naprężyło się we wściekłym i milczącym oporze, który, jak to nawet wówczas zdołał rozróżnić, nie był ani strachem, ani reakcją na zniewagę, tylko po prostu zdumieniem i gniewem. Była silna. Spodziewał się tego. Pragnął tego. Czekał na to. Zmagali się z furją. Jeszcze się uśmiechał, nawet szeptał. „Tak, tak — mówił. Broń się. Walcz z tym. Tak właśnie trzeba. Mężczyzna i kobieta walczący ze sobą. Niena wiść. Zabić, ale zrobić to tak, żeby ta druga osoba na zawsze potem musiała wiedzieć, że on czy ona nie żyje, nie tylko leży spokojnie bez życia, bo potem na zawsze trzeba będzie, żeby było dwoje w tym grobie, a ci dwoje nigdy i nigdzie nie będą znowu leżeć razem spokojnie i żadne z nich nigdy i nigdzie nie zazna spokoju, dopóki on czy ona nie umrze”. Trzymał ją niezbyt mocno, żeby tym lepiej czuć opór kości i mięśni, w takiej odległości, żeby nie mogła ręką dosięgnąć jego policzka. Nie krzyczała, chociaż jej brat, który nigdy się nie spóźniał, przyjeżdżając po nią, musiał być tuż za progiem. Labove nie myślał o tym. Prawdopodobnie nic by go to nie obeszło. Trzymał ją luźno, uśmiechał się jeszcze, szepcząc fragmenty greckich i łacińskich wierszy na przemian z plugawymi słowami znad Missisipi, kiedy nagle udało jej się uwolnić jedno ramię i łokciem wyrzuciła go w podbródek. Zachwiał się na chwilę i zanim zdołał odzyskać równowagę, drugą ręką uderzyła go z całym rozmachem w twarz. Potknął się, uderzył o ławkę i runął na ziemię. Stała nad nim oddychając głęboko, ale nie zdyszana i nawet nie potargana.

— Puść mnie — powiedziała. — Stary, głupi Ichabod Crane!\*

Kiedy ucichło echo jej kroków i trzaśnię-

cia drzwiami, słyszał tykanie tandetnego budzika, który przyniósł ze swego pokoiku w Oxfordzie, metaliczny dźwięk jakby ziarenek śrutu, wrzucanych do blaszanego pudełka, ale nie zdążył jeszcze się podnieść, kiedy drzwi otwarły się znowu i siedząc na podłodze patrzył, jak przechodziła znów t między ławkami.

— Gdzie jest moja... — spytała. Zobaczyła teczkę, podniosła ją z podłogi i odwróciła się znowu. Znowm usłyszał trzaśnięcie drzwiami. „A więc jeszcze mu nie powiedziała” — myślał. Znał jej brata. Nie czekałby, żeby ją najpierw odwiedzić do domu, wszedłby natychmiast, wreszcie pomszczony po pięciu latach gwałtownych i niczym nie popartych podejrzeń. To w każdym razie byłoby coś. Nie posiadanie, oczywiście, ale byłoby to mięso, ciało, to samo ciepłe ciało, w którym płynęłaby ta sama krew — przynajmniej pod ciosami — paroksyzm, pewnego rodzaju orgazm, catharsis, w każdym razie coś. Więc wstał i podszedł do katedry, usiadł, obrócił w swoją stronę tarczę zegara (ustawiony był pod kątem ostrym, tak aby mógł go widzieć z miejsca, koło podium, gdzie zwykle stał). Znał odległość między domem Varnerów a szkołą i jeździł na tym koniu dość często tam i z powrotem do Oxfordu; aby obliczyć czas. „Z powrotem będzie także jechał galopem” — myślał. Zmierzył więc dystans, jaki musiała przebyć dłuższa ze wskazówek, i siedział obserwując, jak przesuwa się do naznaczonego miejsca. Potem spojrzął na jedyną względnie otwartą przestrzeń w klasie, gdzie stał piec i podium, z której odpowiadał wywołany uczeń. Pieca nie można było ruszyć z miejsca, ale podium tak. Ale nawet wtedy... Może powinien spotkać brata za progiem, bo inaczej któryś z nich mógłby być ranny. Potem pomyślał, że właśnie tego chce: żeby ktoś z nich był ranny, i potem spytał spokojnie sam siebie: „Kto?”, i odpowiedział spokojnie: „Nie wiem. Nie obchodzi mnie to.” Więc spojrzął znowu na tarczę zegara. Ale nawet kiedy minęła pełna godzina, jeszcze nie mógł przyznać sam przed sobą, że to jego spotkała ostateczna klęska. „Zaczął się gdzieś na mnie z pistoletem — pomyślał. — Ale gdzie? Gdzie jest ta zasadzka? Gdzie mógłby urządzić lepszą zasadzkę niż tutaj?” — Widział już, jak wchodzi nazajutrz rano do klasy, spokojna, ani trochę nie zmieszana, nie pamiętając nawet o niczym, niosąc zimne kartofle, które będzie jadła w czasie paury na schodach w słońcu, niby jedna z nieczystych bogiń, może przez kogoś nieznanego zapłodnionych, jedzących chleb rajski na słonecznym zboczcu Olimpu.

A więc wstał, zebrał książki i papiery, które razem z zegarem zanosił co dzień po południu do swego pokoju i przynosił z powrotem każdego ranka. Włożył je z powrotem do szuflady biurka, zamknął szufladę i chusteczką wytarł blat katedry, poruszając



się bez pośpiechu, a jednak energicznie, ze spokojną twarzą, nakręcił budzik i postawił go z powrotem na katedrze. Palto, które mu podarował trener przed sześciu laty, wisiało na gwoździu. Patrzył na nie przez chwilę, zanim podszedł, zdjął je z gwoździa

i nawet włożył na siebie. Potem wyszedł z klasy, pustego już teraz pokoju, w którym jeszcze było i zawsze będzie za dużo osób, w którym od pierwszego dnia, kiedy brat przyprowadził ją tutaj, było za dużo osób, tak jak zawsze będzie za dużo o jedną osobę w każdym pokoju, do którego ona kiedykolwiek wejdzie i pozostanie dość długo, żeby odetchnąć.

Ledwie wyszedł, zobaczył gniadego konia uwiązanego do słupa przed sklepem. „Oczywiście” — pomyślał spokojnie. Nie chciał nosić pistoletu przy sobie. I na nic by mu się nie przydał pistolet schowany w domu pod poduszką. Oczywiście. Tutaj właśnie musi być pistolet. Mówił sobie, że może brat potrzebuje świadków, tak jak on sam ich potrzebował, idąc drogą w kierunku sklepu, z twarzą teraz tragiczną i spokojną. „To będzie dowód — krzyknął bezgłośnie. — Dowód w oczach i przekonaniu ludzi żyjących, tych, którzy będą myśleć, że stało się to, co się nie stało. I co będzie lepsze niż nic, nawet jeśli mnie tu nie będzie i nie będę wiedział, że ludzie to myślą. To będzie wyryte w umysłach ludzi na zawsze i nigdy niezniszczalne, ponieważ jeden z tych dwóch, którzy wiedzieli, że to nieprawda, przestanie żyć”.

Był to szary dzień, barwy i konsystencji żelaza, jeden z tych bezwietrznych dni o plastycznej sztywności, zbyt martwych, aby mógł spaść śnieg i w których nie zmieniało się nawet światło, zdawało się tylko wynurzać z absolutnej nicości o świcie i umierało w ciemności bez zmierzchu. Zaścianek robił wrażenie wymarłego — odziarniarka i kuźnia milcząca i z zamkniętymi okiennicami; tylko koń łączył się z pojęciem życia, nie dlatego, żeby się ruszał, lecz dlatego, że przypominał coś, o czym się wiedziało, że żyje. Ale wewnątrz sklepu musieli być ludzie. Widział ich — ciężkie buciory, kombinezony i grube swetry, pod które wkładano wszystko, co się dało, w pobliżu spluwaczki pełnej piasku i pękatego pieca, promieniującego mocnym ciepłem i jakąś męską, niemal zakonną atmosferą — zimowe zgromadzenie bez kobiet, przeżuwany i wypluwany tytoń, mocne, przyjemne ciepło, bijące z żelaznych boków pieca. Dobre ciepło: wchodząc w jego strefę zostawi za sobą nie posępne jałowe zimno, ale życie, wejdzie po stopniach na schody, przez drzwi i porzuci życie. Koń podniósł leb i spojrzął na niego w chwili, gdy przechodził. „Ale nie ty — powiedział mu. — Ty musisz stać na zewnątrz, stać tutaj i pozostać nietknięty, żeby krew mogła w tobie krążyć. Ja nie muszę”. Wszedł po stopniach, po zniszczonych, wydeptanych

deskach ganku. Na zamkniętych drzwiach przypięty afisz reklamujący jakieś lekarstwo, na pół zatarty, z fotografią mężczyzny, przystojnego, z brodą, zamożnego, mieszkającego daleko z żoną i dziećmi w bogatym domu poza zasięgiem namiętności i zdrad krwi, jakiegoś człowieka, który nawet nie potrzebuje umrzeć, żeby zostać zabalsamowany, przybity tapicerskimi gwoździkami, wszechobecny i nieśmiertelny w dziesięciu tysiącach wyblakłych i zatartych kopiach na dziesięciu tysiącach zniszczonych obdrapanych drzwi, na murach i płotach, we wszystkich pobliskich wsiach i miasteczkach, nieczuły na deszcz, lód i bezlitosny upał lipcowy.

Potem z ręką na klamce zatrzymał się. Kiedyś — było to oczywiście podczas jednej z wypraw na mecz piłkarski, gdyż poza tym nigdy nie jeździł pociągiem, nie licząc tej nocnej podróży do Memphis — wysiadł na peronie zimnej, ponurej stacyjki. Nagle drzwi otwały się gwałtownie, usłyszał przekleństwa i wybiegł z krzykiem Murzyn ścigany przez białego. Murzyn odwrócił się i pochylił; podczas gdy widzowie uciekali w popłochu, biały strzelił do Murzyna z krótkiego pistoletu. Pamiętał, jak Murzyn trzymając się za brzuch upadł twarzą do ziemi, a potem nagle przewrócił się na wznak, zdawał się wydłużać, jakby mu przybyło co najmniej dziesięć jardów wzrostu. Białego, który ciągle przeklinał, przytrzymano i odebrano mu broń, pociąg zagwizdał i ruszył, a konduktor rzucił się do pociągu roztrącając ludzi i wskoczywszy oglądał się wstecz jeszcze na stopniu. I pamiętał, jak sam wysunął się naprzód, instynktownie stosując taką samą taktykę, jak na boisku, aby zrobić sobie miejsce i pochylić się nad Murzynem, który leżał sztywno na wznak, wciąż ściskając rękami brzuch, z zamkniętymi oczyma i z twarzą zupełnie spokojną. Wtedy ktoś — doktor czy urzędnik kolejowy — ukląkł przy Murzynie i próbował oderwać jego rękę od brzucha. Nie widać było oporu, aie ręce i ramiona, które szarpał doktor (czy urzędnik), jak gdyby stały się z żelaza. Murzyn nie otworzył oczu, nie zmienił wyrazu twarzy, powiedział tylko: — Uważajcie, biali ludzie, zastrzelił mnie. — Ale wreszcie zdołał oderwać jego rękę, pamiętał, jak zdzierano z niego sweter, kombinezon, kurtkę, która niegdyś była długim paltem i obcięto ją naokoło bioder jakby brzytwą, pod tym wszystkim była koszula i cywilne spodnie. Rozpięto pas i kula potoczyła się na peron, bez śladu krwi. Puścił klamkę, zdjął palto i zarzucił je na ramię. „Przynajmniej nie zawiodę jednego z nas” — pomyślał otwierając drzwi i wchodząc. Najpierw wydało mu się, że pokój jest pusty. Zobaczył piec ustawiony w skrzyni z zapluty piaskiem, otoczony pudełkami gwoździ i puszkami, poczuł nawet mdły zapach świeżo wyplutego tytoniu. Ale nikt tu nie siedział, a kiedy w chwilę później zobaczył grubo ciosaną, nasepioną

twarz jej brata spoglądającego nań znad biurka, przez chwilę czuł się wściekły i znieważony. Myślał, że Varner świadomie oddał stąd wszystkich, żeby mu odmówić tego ostatniego żądania, tej ratyfikacji sukcesu, który przyszedł tu kupić za cenę swego życia, i nagle opanowała go gwałtowna niechęć, a nawet pełne furii wrażenie, że w ogóle nie chce umierać. Uchylił się szybko, żeby zawczasu uniknąć ciosu, szukając po omacku wokół siebie jakiejś broni, podczas gdy twarz Varnera uniosła się jeszcze wyżej znad biurka niby gniewny księżyc.

— Czego pan u diabła chce? — spytał Varner. — Mówiłem panu dwa dni temu, że rama okienna jeszcze nie przyszła.

— Rama? — powtórzył.

— Przybij pan jakąś deskę — powiedział Varner. — Czy pan myśli, że wybiorę się specjalnie do miasta po to tylko, żeby panu mniej wiało z okna?

Potem przypomniał sobie. Stłuczono szybę podczas wakacji Bożego Narodzenia. Zabił wtedy okno deskami. Nie pamiętał już o tym, że to zrobił. Ale nie pamiętał też, że mu obiecano ramę dwa dni temu, a tym mniej, że

o nią prosił. A potem przestał już pamiętać w ogóle o szybie. Stał spokojnie w płaszczu zarzuconym na jedno ramię. Teraz już nawet nie widział nadętej, podejrzliwej twarzy. „Tak, pomyślał spokojnie. Tak, rozumiem. Nic mu w ogóle nie powiedziała. Nie zapomniała nawet tego zrobić. Nie wie nawet, że zdarzyło się coś, o czym warto wspominać”.

Varner mówił jeszcze, najwidoczniej ktoś mu odpowiedział.

— No więc, czego pan chce?

— Potrzebuję gwoźdź — powiedział.

— Więc niech pan sobie weźmie — twarz znikła już znowu za biurkiem. — Tylko niech pan odniesie młotek.

— Nie będę potrzebował młotka — powiedział. — Proszę tylko o gwoźdź.

Dom, pokój bez pieca, w którym mieszkał przez sześć lat ze swymi książkami i jasną lampą, był między sklepem a szkołą. Nie spojrział nawet w tym kierunku przechodząc. Wrócił do szkoły, zamknął drzwi i przekreślił klucz. Przy pomocy cegły wbił gwoźdź w ścianę obok drzwi i powiesił klucz na gwoździu. Szkoła była na drodze do Jefferson. Miał już z sobą palto.

## ROZDZIAŁ II

ciągu tej wiosny i długiego lata, które potem nastąpiło w czternastym roku jej życia, młodzi chłopcy piętnasto- szesnasto- i siedemnastoletni, jej koledzy ze szkoły, i inni, nie koledzy, krążyli wokół niej jak osy wokół dojrzałej brzoskwini, którą przypominały jej wilgotne i jędrne usta. Było ich około tuzina. Tworzyli jedną grupę, zamkniętą, jednorodną i hałaśliwą, której ona była osią, ośrodkiem, spokojnym i zazwyczaj zajęтым czynnością jedzenia. W grupie tej były jeszcze trzy czy cztery inne dziewczynki i jeśli używała ich jako tła kontrastowego, nikt co do tego nie miał zupełnej pewności. Były to mniejsze dziewczynki, choć w większości wypadków starsze. Jakby ta szczodra obfitość, która wypełniła jej kołyskę, nie ograniczając się do zaćmienia tamtych dziewcząt regularnością rysów, delikatnością włosów i skóry, musiała także zmniejszyć je i zgasić ostatecznie, samym tylko ogromem i masą.

Zbierali się co najmniej raz w tygodniu, a zwykle częściej. Spotykali się w niedzielne ranki w kościele i siadali razem, w dwóch sąsiednich ławkach, które wkrótce stały się ich niepodzielnym dominium, za powszechną zgodą kongregacji i władz, niby klasa albo jakieś miejsce zarezerwowane. Spotykali się na zabawach gminnych, urządzanych w opuszczonej szkole, która nie była używana do niczego innego prawie przez dwa lata, dopóki nie zainstalował się nowy nauczyciel. Przychodzili gromadą i bawili się wyłącznie między sobą, hałaśliwie i brutalnie. Można ich było porównać do loży masońskiej zainstalowanej nagle w Afryce czy w Chinach i odbywającej cotygodniowe zebrania. Odchodzili także razem drogą oświetloną blaskiem księżyca i gwiazd i rozbrzmiewającą głośnym tupotem nóg, żegnając ją przed drzwiami domu jej ojca, zanim się rozproszyli. Jeżeli chłopcy kłócili się między sobą, kto odprowadzi ją do domu, sam na sam, o tym również nic nie było wiadomo, bo nigdy nie widziano jej wracającej piechotą w towarzystwie jednego tylko chłopca, jeśli mogła do tego nie dopuścić. Spotykali się także na śpiewach w kościele, na chrzcinach i na piknikach w okolicy. Był to rok wyborów i po ostatnich siewach i pierwszych zbiorach urządzano nie tylko pierwsze niedziele z całodziennymi śpiewami i chrzcinami, ale także pikniki przedwyborcze. Widywano powóz Varnerów tydzień po tygodniu pośród innych pojazdów stojących przed okolicznymi kościołami albo na skraju zagajnika, gdzie kobiety ustawiały obfity zapas przygotowywanych przez cały tydzień zim-

nytb pi'•okv)M'k na \*Hih|\* h deska» h yastijpn j»}C> ch słoty, podczas \\x dujva •y/ni obie (|«iii wzniesiono u.» ttMi cel esltady, słuchając pr/.emówioó ka»idydatów di\* władz lokalnych, do ołała usta woda we/e<iv> albo do Kongresu, a młod/i hid/.io, w «pupach albo paiami space iowali po 1 < i s k 11 lub ukiyci w } \* i k i i n ś ustmn- nyny miejscu, dokąd zdołali jn\*!\*! dziew\*

C7.t'ła, »o/wijali pr.\*.od nimi swój nio/.był wy\* lalmowany młod/iem /.y kuns/t uwodziciel- ski. Nio słuchała żadnych pr/omówioi'i i nie nakiywała 'żadnych stołów ani toż. nie spit" wał»». Słod/iala w otoczeniu trzech c/.y cz.le- toch »nniojs/.ych dziewcząt, nadał stanowiąc punkt centralny tej hałaśliwej y.a wiedzionej (jiupy, tak samo jak tui szkolnych zabawach w zeszłym toku, rzucając na itU H wszystkich owo y.aklijdo lozpoc/ynającepo su; polotm, nio pozwalając sit' dotykać i nawet w tej atmosferze wy/ywujące) swobody, w której zdawahi sit} oddychać i poiuis/.ac (a laczey siedzieć), zachowując niedostępną, nieprzejednaną czystość, nie podleija i»>< »ł nawet tej chwiejnej lównowadzo między podnieceniem seksualnym a pioslanckhn pmytanizmom. Hylo luk, jakby rzeczywiście wiedziała, na jaki moment musi siebie /uchować i dla koijo, nawet jeśli nie znali\ Joijo imienia i luai/y, i czekała mi 1«; chwili,' lar/ej ni/ tylko na tjodziiuj jedzeniu, jakby się moijło zdawać na pozór. Spotykall sit,' także w domach d.-uewc/ąt. Hylo to niowalpwio z. 'b"V z.aaianżowano i loz.hającą wielbił u 'U z. uhiełci(o lala. Na szczęście dla jej hiota pikniki w tym loku nie były lak rżęsie, j»»k w mku wybojów i łoi\*»/ . jeździł lazem /. uda md/iiuj w powozie, to/.|ątrzony, In»/, stiithi uśmiechu w swoim sukiennym surducie i w yałansowanej koszuli, poipążony w jakimi niedowierzają\* cym zdumieniu, ł nio wymyślając jej nawet ani nie sholująo. Zmusił panią Varner, /«'by Jej kazała nostć gorset i chwytul ja za tali«;, Uekioć ją spotkał poza domom, samą, czy w towat/ystwie, żeby spiawdz.ic, c/y ma ijo na sobie.

Hrat odmawiał chodzenia na śpiewy i cbrMy, aK' /.mus?»d »odv.ic\>w. 'żeby choiWli lam /andast nit'qo. 'leli'/ młod/i lnd\*ic niicH właściwie wolno pole tylko w niedziele. l'r/.yle/dżali <pt'm»ułnie do kościoła, na ko« niach i/.y i»>< midacb, k1ó?o wypi/Qii»ili po- pt"/o<lnim|o wiet/oła od płuia i któte miały wrócić znowu do phuja w ponied/iołek

0 jiwłcie i cvekali, av v.aji'dzio powo7 Vai- nriów. To było ws/.ysłko, z c/oij|o motdi ko- i/ystać ie| yes/loroc/.ni tt»Wviv7.y.s.-e -> krótka cliwila, kiedy s/la o<1 powov\» do biamy kościoła, s/tywna i nieporadna w swoim qor- socie i potllu^ont'i siikionco \*\*. xos/lovoc/nrijo tl/ieciństwa. l'nti/.yli na ni»i pr/e;\* t»i chwili;. półton /nik»da w (lumio !yth, któi/y ich wyd/iod/ic/yli. /a iok miała nadejść poia rycoi/a w olśniewaj»pym powo;\*lkit, zapt/ij' zł»nvm w wltM/chowetio konia lub

1 wiolbkieló /. teijo i<'ku mieli v. kolei ?o\*

&

stać usunięci na bok. Ale to dopiero w następnym roku: na razie jeszcze ta bezładna gromada, zmuszona jednak do zachowania pewnego dekorum, a przynajmniej dyskrecji ze względu na świętość miejsca i dnia, i wstrząsana huraganem żądź cielesnych trzymany na smyczy, jak psy ścigające niedoświadczoną młodą suczkę, wchodziła rzędem do kościoła i zasiadała na ławce w głębi, skąd widać było głowę barwy miodu statecznie zwróconą ku ołtarzowi, między głowami rodziców i brata.

Po nabożeństwie brat zniknął, żeby, jak przypuszczano, ruszyć samemu gdzieś w zaloty, i przez długie senne popołudnia muły z grzbietami wytartymi od siodła drzemały stojąc wzdłuż płotu Varnera, podczas gdy ich właściciele siedzieli na werandzie, uparcie i na próżno wyczekując, kto odejdzie, rozkrzyczani, wulgarni, przeżuwając swój gorzki zawód, wściekając się nie jeden na drugiego, ale na samą dziewczynę, której najwidoczniej było wszystko jedno, czy zostaną tu, czy nie i prawdopodobnie nawet nie wiedziała, że wyczekiwanie trwa nadal. Starsi ludzie widzieli ich przechodząc — około pół tuzina olśniewających świątecznych koszul z różowymi albo lawendowymi gumkami na rękawach, wypomadowanych czupryn nad smagłym, wygolonym karkiem, błyszczących butów, szorstkich, cjrubiciosa-nych twarzy, oczu wypełnionych wspomnieniem minionego tygodnia ciężkiej pracy na

roli i perspektywą czekającego na nich następnego tygodnia. Pomiedzy nimi dziewczyna — tutaj także przyciągająca wszystkich jak magnes — z ciałem, którego zawsze było po prostu za dużo, ubranym w suknie z dzieciństwa, jak ktoś, kto nocą podczas snu został porwany z Raju przez powódź, znaleziony przez ludzi przypadkiem tędy przechodzących i przykryty naprędce pierwszym napotkanym odzieniem, wciąż we śnie. Siedzieli jak psy na smyczy hałaśliwi i dzicy, wściekli na mijające daremnie minuty, podczas gdy zaczynały wydłużać się cienie i połyskiwały robaczki świętojańskie, rozbrzmiewały głosy żab i lelków unoszące się znad rzeki. Po-tem wychodziła pani Varner i krzając się, nie ustając w potokach wymowy, popychała ich niby trzodę, żeby zjedli zimne Tesztki obfitego niedzielnego obiadu pod otoczoną ćmami lampą. Wtedy poddawali się. Odchodzili wszyscy razem, wściekli i zachowujący pozory, aby wsiąść na ciepłe konie i muły i dojechać bez słowa w ziejącej furii przyjaźni, do brodu nad strumieniem o pół mili dalej, tam stoczyć w milczeniu dzikie walki na pięści, obmyć krew wodą i odjechać każdy w swoją stronę, drogą zalaną zimnym światłem księżycy, posiniaczeni, z popękanyimi wargami i podbitymi oczyma, na pewien czas wolni nawet od swojej furii, żądzy i rozczarowania.

Trzeciego lata muły z sierścią wytartą od upręży ustąpiły miejsca kłusującym koniom

i powozikom. Teraz tamci z kolei chłopcy, odrzuceni w tym roku, czekali koło cmentarza w niedzielę rano, aby śledzić z bezsilną goryczą przyczynę swojej porażki: błyszczący pojazd, z lekka tylko zakurzony, zaprzężony w piękną klacz albo konia w nabijanej miedzią uprzęży. Powoził nim właściciel konia i zaprzęgu, chłopak, który dorósł już do swoich męskich praw, i nie miał już nigdy więcej być wyciągany z łóżka w izdebce na poddaszu o szarym brzasku, żeby wydoić krowy albo orać cudzą ziemię, przez ojca, mającego dotychczas nad nim prawną a czasem fizyczną władzę nakładania więzów lub ich zdejmowania. Obok niego siedziała dziewczyna, która w zeszłym roku, w pewien sposób przynajmniej, należała do nich i która ich przerosła, wymknęła im się, tak jak tamto martwe lato, i która wreszcie nauczyła się chodzić tak, by nie uwydatnia! się gorset pod jedwabną suknią. Wyglądała w niej nie jak szesnastoletnia dziewczynka w stroju dwudziestolatki, ale jak trzydziestoletnia kobieta przebrana w sukienkę swojej szesnastoletniej siostry.

Pewnego dnia na wiosnę, przez jedno popołudnie i wieczór, ściśle mówiąc, były tam cztery pojazdy. Czwarty należał do pewnego komiwojażera, który go wynajął. Pojawił się we wsi pewnego dnia zupełnie przypadkowo; zabłądził i trafił niechcący do Sadyby Francuza, gdzie zatrzymał się, żeby spytać o drogę, nie wiedząc nawet, że był tam ja

kiś sklep, w zniszczonej bryczce, którą wynajmowała komiwojażerom stajnia w Jefferson. Zobaczywszy sklep wysiadł i próbował sprzedać subiektowi, Snopesowi, swoje towary, ale szybko z tego zrezygnował. Był to młody człowiek z miasta, o miejskich obyczajach, natarczywy i pewien siebie. Dowiedziawszy się od ludzi siedzących na ganku, kto jest właścicielem sklepu i gdzie mieszka, poszedł do domu Varnerów, zastukał i został czy też nie został przyjęty, bo tylko tyle wtedy wiedziano. Dwa tygodnie później był tu z powrotem tą samą bryczką. Tym razem nie próbował nawet sprzedać nic Varnerom: dowiedziano się później, że został tam na kolacji. Było to we wtorek. W piątek przyjechał znowu. Tym razem przyjechał najlepszym pojazdem, jaki wypożyczano w Jefferson, dwuosobowym powozikiem zaprzężonym w dobrego konia i miał na sobie nie tylko krawat, ale pierwsze białe flanelowe spodnie, jakie widziano w okolicy. Były zresztą także ostatnimi i nie oglądano ich tam długo: zjadł kolację u Varnerów, a potem zaprosił ich córkę na tańce w jakiejś szkole odległej o siedem mil i znikł. Ktoś inny odwiózł córkę do domu i o świcie następnego ranka masztalerz znalazł wypożyczonego konia i powozik uwiązany do bramy stajni w Jefferson. Po południu tego samego dnia pewien kolejarz pełniący nocny dyżur na stacji opowiadał, że jakiś człowiek przestraszony i potłuczony,

w podartych kremowych spodniach kupił bilet na pierwszy pociąg ranny. Pociąg jechał na południe, chociaż przypuszczano, że komiwojażer mieszkał w Memphis, gdzie, jak się później dowiedziano, miał żonę i dzieci, ale nikt nie wiedział o tym w Sadybie, i nikogo to zresztą nie obchodziło.

Pozostawały więc jeszcze trzy powozy. Przyjeżdżały stale, niemal na zmianę, każdy raz na tydzień i każdy w swoją niedzielę, bankruci z ubiegłego lata, bez prawa wykupu, czekali w kościele, żeby zobaczyć, jak ten, którego kolej wypadała owego dnia, pomaga jej wysiąść z powozu. Czekali tam jeszcze, żeby zobaczyć jej nogę przy wsiadaniu, albo zaczajeni nieco dalej na drodze, wylaniając się nagle z krzaków, kiedy przejeżdżał pojazd, żeby wykrzykiwać za nim sprośne obelgi w tumanie kurzu. O jakiejś porze w ciągu popołudnia któryś z nich przejeżdżał obok domu Varnerów, żeby zobaczyć, nie podnosząc oczu, konia i powóz przywiązane do słupa, Willa Vamera, drzemiącego w swoim drewnianym hamaku pośród drzew na podwórku, i żaluzje w oknach salonu, zapuszczone, według miejscowej mody, dla ochrony przed gorącem. Czatowali w ciemnościach, zwykle z gąsiorkiem białej whisky pędzonej w kryjówce pośród skał, tuż poza smugą światła z domów, sklepów czy budynków szkolnych, gdzie przez oświetlone otwarte drzwi i okna widać było przesuujące się sylwetki tańczących par przy

jękliwych lub ostrych dźwiękach skrzypiec. Pewnego razu z dzikim wrzaskiem wypadli z zarośli na oświetloną księżycem drogę i rzucili się na pędzący powóz; klacz cofała się i wierzgała, a woźnica, stojąc na koźle z podniesionym biczem, chlostał ich, śmiejąc się szydersko, kiedy odskakiwali, by uniknąć ciosu. Bo nie brat, ale ci, bezsilni, ziejący furia, wzgardzeni zalotnicy z ubiegłego martwego lata odgadli albo przynajmniej podejrzewali, że był tylko jeden powóz przez cały ten czas. Już prawie od roku Jody przestał czekać w hallu, aż wyjdzie ubrana, aby, schwyciwszy ją za ramię ciężką, twardą ręką, przekonać się, czy ma na sobie gorset, zupełnie tak samo, jakby macał grzbiet nowego konia szukając starych ran od siodła.

Ten powóz należał do pewnego młodzieńca, nazwiskiem McCarron, zamieszkałego

0 jakieś dwadzieścia mil od wsi, jedynego syna pewnej wdowy, która również była jedynym dzieckiem zamożnego ziemianina. Osierocona przez matkę, dama ta uciekła w dziewiętnastym roku życia z przystojnym, pewnym siebie, wielomównym

1 sympatycznym człowiekiem, który przybył w te strony nie mając żadnej określonej przeszłości ani określonych przodków. Zdawało się, że jego głównym zajęciem jest granie w pokera w kantorkach za sklepami albo w karczmach. Zawsze wygrywał, ale całkiem uczciwie, co do tego nie było wątpli-



wości. Wszystkie kobiety twierdziły, że będzie bardzo złym mężem. Mężczyźni uważali, że tylko pod grozą nabitej strzelby zostanie jakimkolwiek mężem, a większość nie uznałaby go za zięcia, nawet na tych warunkach, bo było w nim coś, co kochało noc — nie nocne cienie, ale ten histeryczny, jasny blask, który je stwarzał; perwersja ludzi cierpiących na bezsenność. Mimo to Alison Hoake uciekła pewnej nocy przez okno na drugim piętrze. Nie znaleziono drabiny ani rynny deszczowej, ani liny skręconej z prześcieradeł. Podobno wyskoczyła wprost w otwarte ramiona McCarpona. Znikli na dziesięć dni, a potem wrócili i McCarron wyszczerzając piękne zęby, choć reszta twarzy nie brała udziału w uśmiechu, wszedł do pokoju, gdzie stary Hoake czekał już od dziesięciu dni z nabitą strzelbą na kolanach.

Ku zdumieniu wszystkich był nie tylko dobrym mężem, ale i dobrym zięciem. Niewiele znał się na rolnictwie i nie udawał, że je lubi, mimo że pracował jako nadzorca u swego teścia; powtarzał instrukcje starego, oczywiście jak płyta nagrana na dyktafon, ale umiał przekonać, a nawet zjednać sobie wszystkich ludzi mniej elokwentnych niż on, jakkolwiek było to zasługą przede wszystkim jego wesołej, choć niezbyt zrównoważonej natury, i reputacji 'dobrego gracza, która zjednywała mu posłuszeństwo czarnych wyrobników bardziej jeszcze niż jego życiowa pozycja albo wypróbowane talenty w strzelaniu z pistoletu. Spędzał nawet wieczory w domu i przestał grać w pokera, Prawdę mówiąc, później nikt już nie mógł stwierdzić na pewno, że projekt zakupu bydła pochodził od jego teścia, a nie od niego. Ale po roku, w którym to czasie sam został ojcem, kupował bydło i pędził je na kolej, a nawet odwoził do Memphis co dwa albo trzy miesiące. Trwało to przez dziesięć lat, aż do czasu, kiedy zmarł jego teść, zostawiając cały majątek wnukowi. Wtedy McCarron wyruszył w swoją ostatnią podróż. W dwa dni później, nocą, jeden z pastuchów przygalał na koniu i obudził jego żonę. McCarron został zabity i w okolicy nie znano bliżej okoliczności jego śmierci. Podobno zastrzelono go w domu gry. Wdowa zostawiła dziewięcioletniego syna pod opieką murzyńskiej służby, pojechała wozem drabiniastym po zwłoki męża, przywiozła je do domu i pochowała w cieniu dębów i cedrów, obok swego ojca i matki. Wkrótce potem rozeszła się pogłoska, że zabiła go jakaś kobieta. Plotka krążyła przez parę dni, ale wkrótce ucichła i ludzie mówili tylko jeden do drugiego: „A więc to robił przez cały czas”; pozostała tylko legenda o pieniądzach i klejnotach, które rzekomo wygrywał w ciągu tych dziesięciu lat, przynosił je w nocy do domu i z pomocą żony zamurował w jednym z kominów. Syn Hoake w dwudziestym trzecim roku życia wyglądał na starszego. Przypominał

swego ojca; ta sama pewność siebie była w jego przystojnej, śmiałej twarzy. Była w niej też pewna poza i zdecydowane zepsucie, i nie tyle próżność, co nietolerancja, czego nie dostrzegano w twarzy ojca. Brakło w niej także humoru i zrównowżenia, a może nawet inteligencji, której z pewnością nie brakło w twarzy jego ojca, ale najprawdopodobniej próżno byłoby jej szukać w twarzy człowieka, który po ucieczce swej córki siedział przez dziesięć dni ze strzelbą na kolanach. Jego jedynym towarzyszem dzieciństwa był chłopak murzyński. Spali w tym samym pokoju, Murzyn na sienniku na podłodze, aż do dziesiątego roku życia. Murzyn był o rok starszy. Kiedy mieli jeden sześć, drugi siedem lat, młody Hoake pokonał Murzyna w uczciwej walce na pięści. Potem płacił Murzynowi ze swoich kieszonkowych pieniędzy ustaloną między nimi taryfę za przywilej wychłostania go od czasu od czasu, niezbyt mocno, małą szpicrutą.

Kiedy skończył piętnaście lat, matka posłała go do szkoły wojskowej. Nad wiek rozwinięty, skoordynowany wewnętrznie, chętnie uczący się tego, w czym widział dla siebie pożytek, zebrał w ciągu trzech lat dostateczną ilość dobrych stopni, żeby wstąpić na uniwersytet. Jego matka wybrała wyższą szkołę rolniczą. Pojechał do miasta i spędził tam cały rok nie załatwiwszy nawet formalności (matrykulacji, podczas gdy jego matka myślała, że przygotowuje się do egzaminów z pierwszego roku. Następnej jesieni zapisał się na uniwersytet, pozostał tam przez pięć miesięcy, po czym pozwolono mu wystąpić z uczelni na skutek jakiejś skandalicznej historii, w którą zamieszana była żona jednego z młodszych wykładowców. Wrócił do domu i przez następne dwa miesiące ostentacyjnie doglądał plantacji, którą obecnie prowadziła jego matka. To znaczy spędzał część dnia, objeżdżając konno pola w galowych butach z czasów swego pobytu w szkole wojskowej, które dotychczas pasowały na jego drobne stopy i były pierwszymi butami do konnej jazdy, jakie widziano w okolicy.

Pięć miesięcy przedtem przejeżdżał przypadkiem przez Sadybę Francuza i zobaczył Eulę Varner. To właśnie na niego, po klęsce i ucieczce komiwożera, napadli młodzi ludzie na mułach z wytartą sierścią, wielbiciel z poprzedniego lata, żeby bronić tego, w co prawdopodobnie ani oni, ani jej brat już nie wierzyli, choć nie dali tego po sobie poznać, tak jak to prawdopodobnie przed nimi czynili dawni rycerze. Dwóch czy trzech wybrało się najpierw na zwiady i zaczęło się przy płocie Varnerów, żeby zobaczyć odjeżdżający powóz i ustalić, w którą stronę się kieruje. Jechali za nim lub przed nim do miejsca przeznaczenia, rozbrzmiewającego tupaniem nóg po deskach i dźwiękami skrzypiec, aby zaczekać tam z gąsiorem whisky,

a potem odprowadzali powóz do domu lub w kierunku domu — długi powrót w księżycowe i bezksiężycowe noce po zalanych blaskiem albo ciemnych drogach wśród śpiących pól, jedwabiste nogi klaczy wlokącej się w kurzu powoli, tak jak zawsze porusza się koń, kiedy lejce owinięte są wokół bata tkwiącego w lulei; brody w rzeczkach, do których klacz z luźno puszczonej lejce wchodziła ostrożnie, zatrzymywała się i piła wodę, prychając i zanurzając pysk w zmaconym odbiciu gwiazd, podnosząc ociekające wodą nozdrza i pijąc znowu. Którejś nocy zaatakowali jadący powóz, wynurzając się z cieni przy drodze, i uciekli odpędzeni batem, bo kierowali się nie jakimś uzgodnionym planem, tylko impulsem i spontanicznym wybuchem bólu i furii. W tydzień później, kiedy powóz stał uwiązany przed domem Varnera, wypadli z wrzaskiem waląc w miedziane garnki i krążąc dokoła ciemnej werandy. McCarron wyszedł nie zmieszany nie z ganku, ale z kępy drzew, gdzie wisiał hamak Varnera, i zawołał kilku z nich po nazwisku, i obrzucił obelgami, przemawiając tonem uprzejmej pogawędki, po czym zaprosił ich, żeby wyszli spotkać się z nim na drodze. Dostrzegł pistolet w jego ręce opuszczonej wzdłuż boku.

Potem wysłali mu formalne ostrzeżenie. Mogli byli powiedzieć to bratu, ale nie zrobili tego, bo brat najprawdopodobniej wyładowałby swoją furię przede wszystkim na nich. Tak jak nauczyciel Labov przyjąłby to z radością. Tak jak w wypadku Labove'a byłoby to przynajmniej to samo żywe, gorące ciało pod gwałtownymi ciosami, które darły skórę do krwi, tak jak Labove pragnęli tego świadomie czy nieświadomie. Do rezygnacji z tego pomysłu zmuszał ich fakt, że ich wściekłość poszłaby wtedy na marne, godząc w mściciela, a nie w zdrajcę. Chcieliby spotkać sprawcę śmiertelnego afrontu z rękoma w bokierskich rękawicach. Wysłali więc do McCarrona formalne ostrzeżenie na piśmie, z podpisanymi nazwiskami. Jeden z nich pojechał dwanaście mil pewnej nocy do domu jego matki i przybił kartkę na drzwiach. Nazajutrz po południu Murzyn McCarrona przyniósł pięć osobnych odpowiedzi, i w końcu zdołał im się wymknąć z zakrwawioną twarzą, ale bez poważnych ran.

Mimo to zdrajca zwodził ich jeszcze przez jeden tydzień. Próbowali go przyłapać, kiedy był sam bądź zanim dojechał do domu Varnerów, bądź w drodze powrotnej. Ale klacz biegła za szybko i nie mogli jej doścignąć, ich ospałe powolne zwierzęta od pługa nie mogły mierzyć się z jego klaczą, ani jej zatrzymać, a z doświadczenia wiedzieli, że gdyby próbowali zatrzymać ją rękoma, wyszedłszy pieszo na drogę, McCarron przejechałby po ich ciałach, stojąc na kpśle, smagając ich batem i pokazując zęby w szyderczym śmiechu. Zresztą miał pistolet i wie

dzieli, że od ukończenia dwudziestego pierwszego roku życia nigdy się z nim nie rozstaje. Prócz tego pozostała jeszcze do uregulowania sprawa między nim a tymi dwoma chłopakami, którzy obili jego posłańca, Murzyna.

W końcu musieli urządzić zasadzkę przy brodzie. Wtedy Eula także siedziała obok niego w powoziku, a klacz stanęła, żeby się napić wody. Nikt nie wiedział dokładnie, co się wówczas zdarzyło. W pobliżu brodu stał dom, ale tym razem nie było wycia i krzyków, tylko wybite zęby, sińce i zadrapania na czterech spośród pięciu twarzy, oglądane nazajutrz przy dziennym świetle. Piąty, jeden z tych dwóch, którzy pobili Murzyna, leżał jeszcze nieprzytomny w pobliskim domu. Ktoś znalazł połamaną rączkę bata. Była oblepiona zeschniętą krwią i ludzkimi włosami i później, wiele lat później, jeden z nich wyznał, że to dziewczyna miała bat w ręku, wyskoczywszy z powozu. Uderzając drzewcem zmusiła trzech do ucieczki, podczas gdy jej towarzysz użył rękojęści pistoletu przeciwko drągowi do blokowania kół i żelaznym pięściom dwóch pozostałych. To było wszystko, czego się dowiedziano, i powóz dotarł do domu Varnerów bez większego opóźnienia. Will Varner w nocnej koszuli, jedząc w kuchni placek brzoskwiniowy i popijając szklanką maślanki, słyszał, jak podjeżdżają i wchodzą po stopniach na werandę, rozmawiając spokojnie, jak zwykle, szepcząc o czymś, co jak się zdawało ojcu, było niczym, a potem wchodzą do domu idąc przez hall do drzwi kuchennych. Varner podniósł wzrok znad talerza i zobaczył śmiałą, przystojną twarz, białe zęby ukazane w uśmiechu, choć uśmiech — jeśli można to było tak określić — nie wydawał się specjalnie pełen szacunku, podbite oko, długą pręgę na szczęce i ramię bezwładnie zwisające wzdłuż tułowia.

— Potknął się o coś i upadł — powiedziała córka. †

— Widzę — odparł Varner. — I wygląda też, jakby go to coś przy tej okazji kopnęło.

— Pójdę przynieść wody i ręcznik — powiedziała, odwracając się; nie weszła do kuchni, do światła. — Wróć za chwilę. — Varner słyszał, jak wchodzi po schodach i krząta się po swoim pokoju na górze, ale potem przestał zwracać na to uwagę. Spojrzał na McCarrona i zobaczył, że jego zęby raczej są wysadzone siłą na wierzch, niż wyszczerzone w uśmiechu, i że jest cały zlany potem. Ujrawszy to, nie zważał już więcej na jego twarz.

— A więc potknął się pan o coś? — rzekł. — Czy może pan zdjąć marynarkę?

— Tak — odpowiedział tamten. — Kiedy łapałem moją klacz, potknąłem się o kłodę drzewa,

— Niech to panu posłuży jako nauczka, żeby takiej klaczy nie trzymać w drewn-

ni — powiedział Varner, — Pan ma złamane ramię.

— Tak — odrzekł McCarrón. — Czy pan jest weterynarzem? Według mnie człowiek nie różni się tak wiele od muła.

— Słusznie — potwierdził Varner. — Na ogół ma mniej zdrowego rozsądku. — Weszła córka. Varner znów usłyszał jej kroki na schodach, chociaż nie zauważył, że ma na sobie nie tę suknię, w której wyjechała z domu. — Przynies mój gąsiorek — powiedział. — Gąsiorek z whisky był jak zwykle pod jego łóżkiem. — Przyniosła go na dół. McCarrón siedział teraz z bezwładnym ramieniem rozciągniętym na kuchennym stole. Zemdlał, siedząc wyprostowany na krześle, ale nie na długo. Potem można już tylko było mówić o zaciśniętych zębach i kropkach potu na czole, póki Varner nie skończył. — Daj mu jeszcze się napić i obudź Sama, żeby go odwiózł do domu — powiedział Varner. Ale McCarrón nie chciał, ani żeby go odwieziono do domu, ani żeby go położono tutaj do łóżka. Pociągnął trzeci łyk z gąsiorka i wrócił na werandę razem z dziewczyną, a Varner skończył swój placek i mleko, zaniósł gąsiorek z powrotem i położył się do łóżka.

Wieszczę olśnienie zostało więc odmówione ojcu a nawet bratu od pięciu czy sześciu lat żyjącemu i oddychającemu myślą, która nawet nigdy nie przeszła przez stadium podejrzenia, lecz wyłoniła się nagle już w pełni rozwinięta, w postaci przekonania, tym bardziej gwałtownego, że żaden niestrudzony wysiłek nie zdołał go nigdy dowieść. Varner sam pociągnął z gąsiorka i wstawił go z powrotem pod łóżko, gdzie kółko widoczne na warstwie kurzu wskazywało miejsce, w którym stał już od lat, i położył się spać. Zasnął swoim zwykłym spokojnym snem dziecka, nie chrapiąc, i nie słyszał, jak jego córka wchodzi do swego pokoju, żeby zdjąć suknię, na której była teraz jej własna krew. Klacz z powozem odjechała już, chociaż McCarrón znowu zemdlał w drodze, zanim dotarł do domu. Nazajutrz rano doktor stwierdził, że ramię, za pierwszym razem prawidłowo złożone i ujęte w deszczułki, wyskoczyło z nich i dwie części złamanej kości wbiły się jedna w drugą, tak że trzeba je było złożyć na nowo. Ale Varner o tym nie wiedział — ojciec, chudy, sympatyczny i sprytny człowiek, pozbawiony złudzeń, który spał w swoim o dwanaście mil odległym łóżku nad gąsiorkiem whisky, i który, bez względu na to, jaki błąd mógł popełnić w odczytywaniu kobiecego serca w ogóle, a serca swojej córki w szczególności, został nareszcie oszukany, gdyż nie przewidział, że ona nie tylko będzie próbowała podeprzeć spod spodu złamane ramię własnym ramieniem, ale do pewnego stopnia zdoła to zrobić.

W trzy miesiące później, w czasach, kiedy nie widziano już przed domem Varnerów wytwornych pojazdów i rączych ognistych koni, sam Will Varner dowiedział się o tym ostat

ni. Konie i powozy wraz z ludźmi, którzy nimi powozili, znikły po tamtej nocy nie tylko z Sadyby Francuza, ale i z okolicy. Mimo że jeden z nich trzech wiedział na pewno, kto jest winien, a dwóch innych wiedziało, kto nim nie jest, wszyscy trzech uciekli, prawdopodobnie po kryjomu i bocznymi drogami, z sakwą przytroczoną do siodła albo pospiesznie spakowanym tobołkiem. Jeden z nich uciekł ze strachu przed tym, co jak przypuszczał, zrobią Vamerowie. Dwaj inni dlatego, że wiedzieli, że Vamerowie tego nie zrobią. Bo Vamerowie także musieli dowiedzieć się tymczasem, z jedyne go miarodajnego źródła, od samej dziewczyny, że dwaj z nich są niewinni, a przez to samo ci dwaj mieli zostać odrzuceni pomiędzy unoszone falą szczątki próżnej martwej przeszłości, wiecznego gwałtownego żalu i wyrzutu, razem z bezsilnymi młodymi ludźmi, którzy prześladowają ich, tak samo jak tego, któremu się powiodło, odznaczyli ich na ślepo orderem niezасłużonego sukcesu. Uciekając wraz z winnym, zrobili ostatnią rozpaczliwą próbę przyjęcia na siebie winy, której nie popełnili, zaszczytnej hańby zniszczenia, do którego nie przyłożyli ręki.

Toteż gdy od domu do domu zaczęła cicho krążyć wieść, że McCarron i dwaj inni znikli i że Eula Varner znalazła się w położeniu, które wszyscy, oprócz niej samej, jak się zdawało, uważali za kłopotliwe, ostatni dowiedział się o tym ojciec — ten człowiek, który radośnie, energicznie i niezmiennie odmawiał wiary w czystość kobiet, uważając ją wyłącznie za mit, mający znieść młodych małżonków, zupełnie tak samo, jak niektórzy ludzie nie wierzą w wolny handel albo w skuteczność modlitwy? człowiek, który, jak dobrze wiadano, poświęcił i poświęcał dotychczas znaczną część swego czasu, żeby dowieść samemu sobie słuszności swego przekonania i w tej chwili utrzymywał stosunki z czterdziestoletnią żoną jednego ze swoich dzierżawców. Za stary był, powiedział jej to wprost, żeby jak kot zabawiać się w nocne amory i włóczyć się naokoło własnego lub czyjegokolwiek domu. Toteż spotykał się z nią po południu, pod pretekstem szukania kurzych gniazd, w gąszczu zarośli nad strumykiem w pobliżu jej domu, i tam, w leśnej świątyni bożka Pana — według opowiadań pewnego czternastoletniego chłopaka, który ich stale szpiegował — nie zdejmował nawet kapelusza. Dowiedział się o tym ostatni. Obudzony ze snu podniesionym głosem żony zerwał się ze swego hamaka, gdzie leżał rozciągnięty w skarpetkach, i pośpiesznie przebiegł przez podwórze, chudy, poruszający się sztywno i niezdarnie, jeszcze niezupełnie przebudzony, w skarpetkach, do hallu, gdzie pani Varner w starym nie przewiązanym szlafroku i nocnym koronkowym czepku, także wyrwana z poobiedniej drzemki, krzyknęła mu gniewnym głosem, zagłuszając ryki syna, dobiegające z pokoju córki na górze:

— Eu!a będzie miało dziecko. Tdż i daj po !bio tomu durniowi.

— Co takiego? — powiedział Varner. Ale nie zatrzymał się. Pobiegł ścigany przez pani«! Varner, po schodach, i wpadł do pokoju, w którym jego córka przez ostatni dzień czy dwa przebywała mniej lub bardziej stale, nie schodząc na posiłki, cierpiąca na coś, co Varner, gdyby w ogóle o tym myślał, uznałby za niestrawność, wynikającą z przejedzenia, chorobę, która długo dojrzewała i wreszcie wybuchła, nagle i gwałtownie, po szesnastu latach przeładowania kiszek. Siedziała w fotelu przy oknie z rozpuszczonymi włosami i w barwnym, jedwabnym neglizju, sprowadzonym niedawno ze sklepu z Chicago. Brat stał potrząsając jej ściśniętymi ramionami i krzycząc, — Kto to był? Powiedz mi, który z nich.

— Puść mnie — powiedziała. — Nie czuję się dobrze. — Varner nie zatrzymując się stanął pomiędzy nimi i odsunął Jody'ego.

— Zostaw ją w spokoju — powiedział. — Idź stąd.

Jody zwrócił w stronę ojca swoją purpurową twarz.

— Zostawić ją w spokoju? — powiedział. Zaczął się śmiać dziko i posepnie, wybałuszając blade, pełne furii oczy. — To właśnie cała przyczyna. Za długo zostawiano ją w spokoju. Ja robiłem, co mogłem. Wiedziałem, co się święci. Tłumaczyłem wam obojgu już pięć lot temu. Ale wyście byli mądrzejsi. Widzicie teraz, co się stało. Ale ja ją zmuszę do mówienia. Dowiem się, kto to był. A wtedy...

— Dobrze — przerwał mu Varner. — I co takiego się stało?

Przez chwilę, prawie minutę, Jody nic mógł wykrztusić ani słowa. Patrzył wytrzeszczonymi oczyma na Varnera. Wyglądał lak, jakby tylko najwyższy wysiłek powstrzymywał go od pęknięcia na miejscu.

— i on pyta mnie, co się stało! — powiedział nareszcie, zdumionym, niedowierzającym szeptem. — Pyta mnie, co się stało?

Obrócił się na pięcie, machnął ręką z gestem najwyższej wzdgardy i ścigany przez Varnera wpadł w pośpiechu na panią Varner, która już była przy drzwiach z ręką na obfitej, falującej piersi i ustami otwartymi do mówienia, skoro tylko powróci dech. Jody ważył dwieście funtów, a pani Varner, mimo wzrostu sięgającego niewiele ponad pięć stóp, ważyła prawie tyle samo. Mimo to ojciec zdołał w jakiś sposób precyzyjnie się za nią jak węgorz, podczas gdy ona starała się go zatrzymać.

— Trzymajcie tego wariata! — krzyczała biegnąc za nimi, podczas gdy Varner i Jody pędzili po schodach na dół i wpadli do pokoju na parterze, który Varner dotąd nazywał swoim gabinetem, choć od dwóch lat ich subiekt, Snopes, sypiał lam na składanym łóżku. Teraz Varner wyprzedził Jody'ego po-

chyltjcu się nad ntwailą s/.ufliidą niezgiib- nej (a obecnie bezcennej, < boć Vainer o tym nic wiedział) orzechowej sekretery, należącej jeszcze do jego dziadka, i wyciągnął pistolet spomiędzy be/ładnej mieszaniny straków bawełny, zeschniętych nasion, sprzączek do uprzęży, naboji i starych papierów. Przez okno nad biurkiem widać było kucharkę, Murzynkę, która biegła przez podwórze zarzuciwszy fartuch na głowę, jak zawsze robią Murzyni, kiedy zaczyna się awantura między białymi. Sam, jej mąż, biegł za nią, choć trochę wolniej, oglądając się na dom. Obaj, Varner i Jody, dostrzegli go jednocześnie.

— Sam! Osiodłaj mego konia — ryczał Jo- dy.

— Ty, Sam! — krzyknął Varner. Obaj wyrwali sobie pistolet, ich cztery ręce wydawały się splecione z sobą w otwartej szufladzie. — Nie dotykaj tego konia! Wracaj tu w tej chwili! — W hallu słychać było ciężkie kroki pani Varner. Pistolet wynurzył się z szuflady i obaj cofnęli się, z rękoma wciąż splecionymi, ujrawszy ją we framudze drzwi, z ręką ciągle na falującej piersi. Jej zwykle radosna, energiczna twarz czerwona była teraz z gniewu.

— Trzymaj go, póki nie znajdę kija! — krzyczała bez tchu. ~ Ja mu pokażę! i\*<sup>0</sup>- każę obojgu! Zachodzić w ciężę i wrzeszczeć i przeklinać w domu, kiedy człowiek chce się zdrzemnąć!

— Dobrze powiedział Varner. — id/, po kij.

Wyszła, jak gdyby gwałtownie wypchnięta za tizwi przez swoje własno oburzenie. Varner wyrwał pistolet z r.jk syna i pchnął Jo- (iy'ego tok, że ton zatoczył się i wpadł na biurko (był bardzo silny, nieprawdopodobnie zwawy i prędko na swoje sześćdziesiąt lat, mimo że miał tylko chłodny rozsądek za sprzymierzeńca, a nin, jak jego syn, ślepa furie), wyrzucił pistolet za drzwi w hallu, zatrzaskał drzwi, zamknął je na klucz i wrócił sapiąc trochę, niezbyt głośno. — Co u diabła chcesz zrobić? — spytał.

— Nic! — krzyknął Jody. — Może wy sobie gwiżdżecie na honor waszego nazwiska, ale ja nie. Ja muszę chodzić między ludźmi z podniesionym czołem, nawet jeśli wy z tego rezygnujecie.

— Och — powiedział Varner. — Nie zauważyłem, żeby ci trudno było nosić je wysoko. Doszedłeś do tego, że nie potrafisz się schylić nawet po to, żeby zawiązać sznurowadło u butów.

Jody patrzył na niego przenikliwie, dysząc.

— Do diabła! — zawołał. ■— Może ona nic nie powie, ale ja i tak znajdę takiego, co powie. Odnajdę ich wszystkich trzech i...

— Po co? Przez czystą ciekawość, żeby wiedzieć, który z nich się z nią przespał, a który nie? — Znowu na chwilę Jody oniemiał, Stał przed biurkiem ogromny, rozju



szony, jak byk, bezsilny i znieważony, cierpiąc w tej chwili nie nad zniewagą nazwiska Varnerow, ale dręczony uczuciem frustracji. W hallu znów rozległy się ciężkie kroki pani Varner, która po chwili zaczęła walić kijem w drzwi.

— Will! — krzyczała. — Otwórz te drzwi!

— Chcesz powiedzieć, że ty n i c nie zrobisz? — powiedział Jody. — W ogóle nic?

— Co mam zrobić? — powiedział Varner. — Komu? Cz<sup>^</sup> nie rozumiesz, że te przeklęte gachy już są teraz w połowie drogi do Teksasu? Gdzie byś ty teraz był, gdybyś się znalazł na ich miejscu? I gdzie ja bym był, nawet w moim wieku, gdybym miał czas łązić jak kot po wszystkich dachach, na które bym chciał i potrafił wleźć? Dobrze wiem i ty też wiesz: tam, gdzie ont są teraz, i gnałbym konia co sił.

Podszedł do drzwi i otworzył je prędko. Pani Varner waliła tak mocno i uporczywie, że nie słyszała obracającego się klucza.

— Teraz idź do stodoły i siedź tam, póki nie ochłoniesz. Każ Samowi, żeby ci wykopał trochę robaków i idź na ryby. Jeżeli trzeba ratować honor rodziny,, ja sam się tym zajmę.

Nacisnął klamkę u drzwi.

— Do stu par rogatych diabłów, cały ten wrzask i awantura w domu dlatego, że jedną suczkę, za którą goniły psy, jeden nareszcie dogonił! Coście myśleli, że przez całe życie będzie tego używała tylko do siusiania?

Było to w sobotę po południu. Następnego poniedziałku rano siedmiu ludzi, siedzących w kucki na ganku przed sklepem, zobaczyło subiekta Snopesa, wychodzącego na drogę z domu Varnerów. Za nim szedł drugi człowiek, niosąc kwadratową walizę. Snopes nie tylko miał na głowie szarą czapkę i muszkę u koszuli, ale także surdut, i wtedy zobaczyli, że walizka z plecionej słomy dźwigana przez tego drugiego to ta sama, którą Snopes pewnego popołudnia przed rokiem przywiózł z sobą do domu Varnerów i zostawił. Zaczęli się przyglądać temu, który ją niośł. Za subiektem jak pies szedł człowiek nieco niższy od niego, ale o podobnej figurze. Zdawało się, że różnica wzrostu była tylko kwestią perspektywy. Na pierwszy rzut oka nawet obie twarze wydawały się identyczne, dopóki obydwaj nie weszli na schody. Wtedy dostrzegli, że tę drugą twarz odróżnia od twarzy Snopesa tylko nieuchwytny odcień, wariant w tym żelaznym pokrewieństwie, do którego zdążono się już przyzwyczaić; w tym wypadku twarz była nie drobniejsza właściwie niż tamta, ale bardziej ściśnięta, rysy zdawały się ściągnięte w punkcie centralnym, nie przez jakiś odruch wewnętrzny, ale raczej jakąś siłę z zewnątrz, jakby przez szybki gest palców jednej ręki. Twarz bystra i przebiegła, właściwie nie tyle szydercza, ile głęboko i niepoprawnie wesoła pod jasnymi, bystrymi, niemoralnymi oczyma wiewiórki albo świstaka.

Weszli po stopniach na ganek, niosąc walizkę. Snopes, nie przestając żuć, szorstko kiwnął im głową, dokładnie tak jak to robił Will Varner. Zniknęli w głębi sklepu. W chwilę później trzej inni ludzie wyszli z kuźni naprzeciwko, tak że było ich już około tuzina na ganku, kiedy w godzinę później zajechał powóz Varnerow. Powoził Murzyn, Sam. Obok niego na koźle tkwił olbrzymi obdrapany składany jak harmonia kufer, który pan i pani Varner zabrali z sobą niegdyś w podróż poślubną do Saint Louis i który od tego czasu służył wszystkim Varnerom do podróży; nawet córki, które wychodziły za mąż, odsyłały go z powrotem, pusty. Wydawał im się symbolem a jednocześnie oficjalnym zawiadomieniem o końcu miodowego miesiąca i o powrocie na ziemię, pożegnalnym słowem dla impulsywnie porzuconej płomiennej namiętności, tak jak wydrukowane zawiadomienie o ślubie było symbolem jej pełnego nadziei świtu. Varner siedząc z tyłu obok córki rzucił ogólne pozdrowienie, krótkie, bez infleksji, nie do od- cyfrowania. Nie wysiadł z powozu, a ci na ganku patrzyli chwilę, nim odwrócili oczy, na spokojną piękną maskę obok niego pod kapeluszem z woalką, w odświętnej sukni i zimowym palcie i widzieli, nie patrząc, jak Snopes wychodzi ze sklepu, niosąc uplecioną ze słomy walizkę i siada na przednim siedzeniu, obok kufra. Powóz ruszył. Snopes raz tylko odwrócił głowę i splunął ponad kołem. Trzymał walizkę na kolanach jak trumienkę na pogrzebie dziecka.

Nazajutrz rano Tuli i Bookwright wrócili z Jefferson, dokąd jeździli, by załadować na kolej nową partię bydła. Do wieczora tego dnia okolica wiedziała już resztę historii: w poniedziałek po południu Varner, jego córka i Snopes udali się do banku, gdzie Varner podjął duży czek. Tuli mówił, że to było trzysta dolarów, Bookwright twierdził, że sto pięćdziesiąt, bo Varner dyskontował pięćdziesiąt procent nawet od swoich własnych czeków. Stamtąd poszli do kancelarii sądowej, gdzie został zredagowany akt notarialny, dotyczący posiadłości w Sadybie Francuza, przepisanej na imię Flema i Euli Snopes. W biurze sędziego pokoju mieścił się sekretariat, gdzie wykupili licencję.

Tuli mrugnął opowiadając o tym. Zakaszłał, — Państwo młodzi wyjechali do Teksasu zaraz po uroczystości

■— powiedział.

— To już pięć — zauważył jeden ze słuchaczy, nazwiskiem Armstid. — Ale mówią, że Teksas to wielki kraj.

— Musi być duży — powiedział Bookwright. — Chcesz powiedzieć sześć.

Tuli zakaszłał. Prędko mrugał oczyma. — Pan Varner za to także zapłacił — dodał.

— Za co także zapłacił?

— Za licencję na ślub — powiedział Tuli.

Znała go dobrze. Znała go tak dobrze, że nie potrzebowała nigdy więcej już na niego patrzeć. Znała go przez cały czas, od tego czternastego lata jej życia, kiedy ludzie mówili, że wysadził z siodła jej brata. Nie mówili tego jej samej. Nie byłaby słuchała. Nie obeszloby jej to. Widywała go prawie co dzień, bo w piętnastym lecie zaczął bywać w jej domu, zazwyczaj po kolacji i siadywał z ojcem na werandzie, nie rozmawiając, lecz słuchając, wypluwając zreżnięte tytoń ponad poręczą. Czasami w niedzielę po południu przychodził i siadał w kucki koło hamaka, gdzie leżał ojciec w skarpetkach, wciąż żując tytoń i milcząc. Widziała go ze swego miejsca na werandzie, gdzie siedziała otoczona drapieżnym gronem swych niedzielnych adoratorów z tego roku. Nauczyła się rozpoznawać ciche plaśnięcie jego tenisowych pantofli na deskach werandy. Nie podnosząc i nawet nie odwracając głowy, wołała w głąb domu: „Papo, przyszedł ten człowiek” albo później: „Papo, przyszedł”, chociaż czasami mówiła „Pan Snopes”, zupełnie tak samo, jak mówiłaby „Pan Pies”.

Podczas następnego lata, szesnastego w jej życiu, nie tylko na niego nie patrzyła, ale nie widywała go już, ponieważ mieszkał teraz w tym samym domu, jadał przy tym samym stole, jeździł na koniu jej brata, pilnując załatwienia nie kończących się interesów swoich i jej ojca. Nie widziała go, kiedy prze<sup>1</sup>chodził obok niej przez hall, gdzie stała ubrana do wyjścia, podczas gdy brat sprawdzał, czy włożyła gorset, a powóz czekał na drodze. Siedziała naprzeciw niego przy stole podczas dwóch posiłków dziennie, bo śniadanie jadała w kuchni, o pierwszej lepszej godzinie w ciągu poranka, kiedy matka zdołała ją wreszcie skłonić do wstania, chociaż, kiedy już wstała, nietrudno było przywołać ją do stołu. Wypędzona wreszcie z kuchni przez matkę czy Murzynkę, z połową biszkopta w ręku i z nie umytą jeszcze twarzą, we wspaniałym negliżu rozpuszczonych włosów i przykryta pierwszą lepszą, nie zawsze czystą częścią ubrania, którą znalazła w drodze od łóżka do stołu jadalnego i w której wyglądała jak ściągnięta z legowiska zakazanej miłości przez obławę policyjną, przechodziła przez hall obok niego (kiedy wracał na obiad w południe), jak gdyby nie istniał. A później pewnego dnia ubrano ją w odświętną suknię, zapakowano resztę jej garderoby — wspaniałe jaskrawe szlafroki i koszule nocne, z towarowego domu wysyłkowego, wielkie tanie pantofle i wszelkie posiadane przez nią drobiazgi toaletowe — do ogromnego kufra i zawieszono do miasta, gdzie ją za niego wydano.

Ratliff był także w Jefferson owego poniedziałku po południu, zobaczył ich troje przechodzących przez plac z banku do sądu

i poszedł za nimi. Zatrzymawszy się na progu drzwi kancelarii widział ich w środku; mógł czekać i patrzeć, jak idą stamtąd do biura okręgowego, a potem asystować jako świadek przy ślubie, ale nie zrobił tego. Nie potrzebował robić. Wiedział, co się dzieje, poszedł prosto na stację, na godzinę przed odejściem pociągu, i nie pomylił się. Zobaczył uplecioną ze słomy walizkę i ogromny składany kufer w poczekalni, stojące obok siebie, w sąsiedztwie, które nie wydawało się już paradoksalne i dziwaczne. Jeszcze raz zobaczył w uciekającym oknie spokojną piękną maskę pod niedzielnym kapeluszem, nie patrzącą na nic, i to było wszystko. Gdyby mieszkał w samej Sadybie Francuza podczas tego lata, nie dowiedziałby się nic więcej: zagubiona, mała wioska, bez nazwy, bez wdzięku, zapomniana, a jednak ukrywająca w łonie, na skutek czystego przypadku, jedno ślepe nasienie szcudrego bóstwa Olimpu, ziarno, które zakiełkowało i wyrosło; jedno piękne lato, krótkie, koncentryczne, kiedy trzy powozy zaprzężone w piękne konie, stały kolejno uwiązane do płotu albo toczyły się po drogach, przejeżdżając obok domów i sklepów na rozstajach, obok szkół i kościołów, gdzie zbierali się ludzie, a potem nagle, w ciągu jednej nocy wszystkie trzy znikły i przestano je widywać; potem działanie siły odśrodkowej: puste drogi, po których nie kłusowały już piękne konie i pojazdy, chudy, sprytny i bezlitosny starzec w bawełnianych skarpetkach, wspaniała dziewczyna z piękną twarzą jak maska, oślizły stwór, który ledwie sięga jej do ramienia, realizujący czek, kupujący zezwolenie na ślub, wsiadający w pociąg — jedno słowo, jedna chęć uwierzenia, zrodzona z zawiści i starego, nieśmiertelnego żalu, słowo szeptane od chaty do chaty nad balią do prania i maszyną do szycia, od wozu do konnego jeźdźca na drogach i drózkach, albo od jeźdźca do pług, zatrzymywanego w połowie bruzdy; słowo, marzenie, pragnienie każdego samca pod słońcem, zdolnego wyrządzić szkodę; słuchają go młodzi, marzący dopiero o ruinach, których jeszcze nie mogli być sprawcami, kaleki i chorzy, bezsennie przewracający się w łóżku, nie dość silni, by wyrządzić upragnioną szkodę; starcy, pozbawieni teraz gruczołów, zgarbieni i z trudem powłóczący nogami; pączki i kwiaty, których żółtkłe girlandy triumfalne od dawna rozsypały się bezużyteczny kurz, zabalsamowane już teraz i tak martwe dla żywego świata, jak gdyby spoczywały w zamkniętych kryptach za nietykalnym perkalem matron, babek cudzych wnuków — słowo z jego znaczeniem zagubionych triumfów i klęsk niezrównanego splendoru. I cóż było lepsze; mieć to słowo, to marzenie, tę nadzieję przed sobą czy być zmuszonym do ucieczki od tego słowa i marzenia, mieć je za sobą? Pozostał nawet jeden z tych powozów. Ratliff miał go obejrzeć w kilka miesięcy później,

kiedy stał pusty z podpartymi dyszlami, w szopie o kilka mil od zaścianka, pokryty rosnącą warstwą kurzu i ekskrementami kur, które na nim siadały brudząc i niszcząc piękny niegdyś lakier aż do następnych żniw, czasu pieniędzy, kiedy ojciec jego eks-właściciela sprzedał go murzyńskiemu wyrobnikowi. Potem widywano go, jak toczył się przez wieś parę razy do roku, i może go poznawano, a może, przez ten czas, gdy jego nowy właściciel ożenił się i płodził dzieci, i wreszcie posiwił, powóz stracił połysk i jego eleganckie koła, długi czas naprawiane przy pomocy drutu i deszczulek, ustąpiły w końcu miejsca topornym, nie nowym, nieco mniejszym kołom od wozu, co powodowało przechył, który także zmieniał się za serią następujących po sobie zaprzęgów chudych, kulejących koni i mułów w naprawianej sznurkiem uprzęży, tak jak gdyby właściciel wyprowadził je dziesięć minut temu z jakiejś ukrytej rakami na tę właśnie apoteozę, śpiew łabędzi, który jednak wskutek błędnych informacji co do możliwości wehikułu nigdy nie był ostatni.

Ale kiedy wreszcie popędził znowu swoje małe, mocne koniki do Sadyby Francuza, Bookwright i Tuli od dawna już wrócili do domu i opowiadali o tym. Był już wrzesień. Bawełna przekwitła i białe puch pokrywał pola, pachniał nawet w powietrzu. Na polach, gdy przejeżdżał, zbieracze bawełny z pochyłymi grzbietami wydawali się zastygli pośród białej piany pękających strąków, a długie rzędy częściowo wypełnionych worków ciągnęły się za nim i jak zeszywniałe na mrozie flagi. Powietrze było gorące, zapierające dech, ostatnia drapieżna koncentracja sił skazanego na śmierć, umierającego lata. Konie szybko przebierały drobnymi nogami po zakurzonej drodze, a Ratliif siedział niedbale rozparty, niemal bez ruchu, z luźno puszczonej lejcami w rękę, z nieprzeniknioną twarzą i nieprzeniknionymi oczyma, drwiący i zamyślony, przypominając sobie i przywołując przed oczy obrazy: bank, kancelaria w sądzie, dworzec, piękna maska jeszcze raz dostrzeżona za poruszającą się szybą, nim znikła. „Ale to było w porządku, ostatecznie to tylko ciało, żer dla samców” — myślał — a tego wszędzie jest pełno dzisiaj tak jak wczoraj i jak jutro. Oczywiście, było mar\* notrawstwo, coś zmarnowało się nie dla Snopesa, lecz dla nich wszystkich, łącznie z nim samym. „Tylko czy na pewno marnotrawstwo?” — pomyślał nagle, widząc znów tamtą twarz przez chwilę, jak gdyby przywoływał w myśli obraz nie tylko popołudnia, ale także i pociągu — samego pociągu, który wysłużył swój dzień, swoje godziny i marszrutę i dlatego, mimo mocnych wagonów i lokomotywy, już nie istniał. Znowu spojrzął na tę twarz. Nie była nigdy tragiczna, a teraz nie była nawet potępiona, gdyż spoza niej wyglądał tylko jeszcze jeden śmiertelny i naturalny wróg rasy męskiej.

I piękna: ale sztylet i pistolety rozbójnika także lśnią pięknym blaskiem; potem w jego oczach zagubiona spokojna twarz znikła. Znikła prędko, tak jakby szyba poruszała się wstecz, i sama była tylko częścią, jednym z unoszonych na fali szczątków rozbitego okrętu — i pozostawała tylko słomiana waliza, krawat i poruszająca się szczeka.

Aż wreszcie, zbici z tropu, poszli do samego Księcia:

— Sire — powiadają. — On nie chce. Nie możemy z nim nic zrobić.

— Co? — krzyknął Książę.

— On mówi, że targ był ubity, le zawarł transakcję w dobrej wierze, uczciwie, a teraz przyszedł to wykupić, zgodnie z prawem.

I nie możemy jej odnaleźć — powiadają. — Szukaliśmy wszędzie. To nie było nic wielkiego i w każdym razie obchodziliśmy się z tym ostrożnie. Zapieczętowaliśmy to w pudełku zapalek, a pudełeczko wiożyliśmy do osobnej szuilady. Ale jak otworzyliśmy szui- : ladę, nie było jej. Pudełko zostało i pieczęć była nie naruszona, ale w pudełeczku nic, tylko trochę zaszuszonego brudu w jednym rogu. A teraz przychodzi ją wykupić. Ale jak możemy ją odkupić, a jego skazać na wlec- j ne potępienie, bez duszy? >

— Przekleństwo! — krzyczy Książę. — \* Dajcie mu jedną z tych zapasowych! Co | dzień przecie przychodzi tu dusze, sluka}ą s do bramy i awanturują się, żeby wejść, na- ^

ii

wet przynoszą listy polecające od kongres- menów, o których nigdy nie słyszeliśmy! Dajcie mu jedną z tych!

— Próbowaliśmy — powiadają. — Nie chce. Mówi, że nie chce ani mniej, ani więcej, tylko to, co mu się należy, swój legalny procent, zgodnie z tym, co mówi prawo bankowe i cywilne, wyraźnie, czarno na białym. Mówi, że dotrzymał warunków, uszanował swój podpis i ma nadzieję, że pan uszanuje swój.

— No więc powiedzcie mu, że może odejść. Powiedzcie, że się pomylił w adresie, że tu w książkach nic nie ma o nim. Powiedzcie, że jego weksel zaginął — jeżeli w ogóle kiedyś był. Powiedzcie mu, że mie- iśmy potop, a nawet, że wszystko zamarzło.

— Nie chce odejść bez swojej...

— Wypchnijcie go za drzwi! Wyrzućcie go!

— Jak? — powiadają. — Ma za sobą prawo.

— Oho — mówi Książę. — Adwokat się znalazł! Rozumiem. W porządku — powiada. — Załatwcie to, jak chcecie. I nie zwracajcie mi głowy. — I siada znowu, podnosi szklanke i zdmuchuje płomienie, jakby myś- lał, że już poszli. Tylko że oni nie poszli.

— Co mamy załatwić? — pytają.

— Jego łapówkę — krzyczy Książę. — Łapówkę! Czyście mi nie mówili, że przychodzi z gębą pełną artykułów prawa? Czy się spodziewacie, że wam da za to pokwitowanie?

dymiło, ale otrząsnął się szybko z resztek dymu. Podeszedł do tronu żując tytoń, niosąc w rękę słomianą walizkę.

— No? — mówi Książę.

Odwrócił głowę i spiął. Wypluty tytoń spłonął od razu w błękitnej kulce dymu. — Przyszedłem w sprawie tej duszy — powiada.

— Słyszałem — mówi Książę. — Ale nie masz duszy.

— Czy to moja wina? — on pyta.

— A może moja? — mówi Książę. — My- ślisz, że to ja cię stworzyłem?

— No więc kto? — mówi on. Tu złapał Księcia na haczyk i Książę wiedział o tym. Więc Książę zaczął sam próbować, czy się nie uda go przekupić. Zaofiarował mu wszystkie pokusy, gratyfikacje, przyjemności do syta. Wymienił je szczegółowo tak, że brzmiało to uroczo, jak muzyka. Ale on nie przestał żuć tytoniu, stojąc tam wciąż, trzymając w rękę walizkę. Wtedy Książę rzekł: — Patrz tam — wskazując na ścianę i ślali tam wszyscy w kolejności, żeby ich zobaczył, żeby się przyjrzał, jak on sam wykonuje te "wszystkie rzeczy, nawet te, które wcale nie przyszły mu na myśl, póki nie zostały zrobione, aż do tej ostatniej, najtrudniejszej do wyobrażenia. A on tylko odwrócił głowę i wypluł resztkę tytoniu na podłogę, a Książę znów się cofnął i usiadł na tronie, wściekły i zawiedziony.

— No więc czego chcesz? — mówi Książę. — Czego chcesz? Raju?

— O tym nie myślałem — powiada. — A czy to pańska własność, żeby mi to proponować?

— A czyja? — mówi Książę. I teraz Książę wiedział, że go tu złapał. W rzeczy samej Książę wiedział cały czas, że go ma, od początku, odkąd mu powiedzieli, że wszedł przez próg z gębą pełną artykułów prawa. Przechylił się nawet i uderzył w dzwon, żeby stary przyszedł i zobaczył, i posłuchał, a potem się rozparł na tronie i patrzy z góry, jak on stoi ze swoją słomianą walizką i mówi: — Sam przyznałeś i nawet udowadniałeś, że to ja cię stworzyłem. A więc twoja dusza należała do mnie przez cały czas. Toteż kiedy ją dałeś w zastaw za ten weksel, dałeś coś, czego nie posiadałeś i wobec tego podlegasz...

— Nigdy mu nie przeczyłem — powiada on.

— ...odpowiedzialności karnej. Więc weź swój bagaż i ... — mówi Książę. — Co? — mówi Książę. — Co powiedziałeś?

— Nigdy temu nie przeczyłem — powiada tamten.

— Co? — mówi Książę. — Czemu nie prze~ czyłeś? — Tylko że nic nie było słyhać. I Książę pochyła się naprzód i teraz tamten czuje gorącą podłogę pod kolanami, i czuje, jak sam chwyta siebie za gardło, żeby wy~ ciągnąć słowa, tak jakby wykopywał kartofle 7. twardej ziemi. — Kto ty jesteś? —■ mówi, dusząc się, sapiąc, wytrzeszczając oczy

na niego z tą słomianą walizką na tronie pośród jasnych płomieni w kształcie korony. — Bierz Raj! — krzyczy Książę. — Bierz! Bierz! ■—• I wiatr wyje, i ciemności opadają z wyciem, a Książę, czołgając się po podłodze, wbija pazury w zamknięte drzwi, drapie je i krzyczy...

KSIĘGA TRZECIA DŁUGIE LATO



## ROZDZIAŁ I

Ratliff zatrzymał swój wóz przy drodze i patrzył, jak stary biały koń wynurza i się z pola Varnerów i schodzi ścieżką wzdłuż ogrodzenia, otoczony i poprzedzony dźwiękiem głębokiego jak ton organów grania śledziona. „No, więc jest znowu na koniu — pomyślał. — Musiał rozkraczyć nogi, przynajmniej raz, żeby się dalej ruszać. Więc i za to też musiał zapłacić. Nie tylko za akt przepisania ziemi i dwa dolary za zezwolenie na ślub i dwa bilety do Teksasu, nie licząc innych wydatków gotówką, ale także za jazdę tym nowym wehikulem, którym ktoś musi powozić, wszystko po to, żeby wyrzucić ten patentowany krawat za drzwi swego sklepu i swego domu”. Koń podszedł i stanął, jak się zdawało z własnej inicjatywy, obok wozu, w którym Ratliff siedział nienagannie ubrany, uroczysty i poważny jak ktoś, kto przybył w odwiedzinach do domu żałoby.

— Musiał pan być przyparty do muru — powiedział spokojnie. Nie zamierzał mu ubliżyć. Nie myślał nawet wcale o hańbie córki Varnera, ani w ogóle o jego córce. Myślał o o ziemi, o posiadłości Starego Francuza. Nigdy ani przez chwilę nie wierzył, że nie

ma ona wartości. Myślałby tak może, gdyby jej właścicielem był kto inny, ale sam fakt, że Varner kiedyś wszedł w jej posiadanie i miał ją w swych rękach, nie próbując najwidoczniej jej sprzedać ani cokolwiek z nią zrobić, był dla niego dostatecznym dowodem. Nie chciał wierzyć, że Varner był czy mógł być kiedyś do czegokolwiek specjalnie przywiązany; jeśli coś nabył, to po tańszej cenie niż ktokolwiek inny, a jeśli to zachował, to dlatego, że ta rzecz była za dużo warta, żeby ją sprzedać. W wypadku tej posiadłości nie rozumiał, dlaczego tak było, ale fakt, że Varner ją kupił i zachował, mówił sam za siebie. Toteż kiedy Varner w końcu wypuścił ją z rąk, Ratliff przypuszczał, że musieli mu zapłacić cenę, na którą czekał od dwudziestu lat, albo przynajmniej jakąś sumę wystarczającą, w pieniądzech czy nie w pieniądzech. A kiedy pomyślał, komu Varner odstąpił swoją własność, uważał, że ceną była konieczność, a nie gotówka.

Varner wiedział, że Ratliff tak myśli. Siedział na swoim starym koniu i spoglądał na Ratliffa; małe twarde oczy pod zmierzwionymi brwiami koloru rdzy błyszczały bystro utkwione w człowieka, który był dużo bardziej jego synem, jeśli chodzi o podobieństwo duchowe, a nawet fizyczne niż którekolwiek z jego własnych dzieci.

— Więc pan myśli, że ten kot nie udławi się samą czystą wątroba? — powiedział.

— Chyba że tam jest wewnątrz jakiś ka  
wałek sznurka z supelkami — powiedział Ratliff.

— ■ Jaki kawałek sznurka z supłami?

— Nie wiem — powiedział Ratliff.

— Hm — mruknął Varner. — Jedzie pan w moją stronę?

— Nie — powiedział Ratliff — wstąpią do sklepu. „Chyba że on uważa, że to jeszcze nie koniec” — pomyślał.

— Ja też — powiedział Varner. — Mam tę przekłętą sprawę w sądzie dziś rano. Ten, żeby go diabli wzięli, Jack Houston i ten, jakże mu tam, Mink. Z tym cielakiem, co to się paś na jego polu.

— To Houston pozwał go do sądu? — spytał Ratliff.

— Nie, nie. Houston tylko zatrzymał cielaka. Trzymał go przez całe ostatnie lato, a Snopes pozwolił go trzymać i karmić przez całą zimę i paść się na pastwisku Houstona całą wiosną i lato też. Potem w zeszłym tygodniu postanowił nie wiadomo dlaczego iść i odebrać cielaka. Zdaje się, że chciał go na mięso. Więc poszedł do Houstona z postronkiem. Był właśnie na łące i próbował go złapać, kiedy nadjechał Houston i przeszkodził. W końcu musiał nawet wyciągnąć pistolet, tak mówi. Mówi, że Snopes spojrz! na broń i powiedział: „Tego właśnie będzie pan potrzebował. Bo pan wie, że ja tego nie mam\*!’. A Houston powiedział, że dobrze, że położy pistolet na słupie i obaj cofną się na odległość następnego słupa z każdej stro

ny, policzą do trzech i pobiegną po pistolet, kto pierwszy chwyci.

— I czemu tak nie zrobili? — spytał Ratliff.

— Właśnie — krótko uciął Varner. — Muszą skończyć z tą historią. Mam co innego do roboty.

— No to jedź pan — powiedział Ratliff. — Ja sobie pojedą powolutku. Nie mam dziś nic pilnego, żadnego cielaka ani procesu.

Tak więc stary, tłusty, czyściutki koń (wyglądał zawsze, jakby wyszedł prosto z chemicznej pralni, niemal czuć było jeszcze zapach benzyny) ruszył dalej, poprzedzony wychodzącym z wnętrza i przypominającym organy odgłosem, wzdłuż podziurawionego, próchniejącego płotu. Ratliff, siedząc wciąż na swoim wozie, patrzył na konia i chudą, gibką postać, którą nie licząc trzyletniej przerwy, kiedy jeździł wozem, można było oglądać przez dwadzieścia pięć lat na tym samym siodle oddzielającym jeźdźca od konia, myśląc, że gdyby biały koń albo dwa jego własne obwąchały kołki ogrodzenia, tak jak to robią psy, szukając zapachu żółtych, dwukołowych powozików, to już by go nie znalazły. Myślał: „I wszystkie inne dwunożne kundły w tej okolicy między trzynastym i osiemdziesiątym rokiem życia mogłyby przechodzić teraz tędy nie odczuwając potrzeby zatrzymania się i podniesienia nogi.” A jednak powozy były wciąż jeszcze tutaj. Widział je, wyczuwał w powietrzu. Coś jesz

cze pozostało, za wiele tego było, żeby zniknąć tak szybko i tak całkowicie, jakiś delikatny i bogaty pyłek kwiatowy w powietrzu, które przepłynęło tędy i ukształtowało tę obfitość i tę szczodrość, splukując tą prawie nieprzerwaną progresją pokarmu przeżutego podczas owych szesnastu nieruchomych lat spadanych w fotelu czy na krześle: oto dlaczego to ciało nie mogło w ostateczności być nieprzebytą sierrą, dziewiczą i różaną matką barykad, których żaden mężczyzna nie mógł zdobyć nie płacąc grzywny, ani w ogóle zdobyć w jakikolwiek sposób, lecz przeciwnie, padał strącony i staczał się w dół, nie pozostawiając na nim żadnego znaku, żadnego śladu swojej osoby („To dziecko nie będzie podobne do kogokolwiek w okolicy, tak samo jak jego matka” — myślał); powóz był tylko częścią całości, banalnym i nieistotnym dodatkiem, jak guziki jej sukni, jak same suknie, jak tanie paciorki, które jeden z trzech jej ofiarowywał. Nigdy nie należała do niego, nawet podczas letniego zenitu czegoś, co on i Varner nazwaliby pięknym latem kocich amatorów. Był o tym przekonany bez żalu i przykrości, nie chciałby, żeby było inaczej („To byłoby to samo — myślał — co dać wielkie organy takiemu człowiekowi jak ja, który nigdy nie będzie umiał nic więcej, jak tylko nakręcić używaną pozytywkę, wymienioną za skrzynkę na listy”) i myślał nawet o zwycięzcy, zimnym jak żaba, bez zazdrości i nie dlatego, że wiedział,

iż bez względu na to, czego się Snopes spodziewał i jakby nazwał to, co obecnie posiadał, nie byłoby to zwycięstwem. To, co czuł, było oburzeniem na marnotrawstwo, niepotrzebną stratę, na sytuację dogłębnie i naturalnie fałszywą z ekonomicznego punktu widzenia jak skonstruowanie pułapki na niedźwiedzia i poświęcenie na przynętę młodej jałówki po to, żeby złapać szczura; albo nie, gorzej: tak jakby sami bogowie skierowali całe słońce i wszystkie życiodajne deszcze czerwca na jakieś gnojowisko po to, by się wylęgły mrówki. Dalej, za białym koniem, za zakrętem palisady, ledwie widoczna zarosła trawą ścieżka zakręcała w kierunku Sadyby Francuza. Koń próbował wziąć zakręt, ale Varner gwałtownie go cofnął. „Nie mówiąc już o schronisku dla biednych — myślał Ratliff. — Ale wtedy nie byłby zakazony”. Lekko potrząsnął własnymi lejcami. — Naprzód, chłopcy — powiedział. — W drogę!

Konie i wóz ruszyły dalej w gęstym kurzu gasnącego lata. Teraz widział już samą wieś — sklep, kuźnię, blaszany dach odziarniarki i lekkie drganie pary nad kominem. Był trzeci tydzień września: suche, zakurzone powietrze wibrowało nieustannie w rytm poruszającej się maszyny, ale temperatura powietrza była tak zbliżona do pary, że nie dostrzeżęło się wydechu, tylko lekkie, gorączkowe drganie mirażu. Samo rozgrzane powietrze, jak gdyby wypełnione jękliwą skargą załadowanych wozów, pachniało bawełnianym puchem, którego strzępki osiadały na zakurzonych chwastach przydrożnych, a pączki bawełny leżały wtłoczone kopytami lub kołami wozu w nieustannie deptaną ziemię. Widział także wozy, długi nieruchomy rząd, i cierpliwe muły z opuszczonymi łbami, czekające, by się posunąć o jedną długość wozu, w kierunku wagi, a potem pod rurę ssącą, gdzie znajdował się Jody Varner, gdyż w sklepie był już nowy pomocnik — nowy subiekt, zupełnie podobny do dawnego, tylko nieco niższy, cięższy, jak gdyby byli wycięci z tej samej sztancy, tylko w odwrotnym porządku, tak że ostatni wyszedł pierwszy, kiedy rogi i kanty bryły zostały już nieco stępione i spłaszczone. Małe, różowe usta nowego subiekta przypominały podogonie kota, a błyszczące żywe oczy, niemoralne jak oczy wiewiórki, miały wyraz wesołego, nieodwołalnego i niezmiennego przekonania

o niezmiennej, wrodzonej, aktywnej nieuczciwości wszystkich ludzi łącznie z nim samym. Jody Varner był przy wadze; Ratliff przejeżdżając wyciągnął swoją indyczą szyję

1 zobaczył gruby sfatygowany surdut, białą koszulę bez kołnierzyka i przepocone złote półksiężycy pod obydwoma pachami, i zakurzony, czarny kapelusz, na który także osiadły białe włókienka. „Toteż chyba teraz każdy jest zadowolony — myślał. — Albo wszyscy prócz jednego” — dodał w myśli, bo zanim dojechał do sklepiku, ^vyszedł stamtąd

Will Varner i wsiadł na białego konia, którego ktoś odwiązał i trzymał dla niego; dalej na ganku Ratliff zobaczył teraz gromadę ludzi, których naładowane wozy stały wzdłuż w rzędzie po drugiej stronie drogi czekając na zważenie, a kiedy sam z kolei podjechał pod ganek, ze schodów zeszli Mink Snopes i drugi Snopes, ten, który uczył w szkole i sypał przysłowiami (miał teraz na sobie nowy surdut, który mimo swej nowości, nie więcej zdawał się do niego należeć niż tamten stary, w którym Ratliff widział go po raz pierwszy). Ratliff zobaczył upartą twarz, teraz spokojną i ostygłą z furii, pod kreską jedynej brwi; obok niej przypominającą pysk gryzonia twarz nauczyciela, obaj minęli go w wirze machających rąk i ramion wyrzucanych poza nowy czarny wirujący surdut, a głos, tak samo jak gesty, zdawał się nie służyć, lecz rozkazywać ciału, które im dostarczało powietrza i krwi.

— Cierpliwości! Cezar nie zbudował Rzymu w jeden dzień, cierpliwość to koń, co najpewniej nosi, sprawiedliwość jest chlebem człowieka uczciwego, ale trucizną dla złego, jeśli poczekaś cierpliwie. Znam dobre prawo. Will Varner całkiem po prostu źle przeczytał. Wniesiemy apelację. Będziemy... — dopóki tamten nie odwrócił twarzy, wścieklej, z podniesioną w górę jedyną brwią i nie powiedział ochryple. — Do... — Poszli dalej, Ratliff podjechał pod ganek. Kiedy uwiązywał konie, wyszedł Houston ze swoim wielkim psem, wsiadł na konia i odjechał. Ratliff wszedł po stopniach na ganek, gdzie teraz zebrało się co najmniej dwudziestu ludzi. Bookwright był wśród nich.

— Zdaje się, że strona skarżąca ma talent prawniczy — powiedział. — Jaki jest wyrok?

— Jeżeli Snopes zapłaci Houstonowi trzy dolary za wypas cielaka, mote dostać cielaka z powrotem — powiedział Quick.

— Naturalnie — zgodził się RatUff. — Czy jego adwokat nic nie uzyskał?

— Adwokat musiał zapłacić grzywnę w postaci tego, czego nie zdążył powiedzieć, a podobno było tego niemało — powiedział Bookwright. — Jeżeli b to panu chodziło.

— Dobrze — rzekł Ratliff. — Bardzo pięknie. Tak że Will nic nie mógł zrobić następnemu z kolei Snopesowi, tylko przeszkodzić mu mówić. Nie żeby coś to pomogło, gdyby powiedział więcej. Snopesowie mogą przychodzić i odchodzić, ale Will Varner coś jakby przyczepił się do tych Snopesów na zawsze. Albo Snopesowie przyczepili się do niego, jak wolicie. Co to tamten kiedyś powiedział: „Precz ze starym, niech będzie nowe, stara robota i stare miejsce, może ktoś nowy robi tę robotę, ale czy hio wciąż nsie ten sam stary dureń daje się nabierać?” — Bookwright patrzył na niego.

— Gdyby pan stał bliżej drzwi, mógłby pana słyszeć o wiele lepiej — powiedział.

— Pewnie — powiedział Ratliff. — Ostroż\*

nie z rozmową przy dzieciach, świat toruje ścieżką do chlewu bogacza, ale nie każda rodzina ma nowego prawnika, nie mówiąc już o proroku. Kto nie trwoni pieniędzy, temu ich nie brakuje, ale pełny brzuch nie potrzebuje proroka, żeby mu przepowiedział zysk i od kogo. — Teraz wszyscy patrzyli na niego — gładka, nieprzenikniona twarz z dziwnym wyrazem oczu i dziwną linią wokół ust, której nie mogli odczytać.

— Co panu jest? — spytał Bookwright. — Uważa pan, że coś tu jest nie w porządku?

— Nic — odparł Ratliff, — Co by mogło być nie w porządku gdziekolwiek bądź i w jakikolwiek bądź sposób na tym najlepszym ze światów? Pewnie ci sami ludzie, co mu sprzedają krawaty, muszą też mieć długie czarne pończochy. I każdy malarz szyldów może mu wymalować na parawanie przy łóżku półki sklepowe zastawione konserwami w puszkach...

— Co też pan? — powiedział Bookwright.

— ... tak, żeby mógł zrobić to, o czym każdy mężczyzna i każda kobieta, w wieku od trzynastu do stu jeden lat, którzy ją widzieli, myślą już od dwudziestu dziewięciu dni. Pewnie, mógłby tam położyć dach, żeby się wdrapać, i okno, żeby przez nie uciec. Ale to niepotrzebne i to nie w jego stylu. Nie, panowie. Ten człowiek to nie zwyczajny kot-dachowiec. Ten człowiek...

W tej chwili mały, ośmioletni chłopak ubrany w kombinezon wbiegł po schodach, obrzucił ich pośpiesznym spojrzeniem swoich oczu niebieskich i niewinnych jak barwinek i wszedł do środka sklepu.

— ...ten człowiek potrzebuje tylko siedzieć w sklepie, aż wreszcie po jakimś czasie wejdzie ktoś, żeby kupić słoniny za pięć cen\* tów — nie, nie kupić, wchodzi kobieta i prosi pana Snopesa o słoninę, on jej daje i wpisuje to do rachunków, a ona wcale nie wie, co on tam napisał w tej książce ani dlaczego, tak samo jak nie wie, skąd się ta słonina wzięła w tym blaszanym pudle z obrazkiem świni na pokrywce, chociaż wie, że to Świnia, a on odkłada pudło i odkłada książkę z rachunkami, i podchodzi do drzwi, zamyka je i zakłada sztabę, a ona już weszła za kontuar i położyła się na podłodze, bo może myśli, że teraz tylko to ma zrobić, nie żeby zapłacić za słoninę, bo to już jest wpisane do książki, ale żeby stamtąd wyjść...

Nagle ukazał się wśród nich nowy subiekt. Wskoczył za drzwi, wszystkie rysy jego twarzy zdawały się pośpiesznie skupiać pośrodku twarzy, w powierzchownym i gwałtownym blasku nagłego podniecenia. Chłopiec z oczyma koloru barwinka dreptał rezolutnie obok niego i zbiegł po schodach nie czekając.

— No, chłopcy — powiedział prędko głosem pełnym napięcia. — Zaczęło się. Musicie się pośpieszyć. Ja teraz nie mogę iść. Muszę tu zostać. Zajdźcie naokoło od tyłu, żeby

sUmi l.illejohn was nin zobuczyla. Zuc/y mi już na to pal rzeć złym okiem.

Pięciu czy sześciu mężczyzn wstało z polnym zaciekawieniem skrytym, prawie nieufnym pośpiechem. (Janek opustoszał, mały chłopiec deptał niestrudzenie wzdłuż płotu odgradzającego pole pani T.ittlejohn.

— Co się stało? — spytał Ratliff.

— Chodź pan zobaczyć, jeżeli jeszcze tego nie widziałeś — powiedział jeden z odchodzących.

— Ale co zobaczyć? — spytał Ratliff. Patrzył na tych, którzy nie wstali. Wśród nich był Bookwright. Z pochyloną głową strugał bez przerwy kawałek sosnowego drzewa. -

— Prędko, prędko — przynaglał ktoś idący za człowiekiem, który zatrzymał się na stopniach, — Skończy się, zanim przyjdziemy łam. — Przyśpieszyli kroku. Ratliff patrzył, jak idą szybkim krokiem wzdłuż płotu pani Uttlejohn, za chłopczykiem, wciąż z tym samym skrytym, pełnym nieufności zaciekawieniem.

— Co oni tam idą zobaczyć? — dopytywał się Ratliff.

— Idź pan i sam zobacz — szorstko odparł Bookwright, nie podnosząc oczu znad scyzoryka. Ratliff spojrział na niego.

— Pan to widział?

— Nie.

— A pójdzie pan zobaczyć?

— Nie.

— Wie pan, co to jest?

— Niech pan sam zobaczy — powtórzył Bookwright szorstkim, gwałtownym głosem.

— Zdaje się, że będę musiał, skoro nikt mi nie chce powiedzieć — rzekł Ratliff wstając. Tamci byli już dość daleko, idąc pośpiesznie wzdłuż płotu. Ratliff zaczął schodzić z ganku. Mówił jeszcze. Mówił wciąż schodząc po stopniach, nie oglądając się. Nie wiadomo było, czy mówi do ludzi za nim, czy mówi w ogóle do kogokolwiek, czy nie: — ...więc idzie, zamyka zasuwę od wewnątrz i wraca, a tam jest ta głupia Murzynka, co przyszła prosto z pola spocona od roboty w polu i nie wie, że cuchnie potem, bo nigdy nie wachała nic innego, tak jak muł nie wie, że cuchnie mułem z tego samego powodu — i ma tylko jedną suknię, to znaczy tę, w której leży teraz na podłodze za kontuarem i patrzy ponad jego głowę na te rzędy małych puszek z rybkami i diabłkami na wierzchu i nie wie, co w nich jest w środku, bo nigdy nie miał dziesięciu ani pięciu centów i nawet gdyby dał jej pięćcentówkę, nie mówiąc o słoninie, po którą tu przyszła, musiałaby na to pozwolić jeszcze dwa czy trzy następne razy, gdyby przyszła po słoninę, ale gdzieś słyszała któregoś dnia, jak ludzie mówili, co jest w tych puszkach, leżąc tam i patrząc w górę na te puszki za każdym razem, kiedy jego głowa odslaniała je na dosyć długo, i mówi: „Panie Snopes, ile pan liczy za te sardynki?”

Kiedy zima stała się wiosną i w miarę jak sama wiosna posuwała się naprzód, coraz mniej miał ciemności, w których mógł się ukrywać. Wkrótce ciemno było tylko wtedy, kiedy opuszczał stodołę, posuwając się ostrożnie, macając najpierw grunt nogą, żeby wyjść z komórki, gdzie było jego legowisko, złożone z siennika i koca, i obracał się plecami do wydłużonego, pełzającego cienia domu, gdzie nowo przybyli ostatniej nocy komiwojażerowie chrapali na łózkach, które nauczył się teraz słać równie dobrze jak pani Littlejohn; w kwietniu była to jak gdyby pora między nocą a świtem, fałszywa jutrzienka, w której mógł widzieć i rozpoznawać siebie, jako jedną spoistą całość, namacalną i widzialną, a nie jako istotę z obnażonymi nerwami, której całą zdolność postrzegania wypełnia samotny lęk, straszliwie wolny i nieskrępowany w ślepej wrogości pierwszych kwadransów dnia. Teraz to już minęło. Teraz strach istniał tylko w ciągu tej jedynej chwili następującej po fałszywym brzasku, tej króciuteńkiej przerwy między świtem a chwilą znaną ptakom i zwierzętom, kiedy noc w końcu ustępuje przed dniem; wtedy zaczynał się śpieszyć, biec kłusem, nie po to, żeby prędzej tam dotrzeć, ale dlatego, że wkrótce musiał wracać, bez strachu już i spokojnie, wśród jasności rosnącej od barwy szarej poprzez różową aż do ostatecznego złocistego blasku poranka, na grzbiet ostatniego wzgórza, żeby znaleźć się nad strumykiem i położyć się w mokrej trawie, pośród tysięcy istnień budzących się do życia i słuchać jej nadejścia.

Potem słyszał, jak ona schodzi na brzeg strumienia we mgle. To miało być za godzinę, za dwie, za trzy, świt był pusty przez chwilę i jej nie było, potem słyszał ją i leżał przemoczony w mokrej trawie, spokojny, cały oddany radości niepodzielnej, słuchając, jak się zbliża. Czuł jej zapach, cała mgła wokół niego była nim przesycona. Te same palce mgły dotykające jego boków wilgotnych od rosy igrały na obsypanym perlami brzuchu krowy, kształtowały ich oboje, gdzieś w bliskim, najbliższym czasie, już zaślubionych. Nie ruszał się. Leżał wśród budzącego się życia, którym pulsowała ziemia, nieruchome liście ciężkich roślin wodnych pochylały się we mgle nad jego twarzą, w czarnych, zastygłych liniach krzywych i wzdłuż każdej paraboli każda z drgających kropel zawierała maleńkie powiększenie różanej miniatury jutrzienki. Wdychał unoszący się w powietrzu ciężki, gorący zapach obory, nawet czuł smak mleka i nasłuchiwał powolnego stapania, słysząc każde energiczne uderzenie o ziemię rozdwójonego kopyta, rozpryskującego błoto, niewidzialnego jeszcze we mgle jesieni, rozbrzmiewające hymeney- skimi chórami. Potem widział ją: wąskie,



Isniące rogi poranka, słońca, rozprasały mgłą i ukazywała się przed nim płowa, obsypana perlami rosy, stojąca w rozdzielonej płytkiej wodzie brodu, dmuchająca w wodą swoim ciężkim, gorącym, mlecznym oddechem, i leżąc w mokrej trawie, oślepiiony słońcem, czołgał się bezsilnie z cichym i ochrypłym jękiem. Bo nie może być z nią złączony przez ranek, południe i wieczór dnia. Nie dlatego, żeby musiał wracać do roboty. Nie istnieje żadna robota, żaden trud, żaden opór mięśni i ducha, który trzeba pokonać, nieustannie z nim walczyć; nie było dnia wczorajszego, tak jak nie ma jutra, dzisiaj jest tylko łagodnym, dziewiczym zdumieniem na widok sterty śmieci i kurzu, rosnącej przed szczotką do zmiatania na widok prześcieradeł składających się gładko i równo pod pewnymi zapamiętanymi ruchami rąk — zakorzeniona, nie bolesna rutyna, energiczna i łagodna ręka, która nim kieruje, głos, radosny i dobry, który go uczy i tresuje, tak jak się uczy i tresuje psa.

To dlatego, że nie może iść dalej. Próbował już tego. Trzeci raz już tu leżał i czekał na nią; mgła opadła ukazując jej obraz i tym razem nie było już nawet dnia dzisiejszego: ani łóżek do siania, ani ręki, ani głosu: odtrącił wierność a nawet przyzwyczajenie. Wstał i przybliżył się do niej z wyciągniętą ręką. Podniosła głowę, spojrzała na niego i wygramoliła się na przeciwległy brzeg, wychodząc z wody. Ruszył za nią stając pając ostrożnie w wodzie, podnosząc wysoko nogi przy każdym kroku, jęcząc z cicha, natarczywy a jednocześnie dbały o to, by jej nie przestraszyć. Upadł raz jak długi, nie starając się zatrzymać w porę, znikł zupełnie pod wodą z jednym głośnym okrzykiem i podniósł się, ociekający wodą, nabierając oddechu, żeby znowu krzyknąć. Ale stłumił krzyk i zamiast tego przemówił do niej, wylazł na brzeg i znowu zbliżył się do niej z wyciągniętą ręką. Tym razem popędziła naprzód, biegła galopem przez krótki czas i skręciła w bok z opuszczonym łbem, potem nagle zawróciła i znowu uciekła, zanim wyciągnięta ręka zdążyła jej dotknąć. Ścigał ją, przemawiając nagłoc i pieszczotliwie. Wreszcie zawróciła gwałtownie, przebiegła obok niego, pędząc z powrotem do brodu. Nie mógł jej dogonić; biegnąc, jęcząc, patrzył na cienie liści przemykające się poprzez nietknięty, uciekający kształt miłości, kiedy krowa przeszła znowu na drugą stronę strumienia i pobiegła ścieżką pod górę, a potem znowu przystanęła, skubiąc trawę.

Przestał jęczeć. Pośpieszył z powrotem do strumienia i zaczął brnąć na drugi brzeg podnosząc nogi wysoko nad wodę, jakby za każdym razem spodziewał się natrafić na twarde grunto albo może nie wiedział, czy go znajdzie, czy nie. Tym razem nie upadł. Lecz zaledwie wydrapał się na brzeg, krowa ruszyła znowu pod górę ścieżką, już nie galopem, ale z pełną świadomością, tak że jesz-

cze raz musiał pobiec za' nią nie mogąc jej dogonić i znowu jęcząc, z tym natarczywym, przestraszonym teraz i oszołomionym zdziwieniem. Przemierzała teraz z powrotem ścieżkę, którą tu przyszła dziś rano i we wszystkie inne poranki. Prawdopodobnie nie wiedział nawet o tym, nie zważał na to, dokąd za nią idzie, nie widząc nic prócz krowy, może nawet nie uświadomił sobie, że się znaleźli na folwarku, nawet kiedy krowa przeszła przez podwórze do obory, którą opuściła niespełna przed godziną, mimo że prawdopodobnie wiedział, skąd ona przychodzi co rano, gdyż znał całą okolicę i nigdy nie zablądził: przedmioty stawały się płynne w ciemnościach, ale nie zmieniały miejsca ani położenia. Może nawet nie rozumiał, że krowa jest w oborze, tylko że nareszcie się zatrzymała, wreszcie przestała uciekać, bo natychmiast stłumił swój przerażony i błagalny jęk i poszedł za nią do obory, przemawiając do niej znowu szeptem, zaśliniony, zdyszany, i dotknął jej ręką. Odwróciła się, prawdopodobnie zobaczył, nie że nie może uciekać, ale tylko to, że nie uciekła. Dotknął jej znowu, ręka, głos były pełne wahania i obietnic. Potem leżał przewrócony na wznak, tylne kopyta krowy kopały jeszcze drewnianą ścianę tuż przy jego głowie, a potem pies stał nad nim i w chwilę później jakiś człowiek szarpał go gwałtownie za koszulę, usiłując go podnieść. Potem znalazł się za drzwiami obory. Houston wciąż szarpał go za koszulę kłnąc, nie z furią, ale z rozpaczą. Pies stał o parę kroków dalej, nie spuszczał go z oka,

— Ike H-mope — powiedział. — Ike H-mo- pe.

— Ike g... — powiedział Houston, przeklinając, potrząsając nim gwałtownie. — Bierz go — zwrócił się do psa — wyprowadź go stąd. Nie za ostro. — Pies wyszczerzył zęby i zaszczekał. Nie ruszył się jeszcze, szczeptał tylko raż, tak jakby powiedział „No!”. Wciąż jęcząc, usiłując teraz przemówić do tego człowieka swoimi płonącymi oczyma, podsunął się w kierunku otwartej jeszcze furtki, którą wszedł tu przed chwilą. Teraz pies poruszył się także idąc tuż za nim. Obejrzał się za oborą, za krową. Jeszcze raz próbował przemówić do człowieka oczyma, jęczący, zaśliniony, kiedy pies znowu zaszczekał ostrzegawczo, raz tylko, i postąpił o krok w jego kierunku, ale nie więcej. Wtedy rzucił psu jedno przerażone spojrzenie i pobiegł w stronę furtki. Pies zaszczekał znowu trzykrotnie, prędko, raz za razem. Isaac krzyknął teraz ochryple i tchórzliwie, biegnąc niezdarnie, kołysząc ociężałymi biodrami, które poruszały się z jakimś beznadziejnym, poniżającym brakiem koordynacji. — Spokojnie! — wołał Houston. Nie usłyszał. Słyszał tylko kroki psa tuż za sobą. Biegł ciężko z głośnym rykiem.

Więc teraz nie może iść dalej. Może leżeć w trawie i czekać na nią, słyszeć ją i wi-

dzieć, kiedy rozproszy siii, \* myl<j i nu tym koniec. Podnosi się \VH;< Z trawy i stoi, kołysząc się jeszcze z boku na bok i wydając z gardła słaby, ochryply dźwięk. Zawraca i zaczyna się wspinać na wzgórze, potykając się czasem, bo jccjo oczy jeszcze są pełne słońca. Ale jego boscie nogi znają się z kurzem dróg, więc wkrótce zaczyna znowu iść klusem, śpiesząc się, ciągle jęcząc. Jego cień robi się krótszy w kurzu na drodze, a wędrujące słońce grzeje'go w plecy i wysusza bioto na jego mokrym kombinezonie. Wraca więc do domu, do zaśmieconych pokoi i rozgrzebanych łózek. Po chwili weźmie się do zmiatania, przystając, żeby ochryplym jękiem wyrazić swój zawód i niedowierzający żal, potem znów patrząc ze spokojnym zdziwieniem na gromadzące się przed szczotką śmiecie i kurz. Bo nawet zmiatając wciąż jeszcze widzi jej płową sylwetkę wśród liliowych cieni pastwiska, już nie stojącą nieruchomo na tle jasnej zieleni, lecz nieodłączną od tego apogeum wiosny zdobiącej ją w kwiaty i wieńce.

Był na górze i zmiatał, kiedy zobaczył dym. Wiedział dokładnie, gdzie to jest — wzgórze porośłe żarnowcem i wrzosami za strumieniem. Chociaż było odległe o tizy mile, mógł ją widzieć cofającą się tyłem przed płomieniami i słyszeć jej ryk. Ruszył tak jak stał, ze szczotką w ręku. Biegł wpadając na ściany, na wysokie małe okno, przez które ujrział dym i przez które nie mógłby przejść, nawet ydyby potrafił skoczyć z wysokości osiemnastu stóp nad zie- inią, jak motyl albo uwięziony ptak. Potem ukazały się przed nim drzwi korytarza i nie zatrzymując się ruszył ku nim i przestąpił próg, ciągle ze szczotką w ręku, i potem dalej biegł korytarzem do schodów, kiedy pani UttJejohn wyszła z drugiego pokoju i zatrzymała go: — JsaacI — powiedziała. — Isaac! Nie podniosła głosu i nie dotknęła fjo, a jednak przystanął, pojękując, wytrzeszczając na nią swoje puste oczy, podnosząc to jedną, to drugą nogę jak kot, kiedy stoi na czymś gorącym. Potem wyciągnęła rękę, ujęła go za ramię i zawróciła. Poszedł posłusznie z powrotem do pokoju, jęcząc. Poruszył nawet parę razy szczotką, zanim zobaczył dym przez okno. Tym razem znalazł drzwi korytarza prawie od razu, chociaż ^nie zbliżył się do nich. Stał przez chwilę spoglądając na szczotkę w swoim ręku, popiskując, potem spojrział na łóżko, które przed chwilą gładko zaścielił, podszedł, rozrzucił je znowu i włożył szczotkę do środka, włosiem do góry, po czym naciągnął koce z powrotem, otulając w nie szczotkę z dziwną, nieskoordynowaną wprawą i pośpiechem i wyszedł z pokoju. Teraz nie jęczał już. Nie stapał na palcach, ale przeszedł przez korytarz zdumiewająco cicho i prędko, dotarł do schodów i zaczął schodzić, zanim pani Littlejohn zdążyła wynurzyć się z drugiego pokoju. Z początku,

trzy lata temu, nie próbował nigdy schodzić na dół, wszedł po schodach sam? nikt nie wiedział, czy wszedł na noc/ach, czy się wczołgał na czworakach, czy może wchodził po stopniach, nie rozumiejąc, że wspina się wzwyż, gdyż poczucie głębokości nie działało w kierunku odwrotnym. Pani Littlejohn wyszła wtedy do sklepu, ktoś przechodząc koło domu usłyszał go, i kiedy wróciła, w hallu było już pięć czy sześć osób, spoglądających w górę, gdzie stał uczepiony poręcz czy na najwyższym stopniu, z zamkniętymi oczyma, rycząc. Czepiał się wciąż poręczy rycząc i wrywając się, kiedy próbowała ściągnąć go na dół. Nie ruszył się stamtąd przez trzy dni, w ciągu których przynosiła mu jedzenie, a ludzie schodzili się z całej okolicy, przebywając po kilka mil, i pytali: „Jeszcze go pani nie ściągnęła na dół?!”\*, zanim wreszcie skłoniła go, żeby spróbował zejść. A nawet i wtedy trwało to parę minut; ludzie zgromadzeni w hallu patrzyli, jak stanowcza, łagodna ręka i chłodny, cierpliwy głos krok po kroku sprowadzały go na dół, czepiającego się poręczy i ryczącego jak zwierzę. Potem przez jakiś czas spadał, ilekroć próbował zejść. Wiedział, że upadnie, stawiał nogę na ślepo, w próżnię, jęcząc już zawczasu i staczał się po schodach, porażony nie bólem, ale zdziwieniem, aby w końcu znaleźć się na podłodze w hallu na dole. Ryczał głośno, a jego oślepione blaskiem

oczy patrzyły w pustkę strwożone i niedowierzające.

W końcu jednak nauczył się radzić sobie ze schodami. Teraz tylko zwalniał szybkość, zanim postawił nogę, jeszcze trochę nieufnie, ale już bez lęku, na stopniu, który przy każdym kolejnym ruchu był niezupełnie przestrzoną, był prawie niczym, ale z każdą mijającą chwilą stawał się niezupełnie niczym, Szybko minął hall na parterze i znalazł się na podwórzu, gdzie znów przystanął i zaczął kołysać się z boku na bok, jęcząc, z twarzą wyrażającą zawód i osłupienie. Stąd nie widział dymu i w szystko, co pamięta teraz, to puste wzgórze o świcie, skąd schodził we mgłę nad strumieniem, żeby czekać na nią, a teraz to jest nieprawdziwe. Dlatego, że on stoi w słońcu, widzialny — on sam, ziemia, drzewa, dom — wszystko to wyraźne, ustalone w swej widzialności: żadnej ciemności, przez którą i od której trzeba uciekać — w tym jest coś nieprawdziwego, Stał więc w miejscu, zawiedziony, jęcząc i kołysząc się przez chwilę, potem znowu ruszył przez podwórze do furtki. Nauczył się ją także otwierać. Odsunął rygiel i poprzeczna bariera znikła spomiędzy dwóch kołków; przeszedł i po chwili znalazł barierę tam, gdzie uderzyła o płot, zamknął ją, zasunął rygiel i poszedł dalej przez zalane słońcem pole, jęcząc, i wszedł do stajni.

Zwężone od blasku źrenice nie od razu mogły widzieć w mroku. Ale przecież za

wsze było ciemno, kiedy wchodził do stajni w drodze do swego legowiska, toteż nagle przestał jęczeć i poszedł prosto do drzwi, do komórki z uprzężą, posuwając się naprzód pewnymi ruchami, uchwycił oburącz odrzwia i podniósł nogę, żeby przestąpić próg, i macając nogą ziemię wyszedł z ciemności na światło; światło, widzialność szumiały bezgłośnie wokół niego i czuł się w nich cały i zwarty, biegnący już w kierunku zbroczona nad strumieniem, żeby położyć się we mgle i czekać na nią, kiedy przejdzie przez pole i przez zagrodę, otoczona drutem kolczastym. Spodnie kombinezonu zaczepiały się o drut, ale oderwał je rozdzierając tkaninę, bez jęku, i wybiegł na drogę, jego grube, kobiece uda poruszały się z wysiłkiem, a twarz i oczy wyrażały niepokój i przerażenie.

Kiedy dotarł do wzgórza odległego o trzy mile, biegł wciąż jeszcze; zboczywszy z drogi zaczął się wspinać na zbroczona i zobaczył dym za strumieniem, wydał znowu ochryplą, niesamowity krzyk i zbiegł na dół, brnąc przez obeschłą już trawę, w której leżał

o świcie, do strumienia, do brodu. Nie wahał się. Nie patrząc zbiegł po stromym brzegu w pomarszczoną wodę, biegnąc dalej, nawet kiedy zaczął padać, twarzą na dół, zanurzył się do wody razem z głową i wstał ociekający wodą, zanurzony po kolana, rycząc. Podniósł jedną nogę nad powierzchnię i dał krok naprzód, jakby wchodził na stopień schodów, potem jeszcze jeden krok biegiem,

\*

zanim upadł. Tym iazem jego wyciągnięte do przodu ręce natrafiły na drugi brzeg i kiedy wstał, usłyszał głos krowy, słaby przestraszony ryk spoza zasłony dymu na drugim wzgórzu. Podniósł jedną nogę nad powierzchnię i znów pobiegł. Tym razem, kiedy upadł, leżał już na suchej ziemi. Podniósł się i ruszył naprzód w swoim przemoczonym kombinezonie, przebiegł przez łąkę i wdrapał się na drugie wzgórze, którego grzbiet zasnuwała dymna zasłona, nieruchoma, bez wiatru, zmieniająca barwy od niebieskiej do liliowej, fioletowej i miedzianej w południowym słońcu.

O mile za sobą zostawił żyzną zieloną dolinę i wszedł na teren górzysty — w okolicę, która topograficznie była ostatnim, błękitnym i zamierającym echem gór Apalla- chów. Niegdyś władali nią Indianie Chicka- saw, ale potem wykarczowano ją, gdzie tylko było to możliwa pod uprawę, a po wojnie domowej zapomniano o niej i nie było tu nic prócz małych tartaków wędrownych, które także znikły i z czasem pozostały po nich tylko niewielkie sterty zgniłych trocin, które były nie tylko ich nagrobkami, lecz także pomnikami bezmyślnej zachłanności ludzkiej. Teraz rozciągała się tu kraina skarłałych świerków i dębów, wśród których kwitły dzikie derenie, póki ich także nie wycięto na wrzeciona do przędzenia bawełny, i dawnych pól, gdzie nie widać było nawet śladu bruzdy, opustoszałych, wynisz-

czonych przez czterdzieści lat deszczów, -i mrozów, upałów, aż przeobraziły się w płaskowyż porośnięty gęstwiną trzcin i wrzosów, z ukochaną przez dzikie króliki i siada przepiórek, i w urwiska pokryte czerwono-białymi pasami piasku i gliny. Teraz biegł w stronę, jednego z tych płaskowyży, pędził nie wiedząc o tym, przez zgliszcza — gdyż ziemia zdążyła już ostygnąć, pośród kęp szerniawych zeszłorocznych szuwarów, usianych małymi wysepkami tegorocznej żółtej palącej się zieleni i zwęglonych główek margarytek i stokrotek — na grzbiecie wzgórza. Dym rozciągał się przed nim jak ściana, spoza której słyszał przerażone ryczenie krowy, Pobiegnął przedzierając się przez dym w kierunku runku tego głosu. Ziemia była gorąca, paliła jego stopy, tak że odrywał je od niej jak najspieszniej, raz krzyknął zdziwionym, ochrypłym głosem, na co dym i rozciągające się wokół ślady zniszczenia jak gdyby odpowiedziały mu krzykiem. Odgłos ten dochodził zewsząd, z góry i z dołu, torując sobie drogę ku niemu. Usłyszał tętent i kiedy stanął z zapartym tchem, koń wyłonił się z dymu jakby nagle zmaterializowany, potworny, zniekształcony, z płonącymi oczyma i rozwianą grzywą, pędząc ku niemu. Krzyknął znowu. Przez chwilę on i koń stali oko w oko, z dzikim wyciem, roziskrzona oczy, żółte zęby, wielka czerwona gardziel rozplamiona niszczycielskim triumfem, pochylona nad nim, a potem, gdy koń oddalił się nie przerywając galopu, wiatr, oddech przelatującego smoka, płonący w jego włosach i ubraniu; huragan minął. Pobiegnął dalej za głosem krowy. Kiedy znów usłyszał za sobą konia, nie odwrócił się nawet. Nawet nie krzyknął. Biegł wciąż nie zatrzymując się, podczas gdy ziemia, dym wypełniały się niby grzmotem szybkim twardym tętentem i znowu głos nie do wytrzymania rozległ się tuż nad nim. Zarzucił oba ramiona na głowę i runął jak długi, podczas gdy wiatr, ostra woń smoka znów zionęła prosto na niego, a oszalały koń przeskoczył jego rozciągnięte na płasko ciało i znikł raz jeszcze.

Wygramolił się i znów pobiegł. Krowa była już teraz zupełnie blisko i zobaczył ogień: wąska różowa wstążeczka pełżąca nisko wśród dymu pomiędzy nim a miejscem, skąd dochodził ryk krowy. Ilekroć jego stopy dotknęły teraz ziemi, wydawał krótki krzyk, próbując oderwać stopę, nim zaważy na niej cały ciężar ciała, potem natychmiast zwracał się w pełnym grozy zdumieniu ku drugiej stopie, o której na chwilę zapomniał, tak że w tym momencie nie posuwał się wcale naprzód, tylko dreptał na jednym miejscu jakby w tańcu, kiedy usłyszał konia jeszcze raz nadbiegającego ku niemu, Krzyknął. Jego głos zmieszał się z rzeniem konia w jeden dźwięk, dziki, wściekły, rozpaczliwie beznadziejny; rzucił się w ogień, i wybuchł, wyrzucony w powietrze, słońce, jasność, rozsypując wokół siebie płomienie, które trze-

połyły i opadały za nim niby ubranie w strzępach. Krowa stała na krawędzi wąwozu, o jakieś dziesięć stóp, zwrócona w stronę ognia, ze spuszczoneym łbem, rycząc. Ledwie zdążył jej dosięgnąć i obrócić się, zasłaniając ją własnym ciałem i obejmując ramionami łeb. gdy oszalały koń wyłonił się z kłębow dymu i runął na nich.

Koń nie uchylił się nawet. Skoczył, prawie nie biorąc rozpędu, jednym susem. Zęby, dzikie oczy, długa czerwona gardziel pochyłały się nad nim w obramowaniu rozwianej, wirującej grzywy, całe ciało zwierzęcia unosiło się nad jego głową z potworną, rozmyślną powolnością. Powietrze wypełniał furkot trzepoczących wściekle skrzydeł i blask czterech półksiężyców na kopytach, kiedy rżąc jeszcze koń znikł za krawędzią wąwozu, wciągając najpierw krowę, a potem jego samego, jakby w gwałtowną próżnię, wytworzoną przez potępińczy galop. Ziemia przybrała pozycję prostopadłą i uciekła do góry — przepaść, bez kresu, nawet bez pociechy w postaci stopni. Żaden dźwięk nie wydarł się z jego ust, kiedy wszyscy troje potoczyli się na dno urwiska, gdzie koń skoczył znów na nogi i nie zatrzymując się ani chwili pogalopował wzdłuż rowu, a w niego, podczas gdy leżał pod szamoczącą się, ryczącą krową, trafił gwałtownie wyrzucony ładunek jej skurczonych strachem kiszek, które wreszcie znalazły ulgę. Nad nimi, w głębi wąwozu, ostatnie postrzępione płomienie pełzały po krawędzi, póki nie znikły wirując, w nieruchomej smudze dymu, bladego dymu na słonecznym niebie bez wiatru.

Z początku nie mógł z nią nic zrobić. Wygramoliła się stojąc naprzeciw niego z pochylonym łbem, rycząc. Gdy posunął się ku niej, zawróciła i pobiegła w stronę ściany urwiska, wściekle i daremnie grzebiąc obsuwający się piasek, jakby w ślepym paroksyzmie wstydu chciała uciec nie tylko od niego, ale od tego miejsca, które było świadkiem pogwałcenia jej intymności i w które została wtrącona nagię i bez uprzedzenia, zdradzona i zelżona przez własną zdradliwą konieczność biologiczną. Biegł za nią znowu, przemawiając do niej, próbując opowiedzieć jej, że ten brutalny gwałt zadany jej wsty- dliwości dziewiczej nie jest żadną hańbą, gdyż taka jest niezmienna, niezniszczalna osnowa tkaniny miłości, Ale ona nie chciała słuchać. Drapała wciąż kopytami uciekające zbocze, aż wreszcie oparł się ramieniem o jej zad, popchnął ją naprzód wzwyż. Wspólnym wysiłkiem wspięli się o jakiś jard pod górę, po piasku rozsypującym się i uciekającym spod ich stóp, zanim wyczerpała się siła rozpędu, i nierozłączni, sztywni, zsunęli się na dno rowu z powrotem, zagłębieni po kostki w ruchomej bryle piasku jak dwie figury na tratwie. Zanim oparł się ramieniem o jej zad i wspięli się na przestrzeń jarda czy trochę więcej, zanim zdradliwy grunt załamał się pod ich stopami. Przemawiał do niej, perswa-

dował, zdobyli się na najwyższy wysiłek. Ale znów ziemia uciekała do góry, grunt, piasek, wszystko zostało spod nich gwałtownie wyszarpięte i wyrzucone w górę w kierunku bladego nieba, jeszcze lekko powleczonego dymem, i znów leżeli splątani, szamoczący się na dnie wąwozu, on znowu pod nią, aż wreszcie, rycząc i wierzgając z furją, krowa podniosła się i popędziła w głąb rowu, jak przedtem koń, i znikła, zanim zdążył podnieść się na nogi i pobiec za nią.

Wąwóz prowadził do strumienia. Prawie natychmiast znalazł się znowu na łące, choć prawdopodobnie nie zdawał sobie z tego sprawy i zobaczył krowę galopującą naprzód. Możliwe, że w pierwszej chwili nie rozpoznał nawet brodu, nawet wtedy gdy krowa zwalniając kroku weszła do wody, zatrzymała się i pochyliła łeb, żeby się napić. Pobiegł do niej, jęcząc, błagając, ale niezbyt głośno, żeby jej znów nie spłoszyć do ucieczki. Zbliży się więc do brzegu, ścisząc głos, podnosząc stopy i stawiając je w to samo miejsce, z osmoloną twarzą, stężała w napięciu, błagając. Ale ona nie rusza się, więc w końcu on wchodzi do wody, stąpa po wodzie, zapominając znowu, że to nie ziemia, krzycząc znowu nie tyle ze zdumienia, ile ze strachu, żeby jej nie przestraszyć i znów dotyka stopami twardego gruntu, a dłońmi dotyka krowy. Ona nie przestaje nawet pić; przez sekundę czy dwie jego ręce dotykają jej boku, zanim podnosi ociekający wodą pysk i spogląda na niego, znowu dziewicza, wahająca, uwolniona od wsty- ‘ du.

Houston znalazł ich tutaj, Przejechał galopem przez łąkę na nie osiodłanym koniu, z psem, i zobaczył przysadkowatą postać przykucniętą w wodzie za krową, i obmywającą niezgrabnie jej nogi gałęzią wierzby. — Nic jej się nie stało? — krzyknął, hamując konia z trudem, bo nie miał nawet wędzidla. — Hej, stój, stój, psiakrew. Dla- czegoś u diabła nie próbował złapać konia? — krzyknął. — Mógł sobie złamać... — Wtedy tamten, przykucnięty w wodzie, odwrócił osmoloną twarz i Houston poznał go. Zaczął kłać hamując konia ręką zanurzoną w grzywie, przerzucając już nogę i zsuwając się na ziemię, zanim koń stanął, klnąc z pełnym rozpaczem rozdrażnieniem, które nie było złością, ale wściekłością. Podszedł do strumienia, z psem u nogi, schylił się, podniósł uszlą gałąź, która została po ostatniej zimowej powodzi, i smagnął krowę brutalnie przez grzbiet. A potem rzucił za nią złamany koniec, kiedy podskoczyła naprzód, aby się wdrapać na przeciwległy brzeg. — Do domu! — wrzeszczał Houston. — Do domu, kurwo przeklęta! — Krowa biegła galopem parę jardów, potem stanęła i zaczęła szczypać trawę, — Odprowadź ją do domu — powiedział Houston do psa. Nie ruszywszy się, podniósłszy tylko głowę pies szczeknął jeden raz. Krowa gwałtownie podniosła łeb



i znów ruszyła kłusem, podczas gdy on, jeszcze w wodzie, krzyknął ochryple i zerwał się na nogi w tej samej chwili co pies. Ale pies nie przeszedł nawet przez strumień, nie śpieszył się, szedł tylko brzegiem, póki nie znalazł się naprzeciw krowy i znów zaszczekał, pogardliwy, stanowczy. Tym razem krowa ruszyła galopem pod górę brzegiem strumienia w kierunku domu; pies biegł za nią po przeciwległym brzegu. Jeszcze dwa razy, w równych odstępach czasu pies zaszczekał, jak gdyby tylko poganiał krowę, ilekroć zamierzała stanąć.

Stał w wodzie jęcząc. Potem zaczął ryczeć jak ona, nie przerażony tylko zdumiony. Gdy Houston z psem podeszli bliżej, rozejrzał się wkoło, najpierw spojrzął na psa. Jego usta znów otworzyły się do krzyku, ale nie krzyknął i jego pusta twarz idioty przybrała na chwilę wyraz prawie inteligentny, który, gdy Houston zaczął kłać, znikł i zmienił się w niedowierzanie, w zdumienie. Stał wciąż oszołomiony, niedowierzający, ze stopami zanurzonymi w wodzie, kiedy Houston z brzegu zobaczył zapaskudzony front jego kombinezonu i zaklął z jakąś zawiedzioną rozpaczą. — Chodź tutaj — powiedział. — Wylaż stamtąd. — Ale tamten nie ruszył się, skomlać, spoglądając w kierunku, gdzie odeszła krowa, aż wreszcie Houston podszedł do samej krawędzi brzegu i złapał go za szelki, i wyciągnął brutalnie z wody, po czym zatykając nos i ciągle klnąc odpiął szelki i ściągnął z niego kombinezon, który obsunął się po biodrach na ziemię. — Wychodź z tych portek — powiedział Houston. Ale on nie poruszył się, póki Houston go nie szarpnął i nie pociągnął poza obręb leżących na ziemi nogawek, ale gdy Houston ostrożnie podniósł kombinezon za szelkę i- wrzucił do strumienia, krzyknął znowu ochryple, tchórzliwie, nie głośno. — Wypierz to — powiedział Houston. Gwałtownymi ruchami pokazywał mu na migi, co ma robić. Ale tamten patrzył tylko na niego, skomlać, aż Houston podniósł długi kij, okręcił na nim kombinezon i zanurzył go gwałtownie w wodzie, klnąc nieustannie, potem wyciągnął kombinezon, wciąż na kiju i wytarzał go w trawie. — Masz — powiedział. — Weź to i wynoś się stąd. Do domu! Do domu! Siedź tam i zostaw krowę w spokoju. — Przestał przedtem na chwilę jęczeć, obserwując Houstona. Teraz jęczał znów i ślina ciekła mu po brodzie, podczas gdy Houston wytrzeszczał na niego oczy, zrozpaczony, zawiedziony, wściekły. Potem Houston wyjął z kieszeni garść monet, wybrał jedną pięćdziesięcio\* centówkę, podszedł do niego i zapiął kłapkę. Wrócił do konia, przemawiając do niego, zanim go schwycił za grzywę i wskoczył na grzbiet. Tamten przestał już skomleć, patrzył tylko, jak koń nie biorąc rozpędu, zupełnie tak samo jak wtedy, gdy przeleciał nad nim i nad krową, gdy leżeli na dnie wężozu, godzinę temu, zatoczył dwa krótkie koła pod

ręką Houstona i jednym skokiem przesadził strumień w galopie i znikł. Wtedy znów zaczął jęczeć. Stał chwilę jęcząc, patrząc na kieszeń od koszuli zapiętą przez Houstona, macając się po niej. Potem spojrzął na swój mokry, skręcony kombinezon na ziemi koło niego. Po chwili schylił się i podniósł go. Jedna nogawka była wywrócona na lewą stronę. Przez moment próbował cierpliwie nałożyć spodnie w ten sposób. Potem obie nogawki ułożyły się jednakowo, więc wsunął w nie nogi, zapiął paski, zbliżył się do strumienia i przeszedł na drugą stronę stąpając ostrożnie, podnosząc nogi wysoko, jakby szedł po schodach. Wreszcie wygramolił się na brzeg i wrócił do miejsca, gdzie od trzech miesięcy leżał co rano o brzasku, czekając na nią. Było to dokładnie to samo miejsce, wracał tam zawsze za każdym razem jak tłok do głowicy cylindra i stał tam przez pewien czas, macając się po zapiętej kieszeni, jęcząc. Potem zaczął się wspinać pod górę, jego stopy znów rozpoznały kurz na drodze, chociaż może on sam o tym nie wiedział i może to wyłącznie instynkt, działający wśród rozpaczliwej samotności, kazał mu skierować się z powrotem w stronę domu, który opuścił rano, bo jeszcze dwa razy, na przestrzeni pierwszej mili, przystawał i dotykał zapiętej kieszeni. Nie było tak, żeby starał się odpiąć kieszeń i nie mógł, bo teraz miał monetę na dłoni i patrzył na nią, jęcząc. Stał teraz na kładce przerzuconej przez wąski, płytki, zarośnięty ziel

skiem strumień. Nie zrobił żadnego fałszywego ruchu ręką, która trzymała monetę, nie zrobił w ogóle żadnego ruchu, stał absolutnie jak wryty w tej chwili, a jednak nagle na dłoni było pusto. Moneta zadźwięczała głucho o zakurzoną deskę jeden raz i może raz zabłysła, potem znikła, choć ktoś wie, ile w tym ruchu, nieznacznym i konwulsyjnym, było najwyższej pogardy; impuls przeminął wraz z ruchem, bo przestał nawet jęczeć, stojąc wpatrzony w pustą dłoń ze spokojnym zdziwieniem, odwracając ją, by obejrzeć ją z wierzchu, nawet podnosząc i otwierając drugą dłoń, żeby jej się przyjrzeć. Nagle — był to wysiłek niemal fizyczny, jak poród — połączył dwie myśli, posunął się o krok w tył w czasie, odzyskał pewien obraz przy pomocy logicznej retrogresji i znów zaczął grzebać w kieszonce koszuli, zaglądając do wnętrza tylko na chwilę, jakby właściwie nie spodziewał się znaleźć tam monety, mimo że to niewątpliwie czysty instynkt kazał mu opuścić wzrok na deski, na których stał. I nie jęknął. Nie wydał żadnego głosu. Stał tylko tam patrząc na deski, podnosząc kolejno stopy, W pewnej chwili stopa trafiła w próżnię i wpadł do rowu. Trudno byłoby powiedzieć, czy stąpnął poza mostek umyślnie, czy po prostu upadł, choć to niewątpliwie przedłużenie instynktu, stała wrodzona świadomość prawa ciężkości kazała mu zajrzeć pod most, żeby poszukać monety (jeśli jej szukał) siedząc w kucki wśród chwastów, lek-

ko kiwając głową, a jednak wciąż nie wydając żadnego głosu. Począwszy od tej chwili nie wydał już głosu. Siedział tak przez pewien czas wyrywając zielsko i teraz brakowało jego mchom nawet tej paradoksalnej zręczności, która dawniej kazała funkcjonować jego ręką jak gdyby wbrew niemu; obserwując go, rzekłbyś, że nie chce odna- leźć monety. I można by powiedzieć, zrozumieć, że nie zamierza jej odnaleźć, i kiedy po chwili jakiś wózek wjechał na kładkę i woźnica odezwał się do niego, a on podniósł głowę, twarz jego nie była nawet pusta, była niezgłębiona i głęboko spokojna. Kiedy człowiek wymówił jego imię, nie odpowiedział nawet tym jedynym słowem, jakie znał, a przynajmniej jedynym, jakie od niego słyszano i to niezawodnie, ilekroć ktoś do niego mówił.

Nie ruszył się, dopóki wóz nie zniknął 7. widnokregu, choć nań nie patrzył. Potem wstał i' znów wygramolił się na drogę. Po chwili biegł już znowu w kierunku, z którego dopiero przyszedł, stąpając po własnych śladach w gorącym piasku, w majowe południe z powrotem do miejsca, gdzie zszedł z drogi, żeby wspiąć się na wzgórze, i znów przebył wzgórze, i zbiegł 1v dół, do strumienia. Przeszedł obok miejsca, gdzie leżał w trawie co rana o świcie, nawet nie patrząc na nie i skręcił w górę strumienia, przyspieszając kroku. Było to około drugiej po południu w sobotę. Nic mógł wiedzieć, że o tej godzinie Houston, bezdzietny wdowiec mieszkający sam z psem i służącym Murzynem, który dla nich obydwu gotował, siedział już na ganku przed sklepem Varnera o trzy mile stąd; nie mogło mu przyjść na myśl, że Houstona może nie być w domu. W każdym razie nie zatrzymał się, żeby to sprawdzić. Wszedł na podwórze i pobiegł prosto do zamkniętych drzwi obory. Obok na gwoździu wisiał postronek. Może dotknął ręką postronka tylko przypadkiem, grzebiąc przy zasuwie. Ale założył go krowie jak należy, tak jak widział, że to się robi.

O szóstej tego popołudnia byli już o pięć mil stąd. Nie wiedział, że tyle wynosi ta odległość. To nie miało znaczenia, odległość nie istnieje ani w przestrzeni, ani w geografii, nie ma tak długiego czasu, żeby w nim istniała odległość, nie ma zmęczenia mięśni, żeby zasignalizować jej przebycie. Idą nie w kierunku jakiegoś celu w przestrzeni, lecz miejsca w czasie, w kierunku ostatniej przystani wieczora, gdzie ranek i południe stają się jednym i tym samym; lekka ręka maja kształtuje ich oboje, nie w tym, co przyjdzie natychmiast, wkrótce, ale w tym, co dzieje się teraz, podczas gdy stojąc naprzeciw niej i ciągnąc naprężony powróż, przemawia do niej nieubłagany i stanowczy, a ona ciągnie do tyłu, szarpiąc się, by zrzucić postronek, i rycząc. Szamotała się tak przez ostatnie pół godziny, ciągnąc z powrotem, w kierunku obory, dokąd wzy

wały ją ból i pieczenie nabrzmiałych wymion. On jednak trzymał ją, rozluźniając stopniowo powróż, dopóki nie dotknął jej drugą ręką, najpierw łba, potem szyi, przemawiając do niej, aż wreszcie jej opór ustąpił i poszła znowu za nim. Byli teraz w górach, pośród sosen. Mimo że wiatr popołudniowy ucichł, zwichrzone zbocza szumiały nieustannie w pogodnym nieruchomym powietrzu. Pnie i ciężkie korony drzew były harfami i strunami popołudnia. Pręgi płochliwego cienia zmierzchu spływały na nich, gdy wspinali się grzbietem wzgórze, i zesli w cień, w lazurową czaszę wieczora, bezwietrz\* na studnię nocy, a za nimi zapadła zwodziona krata zachodu. Z'początku nie pozwoliła mu dotknąć wymion. Kopnęła go nawet raz, ale tylko dlatego, że ręce były obce i niezdarne. Potem mleko trysnęło i zaczęło spływać w dół po jego palcach i przegubach z cichutkim ostrym sykiem, na ziemię.

Otej porze był księżyc. Ubywało go w ciągu nocy, gdy przesuwiał się w kierunku zachodu; naprzeciw niego co dzień o brzasku zapalała się gwiazda poranna i płonęła białym płomieniem aż do nocy. Wyczuwał wtedy nozdrzami moment przebudzenia, kiedy podnosiła się najpierw na tylne nogi, wynurzając się z niewidzialności, przytłumiając, a potem rozsiewając wokół swego legowiska zapach mleka. Wtedy wstawał także, przywiązywał koniec powrozu do niskiej gałęzi, szukał koszyka i znajdował go kierując się zapachem paszy, która w niin była poprzedniego wieczoru, i odchodził. Na skraju lasu oglądał się wstecz. Jeszcze była niewidzialna, ale słyszał ją; to tak jakby ją widział — ciepły oddech dostrzegalny wśród korzonków wyrwanej trawy, ciepły zapach mleka, które trzeba jak najprędzej wydoić, konkretny kształt na płynnej, abstrakcyjnej ziemi.

Stodoła jest odległa o niecałe pół mili. Wkrótce zarysowuje się przed jego oczyma, prosta i kwadratowa na tajemniczym jak zwój pergaminu tle nieba. Pies spotyka go przy ogrodzeniu, nie szczeka, rozrywając nie\* widzialność gdzieś między wzrokiem i dźwiękiem, nie poruszając się ani w jednym, ani w drugim kierunku. Pierwszego ranka pies rzucił się na niego ujadając z furją. Wtedy przystanął. Może przypomniał sobie innego psa o pięć mil stąd, ale tylko na chwilę, gdyż taka jest moc sukcesu, a kadzidło zwycięstwa zagłusza wszystkie zdradzieckie smrody klęsk przeszłości; więc teraz pies podchodzi do niego, łąsi się, niewidzialny i miękki o jego nogi\* a mokry, gorący, zwinny język zwierzęcia pozwala mu odkryć kształt własnej ręki, wynurzającej się z niewidzialności.

W gęstym, przesiąkniętym wonią amoniaku powietrzu stodoły, wypełnionym odgłosami przebudzenia koni i bydła, nie może sobie nawet uświadomić pojęcia przestrzeni. Ale nie waha się. Znajduje drzwi od komórki z paszą j wchodzi; nie widząca ręka, która wie i pamięta, znajduje żłób. Stawia koszyk

i zaczyna go napełniać, szybko, nie przerywając, rozsypując połowę z tego, co pochwyca jego dłonie zwinięte w kształt czary, tak jak w dwa poprzednie ranki, pozostawiając w ten sposób między żłobem a koszykiem ślad, który go ma zdradzić. Kiedy staje naprzeciw drzwi, może je teraz dostrzec, szare, jaśniejsze w tonie, ale nie bardziej oświetlone, jak gdyby ktoś zasłonił otwór prostokątem matowego szkła, w czasie gdy on był odwrócony plecami, aby przedłużyć trochę ciemność. I teraz uświadamia sobie obecność ptaków. Odgłosy bytła słychać coraz wyraźniej; może już dostrzec psa czekającego w drzwiach obory, i wie, że powinien się śpieszyć, bo wkrótce przyjdzie ktoś nakarmić i wydoić krowy. Więc wychodzi z komórki, przystając na chwilę w drzwiach, zanim odejdzie, jakby nasłuchiwał, wdychając zapach krów i klaczy, jak szczęśliwy kochanek wdycha powietrze w pokoju pełnym kobiet, znając, jako zwycięzca, ów upajający kontakt, z bezimiennym, pozbawionym twarzy ciałem kobiecym, zdolnym do miłości i chodzącym po ziemi kobiet.

Razem z psem przechodzi z powrotem przez rozbrzmiewające gdakaniem podwórze. Widzi teraz płot i tutaj rozstaje się z psem. Przełazi przez płot, śpieszy się, niosąc niezgrabnie koszyk przed sobą w obu ramionach, pozostawiając w mokrej trawie ciemny, wyraźny ślad stóp. Teraz patrzy, jak powtarza się coś, co odkrył pierwszy raz trzy dni te

mu: że jutrzienka, światło, nie sączy się na ziemię z nieba, ale pochodzi z samej ziemi, która ją wchłonęła. Pod dachem utkany ze ślepych korzeni traw i drzew, ciemna w ślepej ciemności osadów i żyznych odpadków czasu, w królestwie nieznanych, nigdy nie sytych robaków, w nie dającej się rozwikłać gmatwaninie znanych kości — Heleny Trojańskiej i nimf, i chrapiących biskupów w mitrach, zbawców, ofiar i królów — jutrzienka budzi się, przebija się ku powierzchni, toruje sobie przejście poprzez niezliczone, pełnzące kanały: najpierw korzeń, potem kielki i stąd wdiera się przez szczeliny jak opar, podnosi się, rozpościera i barwi miejscami uśpioną mocno ziemię przy wtórze sen\* nego brzęczenia owadów? potem, wciąż dążąc w górę, pełnie przez pomarszczoną korę pni, wzdłuż gałęzi, skąd nagle, liść po liściu, coraz głośniejsza, rozpraszająca się z nagłą szybkością, rozbrzmiewająca śpiewem ptaków, wybucha ulatując w górę i wypełnia negację nocy żonkilowym grzmotem. Daleko, niżej, przezroczysta półkula stąpa zwiastowana głosem kogutów, i chlew, obora i stajnia witają dzień. Kurki na dzwonicach żłobią południowo-zachodni wiatr, a orne pola, od zachodu słońca poślubione zagłębionym w ziemi i porzuconym przez konie pługom, ukazują się nagle, do połowy poprzecinane brzdami, jak uśpione morze, na pół syte. Potem słońce: dogania go, nim zdąży ujść pół mili. Cichy miedziany pomruk rozpala przemo-

c:zoną trawę i daleko przed nim rzuca jogo wydłużony ciec — kobierzec, po którym daremnie próbuje stapać. Ziemia odbija jak zwierciadło jego nieustanną, groteskową frustrację, cień wzbija się ponad ostatnie wzgórze i, nieruchomy w próżni, krąży nad nim, póki on sam nie wejdzie na górę, a wtedy przerzuca niewidzialny most przez ostatnią odpływającą smugę nocy i wciąż wyprzedzając go przeskakuje, znowu widzialny poprzez bagnistą kotlinę i dotyka granic lasku, kurcząc się na najbliższej liściastej ścianie, głowa, ramiona, biodra a potem przebijające nogi, aż wreszcie zatrzymuje się na splątanej zasłonie poruszanych wiatrem liści, na jeden nietknięty, niestały moment. Wtedy on przedziera się przez zasłonę i wchodzi do lasku.

Krowa stoi lak, jak ją zostawił, uwiązana, przeżuwająca pokarm. W łagodnych, ogromnych oczach, wilgotnych i bez źrenic widzi dwa swoje miniaturowe odbicia w zwierciadle niezbadanej abstrakcji, takiej samej jak ta, z jaką mogłaby spoglądać Juno; patrzy na siebie oglądając to, co widzieli ci, którzy patrzyli na Junonę. Stawia koszyk przed nią. Krowa zaczyna jeść. Nieustanne drżenie liści sprawia, że krowa wydaje się złudzeniem równie niematerialnym, jak odwrócony obraz jego wyścigu z cieniem, ale tak nie jest w rzeczywistości: jedno dotknięcie płowej skóry potwierdza i określa ciężar i masę ponad płynną gmatwaniną cieniów, koniaki odczuwany na cdlą szerokość dłoni daje Jej kształt solidny i cały, wyłaniający się z nieskończoności nadziei, Przysiada w kucki obok niej i zaczyna ją doić.

Jedzą razem z koszyka. Jadał już przedtem paszę dla bydła: łupiny fasoli, otręby, surowe płatki owsiane i kukurydzę, jedzenie dla świń, nigdy dużo naraz, ale mniej więcej przez cały czas, kiedy nie spał, lak jak robią ptaki, nie jadł nawet dużo z pełnej talerza, który stawiała przed nim pani Uttle- john, opróżniając go za ledwie do połowy, a potem, w godzinę później, jadł coś innego, cokolwiek innego, rzeczy, które długie wieki szyboietu i przesądów uczyły jego bliźnich zdrowych na umyśle nazywać plugastwem, żaden smak nie sprawiał mu przyjemności ani przykrości oprócz takich rzeczy jak niektóre gatunki gleby i stary tynk, rozpuszczona farba w przeżutych gazetach, ostry kwas mrówkowy; stosuje tylko jedną dyskryminację: wegetarianizm, nawet życie, które zjada także, jest życiem roślin. Potem odsunął kosz. Nie był pusty. Zawierał niemal z dokładnością do jednej uncji połowę paszy, którą przyniósł, ale odbiera koszyk zdumionej krowie, wyciągając go spod ruchomego pyska, który nie przestaje przeżuwać, i zawiesza na gałęzi. Uczy się leraz szybko, bo nauczył się sukcesu, a więc przezorności, skrytości, nauczył się kraść, a nawet przewidywać. Pozostaje mu jeszcze tylko nabrać chciwości, gwałtownej żądzы cieleśnej, prag

nienia krwi, moralnej świadomości, która mu nie pozwoli spać w nocy.

Idą najpierw do źródła. Znalazł je pierwszego dnia — brązowa wilgotna pręga wśród kępy olch i buków, osłonięta przed słońcem, wypływająca bez ruchu pomiędzy zagłębionych w ziemi korzeni innych olch i wierzb. Oczyszczył ją z pleśni, wydrążył w ziemi basen i teraz przy każdym powrocie światła woda witała ich jasna i czysta, odbijająca liść po liściu, póki nie pochyłili się nad nią i nie zmacili zielonego zwierciadła, i pijąc nie rozbili w wodzie obrazu dwóch głów zaślubionych własnemu rozproszonemu odbiciu. Potem on wstaje i bierze powróż, idą przez wilgotną kotlinę do lasu i wchodzą między drzewa.

Świt stał się porankiem. Niepodzielnie zapanowało światło dnia. Słońce wzbilo się wysoko. Powietrze jeszcze rozbrzmiewa głosami ptaków, ale ich krzyki nie są już chóralną strofą i antystrofą misterium, wznoszącą się prosto w niebo pomiędzy liściastych ołtarzy, lecz biegną równolegle nad ziemią, przecinając powietrze w prozaicznym akompaniamencie prozaicznej sprawy jedzenia. Śmigają nieustannie jak strzały wypuszczane z łuku od drzewa do drzewa, barwne i naelektryzowane pośród sosen, których nastroszone korony szumią nieprzerwanie na wietrze południa. Teraz rozluźnia postronek, od tej chwili aż do wieczora będą się posuwać w tym rytmie, w jakim posuwa się dzień, nie szybciej. Zmierzają do tego samego punktu: zachodu słońca. Dążą do niego tak, jak dąży słońce, na tej samej linii jednego, niezmiennego horyzontu. Idą krok w krok ze słońcem, gorejącym i obojętnym, sami bez troski i bez płomienia, pośród cieni prosto sterczących pni, które są szprychami zębatego koła ziemi, wleczonej za • rydwanem słońca, pełni mocy i bez pośpiechu, wyłaniają się z jaskiń ciemności poprzez świt i ranek i kroczą dalej, w kierunku południa, kiedy wszystko płynie wolniej i potok światła zatrzymuje się na szczytowym punkcie swej drogi, wieńcząc jedną tylko girlandą wszystkich upadłych i nie odkupionych serafinów. Słońce jest żółtą, prostopadłą kolumną. On dźwiga je na plecach, kiedy schylając się w ociężałym, opornym ruchu nie skoordynowanych ud i kolan zrywa najpierw garść soczystej, aksamitnej trawy, potem kwiaty. Są to jasne, dzikie stokrotki, hojną ręką rozrzucone przez płomienne, rozpoczynające się lato. Czasem jego niezdarna i nieposłuszna dłoń zamiast złamać łodygę zamyka się i przesuwa wzdłuż niej, zrywając samą główkę kwiatu i rozsypując płatki. Lecz zanim wejdą w osłonięty przed wiatrem i południowym żarem cień, i krowa stanie, on ma już dosyć kwiatów. Ma ich więcej niż dosyć, gdyby zerwał tylko dwa, byłoby to za dużo: kładzie przed nią zerwaną trawę, potem z niedołącznie poruszających się rąk wynurza się coś na kształt

diademu. W chwili kiedy zdobi nim jej głowę, wianek rozsypuje się, spada z czoła i pochylonego, żującego pyska, pasza i kwiaty stają się jednym, nieskończonym przeżuwanym. Spomiędzy rytmicznie ruszających się szczęk zwisa jeden ostatni kwiat stokrotki.

Tego popołudnia padał deszcz. Zaczął się nagle, bez żadnych zapowiedzi i nie trwał długo. Obserwował przez jakiś czas bez lęku spadające krople, kapryśne, niezdecydowane, zanim deszcz rozwinął się i skoncentrował, padając zwartymi, ukośnymi smugami w dwóch czy trzech miejscach jednocześnie na widnokregu, niby przezroczyste zwoje pępowiny z brzucha cumulusów, owieczek lata ze słonecznymi dzwoneczkami, które pasie wiatr południowo-zachodni. Tak jak gdyby deszcz szukał właśnie ich dwojga, chciał ich wygnać z miejsca, gdzie stali w cieniu i znalazł ich wreszcie, z jasną, nieubłaganą furią. Wiatr wyjący wśród sosen ucichł, potem zerwał się znowu: na dnie pełnej próżni kosmata powłoka ziemi zwichrzyła się jak grzywa kłaczy gwałtownie pokrytej, zapłodnionej w błyskawicach zgiełku i furii, potem wszystko znikło, ucichło, potem deszcz, z nieba, które rozwarło się jakby samo pod naporem własnej siły zapładniającej, zaczął spływać ukośnie, niespokojnie, pośród nie osłoniętych liści nie w kroplach, ale w lodowych igłach, które nie próbowały opadać na dół, lecz nie podlegające prawu grawitacji, nie należące do ziemi, usiłowały tylko

nadażyć za wiatrem, który je zrodził, smagając jego włosy i koszulę, i jego podniesioną twarz, w krótkich, załamujących się uderzeniach wypełnionych już lśniąca obietnicą bliskiego zaprzestania, jak krótkie, jasne i nie słone łzy dziewczynki, oplakującej zgubiony kwiatek? potem deszcz także ustał, uleciał na północ i na wschód poza

- wielobarwny luk własnego, nieuchwytnego rozejmu, pozostawiając za sobą rozsypane confetti swego karnawału, zbierające się na każdym liściu, gałązce i źdźbłe trawy w małych szumiących strumyczkach, wyzwalając w swoich lustrzanych odbiciach niebo, które uwięziły spadające krople, połyskujące błękitem i złotem. Wreszcie skończyło się. On bierze znów do ręki postronek, wychodzą spod drzewa i ruszają dalej, nie szybciej niż przedtem, ale po raz pierwszy, odkąd weszli do lasu, z określonym celem. Bo zbliża się zmierzch. Chociaż deszcz nie trwał długo, jest tak, jakby w tym nielogicznym i nieszkodliwym zgiełku i furii było coś, co naruszyło nawet ten żelazny plan zrutowanego, niezmiennego dnia, tak jak nagły i niewytłumaczony napad złego humoru dziecka — krótkotrwały przez swoją własną gwałtowność — może. w pewien sposób nastawić zegarek na pewną godzinę. Jego ubranie przemokło do nitki. Zimny, mokry kombinezon wydaje się nieznośnie ciężki — żalodne odpadki, nędzny osad chwały — martwy chłód w niczym



niepodobny do świeżej wilgoci żywej wody, która przynosi i utrzymuje nawet w biocie nieograniczoną wolność złotego powietrza, tego samego, co błyszczy w liściach i na gałęziach, wchłaniając w niezliczonych mi- niaturowych odbiciach nie tknięty, tęczy kosmos. Idą pośród splendorów, połączeni złocistym zwojem postronka mokrego od trawy, maszerując jedno za drugim w kierunku nieomylnego blasku, prosto w słońce. Wciąż dotrzymują mu kroku. Wspinają się na ostatni pagórek. Przybędą tu razem. W jednej i tej samej chwili wszyscy troje mijają szczyt, schodzą w dolinę wieczoru i gasną.

Prędko zmierzch wymazuje ich z nudnego rejestru dnia. Zeszli już w dolinę. Po zapachu znajduje koszyk, zdejmując go z gałęzi i stawia przed nią. Ona wtyka tam pysk, jej świeży oddech miesza się ze słodkawym za- pachem paszy, tak że nie sposób ich rozróżnić, potem z zapachem mleka, które trzeba czym prędzej wydoić i które splywa po jego palcach i między palcami, po rękach i przegubach, ciepłe i niepodzielne, jak mocna niewyczerpana, życiodajna krew, odnawiająca się wiecznie sama z siebie. Wtedy on zostawia niewidzialny koszyk w miejscu, gdzie znajdzie go znowu o świcie i idzie do źródła. Teraz znów widzi jasno i pijąc wodę mąci obraz własnej, zanurzonej, zacierającej się twarzy. Jest to studnia, spokojny, nienasycony otwór ziemi. Niby spokojny paradoks

trzyma w zawieszeniu, rzucający się w głąb świt, południe i zachód słońca, wczoraj, dziś i jutro — nasiona gwiazd i ich hieroglify, dzika, biała, umierająca róża, roztopiająca się stopniowo i nieodwracalnie w królewskiej ekstazie południa. Później, po południu przychodzi odpływ, aż wreszcie ranek, południe i zmierzch odchodzą, ogałając niebo i pełząc w dół po bezgłośnych liściach, gałęziach i pniach, opadając, zbierając się liść po liściu wśród traw i wciąż pełząc w dół w sennym brzęczeniu owadów, aż do chwili, gdy całe światło zgromadzi się wokół tych cichych i czułych ust w ostatnim gasnącym oddechu. Podnosi się znad źródła, by wrócić do krowy. Dolina pełna jest błądzących świętojańskich robaczek. Pozostała jedna gwiazda wieczorna, lecz prawie natychmiast konstelacje zaczynają swój zawrotny ruch i wirowanie. Płowa jeszcze w ostatniej resztkę zebranego światła, krowa nie ma już wymiarów w uspionej i bezwymiarowej trawie. Ale jest tutaj, konkretna pośród abstrakcyjnej ziemi. Wraca do niej, stąpając lekko, deptając kruche sklepienie podziemnego snu — Heleny i biskupów, królów i potępionych serafinów. Gdy podchodzi do krowy, ta zaczyna się już układać, najpierw przednie łapy, potem tylne, opadając w dwóch odrębnych etapach w zagasły odpływ wieczoru, chowając się z powrotem do gniazda snu pachnącego mlekiem. Leżą jedno przy drugim.

Było już po zachodzie słońca, kiedy Houston wrócił do domu i nie znalazł krowy. Był wdowcem i nie miał rodziny. Od śmierci żony, to jest od trzech czy czterech lat, krowa była jedyną istotą rodzaju żeńskiego w jego domu. Nawet gotował mu mężczyzna,

' kucharz, Murzyn, który także doił krowę, ale tej soboty Murzyn prosił o wolne popołudnie, bo chciał pójść na piknik urządzany przez swoich współbraci, i obiecał wrócić na czas, żeby wydoić krowę i zrobić kolację —■ obietnica, której Houston oczywiście ani- trochę nie uwierzył. Właściwie gdyby nie monotonne powtarzanie tej obietnicy, które w końcu zaczęło nań oddziaływać, mógłby w ogóle nie wrócić do domu tej nocy i w ten sposób nie spostrzegłby nieobecności krowy aż do następnego dnia.

Tak czy owak wrócił do domu zaraz po zachodzie słońca, nie z powodu kolacji, gdyż jedzenie czy jego brak nie odgrywało dla niego żadnej roli, ale żeby wydoić krowę, co wydawało mu się potrzebą coraz bardziej nagłą w miarę zbliżania się wieczoru. Z tego też powodu wypił trochę więcej niż zazwyczaj w sobotę po południu i ta okoliczność (zważywszy, że był człowiekiem o zmiennym usposobieniu, lecz silnym i zdrowym, a do tego dziko wygłodzonym seksualnie po trzech latach tragicznego wdowieństwa) jak również fakt, że nie tylko musiał wracać, by na nowo zetknąć się ze światem samic, którego wyrzekł się od trzech lat, ale że pora, w jakiej musiał to zrobić, to jest godzina między zmierzchem a ciemnością, była tą porą dnia, którą znosił najgorzej (porą, kiedy obecność jego zmarłej żony i czasem nawet obecność syna, którego nigdy nie mieli, była wyczuwalna wszędzie, w całym domu i całym folwarku) — nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do nastroju, w jakim wszedł do obory i przekonał się, że krowy nie ma.

Najpierw pomyślał, że po prostu kopała i tak długo waliła głową w drzwi, aż podniosła się zasuwa i drzwi się otworzyły. Jednakże dziwne było, że bój przepelnionych wymion nie przygnał jej dotychczas z powrotem, i w takim razie powinna czekać na niego, rycząc, przed furtką. Ale nie było jej tam, więc przeklinając krowę i siebie samego, że zapomniał zamknąć furtkę, która prowadziła na łąkę nad strumieniem, przywołał psa i pojechał znowu w kierunku strumienia. Nie było jeszcze całkiem ciemno, widział szlak, którym szła, ale kiedy zauważył ślady bosych stóp człowieka, a na nich odcisnięte kopyta krowy, myślał po prostu, że te dwa szlaki dzieli odległość sześciu godzin a nie sześciu stóp. Z początku jednak nie zaalarmowały go te ślady, bo był przekonany, że wie, gdzie jest krowa, nawet kiedy pies wrócił znad strumienia i wbiegł na wzgórze. Krzyknął nań ze złoś-

cią, żeby zawracał. Nawet kiedy pies stanął i spojrzał na niego zdziwiony, Houston nie przestał działać zgodnie ze swym zaciekleym przekonaniem zrodzonym z nadmiaru wypitego alkoholu, z rozpacz i z dawnego, nie-pocieszonego żalu, krzycząc na psa, póki nie wrócił, a potem popychając kopniakami do brodu. Przeszedł za nim na drugą stronę strumienia. Pies trzymał się teraz przy jego nogach, dopóki znów go nie kopnął i nie popędził przed sobą.

Nie było jej na łące. Teraz widział, że jej tam nie ma, a więc że poszedł fałszywym tropem; było tak, jakby sama jego złość wyładowana na psie przywołała go z powrotem do czegoś na kształt zdrowego rozsądku. Przeszedł znów na drugą stronę strumienia. W kieszeni miał gazetę, którą wyjął ze swojej skrzynki pocztowej w drodze do wsi. Zwinął ją tak, żeby zrobić żagiew i zapalił. W jej świetle zobaczył ślady stóp idioty i krowy, łam gdzie zawracały koło brodu i prowadziły przez wzgórze do drogi. Po chwili pochodnia zgasła zostawiając go zdanego na łaskę wczesnych gwiazd (księżyc jeszcze nie wzeszedł), przeklinającego w tej dzikiej rozpacz, która właściwie nie była furia, ale rozjątrzoną pogardą i litością dla wszystkich ślepych istot żyjących zdolnych do nadziei i bólu.

Był w odległości prawie mili od swego konia. Błądząc daremnie po łące przebył już tę przestrzeń dwa razy i kipiał teraz tą bezsilną furia, która karmiła się swoją własną niemocą, nie znajdując przedmiotu, na którym mogłaby wziąć odwet. Wydawało mu się, że jeszcze raz padł ofiarą próżnego i złośliwego żartu obmyślonego przez Wielkiego Kpiarza po to tylko, by go zmusić do przebycia mili na piechotę po ciemku. Ale nawet jeśli nie mógł złapać i ukarać idioty, to przynajmniej mógł zrobić tak, żeby tamten bał się, jeśli nie Boga, to przynajmniej skutków kradzieży bydła, a już na pewno Jacka Houstona, tak żeby on, Houston, mógł odtąd wychodzić z domu, nie musząc się zastanawiać, czy krowa będzie tam po jego powrocie, czy nie. Jednakże gdy znów się znalazł na koniu, znowu w ruchu i smagany chłodnym wiatrem, uczuł, że ponura lodowata furia ustąpiła miejsca bardziej powszedniemu uczuciu ironii czy sardonicznego humoru; był to humor może nieco przyciężki, niezgrabny, ale niezwyciężony, przytłumiający nawet niemiłosierną tęsknotę i smutek: toteż na długo przed przybyciem do wsi wiedział dokładnie, co ma zrobić: oduczy idiotę na zawsze od pożądania krów bliźniego swego niezawodną i wieczną mądotą; każe mu ją karmić i doić; wróci teraz do domu, a jutro go odszuka i zmusi, żeby nakarmił i wydoił krowę, a potem odprowadził ją na piechotę do miejsca, gdzie ją znalazł. Toteż w ogóle nie przystanął przed domem pani UtUejohn. Skręcił na ścieżkę i pojechał w kierunku pola; pani UtUejohn

sama przemówiła do niego z gęstego cienia za płotem: — Kto tam?

Zatrzymał konia. „Nie zobaczyła nawet psa” — pomyślał. W tej chwili wiedział już, że jej także nic nie powie. Widział ją teraz, wysoką jak komin i niewiele bardziej foremną, stojącą przy płocie.

— Jack Houston — odpowiedział.

— Czego pan chce?

— Może mógłbym u pani napić mego konia?

— Co to, nie ma już wody przy sklepie?

— Jadą prosto z domu.

— Och — powiedziała — więc pan nie... — Mówiła szorstko, urywanym głosem. Wtedy postanowił, że powie więcej. Powiedział to:

— Widziałem go. Nic mu nie jest.

— Kiedy?

— Przed wyjazdem z domu. Był tam dziś rano i potem znowu wieczorem. Na moim pastwisku. Miewa się dobrze. Widzę, że on też w soboty świętuje.

Mruknęła niechętnie.

— Ten pański Murzyn poszedł na piknik?

— Tak jest.

— Więc niech pan wejdzie coś zjeść. Zostało jeszcze coś z kolacji.

— Jadłem już — zaczął zawracać konia. — Nie martwiłbym się u pani miejscu. Jeżeli jest tam jeszcze, powiem mu, żeby zaraz wracał do domu.

Mruknęła znowu: — Myślałam, że pan chce napić konia.

— To prawda — powiedział. Wjechał więc na teren działki. Musiał zsiąść z konia i otworzyć furtkę i zamknąć ją, potem jeszcze raz otworzyć i zamknąć i znowu wsiąść na konia. Stała przez cały czas przy płocie, ale gdy przejeżdżając zawołał: „dowidzenia”, nie odpowiedziała.

Wrócił do domu. Księżyc w pełni stał wysoko nad drzewami. Zaprowadził konia do stajni i przeszedł przez białe od światła podwórze, obok zalanych blaskiem otwartych drzwi pustej obory i dalej, do ciemnego, pustego, osłoniętego srebrnym dachem domu, rozebrał się i położył na pryczy, wąskiej i twardej jak posłanie mnicha, na której spał teraz. Pies sypiał tuż obok na podłodze. Księżycowy kwadrat okna padał prosto na niego tak jak wtedy, kiedy żyła jego żona i kiedy zamiast wąskiej pryczy stało tu łóżko. Nie przeklinał już teraz i jeszcze nie był wściekły, kiedy o wschodzie słońca jechał konno po drodze, na której zgubił ślady poprzedniej nocy. Patrzył na warstwę kurzu absolutnie nie do odcyfrowania, ze śladami kół, kopyt i ludzkich stóp z całego sobotniego popołudnia, myśląc, że sama naiwność ukrywającego się idioty zdawała się w potrzebie czerpać z niewyczerpanego nigdy źródła przebiegłości, tak jak ktoś, kto nigdy przedtem nie potrzebował odwagi, może ją znaleźć w razie potrzeby.

r

Przeklinał, nie ze złością, ale z tą dziką pogardą i politowaniem dla słabego, nieodpornego nerwowo, a jednak dziwnie niezniszczalnego ciała, potępionego już i z góry skazanego, zanim ujrzało światło i zaczęło oddychać.

Tymczasem właściciel stodoły odkrył już w komórce zdradziecką skibę rozsypanej paszy, zaczynającą się od żłobu a zakończoną półkolem mniej więcej kształtu brakującego koszyka, odkrył też obecnie, że to jego własny koszyk zniknął. Tropił ślady stóp na polu i zgubił je. Nic więcej jednak nie brakowało: paszy ubyło niewiele, a koszyk był już stary. Pozbierał rozsypaną paszę, wsypał ją z powrotem do żłobu i z czasem minął nawet pierwszy wybuch bezsilnego gniewu na tę moralną obelgę, wulgarnie pogwałcenie własności prywatnej, powracając zaledwie raz czy dwa razy w ciągu dnia w postaci gniewnego zdumienia. Toteż następnego ranka, kiedy wszedł do stodoły i zobaczył niema skibę rozsypanej paszy zakończoną tym odcisniętym półksiężycem, ogarnęło go nieopisane osłupienie, a potem wściekły, gorący gniew, jakiego doznaje człowiek, który uskakując na bok przed pędzącym wprost na niego koniem poślizgnął się na skórce banana. W ciągu tej chwili miały nim żądze morderstwa. W tym drugim jaskrawym pogwałceniu biblijnego prawa (na którym oparł swoją egzystencję, swoją integralność, wszystko) stwierdzającego, że czoło wiek musi się trudzić w pocie czoła, albo nic nie mieć, zobaczył ten sam bastion moralny, przeciw któremu walczył sam albo wspólnie z pięciorgiem swoich dzieci przez lat przeszło dwadzieścia, i przegrał tą bitwą jako zwycięzca. Był to człowiek zbliżający się już do starości, który mając w momencie życiowego startu wyłącznie dobre zdrowie i pewne ponure purytańskie umiłowanie abstynencji i wytrwałości, przekształcił skrawek jałowej, skalistej ziemi (kupionej po cenie niespełna dolara za akr) w porządną farmę, ożenił się i założył rodzinę, wykarmił ją z tej farmy i ubrał, a nawet w pewien sposób wykształcił wszystkie dzieci, przynajmniej nauczył je ciężko pracować, toteż ledwie dorosli na tyle, żeby mu stawić opór, zarówno dziewczęta jak i chłopcy porzucili dom (z córek jedna była zawodową pielęgniarką, druga prostytutką, a 7 synów jeden został zaufanym człowiekiem pewnego drugorzędnego polityka w powiecie, drugi fryzjerem w dużym mieście, a o trzecim po prostu całkowicie słuch zaginął) tak, że teraz pozostała tylko mała czyściutka farma, na której pracowano w atmosferze niemej wzajemnej i uporczywej nienawiści i sprzeciwu, ale która prawdopodobnie wiedziała, że może go przetrwać i przetrwa, a także jego żona, która miała prawdopodobnie nie tyle tę samą nadzieję przetrwania, ile wszystkie dane na to, aby wytrzymać i przetrwać.

Wybiegł z obory wołając żonę. Kiedy ukazała się w drzwiach kuchni, krzyknął, żeby przysła wydoić krowy, potem wpadł do domu i wybiegł po chwili ze strzelbą, wrócił do obory, przeklinając żonę za jej powolność, zaprzągnął jednego muła, wziął strzelbę z powrotem i pojechał za śladami przez pole aż do miejsca, gdzie znikły. Tym razem nie dał za wygraną i odnalazł je w końcu: ciemną brudę widoczną jeszcze na zroszonej trawie jego łąki, przecinającą łąką i ciągnącą się aż do lasu. Potem już zgubił ślady. Ale jeszcze nie chciał ustąpić. Był już na to za stary, z pewnością za stary na to, żeby tak długo wściekać się i pragnąć krwi. Nie jadł jeszcze śniadania, a w domu czekała go robota, stały i niezmienny cykl wiecznie powtarzanej pracy, która niszczyła nerwy i ciało, ale tylko dzięki niej ten kawałek ziemi, jego śmiertelny wróg, mógł walczyć przeciw niemu; robota, którą wykonał wczoraj i musi wykonać znów dzisiaj i znowu jutro i pojutrze, sam i bez niczyjej pomocy, albo ulec tej samej klęsce, która była jego jałowym zwycięstwem nad dziećmi; i tak będzie, dopóki nie przyjdzie dzień, kiedy (wiedział to także) on sam upadnie z oczyma wciąż otwartymi i pustymi rękoma sztywniejącymi w kształt rączek od pługa, w brudę za pługiem, albo stoczy się w zarosły zielskim rów, ściskając jeszcze motykę czy siekiere, i to będzie jego ostateczne, puste zwycięstwo, obwieszczone przez

krążące po niebie sępy, aż wreszcie jakiś ciekawy przybysz zawędruje tu przypadkiem, znajdzie

i pogrzebie to, co jeszcze z niego zostało. Mimo wszystko jechał dalej. Po jakimś czasie znalazł nawet nowe ślady, trzy ślady stóp w piaszczystym rowie, natrafiając na nie mniej lub bardziej przypadkiem, gdyż ostatnie, jakie widział, były o milę stąd; nie miał nawet powodu przypuszczać, że są to ślady właściwe, choć w rzeczywistości tak było. Mimo to ani przez chwilę nie wątpił, że są właściwe. Późnym rankiem odkrył nawet, do kogo należy krowa. Spotkał służącego Houstona, także na mule, w lesie. Odpowiedział Murzynowi ostro, nawet grożąc strzelbą, że nie widział żadnej zbląkanej krowy i że ta ziemia należy do niego, choć w promieniu trzech mil od miejsca, gdzie stał w tej chwili, nie należało do niego nic, z wyjątkiem może ukrytego tu tymczasowo 'koszyka, i kazał Murzynowi wynosić się stąd natychmiast.

Wrócił do domu. Nie dał za wygraną, teraz wiedział już nie tylko, co zamierza zrobić, ale nawet jak to zrobić. Miał przed sobą perspektywy nie tylko odwetu i rewanzu, ale nawet odszkodowania. Nie chciał przyłapać złodzieja, chciał zagarnąć krowę i albo uzyskać nagrodę od jej właściciela za jej zwrot, albo, gdyby właściciel odmówił, odwołać się do swoich słusznych praw i zażądać pokrycia strat, jakie poniósł przez to, że krowa zabłądziła na jego terytorium — tego

legalnego dolara, który byłby dość znikomą rekompensatą, nie za czas poświęcony na poszukiwanie krowy, ale za czas stracony w nie kończącym się cyklu pracy, której nikt za niego nie mógł zrobić i do której nikogo nie mógł wynająć na swoje miejsce, nie dlatego, że nie mógł za to zapłacić, lecz dlatego, że żaden człowiek w tej okolicy, biały czy czarny, nie mógłby pracować dla niego za żadną cenę; pracy, której nie mógł dać nad sobą zatriumfować, bo inaczej byłby zgubiony. Nie wszedł nawet do domu. Poszedł prosto na pole i zaprzągnął muła do pługa, który zostawił w połowie bruzdy poprzedniego wieczora, i orał, dopóki jego żona nie zadzwoniła na południe, po obiedzie wrócił na pole i orał dalej, aż do zmroku.

Nazajutrz rano, nim księżyc zaszedł, był już w oborze, podczas gdy osiodłany muł czekał w stajni. W mdłym świetle brzasku zobaczył, jak ciężka, podobna do niedźwiedzia postać wchodzi do obory z koszykiem, pod eskortą jego własnego psa, a potem wychodzi, niosąc koszyk w obu rękach, jak niedźwiedź i pośpiesznie wraca przez pole, ciągle z jego psem. Kiedy zobaczył psa, porwała go znów furia, wręcz nie do zniesienia. Słyszał jego szczekanie pierwszego ranka, ale ucichło, nim obudził się na dobre, teraz rozumiał, dlaczego nie słyszał nic drugiego ranka ani trzeciego, i wiedział teraz, że nawet gdyby tamten człowiek nie obejrzał się i nie zobaczył go, wynurzające

go się w tej chwili ze stodoły, pies według wszelkiego prawdopodobieństwa wyszczerzyłby zęby na swego pana. Kiedy uznał, że może bezpiecznie wyjść z obory, zobaczył już tylko psa, który stał pod płotem, patrząc za oddalającym się złodziejem i nie zauważył jego nadejścia, dopóki nie dostał mocnego kopniaka.

Ale ciemny ślad złodzieja widoczny był na uperlonej rosą trawie pastwiska, choć gdy doszedł do lasu, spostrzegł, że popełnił ten sam błąd, co i Houston, nie doceniając przeciwnika: że w miłości, tak samo jak w ubóstwie i naiwności, jest coś, co im każe czuwać nad własnym bezpieczeństwem. Toteż spędził drugi ranek bez śniadania, pniąc się na myśl o niewiarogodnej zniewadze, przebiegając zielone i wesołe pustkowia majowych lasów, podczas gdy coraz potężniej rozbrzmiewało w nim wołanie jego nieubłaganych i gotowych do bitwy pól.

Tym razem nawet odnalazł ślad: rozlane mleko na ziemi, trawę zgniecioną w miejscu, gdzie stał koszyk, z którego jadła krowa. Powinien był znaleźć sam koszyk zawieszony na gałęzi, bo nikt nie próbował go ukrywać. Ale nie podniósł oczu na tę wysokość, wpatrzony w ślad krowy. Poszedł za nim, spokojny i opahowany, choć kipiący furją w swej sztywności, zgubił go i odnalazł,

i znowu zgubił, i trwało to przez cały ranek, aż do południa, kiedy ta koncentracja światła

i żaru zdawała się podnosić do punktu wrze

nia nie tylko lompopolurę jego krwi, nie nawet tych abstrakcyjnych mrok i kanałów, przez które musiał przepływać nurt jego gniewu. Tego popołudnia jednakże odkrył, że słońce nie miało z tym nic wspólnego. Stał pod drzewem, kiedy wybuchła burza z piorunami i błyskawice rozdzierały niebo, i wściekły zimny deszcz smagał to skurczone ciało, które drżało i kulilo się tylko na pozór, a potem dalej puściło się galopem, zn złotym, pełnym lez śmiechem poprze/ lśniącą złotem pierwotną ziemię. Hyl wtedy o siedem mil od domu. Pozostała jeszcze godzina dziennego światła. Zrobił może cztery z tych mil i zabłysła gwiazda wieczorna, kiedy przyszło mu na myśl, że zbiegowie prawdopodobnie wrócą na miejsce, gdzie znalazł rozlane mleko na ziemi. Zawrócił tam bez nadziei. Już nawet nie był wściekły.

Do domu dotarł około północy, na piechotę, prowadząc muła i krowę. Z początku bał się, że złodziej mu ucieknie. Potem miał nadzieję, że to zrobi. Potem, przez te pół mili pomiędzy oborą a miejscem, gdzie, ich znalazł, usiłował odpędzić kreaturę, która wyskoczyła zza krowy z ochrypłym krzykiem przerażenia, którą rozpoznał i która wciąż szła za nimi, jęcząc i bełkocąc w ciemnościach, nawet kiedy się odwracał (człowiek za stary na to wszystko, wyczerpany nie tyle długim dniem bez jedzenia, ile stałą uporczywą złością) i obrzucał ją obelgami. Jego żona czekała przy furtce z pod

niesionej lalami«!, Wszedł, ostrożnie wręczył jej oba postronki, stciraniu zamknął bramę

i pochyliwszy się tak, jak sit; pochyla starzec, znalazł na /icmi kij i wtedy skoczył, podbiegł do idioty okładając go kijem, zło- rzecząc znużonym, szorstkim, zdyszczanym głosem. Żona biegła za nim wołając go po imieniu. — Przostań — krzyczała. — Przestań! Chcesz się zabić!

— Och — powiedział trzęsąc się, dysząc. — Nie umrę jeszcze przez parę mil, Idź po zamek. — Była to kłódka, jedyny rodzaj zamka na całej farmie. Znajdowała się przy bramie frontowej, gdzie ją umieścił w dniu, kiedy jego osłalnic dziecko opuściło dom.\* Poszła po nią i wróciła, gdy on wciąż jeszcze usiłował wypędzić idiotę z zagrody. Ale nie mógł pokonać tego stworzenia. Poruszało się niezdarnie i ciężko, jęcząc i mamrocząc, aJe nie można było ani go złapać, ani przestraszyć. Było gdzieś za nim, akurat poza zasięgiem latarni, którą trzymała jego żona, nawet kiedy zamknął na łańcuch wejście do boks, w którym umieścił krowę. Następnego ranka, kiedy zdjął łańcuch, sLworzenie było wewnątrz obory razem z krową. Nakarmiło nawet krowę, wylaząc w tym celu przez okienko i potem włącząc przez nic z po- ■ wrotem i przez te pięć mil do farmy Housto- na szło wciąż za nimi jęcząc i popiskując, choć tuż przed samym domem, kiedy się obejrzał, już go nie było. Nie wiedział dokładnie, kiedy znikło. Później, wracając ••/'



z dolarem Houstona w kieszeni, pilnie patrzył na drogę, żeby zobaczyć, w którym miejscu znikło. Ale nie znalazł żadnego śladu.

Krowa była na farmie Houstona niecałe dziesięć minut. Houston był w tym czasie w domu i w pierwszej chwili zamierzał wysłać krowę dalej z Murzynem. Ale w sekundę potem odwołał to polecenie i zamiast tego kazał Murzynowi osiodłać konia, i czekając przeklinał znowu z tą dziką chłodną pogardą, która nie była ani wstrętem, ani złością, Pani Littlejohn zaprzęgała swego konia do bryczki, kiedy przyprowadził krowę na podwórko, tak że właściwie nie potrzebował nic jej tłumaczyć. Spojrzeli na siebie nie jak mężczyzna i kobieta, ale jak dwie istoty bezpłciowe, które osiągnęły ten sam spokój seksualny, chociaż różnymi drogami. Wyciągnęła z kieszeni czysty, związany na węzeł gałganek. — Nie chcę pieniędzy — powiedział szorstko. — Po prostu nie chcę widzieć jej więcej.

— To jego pieniądze — powiedziała podając mu węzełek. — Niech pan to weźmie.

— Skąd on miał pieniądze?

— Nie wiem. Ratliff mi to dał. To jego.

— Tak myślę, jeżeli to Ratliff je dał. Ale ja ich nie chcę.

— Co innego mógłby z nimi zrobić? — powiedziała. — Czego innego kiedykolwiek pragnął?

— Dobrze — powiedział Houston. Wziął

węzełek. Nie rozwiązał go. Gdyby jej spytał, ile tam jest pieniędzy, nie mogłaby mu powiedzieć, bo sama ich też nie policzyła. Potem rzekł, wściekły, ale z twarzą sztywną i spokojną:

— Do diaska! Niech pani trzyma ich oboje z daleka od mojej farmy. Słyszysz pani?

Pole to leżało z drugiej strony domu, daleko od drogi, tylnej ściany stajni nie było widać ani z drogi, ani z domu. Nie było jej właściwie widać od strony wsi i tego wrześniowego przedpołudnia Ratliff zrozumiał, że nie trzeba, żeby ją było widać. Bo szedł teraz ścieżką, której nie dostrzegł przedtem, której nie było tu w maju. Wtedy ukazała się przed jego oczyma ta tylna ściana z desek ułożonych poziomo i zbitych gwoździami. Deska na wysokości jego oczu była oderwana i opuszczona, wystające gwoździe starannie przegięte do środka i nie bardziej nieruchome niż rząd pleców i głów wypełniających otwór. Nie tylko wiedział, co zobaczy, ale, podobnie jak Bookwright, nie chciał tego zobaczyć, a jednak, w przeciwieństwie do Bookwrighta, zamierzał spojrzeć. Zajrzał wpychając głowę między dwie inne głowy i było tak, jakby to on sam znajdował się wewnątrz obory z krową, sam patrzył z tą niemą potępioną twarzą na rząd twarzy obserwujących tego, któremu dane były namiętności bez słów, ale nie kłamliwe, wprowadzające w błąd słowa. Kiedy spojrzeli na niego, trzymał już w ręku ode-

rwaną deską, w taki sposób, jakby miał ich uderzyć. Ale głos jego był leciwie zabarwiony szyderstwem, wręcz łagodny, zupełnie taki jak zwykle, kiedy zaklął jak Houston, ale nie ze złości ani nawet z poczucia obrażonej cnoty.

— Widzę, że pan te\$ przyszedł popatrzeć — odezwał się ktoś.

— Pewnie — powiedział Ratliff. — Ja nie was obwiniam. Obwiniam nas wszystkich — podniósł deskę i zakrył nią otwór. — Czy on — jak on się nazywa? Ten nowy? Lump — czy on wam każe płacić za każdym razem, czy . też macie abonament na wszystkie przedstawienia? — Na ziemi pod murem leżała połówka cegły. Przybił z powrotem gwoździe, podczas gdy oni patrzyli, jak cegła kruszy się, rozsypuje w jego rękach na proszek, suchy, jałowy, blady pył barwy nędznego grzechu i wstydu, nie wspaniałego jak krew i fatalnego. — To już wszystko — powiedział. — Koniec. Przedstawienie skończone. — Nie czekał, żeby zobaczyć, czy odchodzą. Przeszedł na ukos pole w jasnym przymgłonym blasku wrześnieowego południa i przez podwórze. Pani Liltlejohn była w kuchni. Znowu, tak jak Houston, nie potrzebował jej nic mówić.

— Jak pan przypuszcza, co ja myślę, kiedy patrzę przez to okno i widzę, że się przemykają pod płotem? — spytała.

— Jedyne, co pani może zrobić, to myśleć — powiedział. — Ten nowy subiekt.

,

O

Znowu Snopes. Lancelot. Lump. Pamiętam jego matkę.

Pamiętał ją za życia, jak również z późniejszych opowiadań o niej — chuda, energiczna, nieładna kobieta, która nigdy nie jadła do syta i okazywała to, i nawet nie wiedziała, że nigdy nie je tyle, ile powinna, i która uczyła w szkole. Jedna z mrowia sióstr i braci spłodzonych przez wiecznego, urodzonego bankruta, ■ który w przerwach między nie kończącą się serią drobnych bankructw handlowych robił swej niechlujnej, ■ wiecznie jęczącej żonie coraz więcej dzieci, których nie mógł ubrać i wyżywić. Po opuszczeniu domu przez jeden letni trymestr była w seminarium dla nauczycieli państwowych, potem uczyła w jednoklasowej szkole wiejskiej i porzuciła ją przed końcem pierwszego roku, żeby wyjść za mąż za człowieka wówczas zamieszanego w kryminalną aferę z kradzieżą skrzyni z próbkami butów, wszystkich z prawej nogi, skrzyni, która należała do pewnego komiwojażera

i znikła z przechowalni dworcowej. Do małżeństwa tego jako jedyny posag i wyprawę wniosła swoją umiejętność mycia, karmienia

i ubierania chmary braci i sióstr, bez potrzebnych do tego celu ilości mydła, żywności i ubrania, a także wiarę, że w książkach można znaleźć przykłady honoru, dumy, zbawienia oraz nadziei ku zbudowaniu człowieka. Urodziła jedyne dziecko i nazwała je Lancelotem, rzucając to nienasycone

wyzwanie między same szczęki zamykającej się pułapki, i umarła.

— Lancelot — zawołał Ratliff. Nawet nie zaklął. Nie żeby pani Littlejohn mogła wziąć mu to za złe albo w ogóle usłyszeć. — Lump! Pomyślcie o jego wstydzie i przerażeniu, kiedy był dość duży, żeby zrozumieć, co jego mama zrobiła z dobrego imienia jego rodziny, tak że musiał sam przybrać imię Lump i słyszeć, że ludzie tak go nazywają zamiast Lancelotem. To on wyciągnął tę deskę. Akurat na dobrej wysokości, nie wysokości oczu dziecka czy kobiety, ale na wysokości oczu mężczyzny. Tego małego chłopca trzyma tylko po to, żeby śledził i biegł z wiadomością do sklepu, kiedy to się ma zacząć. Och, jeszcze nie kaze im płacić i to właśnie Jest błąd.

I tego właśnie nie rozumiem. I tego się boję. Bo jeśli on, Lump Snopes, Lancelot Snopes... Mówiłem „jeszcze jeden Snopes”. A mogłem, a próbowałem powiedzieć „Oto Snopes”, ale myślałem naprawdę; „falszerstwo”. — Zamilkł, powiedział już dość, żeby oniemić z oburzenia, zawiedziony i pełen grozy, patrząc na tę wysoką jak mężczyzna, ponurą jak mężczyzna kobietę w spłówałym szlafroku, mierzącą go równie badawczym spojrzeniem.

— A więc to o to chodzi — powiedziała. — To nie rzecz sama w' sobie pana drażni. To to, że ktoś, kto się nazywa Snopes a zwłaszcza ten właśnie Snopes, wyciąga z tego coś, a pan nie wie co. Albo może dlatego, że lu

0 -ćw O  
dzie przychodzą tam i patrzą? To wszystko może być, uważa pan, ale ludzie nie powinni  
0 tym wiedzieć, widzieć tego.

— Tak było — rzekł. — To teraz to już skończone. Nigdy nie przeczyłem, że jestem faryzeuszem. — Nie potrzebuje mi pani mówić, że on nic innego nie ma. Wiem o tym.

1 że mógłbym mu przynajmniej tyle zostawić, To też wiem. I że zresztą to nie mój interes. I to wiem, tak jak wiem, że przyczyną, dla której mu tego nie zostawię, jest po prostu to, że jestem dość silny, żeby temu przeszkodzić. Silniejszy niż on. Nie uczciwszy. Nie lepszy może. Po prostu silniejszy.

— Jak pan temu przeszkodzi?

— Nie wiem. Może nawet nie potrafię. Może nawet nie chcę tego. Może chcę tylko okazać, że byłem uczciwszy, tak żebym mógł sobie powiedzieć, że dobrze zrobiłem i że moje sumienie jest teraz czyste i przynajmniej mogę dziś iść spać.

Zdawał się jednak nie mieć najmniejszych wątpliwości, co ma zrobić. Stał przez chwilę na schodach domu pani Littlejohn, ale rozpatrywał tylko możliwości — albo raczej odsuwał twarz w miarę wywoływania ich w pamięci: jedna dzika, nieprzejednana, przekreślona jedyną brwią, druga pociągła, czerwona, otwarta i bez czola, niby dzwonko melona nad skórzanym fartuchem kowala i ta trzecia, która zdawała się nie tyle należeć do surduta pod nią, ile być przywiązana do

niego jak piłka dziecinna do sznurka, i której rysy były jak gdyby w niezmiennym stanie zdezorganizowanej ucieczki od długiego nieokreślonego nosa, tak jakby twarz wymalowana na piłce została w tej chwili uniesiona spod ulewnego gwałtownego deszczu: Mink, Eck, I.O. Potem znowu zaczął myśleć o Lumpie, przeklinając, usiłując skupić umysł na problemie najbliższym, z wysiłkiem niemal fizycznym, mimo że stał absolutnie bez ruchu na najwyższym stopniu schodów ze swoją zwykłą twarzą zagadkową

- i spokojną, w tej chwili uśmiechniętą, wywołując znowu w pamięci trzy możliwe twarze
- i patrząc, jak znowu się zacierają: jedną, która w ogóle nie chciała zostać, drugą, która nawet by nie rozumiała, o czym mówi,
- i trzecią, która w tej sytuacji przypominała popularne automaty w poczekalniach na dworcu, w które wrzuca się miedziaka albo ołowiany żeton, żeby je wprawić w nich
- i otrzymuje się coś w zamian, nie wiadomo co, wiadomo tylko, że to będzie niezupełnie tyle warte, ile miedziak albo żeton. Myślał nawet o najstarszym a przynajmniej o pierwszym: Flem, przekonany, że to zapewne pierwszy raz w jakimkolwiek miejscu świata, gdzie się wdycha i wydycha powietrze
- i gdzie ludzie oparli podstawę swojej egzystencji na obiegu pieniądza, ktoś życzył sobie, aby Flem Snopes był tu raczej niż w jakimkolwiek innym miejscu, z jakiegokolwiek przyczyny, za jakąkolwiek cenę.

Było już blisko południe, prawie godzina, odkąd widział człowieka, którego szukał, wychodzącego ze sklepu. Zasięgnął informacji w sklepie, dziesięć minut później skręcił na ścieżkę i wszedł przez furtkę w nowym ogrodzeniu z drutu. Dom był nowy, jednopiętrowy, nie pomalowany. Kilka letnich kwiatów jeszcze kwitło, wysychało w zakurzonej, jałowej pustce schyłku lata, same czerwone — kanny i pelargonie — na klombie przed schodami i w zardzewiałych blaszankach albo wiadrach wzdłuż krawędzi ganku. Ten sam mały chłopiec był na podwórku za domem i tęga mocna młoda kobieta o spokojnej twarzy otworzyła mu drzwi z dzieckiem na rękę i drugim wyglądającym zza jej spódnicy. — Jest w swoim pokoju i pracuje — powiedziała. — Niech pan idzie prosto tam.

Pokój także był nie malowany, ze ścianami z desek, duszny jak kasa pancerna i nie

- o wiele większy, choć nawet wówczas zauważył, że panujący tu zapach nie jest zapachem wuja — starego kawalera, ale, rzecz dziwna, przywodzi na myśl szafę, w której czterdziestoletnia wdowa trzyma swoje suknie.

Od razu zobaczył surdut rzucony na łóżka, bo człowiek siedzący w fotelu (naprawdę miał przed sobą książkę, a na nosie okulary) z przerażeniem spojrzął na otwierające się drzwi, skoczył na nogi, porwał surdut i zaczął go nakładać.

— Niech pan się nie krępuje — powie-

dział Ratliff. — Nie zamierzam pozostać tu długo. Chodzi o pańskiego kuzyna. Isaaka. — Tamten skończył wbijać się w surdut, zapinając go pośpiesznie na papierowym gorsie, który nosił zamiast koszuli (mankiety były przyszyte do rękawów surduta), potem zdjął okulary z tym samym gorączkowym pośpiechem, jakby chciał jak najprędzej włożyć surdut po to, żeby zdjąć okulary i przy tej okazji Ratliff zauważył, że w oprawie nie ma szkiele. Tamten patrzył na niego z tą samą intensywnością, którą zauważył przedtem i która (było w niej skupienie a zarazem inteligencja) nie zdawała się w tej chwili integralną częścią ani organów, ani ich czynności, ale raczej przypominała coś w rodzaju chwilowej narośli na powierzchni gałek ocznych, jak lekki puch, który dzieci zdmuchują z główek mlecza. — W sprawie tej krowy — dodał Ratliff,

Teraz rysy twarzy uciekły. Rozproszyły się, jak najdalej od długiego nosa, który był parodią wszelkiego rozumowania i decyzji, a nawet, czymś na kształt brutalnego urągawiska, wyzwania rzuconego rozumnej ciekawości, ślizgając się nawet wokół zastygłego wesołego grymasu, Ratliff zobaczył, że oczy nie uśmiechają się, lecz obserwują go bystro i że jest w nich jakaś inteligentna czujność lub przynajmniej chytryść, nawet jeśli nie umiały zatrzymać się na jednym punkcie. — Co za widowisko — zakwakał Snopes. — Często myślałem,

odkąd Houston dał mu tę krowę, a pani Littlejohn ulokowała ich w tej stodole, jaki to wstyd, że niektórzy z jego krewnych nie kandydują do kongresu. Chleb i igrzyska, podobno, zapewniają wygraną w wyborach. Nie znam tańszego sposobu niż ten, który wymyślił Lump, żeby człowiekowi,...

— Tak popsuć szyki — powiedział Ratliff. Nie podniósł głosu i nie wyrzekł nic więcej prócz tych słów. Twarz tamtego nie zmieniła się: długi nieruchomy nos, zastygły grymas, oczy, z których żadne nie uczestniczyło w życiu drugiego. Po chwili Snopes powtórzył:

— Popsuć szyki — powtórzył tamten. Ratliff pomyślał, że jeśli to nie inteligencja, to jej dobra namiastka. — Tylko że przypadkowo ja nie...

— Dlaczego? — spytał Ratliff. — Kiedy wiadoma osoba pójdzie w przyszłym miesiącu do Willa Varnera starać się znowu o tę pracę w szkole, a nie będzie nieskazitelna jak marmur, co się stanie, jak pan myśli? — Twarz teraz także się nie zmieniła, bo rysy były w stanie ciągłego ruchu, nie mając nic wspólnego jedne z drugimi, prócz tego, że nosiła je jedna czaszka, karmiło jedno ciało.

— Bardzo jestem panu zobowiązany — powiedział Snopes. — Więc jak pan sobie wyobraża, co mamy robić?

— Nic nie mamy robić — powiedział Ratliff. — Ja nie zamierzam uczyć w szkole.

— Ale pan nam w tym pomoże, Ostatecznie wszystko było zupełnie dobrze, póki pan się w to nie wmieszał.

— Nie — powiedział szorstko Ratliff. — Ja nie. Ale chcę zrobić przynajmniej jedno. Zostanę tu, póki nie dopilnuję, żeby jego krewni coś z tym zrobili. W każdym razie, żeby nie pozwolili ludziom kręcić się koło tej szopy i patrzeć.

— Jasne — powiedział Snopes. — To nie przystoi. To prawda. Ciało jest słabe i niewiele mu potrzeba. Bo grzech jest w oku tego, co patrzy. Wyrzuc belkę z oka bliźniego twego, a co z oczu to i z myśli. Uczciwy człowiek nie pozwala swego nazwiska szargać w błocie. Nazwisko Snopesów dosyć długo było poważane w tym kraju, żeby nie łączono go z takimi występkami jak grzech sodomski.

— Nie wspominając o tej szkole — powiedział Ratliff.

— Jasne. Zrobimy naradę rodzinną. Spotkamy się w sklepie dziś po południu.

Kiedy Ratliff zaszedł do sklepu tego popołudnia, byli tam obaj, czeladnik kowalski i nauczyciel i jeszcze ktoś trzeci: pastor z tej parafii — farmer i ojciec rodziny, głupi, nieokrzesany, zabobny i uczciwy, bez żadnego wykształcenia, żadnych dyplomów, przed laty mianowany pastorem nie przez żaden synod, ale przez Willa Varnera, który w ten sam sposób mianował nauczycieli w szkole i swoich woźnych w sądzie.

— Wszystko w porządku — powiedział I.O., kiedy wszedł Ratliff. — Brat Whitefield znalazł rozwiązanie. Tylko że...

— Powiedziałem, że znam wypadek, kiedy ten sposób okazał się skuteczny — sprostował pastor. Potem im opowiedział albo może zrobił to nauczyciel:

— Trzeba zarznąć zwierzę, z którym dany człowiek ma zwyczaj obcować, upiec kawałek jego mięsa i dać mu do zjedzenia. Musi to być prawdziwy kawałek krowy czy owcy, czy danego bydłęcia, jakiegokolwiek ono jest, i grzesznik musi wiedzieć, że to właśnie je, a nie co innego. Nie można go oszukać ani przymusić i żadne środki zastępcze nie będą ważne. Potem grzesznik się popraw i będzie szukał już tylko samicy z rodzaju ludzkiego. Tylko że... — (i teraz Ratliff zauważył w rozbieganej twarzy jakiś wyraz namysłu i zarazem przykrości) — tylko że pani Littlejohn nie da nam krowy. Pan powiedział, że Houston mu ją darował.

— Nie powiedziałem — zaprzeczył Ratliff — to pan mi to powiedział.

— Ale czy tak nie było?

— Pani Littlejohn albo Houston, albo pański kuzyn musieli to panu wyjaśnić.

— Dobrze, mniejsza o to. Tak czy owak, ona nie chce. Więc musimy ją od niej odkupić. I jak z tego rozumiem, ona mówi, że nie wie ile, ale pan to wie.

—<sup>L</sup> Ach — powiedział Ratliff. Teraz nie patrzył na Snopesa, tylko na pastora. — Czy na

pewno wiadomo, że to poskutkuje, wielbny ojczy? — spytał.

— Wiem, że raz poskutkowało.

— To znaczy w innych wypadkach zawodziło?

— Widziałem, jak tego próbowano, tylko jeden raz.

— Dobrze — powiedział Ratliff. Patrzył na tamtych dwóch kuzynów czy wujka i bratanek, czy jakiegokolwiek łączyło ich pokrewieństwo. — To będzie was kosztowało szesnaście dolarów i osiemdziesiąt centów.

— Szesnaście dolarów osiemdziesiąt centów? — powtórzył I. O. — Do jasnej cholery! — Małe, żywe, wyblakłe oczka przebiegły z jednej twarzy na drugą. Potem zwrócił się do pastora: — No tak. Krowa to dużo, jeszcze wiele innych rzeczy oprócz samego mięsa. A jednak to wszystko należy do tej krowy. Musi tak być, bo to są takie rzeczy, co ich krowa nawet nie miała, jak się urodziła, więc cóż to może być innego jak ta sama krowa? Rogi, sierść. Nie można by wziąć trochę z tego, żeby ugotować zupę? Można by nawet dodać trochę świeżej krwi, jej własnej, taje żeby nie było żadnych wątpliwości.

— Ja mówiłem o mięsie — powiedział pastor. — Trzeba tym uleczyć nie tylko umysł grzesznika, ale wewnątrz jego ciała, siedlisko namiętności i grzechu, tak żeby miał dowód, że współnik grzechu nie żyje.

— Ale szesnaście dolarów i osiemdziesiąt centów — powiedział I. O. Spojrzał na Ratliffa. — Przypuszczam, że pan nie ma zamiaru nic dołożyć od siebie.

— Nie — powiedział Ratliff.

— Mink też nie, a zwłaszcza po tej grzywnie, którą nałożył dziś na niego Wilj Varner, i Lump. A Lump będzie wściekły za to wtrącanie się do czegoś, co ostatecznie nic pana nie obchodzi — powiedział do Ratliffa. — A Flema nie ma w mieście. Tak, że tylko wchodzę w rachubę ja i Eck. Chyba żeby brat Whitefield chciał się do nas przyłączyć ze względów moralnych. Ostatecznie choroba jednej owcy odbija się na całej trzodzie.

— On nie — powiedział Ratliff. — On nie może. Sami pomyślcie. Ja też kiedyś o tym słyszałem. To musi być zrobione przez jego własnych krewnych, bo inaczej nie poskutkuje. — Małe, sprytnie oczka biegały ciągle między twarzą nauczyciela i pastora.

— Pastor nic o tym nie mówił.

— Mówiłem tylko, co wiem o tym wydarzeniu — odparł Whitefield. — Nie wiem, jak dostali krowę.

— Ale szesnaście osiemdziesiąt — powiedział I. O. — Do diabła! — Ratliff spoglądał na oczka, były o wiele sprytniejsze, niż się wydawały; nie inteligentne, sprytnie, zrewidował ten sąd: właśnie sprytnie. Teraz nawet patrzył na swego kuzyna czy bratanek po raz pierwszy. — A więc tylko ja i ty wchodzimy w grę, Eck. — I kuzyn czy bratanek przemówił po raz pierwszy:

— Chcesz powiedzieć, że my dwój musimy ją kupić?

— Tak — potwierdził I. O. — Chyba nie uchylisz się od tego poświęcenia dla na2wi- ska, jakie nosisz, co?

— Dobrze — powiedział Hck. — Jeżeli musimy. — Spod skórzanego fartucha wyjął olbrzymią skórzaną sakiewkę, otworzył ją i trzymał w zaciśniętej pięści, jak dziecko trzyma papierową torebkę, którą chce nadmuchać. — Ile?

— Ja niestety jestem kawalerem — powie« dział I. O. — Ale ty masz troje dzieci.

— Czworo — poprawił Eck. — Jedno w drodze.

— Dobrze, czworo. Uważam więc, że jedyny sposób, to podzielić cenę krowy proporcjonalnie, według tego, ile kto zyska na uleczeniu grzesznika. Policz sam siebie i czworo twoich dzieci. To pięć udziałów i mój jeden. W ten sposób ja zapłacę dolara i osiemdziesiąt centów, a Eck piętnaście dolarów, bo pięć mieści się trzy razy w piętnastu, a trzy razy pięć to piętnaście dolarów. Eck może wziąć skórę i resztę mięsa.

— Ale wołowina i skóra nie są warte piętnastu dolarów — sprzeciwił się Eck. — A nawet gdyby były, ja ich nie chcę. Nie potrzebuję wołowiny za piętnaście dolarów.

— To nie tylko wołowina i skóra. Tamto są wartości dodatkowe. Nam chod/.i o wartość moralną, jaką za to zyskamy.

— To dlaczego ja potrzebuję wartości mo\*  
ralnej za piętnaście dolarów, a ty tylko za dolara osiemdziesiąt?

— Nazwisko Snopesów. Nie możesz tego pojąć? To nazwisko nie było jeszcze nigdy przez nikogo szargane w błocie. Musi być bez plamy, jak marmurowy posąj, żeby twoje dzieci mogły rosnać w jego opiekuńczym cieniu.

— Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego ja mam zapłacić piętnaście dolarów, a ty tylko...

— Bo ty masz czworo dzieci. Ich czworo i ty jeden, to pięć. A trzy razy pięć to piętnaście.

— Dotychczas jest tylko troje — powiedział Eck.

— A co przed chwilą powiedziałem? Trzy razy pięć? Gdyby to czwarte już było, to byłoby cztery, a cztery razy pięć to dwadzieścia dolarów i wtedy ja nic nie musiałbym płacić.

— Ale wtedy ktoś byłby winien Eckowi trzy dolary i dwadzieścia centów reszty — powiedział Ratli/f.

— Co? — spytał I. O. Ale natychmiast zwrócił się znów do swego kuzyna czy bratanka. — A ty dostajesz skórę i mięso. Pamiętaj o tym.



ROZDZIAŁ I

obieta, z którą ożenił się Houston, nie była piękna. Ani rozumna, ani bogata, „/j Sierota, pospolitej powierzchowności, nie prawie brzydka i nawet nie bardzo młoda<sup>M</sup> (miał dwadzieścia cztery lata), przybyła do niego z domu dalekiej krewnej, która ją wy\* chowywała, wnosząc mu w posagu cnoty i umiejętności domowe leżące we krwi i sta- ' nowiące podstawę edukacji kobiet w jej kraju, mały kuferek czystych, pospolitych sukien gołębiej barwy i własnoręcznie obrębionych prześcieradeł, ręczników i obrusów, nieograniczoną zdolność do poświęceń i wierności, i nic więcej. Pobrali się i w sześć miesięcy później ona umarła, a on przez cztery lata opłakiwał ją z dziką, niezachwianą wiernością — i to było wszystko.

Znali się przez całe życie. Oboje byli jedynymi dziećmi w rodzinach tej samej kategorii społecznej na farmach odległych od siebie o trzy mile. Należeli do tej samej kongregacji kościelnej i chodzili do tej samej skromnej szkoły wiejskiej, gdzie ona, choć pięć lat od niego młodsza, była o jedną klasę wyżej, kiedy on wstąpił do szkoły i mimo że obciążał się na egzaminach dwa razy w ciągu dwóch lat pobieranej tam nauki, w dalszym ciągu była nadal o jedną klasę wyżej, kiedy opuścił szkołę i znikł, nie tylko z domu swego ojca, ale z kraju, uciekając już w szesnastym roku życia przed odwieczną pułapką, i nie było go przez trzydzieści lat, a potem nagle wrócił, wiedząc dobrze (i może przeklinając samego siebie) od pierwszej chwili, kiedy zdecydował się wrócić, że zastanie ją tam jeszcze wolną i czekającą na niego. Tak też było.

Miał czterdzieści lat, kiedy poszedł do szkoły. Nie był dziki, tylko po prostu nie znał wędzidła, nie tyle żywy, ile opętany tą mocną żądzą nie życia, nawet nie ruchu, lecz nieograniczonego prawa wyboru między ruchem i bezruchem, które się nazywa wolnością. Nie miał nic przeciwko nauce, tylko przeciw przymusowi, przeciw regimentacji, jaką za sobą pociągała szkoła. Umiał dobrze prowadzić farmę swego ojca, a matka nauczyła go podpisywać własne nazwisko, nim w końcu umarła, wycofując się w ten sposób z \yalki, jaką prowadziła, by zmusić jego ojca do posiania chłopaka do szkoły, od której len przez cztery lata skutecznie się wykręcał, wygrywając słabość i pobłażliwość matki przeciwko surowej dumie ojca. Lubił prawdziwie ten wzrastający wciąż udział w odpowiedzialności a nawet i w pracy, którą dzielił się z nim ojciec, traktując to jako szkołę życia. Wreszcie jednak został pokonany swoją własną bronią, tak że nawet jego

ojciec przyznał, że jeśli chodzi o pracę na farmie, nie ma już czego uczyć go więcej. Wstąpił więc do szkoły nie jako feniks, ale jako fenomen. Był świadomym obywatelem, zanim uzyskał prawo do głosowania i mógł zostać ojcem, zanim nauczył się alfabetu. W czternastym roku życia znał już działanie whisky i miał kochankę, Murzynkę, dwa czy trzy Jata- od niego starszą, córkę dzierżawcy swego ojca — tak więc w klasie, gdzie uczono abecadła, znalazł się w cztery czy pięć, czy sześć lat później niż jego rówieśnicy, i fizycznie był za duży na to miejsce, olbrzym w krainie liliputów, z natury rzeczy ironiczny i pogardliwy, absolutnie niepoprawny, nie ze zdecydowanym zamiarem, żeby się niczego nie nauczyć, po prostu przekonany, że się nie nauczy, że tego wcale nie chce i że mu to nie jest potrzebne.

Potem wydawało mu się, że pierwszą rzeczą, jaką zobaczył po wejściu do klasy, była ta pochylona, gładziutko uczesana, ciemnowłosa główka. Jeszcze później, kiedy, jak mu się zdawało, od niej uciekł, miał wrażenie, że ona była w jego życiu zawsze, nawet w ciągu tych pięciu lat między jej urodzinami i jego; to znaczy, że ona istniała przez te pięć lat, ale on sam zaczął istnieć dopiero po jej urodzeniu, oboje związała od tej chwili nierozzerwalnie i na zawsze, nie miłość, ale nieubłagana wierność i nieprzewyciężona wzdarda — z jednej strony ta stała, niezłomna wola zmiany, poprawy, przero bienia, z drugiej ten wściekły opór. Nie była to miłość — uwielbienie na klęczkach i zdolność do poświęceń — taka, jaką ją znał, namiętność, która objawiła się dotychczas w doświadczeniu, ograniczonym niewątpliwie, ale nie całkowicie niewinnym. Byłby się na to zgodził, akceptował jako swoją powinność, uważając, że się poddaje, tak jak uważał, że się poddaje, podczas gdy w rzeczywistości wykorzystywał coś, co nazywał dobrowolnym niewolnictwem wszystkich kobiet, jakie dotychczas znał w życiu, matki i kochanki. Czego nie rozumiał, to tego, że do tej pory nie poznał, czym jest prawdziwa niewola, to jedyne, stałe, despotyczne i bezkompromisowe dążenie niewolnika, który chce nie tylko posiadać, całkowicie zasymilować, lecz poskromić, kształcić swego pana na własny obraz i podobieństwo. Nie chciała go nawet, nie dlatego, że była za młoda, ale że najwidoczniej jeszcze wtedy nawet w nim nie znalazła odpowiedniego partnera. Tak jakby po prostu wybrała później jego jednego tylko na całej zaludnionej ziemi, nie jak kogoś spełniającego jej wymagania, ale posiadającego możliwości, na których rada byłaby oprzeć i zbudować swoje życie.

Próbowała przeciągnąć go przez szkołę. Nie chodziło jej o jego wykształcenie, jak się zdawało, ale po prostu o to, żeby przebył ten etap, przechodząc z klasy do klasy w wyznaczonym na to czasie, jak inni ucz\*

niowie. Kiedyś przyszło mu na myśl, że może chodzi jej tylko o to, żeby go podciągnąć do klasy, w której byli uczniowie w jego wieku i w której on powinien być, że może jak to zrobi, to zostawi go w spokoju, żeby potem zostawał na drugi rok albo nie zostawał, jak mu podyktuje jego natura i temperament. Może tylko tego chciała. A może, mając dla niego dość dużo sympatii, żeby tego próbować, była zarazem dość mądra, by wiedzieć, że on nie tylko nie dojdzie do tej klasy, w której powinien być, ale nawet nie utrzyma się w tej, w której jest, więcej jeszcze: że to, gdzie on jest, nie ma żadnego znaczenia i że nawet to, czy się obetnie na egzaminach, nie ma znaczenia, byleby ona także miała w tym swój udział.

Był to zacięty bój, pojedynek bez słów, bez litości między tą niezłomną wolą, zmierzającą nie do miłości czy namiętności, ale do małżeństwa i drugą, wściekłą i równie nieugiętą, której celem była samotność i wolność. Groziło mu pozostanie na drugi rok w pierwszej klasie. Oczekiwał tego. Wiedział o tym nie tylko on sam, ale cała szkoła. Co do niej, to nawet nie zwracała się nigdy do niego bezpośrednio, przechodziła koło niego na podwórku szkolnym nawet nie patrząc, nawet, jak się zdawało, nie widząc go, a jednak zawsze było na jego pulpicie, nieme i nieuniknione, jabłko albo ciastko z jej torebki do śniadania, i ukryta między stronicami książki złożona we czworo kartka z roz

wiązaniem zadań matematycznych albo poprawione dyktando, albo odpowiedzi na pytania wypisane okrągłym starannym pismem dziecięcym — nagroda i obietnica, którymi gardził, pomoc, którą odrzucał, wściekając się, nie dlatego, że zagrożona była jego integralność i praworządność, lecz dlatego, że nie mógł ani publicznie odmówić ze wzgardą, ani mieć pewności, że odmowa wyrażona prywatnie — odrzucenie smakołyku czy kartki — zostanie zarejestrowana w tej pilnie schylonej, uważnej główce, oglądanej z profilu czy w trois quarts z tyłu i należącej do osoby, która nawet nie wymówiła jego imienia. Potem pewnego dnia jeden z chłopców, nie sięgający mu nawet do ramienia, zaczął na podwórku śpiewać złośliwą piosenkę pod jego adresem, w której była mowa — nie że Lucy Pate i Jack Houston są zakochani, ale że Lucy Pate zmusza Jacka Houstona, żeby przeszedł do drugiej klasy. Uderzył dzieciaka, jakby byli rówieśnikami, natychmiast został otoczony przez czterech starszych chłopców, i z furją stawiał im czoło, podczas gdy napastnicy ustępowali, a ona była przy nim, odpędzając wrogów ciosami swojej teczki. Uderzył ją, oślepiony furją, tak jak tamtego małego chłopca, i odepchnął na bok. Przez następne dwie minuty szamotał się jakby w ataku szału. Nawet kiedy już leżał powalony, czterech chłopcy musieli go związać drutem wyciągniętym z ogrodzenia, żeby móc go puścić i uciec.

Wygrał więc tę pierwszą rundę. Obciął się na egzaminach. Kiedy wrócił do szkoły następnej jesieni, do tej samej klasy, otoczony (niby olbrzym wśród karłów sięgających jego kolan) rojem jeszcze młodszych dzieci, przypuszczał nawet, że udało mu się uciec. Twarz ta była tam jeszcze, oczywiście, i nie wydawała się mniejsza ani dalsza. Ale teraz wierzył, że widzi ją za dodatkową przepaścią jeszcze jednej klasy. Toteż był pewien, że wygrał także drugą rundę i całą grę. Dopiero po dwóch miesiącach odkrył, że ona także nie przeszła do klasy następnej.

Wtedy ogarnęło go coś na kształt paniki. Bo odkrył jednocześnie, że zmieniła się płaszczyzna turnieju pomiędzy nimi. Walka stała się nie bardziej zacięta: to byłoby niemożliwe. Bardziej dojrzała. Dotychczas, mimo całej śmiertelnej powagi, zostało w niej coś z dzieciństwa, coś równie nielogicznego jak konkretnego, coś rozumnego i dziwaczного zarazem. Ale teraz był to pojedynek między dorosłymi; w pewnym momencie, kiedy się widywali wyłącznie w kościele, odwieczna, zużyta rękawica różnic biologicznych została rzucona i podniesiona. Tak jakby, oboje nieświadomie, ale w tym samym momencie, spojrzeli na starego Węża, zjedli owoc z Drzewa, z wolą i zdolnością asymilacji, lecz bez wyposażenia, nawet jeśli ów brak wyposażenia nie był prawdziwy w jego wypadku. Teraz nie było już jabłek ani ciastek, były tylko rozwiązania zadań, nieuniknione, poprawne, nieugięte, w jego książce albo w kieszeni palta, albo w skrzynce na listy przed jego domem; oddawał pustą kartkę podczas piśmiennych egzaminów miesięcznych i zwracano mu ją z dobrym stopniem, wypełnioną zawsze tym samym charakterem pisma (łącznie z podpisem), który coraz bardziej wyglądał jak jego własny. I wciąż była ta twarz, twarz dziewczyny, która w dalszym ciągu nigdy się do niego nie odzywała i nawet nie patrzyła, pochylona, zwrócona profilem albo trois quarts, chłodna, nieustraszona. Nie tylko patrzył na nią przez cały dzień, ale zanosił ją z sobą do domu, budził się w nocy i znów ją miał przed sobą, zawsze spokojną i stanowczą. Próbował nawet zatrzeć jej obraz, przesłonić go obrazem swej murzyńskiej kochanki, ale trwała wciąż na swoim miejscu, pogodna i niezmienna, spoglądając nie z wyrzutem, nawet nie zagniewana, ale przebacząca, zanim jeszcze poprosił o przebaczenie lub na nie zasłużył, wyczekująca, spokojna, przerażająca. Raz w ciągu tego roku przyszła mu do głowy szalona myśl, żeby uciec od niej na zawsze, usuwając się poza zasięg jej pomocy, przykładając się do nauki i nadrabiając stracone lata tak, by cię dostać do klasy, w której być powinien. Przez krótki czas próbował tego. Ale wciąż była przed nim ta twarz. Wiedział, że nie może od niej uciec ani po prostu przejść dalej, nie dlatego, żeby ta twarz go zatrzymała, ale musiałby nieść ją z sobą i byłoby tak samo,

jak przez te pięć lat przed jej urodzeniem, w ciągu których był od niej uzależniony. Nie tylko nie mógłby jej prześcignąć, ale nawet dogonić przez ten jeden rok, tak że bez względu na to, dokąd by dotarł, twarz ta byłaby tam na rok przed nim, odporna na wszystko i nie do uniknięcia. Toteż pozostawała tylko jedna możliwość. Ta dawna: nie ruch wstecz, ponieważ nie mógł cofnąć się dalej niż do klasy, w której już był, ale hamowanie w zawrotnym pędzie, paraliżowanie nieuchwytnego zakresu jej działalności.

Zrobił to. Błąd jego polegał na przypisywaniu granic bezwzględności kobiet. Patrzył, jak nie zapisane kartki jego miesięcznych klasówek znikają w rękach nauczyciela, a potem wracają do niego, idealnie wypełnione, nie wyłączając jego nazwiska u góry, w miarę jak mijały miesiące i zbliżał się egzamin promujący do następnej klasy. Od- dał puste kartki, na których nie było nic prócz jego nazwiska i śladów palców w miejscu, gdzie złożył papier, zamknął po raz ostatni książki, których nawet nie udało mu się zniszczyć, i wyszedł z klasy wolny, jeśli nie liczyć drobnej formalności zawiadomienia, że nie zdał. To uczucie wolności trwało przez całe popołudnie, podczas kolacji i przez część wieczoru. Rozbierał się już na noc i stał z jedną nogą wyjętą ze spodni, gdy nagle, bez chwili wahania, włożył nogę z powrotem do nogawki i boso, bez koszuli, wybiegł z domu, gdzie jego ojciec już spał.

Szkoła nie była zamknięta, chociaż musiał wyłamać zamek od szuflady w katedrze. W szufladzie były wszystkie trzy kartki, które oddał nie wypełnione — arytmetyka, geografia, wypracowanie z angielskiego. Gdyby nie wiedział, że oddał puste kartki i gdyby nie pewne słowa, których nie potrafiłby ani wymówić, ani rozpoznać, nie rozumiejąc nawet ich znaczenia, nie mógłby przysiąc, że tego sam nie napisał.

Wrócił do domu, wziął trochę ubrania i pistolet, który miał już od trzech lat na własność, i obudził ojca. Zobaczyli się po raz ostatni w życiu przy świetle nocnej lampki w upalną noc letnią — zdecydowany, przerażony chłopak i rozgniewany, chudy, ruchliwy mężczyzna, niemal o głowę niższy, nie ogolony, ze strzechą siwych włosów, w nocnej koszuli sięgającej łydek, który wręczył mu zawartość zniszczonego portfela wyjętego z kieszeni spodni przerzuconych przez poręcz sąsiedniego krzesła i włożywszy okulary w drucianej oprawie wypisał pokwitowanie na sumę z procentem i kazał je podpisać synowi. — Dobrze — powiedział. — Idź i niech cię piekło pochłonie. Powinieneś mieć w sobie dosyć mojej krwi, żeby sobie poradzić w szesnastym roku życia. Ja sobie poradziłem. I założę się o tę samą sumą, że będziesz wołał o pomoc, zanim minie pół roku. — Przechodząc obok szkoły wstąpił tam jeszcze raz, żeby włożyć z powrotem do szuflady swoje puste kartki. Byłby nawet na

prawił wyłamany zamek, ydyby mógł. I zapłacił sumę, o którą założył się z ojcem, chociaż nie przegrał zakładu. Odesłał ją z trzykrotnie większej sumy wygranej w kości pewnego sobotniego wieczora w rok później, kiedy pracował jako nadzorca przy budowie kolei w Oklahoma.

Uciekł nie od swojej przeszłości, ale od przyszłości. Upłynęło dwanaście lat, zanim przekonał się, że człowiek nie może uciec ani od jednej, ani od drugiej. Był wtedy w El Paso, mieście położonym na jednym z końców trasy kolejowej, którą obsługiwał jako palacz, ceniony pracownik, na drodze do posiadania własnej lokomotywy. Mieszkał tam w małym schludnym domku, wynajętym na cztery lata, z kobietą, która wśród sąsiadów i sklepikarzy z dzielnicy uchodziła za jego żonę, a którą wprowadził przed siedmiu laty z domu publicznego w Galveston. Przedtem był robotnikiem rolnym w Kansas, pastuchem owiec w New Mexico, potem znów robotnikiem na budowie kolei w Arizonie i w zachodnim Teksasie, a wreszcie dokerem w porcie Galveston. Jeżeli wtedy wciąż jeszcze uciekał, nie wiedział

o tym, bo już od wielu lat nie pamiętał, kiedy zapomniał tamtą twarz. A kiedy się przekonał wreszcie, że nie można uciec ani od przyszłości, ani od przeszłości wyłącznie przy pomocy geografii, nie wiedział o tyra. (Geografia — to ubóstwo inwencji, fatalistyczna wiara w odległość człowieka, który nie może wymyślić lepszego niż geografia środka ucieczki; tylko dla niego — uważał, że w to wierzy — geografia nigdy nie była czymś, po czym się stąpa, ale istotnym środkiem, którego ludzie wolni potrzebowali, żeby móc od-  
dychać). A jeśli tylko nadal konsekwentnie uciekał od jednej kobiety, czepiając się spódniczek drugiej, jak było z jego matką i Murzynką z lat młodzieńczych, nie wiedział tego, porywając niemal siłą o świcie kobietą, której do poprzedniego wieczora nie widział nawet nigdy na oczy. W blasku latarni gazowej między nim a przystrojoną w papiloty właścicielką zakładu rozegrała się scena tak gwałtowna, jakby porywał z domu jedyną córkę, dziedziczkę rodzinnej fortuny.

Żyli z sobą przez siedem lat. Wrócił do pracy na kolei i został tam na długo, a nawet w końcu zajął poczesne miejsce w lokalnej hierarchii; był jej wierny duchowo i nie licząc kilku przypadkowych i przejściowych odskoków, nawet fizycznie, ona zaś z kolei była lojalna, dyskretna, nie wymagająca i oszczędnie gospodarowała jego pieniędzmi. Występowała pod jego nazwiskiem w pensjonatach i hotelach, gdzie mieszkali z początku, a potem w wynajętym domku w El Paso, który nazywali swoim domem rodzinnym i meblowali go w miarę swoich możliwości finansowych. Choć nigdy o tym nie wspomniał, myślał nawet, żeby ją poślubić, tak dalece piętno Zachodu, wówczas jeszcze dłoń młodego, by nagradzać indywidualizm,

zmiękczyło, a nawet w końcu usunęło skorupę wrodzonego fanatyzmu protestanckiego prowincji południowych w poglądzie na małżeństwo i czystość kobiety, biblijnej Magdaleny. Oczywiście był także jego ojciec.' Nie widział go od tej nocy, kiedy uciekł z domu, i nie spodziewał się kiedykolwiek jeszcze go zobaczyć. Nie myślał, żeby jego ojciec umarł czy przeniósł się gdzieś indziej ze starego domu w Missisipi, dokąd on sam, jak sobie wyobrażał, powróci dopiero jako zgrzybiały starzec. Ale wiedział, jak zareaguje jego ojciec na małżeństwo z byłą prostytutką, a dotychczas wśród tych wszystkich rzeczy, które zrobił albo których mu się zrobić nie udało, nigdy nie było nic, czego by według jego wyobrażeń, jego ojciec nie mógł zrobić a przynajmniej aprobować. Wtedy otrzymał wiadomość, że jego ojciec nie żyje. (Jednocześnie otrzymał od sąsiada propozycję kupna farmy. Nie sprzedał jej, choć wtedy jeszcze nie mógł zrozumieć, dlaczego). Tak więc ten problem został rozstrzygnięty. Nie istniał zresztą właściwie nigdy. Rozstrzygnął go, jako sprawę wyłącznie między ojcem a sobą samym, dawno już, pewnej nocy, kiedy lokomotywa chybotwała się w ciemnościach na gdakających spojeniach szyn. „Może ona dawniej niewiele była warta, ale i ja też niewiele, ale teraz ona jest lepsza, niż ja byłem kiedykolwiek". Może z czasem będą mieli dziecko. Myślał, żeby poczekać na ten moment, żeby to się stało sygnałem. Z po

czątku ta ewentualność nigdy mu nie przyszła do głowy: w tym znowu był dawny mistyczny fanatyzm protestancki — ręka Boga karząca grzesznika nawet po jego moralnym odrodzeniu, babilońska klątwa niebios, zabraniająca rozmnażania się na wieki. Nie wiedział dokładnie, ile czasu miał trwać czyściec, ile czasu wymagało rozgrzeszenie, ale mógł to sobie wyobrazić — pewien mistyczny jeszcze moment, kiedy stygmaty pozostawione przez tych mężczyzn bez nazwisk i bez twarzy, zaschnięte blizny złotem oplacanego pożądanego, zostaną wymazane i zaleczone i znikną z ciała, które sprzedawała.

Ale ten czas już teraz minął, nie mistyczny moment rozgrzeszenia, lecz godzina, dzień, przed których upływem ona miała mu powiedzieć, że oczekuje dziecka i mieli się pobrać. Minął już dawno. To nigdy nie miało nastąpić. I pewnej nocy w tym dwunastym roku, w hoteliku na drugim końcu jego trasy kolejowej, gdzie spędzał co drugą noc, wyciągnął z kieszeni ofertę sprzed trzech lat i zrozumiał, dlaczego jej nie przyjął. „Wracam do domu" — powiedział sobie i tylko tyle, nie pomyślał, dlaczego, nie ujrzał przed sobą 2 twarzy, której od dnia, kiedy przestąpił próg klasy, nie mógłby opisać i której teraz nie mógł sobie nawet przypomnieć. Nazajutrz wrócił do El Paso, wycofał z banku oszczędności składane przez siedem lat i podzielił je na dwie równe części. Kobieta, która przez siedem lat była jego

żoną, rzuciła okiem na pieniądze i obsypała go przekleństwami.

— Żenisz się? — spytała.

Nie płakała; przeklinała go tylko.

— Po co mi twoje pieniądze? Spójrz na mnie, czy myślisz, że mi zabraknie pieniędzy? Zabierz mnie ze sobą. Znajdzie się jakieś miasto, gdzieś blisko, jakiś dom, gdzie mogłabym zamieszkać. Będziesz mógł przychodzić, kiedy zechcesz. Czy ci się kiedy narzucałam?

— Nie — powiedział. Przeklinała go, przeklinając ich oboje. „Gdyby mnie tylko dotknęła, uderzyła, pozwoliła mi wściec się dostatecznie, żeby ją uderzyć.” Ale to się także nie stało. To nie jego przeklinała, tak jak nie mogła przeklinać kobiety, której nigdy nie widziała i której twarzy on nie mógł sobie nawet przypomnieć. Więc podzielił znowu swoją połowę pieniędzy, tych pieniędzy, które mu przyniosło szczęście — nie żeby te pieniądze wygrał czy zapracował, czy znalazł na ulicy, ale to szczęście, że miał nałogi i żądze, które po ich zaspokojeniu i nakarmieniu zostawiły piękny zysk na czysto — i wrócił do Missisipi. Ale nawet wówczas nie potrzebował jeszcze jednego roku, żeby uznać, że nie chce uciec od tej przeszłości ani przyszłości. W okolicy myślano, że przyjechał sprzedać farmę. Jednakże mijały tygodnie, a on jej nie sprzedawał. Nadeszła wiosna, a on nie czynił żadnych przygotowań, żeby wydzierżawić ziemię ani pracować na niej samemu. Mieszkał nadal w starym domu sprzed wojny secesyjnej, który, choć nie był dworem i nie miał kolumn, za duży był na trzy osoby, choć mijał miesiąc za miesiącem, nadal przypuszczano, że jest na tym urlopie udzielonym mu przez owo przedsiębiorstwo kolejowe w Teksasie, znane im już z opowiadań jego ojca. Żył samotnie, spotykając się tylko — jeśli z kimkolwiek w ogóle się spotykał — ze swymi rówieśnikami, którzy go pamiętali z lat młodości, przy stoliku karcianym albo przy kieliszku — a i to nieczęsto. Od czasu do czasu widywano go na piknikach podczas lata, a w każdą sobotę po południu uczestniczył w posiedzeniach na ganku u Vamera, rozmawiając trochę, to jest przeważnie odpowiadając na pytania ludzi ciekawych życia na Zachodzie, nie tyle skryty i powściągliwy, ile najwidoczniej myślący w innym języku niż ten, którego słuchał i w którym musiał odpowiadać. Był już ujarzmiony, choć jeszcze tego nie okazywał. Jeszcze widoczne znamię przestrzeni i samotności na jego twarzy zacierało się już z wolna, przybierało wyraz rozsądku, a nawet zmieniało się w jakiś grymas niepokoju, jeśli jeszcze nie lęku. Był jak pierwotne zwierzę, samotne i samowystarczalne, które opuściło swą pustynię, zwabione w pułapkę, i które wie, że zostało złapane, choć nie rozumie, dlaczego i nawet nie jest już przestraszone ani zupełnie dzikie.



Pobrali się w styczniu, Jego pieniądze z Teksasu już się rozeszły, choć w okolicy nadal myślano, że jest bogaty, bo inaczej nie mógłby żyć przez rok nie pracując i nie ożeniłby się z sierotą bez grosza. Ponieważ wrócił jako człowiek wypłacalny, sąsiedzi nabrali przekonania raz na zawsze o jego bogactwie, tak jak przedtem byli niezmiennie przekonani, że tylko nędza przygnała go z powrotem do domu. Pożyczył pieniędzy od Willa Varnera, przepisując na hipotekę część ziemi, aby wybudować nowy dom bliżej drogi. Kupił wtedy także ogiera, jakby na ślubny prezent dla niej, chociaż tego nie powiedział. A jeśli ten pełnokrwisty samiec miał reprezentować tę poligamiczną nie okiełznaną męskość, której on sam się wyrzekł — o tym także nie wspomniał. I jeśli ktoś z jego sąsiadów i znajomych — może Will Varner albo Ratliff — dostrzegł, że było to istotne przekazanie atrybutów, świadome wypełnienie luki powstałej po jego abdykacji — nie powiedzieli o tym także.

W trzy miesiące po ślubie dom był skończony i przenieśli się do niego z Murzynką, która miała im gotować, jedyną w okolicy płatną kucharką, nie licząc tej, która gotowała u Varnerów. Wtedy zaczęli ich odwiedzać sąsiedzi, mężczyźni przychodzili na pole, żeby oglądać ogiera, kobiety do domu, żeby podziwiać nowe, świeżo wymalowane pokoje, nowe meble, przybory i urządzenia gospodarskie, które miały oszczędzić gospodyni roboty i o których marzyły oglądając je na obrazkach w katalogach domów handlowych przysyłanych pocztą. Patrzyły, jak się krząta pośród wszystkich nowych sprzętów zaaferowana, niestrudzona w czyściutkich prostych sukienkach, z gładko uczesаныmi włosami, ze swoją pospolitą twarzą, która promieniała teraz czymś, co było prawie pięknnością; nie oszołomiona szczęściem ani triumfem spełnionej woli i wiary, po prostu spokojna i pełna pogody, śmiałym rumieńcem reagująca na uwagę sąsiadek, że dom został skończony akurat na kwietniową pełnię księżyca, tak żeby blask mógł wpadać przez okno prosto na łóżko małżeńskie.

Wtedy zabił ją ogier. Szukała w stajni gniazda kury, której jajek nie mogła nigdzie znaleźć. Stajenny, Murzyn, ostrzegł ją: „Niech pani uważa, to ognisty koń, niech pani nie podchodzi blisko”. Ale ona się nie bała. Tak jakby rozpoznała tę transsubstancję, ten dualizm i myślała, choć o tym nie mówiła: „Nonsens. Teraz jestem jego żoną”. Zastrzelił ogiera (najpierw wpadł do stajni rzucając się na rozjuszony zwierzę tylko z otwartym nożem kieszonkowym, ale Murzyn go powstrzymał i przekonał, że lepiej zaczekać, aż on przyniesie z domu pistolety) i przez cztery lata i dwa miesiące mieszkał w domu z psem i służącym Murzynem. Sprzedał klacz, którą był dla niej kupił, i krowę, którą miał wówczas, odprawił ku-

charkę i porozdawał kurczyła. Nowe meble były kupione na raty. Przeniósł wszystko do stodoły w starym domu, gdzie się urodził, i zawiadomił kupca, że może przyjechać odebrać meble z powrotem. Został mu tylko piec, stół kuchenny, na którym jadał, i składane łóżko polowe, które postawił na miejscu małżeńskiego łóżka pod oknem. Tej pierwszej nocy, kiedy spał na składanym łóżku, także była pełnia księżyca, więc przeniósł łóżko do innego pokoju, pod ścianę północną, gdzie blask księżyca nie mógł go osiągnąć, a w dwa dni później poszedł nawet spać do starego domu. Tam jednak stracił wszystko, nie tylko spokój, ale swój trwały i określony smutek, w którym rozpacz mogła zatopić swoje zęby.

Wrócił więc do nowego domu. Księżyc był na nowiu i pełnia miała powrócić dopiero za miesiąc, tak że zostawała tylko ta jedna godzina między zmierzchem a ciemnością, między dwiema pełniami księżyca, a na to lekarstwem były kłopoty codzienne. Tych mu nie brakowało, bo nie tylko był kwit na pożyczkę, który dał Willowi Varnerowi, ale jeszcze zatargi z kupcem, który nie chciał przyjąć z powrotem sprzedanych mebli. Zajął się więc znowu pracą na roli, odkrywając stopniowo, jak wiele z tego zapomniał. Toteż czasami zapomniał o tej godzinie, której się bał, póki w nią nie wkroczył, przeniknął, nie odkrył jej nar/lo w sobie?, pogrążającej go, ciągnącej w przepaść. J

Wtedy jakaś uparta część żony i może syna, którego mieliby w następnym roku, była obecna w każdym zakamarku jego domu, który dla niej /budował, chociaż nic było w nim już żadnych przedmiotów, których dotykała i używała, i na które patrzyła, oprócz pieca i stołu kuchennego, i jedynej bawelnianej sukienki, podobnej do tej, którą nosiła w szkole tego dnia, kiedy ją ujrział po raz pierwszy, tak że nawet w najbardziej upalne wieczory lala siedział w dusznej kuchni, podczas gdy Murzyn przygotowywał kolację, pijąc whisky z dzbaną i ciepłą wodę z drewnianego cebrzyka, mówiąc córa?: głośniej, ordynarny, niecierpliwy, szukający zaczepki, choć nie było nikogo, kto by te zaczepki podejmował, nikogo, kio by go zaczepiał i kogo mógłby pobić i pokonać.

Ale prędzej czy później księżyc znowu zbliżał się do pełni. Niektóre noce były prawie białe. A jednak prędzej czy później srebrny kwadrat okna padał znowu na niego, tak jak padał na nich oboje, podczas gdy wypełniali obowiązek małżeński w myśl wierzeń ludowych, że pełnia księżyca w kwietniu gwarantuje zapłodnienie. Ale teraz obok niego nie leżało żadne inne ciało i nie miało by na czym leżeć. Bo łóżko polowe było na to za wąskie, a przy nim nic prócz otchłani cienia, gdzie spał tylko niewidzialny pies. Houston leżał sztywny, niepokonany, dyszący ciężko. „Nie rozumiem — mówił. — Nie wiem dlaczego. Nigdy nie będę wiedział!”

dlaczego. Nie możesz mnie pokonać. Jestem tak silny jak Ty. Nie zwyciężysz mnie."

Żył jeszcze, kiedy • zsunął się z siodła. Słyszał strzał, potem w chwilę później uświadomił sobie, że musiał go uczyć, zanim go usłyszał. A więc logiczna kolejność wydarzeń, taka jaką znał od trzydziestu trzech lat, została odwrócona. Zdawało mu się, że czuje uderzenie o ziemię, kiedy wiedział, że jeszcze spada i jeszcze jej nie dosięgnął, potem znalazł się na ziemi, przestał spadać i przypominając sobie wszystkie rany zadane w brzuch, jakie widział w życiu, pomyślał: Jeżeli nie zacnie mnie boleć natychmiast, umrę". Chciał wywołać ten ból i przez chwilę nie mógł zrozumieć, czemu jeszcze nie nadchodzi. Potem zobaczył pustą otchłani, gdzieś między swoją wizją a miejscem, gdzie powinny być jego nogi, i leżał na plecach obserwując, jak splątane i poszarpane włókna postrzegalności i woli wpadają do otchłani, lekkie i ślepe i po omacku usiłują spotkać się i połączyć znowu, i próbował pragnąć, aby spotkały się i połączyły. Potem zobaczył ból wybuchający nagle jak błyskawica na dnie otchłani. Ale ból przybył z innej strony: promieniując nie z jego wnętrza na zewnątrz, lecz przenikając do wnętrza z całej rozpoznawalnej, zagubionej ziemi, znanej i utraconej. „Czekaj, czekaj — mówił — idź wolno na początku, a potrafię przetrwać do końca". Lecz ból nie chciał czekać. Szumiał, targał nim i wstrząsał, unosząc go w górę. Nie chciał na niego czekać. Nie chciał czekać, żeby go rzucić w przepaść, więc krzyknął: „Prędko, pośpiesz się” podnosząc oczy znad czerwonego szumu ku twarzy, która była teraz zaślubiona jego własnej twarzy, nierozzerwalnie połączona z nią już na zawsze przez wypał z kalibru dziesięć — zmarły, który miał zabrać żywego do ziemi razem z sobą, i żywy, który miał dźwigać zawsze po gardzącej ziemi nieśmiertelne ciało zabitego — a potem ponieważ nachylone lufy nie poruszały się: „Ty bydlaku, nie mogłeś nawet pożyczyć dwóch naboju, ty parszywy żebraku czy..." Nie dokończył. Jego oczy, jeszcze otwarte na zaginione słońce, zaszły nagle wilgotną mgłą, która spłynęła po policzkach obcych i pozbawionych pamięci i obeschła ze świeżością prawdziwych łez.

2

Strzał był za głośny. Nie tylko za głośny jak na strzał, ale jak na każdy dźwięk, głośniejszy, niż to było potrzebne jakimukolwiek dźwiękowi. Tak jakby sama przestrzeń i echo zdolne do odbijania dźwięków sprzymierzyły się przeciwko niemu, przeciw obronie jego praw i wyrównaniu zadanych mu krzywd, budując mur wokół gąszczu, gdzie się ukrył, i leciwie dostrzegalnej drogi biegnącej obok kniei, długo jeszcze od chwili,

gdy strzelba kopnęła go w ramię i rozproszył się czarny dym spalonego prochu, a koń zawrócił galopując z pustymi strzemionami, uderzającymi o puste siodło, Nie używał tej strzelby od czterech lat, nie był nawet pewien, że dwa z tych pięciu naboji, jakie posiadał, wybuchną. Pierwszy nie wypalił, dopiero drugi — puste trzaśnięcie spuszczonego kurka, głośniejsze niż grzmot, gwałtowna potrzeba naprawienia błędu i znalezienia drugiego spustu, potem huk, którego po drugim ogłuszającym trzaśnięciu wcale nie słyszał, gryzący śwąd, który kazał mu odskoczyć i skulić się w gąszczu; na chwilę stracił równowagę, tak że nawet, gdyby mógł strzelić drugi raz, byłoby już za późno i pies już uciekł, zostawiając go tu, zdradzonego, przycupniętego za kłodą drzewa, drżącego i bez tchu.

Trzeba będzie to zakończyć nie tak, jak chciał, ale tak jak będzie musiał. To, co musiał zwalczyć i stłumić, nie było ślepym, instynktownym i gwałtownym pragnieniem ucieczki. Przeciwnie, pragnąłby zostawić na piersi zabitego wypisany drukowanymi literami napis: „Oto, co spotyka tych, którzy zamykają w zagrodzie bydło Minka Snope- sa” — z podpisanym własnym nazwiskiem. Ale nie mógł i w tym znowu, po raz trzeci od chwili, gdy nacisnął kurek, przejawiała się ta konspiracja, która miała na celu udaremnić i pogwałcić jego prawa człowieka i jego odczucia istoty wrażliwej. Musiał

wstać i wyjść z gąszczu, i zrobić to, co trzeba było zrobić najpierw, nie po to, żeby tego dokończyć, lecz żeby umożliwić do końca pierwszy krok czegoś, co już uruchomił; bo jeszcze nim usłyszał konia i podniósł strzelbę, wiedział, że się stanie to, co się stało: strzelił do swego wroga, ale zabił tylko to ciało, które należało ukryć. Usiadł więc za kłodą drzewa i zamknął oczy i liczył powoli, aż drzenie rąk minęło i tętent galopującego konia a nawet obelżywe i niewiarogodne echo strzału umilkło i mógł wstać, niosąc pochyloną strzelbę jeszcze nabitą nabojem, który nie wypalił, i wynurzyć się z gąszczu, od razu biegnąc. Ale nawet wtedy wątpliwe było, by dotarł do domu przed wieczorem.

Zapadł zmierzch. Wynurzył się z doliny i podniósł wzrok na swoją nędzną kukurydzę, rosnącą na zboczach wzgórz, i zobaczył dom: nie pobielona dwuizbowa chata z otwartą sienią pośrodku i dobudowaną kuchnią, chata, która nie była jego własnością, za którą płacił czynsz, ale nie podatki, a roczny czynsz wynosił prawie tyle, ile kosztowało wybudowanie domu, nie starego jeszcze, ale z przeciekającym dachem i rynnami chwiejącymi się już w gnijących deskach ścian. Był to dom dokładnie podobny do tego, w którym się urodził, i który także nie należał do jego ojca, a także dokładnie podobny do tego, w jakim umrze — jeśli umrze pod dachem, co było prawdopodobne, nawet w ubraniu, padając gdzieś między łóżkiem

a stołem, albo może nawet przy samych drzwiach, gdzie w pewnej chwili, bez uprzedzenia, bijące furją i nieomylnie serce odmówi mu dalszych usług — i dokładnie podobny do sześciu z górą innych domów, w których mieszkał od czasu, gdy się ożenił, i do jeszcze dwa razy tylu, w których, jak przypuszczał, będzie mieszkał, zanim umrze, i chociaż za ten płacił komorne, był niezmiennie przekonany, że należy on do jego kuzyna i wiedział, że nigdy nie będzie bliższy posiadania własnego dachu nad głową niż teraz. Potem zobaczył na podwórzu przed domem dwoje dzieci, które na jego widok zerwały się i rzuciwszy nań okiem, zawróciły i pobiegły w kierunku domu. Wtedy miał wrażenie, że widzi ją także, stojącą w otwartej sieni dokładnie w tym samym miejscu, gdzie stała osiem godzin temu i patrzyła na jego plecy, pochylone nad wygasłym paleniskiem, kiedy smarował strzelbę stopioną słoniną, która była jedynym posiadanym przez niego środkiem zastępczym zamiast oliwy i która na skutek korozyjnych własności soli w zetknięciu z metalem zastygła w jakąś substancję podobną do mydła. Jakby przez cały ten czas się nie poruszyła, stała znowu w ramie otwartych drzwi, tylko bez lampy, tak samo jak w tym obozie dla więźniów w południowym Missisipi, gdzie ujrzał ją po raz pierwszy dziewięć lat temu, zasłuchaną w ochryple głosy niewidzialnych mężczyzn w jaskrawo oświetlonych drzwiach jadalni. Przestał patrzeć na dom, ściśle mówiąc obrzucił go tylko jednym krótkim spojrzeniem, i przeszedł przez zagon kukurydzy, żółtej i skarlłowaciatej, bo nie było za co kupić nawozu dla użyczenia ziemi i nie miał ani bydła, ani narzędzi dla jej należytego uprawiania, ani też żadnego sojusznika, prócz własnej siły fizycznej i odporności, w hazardowej grze o chleb powszedni rozgrywanej nie w zwyczajnym klimacie, ale w tej niewiarogodnej' wiośnie, której to suche lato było potwornym poronionym płodem, razem z deszczem padającym codziennie od połowy maja do lipca, jakby sam zodiak również podkładał mu w tej grze tylko złe karty. Szedł pod górę między wyschłymi łądkami bez kolb, niosąc strzelbę, która wydawała się za wielka na to, żeby ją nosił, celował albo ośmielił się z niej strzelić i którą kupił siedem lat temu odmawiając sobie jedzenia; udało mu się ją nabyć tylko dlatego, że nikt inny jej nie chciał, bo naboje do niej były zbyt duże na każdą zwierzynę oprócz dzikich gęsi i kozłów i zbyt kosztowne, żeby strzelać do czegokolwiek oprócz człowieka. Nie spojrzął na dom już więcej. Minął go i wszedł w obręb spróchniałej kraty otaczającej studnię, oparł strzelbę o krawędź, zaczerpnął wiadro wody i zdjawszy z nóg buty zaczął je myć. Wtedy uświadomił sobie, że ona stoi za nim. Nie obejrzał się, siedząc na spróchniałej ławce, w spłowiałej, czystej

koszuli i połatanych spodniach, przechylając wiadro z wodą nad butem i szorując go kaczanem kukurydzy. Zaczęła się śmiać ponuro i spokojnie. — Powiedziałam ci rano — odezwała się. — Mówiłam, że jeżeli to zrobisz, jeżeli stąd wyjdiesz ze strzelbą, porzucę cię. — Nie spojrział na nią, zgarbiony nad mokrym butem, do którego wsunął rękę niby prawidło i szorował go kaczanem kukurydzy. — Mniejsza o to, dokąd pójdę. Nie troszcz się, gdzie jestem, kiedy po ciebie przyjdą. — Nie odpowiedział. Skończył myć pierwszy but i postawił go na ziemi, włożył rękę do drugiego, polał go wodą z wiadra i zaczął szorować. — Bo to nie będzie daleko — zawołała nagle, ale nie podnosząc głosu. — A kiedy przyjdą, żeby cię powiesić, ja postaram się być w takim miejscu, żeby to widzieć. — Teraz wstał. Ostrożnie postawił nie domyty but na ziemi, położył kaczan kukurydzy obok niego i wstał, mały, niemal o pół głowy niższy od niej, bosy, i ruszył w jej stronę, bez pośpiechu, z pochyloną głową i jak się zdawało nie patrząc na nią nawet, kiedy stała w otwartej wyłamanej furtce — z nierówno rozjaśnionymi włosami, które przy korzonkach przybrały z powrotem swoją naturalną ciemną barwę, bo od roku już nie było w domu pieniędzy, żeby kupić farby, wciąż nie ze swoim okrutnym twardym śmiechem, z błyskiem ciekawości i wyczekiwania w oczach. Uderzył ją po ustach. Patrzył na swoją rękę, prawie znużoną, uderzającą w poprzek twarzy, która nie drgnęła, i nawet nie zamrugały w niej oczy. — Ty przeklęty pokurczu, morderco — powiedziała. — Użyj sobie! — Uderzył ją znowu, rozmazując dłonią krew, która pociekła, i jeszcze raz uderzył z tym powolnym skupieniem, które nie było refleksją, lecz skrajnym, cierpliwie nieujarzmionym i nieprzejednanym znużeniem. — Idź precz — powiedział. — Idź! Idź!

Poszedł za nią przez podwórze i do sieni, ale nie wszedł do izby. Widział ją, stojąc w drzwiach, choć w pokoju było prawie zupełnie ciemno, na tle małego kwadratu okna jaśniejącego słabym światłem zmierzchu. Potem pstryknęła zapalka i zajaśniała przenosząc płomyk na knot kaganka, Teraz stała w obramowaniu oświetlonych drzwi w otoczeniu głośnych i niewidzialnych cieni mężczyzn bez nazwisk; to ciało, które nigdy, jak mu się zdawało, nie urodziło mu dzieci, ciało istniejące przed ich ślubem, który kosztował dwa dolary, i który nie uświęcił, tylko potwierdził ich związek, i od tego ciała, ilekroć się doń zbliżał, dzieliły go nie suknie, lecz cienie mężczyzn, z którymi go zdradzała i którzy stali się częścią także jego przeszłości, jak gdyby to on a nie ona był ich biernym narzędziem; to ciało mimo niechłujnych okrywających je bezkształtnych sukien podziwiał zawsze nawet spoza zimnych granic bezgwiezdnej nocy, z dala od nienawiści i od pożądania i mówił sobie:

zúitó íÁXze .7^x.  
> rm ss^rs. ily« - z\*psjü i kz/fÁ, >rVr  
ZSI^liS tã T^Z&iLA 'JZZ- 'Z^/b ZJtZJL.  
SittZLZÇ? V IJütL\*; ZJá y^SŽrS?7A~ %Jb ZŽJb iiLisr-  
ckä rĹ\* "J:r:~\*rĹ:~: się,- x- prw.-.. K\*cZ-áĹy 'nr ^~zL^>';lrzr:'- z&^Z'\*ZSZ vi •'Ĺrfe'ij- coy z\*> lacffTt j\*i 'arrias  
jã é«s -íĹtr wyście.  
1 psjriryir zz. z^i^ z i\*i^ai «riz '<rj\*;«isi r ;&fill 'c æxfjsfiai zæ '~ózt- zùt s\*eZZZ&'  
xrr&arrfiarr. zr, p:'J\$ř.k Z «rr7tz«x 1 ica:~ TTrrTT.Ti^j vĹÆsarr.. zxrjbzr&z^- ^ ĹĹ%- ■yúiniizsz&r, rií^icr  
iKrĹ\*2%í\*; zĹĹfjzr n^  
5. 5L@ŽSv^wĹTČ. - Tr\*V^^; \* '4  
tsass, prz^íxc^ĹĹ tt zjti&rjr. vzc\*&i,, h-Y'  
krĹx\*~&@ Ž8čz& z zžrž. tr^OL  
ácife'. 9»';^cŕr vrr'-c sVy- w.^zn. í\*ez i3ĹSečsiiiiasiL ŁZ~r\* -?prř\*~z'yaz.% yi ■\*\*\*- rrr ^á±. zfAc&čit 'yžr  
z>. ^tíiii z r^t- Ąs sát=5s czv riíZ^iBtsrá jã rs  
í -tsácÉ 'Ĺtjz^zá- 'ĹĹiyzÁ pĹr^ »Et^ir, jc:r\* áĹ^t ttšSrr itóaaíw  
'CT.i " -Ĺá. ; iziíia '~tt&pSJZA V VŷVtr  
T-I~T í 2ft 'ir\* i'jesyi\* zz zr&Ĺ jr/,ai Z2\*;'\* inřzfáfcjafe, 'Ô32& przg#i SI#KT ĹĹĹBĹĹ ^í^^' Acl. Zirrsya»^ sit 2&  
-sirwtafc jot  
ir^jfiśi^iL //,«L li&ZJL Z&  
9pe~rĹzz3Ĺvr\*L \_ \* rvfetX^rv-Ā «' -îçai'Ā'X ^ex-'  
/ -ífcrv^ ,v, r !'  
\* . \* ^ ■ ■ ■ \* \*  
■ < VV . < T ! . - VILv  
z#& prxjjæ^ . fc'. -^jcaii. ; ;  
/aw ■ : - , -> .  
Ot Z 2ĹĹĹ. . í."/; ^ âÉr'ĀÉĀ\* : Ā\* - -  
P'-^- — 4Ĺnf /y t&m-Q&k. iXítř)^. z p^&zy?.;: x) gsčsjjZ' • ,...-^>  
p.,t.ĹicX ' . /? . ■ L . 'St&  
Z^Ttříá', í,^ 2\$ jt>  
'íi >súřr. é^jr yzvfzrs;z.-. y: \*\*» t i' -ifea^  
• =4 — -í^ - \*Ĺ.v -ĹVEPL: . ; ;  
ir^éss sĀ  
Ĺřiiia' Āséw ^n-xí^iac ««esc  
\* ipr^' î ĹEA ,rX Ĺfc r^T í\*!->CaĹ Ā5» ^aaK. VV "HárXf Ĺár^7Ál Č-  
iŠtĹ^T^zr ; -Ĺ9 j#ury->> >  
Ĺ tt^errí Ĺfv <Siiiâd, > viyp IA^ y-aís&t.  
V»\*5î  
^nrš\*Ĺ2LiĹí;- ic'\*«í IÚS^, n^át  
• Y<s^ Ĺa & 'jrt'Mpeu. Z:wi> ■?; sfca ? --js^zrr ^aciĀtĀ ->n^r-ia^ Ĺræs»?». \_ r 'ĹĹĹ«&| irf Ĺ-jar-Ĺ ^  
Ĺ<sgĹv [■wy, -%0-^at^i ; pct&z jów» iqr .r'ife. .řüür  
2« r-i.:>^'«í:t.jí: - ítru->\* . ; !»^r/j\*!Ĺ %  
»«C 5 -ECT^ VŮ 13SA»I\* 1ft ÍSÍ5&L.  
R^Ka^ie; -tór-aci<- 'jv^c^á-' % % t nm îEéè « it^bçî.0% «r»?M •r,&v .ckju; # tc\*Mí İXSSL. ~\*t&z vy&xi \$&  
for\*fc. Xj\*: ^xxü^é' %ant&i g&rtrv «n: j«c íús.- ta%wz^Ĺc irr« . \* Ĺsar?m «^tiéfiir:  
icy-c\* xĹ#s%ept \$azr Ĺul -au. ttv-

gie i które zagubił gdzieś po drodze od osiągnięcia wieku męskiego do tej godziny, kiedy nie pozostało mu nic oprócz pustego, ogłodzonego domu, który nie należał nawet do niego, i strzelby, i tej nieodwołalnej chwili, w której podniósł lufy, a wola zmusiła palec do naciśnięcia kurka, chwili, którą tylko jego własna śmierć mogła zatrzeć w jego pamięci. Nalał więc wody z wiadra na strzelbę, zdjął koszulę i wytarł broń do sucha, wziął buty i wrócił do domu. Nie zapalając lampy i stojąc nad wygasłym paleniskiem zjadł prosto z garnka, palcami, trochę zimnego grochu, a potem położył się w ubraniu na łóżko ze słomianym siennikiem w pustym pokoju, porzuconym wreszcie przez te głośnie cienie, leżąc na wznak w ciemności z szeroko otwartymi oczyma i ramionami opuszczonymi wzdłuż tułowia, nie myśląc o niczym. Wtedy usłyszał psa.

Z początku nie poruszył się. Gdyby nie regularny rytmiczny oddech, jego ciało przypominałoby raczej ciało nieboszczyka, leżąc w idealnym bezruchu, podczas gdy pierwsze szczekanie ucichło i zapanowała cisza tysiąca milczeń nocy, a potem rozległo się znowu drugie przeciągłe wycie, pełne smutku. Nie ruszył się. Tak jakby na to czekał, spodziewał się nadejścia tego głosu, jakby wyrzuciwszy z siebie wszystkie myśli i uczucia nie po to, by zasnąć, lecz żeby nabrać siły, jak to robią pływacy i biegacze, przed rozpoczęciem fazy straszliwego

i wściekłego trudu, w którą miało wejść jego życie. Leżał tak może dziesięć minut, podczas gdy przeciągły lament dobiegał wciąż z głębi doliny, jak gdyby wiedział, że to będzie ostatnie dziesięć minut spokoju. Potem wstał. W ciemnościach włożył koszulę, jeszcze wilgotną, i świeżo umyte buty, a z gwoździa za drzwiami zdjął nowy postronek, jeszcze zwinięty, tak jak kuzyn, subiekt Varnera, zwinął go dwa tygodnie temu, i wyszedł ze swego domu.

Noc była bezksiężycowa. Przeciął na ukos zagon kukurydzy suchej i niewidzialnej, kierując się według gwiazdy, aż doszedł do czarnej masy drzew, na której tle mrugały robaczki świętojańskie i spoza których dochodziło rechotanie żab i wycie psa. Ale gdy się znalazł między drzewami, nie mógł nawet dostrzec nieba i wtedy zrozumiał to, co powinien wiedzieć przedtem: że będzie go prowadził głos psa. Poszedł więc za nim, ślizgając się i zanurzając w grząskim błocie, potykając się, torując sobie drogę przez trzciny i splecione zarośla, wpadając na niewidzialne drzewa, osłaniając ramieniem spocone czoło, podczas gdy przesywające wycie psa przybliżało się, a potem nagle umilkło. Zdawało mu się, że widzi fosforyzujące błyski oczu, choć nie miał światła, żeby się w nich odbijało, i nagle, nie zdając sobie sprawy, że zamierza to zrobić, pobiegł w kierunku miejsca, gdzie widział oczy. Wpadł na najbliższe drzewo, uderzając o nie ramie



niem tak, że aż się zatoczył, ale znów odzyskał równowagę i szedł dalej z wyciągniętymi przed siebie rękami. Spadał teraz. „Jeżeli przede mną jest drzewo — pomyślał — to koniec.” Znalazł się w bliskości psa, czuł jego oddech i zgrzytanie zębów, kiedy zwierzę rzuciło się na niego. Potem pies uciekł jednym susem, zostawiając go na czworakach w błocie i przepadł, z trzaskiem łamanych gałęzi. Potem wszystko ustało. Klęczał teraz na krawędzi wąwozu. Musiał tylko wstać i na pół schylonym, wciąż ochraniając twarz zgiętym ramieniem, wejść po kostki między wilgotne, nie znające słońca błoto i gnijące szczątki roślin i posunąć się tak parę kroków, póki nie wejdzie do sterty chrustu. Wepchnął zwiniętą linę za pazuchę, pochylił się i zaczął odgarniać zgniłe gałęzie. Grzebiąc wśród nich usłyszał zdławiony, krótki krzyk, podobny do krzyku dziecka i coś poruszyło się pod jego nogami. Kopnął zwierzę, które rozciągnęło się na jego stopie, oszalałe ze strachu: „To tylko szop” — powiedział sobie, pochylając się znowu nad rozrzuconą stertą zgniłych gałęzi, odgarniając je, póki nie ukazały się zwłoki. Otarł ręce z błota o koszulę i spodnie, ujął martwe ciało za ramiona i zaczął je ciągnąć wzdłuż wąwozu, posuwając się tyłem. Nie był to rów, ale dawna droga leśna, zarosła chwastami tak, że ledwie można ją było dostrzec, prawie o dwie stopy niżej niż płaskie dno doliny. Szedł nią ponad milę, ciągnąc zwłoki, które ważyły o pięćdziesiąt funtów więcej od niego, przystając od czasu do czasu, aby otrzeć spocone ręce o koszulę i rozpoznać miejsce, gdzie się znajduje, ilekroć ujrzał nad sobą skrawek jaśniejszego nieba, dość duży, aby rozróżnić kształty drzew na jego tle.

Potem zawrócił i ciągnął trupa dalej, poza dolinę, jeszcze przez jakieś sto jardów, wciąż posuwając się tyłem. Zdawał się wiedzieć dokładnie, w jakim miejscu się znajduje, bo nie obejrzał się ani razu. Wreszcie puścił trupa, stanął i położył rękę na tym, czego szukał: stojący na polanie szkielet niegdyś ogromnego dębu, rażonego piorunem, zniszczony starością, próchnicą czy jakąkolwiek inną przyczyną, wysoki na dziesięć stóp i z uciętym wierzchołkiem. Dwa lata temu wypatrzył w nim dzikie pszczoły i stało tam dotychczas młode drzewko, którym podparł spróchniały pień, aby dostać się do miodu. Wyjął linę zza pazuchy, jeden jej koniec uwiązał wokół trupa, zdjął buty i trzymając w zębach drugi koniec wdrapał się po młodym drzewku, usiadł okrakiem na krawędzi pnia i zaczął holować w górę zwłoki, prawie dwa razy większe od niego, zawadzając o gałęzie, obdzierając pień z kory, aż wreszcie przerzucił je nad otworem u góry pustego pnia, niby do połowy napełniony worek. Węzeł zacisnął się tak mocno, że w końcu wyjął nóż, przeciął linę i wepchnął zwłoki do wnętrza pnia. Ale utknęły prawie natych

miast i za późno uprzytomnił sobie, że powinien je odwrócić głową na dół. Popchnął je w dół, macając plecy, ale nie zawisły, lecz zaczęły się o brzeg otworu jednym zgiętym ramieniem. Wtedy przywiązał jeden z końców liny do kikuta gałęzi tuż pod jego stopą, okręcił linę wokół przegubu i stanawszy na ramionach trupa zaczął podskakiwać ze złączonymi stopami, aż nagle martwe ciało obsunęło się i wpadło w otchłań, zostawiając go zawieszonym na linie. Zaczął się po niej drapać do góry, piędź za piędzią, zdzierając sobie skórę z kolan i łokci. Spróchniałe wnętrze pnia, tak że lekki, uparty i suchy pył spróchniałego drewna drażnił jego nozdrza jak tabaka. Potem usłyszał trzeszczenie gałęzi, uczył, że lina puszcza i podskoczył do góry w próżnię, zaczepiając końcami palców o brzeg otworu. Ale pod jego ciężarem cały kawał spróchniałego drewna odpadł, uchwycił się więc drugą ręką, ale drewno znów runęło, więc drapał się pod górę w nieskończoność, z furją i bez rezultatów, z ustami otwartymi, aby zaczerpnąć tchu, z oczyma wpatrzonymi w dalekie wrzesniowe niebo bliskie już świtu, aż wreszcie drewno przestało się łamać, pozwalając mu zawisnąć na rękach tak długo, że mógł się znowu podciągnąć i usiąść okrakiem na krawędzi pnia. Po chwili spuścił się na dół, chwycił podpierające pień drzewko i zaniósł je o jakieś piętnaście czy dwadzieścia jardów poza polanę. Potem wrócił i nałożył buty. Gdy wrócił do domu, zaczęło już świtać. Zdjął zabłocone buty i położył się na sienniku. Wtedy, jakby tylko na to czekał, pies zaczął wyc znowu. Wydało mu się nawet, że słyszy, jak pies nabiera tchu, zanim z doliny, gdzie jeszcze była noc, dobiegł pierwszy krzyk, przeciągły, miarowy.

Odtąd odwrócony został porządek jego dni i nocy. Wynurzał się z doliny razem z gwiazdą poranną albo może ze słońcem i szedł pod górę przez zaniedbane pole skarłowaciałej kukurydzy. Nie mył już teraz butów. Nie zawsze je zdejmował i nie rozpalał ognia w kuchni, tylko jadł, stojąc, zimny groch z garnka na piecu, póki go starczyło, i pił zimną zwietrzałą kawę z fusami, póki jeszcze była, a gdy jedno i drugie się skończyło, jadł garściami surową mąkę kukurydzianą z prawie pustej beczki. Pierwszego dnia był głodny, bo to, co teraz robił, było cięższe niż jakakolwiek praca, z którą miał w życiu do czynienia, a przy tym podniecające i zupełnie dla niego nowe. Potem jednak przestało to być nowe i wtedy zrozumiał, że może mieć tylko jeden koniec, tak że będzie trwało wiecznie, i przestał odczuwać głód. Zmuszał się jednak, budził się i mówił sobie: „Musisz jeść” i jadł surową mąkę (w beczce nie zostało już nic prócz zaschłej skorupy na wewnętrznych ściankach i zdrapywał ją nożem), której nie chciał i jak się zdawało, nawet nie potrzebował, jakby jego ciało karmiło się tylko niezwykłą woją niby

tkanką tłuszczu. Potem kładł się na sienniku w kombinezonie i butach, z których nie zaczęła jeszcze nawet obsychać ostatnia, najświeższa warstwa błota, żując ciągle, z grudkami mąki przylepionymi do brody, która zdążyła już wyrosnąć dokoła ust, pogrążony nie w zapomnieniu, lecz w jakiejś ślepej i milczącej pauzie, która była wypoczynkiem dla odzyskania sił, niby kąpiel w wannie, aby obudzić się niby na dźwięk dzwonka o tej samej godzinie po południu, nie przerywając ciągłości między położeniem się a ponownym otwarciem oczu, ponieważ tylko ciało nosło i miało nieść ten ciężar, który wymagał odpoczynku. Potem rozpałał w kuchni ogień, choć nie było nic do gotowania prócz wyskrobywanych z beczki resztek mąki. Potrzebował jakiegoś gorącego napoju, ale kawy także nie było. Napelniał więc garnek, stawiał go na ogniu i pił gorącą wodę z cukrem, potem siedząc na połamanym krześle na ganku patrzył, jak noc, ciemność wynurzały się z doliny, popychając przed sobą słońce w górę z boczka tu i ówdzie porośniętego kukurydzą, która nawet o zmierzchu wydawała się nie mniej wypalona i żółta niż w pełnym świetle słonecznym, i wreszcie ogarniały sam dom. Wtedy zaczynało się wycie psa, ale siedział jeszcze dziesięć czy piętnaście minut, jak posiadacz rocznego biletu nie rusza się ze swojej zwykłej ławki i czyta dalej gazetę, choć pociąg zatrzymał się już na peronie.

Drugiego popołudnia, gdy się obudził na schodach ganku siedział chłopczyk z okrągłą głową i oczami koloru barwinka, syn krewniaka, który objął kuźnię Vamera, ale spłoszyły go jego kroki, tak że gdy ukazał się na ganku, chłopczyk stał już na ziemi, o kilka kroków od schodów. — Stryj Lump mówi, żebyś przyszedł do sklepu — powiedział, — On mówi, że to ważne. — Nie odpowiedział. Stał naprzeciw dziecka, w butach, na których wyschło błoto z poprzedniej nocy, w kombinezonie i z resztkami mąki na brodzie naokoło ust, póki chłopczyk nie zaczął się oddalać, najpierw powoli, później biegiem. Obejrzał się na skraju lasu, potem znów pobiegł dalej i znikł. Tamten wciąż się nie ruszał i wciąż nie było żadnego wyrazu w jego twarzy. „Gdyby to były pieniądze, mógłby je tu przynieść” — pomyślał. A więc to nie pieniądze. Nie od nich. A trzeciego ranka uświadomił sobie nagle, że ktoś stoi w drzwiach i patrzy na niego. Wiedział, nawet w tej nierealnej strefie, która nie jest marzeniem, lecz pustynnym miejscem, gdzie jego umysł, jego wola rzucały się jak niespokojny, oporny koń, podczas gdy dosiadające go drobne ciało nabierało sił, wiedział, że to nie tamten chłopiec, syn jego kuzyna, i że jeszcze jest ranek, że nie spał aż tak długo. „Byli tam, ukryci, śledzili mnie, jak wróciłem z doliny” — pomyślał, próbując mówić głośno, żeby się obudzić, tak jakby mógł uklęknąć,

żeby potrząsnąć własnym ramieniem. „Obudź się, obudź” — póki wreszcie się nie obudził, wiedząc od razu, że jest za późno, nie potrzebując widzieć cienia na podłodze, żeby poznać, że to ta sama co zawsze godzina popołudnia. Nie śpieszył się. Rozpalił .w kuchni, postawił garnek na ogniu i wrzucił do wody garść mąki wyskrobanej z beczki, i zjadł ją, wypluwając drzazgi, ocierając sobie usta. Przy tej okazji odkrył odrobinę mąki na swojej brodzie i zjadł ją także, oblizując palce. Potem wypił kubek osłodzonej wody i wyszedł na podwórze. Były tam ślady stóp. Rozpoznał ślady szeryfa: ciężkie, widoczne nawet na wyschniętej ziemi spieczonej skwarem bezdeszczowego lata, głęboko wyciśnięte ślady nóg dźwigających dwieście czterdzieści funtów\* żywego ciała, zaopatrzonego w metalową odznakę, mniejszą niż karta w tej grze, rozgrywanej nie tylko o jego wolność, ale może też jego zagładę, a za nimi odcisnięte podeszwy zastępców szeryfa. Zauważył także ślady rąk i kolan w miejscu, gdzie jeden z nich ukląkł, żeby szukać pod podłogą, koło siennika. W stajni zobaczył opartą o ścianę własną łopatę, której użyli do odgarnięcia nagromadzonych tu od roku ekskrementów muła, aby zbadać grunt pod nimi, a między drzewami, za chatą znalazł miejsce, gdzie zostawili bryczkę. I wciąż nic nie było w' jego twarzy — czujnego niepokoju ani trwogi, ani nawet pogardy czy ironii, tylko zimna i niezmienna, prawie spokojna nieprzystę- pność.

Wrócił do chaty i wziął strzelbę z kąta. Była teraz pokryta niemal zupełnie cienką brązową warstwą rdzy, jak gdyby sama ta staranność, z jaką wycierał ją owej pierwszej nocy, minęła się z celem, przenosząc wodę ze strzelby na koszulę, potem znów z koszuli na strzelbę. I nie otwierała się już nagle, z suchym trzaskiem, lecz powoli i opornie, ukazując gęstą maź zwierzęcego tłuszczu, czekoladowej barwy, podobną do mydła, tak że w końcu ją rozmontował, zagotował wodę w garnku od kawy, wyparzył tłuszcz i położył rozmontowane części na ganku za domem, gdzie słońce padało na nie przez cały czas, dopóki było na niebie. Potem złożył strzelbę, naładował dwa czy trzy naboje, jakie mu jeszcze zostały, i oparł ją o ścianę za krzesłem, po czym znów patrzył, jak noc wynurza się z doliny i wędruje wzwyż przez wypaloną kukurydzę, ogarniając kukurydzę, ogarniając wreszcie sam dom, i wciąż wędrując w górę, staje się jak dwie dłonie otwarte ku niebu, wypuszczające na zachód ostatniego wieczornego ptaka. U jego stóp, za polem kukurydzy, świetliki mrugały tuląc się do łona ciemności, dalej jeszcze rozbrzmiewało nieprzerwane rechotanie żab, niby rytmiczny puls i bijące ciemne serce nocy, tak że gdy w końcu nadszedł niezmienny moment — tak niezmienny między jednym a drugim zmierzchem, jak ta godzina popo-

ludnia, kiedy się budził — bicie tego serca zdawało się także ustawać, opróżniając ciszę, by ją nappełnić tym pierwszym krzykiem ostrego, niezwykłego bólu. Sięgnął ręką za siebie i wziął strzelbę.

Tym razem od początku wybrał głos psa jako drogowskaz. Gdy zszedł w dolinę, pomyślał o wietrze i przystanął, żeby rozpoznać jego kierunek. Ale nie było wiatru, więc poszedł prosto w stronę, skąd dobiegał głos, bez pośpiechu, bo dążył do ciszy, ale i niezbyt wolno, bo nie miało to trwać długo, a potem mógł wrócić do domu i położyć się przed północą, na długo przed północą, mówiąc sobie, gdy posuwał się ostrożnie i stopniowo w kierunku, skąd dochodziło wycie: „Teraz będę mocji znowu spać w nocy.” Pies był już zupełnie blisko, pochylił więc strzelbę naprzód, przyciskając dużym palcem oba kurki. Potem pies ucichł nagle w półkry- ku — i znów przez moment widział dwa żółte punkciki oczu, zanim lufa strzelby ich nie zasłoniła. W blasku eksplozji ujrzał wyraźnie całe zwierzę w podskoku. Widział, jak śrut uderza i odrzuca je w tył, w głośny wir powracającej ciemności. Niemal fizycznym wysiłkiem powstrzymał palec przed naciśnięciem drugiego cyngla i ze strzelbą jeszcze na ramieniu skulił się, tłumiąc oddech, patrząc w ślepą ciemność, podczas gdy straszliwe milczenie, przerwane trzy dni temu, kiedy pierwszy skowyt psa dotarł do joga uszu, i ani no chwilę od tego czasu nie przywró

cone, nawet podczas jego snu, zahuczało wokół niego i hucząc wciąż zaczęło sztywnieć, zastygać jak cement nie tylko w jego uszach, ale i płucach, w oddechu, wewnątrz i na zewnątrz jego ciała, krzepnąc od drzewa do drzewa, tam gdzie rozbite echa strzału milkły w zdławionych szeptach, schwywane w tę zastygającą masę, zanim zdążyły ucichnąć. Ze strzelbą jeszcze odbezpieczoną poszedł w kierunku miejsca, gdzie widział padającego psa, dysząc przez obnażone, zaciśnięte zęby, macając pod stopami grunt w zaroślach. Polem uświadomił sobie nagle, że minął już to miejsce i że wciąż się posuwa naprzód. Wiedział, że zaraz zacznie biec i pobiegnął na oślep w czarną jak smoła ciemność, mówiąc, sycząc sam do siebie: „Stój, stój, bo rozbijesz swoją przeklętą głowę”. Przystanął, zdyszany. Odzyskał przytomność na widok kawałka nieba, ale zmusił się do bezruchu, aż ustanie dyszenie. Wtedy opuścił strzelbę i poszedł dalej równym krokiem. Teraz wskazywały mu drogę głosy żab, stapiające się, opadające to znów podnosząco się w górę, by osiągnąć punkt szczytowy w chorale, gdzie każdy głos był nie pojedynczą nutą, lecz oktawą, prawie akordem basowym, który stawał się coraz głośniejszy i coraz bliższy, potem urwał się nagle, w sekundzie lodowatego zneruchomienia, po czym nastąpiły szybkie i krótkie nieregularne pluski, niby rąk uderzających w wodę, lak że gdy zobaczył wodę, była już rozproszona w niezliczone

mnóstwo płynnych, małych światełek, po których ślizgały się odbicia gwiazd, znikwały i znów powracały. Wrzucił tam swoją strzelbę. Przez chwilę widział ją wirującą powoli. Potem plusnęła nie opadając na dno, lecz rozsypując się na drobne cząstki pośród lśniącego wyścigu rozbitych gwiazd.

Gdy wrócił do domu, nie było jeszcze nawet północy. Teraz zrzucił nie tylko buty, ale i spodnie, których nie zdejmował od siedemdziesięciu dwóch godzin, i położył się na sienniku. Ale wiedział od razu, że nie będzie spał, nie z powodu utrwalonego przez siedemdziesiąt dwie godziny obyczaju przeobrażania nocy na dzień ani z powodu dygotania rozstrojonych, wyczerpanych nerwów i mięśni, lecz z powodu tej ciszy, którą pierwszy strzał rozdarł, a drugi scalił i przywrócił na nowo. Leżał więc znów sztywny i spokojny, na wznak, z ramionami wyciągniętymi po bokach, z oczyma otwartymi w ciemność, z głową i płucami wypełnionymi tą ogłuszającą ciszą, poprzez którą napływały falami i mrugały obute w aksamit świetliki i poza którą niezmiennie rechotały żaby, aż wreszcie prostokąt nieba za ukośnie nachylonymi drzwiami pokoju i otwartym krańcem sieni zaczął szarzeć, a potem różowieć i mógł w nim dostrzec trzy sępy wzbijające się do lotu. „Teraz muszę wstać — powiedział sobie. — Muszę być na nogach przez cały dzień, jeśli zamierzam zacząć znowu spać w nocy”. Więc zaczął powtarzać:

„Obudź się, obudź”, dopóki w końcu się nie obudził, kiedy żółty prostokąt słońca wpadającego przez okno leżał na podłodze, znowu w tym samym miejscu, jak w każdej z niezmiennych popołudni. Na kocu, o jakiś cal od jego twarzy, leżał złożony skrawek brązowego papieru. Gdy wstał, znalazł na zakurzonej progach drzwi ślady bosych stóp chłopca. Na oddartym kawałku papierowej torby nagryzłomone było ołówkiem kilka słów bez podpisu:

„Przyjdź tutaj, twoja żona ma dla ciebie pieniądze.” Stał nie ogolony, w koszuli, mrugając oczyma. „Teraz mogę iść” — pomyślał i coś się zaczęło dziać w jego sercu. Podniósł głowę i mrugając oczyma prawie boleśnie, spoglądając pierwszy raz od trzech dni poza opustoszałą i ogłuszoną chatę, symbol tego impasu, w jaki weszło jego życie, utkwiał wzrok w bezgraniczną wolność nieba. Mówił głośno. — Teraz mogę... — powiedział. Potem dostrzegł sępy. O świcie widział trzy, teraz prawdopodobnie mógł je policzyć, ale nie zrobił tego. Obserwował tylko ich lot, czarne koncentryczne spirale jak gdyby idące za niewidzialnym lejmem, znikające jedna po drugiej. — To pies — powiedział, wiedząc bardzo dobrze, że to nie był pies. I nie miało to znaczenia. „Bo wtedy mnie już nie będzie” — pomyślał. Nie jakby ciężar spadł z jego serca, raczej tak, jakby pierwszy raz uświadomił sobie ten ciężar, który serce dźwigało.

Słońce prawie już zaszło, kiedy ogolony, w wyczyszczonych znowu butach i kombinezonie wszedł po stopniach pustego ganku do sklepu. Jego krewniak stał za otwartą gablotką ze słodyczami i wkładał w tej chwili coś do ust.

— Gdzie...? — spytał.

Kuzyn zamknął gablotkę, żując.

— Ty głupcze, posłałem ci wiadomość, żebyś stamtąd pryskał, póki ten drań Hampton nie zacznie się tam wałęsać z bandą swoich zastępców. Jakiś Murzyn grzebał akurat w tym bagnie i znalazł tę przeklętą strzelbę, jeszcze zanim woda przestała bulgotać,

— To nie moja — powiedział. — Gdzie jest...

— Do diabła, wszyscy wiedzą, że to twoja strzelba. Drugiego takiego Hadleya kaliber dziesięć nie ma w całym powiecie. Dlatego nie mogłem się wyłgać, zwłaszcza że ten parszywy Hampton siedział tu na tej ławce, akurat kiedy Murzyn z nią przyszedł. „Jasne, że to Minka strzelba — powiadam. — Szuka jej od zeszłej jesieni”. I potem do Murzyna: „Coś ty sk...synu — powiadam. — Pożyczyłeś zeszłej jesieni od pana Snope- sa strzelbę na wiewiórki i utopiłeś w tym bagnie, i wmawiałeś, że jej nie możesz znaleźć?”

Kuzyn schylił się pod ladę i wyciągnął stamtąd strzelbę. Była wytarta z błota, oprócz jednej zeschniętej plamy na stopce.

Nie spojrział nawet na nią.

— To nie moja — powiedział. — Gdzie jest...

— Ale teraz wszystko w porządku. Załatwiłem to w sarnę porę. Hampton czekał tylko na to, żebym się wyparł, że to nie twoja. Wtedy by cię przyskrzytnił. Ale ja to załatwiłem. Rzuciłem podejrzenie na Murzyna, zanim Hampton zdążył otworzyć usta. Dziś wieczorem albo jutro trzeba będzie wziąć paru chłopaków i pójść do chaty Murzyna, z mocnym łańcuchem i z ogniem, żeby mu podłożyć pod nogi. A nawet jak się nie przyzna, ludzie będą wiedzieli, żeśmy byli u niego wieczorem, a dosyć dużo tu jest wyborców, żeby Hampton nie miał innego wyjścia, tylko go aresztować i posłać do więzienia, choćby nawet nie odważył się go powiesić. Hampton wie o tym. Toteż wszystko w porządku. Zresztą ta wiadomość, co ci najpierw posłałem, to było o twojej żonie.

— Tak — powiedział. — Gdzie...

— Narobi ci kłopotu. Już ci narobiła. Dlatego ten cholerny szeryf wetknął tu nos. Ten Murzyn znalazł konia, kiedy on i pies znikli, ale wszystko było w porządku, póki ludzie nie przypomnieli sobie, że ona tu przyszła akurat tej samej nocy z dziećmiakami i tobołkiem, i krew jej ciekła jeszcze z ust, tak że ludzie musieli się dowiedzieć, żeś ją wygnał z domu. Ale nawet i to dałoby się jakoś załatwić, gdyby nie zaczęła opowiadać każdemu, co chciał słuchać, żeś tego nie zro-

bił. Był tylko koń i puste siodło, żadnych śladów krwi ani trupa dotychczas nie znaleziono i teraz ona myśli, że ci pomoże, jeżeli będzie zapewniać każdego, kogo spotka, że nie zrobiłeś czegoś, o czym nikt nie wie na pewno, że zostało zrobione. Dlaczego u diabła stąd nie uciekłeś? Nie miałeś dosyć rozumu, żeby o tym pomyśleć pierwszego dnia?

— Z czym miałem uciekać? — powiedział.

Kuzyn z pośpiechem zamrugał oczyma. Potem jego małe oczy przestały mrugać. — Z czym? — Powtórzył. Tamten nie odpowiedział. Nie ruszył się, odkąd tu wszedł, niski, nieruchomy na środku pokoju, naprzeciw wejścia, przez które światło zachodzącego słońca powlekało go od stóp do głów czerwonawą mgiełką, niby rozcieńczoną krwią.— Chcesz powiedzieć, że nie miałeś pieniędzy? Chcesz mi wmówić w żywe oczy, że tamten nie miał nic w kieszeni? Bo w to nie uwierzę. Już ja wiem najlepiej. Widziałem te pieniądze w jego sakiewce tego samego ranka. Zawsze miał przy sobie najmniej pięćdziesiąt dolarów. — Głos ucichł, zamilkł. Potem znów dał się słyszeć i brzmiało w nim zdumienie i niedowierzanie. Powiedział prawie szeptem: — Mówisz, że nawet nie zajrzałeś? Nawet nie zajrzałeś? — Tamten nie odpowiedział. Mógł nawet nie usłyszeć, nieruchomy, patrzący w pustkę, kiedy ostatnie miedziane blaski, wspinające się coraz wyżej wokół jego ciała, jak przyplływająca woda, skupiły się przez chwilę w skoncentrowanej, umierającej purpurze na spokojnej i nieprzeniknionej masce jego twarzy, potem zbladły i szary zmierzch zappełnił półki woniejące stęchlizną i zaciemnione kąty, a dawne, silne zapachy sera, skóry i nafty zgęstniały między belkami nad jego głową, niby całun samego zapomnienia. Głos kuzyna zdawał się z nich wynurzać nierozpoznawalny, nie dający się zlokalizować, nawet bez wagi oddechu, która by mu nadawała objętość. — Gdzie go wetknąłeś? — I znowu kuzyn, wychodzący teraz zza kontuaru, stając naprzeciw niego prawie oko w oko, szepnął mu, tłumiąc oddech, prosto w twarz: — Na Boga, miał przynajmniej pięćdziesiąt dolarów. Wiem. Widziałem. Akurat tu w sklepie, Gdzieś go...

— Nie — powiedział.

— Tak.

— Nie.

Ich I warze były odległe od siebie zaledwie

0 parę cali, ich oddechy równe i głośne. Potem tamta druga twarz, większa niż jego

1 wyżej umieszczona, cofnęła się i jej rysy zaczęły się zacierać w blednym świetle.

— Dobrze — powiedział kuzyn. — Cieszę się, że nie potrzebujesz pieniędzy. Bo gdybyś tu przyszedł w nadziei, że je ode mnie dostaniesz, musiałbyś się zadowolić nadzieją. Wiesz, ile Will Varner płaci swoim sklepowym. Wiesz mniej więcej, ile ktokolwiek pracując dla Willa Varnera może zebrać



w ciągu dziesięciu lat, a co dopiero przez dwa miesiące. Toteż nawet nie potrzebujesz tych dziesięciu dolarów twojej żony. A więc dobrze się składa, prawda?

— Tak — powiedział. — Gdzie...

— U Willa Varnera. — Odwrócił się nagle i podszedł do drzwi. Kiedy przechodził przez próg, kuzyn przemówił znowu z ciemności za nim: — Powiedz jej, żeby poprosiła Willa albo Jody'ego, żeby pożyczili jeszcze dziesięć dolarów, do tych dziesięciu, które ma.

Choć nie było jeszcze zupełnie ciemno, w domu Varnerów paliło się już światło. Mógł to dostrzec nawet z tej odległości, tak jakby stał z dala od samego siebie, obserwując, jak odległość zmniejsza się stale między nim a światłem. „I to już wszystko — pomyślał — wszystkie te dni i te noce, które zdawały się nigdy nie kończyć, skurczyły się do tego kawałeczka zakurzonej drogi między mną a tym światłem w drzwiach”. I gdy położył rękę na furcie Varnera, było tak, jak gdyby ona czekała, wypatrując go na drodze. Wyszła przez drzwi frontowe, biegnąc, znowu na tle oświetlonych drzwi, tak jak tej pierwszej nocy w obozie drwali, dokąd zawiódł go nieszczęśliwy przypadek,

o którym nawet w dziewięć lat później nie lubił wspominać. Uczucie było nie mniej silne teraz niż kiedykolwiek. Nie bał się tego wspomnienia, ani nie próbował wymazać go z pamięci, nie z powodu wyrzutów sumienia za to, co zrobił, bo ani potrzebował, ani życzył sobie rozgrzeszenia. Wolałby tylko nie być zmuszonym do pamiętania fiaska, które potem nastąpiło, pogardzając ciałem i rozumem, którym zabrakło woli. Nie czuł jakiegoś bezsilnego żalu, wspominając to, ani nie zgrzytał zębami, bo nigdy tego nie robił, lecz pozostawał zimny, nieugięty i nieprzystępny. Mieszkał w dziesięciu różnych nędznych chatkach, wynajmowanych w miarę, jak jego ojciec przeniósł się z farmy na farmę, zawsze w promieniu piętnastu lub dwudziestu mil. Potem pewnej nocy musiał opuścić dach, który nazywał swoim, i jedyną ziemię i ludzi, i obyczaje, jakie znał, nie mając nawet czasu nic zabrać z sobą, gdyby było coś do zabrania i nie żegnając się z nikim, gdyby był ktokolwiek, kogo powinien by pożegnać, aby się znaleźć po kilku tygodniach, idąc wciąż na piechotę, w okolicy odległej o przeszło dwieście mil. Szukał morza, miał wtedy dwadzieścia trzy lata, taki był młody. Nigdy go nie widział, nie wiedział nawet, gdzie jest morze, wiedział tylko, że trzeba iść na południe. Nigdy nie myślał o nim przedtem i nie mógłby wytłumaczyć, dlaczego chce tam iść — co kazało mu pogardzić tą ziemią, gdzie jego ciało i umysł zawiodły jego zimną, nieugiętą wolę — i czego szuka w tej jodem pachnącej ofercie przestrzeni i zapomnienia, z której nigdy nie zamierzał skorzystać, jak gdyby odmawiając przecięcia drutów pamięci chciał ukarać to ciało i ten umysł za to, że go zdradza

dzili. Może szukał tylko oferty tej nieograniczonej przestrzeni i nieodwołalnego zapomnienia, gdzie chronili się jomu podobni, gorejący ukrytą pasją, lękliwi i zamknięci w sobie, nie po to, by ją przyjąć, lecz by zagrzebać się w tej bezmierności milionów za niezdobytą przystanią wszystkich zatopionych okrętów ze złotem i niedosiężnych, nieśmiertelnych syren. Wreszcie, gdy już prawie był u celu i od dwudziestu czterech godzin bez jedzenia, zobaczył światło i usłyszał gwar, zobaczył ją w obramowaniu drzwi, wyprostowaną i stojącą nieruchomo, nie słuchającą tych głośnych, szorstkich, męskich krzyków, które zdawały się wznosić ku niej niby huczące kadzidło. Nie poszedł dalej. Następnego ranka pracował tam już jako drwal, nie wiedząc nawet, dla kogo pracuje, zapytawszy tylko o to, ile będzie zarabiał, majstra, który go najął do pracy i który mu powiedział brutalnie, że jest za mały, za lekki, żeby mógł ruszać swoim końcem piły. Nie widział przedtem nigdy pasiastych mundurów więziennych, toteż nie przy pierwszym rzucie oka, ale dopiero po wielu następnych dowiedział się, gdzie jest: rabunkowe przedsiębiorstwo wyrębu i sprzedaży budulca prowadzone przez pięćdziesięciokilkuletniego brzuchatego krzykacza, ze strzechą stalowo\* szarych włosów i nie wyższego wzrostem niż on, który dzięki wpływowi politycznym czy łapówkom uzyskał oficjalne pozwolenia zatrudniania więźniów za cenę wyżywienia ich i zakwaterowania. Był to wdowiec, który stracił żonę wiele lat temu przy urodzeniu pierwszego dziecka i teraz żył otwarcie z urodziwą Mulatką, która miała złote zęby i zarządzała kuchnią, gdzie pracowali także więźniowie. Mieszkał w osobnym domu między brezentowymi barakami więźniów. Kobieta w oświetlonych drzwiach była właśnie tym dzieckiem, które 'kosztowało życie jego żony. Mieszkała w tym samym domu, razem z ojcem i Mulatką w osobnym skrzydle, . które miało osobne wejście i jej włosy były wtedy czarne — wspaniała ciężka grzywa, którą majstrowie, strażnicy, więźniowie i on sam, kiedy go wezwała i kiedy od dawna już odkrył przyczynę osobnego wejścia, strzygli krótko, niemal po męsku, przy pomocy brzytwy. Grzywa ta była krótka i twarda, i nie miała w sobie nic delikatnego, ani w blasku lampy tego pierwszego wieczora, ani w słońcu następnego dnia. kiedy z siekierą wzniesioną d-o uderzenia odwrócił się i zobaczył ją siedzącą na ogromnym, pięknie utrzymanym koniu, ubraną po męsku, spoglądającą na niego nie zaczepnie i z namysłem, ale bacznie i tak śmiało, jakby mógł patrzeć śmiały i przywyczajony do sukcesów mężczyzna. To wszystko wtedy zobaczył: przywyczajenie do sukcesów — to idealne połączenie woli i środków, skierowane ku jednemu jasno wytkniętemu celowi — co upodobało ją do mężczyzny, podobnie jak kombinezon, wzrost i krótkie

włosy. Zobaczył nie hurysę, lecz pewnego siebie pana haremu. Nie odezwała się wtedy do niego. Ruszyła dalej swoją drogą i wtedy to odkrył, że osobne wejście było używane nie tylko w nocy. Czasem przejeżdżała obok nich konno, zatrzymywała się i zamieniwszy parę słów z majstrem, ruszała dalej. Czasem czterdziestolatka ukazywała się na koniu, mówiła majstrowi jakieś nazwisko, które majster wywoływał głośno, a właściciel nazwiska rzucał siekierę czy piłę i szedł za koniem. Wtedy on, machając siekierą i nie odrywając nawet wzroku od roboty, zdawał się iść za wywołanym, patrzył, jak tamten wchodzi osobnym wejściem, a potem wynurza się stamtąd i wraca do roboty — bezimienni i wszyscy równi, bandyta, złodziej, morderca, nie było wśród nich faworytów ani zazdrości. To miało być najwidoczniej tylko jego przywilejem. Ale nawet, zanim przyszła jego kolej i został wezwany, pogodził się z myślą zazdrości i poznał swoje przeznaczenie. Po wielu pokoleniach odziedziczył niezłomną wiarę, że dla każdego mężczyzny, jakakolwiek byłaby jego przyszłość i jakkolwiek nisko mógł się stoczyć, zachowana jest jedna dziewczica, przynajmniej jako żona. Jedno dziewictwo choćby tylko po to, żeby je zniszczyć i odebrać. A jednak zobaczył, że nie tylko musi rywalizować z mężczyznami, wśród których czuł się jak dziecko i w dodatku dziecko innej rasy, innego gatunku, ale że kiedy wreszcie się do niego zbliży, będzie musiał z niej zerwać nie samo ubranie — bo prócz ubrania dzieliły ich prześladowające jak widma uściski trzydziestu czy czterdziestu mężczyzn — i nie jeden raz, lecz za każdym razem i (nawet już wtedy przewidział swoje przeznaczenie) zawsze: nie ma pokoju, nie ma ciemności, nawet pustyni dostatecznie przestronnej, żeby pomieścić ich dwoje i stałą, narzucającą się obecność tych niezniszczalnych cieni. Potem przyszła jego kolej, jego wezwanie, tak jak to przewidywał. Usłuchał go, wiedząc z góry wszystko, lecz bez żalu. Wszedł nie do ciepłego nienasyconego łóżka kobiety zmysłowej i bezpłodnej, lecz do jamy dzikiej lwicy — obrzęk, który nie ustępował i nie prosił o litość i który z niego zrobił monogamistę na zawsze, jak opium i morderstwo robią nałogowców z tych, którzy raz ich spróbowali. Było to wczesnym popołudniem, lipcowe słońce przez okna otwarte na oścież, bez żaluzji i nawet bez firanek, padało na łóżko zbite z sześciocalowych nie heblowanych desek, wiązanych na krzyż lekkimi stalowymi kablami, które jednak posuwało się w krótkich rytmicznych szarpnięciach, ślizgając się po podłodze jak fotel na biegunach. W pięć miesięcy później pobrali się. Nie planowali tego. Nigdy nie omieszkali twierdzić, nawet przed samym sobą, że to małżeństwo nie leżało w jej planach ani zamiarach. Przyczyniło się do tego bankructwo jej ojca, nie

rozłączne, jak nawet on mógł przewidzieć, z jego własnym nieuniknionym bankructwem, które każde ścięte drzewo przybliżało o krok. Później wydawało mu się, że to ich popołudniowe zbliżenie było sygnałem, że cały ten gmach kradzionych hektarów i forsownej pracy ludzi i mułów, wzniesiony przez jedną noc bez żadnych fundamentów, kruszy się i wali w ciągu jednej nocy z powrotem do śmietnika — sterty trocin, ścięte, martwe gałęzie i pnie drzew, cały ból lasu — swoich własnych morderstw. Została mu większość pieniędzy zarobionych w ciągu pięciu miesięcy. Pojechali do najbliższego miasta powiatowego i wykupili licencję. Sędzia pokoju wyjął z ust baton tytoniu do żucia i, trzymając go w ręce, zawołał dwóch przechodniów z ulicy, po czym ogłosił ich dwoje mężem i żoną. Wrócili w jego strony rodzinne, gdzie wydzierżawił małą farmę za udział w zbiorach. Mieli używany piec kuchenny, brzytwę, którą nadał obcinał jej włosy, słomiany siennik na podłodze, i prawie nic poza tym. W owym czasie potrzebowali niewielu innych rzeczy. Powiedziała mu: — Miałam przed tobą stu mężczyzn, ale nigdy nie miałam osy. To, co z ciebie wychodzi, to kwas żrący. Za gorące, pali się samo i pali moje nasienie. Nigdy z tego nie będzie dziecka. — Jednakże w trzy lata później było dziecko. Po pięciu latach dwoje. Patrzył na nie, jak szły przez wynędzniałe pole czy zagon niosąc jego ubogi obiad i dzbanek świeżej wody albo jak bawiły się kawałkami drzewa, zardzewiałymi sprzączkami od uprząży lub zniszczonymi sworzniami pługa, których nawet on już nie mógł używać, w kurzu, przed gankiem wynajętego domu, gdzie siedział wyczerpany całodziennym trudem i w przypływie dawnej, nie\* • przezwyciężonej gorącej furii, tak silnej i dzikiej, i krótkotrwałej, jak za pierwszym razem, myślał: „Na Boga, lepiej, że to moje własne.” Potem, spokojniejszy • już, na wypchanym słomą sienniku, gdzie ona już spała, chociaż jego własne ciało nie przestawało jeszcze zwijać się i dygotać, myślał, że nawet gdyby te dzieci nie były jego, nic by to nie zmieniło. Służyły do skucia jej także w kajdany, bardziej nieodwołalnie, niż on sam był skuty, gdyż na swoim losie położyła pieczęć formalnej zgody, farbując i zapuszczając sobie włosy.

Zbliżała się ścieżką biegnąc ciężko, ale szybko. Dobiegła do furtki, zanim zdążył ją otworzyć, popychając równocześnie jego i drzwiczki i chwyciła go za przód kombinezonu.

— Nie! — krzyknęła. — Nie! och Boże, co ty robisz? Nie możesz tu wejść!

— Mogę wejść wszędzie, gdzie zechcę — powiedział. — Lump mi mów!

Próbował się wyrwać, ale ona już go puściła i chwyciwszy za ramię biegła, ciągnąc go prawie wzdłuż ogrodzenia, z dala od światła. Wyrwał się znowu, mocno wpięra

jąc stopy w ziemię. — Zaczekaj — powiedział.

— Ty głupcze — powiedziała twardym, zduszonym szeptem. — Ty głupcze! Och, żebyś zczezł! — Zaczął się z nią mocować z zimną skondensowaną furią, jak gdyby jeszcze niezupełnie zdolną czy może gotową objawić się na zewnątrz. Potem nagle dał jej upust, nie przeciwko żonie, tylko żeby się wyrwać z jej uścisku. Ale trzymała go teraz oburącz patrząc mu w oczy.

— Dlaczego nie uciekłeś tej samej nocy? Myślałam, że to zrobisz, jak tylko odejdą, — Potrząsnęła nim dziko, bez najmniejszego wysiłku, jakby był dzieckiem. — Dlaczegoś tego nie zrobił? Dlaczego?

— Z czym uciekać? — spytał. — Dokąd? Lump powiedział...

— Wiem, że nie miałeś pieniędzy, tak jak wiem, że nie miałeś co jeść oprócz tych otrębów w beczce. Mogłeś się ukryć w lasach gdziekolwiek, póki bym nie zdążyła... Och, żebyś zczezł! Gdyby mi tylko pozwolili samej cię powiesić! — potrząsała nim, z twarzą pochyloną nad jego twarzą, oblewając go swym oddechem gorącym, mocnym, prawie świszczącym. — Nie dlatego, żeś go zabił, ale dlatego, że to zrobiłeś nie mając grosza, żeby uciekać, ani nic do jedzenia, jeżeli chciałeś zostać. Gdyby mi tylko pozwolili to zrobić: powiesić cię akurat po to, żeby cię odciąć i ocucić, i znów cię powiesić i odciąć...

Zamachnął się znowu, ze złością. Ale ona już go puściła, stojąc teraz na jednej nodze i podnosząc drugą do wysokości sY/ojej sięgającej ręki. Wyjęła coś z buta i podała mu. Poznał od razu, co to jest: banknot złożony w kilkoro, mały i kwadratowy, jeszcze rozgrzany ciepłem jej ciała, Był to tylko jeden banknot. „To jeden dolar” pomyślał, wiedząc, że tak nie jest. „To I. O. i Eck” — dodał wiedząc, że to nieprawda, tak jak wiedział, że w okolicy tylko jeden człowiek miał banknoty dziesięciodolarowe albo może dwóch ludzi. Teraz nawet słyszał słowa, to co jego kuzyn powiedział, gdy wychodził ze sklepu piętnaście minut temu. Nie spojrzał nawet na swoją dłoń.

— Sprzedałaś coś za to Willowi, czy może tylko wyciągnęłaś z kieszeni jego spodni, kiedy spał? — zapytał. — Albo może dał ci to Jody?

— No więc co, jeżeli sprzedałam? I sprzedam dziś wieczorem tego więcej, żeby dostać jeszcze dziesięć dolarów? Tylko na miłość Boską nie wracaj do domu. Ukryj się w lesie. Może jutro rano...

Nie poruszył się. Widziała tylko lekki ruch jego ręki i przegubu, nie było monety, która brzęknęłaby w zetknięciu z paznokciem dużego palca, czy wydała jakikolwiek dźwięk padając między sztywne od kurzu zarośla przydrożne i rozwieszzone na nich zakurzone strzępki bawełny. Gdy się zaczął oddalać, pobięła za nim. — Mink! — zawo-

lala. Szedł dalej nie zatrzymując się. Dogoniła go już, ale on szedł dalej. — Na litość Boską! — powiedziała. — Na litość Boską! — Chwyła go za ramiona zmuszając, żeby się zwrócił twarzą ku niej. Tym razem wy-, rwał się gwałtownie i skoczył w zarośla, schylił się i wyprostował, z kijem w ręku i skierował się ku niej z wyrazem cierpliwego i niepokonanego znużenia, dopóki nie zawróciła. Opuścił kij, ale stał jeszcze przez chwilę, aż wreszcie sylwetka jej zatarła się na tle bladego kurzu drogi. Wtedy rzucił kij w krzaki i zawrócił. Kuzyn stał za nim. Gdyby tamten był mniejszy, albo on sam większy, przewróciłby go i przeszedłby po jego ciele. Lump uchylił się na bok i zawrócił z nim razem, tłumiąc oddech nad jego ramieniem.

— Więc i to też wyrzuciłeś? — odezwał się kuzyn. Nie odpowiedział. Szli obok siebie zanurzając stopy aż po kostki w kurzu, który tłumiał odgłos kroków. — Miał przy sobie najmniej pięćdziesiąt dolarów. Mówię ci, że sam widziałem. I ty chcesz, żebym ci uwierzył, że ich nie wziąłeś?

Nie odpowiedział. Szli dalej, nie zatrzymując się, niezbyt szybko jak dwaj ludzie idący na spacer bez określonego celu, bez pośpiechu, po prostu dla przyjemności lub dla zdrowia.

— Dobrze. Zrobię to, czego by nikt inny na świecie nie zrobił. Udzielę ci tego kredytu. Założmy, że nie masz tych pieniędzy, żeś naprawdę nie zajął. Teraz powiedz mi, gdzie go schowałeś? — Nie odpowiedział ani nie przystanął. Kuzyn chwycił go za ramię zmuszając, żeby się zatrzymał. Teraz w jego zduszonym szepcie było nie tylko dawne zdumienie, ale coś na kształt desperackiej urazy, mówił jak człowiek, który usiłuje wytłumaczyć coś wariatowi: — Zostawisz te pięćdziesiąt dolarów dla Hamptona i jego zastępców do podziału?

Strącił z ramienia jego rękę. — Daj mi spokój — powiedział. >

— Dobrze, zrobię to. Dam ci dwadzieścia pięć dolarów. Pójdę razem z tobą, ty mi tylko podasz do ręki portfel, bez zaglądanego do niego. Albo tylko podasz mi jego spodnie, jeżeli nie chcesz sam wyjąć portfela. Nie dotkniesz ani nawet nie zobaczysz pieniędzy. — Zawrócił, żeby iść dalej. — Dobrze, jeżeli masz za słabe nerwy, żeby to sam zrobić, powiedz tylko, gdzie on jest. Jak wrócę, dam ci dziesięć dolarów, chociaż taki, co wyrzucił przed chwilą dziesięciodolarowy banknot, nie zasługuje...

Szedł dalej. Ręka kuzyna znów go chwyciła za ramię potrząsając nim, a pełen napięcia dziki głos szeptał znikąd i zewsząd w ciemności: — Zaczekaj. Słuchaj mnie. Słuchaj dobrze. Pizypuścimy, że zobaczymy Hamp- tona, włóczy się tu przez cały dzień, pewnie gdzieś jeszcze jest. Przypuścimy, że mu powiem, że się pomyliłem, że ta strzelba nie zginęła zeszłej jesieni, bo przyszedłeś do

magazynu i kupiłeś prochu za pięć centów w zeszłym tygodniu. Potem możesz tłumaczyć, że zamierzałeś wymienić ten proch 7. Houstonem za funt grzywny, nałożonej na tego cielaka.

Tym razem nie zrzucił ręki kuzyna. Zaczął tylko iść ku niemu z tym cierpliwym i niezwykłym znużeniem, którego tamten nie rozpoznał, idąc prosto na niego, podczas gdy kuzyn ustępował. Nie podnosząc głosu, tonem absolutnie bezbarwnym, obojętnym, powiedział: — Proszę cię, żebyś mi dał spokój. Nie każe ci nic, proszę tylko, żebyś mnie zostawił.

Tamten cofnął się przed nim, poruszając się trochę prędzej, tak że odległość między nimi wzrosła. Nie przestała się zwiększać, gdy przystanął, tak że nie widział już kuzyna, dobiegł go tylko wściekły, urażony szept: — Dobrze, ty głupi, uparty morderco. Zobaczmy, czy się z tego wyplącesz.

Zbliżając się znowu do wsi, stapał bezszelestnie w ciemności po zakurzonej drodze i zdawał się nie posuwać naprzód, mimo że przybliżało się światło w kuchni pani Littlejohn, za ciemną bryłą domu Varnera, jedyne światło, które jeszcze było widać. Zaraz potem ścieżka zakręcała prowadząc do

\*jego chaty oddalonej o cztery mile. „Tam chciałbym teraz iść, prosto do Jefferson i do kolejki” — pomyślał nagle, kiedy już było za późno, kiedy już stracił całą nadzieję możli\*; wości wybrania między ucieczką obmyśloną

i planowaną a desperackim, pośpiesznym zniknięciem i błędzeniem po bagnach i kniejach doliny, jak zaszczute zdychające z głodu zwierzę, odcięte od swej nory. Wiedział, że od trzech dni nie tylko się spodziewał, ale wierzył, że taka okazja wyboru będzie mu dana. I nie tylko stracił przywilej wybierania, ale przez ślepy i nieszczęśliwy przypadek, który pozwolił kuzynowi zobaczyć czy odgadnąć, co było w portfelu, nawet tamtą gorzką alternatywę musiał odłożyć na inną noc. Zaczynał teraz myśleć, że ta maleńka samotna latarnia nie tylko nie wskazywała portu, końcowego punktu nawet dla tamtej rozpaczliwej decyzji, ale sama była końcowym punktem jego nadziei i wszystko, co mu pozostało z wolności, leżało teraz między tym światłem a jego posuwającą się stopą. „Myślałem, że jak się zabije człowieka, to sprawa skończona — mówił sobie. — Ale nie. To się dopiero zaczyna!”

Znalazłszy się przed domem, zamiast wejść do środka, poszedł na podwórze do sterty drewna, wziął swoją siekierę i przez chwilę stał przypatrując się gwiazdom. Było niewiele po dziewiątej, rozporządzał czasem do północy, Okrążył więc dom i wszedł na pole kukurydziane. W połowie drogi w dół zboczył przystanął, nasłuchując, potem ruszył dalej. Nie wszedł w dolinę, lecz zboczył za pierwsze drzewo dość duże, by mogło go osłonić, oparł ostrożnie siekierę o pień, tak żeby ją

potem mógł łatwo odnaleźć, i stał tara przez chwilę bez ruchu, oddychając spokojnie i nasłuchując ciężkich kroków człowieka, który biegł ostrożnie i z pośpiechem po trzeszczących łądygach kukurydzy, zbliżającego się szybko sapania, a potem tłumionego nagle oddechu, kiedy tamten przebiegł koło drzewa, zatrzymując się w chwili, gdy Mink wyszedł z kryjówki i zawrócił w górę zbocza.

Szli przez pole, gęsiego, oddaleni od siebie o pięć stóp. Słyszał, jak niezdarnie stąpające ciało za nim potyka się, deptając trzeszczące łądygi, i słyszał gwałtowny, wzburzony, hamowany oddech. Sam szedł nie robiąc najmniejszego hałasu, nawet na najbardziej wyschniętym zagonie, jak gdyby jego ciało nic nie ważyło.

— Słuchaj — powiedział kuzyn. — Pomówmy, jak dwaj ludzie rozsądni. — Z pola weszli na podwórze i do domu, wciąż w odległości pięciu stóp. Poszedł do kuchni, zapalił lampę i usiadł w kucki przed paleniskiem, żeby rozniecić ogień. Kuzyn stał w drzwiach dysząc ciężko, obserwując, jak tamten rozdmuchuje płomień, bierze garnek do kawy, napełnia go wodą z wiadra i stawia go z powrotem na piecu.

— Nie masz nawet nic do jedzenia? — spytał kuzyn. Nie odpowiedział. — Masz przecież trochę paszowej kukurydzy. Moglibyśmy uprzyżyć parę kaczanów.

Ogień buzował teraz dużym płomieniem.

Tamten położył rękę na rondlu do kawy, chociaż woda nie zaczęła się jeszcze nawet rozgrzewać. Kuzyn obserwował jego kark.

— Tak — powiedział. — Chodźmy po kukurydżę. — Tamten zdjął rękę z garnka.

— Idź sam — powiedział. — Ja nie jestem głodny. — Kuzyn sapał we framudze drzwi, obserwując spokojną nachyloną twarz.

— Dobrze — powiedział. — Pójdę po nią do stodoły.

Oddalił się od drzwi, przeszedł ciężko przez sień na ganek i postawił stopę na ziemi, już biegnąc. Popędził jak szaleniec w ślełą ciemność, okrążył dom, do drzwi frontowych, po czym wstrzymując oddech, biegł po stopniach, skąd mógł zajrzeć w głąb sieni oświetlonej lampą z kuchni i znów się zatrzymał, skurczony, wyężając wzrok. „Łajdak, nabrał mnie!” — pomyślał. Wyszedł tylnymi drzwiami i wbiegł znów po stopniach, potykając się ciężko i odzyskując równowagę, przemknął przez sień do drzwi kuchennych i zobaczył kuzyna stojącego przy piecu, tak jak go zostawił, jeszcze z ręką na garnku. „Łotr! Morderca! Nigdy- bym nie uwierzył, że człowiek może to znieść nawet za pięćset dolarów!”

Ale gdy wrócił do drzwi, gdyby nie przyśpieszony nieco rytm oddechu, można by pomyśleć, że wcale się stąd nie ruszył. Patrzył, jak tamten przynosi popękaną porcelanową filiżankę, kubek z grubego szkła, puszc-



kę blaszaną po konserwach z odrobiną cukru i łyżeczką. Odezwał się takim tonem, jakby mówił do żony swego pryncypała przy stole: — Nareszcie woda zdecydowała się zagotować, co? — Tamten nie odpowiedział. Nalał wody z rondla do filiżanki, wsypał trochę cukru i rozmieszał łyżeczką. Stał przy piecu, odwrócony od kuzyna z pochyloną głową, popijając wodę z filiżanki. Po chwili kuzyn zbliżył się, napelnił kubek, wsypał cukru i wypił łyk, wykrzywiając się tak, że rysy jego twarzy zdawały się uciekać nad brzegiem kubka, w górę, oczy, nos, nawet usta biegły w kierunku czoła, jak gdyby skóra, w której były osadzone, trzymała się jego czaszki tylko w jednym punkcie, gdzieś z tyłu.

— Słuchaj — powiedział kuzyn. — Spróbujmy pomówić o tym jak dwaj ludzie rozsądni. Te pięćdziesiąt dolarów jest gdzieś tutaj i nie należy do nikogo. Ty nie możesz tam iść i zabrać ich beze mnie, bo ja ci nie pozwolę. A ja nie mogę ich wziąć bez ciebie, bo nie wiem, gdzie one są. Mimo to obaj tracimy czas tu, w domu, kiedy każda zmarnowana minuta przybliża tego przekłętą szeryfa i policję do miejsca, gdzie są te pieniądze. Po prostu chodzi o zasadę, nie o to, co się komu podoba czy nie podoba. Gdybym mógł zrobić tak jak chcę, zatrzymałbym całą sumę dla siebie, tak samo jak i ty w tej sytuacji. Ale ja nie mogę i ty nie możesz. A tymczasem siedzimy tu

obaj... — Tamten przechylił filiżankę i wysączył ją do dna.

— Która godzina? — zapytał.

Z wytartego, zniszczonego paska opiętego na brzuchu kuzyn wyciągnął tandetny je- dnodolarowy zegarek na zatłuszczonym rzemyku, spojrzął i schował go z powrotem do kieszonki.

— ■ Dwadzieścia osiem po dziewiątej. Ale ta godzina nie będzie trwała zawsze. A ja muszę otworzyć sklep o szóstej rano. I muszę jeszcze przejść pięć mil w nocy, zanim się położę do łóżka. Ale mniejsza o to. Tym się nie zajmuj, bo w tej sprawie nie ma nic osobistego, tylko czysty interes. Myśl tylko o... — Tamten postawił filiżankę na piecu.

— Zagramy w warcaby? — powiedział.

— ...o sobie. Musisz... Co takiego? — Kuzyn umilkł. Patrzył, jak tamten przechodzi przez pokój i bierze z mrocznego kąta krótki i szeroki kawałek deski. Z półki nad nią zdjął inną puszkę blaszaną i przyniósł wszystko do stołu. Na desce była wyrysowana węglem drzewnym szachownica, czarne i jasne, niezdarnie nakreślone kwadraty. Puszka zawierała garść małych skorup porcelanowych i szkiełek, w dwóch kolorach, prawdopodobnie szczątki zbitego talerza i butelki z niebieskiego szkła. Położył deskę pod lampą i zaczął ustawiać pionki. Kuzyn obserwował go z kubkiem w ręku, w połowie drogi do ust. Na chwilę przestał od

dychać, potem znów odetchnął. — Czemu nie — powiedział, postawił kubek na piecu i przyciągnął sobie krzesło do stołu. Gdy siedział, wydawało się, że otacza nie tylko krzesło, ale i stół masą swego ciała obwisłego i pozbawionego konsystencji jak balon, z którego ucieka powietrze. — Zagramy po pięć centów za jedną grę, na rachunek tych pięćdziesięciu dolarów — powiedział.

— Zaczynaj — powiedział tamten. Zaczęli grać, jeden z zimną i śmiertelną deliberacją, drugi z niezdamnym pośpiechem i rozpędem. Był to ów amatorski niemal dziecinny brak premedytacji, planu a nawet przewidywania kogoś, kto, licząc raczej na ręczną manipulację niż na inteligencję w grach hazardowych, widzi, że został nagle wciągnięty w rozgrywkę, gdzie zręczność na nic się nie przyda, a mimo to próbuje szachrować nawet w zwyczajnych warcabach, z niewiarogodnym optymizmem i niepoprawną nieuczciwością, z czasem przeobrażoną w czysty odruch i prawdopodobnie niezależną od jego woli} posuwał szybko i niezgrabnie pionki, a potem cofał zamkniętą pięść, aby obserwować małymi, bystrymi oczkami spokojną, znużoną twarz naprzeciwko siebie, mówiąc bez przerwy o wszystkim, oprócz śmierci i pieniędzy, z pięścią na brzegu stołu zaciśniętą jeszcze wciąż wokół pionka czy damki. „Najgorsze w warcabach jest to, że to tylko warcaby” — myślał. Po godzinie miał już trzynaście wygranych partii.

— Niech będzie po dwadzieścia pięć centów — powiedział.

— Która godzina? — spytał tamten. Kuzyn wyszarpnął znów zegarek z pasa i odwrócił go.

• — Za cztery minuty jedenasta.

— Twój ruch — powiedział tamten. Grali dalej. Kuzyn nie rozmawiał teraz. Zapisywał wyniki w rogu deski ogryzionym szczątkiem ołówka. Kiedy je podsumował w trzydzieści minut później, przed jego wzrokiem ukazał się nie symbol, lecz cała suma w dolarach i centach, a w chwilę później wydało mu się, że ołówek podskakuje i stuka go w czoło niemal dosłyszalnie. Zmartwił na moment, przestał oddychać i myślał prędko: „Wszyscy diabli rogaci! Oczywiście, nie pobił mnie. Nie chciał. Bo jeśli wygram całą jego część, pomyśli, że nie potrzebuje się narażać i iść tam ze mną”. Musiał więc zupełnie zmienić taktykę. I po raz pierwszy wskazówki pełnące po tarczy zegarka, wyciągniętego teraz bez pytania i leżącego tarczą do góry na stole, przybrały określone znaczenie. „Bo to nie może trwać wiecznie — myślał w przyplynie bezsilnej wściekłości. — Po prostu nie może. Nie można żądać od człowieka, żeby długo jeszcze to wytrzymał, nawet za całe pięćdziesiąt dolarów”. Toteż zrobił zwrot w tył. Tak jakby się go wyparła sama nieuczciwość. Posuwał wciąż pionki, robiąc niezdarne, szybkie i wykalkulowane ruchy i siadł z powrotem, zaciska-

— .....

jąc w pięści swój własny pionek czy damkę. Ale teraz chuda twarda ręka przeciwnika chwytła go za przegub, podczas gdy zimny, obojętny, martwy głos udawał, że dany pionek nie mógł się dostać na ten kwadrat, na którym się nagle znalazł, i uderzała nawet po zaciśniętych palcach, póki się nie otworzyły. A jednak próbował znowu, z tym samym desperackim optymizmem i zawiedzioną nadzieją i przyłapywany znowu na szachrajstwie powtarzał ten sam manewr, aż pod sam koniec następnej godziny jego ruchy na tablicy były już nawet nie ruchami dziecka, lecz idioty lub ślepeca. I znowu mówił: — Słuchaj, te pięćdziesiąt dolarów nie należy do nikogo, bo nie miał żadnych krewnych, nikogo, kto by mógł sobie rościć do nich pretensję. Po prostu leżą sobie tura przeznaczone dla pierwszego, kto się zjawi, żeby...

— Twój ruch — powiedział tamten. Posunął pionek. — Nie — powiedział tamten. — Bijesz. — Zabrał pionek. Tamten podsunął drugi pionek.

— ...a potrzebujesz pieniędzy, żeby uciec od szubienicy, i nie możesz ich wziąć, bo ja stąd nie odejdę. A ja nie mogę wrócić do domu i położyć się, żeby wstać rano i iść do pracy, bo ty nie chcesz mi pokazać, gdzie są te pieniądze.

— Twój ruch — powiedział tamten. Kuzyn posunął pionek. — Nie — rzekł tamten. — Bijesz. — Kuzyn zabrał pobity pionek. Potem patrzył, jak chude, owłosione palce ogałają pole z pionków w pięciu skokach.

— A teraz już jest po północy. Za sześć godzin zrobi się\* jasno. A Hampton i ci z piekła rodem... — Kuzyn umilkł. Tamten stał teraz spoglądając na niego z góry. Kuzyn zerwał się szybko. Patrzyli sobie w oczy poprzez stół. Sapanie znowu stało się głośnie, świszczące, jeszcze nie triumfujące. — Więc? — powiedział. — Więc? — Ale tamten nie patrzył na niego, patrzył w ziemię z twarzą cichą, wynędzniałą, jakby bez życia.

— Proszę cię, żebyś stąd wyszedł — powiedział tamten. — Proszę cię, żebyś mnie zostawił w spokoju.

— Naturalnie — odparł kuzyn, nie głośniejszy niż tamten. — Odejść teraz? Po tym wszystkim, co musiałem wytrzymać? — Tamten skierował się ku drzwiom. — Czekaj — powiedział kuzyn. Nie zatrzymał się. Kuzyn zdmuchnął lampę i dogonił go w sieni. Zaczął znowu mówić szeptem: — Gdybyś mnie posłuchał sześć godzin temu, byłoby już po wszystkim i byłibyśmy już w łóżku, zamiast siedzieć tutaj przez połowę nocy. Czy nie widzisz, że to było przelewanie z pustego w próżne, że przez cały ten czas tyś mnie nabierał, a ja nabierałem ciebie i żaden z nas nie mógł... Dokąd idziemy? — Tamten nie odpowiedział. Szedł równym krokiem przez podwórze w kierunku stodoły, eskortowany przez kuzyna, i słyszał

tuż za sobą pełen naprężenia, tłumiony przez adenoidy, szepczący głos: — Do diabła ciężkiego! Może nie chcesz, żebym ja wziął połowę i może ja nie chcę, żeby ktokolwiek wziął połowę. Ale, do diabła ciężkiego, czy nie lepiej wziąć połowę, niż wiedzieć, że ten przeklęty Hampton...

Wszedł do stodoły i otworzył drzwi komórki z paszą. Kuzyn zatrzymał się za nim tuż przy drzwiach. Zdjął z gwoźdźca na ścianie pałkę z drzewa białego dębu, krótką, gładką, z przebitą na końcu dziurką, przez którą przeciągnięta była pętla z konopnego sznura — kielzno, które Houston używał dla swego ogiera i które Snopes znalazł, kiedy wynajął pozbawioną prawa wykupu część farmy Houstona od Varnerów — odwrócił się i uderzył jeden raz, rzucił pałkę i złapał w pół drogi padające ciało, tak że sama waga tego ciała pomogła mu zanieść je do żłobu i musiał tylko odciągnąć je trochę dalej, żeby nogi nie sterczały w drzwiach, odczepił postronek od chomąta i lejce od pługa i związał tamtemu ręce i nogi, po czym oddał kawałek jego koszuli i wpakował mu knebel do ust. Gdy zszedł w dolinę, nie mógł odnaleźć drzewa, za którym zostawił siekiere. Wiedział dlaczego. Było tak, jakby wraz z zamilknięciem tego niestrudzonego głosu zdał sobie sprawę 7 ciszy, ale z czasu, który upłynął i który trzeba było przeżyć wstecz od momentu, gdy głos zamilkł, do tego, kiedy się pierwszy raz odezwał, o szóstej po południu w sklepie. A teraz był spóźniony o sześć godzin. „Za bardzo się wysiłasz — powiedział sobie. — Powinieneś teraz zwolnić tempo”. Toteż zatrzymał się, żeby policzyć do stu, i pró-

\ bował się zorientować, spoglądając wstecz, w górę zbocza, aby ustalić, czy znajduje się niżej, czy wyżej niż drzewo, na lewo czy na prawo od niego. Potem zawrócił przez pole do połowy zbocza i spojrzał stamtąd w dolinę, starając się rozpoznać po kształcie i położeniu drzewo, gdzie zostawił siekiere, pogrążony teraz w szumie nie ciszy, lecz opierającego się, coraz walniej płynącego czasu. Pomyślał, żeby wyruszyć z pewnego punktu, który, jak wiedział, znajdował się poniżej poszukiwanego drzewa, przeszukując wszystkie drzewa po drodze. Ale dźwięk czasu był za głośny, toteż gdy się poruszył, zaczął biec, nie w kierunku doliny ani swojej chaty, ale przez zbocze. Błądził, zszedł z pola i wyszedł na drogę o pół mili za domem.

Biegł jeszcze milę i doszedł do innej chaty, mniejszej i nędzniejszej niż jego. Należała do Murzyna, który znalazł strzelbę. Był tam pifes, mieszaniec po terierze, mały niewiele większy od kota i hałaśliwy jak gwizdek parowy; wybiegł zaraz zza domu i rzucił się na niego szczekając histerycznie. Znał go i pies także powinien go znać, przemówił do niego spokojnie, ale zwierzę nie przestało ujadać i jego głos zdawał się dobie-

gać z kilkunastu różnych punktów w ciemnościach. Wreszcie pobiegł ku niemu, a wtedy szczekanie oddaliło się w kierunku domu. Poszedł dalej w stronę sterty drewna, którą także znał, i znalazł siekiere. Kiedy ją uchwycił, z ciemności odezwał się głos: — Kto tam? — Nie odpowiedział. Biegł dalej, pośród nieprzerwanego ujadania teriera, dobiegającego zza domu. Był znowu na polu kukurydzianym, lepszym niż jego. Pobiegł przez pole, w dół znowa, ku dolinie.

Nim się tam znalazł, przystanął i próbował zorientować się według gwiazdy. Nie spodziewał się odnaleźć drzewa, wychodząc z tego punktu, szukał dawnej, zatartej drogi, gdyby się na niej znalazł, mógłby się zorientować znowu. Najpewniej, choć zabrałoby to więcej czasu, byłoby iść skrajem doliny, dopóki nie wejdzie na teren dobrze mu znany, nawet po ciemku, i stamtąd wyruszyć na poszukiwanie drzewa. Ale spojrzawszy na niebo, żeby ustalić kierunek, pomyślał: „Już jest po pierwszej”.

W pół godziny później nie odnalazł jeszcze drogi. Mógł dostrzec niebo tylko od czasu do czasu i nie zawsze widział gwiazdę, która kierowała nim dotychczas. Mimo to miał wrażenie, że niewiele zboczył. Ostrzegł sam siebie: „Będziesz myślał, że jesteś na miejscu, zanim naprawdę tam się znajdziesz, musisz uważać.” Ale w tym czasie przebył już dwukrotnie odległość, na której powinien znaleźć drzewo. Kiedy to zrozumiał, i przyznał wreszcie, że zblądził, zrobił to nie-ze strachem ani rozpaczą, ale z wściekłością. Podobnie jak w wypadku kuzyna i jego nieuczciwości w grze rozgrywanej dwie godziny temu: twarda bezwzględność wzgardziła swoim uczniem, który osłabł na chwilę. Czuł, że to właśnie ta ludzka słabość kazała mu zmarnować trzy godziny, w nadziei, że kuzyn zmęczy się i odejdzie, zamiast zdzielić go od razu po głowie, kiedy spotkali się koło drzewa, gdzie zgubił siekiere, to ta litość doprowadziła go do tego,

Pierwszym impulsem było ruszyć biegiem, ale nie w panice, tylko dotrzymując kroku tej lawinie narastających sekund, która stała się teraz jego wrogiem. Pohamował się jednak i stał w miejscu, dygocąc lekko z wyczerpania, póki nie stwierdził z satysfakcją, że mięśnie nie zdołają go zaskoczyć i pociągnąć za sobą do ucieczki. Potem ostrożnie, z namysłem, odwrócił się, twarzą, jak mu się zdawało, w stronę, z której przyszedł, i ruszył naprzód. Po chwili dotarł do małej polany, skąd mógł widzieć niebo. Gwiazda, według której ustalił swój kurs, gdy wszedł w dolinę, była prosto przed nim. „Jest już po drugiej” — pomyślał.

Teraz zaczął biec, to jest z taką szybkością, na jaką starczyło mu odwagi. Nie mógł się od tego powstrzymać. „Muszę odnaleźć drogę — myślał. — Jeżeli będę próbował wrócić i stamtąd wyruszyć na nowo, zrobi się świt, zanim się wydostanę z doliny”. To

też biegł, potykając się, z trudem brnąc przez kolczaste krzaki i poszycie lasu, z ramieniem wyciągniętym naprzód, by się ochronić przed gałęziami, dyszący, obolały, z mięśniami wokół powiek obolałymi od patrzenia w obojętną nieprzeniklioną twarz ciemności, aż nagle, w pewnej chwili nie znalazł ziemi pod stopami. Dał jeszcze krok w próżnię i upadł. Leżał na plecach, dysząc. Znajdował się na drodze, chociaż nie wie\* dział, w którym miejscu. „Ale nie przeszedłem na drugą stronę — myślał. — Jestem jeszcze po stronie zachodniej. A już minęła druga w nocy”.

Teraz zaczął się znowu orientować. Idąc wciąż prosto, zwrócony plecami do drogi, dojdzie do skraju doliny. Wtedy będzie mógł się upewnić, gdzie jest. Padając rzucił siekiere. Szukał jej pełznąc na czworakach przez chwilę, znalazł i szedł z drogi. Nie biegł teraz. Wiedział, że nie może sobie pozwolić na to, żeby znów zablądzić. W godzinę później wynurzył się z doliny i stanął na polu kukurydzianym. Było to jego własne pole. Dziwna, przedtem jak gdyby płynna ziemia stała się twarda i ugruntowana w swoich dawnych solidnych wymiarach i zestawieniach. Zobaczył niski dach swojej chaty i biegnąc znowu, potykając się z lekka wśród rzędów szepczących łodyg, dysząc, z zaschłymi spieczonymi wargami i zaciśniętymi zębami, zobaczył i poznał drzewo, za którym zostawił siekiere i znów było tak, jakby cofnął się i wyruszył na nowo z jakiegoś martwego punktu .w czasie i tylko czas był stracony. Zawrócił zbliżając się do drzewa i już miał przejść obok niego, kiedy jakiś gęstszy cień oderwał się od innego cienia, bez pośpiechu i głos kuzyna odezwał się nagle, słaby i ochryple.— Zapomniałeś siekiere, co? Tutaj jest. Masz.

Zatrzymał się bez okrzyku, bez słowa, bez zaczerpnięcia oddechu. „Lepiej nie użyję siekiery” — myślał, spokojny, nieruchomy, podczas gdy tamten oddychał nad nim głośno i ochryple, a słaby, chropawy, urażony głos mówił: — Ty przekłety zbójcu, bratobójco! Gdybym nie zniósł tego wszystkiego, co człowiek może znieść dla dwudziestu pięciu dolarów czy nawet dwudziestu pięciu tysięcy, z przyjemnością rąbnąłbym cię tą siekiere przez łeb i zaniósłbym cię sam do bryczki Hamptona. I, do diabła, nie twoja wina, że w tej chw<sup>ili</sup> nie siedzi tu Hampton zamiast mnie i nie czeka na ciebie. Do diabła, jeszcze nie zdążyłeś się ucieszyć myślą o tych drugich dwudziestu pięciu dolarach, które się spodziewałeś zarobić na czysto, kiedy Hampton i cała banda byli już w oborze, rozwiązali mnie i chlusnęli wodą w twarz. I znowu skłamałem, dla ciebie. Powiedziałem, żeś mnie związał i okradł, zamierzasz uciec koleją. Co myślisz, jak długo jeszcze będę opowiadał kłamstwa po to, żeby ocalić tw<sup>o</sup>ją skórę? No? Jak? Na , co czekamy? Na Hamptona?

— Tak — powiedział. — W porządku, „Ale nie siekierą” — myślał. Zawrócił i wszedł między drzewa. Tamten szedł za nim, następując mu na pięty, tak że słyszał dziki, stłumiony przez adenoidy oddech i słaby obrażony głos prawie nad swoją głową, i kiedy się pochylił macając ręką grunt pod stopami, kuzyn wpadł na niego i omal go nie przewrócił.

— Co u diabła robisz? Znowu zgubiłeś tę przeklętą siekierę? Daj mi ją i pokaż mi, gdzie to jest, byle prędko, zanim się rozjaśni i zanim ten przeklęty drań... — Jego ręka namacała kij dostatecznej grubości. „Tym razem nie widzę, więc muszę być gotów, żeby uderzyć dwa razy” — myślał. Uderzył w stronę, skąd dochodził chropawy rozwścieczony głos, raz i drugi, chociaż jeden cios byłby wystarczył.

Wiedział teraz, gdzie jest. Nie potrzebował przewodnika, chociaż wiedział, że go ma, i szedł prędko, wietrząc nosem, musiał teraz iść prędko. „Bo już pewnie po trzeciej — myślał. — Zapomniałem o tym. To tak jakby wszystko sprzymierzyło się przeciw jednemu człowiekowi dlatego, że zabił drugiego”. Wtedy zrozumiał, że czuje ten zapach, bo nie było jakiegoś ogniska, punktu centralnego, żeby nim kierować, woń unosiła się wszędzie. Zobaczył szkielec uschniętego dębu ze ściętym wierzchołkiem na tle odsłoniętego skrawka nieba, stanął w odpowiedniej odległości, opierając rękę na dębie, i wymierzył cios siekierą. Zanurzyła się aż po trzonek w spróchniałe drewno. Szarpnął ją i wyrwał i zamachnął się znowu. Wtedy — nie słyhać było żadnego dźwięku, sama ciemność tylko wzdychała i płynęła za nim, i próbował się odwrócić, ale już było za późno — coś uderzyło go w plecy. Wiedział od razu, co to jest. Nie był nawet zdumiony czując gorący oddech i słysząc kłapanie zębów, gdy upadł. Obrócił się, próbując podnieść siekierę, słysząc zęby kłapiące tuż przy swoim gardle i czując cuchnący oddech na twarzy. W pewnej chwili odtrącił psa łokciem, dźwignął się na kolana i oburącz dosięgnął siekiery. Teraz zobaczył także oczy, gdy pies rzucił się po raz drugi do skoku. Zdawały się płynąć ku niemu bez końca. Uderzył je i trafił w pustkę, ostrze siekiery zagłębiło się w ziemi, pociągając go za sobą tak, że omal nie upadł na twarz. Tym razem, gdy zobaczył oczy, stał już na nogach i rzucił się naprzód z podniesioną siekierą. Nacierał wciąż, nawet kiedy oczy znikły, łamiąc gałęzie i zanurzając się w zaroślach, stając w końcu z podniesionym toporem, dysząc ciężko, nasłuchując, nie widząc nic i nie słysząc. Potem wrócił do drzewa.

Przy pierwszym uderzeniu siekiery pies znowu skoczył. Oczekiwał tego. Tym razem nie zanurzył ostrza tak głęboko i miał siekierę podniesioną i przygotowaną. Uderzył między oczy i uczył, jak siekiera trafiła na

coś i wysunęła się z ponurym błyskiem z jego rąk: skoczył w stronę wyjącego zwierzęcia i trzasku łamanych gałęzi, tupiąc i kopiąc z furię wokół siebie; przestając nagle, w stronę innego -odgłosu, tupiąc znowu kurcząc się i nasłuchując, by skoczyć i znowu na próżno. Potem opadł na czworaki i zaczął się czołgać, zataczając coraz szersze kręgi wokół drzewa w poszukiwaniu siekiery. Gdy wreszcie ją namacał, nad odłamanym wierzchołkiem drzewa ujrzał gwiazdę poranną.

Zaczął znowu podcinać pusty pień, przerywając po każdym uderzeniu, by nasłuchiwać, z siekierą w pogłowiu, mocno wparty w ziemię stopami. Ale nie usłyszał nic. Zaczął więc rąbać energicznie i bez przerwy, ostrze za każdym razem zagłębiało się aż po trzonek niby w piasek czy trociny, aż wreszcie cała siekiera razem z trzonkiem utkwiała w spróchniałym drzewie. Wiedział teraz, że to, co wyczuł nosem, to nie imagi- nacja, odrzucił siekierę i zaczął rozrywać rękami pustą skorupę z odwróconą głową, z zaciętymi obnażonymi zębami, przez które ze świstem wychodził oddech, uwalniając co chwila jedno ramię, by trącić psa, który wciąż go atakował skowycząc i wpychał łeb w rozszerzający się otwór, skąd smród zdawał się buchać z jakimś dosłyszalnym dźwiękiem. — Precz, do diabła — dyszał, jakby rozmawiając z człowiekiem, usiłując odepchnąć psa. — Zostaw mi miejsce! — Ciągnął trupa do góry wyczuwając, jak skóra oddziela się od kości, jakby ich powłoka zrobiła się nagle za obszerna. Pies zanurzył teraz łeb aż po łopatki w otworze, wyjął.

Wyciągnąwszy nagle zwłoki, które w pewnym momencie przestały stawiać opór, przewrócił się i leżał na wznak w błocie, z trupem przerzuconym przez kolana. Pies stał nad nim, wyjął. Podniósł się i kopnął go. Zwierzę odskoczyło, ale gdy się pochylił i uchwycił trupa za nogi zaczął iść tyłem, znów znalazło się przy nim. Pilnowało tylko trupa i póki byli w ruchu, nie wyło, gdy jednak przystanął na chwilę, by nabrać tchu, zaczęło wyc na nowo i znów zebrał siły, aby je kopnąć i z tym razem uświadomił sobie, że widzi wyraźnie całe zwierzę, i że już świta i że przed nim jest pies dostrzegalny, chudy, wynędzniały, ze świeżą, krwawą blizną biegnącą przez pysk. Nie spuszczać go z oka schylił się i macał ręką grunt, póki nie znalazł kija. Kij był utyłany w błocie, ale jeszcze dość mocny. Gdy pies podniósł łeb, żeby jeszcze raz zawyc, uderzył. Pies zawirował i gdy skoczył na niego, widać było długą zasklepioną bliznę biegnącą od barku do boku. Tym razem kij trafił między oczy. Wziął znów trupa za nogi i próbował biec.

Kiedy wyszedł z kniei i dotarł do wybrzeża rzeki, niebo na wschodzie już czerwieniało. Sam strumień był jeszcze niewidzialny: długa smuga mgły, gęstej jak wata, pod



którą płynęła woda. Pochylił się, jeszcze raz dźwignął w górę martwe ciało, półtora raza większe niż on, i rzucił je w mgłę. Ledwie zdążył wypuścić je z rąk, zatrzymując się akurat w porę, żeby nie wpaść także do wody, widząc w chwili, gdy znikalo, tylko trzy kończyny zamiast czterech, i odzyskując równowagę, by zrobić obrót, już w biegu zaszeptały za nim lekkie kroki psa i zwierzę trąciło go w plecy. Na czworakach zobaczył w powietrzu jak gdyby strasznego ptaka bez skrzydeł, wzbijającego się do góry i znikającego we mgle. Podniósł się na nogi i pobiegł. Podniósł się i upadł jeden raz, wstał i biegł dalej. Wtedy usłyszał za sobą lekkie stąpanie i znów upadł, i znów na czworakach patrzył, jak pies wzbija się w powietrze i opada, z oczyma jak dwa rozżarzone węgle, i skacze na niego, nim zdążył się podnieść. Uderzył go w pysk rękami, wstał i pobiegł. Razem dotarli do szkieletu drzewa. Zwierzę znów skoczyło gryząc go w plecy, kiedy grzebał w otworze w poszukiwaniu brakującego ramienia, gryzło go w plecy i w nogi. Potem pies odszedł. Jakiś głos odezwał się:

— W porządku« Mink. Mamy go. Możesz już wyjść.

Bryczka czekała między drzewami za jego chatą, w tym samym miejscu, gdzie odnalazł jej ślady dwa dni temu. Usiadł obok jednego z zastępców szeryfa na tylnym siedzeniu, z kajdankami na rękach. Szeryf się dźwignął na koźle koło drugiego policjanta, który powoził. Woźnica zawrócił, żeby jechać w stronę sklepu Varaera, ale szeryf zatrzymał go. — Zaczekaj — powiedział i obrócił się na koźle. Ogromny mężczyzna z byczym karkiem w rozpiętej kamizelce i nakrochmalonej koszuli bez kołnierzyka? w jego szerokiej, nalanej twarzy małe zimne, przenikliwe oczka wyglądały jak dwa kawałki czarnego szkła wetknięte w nie upieczone ciasto. Zwrócił się do nich obydwóch:

— Dokąd prowadzi ta droga w drugą stronę?

— Do Whiteleaf Bridge — odpowiedział zastępca szeryfa. — Czternaście mil. I jeszcze dziewięć do sklepu Whiteleafa. A stamtąd osiem do Jefferson. Razem dwadzieścia pięć mil, licząc od sklepu Vamerów.

— Tym razem nie zatrzymamy się koło Varnerów — powiedział szeryf. — Jazda, ruszaj, Jim.

— Dobra — rzekł policjant. — Ruszaj, Jim. To nie nasze pieniądze oszczędzamy, tylko powiatowe.

Szeryf, zwrócony znów twarzą naprzód, nie odpowiedział i spojrzął na swego zastępcę. Patrzyli jeden na drugiego. — Powiedziałem, że dobrze, nie? — odezwał się zastępca szeryfa. — Jedziemy.

Przez resztę ranka do południa jechali krętą drogą wśród porośniętych sosnami wzgórz. Szeryf miał w pudełku od butów zimny prowiant i nawet maślanek w ka

miennym garnku owiniętym w mokry, jutowy worek. Zjedli, zatrzymując się tylko na chwilę, by napić konie ze strumienia przecinającego drogę. Potem droga opadała w dolinę i wczesnym popołudniem minęli sklep Whiteleafa, jadąc szerokim pasem urodzajnych pól w galowej szacie pięknych zbiorów, ciężkich ognistych kolb kukurydzy i krzaków bawełny, której zbieracze kręcili się jeszcze pomiędzy rzędami bali? zobaczył, że ludzie siedzący w kucki lub na ławkach na ganku pod afiszami reklamującymi lekarstwa i tytoń nagle wstają.

— No tak — powiedział jeden z policjantów. — Tutaj też niektórzy ludzie zachowują się, jakby uważali, że sami należą do rodziny Houstona, przynajmniej przez dziesięć czy piętnaście minut.

— Jedź dalej — powiedział szeryf.

Jechali powoli zakurzoną, miękką drogą

w długie rozprażone letnie popołudnie, choć nie mogli dotrzymać mu kroku i teraz słońce padało przez cały czas z boku na to miejsce, gdzie siedział. Szeryf odezwał się nie odwracając głowy i nie wyjmując fajki z ust: — George, zamień się z nim, niech on jedzie w cieniu.

— Nie trzeba — powiedział. — To mi nie przeszkadza. — W chwilę później mu to rzeczywiście nie dokuczało albo nie bardziej niż innym, bo droga znowu zbliżała się do gór, opadając i wijąc się znów, podczas gdy długie cienie sosen wolno krążyły

nad wlokącą się bryczką, w padającym teraz ukośnie słońcu, i wkrótce miasto Jefferson miało się ukazać za ostatnią doliną, w której pograżała się rozżarzona kula, zawieszona prosto przed nimi i prawie na tej samej wysokości co bryczka, oświetlając wszystkie twarze. Na jednym z drzew przybita była tabliczka z nazwiskiem kupca, pod nią napis: „Jefferson cztery mile”, zbliżała się ku nim i oddalała, choć bez żadnego podobieństwa ruchu; lekko przesunął nogi i przycisnął łokieć, w oczekiwaniu wstrząsu, który miał nastąpić, i runął stopami naprzód z toczącej się bryczki, wyrzucając naprzód ramię dla ochrony przed uderzeniem, ale za późno, tak że w momencie, gdy jego ciało znalazło się poza zasięgiem koła, głowa wśliznęła się w rozwidlenie drąga podtrzymującego pudło pojazdu, a waga i rozpęd całego ciała przygwoździły do ziemi szyję. Usłyszał trzask kości, kręgow i znów wykręcił ciało kopiąc nogą w tył, gdzie, jak mu się zdawało, powinno być koło, myśląc: „Jeśli tylko potrafię zaczepić nogą o szprychy, coś będzie musiało ustąpić”. Usiłując złapać nogą koło, czując każde poruszenie ciała powtarzające się w szyi, jak gdyby, w zimnej furii i bez żadnego zainteresowania osobistego, zobaczyć, co ustąpi najpierw: żywa kość czy martwy metal. Wtedy coś uderzyło go straszliwie w nasadę szyi i cios przestał być ciosem« zmieniając się w ucisk, systematyczny, wściekły i śmier-

teiny. Miał wrażenie, że słyszy trzask łamanych kości i wiedział, że słyszy głos zastępcy szeryfa: — „Hamuj, psiakrew! Stój!” uczuł, jak bryczka gwałtownie unosi go w górę i zdawało mu się, że widzi szeryfa, jak przechyla się nad tylnym siedzeniem pojazdu i chwytając za ramiona rozwścieczonego policjanta. Dławiąc się, krztusząc, usiłując zamknąć usta i próbując odwrócić głowę, by uniknąć zimnego, twardego uderzenia wody, widział nad sobą gałąź na tle słonecznego nieba, poruszone wiatrem liście i trzy twarze. Po chwili jednak mógł znowu odetchnąć i lekki pęd powietrza w ruchu osuszył wodę z twarzy, tylko koszula pozostała trochę wilgotna. Zbliżający się zmięch przynosił z sobą wiatr, jeszcze nie chłodny, po prostu wolny wreszcie od nieznośnego żaru słońca. Bryczka jechała teraz pod sklepieniem liści prześwietlonych gdzieś promieniem pośród strzyżonych i starannie pielęgnowanych trawników, gdzie hałaśliwie bawiły się dzieci w krótkich jasnych ubrankach i damy kołysały się w fotelach na biegunach w świeżych popołudniowych sukniach, a mężczyźni wracający do domu po pracy skręcali w schludnie pomalowane furtki, w kierunku talerzy z jedzeniem i filiżanek kawy, w długi początek zmroku.

Zajechali do więzienia od tyłu, na podwórzu zamknięte wysokim murem.

— Skacz — powiedział szeryf. — Podtrzymajcie go.

— Nic mi nie jest — zapewnił. Ale musiał to powiedzieć dwa razy, nim zdołał wydobyć z ust dźwięk, który nawet i wtedy nie był jego głosem. — Mogę iść sam.

Po odejściu doktora pozostał rozciągnięty na pryczy. W ścianie było wysokie okratowane okienko, ale za nim nic prócz zmięchu. Potem poczuł zapach przygotowywanej gdzieś kolacji — szynki, gorącego chleba i kawy, i nagle słony, gorący płyn zaczął krążyć mu w ustach, a gdy próbował go przełknąć, było to tak bolesne, że aż usiadł na łóżku, przelękając gorącą sól, kręcąc szyją i głową, sztywno, ostrożnie, by ułatwić sobie przełknięcie. Potem głośny tupot nóg dał się słyszeć za okratowanymi oknami i przybliżał się z pośpiechem, więc wstał i podszedł ku drzwiom zaglądając przez kraty do wspólnej izby, gdzie Murzyni, ofiary tysiąca drobnych nadużyć białych ludzi, jedli i spali razem. Widział szczyt schodów, skąd dochodziło tupanie, i patrzył, jak gromada głów w nędznych kapeluszach i czapkach, i ciała w wytłuszczonych kombinezonach i dziurawych butach wypełnia brudną izbę stłumionym szmerem wleczonych po podłodze podeszew monotonnie brzmiących bezbarwnych głosów — gromada aresztantów, pracujących przy naprawie ulicy, uwięzionych za włóczęgostwo czy bójki na brzytwy lub też za grę w kości po dziesięć lub piętnaście centów i uwolnionych od swoich kilofów przynajmniej na dziesięć godzin. Pa-

trzył na nich uczepony rękoma krat. — To.». — powiedział — i głos jego był zupełnie bezdźwięczny. Przyłożył rękę do gardła

i jeszcze raz spróbował, wydając suchy, kraczący dźwięk. Murzyni ucichli nagle wytrzeszczając oczy o wystających gałkach, nieruchome w twarzach, które zaczęły się już zacierać.

— Wszystko szło zupełnie dobrze — powiedział — dopóki nie zaczął rozlatywać się w kawałki. Byłbym sobie poradził z tym psem — ścisnął ręką gardło, mówiąc głosem ochryplym i kraczącym. — Ale ten drań zaczął się rozpadać na kawałki w moich rękach.

— Kto taki? — spytał jeden z Murzynów. Zaczęli szeptać między sobą, wywracając białkami oczu, łypiąc w jego stronę.

— Wszystko szło jak należy — powiedział. — Ale ten drań...

— Sza, biały człowieku — powiedział Murzyn. — Cicho. Nie opowiadaj nam takich rzeczy.

— Wszystko byłoby w porządku — szepnął. Potem głosu znów zabrakło i trzymał się kraty, drugą ręką ścisnął gardło, podczas gdy Murzyni obserwowali go, zbici w ciasną gromadę, z wywróconymi białkami oczu w gęstniejącym mroku. Potem jednocześnie zawrócili i ruszyli ku schodom. Słyszał ich powolne kroki i czuł zapach jedzenia, stojąc wciąż uczepony krat i wyteżając wzrok w stronę schodów.

„Czy tym czarnym dadzą jeść wpięć niż białemu człowiekowi?!” — myślał wciągając w nozdrza zapach kawy i szynki.

3

Była to jesień przed tą zimą, według której ludzie, starzejąc się, mieli ustalać daty wydarzeń. Żar bezdeszczowego lata — skwarne, słoneczne dni, kiedy schną nawet liście dębu, a przywykłe do porządku gwiazdy zdają się spoglądać w dół, z zimnym zdumieniem swych oczu bez powiek, na zatopioną w kurzu ziemię — ustąpił wreszcie i przez trzy tygodnie złocistego września znużona upałem ziemia, odwieczna Ulith, królowała niepodzielnie, po formalnym zgonie swego starszego niezwykłego zalotnika. Przez te senne i puste błękitne dni, wypełnione ciszą i dymem palących się zeschniętych liści

i gałęzi, Ratliff krążąc między swoim domem a placem widział dwie szerniałe, nieruchome ręce bezsilnie uczepony krat więziennego okienka, na wysokości nie wiele większej, niż mogłyby sięgnąć ręce dziecka. A po południu obserwował troje odwiedzających, żonę z dwojgiem dzieci, jak wchodzili lub wychodzili z więzienia, podczas codziennej wizyty. Pierwszego dnia, tego dnia, kiedy przywiózł ją z sobą do domu, prosiła o jakąś robotę każdą, na którą zgodziłyby się jego siostra: zamiatanie, zmywanie naczyń,

■ J rąbani o drzewa na ogień, co dotychczas ro\* bili jego siostrzeńcy i siostrzenice fl przy czym od czasu do czasu spotykała się z ich młodzieńczą pogardą), zapominając najwidoczniej o niemej, urażonej cnoście siostry; była duża, ale nie gruba, nawet właściwie szczupła, jak to sobie w końcu uświadomił Ratliff z jakąś zdumioną i pełną rezerwy... nie litością, raczej troską, niepokojem. Chodziła przeważnie boso, z nieporządną strzechą utlenionych włosów, od dawna już powracających do naturalnej czarnej barwy, z chłodną twarzą, w której było coś z twardej, niezupełnie straconej urody, choć mo\* gła to być tylko wrodzona i nie dająca się wykorzenić pewność siebie albo po prostu nieustępliwość. Oskarżony odmówił nie tylko skorzystania z prawa kaucji igdyby nawet mógł ją złożyć), ale i z obrońcy. Mały, z twarzą jak nieprzenikniona maska wyrzeźbiona w drzewie i wychudły Jak szkielet, stał między dwoma strażnikami — przed sądem, tak jakby był nieobecny, słuchając czy może nawet nie słuchając aktu oskarżenia, a potem wracał do celi z jednym ze strażników, który dawał rnu znak, dotykając ręką jego ramienia. Toteż proces z braku ma\* teriału dowodowego został odroczone, niby w połowie tylko obsadzona sztuka teatralna, do następnego sezonu, to jest sesji sądowej w maju i może przez trzy popołudnia w tygodniu Ratliff obserwował, jak jego goście, matka i dzieci, w starych ubraniach jego

siostrzeńców wchodzą do więzienia\*, • myślał

0 tych czworgu siedzących w zamkniętej celi cuchnącej kreozotem i wonią ludzkich wydzielin, potu, uryny, wymiotów, które były pozostałością wszystkich przeżytych t\*- męczarni i strachu, bezsilności i nadziei. „Czekają na Flema Snopesa — myślał. — \* Hema”.

Potem przyszła zima, chłody. W tym czasie znalazła sobie pracę. Wiedział równie dobrze jak ona, że poprzednia sytuacja nie mogła trwać, zważywszy, że w pewnym sensie był to dom jego siostry, choćby tylko na mocy prawa większości w głosowaniu. Toteż nie tylko bez zdziwienia, ale nawet z ulgą przyjął wiadomość o jej odejściu. Kiedy przyszła

1 zakomunikowała mu, że się wyprowadza, coś w nim drgnęło. Powiedział sobie, że chodzi o tych dwoje dzieci. — Co do posady, to bardzo dobrze — powiedział. — Bardzo pomyślnie. Ale nie potrzebuje się pani wyprowadzać. Będzie pani musiała płacić za mieszkanie i utrzymanie w innym domu. A pani musi oszczędzać. Będą pani potrzebne pieniądze.

— Tak — odpowiedziała szorstko. — Będą mi potrzebne pieniądze.

— Czy on jeszcze myśli... — urwał. — Nie słyszała pani, kiedy wraca Flem Snopes? — zapytał.

Nie odpowiedziała. Nie spodziewał się odpowiedzi. - Trzeba oszczędzać, na czym tylko się da — powiedział. — Toteż niech

pani tu zostanie. Może pani dawać mojej siostrze dolara co tydzień no utrzymanie dzieci, dla uspokojenia skrupułów. Dzieciak nie zje chyba więcej niż za czterdzieści centów tygodniowo. Ale niech pani zostanie.

Została więc. Oddał im swój pokój i spał ze swoim najstarszym siostrzeńcem. Dostała pracę w nędznym czwartorzędnym zajezdzie

o podejrzaney reputacji, zwanym „Hotel Savoy”. Praca zaczynała się o świcie i kończyła czasem o zmierzchu, czasem dobrze po zmierzchu. Zamiatała, słała łóżka i gotowała, mając do pomocy Murzyna, który zmywał naczynia i rozpałał w piecach. Dostawała za to wyżywienie i trzy dolary tygodniowo, „Ale dostanie pęcherzy na nogach od tego biegania boso przez całą noc z pokoju do pokoju, pomiędzy handlarzami koni, przysięgłymi sądowymi i agentami ubezpieczeń dla Murzynów” — twierdziły miejscowe złe języki, ale to była jej sprawa. Ratliff nic

o tym nie wiedział, niewiele go to obchodziło i — trzeba to powiedzieć na jego korzyść — jeszcze mniej w to wierzył. Tak więc teraz widywał ją tylko w niedzielne popołudnia, kiedy dzieci ubrane w nowe płaszczyki, które dla nich kupił, i kobieto w starym palcie, które niegdyś należało do niego i za które po naleganiach zgodził się przyjąć od niej pół dolara, wchodzili w bramę więzienną albo z niej wychodzili. Wtedy to przyszło mu na myśl, że ani razu nikt z jego krewnych — stary Ab czy nauczyciel,

czy kowal albo nowy subiekt Varnera — nic przyszli go odwiedzić, „Ale gdyby wszystkie fakty w tej sprawie były znane — myślał — przynajmniej jeden z krewniaków powinien by się znaleźć w lej samej celi. Albo w innej, całkiem podobnej, bo nie można człowieka powiesić dwa razy, założywszy oczywiście, że jeden Snopes może być skazany na śmierć nawet za drugiego Snopesa”.

W Święto Dziękczynienia spadł śnieg, a choć nie przetrwał nawet dwóch dni, przyszły po nim w początkach grudnia chłody, które skuły ziemię niby żelazną obręczą, tak że po tygodniu unosił się z niej prawdziwy kurz. Dym biał, zanim wyszedł z komina, niezdolny wzbic się w górę, przybierając barwę zamglonego nieba, na którym przez cały dzień słońce stało blade jak nie upieczony biszkopt i równie jak on pozbawione ciepła. „Teraz już nawet nie potrzebuje go odwiedzać — mówił sobie Ratliff, — Przejechać te dwadzieścia mil z Sadyby Francuza tylko dla dopełnienia aktu miłosierdzia — nawet Snopes nie potrzebuje się usprawiedliwiać, jeśli tego nie zrobi”. Teraz była szyba między kratami i rękami, nie było ich widać, nawet jeśli ktoś zatrzymał się przed więzieniem, żeby się im przyjrzeć. Przechodził teraz szybkim krokiem, kuląc się w swoim paltocie, zasłaniając oczy rękami w nicianych mitenkach, podczas rjdy para oddechu wirowała wokół czubka zaczerwienionego nosa przed załzawionymi oczyma. Przez

pusty plac przejeżdżał może jeden wóz z ludźmi opatulonymi w koldry i z zapaloną latarnią, a zamrożone witryny sklepów zdawały się nań patrzeć bez zrozumienia, jak zasnutą kataraktą oczy starych ludzi. Boże Narodzenie przeszło pod tym samym niebem barwy szarej soli i ani jeden skrawek skorupy tej żelaznej ziemi nie zmiażdżył, ale w styczniu przyszedł wiatr północno-zachodni i oczyścił niebo. W słońcu rysowały się cienie na zamrożonej ziemi i przez trzy dni lodowa skorupa tajała trochę w południe tu i ówdzie, na przestrzeni około całej, tworząc niby plamy roztopionego masła C2y smaru; około południa ludzie wyłazili, jak szczury albo karaluchy, mówił sobie Ratliff, zdumieni, stąpając ostrożnie po skrawkach miękkiego gruntu, które jakby wynurzyły się z dawnych zapomnianych czasów i na których znów mogły się odciskać ślady stóp, „Dziś w nocy już nie będzie mrozu. Chmurzy się na południowym zachodzie, spadnie deszcz i zmyje lód z ziemi, i wszystko znów będzie w porządku”. Spadł deszcz. Wiatr dał teraz z zachodu na wschód. „Znowu powieje z północnego zachodu i wróci mróz. W każdym razie lepsze to niż śnieg” — mówili jeden do drugiego, chociaż deszcz zaczął już krzepnąć i przez noc zamieniał się w śnieg, który padał przez dwa dni i od razu roztopiał się w błocie, póki samo błoto w końcu nie zmarzło, u śniegu padół wciąż

i kiedy wreszcie ustał, powrócił bezwietrzny

mróz jak żelazna obręcz i blade chłodne słońce podobne do okrągłego oplatka odmawiało już nawet blasku ściętej lodem ziemi. Styczeń, potem luty, nigdzie żadnego ruchu oprócz niskiego dymu i nielicznych przechodniów, niezdolnych iść chodnikiem, jakby pełzających środkiem jezdnii, gdzie żaden koń nie mógł utrzymać się na nogach,

i żadnych odgłosów prócz stukania siekier i samotnych gwizdów pociągu. Ratliff miał wrażenie, że je widzi, czarne, bezwymiarowe, bez pasażerów, z pióropuszcami rozplywającej się pary. Siedząc teraz w niedzielę w domu przy ogniu słyszał, jak kobieta przychodzi zabrać dzieci po obiedzie i wkłada nowe płaszczyki na odziedziczone po jego siostrzeńcach ubranka, z których wyrosły, i w których bez względu na temperaturę chodziły do niedzielnej szkoły (pilnowała tego siostra) imy4- lał o nich czworgu, jak siedzą wciąż otuleni w palta wokół małego bezsilnego piecyka z blachy, który nie ogrzewał celi, tylko wyciskał ze ścian — niby łzy — krople potu dawnych cierpień i rozpacz, które tam osiadły. Później wracali. Nigdy nie zostawała na kolacji, chociaż raz w miesiącu przynosiła mu osiem dolarów ze swojej dwunastodo- larowej pensji, i jeszcze parę innych monet

i banknotów (kiedyś miała o dziewięć dolarów więcej, choć nigdy nie pytał, w jaki sposób doszła do ich posiadania). Rył jej bankierem. Jego siostra mogła o tym wiedzieć lub nie, choć prawdopodobnie wiedziała. Su

ma rosła. — Ale to zajmie wiele tygodni — mówił. Nie odpowiadała. - - Może odpowie na list — mówił. — Ostatecznie to jego krewny.

Mróz nie mógł trwać wiecznie. Dziewiątego marca padał jeszcze śnieg i stopniał nie zamarzając, tak że Judzie mogli się znów po\* ruszać. Pewnej soboty wszedł do restauracji, której był współwłaścicielem, i zobaczył Bookwrighta przed talerzem, pełnym rozmaitego jedzenia, z przewagą jaj. Nie widzieli się prawie od sześciu miesięcy. Nie przywitali się nawet. — Wróciła do domu — powiedział Bookwright — W zeszłym tygodniu.

— Prędko się rusza — odpowiedział Ratliff, — Nie dalej jak pięć minut temu widziałem ją, jak wyrzucała szufłę popiołu na podwórze w hotelu „Savoy.”

— Ja mówię o innej — powiedział Bookwright nie przerywając jedzenia. — O żonie Flema. Will pojechał po nich do Mottstown i przywiózł ich w zeszłym tygodniu.

— Ich?

— Nie Flema. Ją i dziecko.

„A więc już się dowiedział — myślał Ratliff. — Ktoś widocznie do niego napisał.” Powiedział głośno:

— Dziecko? No tak: luty, styczeń, grudzień, listopad, październik, wrzesień, sierpień. I kawałek marca. Jeszcze za małe, żeby żuć tytoń.

— Nie ma obawy — powiedział Book wrkjht. — To dziewczynka.

Tak więc przez chwilę nie wiedział, co robić, choć decyzja trwała niedługo. „Lepiej teraz pomyślał. — Nawet jeżeli miała jakąś nadzieję sama o tym nie wiedząc.” Czekał w domu nazajutrz po południu, aż przyjdzie po dzieci.

— Jego żona wróciła — powiedział. Przez chwilę nie poruszyła się. — Pani nigdy nie spodziewała się niczego innego, prawda?

— Nie — odpowiedziała.

Potem nawet ta zima dobiegła wreszcie końca. Skończyła się tak samo jak zaczęła, deszczem, ale nie zimnym deszczem, tylko głośnymi, ulewnymi potokami ciepłej wody, która zmyła z ziemi upartą lodową skorupę, a w ślad za nią zjawiła się spóźniona wio' sna, przynosząc z sobą wszystko naraz — kwiaty, owoce i liście, barwne łąki, kwitnące drzewa i szerokie, ciemne pola obudziły się z zimowego snu, otwały się pługom. Szkoła była już zamknięta na okres siewów, kiedy przejeżdżał obok niej. Podprowadził swój zaprząg przed sklep i uwiązał go przy dawnym znajomym słupie, potem wszedł na ganek między siedmiu czy ośmiu ludzi siedzących na ławkach lub na ziemi w kucki, którzy wyglądali tak, jakby się nie ruszali z tego miejsca od czasu, kiedy ich widział ostatni raz, to jest od sześciu miesięcy.

— Jak się macie — powiedział. — Szkoła już zamknięta, jak widzę. Dzieci mogą iść w pole, a wy odpocząć.



— Zamknięta już od października — powiedział Quick. — Nauczyciel odszedł.  
— I. O.? Odszedł?  
— Jego żona przyjechała tam jednego dnia. Spojrzał znad książki, zobaczył ją i już go nie było.  
— Co takiego? — zdziwił się Ratliff.  
— Jego żona — powtórzył Tuli. — Tak przynajmniej mówiła. Gruba kobieta z siwymi włosami, z ....  
— Głupstwo — zachnął się Ratliff. — On nie ma żony. Mieszka tu przecież od trzech lat. Chyba jego matka.  
— Nie, nie — powiedział Tuli. — Jeszcze młoda, tylko cała jakaś siwa, szara. Przyjechała bryczką. Z dzieckiem półrocznym.  
— Dzieckiem? — Ratliff przenosił wzrok z twarzy na twarz, mrugając oczyma. — Jak to może być? Skąd wziął żonę i jeszcze do tego półroczne dziecko? Czy nie siedział tu od trzech lat? Do stu diabłów. Nie wyjeżdżał nigdy na tak długo, żeby zdążyć to wszystko zrobić.  
— Wallstreet mówi, że to jego — powiedział Tuli.  
— Wallstreet? — powtórzył Ratliff. — Co znów za Wallstreet?  
— Ten chłopak Ecka.  
— Ten dziesięcioletni chłopak? — Ratliff mrugnął teraz okiem na Tulla. — Ta panika na Wall Street była dopiero rok czy dwa lata temu. Skąd dziesięcioletni szczeniak może mieć na imię Wallstreet?  
— Nie wiem — powiedział Tuli.  
— Ja myślę, że to jego — twierdził Quick. — W każdym razie przyjrzał się tej bryczce i od tego dnia już go tu nie widziano.  
—■ No — powiedział Ratliff. — Dziecko to jedyna istota, przed którą każdy mężczyzna będzie wiał, byleby miał dość miejsca do startu. A I. O. zdaje się miał.  
— Potrzebował dużo miejsca — powiedział Bookwright swoim szorstkim, ostrym głosem. — To dziecko mogłoby go zatrzymać, byleby ktoś najpierw przewrócił L O., a dziecku dał dość czasu, żeby go złapać. Było już większe od niego,  
— A jednak może jeszcze go zatrzymać — powiedział Quick.  
— Tak — powiedział Tuli. — Była tu bardzo krótko, tylko tyle czasu, żeby kupić pudełko sardynek i paczkę sucharków. Potem ruszyła dalej, w tym samym kierunku, w którym, jak jej ktoś wskazał, I. O. poszedł. Szedł piechotą. Ona i dziecko oboje jedli sardynki.  
— No dobrze — powiedział Ratliff. — Ci Snopesowie... No dobrze... — urwał. Spojrzeli prędko, na powóz Varnerow, który właśnie ukazał się na drodze, jadąc w stronę domu. Murzyn powoził, na tylnym siedzeniu jechała pani Flem Snopes z matką.  
Piękna twarz nawet się nie odwróciła, gdy powóz przejechał koło składu. Przesunęła się przed ich oczyma zwrócona profilem, spokojna, pozbawiona pamięci i zainteresowania.

Nie była to twarz tragiczna, po prostu potępiona, skazana.

— Czy on naprawdę czeka w tym więzieniu, aż FJem Snopes wróci, żeby go wyciągnąć? — spytał któryś z nich.

— Jeszcze jest w więzieniu — powiedział Ratliff.

— AJe czy czeka na Flema?— spytał Quick.

— Nie — powiedział Ratliff. — Bo Flem nie wróci, póki proces się nie odbędzie i nie skończy.

W tym momencie pani Littlejohn na werandzie uderzyła w gong na obiad, więc wstali i zaczęli się rozchodzić.

— Niemożliwe — powiedział Bookwright. — Nawet Flem Snopes nie dopuści do powieszenia swego kuzyna tylko dlatego, żeby zaoszczędzić pieniędzy.

— FJem chyba musi wiedzieć, że nie dojdzie do tego. Jack Houston został postrzelony z przodu i każdy wie, że nie ruszał się nigdzie bez swego pistoletu, a pistolet znaleźli na drodze, w tym samym miejscu, gdzie były ślady konia. Widać było, że koń zawrócił na miejscu i uciekł. Może broń wysunęła mu się z ręki albo z kieszeni, kiedy upadł, a może i nie. Uważam, że Flem wywiedział się już wszystkiego o tej historii. Nie wróci tutaj, gdzie żona Minka może mu się naprzykrzać, a ludzie obgadywać za to, że zostawił swego kuzyna w więzieniu. Są takie rzeczy, co nawet Flem Snopes by ich nie zrobił. Nie wiem, jakie to rzeczy, ale muszą takie być.

Potem Bookwright odszedł, a Ratliff odwiązał zaprząg i zajechał na pole pani Little\* john, wyprzągł i zaniósł uprząg do stodoły. Nie był tu także od tamtego popołudnia we wrześnie i coś, sam nie wiedział co, ciągnęło go tu i popychało. Powiesił uprząg na gwoździu i przeszedł pod mrocznym, wysokim sklepieniem przez tunel woniejący amoniakiem, między pustymi stajniami aż do ostatniej, zajrzał i zobaczył w mroku siedzącą tyłem ciężką sylwetkę o szerokich kobiecych pośladkach i wynędzniałą, spokojną twarz, która odwróciła się i spojrzała na niego. Przez krótką chwilę można było dostrzec coś na kształt poznania, jeśli nawet nie przypomnienia w znękanych oczach i zaślinionych ustach, które otwarły się wydając ochrypły, słaby dźwięk. Na kolanach okrytych drelichowymi spodniami Ratliff zobaczył zniszczoną drewnianą figurkę krowy, jedną z tych, jakie daje się dzieciom na Boże Narodzenie.

Usłyszał walenie młota, jeszcze nim doszedł do kuźni. Młot zatrzymał się, ucichł, oczy, które spojrzały na niego z tępej, otwartej, zdrowej twarzy, nie wyrażały zdziwienia ani pytania, niemal jakby go poznały.

— Dzień dobry, Eck — powiedział Ratliff. — Mógłby pan zdjąć moim koniom stare podkowy i podkuć je na nowo, zaraz po obiedzie? M\iszę wybrać się w podróż wieczorem.

— Da się zrobić — powiedział tamten. — Jak tylko je pan. przyprowadzi.

— Bardzo dobrze — powiedział Ratliff. — Jeszcze chciałem spytać o tego pańskiego chłopaka. Zmienił mu pan imię ostatnio, prawda? — Tamten spojrział na niego z podniesionym młotem. Na kowadle . czerwony koniec kawałka żelaza, któremu kowal miał nadać kształt, szarzał z wolna. — Wallstreet.

— Och — powiedział tamten. — Nie, proszą pana. Nie zmieniłem go. Właściwie nie miał żadnego imienia aż do zeszłego roku. Zostawiłem go z jego babcią po śmierci pierwszej żony, kiedy starałem się urządzić sobie życie. Miałem wtedy akurat szesnaście lat. Ona nadała mu imię po dziadku, ale właściwie to nie miał żadnego. Potem, w zeszłym roku, jak już się tu osiedliłem, posłałem po niego i pomyślałem, że trzeba by mu dać jakieś imię. I. O. wyczytał o tym w gazecie i uważał, że jak go nazwiemy Wallstreet, to może będzie bogaty jak ci ludzie, co wywołali tę panikę na tej Wallstreet.

— Ach — powiedział Ratliff. — I jeden dzieciak nie wystarczył panu, żeby się urządzić? Ile panu było tego trzeba?

— Mam troje.

•— Dwoje oprócz Wallstreeta? A czy...

— Troje oprócz Wallstreeta.

— O! — powiedział Ratliff. Tamten czeka! przez chwilę. Potem znów podniósł młot. Ale zatrzymał się w powietrzu, patrzył na wysty  
głe żelazo nj kowadle. Odłożył młotek i wrócił do pieca. — Więc musiał pan zapłacić całe dwadzieścia dolarów — powiedział Ratliff. — Tamten obejrzał się. — Za tę krowę zeszłego lata.

— Tak. I jeszcze parę groszy za tę zabawkę.

— To pan mu ją kupił?

— Tak. Żał mi go było. Pomyślałem sobie, że może i on kiedyś zacznie myśleć, a wtedy ta figurka da mu coś do myślenia.

## KSIĘGA CZWARTA

żywy

## POZDZIAŁ I

a krótko przez zachodem słońca ludzie z ganku przed sklepem zobaczyli nadjeżdżający drogą od strony południa kryty wóz, zaprzężony w muły i wlokący za sobą sznąr jakichś najwyraźniej żywych przedmiotów, które w padających ukośnie promieniach wyglądały jak różnych barw i kształtów strzępy oddartego afisza — na przykład cyrkowego afisza — przyczepione w tyle wozu i poruszające się wraz z nim, a jednocześnie obdarzone własnym ruchem indywidualnym i kolektywnym, jak ogon latawca.

— Co to jest, u diabła? — spytał ktoś.

— Cyrk — odpowiedział Quick. Zaczęli wstawać przyglądając się wozowi. Teraz zobaczyli, że idące za nim zwierzęta były końmi. Wewnątrz wozu jechało dwóch ludzi.

— Do diabła — powiedział ten, który odezwał się pierwszy, nazwiskiem Freeman — To Fiem Snopes. — Wszyscy już byli na nogach, kiedy wóz zrównał się z nimi i zatrzymał. Snopes wysiadł i zbliżał się do schodków. Wyglądał, jakby odjechał dziś rano, miał na sobie tę samą czapkę, malusienką muszkę u białej koszuli i te same szare su-

kienne spodnie. Wszedł po stopniach na ganek.

— Czołem, Flem — powiedział Quick. Tamten objął krótkim spojrzeniem wszystkich i nikogo w szczególności, wchodząc po stopniach. — Zostałeś dyrektorem cyrku?

— Czołem I — powiedział. Przeszedł przez ganek wśród rozstępujących się przed nim sąsiadów. Potem oni zeszedli i zbliżyli się do wozu, za którym konie tuliły się zbite w oporną gromadę, większe niż króliki i pstre jak papugi, przywiązane jeden do drugiego kawałkami drutu kolczastego. Odziane w kolorowe perkaliki, drobne, o delikatnych nogach i różowych chrapach, wywracały białkami oczu, z których żadna para nie była jednakowego koloru, dzikie i potulne zarazem, nieruchome i czujne na najmniejszy ruch, płochliwe jak sarny, groźne jak grze- chotniki i łagodne jak gołębie. Ludzie przyglądali im się w. pełnej szacunku odległości, W tej chwili Jody Varner przecisnął się naprzód.

— Uważaj, staruszku — powiedział jakiś głos za nim. Ale już było za późno. Najbliższe zwierzę stanęło na zadnich nogach

i przednimi z błyskawiczną szybkością wierzgnęło dwa razy w kierunku jego twarzy, szybciej niż bokser, pociągając przy tym za druty i wprawiając w ruch resztę koni jak fala, która wznosi się i opada.

— Spokojnie, wy lam, ogoniaste, sianożer- ne źmije — powiedział ten sam głos. Był

to drugi z nowo przybyłych mężczyzn. Widać było, że pochodzi z innego kraju. Miał ciężkie, bardzo czarne wąsy i szeroki, jasny kapelusz. Kiedy przeciskał się przez tłum ludzi i odpychał ich od koni, zobaczyli wetkniętą w tylną kieszeń jego obcisłych dżinsów kolbę pistoletu, inkrustowaną perłową masą, i kolorowe pudełko kartonowe, z tych, w jakie pakuje się pierniki.

— Z daleka od nich, chłopcy — ostrzegwał. — Są trochę narowiste, od dawna już nikt na nich nie jeździł.

— Od jak dawna? — spytał Quick. Przybysz spojrział na niego. Miał szeroką, zupełnie zimną, spaloną wiatrem twarz i blade, posępne zimne oczy. Brzuch mieścił się dokładnie w obcisłych spodniach.

— Ostatni raz chyba na promie, jak przepływały Missisipi — zauważył Varner, Przybysz spojrział na niego. — Nazywam się Varner — dodał Jody pośpiesznie.

— Hipps — odparł tamten. — Może pan mnie nazywać Buck. — Przez lewą stronę głowy zniekształcając koniuszek ucha biegła okrutna świeża blizna, powleczone brunatną maścią, podobną do smoły. Wszyscy spojrzeli na bliznę. Potem patrzyli, jak przybysz wyciąga z kieszeni pudełko, wyjmując z niego pierniczek i wkłada go do ust pod ogromne wąsy.

— Pan i Flem mieliście jakieś nieporozumienie, tam, z tyłu? — zapytał Quick. Cudzoziemiec przestał żuć. ilekroć patrzył

prosto na kogoś, jego oczy wyglądały jak dwa krzemienie, wyciągnięte nagle z wody. — Gdzie z tyłu?

— Za pańskim uchem — powiedział Quick.

— Och — zdziwił się tamten — to! — dotknął ucha. — To moja wina. Nie uważałem któregoś dnia, jak je uwiązywałem. Myślałem o czym innym i zapomniałem, jaki długi jest drut. — Zaczął żuć. Wszyscy patrzyli na jego ucho. — Zdarza się, jak człowiek jest roztargniony przy koniu. Posmarowałem to maścią i do jutra nie będzie znaku. Teraz są bardzo żywe, bo nic nie robią. Za parę dni to się skończy — włożył ciasteczko do ust i zaczął żuć. — Nie wierzycie, że są łagodne? — Nikt nie odpowiedział. Patrzyli na kucyki poważni i powściągliwi. Jody odwrócił się i wszedł z powrotem do składu. — Bardzo dobre, łagodne kuce — powiedział przybysz. — O, patrzcie! — włożył pudełko do kieszeni i podszedł do koni z wyciągniętą ręką. Najbliższy stał teraz na trzech nogach, zdawało się, że śpi. Powieka opadła na błękitne oko, głowa miała kształt deski od prasowania. Nie podnosząc nawet powieki rzucił łbem, odkrywając żółte zęby. Przez chwilę człowiek i koń zdawali się gwałtownie szamotać, potem zastygli w bezruchu, wysokie obcasy butów cudzoziemca mocno zagłębiły się w ziemię, jedna ręka ścisnęła nozdrza kuczka stojącego z wykręconą głową i tłumiącego ochryple jęki.

— Widzicie? — powiedział przybysz zdyszonym głosem. Żył nabrzmiały mu jak postronki wzdłuż szyi i szczęk. — Trzeba tylko nad nimi trochę popracować przez parę dni. Teraz patrzcie, zróbcie mi miejsce tam, z tyłu — cofnęli się o parę kroków. Przybysz natężył mięśnie i skoczył. W tej chwili drugi koń kopnął go w plecy, rozdzierając marynarkę wzdłuż od kołnierza aż po rąbek na dole, jak zręczny szermierz jednym pchnięciem szpady rozdziera zastłonę.

— Bardzo pięknie — powiedział Quick. — Ale przypuścimy, że ktoś nie ma marynarki?

W tej chwili Jody Varner w towarzystwie kowala przepchnął się przez gromadę. — W porządku, Buck — powiedział Jody. — Ale lepiej niech pan je wprowadzi do zagrody. Ten tu Eck panu pomoże.

Przybysz z rozprutą marynarką fruującą po obu stronach pleców wdrapał się na wóz, a za nim kowal. — Obudźcie się, wędrujące zmyry, widma Hioba i Jezabel — powiedział. Wóz ruszył pociągając za sobą barwny sznur kucyków, za którym w ostrożnej odległości szli widzowie, drogą do pola pani Littlejohn, Przed bramą Eck wyskoczył i otworzył barierę. Wóz przejechał, ale kuce na widok ogrodzenia szarpnęły się w tył pociągając za drut przywiązujący je do wozu i stanęły dęba, próbując zawrócić, tak że wóz cofnął się trochę, ale człowiek z Teksasu, klnąc, zdołał skrócić muły i w ten sposób zablokować koła. Ludzie eskortujący wóz zdążyli

już odskoczyć. — Tutaj, Eck — powiedział człowiek z Teksasu. — Chodź pan tutaj i weź lejce. — Kowal wdrapał się z powrotem na wóz i wziął lejce. Potem patrzyli, jak ten z Teksasu złazi na dół z harapem, który przypominał czarnego węża, skręconego w pętlę, zachodzi stado od tyłu i wpędza je w otwartą furtkę, śmigając batem po pstrych grzbietach metodycznie, z zimną krwią, jakby strzela! z pistoletu. Potem widzowie pośpieszyli przez podwórze pani Littlejohn i weszli na werandę.

— Jak on mógł je związać razem, jak myślicie? — zapytał Freeman.

— Mnie więcej interesuje, jak je zamierza rozwiązać — powiedział Quick. Człowiek z Teksasu wdrapał się znowu na swój wóz. Po chwili on i Eck ukazali się w tylnym końcu odsłoniętej budy. Teksaszczyk chwycił drut i zaczął ciągnąć w stronę wozu pierwszego konia, który szarpał się naprzód i w tył, usiłując zawisnąć na drucie. Dalsze zwierzęta kolejno poszły za jego przykładem, póki wszystkie razem nie zaczęły szarpać drutu na wszystkie strony.

— Złap się pan za drut i trzymaj — powiedział Teksaszczyk. Eck chwycił za drut, konie ciągnęły go w przeciwną stronę, rzucając różowymi łbami ponad wznoszącą się w górę masą ciał. — Przyciągaj pan, przyciągaj — ostro powiedział Teksaszczyk, — Nie wejść na wóz, choćby nawet chciały. — Wóz stopniowo posuwał się do tyłu, póki

głowa pierwszego konia nie uderzyła o tylne drzwiczki. Teksaszczyk prędko okręcił drut wokół kłonicy. — Trzymaj mocno — powiedział. Zniknął i niemal w ciągu sekundy pojawił się na nowo z parą ciężkich nożyc do przecinania drutu. — Trzymaj go pan lak, jak teraz — powiedział i skoczył, razem ze swoim wielkim kapeluszem, powiewającą marynarką i nożycami, w kalejdoskopowy wir długich łbów, błędnych oczu, wierzgających kopyt, z którego po chwili zaczęły jeden po drugim wyskakiwać konie jak spłoszone kuropatwy, każdy w naszyjniku z drutu kolczastego. Pierwszy przebiegł galopem pole w linii prostej. Pędził prosto na ogrodzenie z drutu, nie hamując biegu. Drut ustąpił trochę, potem wrócił do poprzedniej pozycji odrzucając zwierzę tak, że runęło na ziemię i leżało przez chwilę, łypiąc zamglonymi oczyma, z nogami galopującymi jeszcze w powietrzu. Potem koń wygramolił się na nogi, wciąż w galopie, i przebiegł na drugi koniec pola do przeciwległego pasa drutów i znów został rzucony

o ziemię. Reszta była już uwolniona. Biegały po polu i kręciły się w koło jak oszalałe ryby w słoju. Dotychczas pole wydawało się dość obszerne, teraz jednak sama myśl, że ta furia i ruch mogły zmieścić się w granicach ogrodzenia z drutu, była czymś, co należało odrzucić z pogardą, jak złudzenie optyczne, Zza ostatniego słupa kurzu wyłonił się cudzoziemiec z nożycami w ręku,



w marynarce, z której zostały już ledwie strzępy. Nie biegł, poruszał się tylko z ostrożną, zrównoważoną szybkością, fruując pośród szelestu kolorowych perka li, uchylając się, fintując jak szermierz, aż wreszcie dotarł do bariery, przeszedł przez podwórze i wszedł na werandę. Jeden z rękawów jego koszuli zwisał bezwładnie przy» czepiony clo pleców tylko w jednym miejscu. Oddał go i wytarł nim twarz, potem odrzucił strzęp i wyjął z kartonowego pudełka pierniczek. Dyszał tylko nieznacznie. — Trochę się rozbisurmaniły. Ale to im przejdzie za parę dni. — Kuce przelatywały jak błyskawice tam i z powrotem w gęstniejącym zmierzchu, jak historyczna ryba, ale już z mniejszą gwałtownością.

— Ile by pan zapłacił za to, żeby trochę oszczędzić panu tej roboty? — zapytał Quick. Oc2y przybysza spojrzwały na niego blade, uprzejme i twarde nad żującą szczęką i grubym wąsem. — Żeby się jednego z nich pozbyć?

W tej chwili chłopczyk z barwinkowymi oczyma wbiegł na werandę wołając: — Tata, gdzie jest tata?

— Kogo szukasz, synku? — spytał ktoś.

— To chłopak Ecka — powiedział Quick.— Tata jeszcze siedzi na wozie. Pomaga panu Buckowi. — Chłopczyk pobiegł dalej, w swoim małym kombinezonie, który wyglądał jak miniatura ubrania mężczyzn.

— Tata! — wołał. — Tata! — Kował wciąż

skurczony w tyle wozu trzymał jeszcze koniec przeciętego drutu. Kuce, na chwilę zbite w zwartej grupie, przebiegły teraz koło wozu, napływając znowu sznurem tak, że wydawało się, że ich liczba wzrosła w dwójnasób, i ruszyły dalej galopem, wzbijając chmurę kurzu spod lekkich, zwinnych, nie podkutych kopyt.

— Mama mówi, żebyś przyszedł na kolację — powiedział chłopczyk.

Księżyc był wtedy prawie w pełni. Po kolacji, kiedy znów zebrali się na werandzie, zmiana nie była nawet kwestią światła. Było to tylko przejście od lapidarnej wymiernej jasności dnia do srebrnej zdradliwej chłonności mroku, w której konie zbijały się w splątana gromadę albo biegały pojedynczo bądź parami, płynne niby widma, powracające wciąż, by zbić się na nowo w różnobarwne, nierealne stado, rozbrzmiewające ostrymi piskami i złośliwym tupaniem kopyt. Ratliff był teraz razem z innymi. Wrócił tuż przed kolacją. Nie odważył się wprowadzić swego zaprzęgu na pole pani Littlejohn; stał teraz w wozowni Bookwrighta o pół mili za sklepem.

— Więc/Fiem wrócił — powiedział. — W porządku. Will Varner zapłacił za jego podróż do Teksasu, więc teraz, jak mi się zdaje, na was przypada kolej, żeby pokryć koszta podróży powrotnej. — Z pola dobiegło ostre, piskliwe kwiczenie i ukazał się jeden z kuców. Zdawał się nie galopować,

lecz płynąć, bez ciała, bez wymiarów. Mimo to słychać było lekkie uderzenia twardych kopył na ubitej ziemi,

— On jeszcze nie powiedział, że to jego — oświadczył Quick.

— Ale też nie mówi, że nie jego — odparł Freeman.

— Rozumiem — powiedział Ralliff. — To was wstrzymuje. Dopóki wam nie powiedzą, czy to jego, czy nie. Albo możecie zaczekać, aż się skończy aukcja i rozejdą się, a wtedy jedni będą mogli pójść za Flemem, a inni za tym z Teksasu i przekonać się, który wyda pieniądze. Ale mnie się wydaje, że tego, kogo oskubali, mało obchodzi, kto dostał naprawdę te pieniądze.

— Może, gdyby Ratliff odjechał dziś wieczorem, nie zmusiliby go do kupienia jednego z tych kucy jutro rano — odezwał się ktoś.

— Prawda — przyznał Ratliff. — Ktoś może wywinać się Snopesowi, byleby się do tego dosyć żwawo zabrał. Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, żeby przepuścił na sucho dwom facetom po kolei. Wy ich chyba nie kupicie, co? — Nikt nie odpowiedział. Siedzieli na stopniach, oparli plecami o słupy werandy albo o poręcz. Tylko Ratliff i Quick usadowili się w fotelach, tak że inni wyglądali przed nimi jak czarne sylwetki na tle białej rozmarzonej poświaty księżycowej za werandą. Grusza po przeciwległej stronie drogi obsypana była śniegiem kwia

W I ■ I! I

tów, a gałęzie zdawały się nie wyrastać z konarów, Jęcz sterczały nieruchome i prostopadle nad poziomymi grubymi odnogami, jak rozsypane włosy topielicy śpiącej na tafli morza bez wiatru i fal.

— Anse McCallum przywiózł kiedyś dwa takie konie z Teksasu — odezwał się jeden z siedzących na schodach. Mówił nie poruszając się i nie zwracając się do nikogo w szczególności. — Dobry był zaprząg. Trochę lekki. Pracował z nimi dziesięć lat. Lekka praca.

— Pamiętam — powiedział drugi. — Anse mówił, że dał za- nie czternaście naboji karabinowych.

— Słyszałem, że i karabin też — dodał trzeci.

— Nie, tylko naboje. Tamten chciał mu dać jeszcze cztery sztuki za karabin, ale Anse powiedział, że tyle nie potrzebuje. Że za dużo kosztuje przewóz sześciu koni przez Missisipi.

— Pewnie — powiedział drugi. — Jak człowiek nie musi wiele wkładać w zaprząg czy konia, nie może się też dużo po nich spodziewać.

Żaden z trzech rozmawiających nie odzywał się ani trochę głośniejszy, rozmawiali tylko między sobą, zwracając się wyłącznie jeden do drugiego, jakby byli sami. Z ust Ratliffa siedzącego w cieniu pod ścianą wydobył się jakiś niegłośny szyderczy dźwięk.

— Ratliff się śmieje — zauważył czwarty.

— Nie zważajcie na mnie — powiedział Ratliff.

Trzej rozmawiający nie poruszyli się. Nie ruszali się teraz, choć wokół trzech sylwetek zdawał się zbierać jakiś bierny głęboki upór; przypominali skarcone dzieci. Ptak nocny, lekki, ciemny, szybko śmigający cień zatoczył koło w księżycowym blasku, usiadł na gruszy i zaczął śpiewać: ptak przedrzeź- niacz.

— Pierwszy, jakiego słyszę w tym roku — powiedział Freeman.

— Można je słyszeć co noc w lasach koło Whiteleaf — powiedział pierwszy człowiek. — Ja słyszałem nawet w lutym, Siedział na eukaliptusie.

— Eukaliptus zaczyna pączkować najwcześniej ze wszystkich drzew — zauważył trzeci. — To pewnie dlatego. Miał ochotę śpiewać, więc wybrał sobie eukaliptus.

— Eukaliptus najwcześniej? Nie wierzba?

— Wierzba to nie drzewo — powiedział Freeman. — To chwast.

— Nie wiem dokładnie, co to jest — powiedział czwarty — ale na pewno nie chwast. Bo chwast można wyrwać i człowiek ma spokój. A ja od pięciu lat na próżno próbuję wyrwać pędy wierzb z mego pastwiska. Co roku wyrastają tak samo, tyle tylko, że za każdym razem jest o dwa, trzy drzewa więcej.

— Na waszym miejscu poszedłbym tam

jutro zaraz z rana. Oczywiście wy tego nie /robicie, Nic w świecie ani w Sadybie Francuza nie powstrzyma was od tego, żeby oddać Snopesowi albo temu z Teksasu wasze pieniądze. Ale ja bym najpierw chciał wiedzieć dokładnie, do czyjej kieszeni idą moje pieniądze. Zdaje się, że Eck mógłby wam coś o tym powiedzieć. Zrobiłby to chyba dla swoich sąsiadów, nie? Eck jest kuzynem Flema i oprócz tego ten jego chłopak, Wallstreet, pomógł temu z Teksasu nanosić dla nich wody dziś wieczorem, a Eck pomoże mu je nakarmić jutro rano. Może to nawet Eck złapie wszystkie i doprowadzi po jednym, żebyście mogli postawić cenę. Prawda, Eck?

Kował siedział razem z innymi na stopniach, oparty plecami o słup. — Nie wiem — powiedział.

— Chłopcy — mówił Ratliff. —■ Eck wie wszystko o tych koniach. Flem mu powiedział, ile kosztują i ile on i ten z Teksasu zamierzają za nie dostać, zarobić na nich. No, Eck, powiedz nam.

Tamten nie poruszył się, siedząc na najwyższym stopniu schodów, niezupełnie naprzeciw nich, pod kilkoma kolejnymi warstwami ich spokojnego, czujnego i skupionego słuchania i wyczekiwania.

— Nie, wiem — powtórzył.

Ratliff zaczął się śmiać. Siedział rozparty w fotelu, podczas gdy inni przycupnęli na schodach a nawet na poręczy i nad nimi był

jego śmiech, tak jak nad Eckiem ich wyczekująca ciekawość. Ratliff przestał się śmiać i ziewnął szeroko.

— Dobrze. Możecie sobie kupować te zwierzaki, jeśli się wam tak podoba. Ale ja wolałbym kupić sobie tygrysa albo grzechotnika. A jakby Flem Snopes podarował mi którego w prezencie, nie dotknąłbym go palcem, ze strachu, że się okaże farbowanym psem albo kawałkiem gumowego węża do podlewania, kiedy go wezmę do ręki. Dobranoc.

Nie patrzyli za nim, chociaż po chwili wszyscy poruszyli się na swoich miejscach i spojrzeli na pole, na ruchomą, raz po raz przyplływającą i odpływającą falę koni, skąd od czasu do czasu dobiegał nagły pisk albo głucho uderzenie kopyta. Na gałęzi gruszy ptak przedrzeźniacz wyśpiewywał swój głupawy refren.

— Anse McCallum miał dobry zaprząg z tamtej pary — odezwał się jeden z ludzi. — Trochę były za lekkie, ale nic więcej.

Gdy słońce weszło następnego ranka, jeden wóz i trzy osiodłane muły stały już na ścieżce przed furtką pani Littlejohn, a trzech mężczyzn i mały syn Ecka Snopesa czekali już przy płocie, patrząc na konie, zbite w spokojną gromadę przed drzwiami szopy i obserwujące ludzi. Nadjechał drugi wóz i także zatrzymał się na dróżce i teraz już ośmiu mężczyzn, nie licząc chłopaka, stało przy płocie, za którym były konie, wywracające brązowo-niebieskimi oczyma w kolorowych łbach.

— Więc to jest cyrk Snopesa? — powiedział jeden z nowo przybyłych. Rzucił okiem na wszystkie twarze, potem poszedł na koniec rzędu i stanął między kowalem i jego synkiem. — Czy to konie Flema? — spytał kowala.

— Eck wie tyle co i my — odpowiedział jeden z obecnych. — Wie, że Flem przyjechał razem z nimi, bo go widział. Ale nic więcej.

— I nie będzie wiedział więcej — odezwał się drugi. — Krewny Flema będzie ostatnim na świecie człowiekiem, który się dowie czegoś o jego interesach.

— Nie — zaprzeczył pierwszy. — Pierwoczym człowiekiem, któremu Flem powie coś o interesach, będzie ten, który zostanie, kiedy już wszyscy inni wymrą. Flem Snopes nawet sam przed sobą nie zdradza własnych zamiarów. Nawet wtedy, kiedy sam leży w łóżku w pustym domu, w bezksiężycową noc.

— To fakt — powiedział trzeci. — Flem wykiwałby Ecką czy któregośkolwiek ze swoich krewnych równie łatwo jak nas. Nie mam racji, Eck?

— Nie wiem — odpowiedział Eck.

Przypatrywali się koniom, które w tym momencie rozpoczęły jakiś wirowy taniec na sztywnych kolanach, strzygąc uszami, przepływając barwnym korowodem przez pole, potem rozpraszając się znowu i stając na

przeciw gapiów za płotem, tak że dostrzegli człowieka z Teksasu dopiero, gdy się znalazł wśród nich. Miał na sobie nową koszulę i inną marynarkę trochę za ciasną, i akurat\* wkładał pudełko pierników do kieszeni w spodniach.

— Dzień dobry, dzień dobry — powiedział. — Widzę, że przyszlście wcześniej, żeby od razu coś sobie upatrzeć. Możecie zaraz złożyć jakąś ofertę na jedną albo dwie sztuki, zanim zaczną podbijać ceny.

Niedługo spoglądali na Teksańczyka. Nie patrzyli teraz na niego, tylko na konie na polu, które spuściły łby, grzebiąc pyskiem w kurzu.

— Uważam, że najpierw trzeba się przyjrzeć — odezwał się któryś.

— Możecie się przyjrzeć, jak będą jadły śniadanie. I dobrze zasłużone śniadanie, bo nie odpoczywały przez całą noc. — Odsunął barierę i wszedł. Konie natychmiast zaczęły rzucać łbami, spoglądając na niego. — Panie Eck — powiedział Teksańczyk. — Weź pan dwóch albo trzech chłopców i pomóżcie mi je spędzić do szopy.

Po chwili Eck i dwaj inni zbliżyli się do bariery. Niebieskooki chłopczyk szedł tuż za ojcem, choć ten zobaczył go dopiero w chwili, gdy się odwrócił, żeby zamknąć barierę.

— Nie wchodź za płot — powiedział Eck. — Któryś z tych diabłów strąci ci głowę z karku jak żołędź, zanim zdążysz krzyk

nąć. — Założył barierę i poszedł za innymi. Teksańczyk ustawił ich w kształt wachlarza, a sam podszedł do koni, które zaczynały już się kręcić, nie spuszczać z oka ludzi. Pani Littlejohn wyszła z kuchni i przeszła przez podwórze do sterty drewna oglądając się na pole. Wzięła kilka szczap i przystanęła, patrząc znów w stronę pola. Teraz jeszcze dwóch mężczyzn stało pod płotem. — Chodźcie, chodźcie — powiedział Teksańczyk. — Nie zробіą wam nic złego. Po prostu dotychczas nie były jeszcze pod dachem.

— Ja bym je zostawił tutaj, jeżeli tak wolą — powiedział Eck.

— Weźcie sobie kije: tam pod płotem leży cała kupa kłonic, i jak który z nich spóbuje się rzucić, walcie przez łeb, a zrozumie, o co wam chodzi.

Jeden z ludzi podszedł do płotu, wziął trzy kłonicę i rozdał innym. Pani Littlejohn, teraz już z pełnym naręczem drew, zatrzymała się znowu i obejrzała w pół drogi do domu. Mały chłopak stał tuż za plecami ojca, tym razem jeszcze go nie zauważywszy. Ludzie podeszli do koni, które zaczęły się rozpraszać na małe pstre grupki, wirujące w koło. Teksańczyk wymyślał im teraz mocnym, wesołym głosem: — Właźcie do środka, kraby, ślimaki! Nie poganiać tam! Nie muszą się śpieszyć! No, wlaźcie! Co myślicie, co tam jest w tej szopie. Trybunał sądowy? Czy może kościół i boicie się, żeby ktoś nic chodził z tacą?

Zwierzęta wolno ustępowały 7, terenu. Raz po raz któryś próbował oderwać się od siada, ale Teksańczyk zapędzał go 2 powrotem, zręcznie rzucanymi grudkami ziemi. W pew\* nej chwili jeden z koni w tyle gromady zobaczył drzwi stodoły tuż za sobą, ale zanim stado zdążyło się rozproszyć, Teksańczyk wyrwał kłonicę z rąk Ecka i razem z jednym z mężczyzn ruszył do ataku, zaczął walić po łbach i plecach, wybierając nieomylnym instynktem prowadzącą sztukę i uderzając zwierzę najpierw prosto w łeb, a potem po kłębach w momencie\* gdy zaczęło zawracać, potem w grzbiet, kiedy się odwróciło, tak że gdy doszło do rozsypki, stado było odwrócone w przeciwną stronę i ruszyło w długi otwarty korytarz, uderzając łbami o przeciwną ścianę z głuchym grmiącym łoskotem przypominającym tąpnięcie w kopalni. — No, zdaje się, że wszystko w porządku — powiedział Teksańczyk. Z pomocą drugiego człowieka zamknął niskie drzwiczki i spojrzał nad nimi w przeciwną stronę korytarza stajni, gdzie kucyki wyglądały teraz jak stado upiórów tańczących przedziwną sarabandę, której takt wybijało trzeszczenie desek i głuche echa kopyt, z wolna cichnące. — Uff, udało się — P<>\* wiedział Teksańczyk. Tamci dwaj podeszli do drzwiczek, i zajrzeli górą. Mały chłopczyk wysunął się zza ojca, chcąc dojrzeć coś przez szparę, i w tej chwili Eck go zobaczył.

■— Czy nie mówiłem ci, żebyś się tu nie pchał? Nie wiesz, że te konie zabijają cię, nim się spostrzeżesz? Wynoś się w tej chwili i stań za płotem.

— Czemu nie poprosisz taty, żeby ci kupił takiego kucyka, Wall? — powiedział jeden z ludzi.

— Ja miałbym kupować coś takiego? Po co, kiedy mogę w każdej chwili iść do rzeki i złapać sobie żółwia albo zmię wodną za darmo? No, zmykaj, niech cię tu nie widzę.

Teksańczyk wszedł do stajni. Jeden z ludzi zamknął za nim drzwiczki, zasunawszy z powrotem sztabę, i przechyleni nad niskimi wierzejami patrzyli, jak tamten idzie do kucyków, które cisnęły się teraz w mroku jak kolorowe widma, uspokojone trochę i już zaczynające badać zawartość długiego żłobu, ogryzionego przy brzegach, przybitego do tylnej ściany. Chłopak Ecka okrążył tylko ojca z drugiej strony i stał obok zaglądając przez dziurę w desce. Teksańczyk otworzył teraz małe drzwiczki w ścianie i zniknął w nich, ale ukazał się znowu po chwili.

— Nie widzę tu nic oprócz wyłuszczonej kukurydzy — powiedział. — Snopes miał podesłać wczoraj trochę siana.

— A kukurydzy nie chcą jeść? — spytał któryś.

— Nie wiem — powiedział Teksańczyk, — Zdaje mi się, że jeszcze nigdy tego nie widziały. Zaraz się przekonamy. — Znikł i słyszeli, jak się krząta w komórce z paszą. Wy-

szedł znowu niosąc wielki kosz z dwoma uszami i wycofał się w półmrok, gdzie kolorowe zady końskie ustawione były teraz spokojnie rzędem wzdłuż żłobu. Pani Little-john znowu ukazała się na werandzie, tym razem z wielkim gongiem i podniosła go, żeby uderzyć po raz pierwszy. Wśród kucyków zaczął się lekki ruch, kiedy Teksańczyk podszedł, ale zaczął do nich od razu przemawiać swoją zwykłą mieszaniną przekleństw i czułości, po czym zniknął pomiędzy nimi. Ludzie przy drzwiach usłyszeli, jak suchy chrzęst ziaren kukurydzianych w żłobie zagłusza nagle okrzyk zdumienia i grozy. Jedna z desek zatrzęszczała z hałasem, a przed ich oczyma mroczna głębia korytarza rozplynęła się w głośniejszej furii, i podczas gdy patrzyli ponad wierzejami, niezdolni jeszcze się ruszyć, całe wnętrze wybuchło nagle jak płomień obłądną lawiną wierzących kopyt i rzucających się łbów.

— Do sfu diabłów! — krzyknął ktoś. — Uciekać! — Wszyscy trzej odwrócili się i popędzili jak szaleńcy w stronę wozu, Eck na końcu. Kilka głosów krzyczało teraz coś z za płotu, ale Eck nie słyszał ich nawet, aż wreszcie wspinając się w panice przez tylne drzwiczki wozu obejrzał się i zobaczył swego syna zagląającego przez dziurę w drzwiczkach, które w następnej sekundzie znikły, pozostawiając chłopczyka zastygłego jak posąg w swoim małym kombinezonie i jeszcze pochylonego nieco do przodu, póki nie znikł zupełnie pod kolorową, skłębioną, spiętrzoną falą kopyt, błyskających oczu i dzikich zębów, która przewalając się nad nim rozsypała się na drobne cząstki, odkrywając wreszcie kawałek pustej przestrzeni. Pośrodku stał jeszcze mały chłopczyk, nawet nie draśnięty, pochylony, z okiem jeszcze przyłożonym do nie istniejącej dziury w nie istniejącej desce.

— Wall! — ryknął Eck. — Chłopczyk odwrócił się i pobiegł do wozu. Konie śmigają tam i z powrotem po polu, jak gdyby przez ten czas, kiedy były w stajni, znowu podwoiła się ich liczba, dwa z nich rzuciły się galopem i przeskoczyły nad głową chłopca nie trącając go nawet, podczas gdy biegł, małeńki i poważny, zdając się nie posuwać, chociaż dotarł wreszcie do wozu. Eck, którego smagła twarz zbieleła jak twarz chorego, pochylił się i podniósł dziecko za szelki kombinezonu na wóz, przerzucił go twarzą w dół przez swoje kolana i chwycił zwinęty powróż leżący na dnie wozu.

— Czy ci nie mówiłem, żebyś tam nie szedł? — powiedział drżącym głosem. — Nie mówiłem ci?

— Jeżeli ma pan zamiar go zbić, lepiej zbij pan nas wszystkich, to wtedy jeden z nas będzie mógł złoić panu skórę — odezwał się jeden z ludzi.

— Albo jeszcze lepiej weź pan ten powróż i powieś tego drania — powiedział inny. Teksańczyk stał teraz w zdemolowanych

drzwiach stajni wyjmując pierniczek z pudełka w kieszeni. — Zanim wymorduje resztą mieszkańców Sadyby Francuza.

— Pan mówi o Flemie Snopes? — powiedział pierwszy. Teksańczyk przechylił pudełko nad otwartą dłoń drugą ręką. Konie jeszcze galopowały i kręciły się, ale już zaczynały zwalniać, kłusując na wysokich sztywnych nogach, choć jeszcze wywracały białkami oczu różnobarwnych i niedobrych do pary.

— Ta przeklęta kukurydza przez cały czas mi się wydawała podejrzana — powiedział Teksańczyk. — Ale przynajmniej w końcu zobaczyły, jak to wygląda. Nie mogą mieć pretensji, że niczego się nie nauczyły w tej podróży. — Potrząsnął kartonowym pudełkiem nad dłoń, ale nic się nie wysypało. Pani Littlejohn na werandzie uderzyła pierwszy raz w gong na śniadanie. Na dźwięk gongu konie znowu zaczęły się rzucać, aż ziemia zadrgała rozbrzmiewając lekkim, suchym tętentem. Teksańczyk zgniótł i wyrzucił pudełko.

— Do koryta! — powiedział.

Na ścieżce stały teraz jeszcze trzy inne wozy i około trzydziestu ludzi tłoczyło się przy ogrodzeniu, kiedy Teksańczyk, ze swymi trzema pomocnikami i małym chłopcem, przeszedł przez furtkę. Jasne słońce bezchmurnego ranka zapalało refleksy w nabijanej perłową masą rękojeści pistoletu, wystającej z kieszeni spodni, i w miedzianym gongu, w który jeszcze uderzała pani Littlejohn głośno i energicznie.

Kiedy w dwadzieścia minut później Teksańczyk wyszedł z domu dłubiąc w zębach rozłupaną na pół zapalną, uwiązane zaprzęgi, konie wierzchove i muły ciągnęły się od wejścia na pole do sklepu Vamerów i ponad pięćdziesięciu mężczyzn stało wzdłuż płotu spoglądając na przybysza trochę ukradkiem, kiedy zbliżył się nieco chwiejnym krokiem na z lekka krzywych nogach, zagłębiając w kurzu wysokie obcasy swych butów i zostawiając wyraźne ślady na ziemi,

— Dzień dobry, panowie — powiedział. — Chodź no tu, mały — zwrócił się do chłopca, który stał za nim, patrząc na wystającą kolbę pistoletu. Wyjął z kieszeni monetę i dał ją chłopcu. — Pobiegnij do sklepu i przynieś mi pudełko pierników. — Powiódł wzrokiem po otaczających go twarzach cmokając zębami. Obracał zapalną w ustach, nie dotykając jej. — No co, chłopcy, wybraliście już coś pewnie, prawda? Można zaczynać? — Nie odpowiedzieli. Nie patrzyli już na niego, to znaczy, zaczynał doznawać wrażenia, że każdy z nich przestaje na niego patrzeć na sekundę przedtem, nim jego spojrzenie zdążyło dotrzeć do jego twarzy. Po chwili odezwał się Freeman:

— Nie zaczeka pan na Flema?

— Po co? — spytał Teksańczyk. Wtedy Freeman także przestał na niego patrzeć. W jego twarzy nie było nic, tak jak nic,



żadnej zmiany nie było w głosie przybysza. — Eck, pan już wybrał coś dla siebie. Więc możemy już zaczynać, jeżeli jesteście gotowi.

— Uważam, że nie — powiedział Eck. — Ja nie kupię czegoś, do czego boję się podejść i czego nie mam odwagi dotknąć.

— Mówi pan o tych małych kucykach? — spytał Teksańczyk. — Pomagał pan je poić i karmić. Założę się, że pański chłopak mógłby zbliżyć się do każdego z nich.

— Nie radziłbym mu się potem dostać w moje ręce — powiedział Eck.

Teksańczyk rozejrzał się po spokojnych twarzach. Jego spojrzenie nieobecne i bystre zarazem zdawało się nieprzeniknione i twarde jak krzemień, jakby powierzchnia oczu była nieprzenikniona albo jakby nic nie było za nią.

— Te kuce są łagodne jak gołąbki. Kto je kupi, nie pożałuje swoich pieniędzy. Najlepsze konie pod wierzch i do cugu, jakie można dostać za tę cenę. Pewnie, że są żywe, mają temperament, nie handlują padliną. Zresztą, kto by sprowadzał padlinę z Teksasu, kiedy pełno jej w Missisipi. — Jego spojrzenie było nadal nieobecne i nieruchome. Ani śladu wesołości czy irytacji w głosie, tak jak nie było wesołości ani szyderstwa w samotnym śmiechu, który dał się słyszeć gdzieś na tyłach grupy. Dwa wozy zjeżdżały teraz z drogi na ścieżkę. Ludzie wysiedli z nich, uwiązali konie do płotu i podeszli bliżej. — Chodźcie, chodźcie, chłopcy — powiedział Teksańczyk. — W samą porę przychodzicie, żeby kupić łagodnego konia za tanie pieniądze.

— A jak to było z tamtym, co to panu rozdarł marynarkę wczoraj wieczorem? — odezwał się jakiś głos. Tyra razem rozległy się trzy czy cztery tłumione chichoty. Teksańczyk spojrział w tę stronę chłodny, niewzruszony.

— No i co z tego? — powiedział. — Śmiech, jeśli można to było nazwać śmiechem, ucichł. Teksańczyk odwrócił się, podszedł do najbliższego słupa przy barierze i wdrapał się na jego szczyt, ukazując muskularne uda w obcisłych spodniach i kolbę pistoletu chwytającą i gubiącą słońce w perłowych błyskach. Siedząc na słupie patrzył na twarze wzdłuż płotu, poważne, skupione, powściągliwe i nie spoglądające ku niemu.

— Dobra — powiedział. — Kto pierwszy zaczyna? Występujcie naprzód, wybierajcie, ogłaszajcie wasze oferty, a jak ostatni zostanie sprzedany, wejdźcie na pole i bierzcie na postronek najlepsze końskie mięso, pod wierzch albo do cugu, jakie można dostać za pieniądze. Ani jeden nie jest tu wart mniej niż piętnaście dolarów. Młode, silne, dobre pod siodło i do każdej roboty w polu, gwarancja, że każdy przetrwa cztery zwykłe konie, nie dobijesz takiego siekierą. — Zrobił się niewielki, ale gwałtowny ruch na tyłach grupy. Wrócił mały chłopiec torując

sobie drogę pośród nieruchomych kombinezonów. Podszedł do słupa i podniósł w górę nowe pudełko. Teksańczyk schylił się, od- darł kawałek kartonu i wysypał kilka ciasteczek na ręką chłopca, małą i prawie tak czarną, jak łapka szopa. Rozmawiał trzymając pudełko w ręku, wskazując nim konie. — Spójrzcie na tego w trzech skarpetkach i z odmrożonym uchem. Patrzcie teraz, jak znowu będą przechodzić. Patrzcie na ten ruch łopatek, ten koń wart dwadzieścia dolarów jak nic. Kto co daje na początek? — Głos jego był szorstki, swobodny, jak głos adwokata. Pod nim wzdłuż ogrodzenia stali ludzie, ściskając ukryte głęboko w kieszeniach kapciuchy tytoniu lub zniszczone sakiewki, w których znajdowały się srebrne monety albo wystrzępione banknoty zaoszczędzone i przechowywane dotychczas w kominie lub w szparach między deskami ścian. Od czasu do czasu konie rzucały się z bezcelową gwałtownością i zbijały się znów w stado, patrząc na twarze wzdłuż ogrodzenia obłądnymi, różnobarwnymi oczyma. Ścieżka była teraz pełna wozów. W mia\* rękę jak nadjeżdżały, inne musiały stawać na drodze, a siedzący w nich ludzie wysiadali i szli dalej piechotą. Pani Littlejohn wyszła z kuchni. Przeszła przez podwórze, oglądając się w stronę furtki. W rogu podwórza stał okopcony kocioł do prania na czterech ceglach. Rozpałała ogień pod kotłem, podeszła do płotu i stała tam przez chwilą

z rękami na biodrach, na tle niebieskiego dymu, unoszącego się powoli znad ognia. Potem odwróciła się i weszła z powrotem do domu. — No, chłopcy — mówił Teksańczyk. — Kto ile daje?

— Pół dolara — odezwał się jakiś głos. Teksańczyk nawet nie spojrzał w tę stronę.

— A jeżeli tamten się wam nie podoba, co powiecie o tym z głową jak skrzypce, prawie bez grzywy? Pod siodło wolałbym raczej tego niż tamtego w skarpetkach. Słyszałem, jak ktoś mówił o pięćdziesięciu centach. Chyba myślał o pięciu dolarach, prawda? No, więc pięć dolarów.

— Pięćdziesiąt centów za całe stado — powiedział ten sam głos. Tym razem nie było śmiechów. Roześmiał się sam Teksańczyk, ochryple, uśmiechając się tylko dolną częścią twarzy, jakby recytował tabliczkę mnożenia.

— Pięćdziesiąt centów za to błoto, jakie na nich zaschło, chce pan powiedzieć. Kto da jeszcze dolara za tę prawdziwą, najczystsą rasę teksaską?

Pani Littlejohn wyszła z kuchni z przepiłowaną połową beczki drewnianej, postawiła ją obok dymiącego kotła i stała z rękoma na biodrach, spoglądając przez chwilę na pole, ale nie podchodząc tym razem do płotu. Potem wróciła do domu.

— Co z wami, chłopcy? — powiedział Teksańczyk. — Panie Eck, pan mi pomagał i pan zna te konie. Co pan daje za

tego różnookiego, co go pan wybrał wczoraj wieczorem? Patrzcie! Czekajcie chwilę — schował paczkę pierników do kieszeni, wyrzucił nogi do przodu i lekko jak kot zsunął się na dół. Konie, zbite w gromadę, patrzyły na niego. Potem rozsypały się przed nim i sztywno przemknęły wzdłuż płotu. Zawrócił je i zaczęły wirować, i galopować przez pole. Wtedy, jakby czekał na moment, kiedy będą zwrócone do niego tyłem, Teksańczyk także zaczął biec, tak że, gdy dobiegły do przeciwległego końca pola i zawróciły zwalniając biegu, żeby znów się zbić w grupę, był prawie przed nimi. Ziemia zagrzmiała tętentem i zerwała się chmura kurzu, z której zwierzęta zaczęły wyskakiwać jak wypłoszone przepiórki i w którą rzucił się Teksańczyk ze swoją niezwyciężoną wiarą we własną nietykalność. Przez chwilę można ich było dostrzec wśród kurzu: kucyk zagnany w kąt między stajnią a ogrodzeniem i stojący naprzeciw niego mężczyzna sięgający ręką do kieszeni. Potem zwierzę runęło na niego w jakimś rozpaczliwym, świadomie beznadziejnym ataku, a on uderzył je między oczy kolbą pistoletu, powalił na ziemię i skoczył na jego łeb rozciągnięty na płasko. Kucyk ocknął się prawie natychmiast, zdołał wygramolić się na kolana, usiłując wyswobodzić uwięzioną głowę, szamocząc się i pociągając za sobą swego poskromiciela. Przez chwilę widziano człowieka tuż nad ziemią w pozycji prawie poziomej, niby łachman przywiązany do łba konia. Potem nogi Teksańczyka wróciły na stały grunt, kurz opadł i ujrzeli ich obojgu jakby skamieniałych w bezruchu: Teksańczyka z obcasami wbitymi w ziemię, jedną ręką ściskającego grzywę kuczka a drugą jego nozdrza, i długi, złośliwy pysk, wykręcony do tyłu ponad zabliznioną łopatką, oddychający z trudem, wśród tłumionych jęków. Pani Littlejohn znów była na podwórzu, nikt nie wiedział tym razem, kiedy wyszła. Niosła naręcz bielizny i tarę z karbowanej blachy, i stała przez chwilę na kuchennych schodach, spoglądając na pole. Potem przeszła przez podwórze, oglądając się, i wrzuciła bieliznę do balii, nie przestając się oglądać.

— Patrzcie na niego, chłopcy — dyszał Teksańczyk, odwracając w stronę płotu purpurową twarz i oczy, które wyszły z orbit i ciskały błyskawice. — Patrzcie teraz na niego! Widzicie te łopatki i te... — Na chwilę rozluźnił uścisk, zwierzę znowu ruszyło do ataku i przez ułamek sekundy Teksańczyk znowu znalazł się nad ziemią, choć nie przestał mówić — ... te nogi... och, czekaj, ty diable, ja ci pokażę... patrzcie, chłopcy, koń wart piętnaście dolarów... czekaj, niech cię tylko złapię... kto ile daje.,, ach, ty stara krowo, przekłety króliku! — Poruszyli się teraz, kalejdoskop splecionej jak labirynt i niewia-rogodnej furii, w którym migotały w słońcu metalowe sprzączki szelek Teksańczyka niby

połyskliwy krąg obracający się,» bez przerwy z przerażającą powolnością. Potem szeroki kapelusz barwy gliny zdecydowanym ruchem wbił się w górę, a w chwilę później Teksańczyk poszedł jego śladem, chociaż jeszcze był na nogach, a kucyk uwolnił się nagle w szaleńczych jelenich susach. Teksańczyk podfóśł kapelusz, otrzępał go z kurzu o kolano, wrócił do płotu i wdrapał się z powrotem na słup. Oddychał ciężko. W dalszym ciągu nie patrzyli, kiedy wyjął pudełko, wytrząsnął ciastko na dłoń i włożył je do ust, żując, sapiąc ochryple. Pani Littlejohn odwróciła się i zaczęła przelewać wodę z kotła do balii, choć po każdym przelanym wiadrze odwracała głowę, spoglądając na konie.

— No, chłopcy — powiedział Teksańczyk — kto teraz powie, że kucyk nie wari piętnastu dolarów? Gdzie dostaniecie tyle dynamitu za jedne piętnaście dolarów? Każdy z nich polraii zrobić milę w trzy minuty. Wypędzicie je tylko na pastwisko, a same zadbają o swoje utrzymanie. Możecie nimi orać cały dzień, a ile razy się wam przypomni, grzmotnijcie orczykiem prze?: łeb, a po dwóch dniach każdy łak spokojnie, że trzeba go będzie w nocy wyganiać z domu, jak kota. — Wytrząsnął jeszcze jedno ciastko z pudełka i zjadł. — No, panie Eck — powiedział — zaczynaj pan. Co pan powie o dziesięciu dolarach za lego konia?

— Po co mi taki koń, na którego muszę zastawiać niedźwiedzią pułapkę, żeby go złapać? — powiedział Eck.

— Nie widział pan przed chwilą, że go złapałem?

— Widziałem — powiedział Eck. — i wolę zwierzę mniejsze od konia, jeżeli mam się z nim mocować za każdym razem, kiedy się znajdę po leją samej stronie ogrodzenia co ono.

— Dobrze — powiedział Teksańczyk. — Jeszcze sapał, ale nie znać było po nim zmęczenia ani braku tchu. Wytrząsnął jeszcze jedno ciastko na dłoń i wetknął je pod wąsy. — Dobrze. Chcę, żeby się raz wreszcie zaczęła sprzedaż. Nie mam zamiaru lu zamieszkać, choćbyście nie wiem jak zachwalali mi swój kraj. Dam panu lego konia. — Przez chwilę nie słyhać było najmniejszego dźwięku, nawet oddechu, prócz sapania Teksańczyka.

— Da mi pan go za darmo? — spytał Eck.

— Tak. Pod warunkiem, że zacznie pan targ na następnego. — Znowu nic nie było słyhać prócz oddechu Teksańczyka, a potem stukania czerpaka pani Littlejohn o brzeg koła.

— ■ Zacznę licytację — powiedział iick. — Nie muszę go kupować, jeżeli nikł nie da \* więcej niż ja.

Jeszcze jeden wóz wjechał na ścieżkę, zniszczony i nie pomalowany. Jedno ko

ło zreperowane było przy pomocy dwóch skrzyżowanych desek, przymocowanych do

szprych drutem. Dwa niedożywione muły miały nędzną uprzęż połataną tu i ówdzie kawałkami bawełnianego sznura, lejce były także ze zwykłego starego postronka. Na wozie siedziała kobieta, w bezkształtnej szarej sukni i spłowiałym kapeluszu od słońca, i mężczyzna w wyblakłym i połatany, ale czystym kombinezonie. Na ścieżce nie było już gdzie zboczyć, żeby z niej wyjechać, toteż zostawili wóz tam gdzie był, mężczyzna wysiadł i poszedł naprzód — szczupły mężczyzna niewielkiego wzrostu z wypłowiałymi oczyma, w których było coś dziwnego, jakaś intensywność, a jednocześnie zupełny brak wyrazu. Przepchnął się przez tłum, mówiąc:

— Co to jest? Dał mu tego konia?

— W porządku — powiedział Teksańczyk. — Ten różnooki koń z blizną na szyi należy do pana. Dobra. Teraz ten, co wygląda, jakby się zanurzył w beczce z mąką. Co pan powie? Dziesięć dolarów?

— Czy on mu dał tego konia? — dopytywał się nowo przybyły.

— Jeden dolar — powiedział Eck. Teksańczyk otworzył już usta, żeby coś powiedzieć i w tej chwili twarz jego zgasła za patrzącymi oczyma.

— Jeden dolar? — powtórzył. — Czy dobrze słyszałem?

— Niech to diabli — powiedział Eck. — Więc dwa dolary. Ale ja nie...

— Zaczekaj pan — powiedział nowo przy-

były. — Pan, na tym słupie. — Teksańczyk spojrział na niego. Odwróciwszy się tamci zobaczyli, że kobieta także zeszła z wozu, choć nie wiedzieli przedtem, że tam była, bo nie widzieli, jak wóz nadjeżdża. Weszła między nich, chuda, w szarej workowatej sukni, w kapeluszu od słońca i w poplamionych płóciennych pantoflach gimnastycznych. Zbliżyła się do męża, ale nie dotknęła go, stanęła tylko za nim z założonymi rękoma.

— Henry — powiedziała pustym głosem. Mężczyzna obejrzał się.

— Wracaj na wóz — powiedział.

— Proszę pani — wołał Teksańczyk — Henry za chwilę zrobi najlepszy interes w swoim życiu. Chłopcy, puśćcie no panią naprzód, niech podejście bliżej, żeby się mogła przyjrzeć. Henry wybierze wspaniałego konia pod siodło, najwspanialszego, jakiego pani sobie życzy.

— Henry — powiedziała kobieta. Nie podniosła głosu. Nie spojrzała ani razu na Teksańczyka. Dotknęła ramienia męża. Odwrócił się i strącił jej rękę.

— Wracaj na wóz, jak ci powiedziałem, — Kobieta stała za nim z rękoma wciąż na brzuchu. Mówiąc nie patrzyła na nic, nie zwracała się do nikogo.

— Nie wie już, co robić z rozpacz, tylko musi kupować coś takiego — powiedziała, — A jak wydamy te pięć dolarów, to pójdziemy do przytułku. Wstydu nie ma ten człowiek. — Mężczyzna odwrócił się do niej

z tym jakimś dziwnym wyrazem sflumionej, sennej złości. Inni stali wciąż przy płocie, poważni, nie zwracając uwagi na widowisko, zapominając o nim prawie. Pani LitLlejohn już od pewnego czasu zajęta była praniem, pochylona nad balią z mydlinami. Teraz stała znów wyprostowana, z namydlonymi rękoma na biodrach, patrząc na pole.

— Zamknij gębę i wracaj do wozu! Chcesz, żebym cię zdzielił kłonicą? — powiedział mężczyzna. Odwrócił się i spojrzął na Tek- sańczyka. — Dałeś mu pan tego konia? — spytał. Teksańczyk patrzył na kobietę, potem spojrzął na mężczyznę. Nie spuszczać zeń wzroku przechylił pudełko nad otwartą dłoń. Wypadło tylko jedno ciasteczko.

— Tak — powiedział.

— A ten, kto zacznie licytację na następnego konia, też dostanie tego pierwszego?

— Nie — odrzekł Teksańczyk.

— Dobrze — powiedział mężczyzna. — A czy pan da konia temu, kto pierwszy powie cenę na następnego?

— Nie — powiedział Teksańczyk.

— To jeżeli pan zaczynał licytację od podarowania konia, czemu pan nie zaczekał, aż będą wszyscy?

Teksańczyk przestał patrzeć na niego. Podniósł pudełko, zajrzał ostrożnie do środka, jakby mogło zawierać jakiś cenny klejnot albo może śmierniowski owad. Potem zgniół je i rzucił osłownie koło słupa, na którym siedział.

— Eck daje dwa dolary — powiedział. — On zdaje się myśleć wciąż jeszcze, że kupuje te kawałki drutu, którymi były związane, a nie konie. Ale zgadzam się. Tylko czy wy...

— W takim razie Eck dostaje dwa konie po dolarze — przerwał nowo przybyły. Kobieta znów dotknęła jego ramienia. Odtrącił jej dłoń, nie odwracając się ku niej. Nie odeszła, została na miejscu, z rękoma założonymi na brzuchu, nie patrząc na nic.

— Panowie — powiedziała — w domu są dzieci, co przez całą zimę chodziły bez butów. Nie mamy czym karmić bydła. Zostało nam całego dobytku pięć dolarów i to ja je zarobiłam, tkając -wieczorami przy świetle ognia w piecu. A ten wstydu nie ma...

— Henry daje trzy dolary — powiedział Teksańczyk. — Dodaj pan jeszcze dolara, Eck, i koń należy do pana.

Po drugiej stronie bariery konie ruszyły nagle galopem bez żadnej przyczyny i równie nagle stanęły, przyglądając się twarzom wzdłuż płotu.

— Henry — powiedziała kobieta. Mężczyzna patrzył na Eckę. Pod górną wargą widać było jego połamane, szerniałe zęby. Zaciskał pięści wysunięte z rękawów koszuli, za krótkich od częstego prania. .

— Cztery dolary — powiedział Eck.

— Pięć dolarów — zawołał przybysz podnosząc zaciśniętą pięść. Przepchnął się naprzód w stronę bariery. Kobieta nie szła za

nim. Spojrzała teraz na Teksańczyka pierwszy raz. Jej oczy także były szare, jak gdyby i one wyblakły, podobnie jak suknia i kapelusz.

— Panie — powiedziała. — Jeżeli weźmie pan za jedno z tych bydła te pięć dolarów, co je zarobiłam dla moich dzieci, przekleństwo padnie na pana i pana rodzinę na wieczne wieki wieków.

— Pięć dolarów! — krzyczał jej mąż. Przcisnął się do samego słupa, podnosząc zaciśniętą pięść na wysokość kolan Teksańczyka. Otworzył ją, ukazując zwitek zgniecionych banknotów i kilka srebrnych monet. — Pięć dolarów. A kto powie więcej, będzie musiał strącić mi głowę z karku albo ja strączę jemu.

— Dobra — powiedział Teksańczyk. — Stoi pięć dolarów. Ale nie machaj mi pan pięścią przed nosem.

O piątej tego samego popołudnia Teksańczyk zgniół trzecie pudełko po piernikach i rzucił je na ziemię. W poprzek pola, gdzie jeszcze kręciły się konie w swym niestrudzonym i bezcelowym galopie, padał długi cień jego i słupa, na którym siedział, w miedzianym blasku słońca, bliskiego już zachodu, oświetlającym także sznur wypranej bielizny na podwórzu pani Littlejohn. Teksańczyk wyprostował nogę, wsunął rękę do kieszeni, wyjął monetę i pochylił się do małego chłopca. Głos jego był już ochrypły i wyczerpany. — Masz tu miedziaka, mały, biegnij do sklepu i przynieś mi pierników, —

Ludzie stali jeszcze wzdłuż płotu, niestrudzeni, w kombinezonach i spłowiałych koszulach. Był teraz Flem Snopes, który pojawił się nagle, nie wiadomo skąd, i stał z dala od innych, mając po obu stronach kawałek wolnej przestrzeni, gdzie mogłoby się zmieścić trzech czy czterech mężczyzn, żując tytoń, niewzruszony w tej niewielkiej, lecz wyraźnej izolacji, w tych samych szarych spodniach i z małym krawatem, ale w nowej czapce, szarej jak tamta, tylko nowej, spoglądając także na konie. Wszystkie z wyjątkiem dwóch zostały sprzedane, po cenach od trzech i pół do jedenastu i dwunastu dolarów. Ich nabywcy zebrali się jakby instynktownie w osobnej grupie i stali z rękoma na górnym drucie ogrodzenia, obserwując z tym większą uwagą zwierzęta, których właścicielami byli od siedmiu czy ośmiu godzin, choć jeszcze nie dostali ich do rąk.

Mąż szarej kobiety, Henry, stał przy słupie, na którym siedział Teksańczyk. Żona była już z powrotem na wozie, szara i szaro ubrana, nieruchoma, nie patrząc na nic, jak martwy przedmiot, załadowany w celu przewiezienia go na inne miejsce, czekając, aż mąż będzie gotów i pojedą dalej, cierpliwa, nieczuła, istniejąca poza czasem.

— Kupiłem konia i zapłaciłem gotówką — powiedział Henry. Jego głos także był ochrypły i wyczerpany. Oblędne oczy wydawały się szklane i nawet puste, pozbawione spoj-

rzenia. — Pan się pewnie spodziewa, że będę tu sterczał, dopóki wszystkich pan nie sprzeda. Może się pan spodziewać, ale ja zabieram mego konia i jadę do domu.

Teksańczyk spojrział w dół ze słupa. Jego koszula była mokra od potu, twarz spokojna i chłodna, głos równy:

— No to bierz pan swego konia — Henry rozejrzał się. Stał z pochyloną głową, przetykając powietrze od czasu do czasu.

— Nie złapie mi go pan?

— To nie mój koń — powiedział Teksańczyk obojętnie. Po chwili Henry podniósł głowę nie patrząc na niego,

— Kto mi pomoże złapać mego konia? — spytał. Nikt nie odpowiedział. Stali wzdłuż ogrodzenia patrząc spokojnie na pole, gdzie konie kuliły się teraz do siebie, zaczynając już tracić barwę w coraz dłuższym cieniu domu. Z kuchni pani Littlejohn dolatywał zapach smażonej szynki. Hałaśliwa chmara wróbli przeleciała nad polem i usiadła na drzewie mydleńcowym koło domu; w błękicie nad nimi nurzały się jaskółki zataczając błędne niezdecydowane koła, a ich rozlegające się raz po raz krzyki przypominały głosy strun uderzanych na ślepo. Nie oglądając się Henry zawołał: — Przynieś mi tu linę. — Po chwili poruszyła się. Zeszła z wozu i niosąc zwój nowego sznura zbliżyła się do męża. Wziął sznur z jej ręki i podszedł do bariery. Teksańczyk zaczął sztywno złazić ze słupa, kiedy Henry położył rękę na barierze. — Chodź tu — powiedział do żony. — Stała nieruchomo, kiedy brał od niej sznur. Teraz poruszyła się znowu, z rękami na brzuchu, przechodząc obok Teksańczyka, nie patrząc na niego.

— Niech pani tam nie idzie — powiedział. — Przystanęła nie patrząc na niego, nie patrząc na nic. Mąż otworzył furtkę, wszedł na pole i odwrócił się, trzymając barierę otwartą, ale nie podnosząc oczu.

— Chodź tutaj — powiedział.

— Niech pani tam nie wchodzi — powtórzył Teksańczyk. Żona stała nieruchomo między nimi, z twarzą niemal zupełnie ukrytą w kapeluszu, z rękoma założonymi na brzuchu.

— Lepiej wejdę — powiedziała. Inni mężczyźni nie patrzyli wcale na nią ani na jej męża. Stali wzdłuż ogrodzenia poważni i spokojni, nie zważając na nich, jakby zaprzętnięci czym innym. Kobieta przeszła przez otwartą barierę. Henry zamknął ją i skierował się w stronę stłoczonego stada. Żona szła za nim w szarej, workowatej sukni, w której poruszała się tak, że nie było widać ruchu, niby jakiś przedmiot na pływającym pomoście, na tratwie. Konie nie spuszczały z nich wzroku. Zbijały się w grupki, mieszały się, zamieniały z sobą miejsca, gotowe rozproszyć się w każdej chwili, ale jeszcze nie rozproszone. Mąż krzyczał i przeklinał idąc naprzód, za nim posłusznie szła żona. Wtedy stado rozsypało się, zwierzęta zaczę-



ły poruszać się na wysokich, sztywnych kolanach, okrążając dwoje ludzi, którzy odwracali się i znów szli ich śladem, w miarę jak stado rozpraszano się i gromadziło na nowo po przeciwległej stronie pola.

— Jest tutaj — powiedział mąż. — Zapędź go w ten kąt.

Stado rozdzieliło się. Koń, którego kupił Henry, kłusował na sztywnych nogach. Żona krzyknęła na niego, zaczął harcować, potem zatrzymał się i dał nura naprzód. Wtedy mąż uderzył go przez pysk zwiniętym sznurem, koń zawirował i wpadł w ogrodzony róg pola. — Trzymaj go tam — powiedział mąż. Rozwijał linę idąc naprzód. Koń obserwował go chwilę z dzikim błyskiem w oczach, potem ruszył znowu prosto na żonę. Krzyknęła i zamachała ramionami, ale minął ją długim susem i przyłączył się znowu do stada. Po krótkim pościgu zapędzili go znowu w inny kąt i znowu żona nie potrafiła zatrzymać zwierzęcia broniącego swej wolności. Wtedy mąż odwrócił się i uderzył ją zwiniętym sznurem. — Dlaczego- goś mu nie zabiegła drogi? — powiedział. — Dlaczego? — znowu ją uderzył. Nie ruszała się, nawet nie próbowała zasłonić się ramieniem. Ludzie stali przy płocie spokojnie, pochyliwszy głowy, jakby przyglądali się ziemi pod stopami. Tylko Flem Snopes patrzył jeszcze na pole ze swojej małej wysepki, żując tytoń ze swoim charakterystycznym ruchem szczęk, pod nową sukienną czapką.

Teksańczyk powiedział coś nie głośno, szorstko i krótko. Wszedł na pole, zbliżył się do Henry'ego i wyrwał mu podniesiony sznur z ręki. Tamten zatoczył się, jakby miał na niego skoczyć, pochylony lekko, ze zgiętymi kolanami, rękoma odsuniętymi od boków, chociaż jego spojrzenie nie pobiegło wyżej niż na wysokość zakurzonych butów Teksańczyka. Wtedy ten wziął go za ramię i podprowadził z powrotem w kierunku bariery, żona postępowała za nimi. Trzymał dla niej otwartą barierę, potem opuścił ją na dół. Wyjął zwitek banknotów z kieszeni spodni, odrzucił rachunek i włożył pieniądze do rąk kobiety. — Niech go pani zaprowadzi na wóz i jedźcie do domu — powiedział.

— Dlaczego? — spytał Flem Snopes. Podeszedł bliżej i stał teraz koło słupa, na którym przedtem siedział Teksańczyk. Cudzoziemiec nie spojrzał na niego.

— On myśli, że kupił jednego z kucyków — powiedział. Mówił głosem spokojnym, bezbarwnym, jak ktoś po długim wysiłku. — Niech go pani stąd zabierze, proszę pani.

— Oddaj mu z powrotem te pieniądze — powiedział mąż martwym, zmęczonym tonem. — Kupiłem tego konia i mam zamiar go zabrać, choćbym go miał zastrzelić, nim mu nałożę powróż na szyję. — Teksańczyk nie spojrzał na niego.

— Niech go pani stąd wyprowadzi — powiedział.

— Pan odbierze swoje pieniądze, a ja odbiorę mego konia — powiedział mąż. Dygotał teraz lekko i miarowo, jakby z zimna. Jego dłonie otwierały się i zamykały pod wystrzępionymi mankietami koszuli. — Oddaj mu to.

— Pan nie kupił ode mnie żadnego konia — powiedział Teksańczyk. — Niech go pani zaprowadzi do domu, proszę pani.

Mąż podniósł swoją zgaszoną twarz i szklane oczy, błędne oczy. Wyciągnął rękę. Kobieta trzymała zwitek banknotów w rękach złożonych na brzuchu. Po chwili trzęsąca się dłoń wyjęła z nich pieniądze.

— To mój koń — powiedział. — Kupiłem go. Ci ludzie widzieli. Zapłaciłem za niego. Oto pieniądze. — Odwrócił się i wyciągnął banknoty w stronę Snopesa. — Pan dysponuje tymi końmi. Kupiłem jednego. Tu są pieniądze. Kupiłem. Niech go pan zapyta. — Snopes wziął banknoty. Inni stali poważni, niewzruszeni, w niedbałych pozach wzdłuż ogrodzenia. Słońce już zaszło, tylko liliowy cień padał na nich i na pole, gdzie jeszcze raz i bez żadnej przyczyny konie zaczęły harcować. W tej chwili nadbiegł mały chłopak, niestrudzony dotychczas i niezniechęcony, z paczką pierników. Teksańczyk wziął ją, choć nie otworzył jej od razu. Rzucił linię na ziemię i teraz mąż schylił się, macając przez chwilę grunt, zanim ją podniósł. Potem stał ze spuszczoną głową, zaciskając zbieleńca palce wokół liny. Kobieta stała nieruchomo.

Zmierch zbliżał się wielkimi krokami. Na wysokim błędnym lazurze obracała się ostatnia karuzela jaskółek. Teksańczyk od- darł wierzch pudełka i wysypał jedno ciastko na rękę, zdawał się obserwować dłoń zamykającą się powoli nad ciastkiem, póki spomiędzy palców nie zaczął się sypać delikatny proszek koloru tytoniu. Wytarł starannie rękę o udo, podniósł głowę i rozejrzał się wokół. Zobaczywszy małego chłopca oddał mu pudełko z powrotem.

— Trzymaj, mały — powiedział. Potem spojrzał na kobietę i dodał spokojnym, równym głosem: — Pan Snopes jutro odda pani pieniądze. Lepiej niech go pani teraz odprowadzi do wozu i odwiezie do domu. On nie kupił tego konia. Dostanie pani jutro z powrotem pieniądze od Snopesa. — Kobieta odwróciła się, poszła do wozu i wsiadła. Nikt nie patrzył na nią ani na męża, który stał wciąż na tym samym miejscu, z pochyloną głową, przekładając sznur z ręki do ręki. Przechylali się ponad ogrodzeniem, poważni i dalecy, jakby za drutami rozciągała się inna ziemia, inny czas.

— Ile panu zostało? — spytał Snopes. Tek- ksańczyk przebudził się, wszyscy jakby się przebudzili, zaczęli wracać do siebie, nastawiać uszu...

— Jeszcze trzy — powiedział Teksańczyk. — Zamienię je wszystkie trzy na powóz albo na...

— Jest na drodze — pośpieszył Snopes

z odpowiedzią dość krótką i suchą i odwrócił się. — Niech pan zabierze swoje muły. — Oddalił się ścieżką. Patrzyli, jak Teksańczyk zawraca, przechodzi przez pole pomiędzy końmi, które znów harcowały przed nim, ale już bez dawnej nedorzecznej pasji, jakby i one były zmęczone, wyczerpane tym długim dniem, wchodzi do stodoły i wychodzi, prowadząc dwa zaprzężone muły. Wóz stał w szopie obok stodoły. Teksańczyk wszedł tam i wrócił w chwilę później, niosąc swój tobołek z pościelą i płaszcz i podprowadził muły w stronę furtki. Kuce znów stulone razem obserwowały go swymi różnokolorowymi, nie dobranymi do pary oczyma, spokojne już, jak gdyby one także rozumiały, że nie tylko nastąpiło między nimi zawieszenie broni, nareszcie, ale że już nigdy nie zobaczą go więcej do końca życia. Ktoś podniósł barierę. Teksańczyk przeprowadził muły i wszyscy odjechali za nim równocześnie, pozostawiając męża stojącego przed zamkniętą furtką, wciąż z pochyloną głową i ze zwiniętą liną w ręku. Minęli wóz, w którym siedziała kobieta, w szarej sukni zacierającej się w zmierzchu, prawie tej samej barwy co ona i równie cichym, przejechali obok sznura z rozwieszoną, schnącą bez wiatru bielizną, pośród ciepłych żywych zapachów pieczonej szynki, dolatujących z kuchni pani Littlejohn. Z końca ścieżki widać było księżyc prawie w pełni, ogromny i błady, jeszcze bez blasku, na niebie, którego nie opuściło jeszcze światło dnia. Snopes stał na końcu ścieżki przy pustym wehikule. Był to ten sam powozik z błyszczącymi kołami i 7. parasolem, w którym niegdyś jeździli on i Varner. Teksańczyk także nie poruszył się, patrząc na powóz.

— Bardzo dobrze — powiedział. — Więc to ten.

— Jeżeli się panu nie podoba, może pan wrócić na grzbiecie muła do Teksasu.

— Świetny pomysł — powiedział. — Potrzebny mi tylko puszek do pudru albo przynajmniej mandolina, żeby w nim jeździć. — Podprowadził muły tyłem do dyszla i założył chomąto. Dwóch ludzi wyszło naprzód i umocowało mu szleje. Potem patrzyli, jak wsiada do kabrioletu i podnosi lejce.

— Dokąd pan jedzie? — spytał ktoś. —

Z powrotem do Teksasu?

— W tym? — powiedział Teksańczyk. — Nie dojechałbym do pierwszej knajpy w Teksasie, nie alarmując straży obywatelskiej. Zresztą nie będę marnował tego koronkowego dachu i tych kół jak wrzeczona na drogach Teksasu. Skoro już wybrałem się w tę daleką podróż, pewnie skoczę na jeden lub dwa dni do północnych miast, żeby je zwiedzić. Waszyngton, Nowy Jork, Baltimore. Jaka jest najkrótsza droga stąd do Nowego Jorku? — Nie wiedzieli. Ale wytłumaczyli mu, jak jechać do Jefferson.

— Wziął pan od razu dobry kierunek —

powiedział Freeman. — Niech pan tylko je- dzie cały czas prosto, koło szkoły.

— Dobra — powiedział Teksańczyk. — Pamiętajcie dać od czasu do czasu po łbie waszym kucykowi, póki się z wami nie oswoją. Wtedy nie będziecie mieć z nimi żadnego kłopotu. — Podniósł znowu lejce. Wtedy Snopes wysunął się naprzód i wsiadł do powoziku.

— Pojadę z panem do Varnerow — powiedział.

— Nie wiem, czy będę tamtędy przejeżdżał — odparł Teksańczyk.

— Może pan dojechać do miasta tamtą drogą — powiedział Snopes. — Teksańczyk potrząsnął lejcami.

Potem rzekł:

— Oho — wyprostował nogę i włożył rękę do kieszeni. — Słuchaj no, mały — zwrócił się do chłopczyka — skocz do sklepu i... albo nie, sam się zatrzymam i kupię, jeżeli i tak przejeżdżam tą drogą. No, chłopcy — powiedział — trzymajcie się, wszystkiego dobrego. — Ruszył naprzód. Patrzyli za oddalającym się powozikiem.

— Ja myślę, że on zamierza dojechać do Jefferson od tyłu — odezwał się Quick.

— W każdym razie straci na wadze, zanim tam dojedzie — powiedział Freeman. — Może się tam łatwo dostać, z jakiej strony zechce.

— Tak — powiedział Bookwright, — Nie będą go zdradzać brzęczące kieszenie.

Wrócili na pole, przeszli wąską ścieżką

między dwoma rzędami cierpliwych, nieruchomych zaprzęgów, mijając stojący na końcu wóz, w którym siedziała kobieta. Jej mąż stał wciąż jeszcze koło furtki ze zwiniętą liną i ciemność zapadła już zupełna. Samo światło nie zmieniło się tak bardzo, było może nawet jaśniejsze, ale tą jasnością księżycową z drugiego świata, tak że gdy znów stanęli przy płocie, splątane, różnobarwne ciała koni miały wyrazistość a nawet blask, ale bez jakiegoś indywidualnego kształtu i wymiarów — nie były to już konie z mię\* sa i kości i wydawały się w tej chwili obce swojej niszczycielskiej pasji.

— No, na co czekamy? — odezwał się Freeman. — Żeby poszły spać?

— Lepiej przygotujmy najpierw lassa — powiedział Quick. — Niech każdy poszuka swego. — Okazało się, że niektórzy nie mają lin. Wyjechawszy rano z domów nie słyszeli

o sprzedaży koni. Dowiedzieli się o tym przypadkiem, przejeżdżając przez wieś, i zatrzymali się tutaj.

— Idźcie do wsi, do sklepu — powiedział Freeman.

— Sklep już o tej porze zamknięty — zauważył Quick.

— Nie — powiedział Freeman. — Gdyby był zamknięty, Lump Snopes byłby tutaj.

Podczas gdy jedni wyciągali swoje sznury z wozów, inni poszli do sklepu. Subiekt akurat go zamykał.

— Jeszcze nie zaczęliście ich łapać, co? —

spytał. — To dobrze, bałem się, że nie zdążę na czas. — Otworzył z powrotem drzwi i wśród mocnych zastarzałych, nigdy nie wietrzonych zapachów sera, skóry i melasy, zaczął odmierzać i ciągnąć liny. Potem wszyscy razem z subiektem, który nie przestał gadać, chociaż go nikt nie słuchał, wrócili drogą na pole. Grusza przed furką wyglądała teraz w blasku księżyca jak srebrna. Ptak przedrzeźniacz z ostatniej nocy, albo • inny, siedział już na gałęzi i zobaczyli teraz uwiązany przy płocie wóz Ratliffa.

— Czegoś mi brakowało przez cały dzień — odezwał się któryś. — Ratliffa tu ni© było, żeby nam udzielać rad.

Pani Littlejohn była na podwórzu i zdejmowała wypraną bieliznę ze sznura. Z kuchni dolatywał jeszcze zapach szynki. Inni czekali przy barierze, za którą konie, spędzone znowu razem, wyglądały jak widma ryb, bez-nogie bryły, zawieszane w zdradliwej jasności księżyca.

— Uważam, że najlepiej łapać po jednym na raz — powiedział Freeman.

— Po jednym — powiedział mąż, Henry. Wyglądał jakby od chwili, kiedy Teksań- czyk wyprowadził muły przez furkę, poruszył się tylko raz, by podnieść ręce do górnego drąga bariery i w jednej z nich trzymał wciąż zwiniętą linę. — Jednego na raz! — powtórzył. Zaczął kląć zmęczonym, monotonnym głosem. — Więc po to sterczałem tu przez cały dzień i czekałem na tego... —

Zaklął. Zaczął potrząsać furką, szarpiąc nią ze znużoną wściekłością, dopóki ktoś inny nie wyciągnął kołka i nie otworzył bariery. Henry wszedł wraz z innymi, mały chłopiec pchał się przez cały czas tuż za ojcem, aż wreszcie Eck go zauważył.

— Daj mi ten sznur — powiedział. —I wynoś się stąd.

— Oj nie, tata — prosiło dziecko.

— Nie ma mowy. Te bestie cię zabiją. Już raz o mały włos tego nie zrobiły rano. Zostań tutaj.

— Ale mamy dwa do złapania. — Przez chwilę Eck stał spoglądając na chłopca.

— Prawda — powiedział, — Mamy dwa. Ale trzymaj się blisko mnie. I jak kTzyknę, żebyś uciekał, to uciekaj. Słyszysz?

— Rozstąpcie się, chłopcy — powiedział Freeman. — Trzymajcie je przed nami.

Zaczęli się posuwać nierówną półkolistą linią, każdy ze sznurem w ręku. Kucyki były teraz po przeciwległej stronie pola. Jeden z nich zarżał, zaczęły zmieniać miejsce wewnątrz grupy, ale nie rozsypując się jeszcze. Freeman obejrzawszy się zobaczył chłopca. — Zabierzcie stąd tego szczeniaka — powiedział.

— Lepiej odejść — powiedział Eck. — Wracaj i usiądź lam na wozie. Stamtąd wszystko zobaczysz, jak będziemy łapać.

Chłopak zawrócił i podreptał w kierunku szopy, gdzie stał wóz.. Ludzie posunęli się w szeregu, Henry trochę dalej niż inni.

— Uważajcie teraz — powiedział Free- man. — Może najpierw spróbujemy zapędzić je do stajni.

W tej chwili stado rozpiezchło się. Konic pobiegły w dwóch kierunkach wzdłuż ogrodzenia. Ludzie na obu końcach półkola rzucili się biegiem, machając rękoma i krzyżąc: — Zagrozić drogę! — wołał Free- man. — Zawróćcie je! — Zawrócili stado, pędząc je z powrotem ku sobie, zwierzęta stawały dęba i zataczały kola w krótkich zrywach, splątane jak żywy kłęb i niesamowite. — Trzymajcie je teraz! — wołał Free- man. — Nie dajcie im wymknąć się bokiem. — Linia posunęła się znowu. Rek odwrócił się. Nie wiedział dlaczego, może usłyszał coś, jakiś dźwięk. Chłopczyk był znowu za nim.

— Czy ci nie mówiłem, żebyś wrócił i został na wozie? ■— powiedział Eck.

— Patrz, tata — wołał chłopak. — Tutaj jest. To jest nasz! — Był to koń, którego Teksańczyk dał Eckowi. — Łap go!

— Zejdź mi z drogi — powiedział Eck. — Wracaj na wóz.

Linia, wciąż się posuwała. Kuce wirowały, zbijały się w grupy stopniowo gnane w tył, w kierunku otwartych drzwi stajni. Henry był jeszcze na przedzie, lekko pochylony, z jego chudej postaci nawet w mglistym świetle księżycy emanowało coś na kształt wygastej furii. Pstra gromada zwierząt zdawała się poruszać przed sunącą naprzód li

nią jak kula śniegowa, którą popychali przed sobą jakimiś niewidzialnymi sposobami coraz bliżej i bliżej czarnej otchłani drzwi stajennych. Później stało się jasne, że kucyki, których całą uwagę zaprzęta li goniący je ludzie, nie zauważyły, że stajnia jest tuż za nimi, póki nie zostały wepchnięte w jej mroki. Wtedy jakiś nie dający się opisać odgłos, jakiś ruch rozpaczliwy i obłądny podniósł się wśród nich i przez sekundę zastygłej, nieruchomej grozy ludzie i zwierzęta stali z sobą oko w oko, potem ludzie zawrócili i zaczęli uciekać przed pстрыm potokiem dzikich głów i kolorowych grzbietów, który pogrążył ich, rozproszył i rzucił

0 ziemię, zmiatając na bok i całkowicie usuwając z pola widzenia Henry'ego i małego chłopca; żaden z nich nie poruszył się, cho- s, ciaz Henry wyrzucił w górę oba ramiona trzymając wciąż zwój sznura. Stado popędziło przez pole do bariery, którą ostatni z przechodzących zostawił otwartą, rozwalając całą furtkę z wyjątkiem pionowego słupa, gdzie były umocowane zawiasy, i runęło na wozy i zaprzęgi zapełniające ścieżkę. Muły skakały i wierzgały, zrywając lejce

1 sprzączki. Potem cały splątany kłęb uderzył o wozy i odpłynął, rozdzielając się wokół tego, w którym siedziała kobieta, i pogalopował w jedną stronę, a połowa w drugą.

Ludzie na łące, z wyjątkiem Henry'ego, wstali i pobiegli do furtki. Mały chłopczyk

«■Si<sup>IA-</sup>

jeszcze raz wyszedł bez szwanku, nawet nie został przewrócony, ojciec trzymał go przez chwilę nad ziemią jedną ręką i potrząsał nim, jak szmacianą lalką. — A nie mówiłem ci, żebyś został na wozie? — krzyczał Eck. — Nie mówiłem?

— Patrz, tata — zawołał chłopak łapiąc oddech wśród gwałtownych potrząsań. — To jest nasz! Tu jest/ — Znowu był to ten koń, którego Teksańczyk im podarował. Tak jakby nie byli właścicielami drugiego, jakby drugi nie istniał, jakby w jakimś absolutnym wspólnym odruchu usunęli z pamięci tego, za którego zapłacili. Wybiegli na ścieżkę, za innymi, którzy już znikli im z oczu. Zobaczyli, jak koń, darowany im przez Teksańczyka, zawraca i pędzi z powrotem przez furtkę na podwórze pani Littlejohn, wbiega na frontowe schody i znika w drzwiach domu. Eck z chłopcem wbiegli za nim na werandę. Na stole stała lampa tuż za drzwiami. W jej słabym świetle zobaczyli konia wypełniającego cały hall blaskiem i hukiem niby wachlarz sztucznego ognia, barwny, wściekły i wirujący. Nieco dalej wewnątrz hallu stała harmonia z żółtego, lakierowanego drzewa. Koń uderzył o nią łbem i wydała jeden dźwięk, niemal jeden akord, basowy, poważny i dźwięczny, wyrażający najgłębsze i chłodne zdumienie. Koń ze swoim potwornym groteskowym cieniem zawirował znowu i znikł w innych drzwiach. Był to jeden z pokoi sypialnych; Ratliff w kalesonach i jednej skarpetce na nodze, a z drugą w rękę, obrócony plecami do drzwi wychylił się przez otwarte okno, spoglądając na łąkę, na ścieżkę. Obejrzał się przez ramię. Przez chwilę on i koń spoglądali sobie w oczy. Potem Ratliff wyskoczył przez okno, podczas gdy koń tyłem wycofał się z powrotem do hallu. Odwróciwszy się Ratliff zobaczył Ecka i małego chłopca, którzy weszli frontowymi drzwiami, Eck jeszcze ze sznurem w rękę. Koń obrócił się znów przodem i przebiegłszy przez hall wypadł na tylny ganek akurat w chwili, kiedy pani Littlejohn wchodziła na schody, niosąc naręcz bielizny zdjętej ze sznura i tarę.

— Wynoś się stąd, ty diable! — zawołała. Gruchnęła go tarą, która rozłamała się na dwie części, uderzając o ten długi obłąkany łeb, a koń zawrócił i popędził z powrotem przez hall, gdzie stali teraz Eck i malec.

— Uciekaj stąd, Wall! — ryknął Eck. Rzucił się na ziemię nakrywając głowę ramionami. Chłopak nie ruszył się i po raz trzeci koń przeleciał nad jego nie tkniętą i nawet nie schyloną głową i oczyma, które nie mrugnęły, wpadając znów na werandę akurat w chwili, gdy Ratliff jeszcze ze skarpetką w ręku wynurzył się zza węgła i wbiegł na schody. Koń rzucał się i wirował bez chwili wytchnienia. Pogalopował na koniec werandy, przesadził poręcz i wyleciał jak uskrzydłony ciuch, szybując w powietrzu. Wylądował na łące jeszcze w bie-

gu i pogalopował na przełaj przez wylamaną barierę, między poprzewracane wozy, z których jeden pozostał nie tknięty i dotychczas siedziała w nim żona Henry'ego, potem dalej ścieżką na drogę.

O ćwierć mili dalej droga otwierała się biała, zalana księżycowym światłem między księżycowymi cieniami obrzeżających ją drzew i koń galopował jeszcze razem ze swym cieniem, kiedy droga zaczęła opadać w kierunku strumienia i mostku. Mostek był drewniany, szerokości akurat dostatecznej dla jednego pojazdu. W chwili gdy wpadł nań rozpędzony kucyk, całą szerokość zajmował wóz nadjeżdżający z przeciwnej strony, zaprzężony w dwa muły, śpiące już i poruszające się przez sen. Na rozklekotanych krzesłach z przodu siedzieli Tuli i jego żona, za nimi ich cztery córki; wszyscy wracali o tej późnej porze z całodziennej wizyty u któregoś z krewnych pani Tuli. Koń ani się nie zatrzymał, ani nie uskoczył w bok. Wpadł na drewniany mostek, pomiędzy dwa muły, które obudziły się i szarpnęły każdy w przeciwnym kierunku. Koń zdawał się przepychać między nimi, torując sobie drogę po dyszlu, jak oszalała wiewiórka, i drapał przednimi łapami w drzwiczki na przedzie wozu, jakby chciał wleźć do środka, podczas gdy Tuli wrzeszczał i okładał go batem przez łeb. Muły próbowały zawrócić wóz na środku mostku. Wóz zachybotał, poręcz złamała się z suchym trzaskiem i koń wspiął się w końcu po grzbiecie jednego z mułów. Tuli stał na wozie i kopał go w łeb. Potem przednia część wozu uniosła się w górę, odrzucając Tui la« z lejcami owiniętymi kilkakrotnie wokół przegubu, w tył, na dno, między przewrócone krzesła i podwinięte spódnice jego kobiet. Kucyk wyswobodził się i wyskoczył znowu na deski, galopując dalej. Wóz znowu zachybotał, muły zawróciły go w końcu na mostku, gdzie nie było miejsca, by zawrócić i wyrwały się teraz ze szlei, kopiąc je nogami. Wyswobodziwszy się szarpnęły Tullem tak, że wypadł z wozu uderzając twarzą o deski mostku, i wlokły go przez parę jardów, dopóki nie zerwały się okręcone wokół przegubu lejce. Koń znikł gdzieś w dali wyprzedzając oszalałe muły. Podczas gdy pięć kobiet krzychało jeszcze nad zemdlonym ciałem Tulla, nadbiegł Eck z synkiem, trzymając jeszcze w ręku swoje lasso. Dyszał z wysiłku. — W którą stronę pobiegł? — zapytał. Na pustej już teraz i zalanej księżycowym światłem łące jego żona, pani Littlejohn, Ratliff i Lump Snopes i trzech innych mężczyzn dźwignęli z kurzu ciało Henry'ego i ponieśli go na podwórze pani Littlejohn. Jego twarz była biała i kamienna, oczy zamknięte, ciężar zwisającej głowy naprężył szyję o wystającej grdyce, zęby błyszczły słabo spod uniesionej wargi. Nieśli go dalej, do domu przez nakrapiany cień



drzewa mydleńcowego. Z sennej, połyskującej srebrem ciemności, dobiegł słaby dźwięk podobny do dalekiego grzmotu i zaraz ucichł,

— Jeden jest na mostku nad rzeką — ode\* zwał się któryś z ludzi.

— To ten Ecka Snopesa — powiedział inny — ten sam, co był w domu, — Pani Littlejohn weszła naprzód. Kiedy wnieśli Henry'ego, wzięła już lampę ze stołu i stała trzymając ją wysoko przy otwartych drzwiach hallu.

— Przynieście go tutaj — powiedziała. Weszła pierwsza do pokoju i postawiła lampę na komodzie. Ruszyli za nią, wlokąc niezdarnie nogami i sapiąc, i położyli Henry'ego na łóżku. Pani Littlejohn zbliżyła się i stanęła nad łóżkiem patrząc na cichą bez-krwistą twarz. — Wiecie, co wam powiem? — odezwała się. Cofnęli się trochę, cisnąc się jedni do drugich, przestępując z nogi na nogę, nie patrząc ani na nią, ani na żonę, która stała w nogach łóżka, nieruchoma, z rękoma złożonymi na brzuchu. — Idźcie sobie stąd wszyscy. Wynajdźcie sobie jakąś inną zabawę, taką, żeby jeszcze więcej was się pozabijało.

— Dobra — powiedział Ratliff. — Chodźcie, chłopcy. Tu już nie ma koni do łapania.

Poszli w stronę drzwi, na palcach, po\* włączając nogami. Ich olbrzymie cienie poruszały się na ścianie. — Idźcie po Willa Yarnera — poleciła pani Littlejohn. — Mo-  
żecie mu powiedzieć, że chodzi o jeszcze jednego muła.

Wyszli nie oglądając się. Przeszli na palcach przez hall i przez werendę schodząc w księżycowe światło. Teraz, kiedy mogli zwrócić na to swoją uwagę, srebrne powietrze wydawało się wypełnione dźwiękami, nie wiadomo skąd pochodzącymi — krzyki, słabe i dalekie, znów krótki odgłos dudnienia kopyt na deskach, znowu krzyki, słabe i poważne, i jasne jak dźwięk dzwonów. Raz nawet usłyszeli słowa: „Ej, trzymajcie go!”.

— Przebiegł przez ten dom prędko — powiedział Ratliff. — Pewnie musiał tam znaleźć jeszcze inną kobietę.

W tej chwili usłyszeli za sobą jęk Henry'ego. Odwrócili się spoglądając na ciemny hall, gdzie na podłogę padał prostokąt światła z otwartych drzwi pokoju, nasłuchując, jak jęk przechodzi w ochryple rżenie „Ach Ach Ach” wnoszące się na coraz wyższy ton.

— Chodźmy — powiedział Ratliff. — Lepiej chodźmy po Varnera. — Wyszli na drogę wszyscy razem, stąpając po białym od księżycowego światła kurzu, w drżącą kwietniową noc, w której słychać było krążenie soków w gałęziach i otwierające się pączki liści. Z daleka wciąż dobiegały krzyki wołające o ratunek i cichnący krótki tętent galopujących kopyt. Dom Varaerow był ciemny, Dagi i pozbawiony głębokości w księżycy-

wym blasku. Stuli zbici w gromadę na srebrnym podwórzu i wołali w ciemne okna, póki w jednym nie ukazał się ktoś. Była to żona Iorna. Ciężki spleciony warkocz jej włosów wydawał się prawie czarny na tle białej koszuli. Nie wychyliła się, stała tylko tam, w pełni księżycy, z nie patrzącymi oczyma, albo z pewnością nie patrzącymi w dół, na nich — ciężkie włosy, maska nie tragiczna i może nawet nie potępiona: po prostu przekłeta, Jekkie i potężne zarazem falowanie piersi pod fałdami jakby wyrzeźbionej w marmurze koszuli. Dla tych, którzy stali na dole, co za Brunhilda, co za dziewczica z fal Renu na skale z papier maché, co za Helena powróciła do jakiegoś zburzonego Argos, nie czekająca na nikogo!

— Dobry wieczór, pani Snopes — powiedział Ratliff. — Potrzebny nam jest wuj Will. Henry Armstid leży ranny u pani Littlejohn. — Znikła z okna. Czekali w księżycowym blasku, słuchając dalekich słabych krzyków, póki z domu nie wynurzył 3ię Varner, prędzej, niż się spodziewali, w narzuconym na ramiona płaszczu, wpychając do spodni końce nocnej koszuli, z dyndającymi jeszcze pod płaszczem szelkami. Niósł zniszczony kuferek, zawierający instrumenty podobne do narzędzi hydraulika, przy których pomocy rozcinał wrzody i Jeczyl z robaków, robił lewatywę, wrywał zęby koniom i mułom. Zszedł po schodach chudy i głębki, z przechyloną nieco na bok sprytną, mocną

O

głową, nasłuchując wyraźnych jak dzwony krzyków, wypełniających srebrne powietrze.

- Jeszcze łapią te króliki? — zapytał, Oprócz Henry Armstida — odpowiedział RatJiff. — Ten już złapał swego.

- Ha — powiedział Varner. — To pan, V.K.? Ile pan sztuk kupił?

— Niestety — odpowiedział Ratliff. — Za późno przyjechałem. Nie zdążyłem na czas.

—Ha — powiedział Varner. Wyszli znowu na drogę. — Wspaniała noc, ja^na, chłodna, w sam raz na polowanie. — Księżyc był teraz wysoko nad ich głowami, zamazana, perłowa otchłań, której krawędzie toczyły się naprzód po miękkim niebie, skręt za skrętem, poza blade gwiazdy, w kręgu bladych gwiazd. Szli grupą, depcąc swoje cienie w miękkim kurzu drogi, zacierając cienie okrytych pączkami drzew, których pnie i gałęzie strzelały w górę, odcinając się w sub\* tełnych cieniutkich liniach na tle bladego nieba. Przeszli obok ciemnego składu, Potem ukazała się grusza. Unosiła się we mgle nieruchoma i srebrna, jak lawina śniegu, Ptak przcdrzeźniacz jeszcze śpiewał na gałęzi. — Patrzcie na to drzewo — powiedział Varner. — Powinno obrodzić w tym roku.

— Kukurydza też obrodzi — zauważył ktoś.

• - Ten księżyc dobry jest na wszystko, co wyrasta z ziemi — powiedział Varner. — Pamiętam, jak ja i pani Varner oczekiwaliśmy Huli. W domu już była kupa dzieci i może

pora było już z tym skończyć. Ale chciałem mieć jeszcze dziewczynką. Tamte powychodziły za mąż i odjechały z domu, a chłopcy, jak tylko podrosną i mogliby się nadać do jakiejś roboty, nie mają na to czasu. Muszą siedzieć przed sklepem i plotkować. Ale dziewczynka siedzi w domu i pracuje, póki nie wyjdzie za mąż. No i kiedyś jedna starszka powiedziała mojej matce, że jak kobieta przy nadziei pokaże księżycowi swój brzuch, to urodzi się dziewczynka. No to pani Varner zrobiła tak, i co noc leżała naprzeciwko księżycy z nagim brzuchem, póki nie urósł, a i później też. Przykładałem ucho do jej brzucha i słyszałem, jak Eula rusza się i kopie, jakby chciała wyjść do tego księżycy.

— Pan myśli, że to naprawdę skutkuje, wuju Will? — spytał któryś.

— Ha — powiedział Varner. — Możecie spróbować. Znajdziecie dosyć kobiet, co chętnie pokażą goły brzuch księżycowi czy słońcu i pewnie po jakimś czasie będzie się w nim coś ruszać, a wtedy możecie przyłożyć ucho i słyszeć, bylebyście jeszcze tam byli do tego czasu. A co pan o tym myśli, V.K.? — Ktoś zachichotał.

— Mnie niech pan nie pyta — powiedział Ratliff. — Ja nigdzie nie mogę zdążyć na czas, nawet żeby tanio kupić konia.

Tym razem rozległy się dwa czy trzy tłumione śmiechy. W tej chwili zaczęły docierać do ich uszu jęki Henry'ego i umilkli, jakby dopiero teraz zdali sobie sprawę, że już są tak blisko. Varner poszedł naprzód, chudy, utykający, ale dość żwawy, z głową wciąż przechyloną, nasłuchując słabych uporczywych krzyków w srebrnym powietrzu, nie wiadomo skąd dochodzących, brzmiących prawie jak muzyka, jato cichnące bicie dzwonu; i znów dał się słyszeć krótki pośpieszny odgłos uderzenia kopyt o deski.

— Jeszcze jeden jest na moście — zauważył ktoś.

— Ostatecznie zrobili interes, nawet na tych królikach — powiedział Varner. — Za swoje pieniądze użyją trochę ruchu i rozrywki. Weźcie na przykład takiego, co przez cały rok nie uprawia innej gimnastyki jak rozrzucanie nawozu muła po polu, od bruzdy do bruzdy. A w taką noc jak dzisiaj, jak człowiek za młody jest jeszcze, żeby się położyć i spać, a za stary na gruchanie pod cudzymi oknami, takie ćwiczenie dobrze mu robi. Następną noc będzie spał na pewno, byleby do tego czasu wrócił do domu. Gdyby się to wcześniej wiedziało, można by wytresować specjalną sforę psów. Mielibyście regularne polowanie na konie.

— To jest punkt widzenia, przyznaję — powiedział Ratliff. — Prawdę mówiąc, to mogłaby być duża satysfakcja dla Book- wrighta, Quicka, Freemana, Ecka Snopes i tych innych, co kupili konie, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa żaden z nich nie spojrział na to od tej strony. Naj

pewniej żuddn z nich nic wierzy, /««by było jakieś leknsł wo riti b\* teksuskfj zarazi;, klóí>| Mi pjzywjozii Mcm Suopes i len Buli.»In Itlil.

I la - powiedział Varner Olwlorajjr: drzwi domu pani l.iUiojohn. Słabo ówiniło / . pokoju padało na podłogę w hallu. Aim.sUd j(:r/u! bez przerw. — I.okaislwo jcui nu kazd.) ochorobi; (>prócz tej ostatniej,

- • Choćby nawet był <:/as, żeby jo zużyć - powiedział KallMI.

-• lin —znowu powiodził Vurnor, Rzucił okiem nu Kaliiiiia przy.słaj<-jo no chwili;. Alu rnuli- twardo oczy były toruz niewidzialne, zobaczył lylko krzaczasto brwi, które zdawały Klq koncentrować w joiio kierunku, wykrzywione i nloru' homo, nic zmarszczono, ale z wyrazem jakioJG dzikio] ironii. — Nawet, (dyby Joszc/o )>ył ozus, żoby je zużyć, Oddychanie lo woksol płatny nul ychmiust, z wczor«iJs/4| da bp

W dwa dni później o dziowi«|loj lano pięciu ludzi siedziało na (jariku przed sklepem, Szósty był Ualliiil, Rozmawiał slojiiie.

Może być, że lamloj nony był tylko je- don w domu pani l.illojohn, luk jak mówi Bok. Ab; lo było największe jednokonne sMjdo, jakie widziałem w moim życiu. Hyl W moim pokoju i na werandzie, I słyszałem, jak puni J/ittlejobn waliła ijo na podwórzu Mmi, w#»zyslko w jo<lnym cwasje. A mi- ino lo za każdym razem każdy każdemu uciekał. Zdaje »ii;, ■/!.• teraz rozumiem, co chciał len z Teksasu, jak mówił, że In prawdziwa okazja. 'ylko prawd/iwomu pechowcowi lidujr\* «lo podejAć do klórejio\* dosyc blinko, żeby dostać kopytem. Roześmieli 'ilf; wszyscy oprócz lirka. Kek i joqo synek jedli śniadanie, Przedtem jeszcze Kek. znikł w sklepie i wyszedł <,tam<|d /, papierowy torb</, wyj«jł slamlt|d kawałek suro, rozdał f|o scyzorykiem na dwlo równn połowy i jodmj dał rhłopm, razem z ijar!>ci.j suchych ciastek, któr«j także wyri|ijfu}ł / . torby, I jeraz jodll, przysiadłszy na phjlach pod nclamj, jeden obok druijie<jo i, tjdyby nie różnica wiołkońoi, jdonlyry.nio\* do fiibif\* podobni.

• i.ickaw jff.slom, oo l.On koń jnótjł myśleć

0 Kallillic odozwał sh; klóryś. Trzymał w Zf;baoh ijałfzk<; kwłri\*}; f;oj brzaskwini, które) kwłaly wyf/lijilały jak miniaturowa kry\* noliny i)alolowo / ró/owof/o tiulu. — Jak qo /obarzył wyskakuj(li:o(jo przoz okno, a wfarujjcofjo p<;dfm />rz<' / flrzwł i to w ko- :iznil, Pytam sh;, ilf Uatiifiów widział, juk mu sh; zdawało.

Nl(\* włom odpowied/iał Ratliff. — Air? jeżeli widział choćby połowi? tych cjjfzemjilljrzy mojej osoby, il(ł ja widziałem jołjo, to musiał Ijyc osaczony zo wszyst\* kioli stron, llo razy odwróciłem głowf;, ton diaboł akural wpadał na irinio, albo si(; wy- kri;r:ul jak iryqa, żeby znowu wpa^i' na tego chłopca. A lon mały Nfal pod nim, o ilo mi wiadomo, najmniej rniniib; albo i półtorej,

1 ani ido schylił f!/owyc uni nawoł oczanii ni(r

zamrugał. Tak, moi drodzy, jak się obejrzałem i zobaczyłem, że len Lucyper stoi we drzwiach i błyska oczami, byłem pewien, że Flem Snopes przywiózł tygrysa z Teksasu, gdybym nie wiedział, że jeden tygrys nie potrafi zapelnąć całego pokoju. — Roześmieli się znowu, cicho. Tylko Lump Snopes, subiekt, siedzący na jedynym krześle, przechylonym do tyłu i blokującym częściowo wejście, nagle zachichotał.

— Gdyby FJem wiedział, jak prędko uporacie się z tymi końmi, byłby przywiózł tygrysy — powiedział. — I małpy też.

— Więc to były konie Flema — powiedział Ratliff. Śmiechy ucichły. Tamci trzej mieli w rękach otwarte noże i zabawiali się struganiem desek. W tej chwili zdawali się całkowicie zaabsorbowani monotonnym i niemal nudnym ruchem ostrzy. Subiekt spojrzął spod oka i przekonał się, że Ratliff patrzy na niego. Stały uśmiech niepoprawnego i wesołego sceptycyzmu znikł teraz z jego twarzy, pozostały tylko puste zmarszczki po nim wokół ust i oczu.

• — Czy Flem kiedy mówił, że to jego? — odezwał się. — Ale wy, ludzie z mięsa, jesteście sprytniejsi niż my tu na wsi. Pewnie już odgadliście myśli Flema. — Teraz jednak Ratliff na niego nie patrzył.

— I coś mi się zdaje, że bylibyśmy je też kupili — powiedział. Stał nad nimi swobodny, bystry, może trochę nachmurzony, ale wciąż idealnie nieprzenikniony. — Na przykład laki Eck, z żoną i rodziną na utrzymaniu, ma aż dwa, chociaż na pewno zapłacił tylko za jednego. Słyszałem, jak ludzie uganiali się za nimi wczoraj do północy. Ale Eck i ten chłopak jeszcze nie wrócili do domu po dwóch dniach.

Roześmieli się wszyscy oprócz Ecka. Ten nadział kawałek sera na koniec noża i podniósł go do ust.

— Eck złapał jednego ze swoich — powiedział któryś.

— Tak? — zdziwił się Ratliff. — Ale który był, Eck? Ten, którego panu dał, czy ten kupiony?

— Ten, którego mi dał — powiedział Eck nie przerywając jedzenia.

— Bardzo dobrze — powiedział Ratliff. — Nie słyszałem o tym. Ale i tak Eckowi brak jeszcze jednego konia. I to tego, za którego musiał zapłacić. Co jest wystarczającym dowodem, że konie nie były Flema, bo nikt nie dałby swemu krewnemu czegoś takiego, czego by ten nie mógł nawet złapać. — Roześmieli się znowu, ale ucichli, kiedy odezwał się subiekt. W jego głosie nie było żadnej wesołości.

— Słuchaj pan — powiedział. — To wszystko bardzo dobrze. Wszyscy przyznajemy, że pan jesteś za sprytny na to, żeby ktokolwiek z nas mógł panu dorównać. Nie kupił pan konia ani od Flema, ani od nikogo, toLcz może to wcale nie jest pański interes i może lepiej byłoby na tym skończyć.

— Pewnie — powiedział Ratliff. — Skończyło się jeszcze dwa dni temu wieczorem. Jak tylko ten facet zostawił barierę otwartą. Z wyjątkiem konia Ecka. A wiemy, że tamten nie należał do Flema, bo Eck dostał go za darmo.

■— Inni oprócz Ecka też jeszcze nie wróci

li do domu — powiedział ten, który trzymał w zębach gałązką brzoskwini. — Bookwright i Quick jeszcze gonią za swoimi. Podobno ktoś ich widział wczoraj wieczorem o ósmej trzy mile na zachód od Burtsboro. Jeszcze im się nie udało zbliżyć do nich tak, żeby określić, do kogo który z nich należy.

— Pewnie — powiedział Ratliff. — Jedyne nowe właściciel koni w tej okolicy, którego znaleziono bez psów gończych, od kiedy ten, nie wiadomo kto to był, zostawił otwartą furtkę przedwczoraj wieczorem, to Henry Armstid. Leży w pokoju u pani Littlejohn, skąd może patrzeć na podwórze, tak że gdyby przypadkiem objawił się ten kupiony koń, wystarczy mu krzyknąć na żonę, żeby wybiegła z postronkiem i złapała go. — Przerwał, chociaż dodał; — Dzień dobry, Flem — tak bezpośrednio po tym i bez jakiegokolwiek zmiany w tonie, że nikt nie zauważył pauzy. Z wyjątkiem subiekta, który zerwał się zwalniając krzesło ze służalczą gorliwością a także Ecka i małego chłopca, którzy dalej jedli. Wszyscy obserwowali, jak Snopes, żując, wchodzi po stopniach ze swoją mikroskopijną muszką i w nowej czapce z jaskrawym szkockim otokiem. Skinął głową nie patrząc na nikogo i od razu otworzył scyzoryk i zaczął strugać deską, którą przyniósł z sobą. Subiekt siedział teraz po drugiej stronie drzwi, ocierając się plecami o framugę. Jego twarz odzyskała znowu swój wyraz wesołej i niepoprawnej niewiary, w którym była teraz jakaś czujność i tajemniczość.

— W samą porę przychodzisz — powiedział. — Ratliff łamie sobie głowę nad tym, kto był właścicielem tych koni.

Snopes przeciągnął ostrze swego noża wzdłuż deski zestrugując, z chirurgiczną dokładnością, równiutko zwinięty wiórek. Inni z powrotem zabrali się do strugania, obserwując Snopesa ukradkiem prócz Ecka i małego chłopca, dalej zajętego jedzeniem, i subiekta, wciąż ocierającego się plecami o framugę.

— Może mógłbyś zaspokoić jego ciekawość — Flem odwrócił lekko głowę i splunął daleko za ganek i schody. Wyciągnął znowu nóż i zaczął zeszkrobywać nowy wiórek.

— Był tam także — powiedział Snopes — wie tyle samo, co każdy inny. — Tym razem subiekt zagdakał śmiechem, jego rysy zbiegły się ku centralnej części twarzy, jakby zgarnięte ręką. Uderzył się po nodze chichocząc.

— Lepiej się od razu wycofać — powiedział. — Jego nikt nie pobije.

— Tak myślę — powiedział Ratliff. Stał

nad nimi nie patrząc na nikogo, ze spojrzeniem utkwionym, jak się zdawało, w pustą drogę za domem pani Littlejohn, nieprzenikniony, nawet jakby roztargniony. Gruby chłopak wyrósł nagie spod ziemi z jakiegoś nieokreślonego miejsca. Stał chwilę na drodze, akurat poza zasięgiem linii plucia z ganku, z taką miną, jak gdyby nie przyszedł z żadnego określonego miejsca ani nie wiedział, dokąd pójdzie, gdy się ruszy, i bynajmniej się tym faktem nie kłopotał. Nie patrzył na nic, z pewnością nie w stronę ganku i nikt z tego ganku nie patrzył specjalnie na niego, oprócz małego syna Ecka. Jego oczy koloru barwinka były spokojne i poważne nad zjedzonym do połowy ciastkiem, które zatrzymało się w drodze do ust. Chłopak poszedł dalej, falujący i obfity w swoim za ciasnym kombinezonie i znikł za rogiem domu. Okrągła głowa i nie mrugające oczy malca obróciły się za idącym. Potem mały ugryzł znowu kawałek ciastka.

— Oczywiście, jest pani Tuli — powiedział Ratliff. — Ale ona pozwie przed sąd Ecka za poturbowanie Tułla na mostku. A co do Henry Armstida...

— Jak. kto nie ma dość sprytu, żeby sam siebie upilnować, to już jego sprawa — powiedział subiekt.

— Pewnie — ciągnął Ratliff wciąż tym samym roztargnionym głosem, stojąc teraz tuż nad jego plecami. — Sprawa z Henry Armstidem jest w porządku, bo z tego, co słyszałem o tej rozmowie. Henry przestał być właścicielem konia, którego uważał za swoją własność, jeszcze zanim wyjechał ten z Teksasu. A ta złamana noga też niewiele mu przysporzy strat, bo jego żona potrafi sama zebrać kukurydzę z pola. — Subiekt przestał froterować plecami drzwi. Patrzył na tył głowy Ratliffa, czujny i gorliwy. Spojrzał na Snopesa, który, poruszając żującymi szczękami, przyglądał się nowemu wiórkowi spadającemu spod jego scyzoryka, potem znowu spojrzął na tył głowy Ratliffa.

— Nie pierwszy raz sama robi żniwa — odezwał się ten z gałązką brzoskwini. Ratliff spojrzął na niego.

— Pan musi coś o tym wiedzieć. Nieraz widziałem pana ma ich polu, jak pan kończył robotę za Hemy'ego. Ile dniówek dał im pan w tym roku?

Człowiek z gałązką brzoskwini wyjął ją z ust, splunął ostrożnie i włożył gałązkę z powrotem między zęby.

— Ona potrafi zrobić bruzdę tak prosto jak i ja — powiedział drugi.

— To nieszczęśliwi ludzie — powiedział trzeci. — Jak człowiek nie ma szczęścia, nic mu nie pomoże, choćby nie wiem jak pracował.

— Pewnie — rzekł Ratliff. — Tak często słyszałem, jak lenistwo nazywano brakiem szczęścia, że może to naprawdę to samo.

— On nie jest leniwy<sup>^</sup> — powiedział trzeci. — Jak ich muł zdechł trzy czy cztery

lata temu, oboje ciągnęli pług na przemian, razem z drugim mułem. Nie są leniwi.

-----No więc wszystko w porządku — powiedział Ratliff spoglądając znów na pustą drogę. — Będzie mogła nawet od razu dokończyć orki. Ta najstarsza dziewczynka jest już akurat dość duża, żeby pociągnąć pług w parze z mułem, nie? Albo przynajmniej, żeby trzymać pług, kiedy pani Armstid będzie pomagać mułowi. — Zerknął znowu na tego z brzoskwinia, jakby szukał odpowiedzi, ale tamten nie patrzył, więc ciągnął dalej swoje wywody. Subiekt stał teraz z plecami przyciśniętymi do drzwi, jakby przerwał czynność drapania, obserwując Ratliffa twardo i uważnie. Gdyby Ratliff spojrzał teraz na Flema Snopesa, nie zobaczyłby nic pod zsuniętym na dół daszkiem czapki, prócz rytmicznego poruszania szczęk. Nowy wiórek związał się równiutko i zdecydowanie przed strugającym nożem. — Teraz ma dużo czasu, bo jak skończy zamiatanie i mycie talerzy u pani Littlejohn, żeby opłacić utrzymanie Henry'ego i swoje, pozostaje jej już tylko iść do domu, wydoić krowę, ugotować dla dzieci tyle, żeby wytrzymały do jutra, nakarmić je, położyć najmłodsze i czekać pod drzwiami, aż najstarsza dziewczynka zasunie rygiel i położy się do łóżka z siekierą

— Z siekierą? — spytał ten z gałązką brzoskwini.

— Zabiera ją z sobą do łóżka. Ma dopiero dwanaście lat, a że w okolicy pełno jesz\*  
cze nie połapanych koni, które nigdy nie należały do Flema Snopesa, może boi się, że jeszcze nie potrafi machnąć zwyczajną deską do prania, jak pani Littlejohn --- a potem

znowu wraca i zmywa naczynia po kolacji, i później nie ma już nic do roboty, tylko być pod ręką, na wypadek, gdyby Henry zawołał, póki się nie zrobi dość jasno, żeby mogła narąbać drewno na ogień do śniadania i pomóc pani Littlejohn w zmywaniu i zamiatać wyglądając na drogę. Bo lada chwila Flem Sno\* pes może wrócić stamtąd, gdzie był od czasu licytacji, to znaczy pewnie z miasta, dokąd pewnie jeździł w sprawach swego kuzyna, który ma kłopoty z sądem i wtedy ona dostanie z powrotem swoje pięć dolarów. „Ale on mi ich nie oddał!” — mówi. Może pani Littlejohn też myślała tak samo, bo nic nie powiedziała. Słyszałem

— A gdzie się pan przypadkiem znajdował przez cały ten czas? — spytał subiekt.

— Nasłuchiwałem. — Ratliff odpowiedział mu spojrzeniem, potem znów spojrzął w inną stronę, stojąc prawie odwrócony do nich

plecami --- jak talerze uderzają o miskę,

jakby je do niej wrzucała z góry. „Myśli pani, że on mi ich nie odda? — mówi pani Armstid. — Tamten z Teksasu dał pieniądze jemu i powiedział, że on mi odda. I wszyscy ludzie widzieli, jak mu dawał, i słyszeli, jak mówił, że dostanę je jutro od pana Snopesa”. Pani Littlejohn zmywała teraz naczynia tak jakby to mógł robić mężczyzna, jakby



były 7. że Jazu. „Nie • powiada - - «h\* spróbować nie /łiH/kod/ł". „Jak nie odd<i, lo nie wiiflo pylaé" ^ mówi pani Armstid. „NI'tli pani robi, júk puni chce • - mówi puni J.itt- kójohn. — To puni pieniądze". Potem przez rhwilg nie nio słyszałam, tylko brzęk naczyń. „Myśli puni, że on ml lo odda? -- pyła pani Armslid. — Fon z Teksasu mówił, że tak. Wszyscy słyszeli, jak lo mówił". „No więc niech pani irlzic i poprosi" — mówi pani Ulflejohn. Polom znów nir: nic: słyszałem, tyiko taler/c. „Nie odda mi" — mówi pani Arrnstid. — „No lo niech pani go nio prosi" — mówi pani Uttlejohn. Polom znów słyszałem tyiko brzęk naczyń. „Pani myśli, ■'/AI nio odda, co?" — mówi pani Armstid. Pani Ulllejohn nie nio odpowiadała. Brzęk był taki, jakby rzucały garnkami w garnki. „Może lepiej pójdę pomówić z Ilenrym". „Słusznie" — powiada pani Uttlejohn. Niech mnie powiesz, jeżeli to nio brzmiało akural lak, Jakby miała dwie palelnJe w rękę i uderzała Jedną o drugą jak te miedziane talerze w orkiestrze. „Wtedy Henry by mógł kupić drugiego konia za te pięć dolarów. Może następnym razem kupi takiego, który go od razu zabije, (jdybyrn wiedziała, że lak robi, sarna dałabym mu pieniądze", „I.epiej chyba bidzie najpierw z nim pomówić" '— powiada pani Arrnstid. I wtedy był taki hułus, jakby pani Uttlejohn zga/mjła wszystkie garnki i patelnie i wszystko razem wrzuciła du pieca - • Rallifl przerwał. — Pst! — szepnął za nim subiekt. — Mernl Pleml Potom umilkł i wszyscy palrzyli, jak p,mi ArrnslM zbliża sir; i wchodził po stopniach ganku, chuda, bezkształtna w ,swojej workowatej, szarej sukni. .Jej poplamione pantofle tenisowe cicho stapały po deskach. Weszła między nich i stanęła naprzeciw Snopesa, nie patrząc na nikogo, z rękoma wsuniętymi pod fartuch.

— On mówił wtedy, że nie sprzedał Hen- ry'ernu lego konia — powiedziała bez- dźwięcznym głosem. -\*• Mówił, że pan mn pieniądze i że je dostane z powrotem od pana, — Snopos podniósł głowę i odwrócił ją lekko, po czym splunął ostrożnie za panią Arrnstid i za ganek, na drogi\*.

— Zabrał % sobą wszystkie pieniądze, jak wyjechał — odpowiedział. Nieruchoma w szarej sukni opadającej w sztywnych fałdach prawie uroczyście jak draperie posągu, pani Arrnstid zdawała się patrzeć na coś w pobliżu słóp Snopesa, jakby nie słyszała go, albo Jakby opuściła swojo ciało, skończywszy mówić, i choć jej ciało, za pośrednictwem słuchu, odebrało słowa, nie miały one żadnego życia ani znaczenia, póki ona nie wróciła do siebie. Subiekt wciąż pocierał plecami o drzwi, patrząc na nią. Mały chłopiec także utkwiał w nią swojo przenikliwie nie mrugające oczy, ale inni nie patrzyli. Człowiek z gałązką brzoskwini wyjął ją, splunął i włożył gałązkę z powrotem między zęby.

— On mówił, że Henry nie kupił żadnego konia — powiedziała. — Że dostanę pieniądze od pana.

— W takim razie musiał zapomnieć — powiedział Snopes. — Zabrał z sobą wszystkie pieniądze odjeżdżając. — Patrzył na nią jeszcze chwilę, potem znów zabrał się do strugania. Subiekt miękko ocierał się plecami o drzwi, obserwując ją. Po jakimś czasie pani Armstid podniosła głowę i spojrzała na pokrytą miękkim wiosennym kurzem drogę, która biegła naprzód, za działkę pani Littlejohn, za gaj akacji, jeszcze nie kwitnących (to miało być dopiero w czerwcu) po drugiej stronie, i dalej za szkołę, której zniszczony dach sterczał nad sadem grusz i brzoskwiń, wyglądał jak otoczony rojem białoróżowych pszczoł, a potem wspinała się w kierunku wzgórza, na którego szczycie stał kościół pośród marmurowych nagrobków, w ciemnym gaju cedrowym, gdzie przez długie letnie popołudnia nawoływały się gruchające gołębie. Poruszyła się i zawróciła, by odejść, jeszcze raz gumowe podeszwy zasyczały na sękatych deskach.

— Myślę, że już pójde przygotować obiad — powiedziała.

— Jak się ma dzisiaj Henry, pani Armstid? — spytał Ratliff,

Spojrzała na niego zatrzymując się, puste oczy przebudziły się na chwilę.

— Odpoczywa, dziękuję panu — powiedziała. Potem oczy umarły znowu i znów się poruszyła. Snopes wstał z krzesła zamykając scyzoryk i strzepując ostrużyny L kolan.

— Niech pani zaczeka — powiedział. Pani Armstid przystanąła znowu, na pół obrócona, wciąż nie patrząc na Snopesa ani na żadnego z nich. „Bo ona nie może w to uwierzyć — myślał Ratliff. — Tak jak ja”. Snopes wszedł do sklepu. Subiekt z piecami przyciśniętymi do drzwi, jakby czekał, nim znowu zacznie się drapać, patrzył za nim, odwracając głowę podobną do głowy puchacza, w chwili gdy tamten przechodził obok niego, mrugając teraz szybko oczyma. Jody Varner na koniu zbliżał się drogą. Nie przejechał przed nimi, ale skręcił za sklep, do drzewa morwy, gdzie zazwyczaj uwiązywał swego konia. Drogą jechał teraz jakiś wóz. Człowiek, który powoził, podniósł rękę z pozdrowieniem, odpowiedziało mu dwóch czy trzech z ganku. Wóz przejechał dalej. Pani Armstid spoglądała za nim. Snopes ukazał się w drzwiach niosąc małą torebkę z paskowanego papieru i podszedł do pani Armstid. — Proszę — powiedział. Wyciągnęła rękę akurat tyle, żeby je odebrać. — Trochę cukierków dla dzieci — powiedział. Jego ręka była już w kieszeni, kiedy wrócił do swego krzesła, wyciągnął z niej coś i podał subiektowi. Była to moneta pięciocentowa. Usiadł z powrotem na krześle i przechylił je w tył, w stronę drzwi. Miał znowu scyzoryk w ręce, już otwarty. Odwrócił lekko głowę i splunął znowu, tuż obok szarej sukni,

, sn

na drogę. Mały chłopiec utkwiał wzrok w torebce w rękach pani Armstid. Wtedy ona także jak gdyby ją odkryła.

— Pan jest naprawdę zbyt dobry — powiedziała. Wsunęła torebkę pod fartuch, chłopczyk wlepił swoje nieruchome oczy w ręce złożone pod fartuchem. Poruszyła się znowu. — Lepiej pójde już pomóc przy obie-  
— powiedziała.

Zeszła po stopniach, choć ledwie znalazła się na ziemi, szare fałdy jej sukni znowu straciły wszelki kontakt i powiązanie z pojęciem lokomocji, tak że zdawała się posuwać bez ruchu, jak posąg na tratwie albo szary pień rażonego piorunem drzewa, jeszcze cały i prosty, unoszony na łagodnej fali. Subiekt we framudze drzwi zaczął nagie chichotać. Uderzył się po udzie.

— Do licha — powiedział. — Nikt go nie pobije.

Jody Varner wchodząc do składu od tyłu zatrzymał się wpół kroku, jak wystawiający pies. Potem na palcach, bez słowa i ze zdumiewającą szybkością rzucił się za kontuar i wbiegł w ciemny tunel, na końcu którego pochylała się ciężka niedźwiedzia postać, z głową i ramionami wepchniętymi w wityrnę, gdzie były igły i nici, tabaka do zażywania i tytoń, a także kolorowe długie cukierki. Szarpnął gwałtownie chłopca za ramiona i wyciągnął go: tamten wydał sflumiony krzyk i słabo próbował się wyrwać, wpychając ostatnią garść cukierków do ust

i żując. Ale natychmiast przestał się szamotać i znieruchomiał, poruszając tylko szczękami. Varner wyciągał go zza kontuaru, kiedy wszedł subiekt, jak gdyby wskoczył nagle do sklepu, przerażony i zakłopotany. — To ty, Saint-Eimo? — zawołał.

— Czy nie mówiłem panu sto razy, żeby go tutaj nie wpuszczać? — pytał Varner potrząsając chłopcem. — Wyjadł prawie do czysta pudło z cukierkami. Wstawaj! — Chłopak zwiśł jak do połowy wypróżniony worek w rękę Varnera, poruszając szczękami z jakąś fatalistyczną desperacją, z oczyma zaciśniętymi z całych sił w bladej nalanej twarzy i z uszami, które poruszały się rytmicznie w takt ruchu szczęk. Gdyby nie szczęki i uszy, można by powiedzieć, że zasnął, żując.

— Saint-Elmo — powiedział subiekt. — Stójże prosto! — Chłopak odzyskał własną wagę, chociaż nie otworzył oczu i nie przestał żuć. Varner puścił go. — Idź do domu — powiedział subiekt- Chłopak zawrócił posłusznie, aby wejść na nowo do sklepu. Varner znowu nim potrząsnął. — Nie tędy — powiedział. Chłopak przeszedł przez ganek i zszedł po stopniach, obcisły kombinezon jakby wbrew woli opinał jego miękkie opasłe uda. Nim znalazł się na ziemi, jego ręka podniosła się z kieszeni do ust, uszy znów Jekko się poruszyły w takt żucia.

— Gorszy niż szczur, prawda? — powiedział subiekt.

— S2tzur? — zawołał Varner dysząc. — Do wszystkich diabłów, gorszy niż koza! Nie mam wątpliwości, że znajdzie sposób, żeby wśliznąć się przez tylne drzwi, przebrnąć przez wszystkie skóry, lejce, postronki, obręcze i sprzączki, i obje doszczętnie nas wszystkich, mnie, pana i jeszcze kogoś trzeciego. I niech mnie powiesz, jeżelibym się wtedy ośmielił odwrócić, bałbym się, że przejdzie na drugą stronę drzwi i zacznie z odziarniarką i kuźnią. A teraz niech pan uważa, co powiem: jeżeli jeszcze raz zobaczę, że się wałęsa koło sklepu, zastawię na niego niedźwiedzią pułapką. — Wyszedł na ganek, subiekt za nim, — Dzień dobry, panowie! — rzekł.

— Kto to jest. Jody? — spytał Ratliff. Oprócz subiekta na drugim planie, tylko oni dwaj stali, i teraz można było dostrzec po\* dobieństwo między nimi — podobieństwo nieuchwytnie, nieokreślone, nie w postaci, sposobie mówienia, ubraniu czy inteligencji, z pewnością nie w charakterze. Mimo wszystko istniało podobieństwo, ale z tą jedną zasadniczą różnicą, którą ukazywało piętno przeznaczenia w twarzy Varnera: Kiedyś będzie starym człowiekiem, Ratliff także, ale on kiedyś w sześćdziesiątym piątym roku życia zostanie złapany i poślubi dziewczyną, która prawdopodobnie nie będzie miała jeszcze siedemnastu lat i która przez resztę jego życia będzie się na nim mściła za całą swoją pleć. Ratliff nigdy. Chłopak posuwał się drogą bez pośpiechu. Jego ręka znów podniosła się z kieszeni do ust.

— To ten chłopak i.O. — powiedział Varner. — Wszystkiego już na nim próbowałem, oprócz trucizny.

— Co? — spytał Ratliff. Rzucił okiem po wszystkich twarzach, przez chwilę jego własna twarz wyrażała nie tylko oszołomienie, ale coś prawie jak grozę i przestach. — Myślałem — mówiliście mi wtedy. Powie-  
dzieliście, że to była kobieta, młoda kobieta z dzieckiem. Ach, tak! Czekajcie.

— Tamta to była inna — powiedział Varner. — Chciałbym, żeby ten nie umiał jeszcze chodzić! Jak tam Eck, słyszałem, że pan złapał jednego ze swoich koni?

— Tak, złapałem — powiedział Eck. Skończył już, razem z synem, jeść ciasteczka i ser, i siedział już od pewnego czasu nad pustą torbą.

— To był ten, którego panu podarował, tak? — pytał Varner.

— Tak — odparł Eck.

— Jak to się stało? — pytał Varner.

— Złamał sobie kark — wyjaśnił Eck.

— Daj mi tego drugiego, tata — powiedział chłopczyk.

— Wiem — powiedział Varner. — Ale w jaki sposób?

Eck nie poruszył się. Obserwując go, można było prawie dostrzec, jak zbiera i porządkuje słowa, mowę. Varner zaczął się śmiać głośno, ochryple, cmokając zębami.

— Powiem wam, co się stało. Eck i jego chłopak po dwudziestu czterech godzinach gonitwy zapędzili go wreszcie do tego ślepego zaułka, gdzie mieszka Freeman, Myśleli, że kucyk pewnie nie przeskoczy ogrodzenia wysokiego na osiem stóp, więc przeciągnęli sznur w poprzek ścieżki jakieś trzy jardy nad ziemią. Jak tylko koń dobiegł do końca ścieżki i zobaczył stodołę Freemana, zawrócił, całkiem tak, jak Eck się spodziewał, i pognął z powrotem na drugi koniec, niczym przerażony jastrząb. Pewnie nawet wcale nie widział sznura. Pani Freeman patrzyła na to spod ganku, bo tam się schowała, pod schodami. Mówiła, że jak trafił na ten sznur, wyglądało to całkiem jak sztuczny ogień, co się zapala na choince. Ale ten, którego kupiłeś, wpadł jak kamień w wodę, co?

— Tak — powiedział Eck. — Nie miałem nawet czasu dowiedzieć się, w którą stronę uciekł.

— Daj mi go, tata — prosił mały chłopiec.

— Zaczekaj najpierw, aż go złapiemy — powiedział Eck. — Potem zobaczmy.

Tego popołudnia Ratliff siedział w swoim wozie, który zatrzymał przed furtką Bookwrighta. Bookwright stał na drodze przy wozie.

— Pomyliłeś się — powiedział. — Jednak wrócił.

— Wrócił — potwierdził Ratliff. — Nie doceniłem jego... bezczelności; to nie jest słowo, którego szukam, chociaż tego też z pewnością mu nie brak. Ale się nie pomyliłem.

— Głupstwo — powiedział Bookwright. — Nie było go wczoraj cały dzień. Nikt nie widział, jak jechał do miasta ani jak wracał, ale tam musiał być, nie gdzie indziej. Żaden człowiek, choćby się nazywał Snopes, nie da swojemu krewnemu zgnić w więzieniu.

— Nie będzie długo w więzieniu. Proces ma być w przyszłym miesiącu, a potem wyślą go do Parchman, gdzie więźniów nie trzymają w zamknięciu. Może nawet znowu dadzą mu pracować na farmie, orać. Pewnie, to nie będzie jego bawelna, ale i tak ze swojej własnej nigdy nie mógł wyciągnąć tyle, żeby żyć.

— Głupstwo — powiedział Bookwright. — Nie wierzę w to. Flem nie da go wywieźć na ciężkie roboty.

— I owszem — powiedział Ratliff. — Bo Flem musi anulować wszystkie weksle, które tu krążą i docierają do niego od czasu do czasu. Musi załatwić chociaż niektóre rachunki na czysto.

Spojrzeni jeden na drugiego, Ratliff poważny i swobodny w swojej niebieskiej koszuli, Bookwright ze zmarszczonymi brwiami, skupiony.

— Zdawało mi się, żeście spalili te weksle. Tak przynajmniej mówiłeś.

— Powiedziałem, że spaliliśmy dwa weksle, które mi dał Mink Snopes. Czy myślisz,

że ktokolwiek ze Snopesów włoży wszystko w świstek papieru, który może zniszczyć jedna zapalka? Myślisz, że któryś ze Snopesów o tym nie wie?

— Och — powiedział Bookwright. — Zdaje mi się, żeś oddał też Henry Arrastidowi jego pięć dolarów.

Ratliff odwrócił wzrok. Jego twarz zmieniła się. Coś w niej było nieuchwytnego, zagadkowego, ale nie uśmiech; oczy nie uśmiechały się już, tamto przeszło.

— Mogłem to zrobić — powiedział — ale nie zrobiłem. Byłbym zrobił, gdybym tylko był pewien, że tym razem kupi za to coś, co go na pewno zabije, jak powiedziała pani Littlejohn. Zresztą nie broniłem Snopesa przed Snopesami. Nie broniłem nawet człowieka przed Snopesem. Bronię czegoś, co nie było nawet ludzką istotą, tylko czymś, co chciało chodzić i czuć słońce i nie po\* trafiłoby skrzywdzić człowieka, choćby nawet chciało, ani nie chciałoby nawet, gdyby potrafiło. Tak samo, jak nie mógłbym znieść, żeby ktoś ukradł kość psu. Nigdy nie mogłem strawić Snopesów ani tych ludzi, którzy im się podlizują. Mógłbym zrobić więcej, ale nie chcę, bo, powiedziałem ci już, nie chcę.

— Dobra — powiedział Bookwright. — Nie ma o czym mówić. Uważam, że wszystko w porządku.

Dwie sprawy, Armstid kontra Snopes i Tuli kontra Eckrum Snopes (tudzież wszyscy inni noszący nazwisko Snopes lub Varner, których zagniewana żona Tulla mogła w to włączyć, jak wiedzieli wszyscy we wsi) zostały odroczone za obopólną zgodą i na mocy układu między stronami spornymi. Dotyczyło to trzech stron, bo Flem Snopes wręcz odmówił uznania skargi wniesionej przeciw niemu, oświadczywszy spokojnie i odwracając lekko głowę, aby splunąć: — To nie były moje konie — i zaczął na nowo strugać swój kij, podczas gdy oszołomiony i bezsilny woźny sądowy stał przed pochylonym krzesłem, z wezwaniem, które usiłował mu doręczyć.

— Co by to była za okazja dla adwokata z rodziny Snopesów — powiedział Ratliff, gdy mu o tym opowiadano. — Jakże się nazywa ten, co tak szybko zostaje ojcem, ten Mojżesz z ustami pełnymi mądrych sentencji, z orszakiem na pół dorosłych, za- późnionych w rozwoju synów? Nie rozumiem, jak człowiek, który musi poświęcać tyle czasu, co ja, na pamiętanie wciąż o różnych ludziach, nie może zapamiętać ich nazwisk'. I.O. Ten, co nigdy nie-miał czasu czekać. To byłby prawdopodobnie w jego prawniczej karierze jedyny proces, w którym żaden niecierpliwy i tępy klient nie próbowałby zatrzymać potoków jego wymowy

i sam przewodniczący sądu byłby jednym z obecnych upoważnionym do zamknięcia mu gęby.

Tak więc ani ekwipażu Vamerów, ani wozu Ratiiffa nie było wśród wozów, pojazdów i osiodłanych koni i mułów, które wyruszyły rano w tę majową sobotę do odległego

0 osiem mil Whiteleaf, nie tylko z Sadyby Francuza, ale i innych miejscowości, gdyż do tego czasu teksaska choroba, jak to określił Ratliff, ta pstra epidemia oszalałych

1 nie dających się złapać koni rozszerzyła się w promieniu dwudziestu i trzydziestu mil.

Toteż, gdy zaczęli zjeżdżać ludzie z Sadyby Francuza, było tam już dwa tuziny wozów z wyprężonymi końmi czy mułami, uwiązanymi do tylnego koła, na cały dzień postoju, i dwa razy tyle osiodłanych wierzchowców w pobliżu lasku akacjowego koło magazynu. Miejsce rozprawy zostało już przeniesione z magazynu do sąsiadującej z nim szopy, gdzie w jesieni miała być złożona bawełna. Ale do dziewiątej rano okazało się, że nawet szopa nie pomieści wszystkich obecnych, toteż znów przeniesiono salę rozpraw z szopy do samego lasku. Konie, muły i wozy usunięto, przyniesiono z szopy jedyne krzesło i obdrapany stół, almanach, egzemplarz „Wyroków stanu” Missisipi z 1881 roku i grubą „Biblię”, która wyglądała jak umiłowany i stale używany sprzęt, stary i w idealnym stanie konserwacji, zabrudzo-  
na w miejscu, gdzie ją otwierano, na brzegu stronicy; jedyny nikły ślad brudu, jak gdyby przez cały czas jej posiadania właściciel (czy użytkownik) otwierał ją tylko w tym jednym miejscu, ale bardzo często. Wysłano wóz z czterema ludźmi do odległego o milę kościoła, skąd przywieziono cztery drewniane ławki dla stron wiodących spór, ich rodzin i świadków. Za nimi stali widzowie — mężczyźni, kobiety i dzieci — powściągliwi, uważni, czyści, nie w odświętnych ubraniach oczywiście, ale w roboczych czysto wypranych, które były przeznaczone na rozrywki sobotnie (jak pogawędki na gankach przed sklepami i wycieczki do siedziby powiatu) i w których mieli wrócić w poniedziałek do pracy w polu i nosić je przez cały tydzień aż do piątku wieczorem. Sędzia pokoju był to mały, schludny, okrągły człowieczek, podobny do łagodnej karykatury wszystkich dziadków, jacy kiedykolwiek chodzili po świecie, w pięknie wyprasowanej, choć bez kołnierzyka koszuli, z nieskazitelnym gorsem i mankietami, w okularach w stalowej oprawie i lekko kędzierzawą, porządnie utrzymaną siwą czupryną. Siedział za stołem i patrzył na nich — szarą kobietę w szarej sukni i kapeluszu od słońca, ze złożonymi na podołku i nieruchomymi rękoma, które przypominały kłęb białych wymokłych korzeni wyrwanych z osuszonego bagna; na Tulla w spłowiałej, lecz idealnie czystej koszuli i kombinezonie (który

kobiety z jego rodziny nie tylko starannie prały, ale krochmaliły i prasowały, nie tylko z kaniem wzdłuż nogawek, ale i w poprzek, na płasko od szwa do szwa, tak że w każdą sobotę rano przypominały krótkie spodnie małego chłopca), z niebieskimi, niewinnymi oczyma nad nie goloną od miesiąca brodą koloru włosów kukurydzy, która zakrywała większą część jego pokiereszowanej twarzy i nadawała mu wyraz niewiarogodnej i dziwacznej rozwiązłości, tak że wyglądał nie jak gdyby nareszcie i niespodziewanie ukazał się swoim bliźnim w swojej prawdziwej naturze, ale jak stary portret włoski jakiegoś świętego w wieku dziecięcym zeszczepony przez złośliwego chłopca? na panią Tuli, wielką choć nieco przysadzistą kobietą z ogromnym biustem i twarzą pełną ponurej i rozjątrzonej obraz^, która po upływie czterech tygodni nie zmalała ani też nie wzrosła, tylko się utwierdziła, obrazu, która, co ciekawe, zdawała się skierowana nie przeciwko Snopesowi czy jakimkolwiek mężczyźnie w szczególności, ale wszystkim mężczyznom, wszystkim samcom, i której sam Tuli bynajmniej był nie ofiarą, lecz przedmiotem. Siedziała po jednej stronie swego męża, podczas gdy najstarsza z czterech córek usiadła po drugiej, jak gdyby obie (a przynajmniej pani Tuli) nie tyle były przekonane, że Tuli może wyrwać się i uciec, ile zdecydowane mu w tym prze\* szkodzić; na Ecka z małym synkiem, iden

tycznie podobnych, gdyby nie rozmiary, i na ■

Lumpa, subiekta w szarej czapce (którą ktoś rozpoznał jako należącą do Flema Snopesa przed jego podróżą do Teksasu w zeszłym roku), który mrugając prędko oczyma bez powiek patrzył na sędziego z natarczywością szczura — i w starych wypaczonych przez szkła i pozbawionych źrenic oczach sędziego rósł wyraz nie tylko zdumienia i oszołomienia, ale podobnie jak w oczach Ratliffa, kiedy stał cztery tygodnie temu na ganku, czegoś bardzo podobnego do grozy.

— To... — powiedział. — Nie oczekiwałem ,

tęgo... nie spodziewałem się zobaczyć. Odmówię teraz modlitwę. Nie będę się modlił głośno. Ale mam nadzieję — spojrzał na nich. — Pragnąłbym... Może niektórzy z was przynajmniej przyłączą się do mnie. — Pochylił głowę. Obserwowali go poważni, spokojni, podczas gdy siedział nieruchomo za stołem i lekki wiatr poranny rozwiewał jego rzadkie włosy, a cienie poruszanych wia- ' trem liści drgały na wydętym wyglansowanym gorsie koszuli i lśniących, zdobnych w kościane spinki mankietach tak sztywnych i prawie tak wielkich jak kawałki sześcioc- lowej rury do pieca. Patrzyli na jego złożo- - ne ręce. Podniósł głowę — Arrastid kontra Snopes — powiedział. Pani Armstid zabrała głos. Nie poruszyła się, nie patrzyła na nic, / z rękoma złożonymi na podołku mówiła swoim pustym, bezdźwięcznym, beznadziejnym głosem:



— Tamten człowiek z Teksasu powiedział...

— Chwileczkę — przerwał sędzia. Powiódł po twarzach zamglonymi oczyma uciekającymi za grubym szkłem soczewek. — Gdzie jest oskarżony? Nie widzą go.

— Nie przyjdzie — powiedział woźny.

„ — Nie przyjdzie? — powtórzył sędzia. — Czy pan mu doręczył wezwanie?

— Nie chciał wziąć. Powiedział...

— W takim razie będzie sądzony za uchybienie autorytetowi sądu — krzyknął sędzia.

— Za co? — zapytał Lump Snopes. — Nikt jeszcze nie dowiedział, że to były jego konie. — Sędzia spojrzał na niego.

— Czy pan reprezentuje oskarżonego? — spytał. Snopes zamrugał oczyma.

— Co to znaczy? — spytał. — Że mam zapłacić grzywnę, jaką pan zamierza na niego nałożyć?

— A więc odmawia stawienia się w sądzie — powiedział sędzia. — Czy wiadomo mu, że mogę go ukarać sądownie choćby tylko za to, nawet jeżeli sama sprawiedliwość i przyzwoitość nie wystarczy?

— Niech pan nie zwraca głowy — zachnął się Snopes. — Nie trzeba być wróżką, żeby przewidzieć, jakie są pańskie zamiary.

— Niech pan zamilknie, Snopes — powiedział woźny. — To nie jest pański proces, więc niech się pan nie wtrąca. — Zwrócił się do sędziego: —\* Co mam zrobić: iść do wsi i przyprowadzić tu Snopesa siłą? Uważam, że mogę to zrobić.

— Nie — powiedział sędzia. — Zaczekaj pan. — Spojrzał na powściągliwe twarze znowu z tym samym oszołomieniem, z tą samą grozą. — Czy ktoś z tu obecnych wie na pewno, do kogo należały te konie? Kto-kolwiek?

Uważnie, powściągliwie patrzyli na czyściutkiego, nienagannego staruszka z rękoma splecionymi na stole, żeby nie drżały. — Dobrze — powiedział. — Pani Armstid, proszę opowiedzieć sądowi, co zaszło tego dnia.

Opowiedziała to, nie ruszając się, bezdźwięcznym, monotonnym głosem, nie patrząc na nic, kończąc swoją opowieść bez najmniejszej zmiany w głosie, jakby to wszystko nic nie znaczyło i do niczego nie prowadziło. Sędzia spoglądał na swoje splecione ręce. Kiedy umilkła, spojrzał na nią. — Ale pani nie wykazała jeszcze, że Snopes był właścicielem koni. Powinna pani pozwać pod sąd tego człowieka z Teksasu. A ten wyjechał. Nawet gdyby pani uzyskała wyrok skazujący przeciwko niemu, nie może pani odebrać swoich pieniędzy. Czy pani rozumie?

— Pan Snopes przywiózł go tutaj — powiedziała pani Armstid. — Tamten z Teksasu nie wiedziałby nawet, gdzie leży Sadyba Francuza, gdyby mu pan Snopes nie pokazał.

— Ale to ten z Teksasu sprzedawał konie i odbierał pieniądze — sędzia znów powiódł wzrokiem po twarzach. — Czy tak było? Panie Bookwright, czy tak to wyglądało?

Tuk powled/Jała iiookwnght. Sędzia spojrział znowu na panią Armstid z jej łosfij i smutkiem. W późniejszych godzinach ranku zerwał się wiatr, lok że od czasu do czasu jakiś podmuch potrząsnął (jutrami w górze, przynosząc: z sobą lekki desze/ płatków opadłych przedwcześnie, Jakby wiosna śpieszyła się usiłując nadrobić zaległości po ciężkiej zimie, i ciężki odrzucający zapach akacji nad nieruchomymi głowami.

— On dał panu Snopesowi pieniądze. IV wiedział, że Henry nie kupił tego konia, Po\* wiedział, że mogę dostać pieniądze od pana Snopesa następnego dnia,

— I ma pani świadków, którzy to widzieli i słyszeli?

— Tuk, proszę pana. Inni ludzie, co tam byli, widzieli, jak on dawał panu Snopesowi pieniądze i powiedział, że mogę je od niego dostać.

— I pani prosiła pana Snopesa o pieniądze?

— Tak, proszę pana. On powiedział, że I<-n z Teksasu zabrał wszystko z sobą, Aic ja bym.. •— urwała, może patrząc na swoje ręce. Z pewnością nie patrzyła na nikogo z ludzi.

— Tak? — powiedział sędzia. — Co by pani zrobiła?

dla mnie przedzę i inne takie rzeczy, a ja tkalam i potem sprzedawałam, Zarobiłam to pieniądze po trochu, i poznałabym Je, Jak\* bym je zobaczyła, bo czasem wyciągałam puszkę z komina, żeby je policzyć od czasu od czasu, żeby wiedzieć, czy będzie za co kupić dzieciom jakieś buty na zimę. Poznałabym je, jakbym zobaczyło. Gdyby tylko pan Snopes mi pozwolił,,

— A jeżeli ktoś widział, jak Tłem Snopes dawał te pieniądze z powrotem temu z Tek\* sosu? — odezwał się nagle Tjjmp Snopes,

— Czy ktoś z obecnych to widział? — spytał sędzia,

— Iak — powiedział Snopes szorstko i gwałtownie. — Eck widział, — Spojrzął na licka. — No, powiedz mu. — Sędzia spojrzął na fleka. Cztery córki Tulla jednocześnie odwróciły głowy, patrząc także na niego, a pani Tui) wychyliła się nieco, żeby spojrzeć ponad głowę męża, z twarzą zimną i pogardliwą, Ci, którzy stuli, wspinali się na palce, wyciągając szyję, żeby zobaczyć licka siedzącego nieruchomo w ławce.

— Eck, czy pan widział, Jak Snopes oddawał pieniądze Armslida przybyszowi z Teksasu? — spytał sędzia, Eck nie odpowiedział ani się nie poruszył. Lump Snopes gwizdnał wulgarnie kątom ust.

— Jasny gwintl Ja się nie boję tego powiedzieć, nawet jeżeli Kek nie śmfj. Ja to widziałem.

— Czy może pan złożyć na to przysięgę,

-- Ja bym poznała te pięć dolarów. Zarobiłam je sama, tkalum w nocy, Jak Henry j i dzieci już spali. Panie /. Jeiierson odkładały j

jako świadek? — Snopes spojrział na sędziego. Nie mrugał teraz oczyma.

— Więc pan mi nie wierzy? — spytał.

— Żądam prawdy — powiedział sędzia. — Jeżeli nie mogę sam jej odkryć, muszę oprzeć się na zaprzysiężonych zeznaniach tego, co mam przyjąć jako prawdę. — Podniósł „Biblię” leżącą na innych dwóch księgach.

— Dobrze — powiedział woźny. — Proszę wystąpić.

Snopes wstał z ławki i podszedł bliżej. Patrzyli na niego, chociaż teraz nie było żadnej zmiany miejsc, żadnego wychylania głów. Twarze, oczy były nieruchome. Snopes stojąc przy stole spojrział na nich i jego spojrzenie obiegło szybko szeregi ustawione półkolem. Woźny sięgnął po „Biblię”, ale sędzia jeszcze jej nie wypuścił z rąk.

— Czy pan gotów jest przysiąc, że pan widział, jak Snopes oddawał temu człowiekowi z Teksasu pieniądze, które wziął od Henry Armstida za tego konia?

— Już powiedziałem, że mogę, czy nie słyszał pan? — Sędzia oddał „Biblię” woźnemu.

— Proszę odebrać przysięgę.

— Niech pan położy lewą rękę na księdze, a prawą podniesie do góry i niech pan mówi „Przysięgam uroczyście i stwierdzam, /” — powiedział prędko woźny. Ale Snopes stał już z lewą ręką na księdze a prawą uniesioną do góry i z głową odwróconą w inną stronę, podczas gdy jego spojrzenie wędrowało wzdłuż półkola stężonych w napięciu i nic nie wyrażających twarzy, i mówił swoim ochrypłym głosem: — Tak jest, widziałem, jak Flem Snopes oddawał człowiekowi przybyłemu z Teksasu pieniądze, które Henry Armstid — czy według czyjegokolwiek przekonania Henry Armstid lub ktokolwiek inny —■ wypłacił Flemowi za jednego z tych koni. Czy to panu wystarczy? — Tak — powiedział sędzia. Nie było znów żadnego poruszenia, żadnego dźwięku wśród obecnych. Woźny położył spokojnie „Biblię”<sup>1</sup> na stole koło splecionych rąk sędziego i wciąż nic się nie poruszało prócz gałęzi drżących na wietrze i deszczu akacjowych płatków. Potem pani Armstid podniosła się ze swego miejsca i jeszcze raz (albo w dalszym ciągu) stała nie patrząc nigdzie, z rękoma złożonymi na brzuchu.

— Myślę, że już chyba mogę odejść, prawda?

— Tak — odpowiedział sędzia wstając. — Chyba, żeby pani sobie życzyła...

— Lepiej już pójdą — powiedziała. — To spory kawałek drogi. — Nie przyjechała tu wozem, ale na jednym ze swoich nędznych, zagłodzonych mułów. Któryś z mężczyzn poszedł za nią przez Jasek, odwiązał jej muła i podprowadził pod wóz, tak że wsiadła po kole. Potem znów patrzyli na sędziego. Siedział za stołem, trzymając wciąż przed sobą splecione ręce, ale już nie z pochyloną głową. Jednakże poruszył się dopiero wtedy,

gdy -woźny przemówił do niego. jakby się nagle obudził, bez żadnego odruchu, tuk jak sir? budzi 'jlary człowiek ze starczej lekkie\*) drzemki. Oderwał ręce od stołu i spuściwszy oczy powiedział tak, Jak gdyby czytał z kartki: Tuli kontra Snopes, Napaść i...

~ Chwileczki} — wstała pani Tuli. — Ja powiem słówko, zanim pan zacznie. — Wychyliła się znowu patrząc nad głową męża na Lumpa Snopesa. — Jeżeli pan zamierza znowu kłamać i krzywoprzysięgać, żeby oczyścić Dema i Leka Snopesa z...

— Daj spokój \* wtrącił Tuli, Teraz zwróciła się do Tułla nie zmieniając pozycji ani tonu i nie zatrzymując się w swojej przemowie.

— Nie próbuj mnie uspokajać. Eck i Flem czy całe to plemię Varnerów mogą wyciągać cię z wozu i tratować prawie na śmierć po drewnianym mostku i nic na to nie mówisz. Ale jak przyjdzie w sądzie dochodzić swoich słusnych praw i żądać kary, wtedy się sprzeciwiasz. Bo to nie po sąsiedzku. A gdzie byii twój dobrzy sąsiedzi, jak leżałeś półżywy na środku mostu, a myśmy ci wyciągały drzazgi 7. twarzy?

W tej chwili woźny zawołał:

— Proszę o spokój! Jesteśmy w sądzie.

Pani Tuli umilkła. Usiadła z powrotem

sapiąc ciężko, spoglądając na sędziego, który znów odezwał się takim tonem, jakby czytał głośno:

— - ... napaść I gwałt cielesny dokonany na osobie Vernona Tulla 'a sprawą i pośrednictwem konia, imię nie znane, należącego do Eckruma Snopesa, Zeznanie złożył sam poszkodowany. Świadkowie: pani Tuli i córki...

— Eck Snopes także to widział — powiedziała, pani Tuli, choć już mniej gwałtownie, — Był tam. Miał dosyć dużo czasu, żeby to zobaczyć. Niech zaprzeczy. Niech mi spojrzy w twarz i zaprzeczy, że...

— Proszę panią bardzo — przerwał sędzia. Powiedział to tak spokojnie, że pani Tul! ucichła i prawie opanowała się. — Krzywda, jaka spotkała pani męża, nie podlega dyskusji. I pośrednictwo konia także nie podlega dyskusji. Zgodnie z prawem, jeżeli ktoś jest właścicielem zwierzęcia, o którym wie, że jest niebezpieczne dla otoczenia, i jeśli to zwierzę jest ograniczone w swych ruchach i oddzielone od ludzi za pomocą ogrodzenia czy zamknięcia, zdolnego unieszkodliwić je i odseparować, to jeżeli ktokolwiek przekroczy ogrodzenie lub otworzy zamknięcie, wiedząc czy nie wiedząc, iż zwierzę jest niebezpieczne, winien jest wtargnięcia na cudzy teren i właściciel nie ponosi żadnej odpowiedzialności za wyrządzone mu szkody. Jeżeli jednak zwierzę znane mu jako niebezpieczne przestało być przedmiotem izolacji przypadkowo czy celowo, zarówno z wiedzą jak i bez wiedzy właściciela, wówczas właściciel podlega odpowiedzialności sądowej. Tak

mówi prawo. A więc przede wszystkim musimy ustalić tożsamość właściciela, a po drugie zbadać, czy koń mógł być uznany za zwierzę niebezpieczne według definicji przewidzianej w tym wzglądzie przez prawo.

— Ha — powiedziała pani Tuli. Powiedziała to zupełnie tak samo, jakby to zrobił Book-wright. — Niech pan zapyta Vernona Tulla. Niech pan spyta Henry Armstida, czy te stworzenia przypominają pokojowe pieski.

— Proszę panią bardzo — powiedział sędzia. Patrzył na Beka. — Jakie stanowisko zajmuje podsądny? Zaprzeczenie własności?

— Co? — spytał Eck.

— Czy to pana koń poturbował pana Tulla?

— Tak — powiedział Eck. — Mój. He mam zapł...

— Ha — powiedziała znowu pani Tuli. — Zaprzeczenie własności! Kiedy co najmniej czterdziestu ludzi może zaświadczyć. Głupców, co prawda, bo inaczej by tam nie byli. Ale nawet słowo głupiego wystarczy, jeżeli chodzi o to, co widział i słyszał. Co najmniej czterdziestu ludzi słyszało, jak ten bandyta z Teksasu podarował tego konia Eckowi Sno-pes. Nie sprzedał go, niech pan weźmie pod uwagę, dał mu go za darmo.

— Co? — spytał sędzia. — Dał za darmo?

— Tak jest — powiedział Eck, — Dał mi go. Bardzo mi przykro, że Tuli akurat w tym czasie korzystał z tego samego mostka. Ile mam...

— Chwileczkę — powiedział sędzia. — Co mu pan dał w zamian? Jakiś przedmiot, jakiś kwit?

— Nic — zaprzeczył Eck. — TyJko mi pokazał palcem tego konia na polu i powiedział, że należy do mnie.

— I nie dał panu żadnego kwitu sprzedaży czy zaświadczenia, czegokolwiek na piśmie?

— Chyba nie miał kiedy — powiedział Eck. — A potem, jak Lon Quick zapomniał i zostawił tę furtkę otwartą, nikt już nie miał czasu na żadne pisanie, choćby nawet mu to przyszło do głowy.

— Co to wszystko ma znaczyć? — zapytała pani Tuli. — Eck Snopes powiedział panu przed chwilą, że jest właścicielem tego konia. A jeżeli tego panu mało, to było tam czterdziestu ludzi, co cały dzień sterczeli przy tej furcie i słyszeli, jak ten pijak, morderca i antychryst... — tym razem sędzia zatrzymał ją gestem ręki w olbrzymim nieskazitelnym mankiecie. Nie patrzył na nią.

— Chwileczkę — powiedział. — No i co zrobił potem? — zwrócił się do Ecka. — Po prostu przyprowadził konia i dał panu postronek do ręki?

— Nie — powiedział Eck. — Ani on, ani nikt inny nigdy nie założył na żadnego z nich postronka. Pokazał tylko konia na polu i powiedział, że to mój, i potem sprzedał resztę koni, i wsiadł do powozu, pożegnał się i odjechał. A myśmy wzięli liny i poszliśmy ła\*

pać konie, tylko że Lon Quick zapomniał zamknąć furtkę. Bardzo mi przykro, że mój koń spłoszył te muły, tak że wyrzuciły Tuli z wozu. Ile mu jestem winien? — Wtedy umilkł, bo sędzia nie patrzył już na niego, i jak to sobie uświadomił po chwili, nie słuchał także. Poprawił się w krześle, właściwie oparł się plecami po raz pierwszy, z głową lekko pochyloną i rękoma złożonymi na stole przed sobą, z lekko splecionymi palcami. Obserwowali go spokojnie prawie przez pół minuty, zanim ktokolwiek uświadomił sobie, że wzrok jego utkwiony jest w pani Tuli.

— A więc, pani Tuli — powiedział — zgodnie z pani własnym oświadczeniem Eck nigdy nie był właścicielem tego konia.

— Co? — spytała pani Tuli. Głos jej nie był wcale podniesiony. — Co pan mówi?

— Według kodeksu prawnego, prawo własności nie może być przekazane ani nadane na mocy słowa. Musi być poparte jakimś zarejestrowanym czy autentycznym dokumentem, albo przez posiadanie lub zajmowanie danego przedmiotu. Zgodnie zarówno z pani oświadczeniem jak i jego własnym, Eck Snopes nie doręczył temu Teksaszczykowi nic w zamian za tego konia i zgodnie z jego oświadczeniem tamten również nie dał mu żadnego dokumentu potwierdzającego własność, a prócz tego zgodnie z jego oświadczeniem i tym, co sam słyszałem w ciągu tych ostatnich czterech tygodni,

nikt jeszcze nie położył ręki ani powrozu na szyi żadnemu z tych koni. Tak więc ten koń nigdy nie przeszedł w posiadanie Ecka. Ten przybysz z Teksasu mógł podarować tego samego konia dziesięciu innym ludziom stojącym tego dnia przy furtce, nie potrzebując nawet mówić Eckowi, że to zrobił. W ten sam sposób Eck mógł w myśli przekazać wszystkie swoje prawa i tytuły panu Tullowi na tym samym moście, kiedy pan Tuli leżał nieprzytomny i prawa własności pana Tulla byłyby akurat tak samo słuszne jak Ecka.

— A więc nie dostaję żadnego odszkodowania — powiedziała pani Tuli. Jej głos był jeszcze spokojny i opanowany, ale prawdopodobnie nikt prócz Tulla nie zdawał sobie sprawy, że jest zbyt spokojny i opanowany. — Mój zaprząg ucieka, spłoszony przez dzikiego wściekłego psa, mój wóz jest rozbity, mój mąż wyciągnięty z wozu i potłuczony do utraty przytomności, i niezdolny do pracy przez tydzień, kiedy więcej niż połowa ziarna nie jest jeszcze zasiana, a ja nie dostaję nic.

— Chwileczkę — powiedział sędzia. — Prawo...

— Prawo — powtórzyła pani Tuli. Wstała nagle — tęga, przysadzista kobieta, mocno opierająca się na piętach rozstawionych nóg.

— Tak jest — powiedział sędzia. — Szkody, jakie pani poniosła, przewidziane są w statucie. Prawo mówi, jeśli skarga i żądanie

odszkodowania wniesione jest przeciwko właścicielowi zwierzęcia, które spowodowało szkody lub obrażenia, jeśli właściciel zwierzęcia nie może i nie chce przyjąć odpowiedzialności, strona pokrzywdzona może żądać odszkodowania w postaci samego zwierzęcia. A ponieważ Eck Snopes nigdy nie był właścicielem tego konia i ponieważ, jak słyszała pani na poprzedniej rozprawie, nic zostało dowiedzione, jakoby Flem Snopes miał jakiegokolwiek prawa własności do tych koni, ten koń należy w dalszym ciągu do osobnika, który go przywiózł z Teksasu. Albo należał w owym czasie. Bo obecnie ten koń, który spłoszył pani muły i wywlókł z wozu pani męża, należy do pani i do pana Tuli.

— Tylko spokojnie — powiedział Tuli do żony wstając pospiesznie. Ale pani Tuli nadal była spokojna tylko zupełnie sztywna i oddychała ciężko do chwili, kiedy Tuli się odezwał. Wtedy zwróciła się do niego nio podniesionym głosem, ale z krzykiem. Woźny walił teraz w blat stołu leszczynową laską i krzyczał: — Spokój! Spokój! — podczas gdy schludny staruszek skulony w swoim fotelu, jakby uchylając się przed ciosem i tknięty siarczą drzącą, patrzył ze zdumionym niedowierzaniem.

— Koń! — krzyczała pani Tuli. •— Widzieliśmy go przez pięć sekund, kiedy włąził do wozu i potem wyskoczył. Potem uciekł sam Bóg nie wie dokąd i dzięki Bogu, że nio wie. A muły uciekły razem z nim. wóz roz\*

tT/dskciny i ty leżący na środku mostu z twarzą pełną drzazg, krwawiący jak zarżnięte prosię i nieżywy, jak myślałyśmy! A on daje nam konia! A teraz mnie nie uspokajaj! Wracaj do tego wozu, idioto! Siadaj znowu za par<} młodych mułów z lejcami owiniętymi

o rękę! Wszyscy idźcie do tego wozu, wszyscy!

— Nio zniosę tego dłużej! — krzyknął stary sędzia. — Dosyć! Odraczam rozprawę! Odraczam!

Potem odbył się drugi proces. Zaczął się w następny poniedziałek i wiple z tych samych par oczu przyglądało się w sądzie powiatowym w Jefferson więźniowi, który wszedł między dwoma strażnikami, wzrostu nie wiele większego niż dziecko, w nowiutkim kombinezonie, chudy, niemal kruchy, z twarzą mniej gwałtowną i ponurą niż dawniej i wybladła po ośmiu miesiącach spędzonych w więzieniu. Bronił go adwokat z urzędu — młody człowiek, który dopiero w ubiegłym roku ukończył prawo na Uniwersytecie Stanowym i został przyjęty do pa- lesłry, i który robił co mógł i więcej niż mógł, pełen zapału i niezdolny osiągnąć żadnych rezultatów praktycznych; wyczerpał wszystkie kontrargumenty, zanim trybunał zdążył cokolwiek powiedzieć i zmuszony był mimo to stawiać czoło zatwierdzonej w niemili rekordowym czasie ławie przysięgłych, jak gdyby Sąd, publiczność, cała rozsądna ludzkość posiadały niewyczerpane rezerwy

twarzy i nazwisk wymieniających się między sobą i żywiących jedno identyczne przekonanie i zamiar, tak że kontrargumenty obrony mógłby równie dobrze wytoczyć zamiast niego klucznik, który otwierał salę po prostu przez skreślenie pierwszych nazwisk z listy przysięgłych wypisanej na tablicy. I gdyby młody obrońca zachował jeszcze trochę bezstronności i obiektywizmu, byłby zapewne wkrótce zdał sobie sprawę, że toczy tę bitwę z przysięgłymi nie w imieniu swego klienta, lecz we własnym. Bo jego klient nie zwracał żadnej uwagi na to, co się dzieje. Zdawało się, że wcale nie słucha i nie patrzy na sędziów', jakby to był cudzy proces. Siedział, gdzie go usadzono, skuty jedną ręką z jednym ze strażników, mały, w nowym kombinezonie sztywnym i twardym jak z żelaza, odwracając twarz od sędziów i wszystkiego, co się działo przy stole, kręcąc ciągle górną częścią tułowia, aż wreszcie zrozumieli, że patrzy w głąb sali na drzwi obserwując, kto przez nie wchodzi. Trzeba było dwa razy do niego przemówić, zanim wstał i odpowiedział sądowi, czy się przyznaje, i stał dalej — zwrócony teraz całkowicie tyłem do sądu, z twarzą ponurą, wychudłą, pełną dziwnego napięcia i zupełnie spokojną zarazem, i w której można było dostrzec coś, co nie było właściwie nadzieją, ale rzeczywistą wiarą — patrząc nie na swoją żonę, która siedziała na ławce za nim, ale na zatłoczoną salę, na rzędy skupionych twarzy

przeważnie mu znanych, póki strażnik, do którego był przykuty, nie pociągnął go tak, że musiał usiąść znowu. Siedział tak przez resztę procesu trwającego jeden i ćwierć dnia, mały, porządnie uczesany, obracając i wychylając wciąż występną, twardą jak żelazo niepoprawną głowę, by spojrzeć w głąb sali, ponad zasłaniających mu widok dwóch strażników, obserwując wejście, podczas gdy jego adwokat przechodził sam siebie, zdzierając sobie gardło jak szaleniec, aż w końcu zabrakło mu głosu, przed niewzruszonym

i poważnym gronem sędziów, przypominających jakieś konklawe dojrzałych ludzi, którzy wydelegowali się sami, zmuszeni (choć na ściśle określony i ograniczony czas) słuchać paplaniny dziecka upoważnionego do mówienia. A klient wciąż niczego nie słuchał wpatrzony w głąb sali, choć przy końcu pierwszego dnia wiara znikła z jego twarzy pozostawiając tylko nadzieję, a z początkiem drugiego nadzieja także pierzchła i pozostał tylko niepokój, ponurość i upór, z jakim nadal obserwował drzwi. Rozprawa skończyła się drugiego dnia w połowie ranka. Sędziowie po dwudziestominutowej naradzie powrócili z wyrokiem za morderstwo drugiego stopnia. Więzień znowu wstał i wyrokiem sądu został skazany na przewiezienie do stanowej Farmy Karnej i pozostanie tam do śmierci. Ale nie słuchał tego także, nie tylko odwrócił się plecami do sądu, żeby patrzeć na zatłoczoną salę, ale zaczął mówić sam



do siebie, jeszcze zanim sędzia skończył, mówiąc dalej nawet, kiedy przewodniczący uderzył młoteczkiem w stół i dwaj strażnicy i trzech woźni przyskoczyli do więźnia szamoczącego się, żeby ich odepchnąć. Na chwilę mu się to udało i spojrzął znowu na drzwi. — Flem Snopes — powiedział. — Czy Flem Snopes jest na sali? Powiedzcie temu sk... synowi...

## ROZDZIAŁ II

głog atliff zatrzymał wóz przy furtce Book- yigł Wrighta. Dom był ciemny, ale natych- BSSI miał trzy czy cztery psy Bookwrighta wyskoczyły szczekając zza węgła czy spod ganku. Armstid przerzucił swoją sztywną nogę, żeby wysiąść.

— Zaczekaj — powiedział Ratliff. — Pójdę go poszukać.

— Mogę iść sam — szorstko powiedział Armstid.

— Oczywiście — fzeł Ratliff. — Ale psy mnie znają.

' — Mnie też poznają, jak tylko pierwszy się na mnie rzuci — powiedział Armstid.

— Oczywiście — zgodził się Ratliff. Stał już na ziemi. — Niech pan tu czeka i trzyma zaprząg. — Armstid przerzucił nogę z powrotem do wozu. Widać go było wyraźnie nawet w beksiężycowej sierpniowej ciemności, gdyż jego spłowiały kombinezon odcinał się na tle ciemnego kadłuba wozu, tylko jego rysów osłoniętych rondem kapelusza nie można było rozróżnić. Ratliff podał mu lejce i skrzył przechodząc obok skrzynki pocztowej na słupie w świetle gwiazd kierując się w stronę furtki i psów. Kiedy by

już po drugiej stronie bariery, widział jo 7. bliska -- szczekająca bryła czerni na tle nieco jaśniejszej ziemi, rozdzielająca się przed nim i rozpościerająca w kształt wachlarza, ruchliwa, rozszczekana, trzymająca go w szachu — trzy płowoczarne psy do polowania, których płowość w świetle gwiazd szybko zamieniła się także w czerń, tak że, widzialno tylko w grubszych zarysach, wyglądały jak trzy zwęglone, lecz całe stronicę gazety postawione na ziemi. Krzyknął, żeby je uciszyć. Powinny go były już przedtem rozpoznać węchem. Kiedy krzyknął, wiedział, że go już poznały, bo ucichły może na sekundę, potem, kiedy ruszył naprzód, cofnęły się przed nim, zachowując wciąż tę samą odległość i poszczekując. Wtedy zobaczył Bookwrighta, którego sylwetka w kombinezonie także wydawała się jaśniejsza na tle czarnego domu. Kiedy Bookwright krzyknął na psy, ucichły na dobre.

— Cicho — powiedział. — Idźcie spać, — Podeszedł bliżej do Ratliffa i jego postać szerniała teraz na tle jaśniejszej ziemi. — Gdzie Henry? — spytał.

— Na wozie — odpowiedział Ratliff. Zawrócił w stronę fuitki.

— Zaczekaj — powiedział Bookwright. Ratliff przystanął. Tamten zbliżył się, spojrzeli na siebie, choć żaden nie widział twarzy drugiego.

— To nie on cię wciągnął chyba w tę historię, co? — spytał Bookwright. — Bo ten całkiem zwariował, odkąd musi sobie przypominać, ile razy spojrzy na żonę, te pięć dolarów i swoją złamaną nogę, i tego konia, którego kupił od Flema Snopesa i nigdy więcej nie zobaczył na oczy. A i przedtem mu dużo do tego nie brakowało. Nie dałeś mu się w to wciągnąć?

— Myślę, że nie — powiedział Ratliff. — Wiem, że nie. Coś w tym jest. Zawsze to wiedziałem. Tak samo jak Will Varner wie, że coś tam jest. Gdyby nie było, nigdy by tego nie kupił. I nie trzymałby tego, kiedy sprzedawał całą resztę. A przecież zachował tę rudę i płaci podatki, kiedy mógłby za nią coś dostać, i siedzi tam na tym swoim krześle z beczki, i patrzy wciąż na nią, i mówi, że to zrobił, bo lubi tam odpoczywać i rozmyślać o tym, że ktoś włożył tyle pieniędzy i pracy po to, żeby wybudować miejsce potrzebne tylko do spania, jedzenia i kochania się z żoną. I byłem tego pewien, kiedy Tłem Snopes to odkupił i zrobił z Willem co chciał, sprzedając całą resztę i zachowując ten stary dom i te dziesięć akrów ziemi, co nawet kóz by nie wykarmi- ła. Pojechałem tam z Henrym zeszłej nocy. Widziałem sam. Nie musisz jechać, jeżeli nie masz zaufania. Wolę, żebyś nie jechał.

— Dobra — powiedział Bookwright. Ruszył naprzód. — To wszystko, co chciałem wiedzieć. — Wrócili do wozu. Henry posunął się na środek i wsiedli. — Uważaj, żebyś

sit\* nie pchał nu twoją nogę — powiedział Bookwright.

— Moju noga jest całkiem w porządku — szorsko powiedział Armstid. — Lada dzień będę mógł zająć tak daleko jak ty i każdy inny,

— Jasno — powiedział Ratlifi biorąc lej\* cc. — Jego noga już jest całkiem zdrowo. Nic nawet nie można zauważyć.

— Jedźmy — powiedział Bookwright. — Nikt nie będzie szedł no piechotę, kiedy można dojechać.

— Przez wieś jest krócej — powiedział Ratlifi — ale lepiej nie jechać tamtędy.

— Niech nas zobaczą — powiedział Armstid. — Jeżeli ktoś z was się boi, jii riie potrzebują pomocy.

Mogę...

— Jasne — powiedział Ratlifi. — Jak nas Judzie zobaczą, za dużo będziemy mieli po\* mocy. Toteż właśnie chcemy tego uniknąć. — Armstid umilkł. Odtąd już nic nie powiedział. Siedział między nimi w bezruchu, który był prawie gorączką, wychudły jakby to nie choroba (po miesiącu leżenia w łóżku wstał któregoś dnia i znowu złamał nogę, nikt nie wiedział, w jaki sposób, bo nigdy o tym nie mówił), ale furia i bezsilność go wyniszczyły.

Ratlifi nie pytał ani o radę, ani o wskazówki, jak jechać. Mało co mógł mu ktokolwiek powiedzieć o bocznych drogach

i ścieżkach lej okolicy czy jakiejś innej, po której podróżował. Nikt ich nte minął po drodze, dornrid uśpiona ziemia była pusta, odległe rozproszono dorny wskazywało tylko od czasu do czasu szczekanie psów. Ścieżki, którymi jechał, biegły wśród szeroko rozpostartych pól, raczej wyczuwalnych niż widzialnych, gdzie kukurydza zaczynała już dojrzewać, a bawelna kwitnąć, a potem tunelami drzew w bujnym przepychu pełni lata, czarnych na ciężkim od gwiazd sierpniowym niebie. Potem jechali dawną, zarosniętą ścieżką, którą od wielu lat wskazywały już tylko ślady starego białego konia Varnera i przez krótki czas także pojazdu pod parasolem, Stara blizna, prawie już zasklepiona, tam gdzie przed trzydziestu laty galopował kurier (może czarny niewolnik sąsiada, smagający mula wyprężonego od pługa) przynosząc wiadomość o zbombardowaniu fortu Sumter, lub może toczyła się kolaska unosząc wdzięcznie przechylające się damy pod parasolami, w krynolinach na obręczach, podczas gdy mężczyźni na pięknych rumakach klusowali przy kole, rozmawiając z damami; gdzie syn, a może i sam pan jechał do Jefferson z pistoletami i walizką, pod eskortą służącego na zapasowym koniu, rozmawiając o pułkach i zwycięstwie) gdzie patrole federacyjne objeżdżały okolicę zaludnioną przez kobiety i murzyńskich niewolników w okresie bitwy pod Jefferson.

Teraz nie zostało po tym żadnego śladu. Ledwie można było to nazwać drogą. W miejscu, gdzie piasek ciemniał opadając ku stru

mieniowi, a potem znów teren wspinał się w górę, nie było śladu mostu. Teraz blizna biegła prosto, wzdłuż splątanego żywopłotu cedrów, posadzonych przez tego samego bezimiennego architekta, który nakreślił plan i zbudował dom dla bezimiennego właściciela. Żywopłot był teraz grubości dwóch i trzech stóp, a gałęzie cedrów gmatwały się i zazębiały, tworząc zbitą masę. Ratliff skręcił między drzewa. Zdawało się, że wiedział, dokąd jedzie. Ale wtedy Bookwright przypomniał sobie, że był tu poprzedniej nocy.

Armstid nie czekał na nich. Ratliff uwiązał pośpiesznie zaprzęg i dogonili idący przed nimi cień, wyraźnie dostrzegalny w kombinezonie wyblakłym od częstego prania, przedzierający się przez krzaki sztywnym i pośpiesznym krokiem. Ziemia otwierała się przed nimi w długiej, czarnej rozpadlinie: wąwóz albo rów. Bookwright przypomniał sobie, że Armstid był tu parę nocy przedtem, mimo to kulejący cień zdawał się śpieszyć ku czarnej przepaści.

— Trzeba by mu pomóc — powiedział Bookwright. — Złamię sobie...

— Sza — szepnął Ratliff. — Ogród jest tam zaraz na górze.

— Złamię sobie znowu tę nogę — powiedział Bookwright ciszej. — Wtedy będziemy mieli zabawę.

— Nic sobie nie zrobi — szepnął Ratliff. — Tak było co noc. Tylko nie idźmy za blisko

niego. Ale nie trzeba też, żeby zanadto wysuwał się naprzód. Zeszłej nocy, kiedyśmy tu leżeli, musiałem go powstrzymywać.

Szli dalej tuż za sylwetką poruszającą się teraz w absolutnym milczeniu i ze zdumiewającą szybkością. Znajdowali się w wąwozie pełnym krzewów kapryfolium. Z trudem wleczona kulejąca noga ciężko uderzała o piaszczyste dno. Mimo to ledwie mogli za nim nadążyć. Po przebyciu około dwustu jardów Armstid skręcił, żeby wspiąć się na zbocze, do wyjścia z wąwozu. Ratliff szedł za nim. — Ostrożnie teraz — szepnął do Bookwrighta. — To już tutaj. — Ale Bookwright obserwował Armstida. — „Nigdy tu nie wejdzie — myślał. — Nie wdrapie się na ten stok?” — Tamten jednak zrobił to, ciągnąc swoją sztywną i kruchą nogę po niemal zupełnie stromej pochyłości, w milczeniu, bez pomocy, gotów z furią odrzucić wszelką propozycję pomocy i zaprzeczyć jej potrzebie. Bookwright na rękach i kolanach czołgał się za innymi ścieżką przez splątaną masę cierni i chwastów wysokości człowieka. Dogonił ich, kiedy leżeli już płasko na krawędzi niewyraźnie widzialnego zbocza wznoszącego się ku gęsto zarośniętemu szczytowi, gdzie pośród dębów sterczał szkielet olbrzymiego domu — tam, gdzie go umieścili przywieziony z daleka bezimienny architekt i jego pan, którego prochy mieszały się z prochami jego krewnych i przodków, saksofonistów

w kabaretach Harlemu, pod zniszczonymi nagrobkami o nieczytelnych napisach, na innym pagórku odległym o czterysta jardów — ze swoim strzaskanym dachem i rozwalonymi kominami i jednym wysokim prostokątnym oknem, przez które widzieli gwiazdy na przeciwległym krańcu nieba. Zbocze to prawdopodobnie było niegdyś ogrodem różanym. Żaden z nich nie wiedział i nie dbałby o to, że zwalony cokół pośrodku urwiska był niegdyś zegarem słonecznym, tak jak wiedzieli i nie dbali o to ci, którzy przechodzili obok i patrzyli nań może po sto razy. Ratliff dogonił Henry'ego i chwycił go za ramię, i w tej chwili, ponad szmerem ich zdyszanych oddechów, Bookwright usłyszał odgłos poruszającej się równomiernie i bez pośpiechu łopaty i głuche miarowe uderzenia grud ziemi spadającej gdzieś na zbocze, nad nimi.

— Tam! — szepnął Ratliff.

— Słyszę, że ktoś kopie — odpowiedział Bookwright — ale skąd wiadomo, że to Flem Snopes?

— Czy Henry nie leżał tu przez dziesięć nocy z rzędu nasłuchując? A ja, czy nie byłem tu wczoraj i nie słuchołem? Leżeliśmy w krzakach, póki nie przestał kopać i nie odszedł, a potem poczołgaliśmy się tam i odnaleźliśmy wszystkie miejsca, gdzie wykopał doły, a potem je zasypał z powrotem i wygładził, tak żeby nie było widać.

— No tak — szepnął. — Ty i Armstid wi dzieliście, że ktoś kopał, ale skąd mam poznać, czy to Flem Snopes.

— Dobrze — powiedział Armstid z chłodną hamowaną wściekłością, prawie głośno, i obaj czuli, jak leżąc między nimi dwoma szarpie się i trzęsie całym ciałem, jak pies trzymany na smyczy. — Więc to nie Flem Snopes. Wracajcie do domu.

— Szsz — uciszył go Ratliff. Armstid odwrócił się, spoglądając na Bookwrighta. Ich twarze odległe o niecałą stopę były teraz jeszcze mniej widoczne niż przedtem.

— Idźcie — powtórzył. — Wracajcie do domu,

— Cicho, Henry — szepnął Ratliff — Usłyszysz cię. — Ale Armstid odwrócił już głowę patrząc na ciemne zbocze, dygocąc i klnąc szepem. — Gdybyś zobaczył, że to Flem, uwierzyłybyś? — Bookwright nie odpowiedział. Leżał przy tamtych, podczas gdy chude ciało Armstida szarpało się i trzęsło obok niego, nasłuchując powolnego, równomiernego szmeru łopaty i z furią rzucanych przekleństw Armstida. Potem odgłos łopaty ucichł.

— Znalazł — powiedział Armstid. Wstał nagle i gwałtownie spomiędzy nich, Bookwright usłyszał czy poczuł, jak Ratliff chwytą Henry'ego za ramię.

— Stój — szepnął — stój. Pomóż mi go trzymać, Odum. — Bookwright złapał drugie ramię Armstida. Trzymali między sobą miotające się ciało, póki Armstid nie przestał się

wyrywać i leżał znów między nimi wpatrzony w jeden punkt, przeklinając szeptem. Jego ramiona, nie grubsze od laski, były niewiarygodnie silne. — Jeszcze nie znalazł nic — szepnął mu Ratliff. — Wie tylko, że to gdzieś musi być, tu, w ogrodzie. Może znalazł jakiś papier w domu, który mu wskazał, gdzie to jest. Ale musi grzebać i szukać tego tak samo jak i my. Czy go nie śledzimy i nie patrzymy, gdzie szuka?

Bookwright usłyszał teraz obydwaj głosy mówiące zduszonym szeptem, jeden przeklinający, drugi łagodnie perswadujący, podczas gdy ich właściciele nie spuszczały z oka oświetlonego gwiazdami stoku. Teraz Ratliff mówił do niego. — Nie wierzysz, że to Flem — powiedział. — Dobrze. Więc patrz. — Leżeli w zaroślach wstrzymując oddech, Bookwright także. Zobaczył kopacza: cień, ciemniejszą bryłę wspinającą się po zboczu, — Patrz — szepnął Ratliff. Bookwright słyszał ich syczące gwałtowne oddechy. Potem zobaczył białą koszulę, w chwilę później ukazała się cała postać wyraźna na tle nieba, jak gdyby zatrzymała się na szczycie urwiska. Potem znikła. — No co — szepnął Ratliff. — Czy to nie był Flem Snopes? Wierzysz teraz? — Bookwright wciągnął głęboko oddech. Trzymał jeszcze ramię Armstida. Zapomniał był o tym. Teraz czuł je znowu pod ręką jak stalowy kabel naprężony i wibrujący.

— To\* Flem — powiedział.

— Pewnie że Flem — potwierdził Ra

tliff. — Teraz musimy tylko zbadać jutro w nocy, gdzie to jest i ...

— Jutro w nocy? Niech was cholera! — powiedział Armstid. Wsunął się znowu do przodu próbując wstać. ~ Chodźmy tam zaraz i szukajmy. Musimy to zrobić, zanim... — obaj znów go powstrzymali, podczas gdy Ratliff perorował świszczącym głosem. Położył się wreszcie z powrotem na płasko, wśród przekleństw.

— Musimy najpierw się dowiedzieć, gdzie to jest. Musimy wiedzieć to dokładnie, żeby znaleźć za pierwszym razem. Nie mamy czasu szperać. Musimy znaleźć od razu pierwszej nocy, bo nie możemy zostawiać po sobie żadnych śladów. Znalazłby je, jak wróci. Nie rozumiesz tego? Nie rozumiesz, że mamy tylko jedną szansę, bo nie możemy ryzykować, żeby nas nakryli przy szukaniu.

— Co zrobimy? — spytał Bookwright.

— Ha — powiedział Armstid szorstko, z hamowaną furią. — Co my zrobimy? Myślałem, żeś już poszedł do domu.

— Cicho, Henry — powiedział Ratliff. Podniósł się na kolana, chociaż jeszcze trzymał ramię Armstida. — Umówiliśmy się, że weźmiemy Oduma z sobą. Zaczekamy przynajmniej, aż znajdziemy te pieniądze, zanim się zaczniemy o nie kłócić.

— A jeżeli to tylko wycofane z obiegu pieniądze konfederatów? — odezwał się Bookwright.

— Dobrze — powiedział Ratliff. — Jak my-

ślisz, co stary Francuz zrobił ze swoimi pieniędzmi, zanim istniało coś takiego jak pieniądze\* kon/ederackie? Bo znaczna ich część to byłyby prawdopodobnie srebrne łyżki i biżuteria.

— Możesz sobie wziąć srebrne łyżki i biżuterię — powiedział Bookwright. — Ja wezmę moją część w monetach.

— A więc wierzysz teraz, co? — spytał Ratliif. Bookwright nie odpowiedział.

— Co zrobimy teraz? — spytał.

— Jutro pojedą do wuja Dicka Bolivara — powiedział Ratliff. — Powinienem być z powrotem zaraz po zmierzchu. Ale tu nie możemy zrobić nic przed północą, dopiero jak FJem skończy poszukiwania.

— I znajdzie to jutro w nocy — powiedział Armstid. — Do stu diabłów, nie będę... — Wszyscy stali teraz. Armstid nagle zaczął się szamotać z furją, żeby uwolnić ramię. Ale Ratliff go nie puszczał. Otoczył go ramionami i trzymał, póki tamten nie przestał się szarpać.

— Słuchaj — rzekł Ratliff. — Flem Snopes tego nie znajdzie. Gdyby wiedział, gdzie to jest, myślisz, że nie przychodziłby tu kopać co noc od dwóch tygodni? Nie wie pan, że ludzie szukają tych pieniędzy od trzydziestu lat? Że każda piędź ziemi została tu przeszukana co najmniej dziesięć razy? Że w całej okolicy nie ma pola, na którym by tyle pracowano, co na tym małym kawałeczku ogrodu? Will Varner mógł tu wyhodować baweł

nę i kukurydzę tak wysoką, że musiałby ją zbierać na koniu, gdyby tylko rzucił ziarno w ziemię. Dlaczego ludzie nic jeszcze nie znaleźli? Bo jest zakopane tak głęboko, że nikt nie miał czasu wykopać takiej jamy przez jedną noc, a potem zasypać z powrotem, żeby jej Will Varner nie znalazł, jak przychodzi tu w dzień i siedzi na tym krześle z beczki. Co to to nie. Jedna tylko rzecz na świecie mogłaby nam przeszkodzić w naszych planach — Armstid nie przestał się szamotać. On i Bookwright spoglądali na niewidzialną twarz Ratliffa. Po chwili Armstid spytał szorstko:

— Jaka to rzecz?

— Gdyby Flem Snopes dowiedział się, że ktoś jeszcze tego szuka.

Następnej nocy, około dwunastej, Ratliif znów uwiązał swój zaprzęg wśród cedrów. Bookwright tym razem przyjechał na swoim koniu, bo w wozie siedziało już trzech ludzi, i znowu Armstid nie czekał na Ratliffa:

wysiadł, jak tylko wóz się zatrzymał, wyciągnął z brzękiem i hałasem łopatę, nie usiłując wcale zachować ciszy i oddalił się, kulejąc, w ciemność, nim Ratliff i Bookwright zdążyli wyskoczyć na ziemię.

— Możemy od razu wracać do domu — powiedział Bookwright.

— Nie, nie — powiedział Ratliff. — O tej porze już go nigdy nie ma. Ale lepiej w każdym razie trzymać się blisko HenTy'ego.

Trzeci człowiek, który z nimi przyjechał,

nie ruszył się jeszcze z wozu. Nawet w ciemności jego długa biała broda świeciła lekko, jakby wchłoneła coś z gwiazdnej poświaty, przez którą wiózł go Ratliff, i teraz oddawała to ciemnościom. Bookwright i Ratliff pomogli mu zejść na ziemię, po czym, niosąc z sobą drugą łopatę i motykę, i taszcząc za sobą staruszka, pośpiesznie zeszli do wąwozu i zaczęli biec za oddalającym się echem utykającej nogi Armstida. Nie dogonili go. Wygramolili się na górę niosąc teraz staruszka na rękach i jeszcze nim doszli do podnóża ogrodu, usłyszeli odgłos poruszającej się pośpiesznie łopaty Armstida. Postawili staruszka, który osunął się na ziemię między nich, dysząc ciężko, a Bookwright

i Ratliff spojrzeli na ciemny stok, w stronę, skąd dobiegały wściekle uderzenia łopaty.

— Musimy go zatrzymać, póki wuj Dick tego nie znajdzie — powiedział Ratliff. Pobiegli w tym kierunku, ramię przy ramieniu, poprzez zarośla.

— Henry — szepnął Ratliff. — Zaczekaj na wuja Dicka. — Armstid nie przerwał kopania, z furją odrzucając ziemię i wbijając na nowo łopatę niemal jednym nieprzerwanym gestem. Ratliff chwycił za łopatę, Armstid wyrwał mu ją i obrócił się z łopatą podniesioną groźnie jak siekiera. Nie widzieli w ciemnościach swoich twarzy, wyniszczonych, znużonych od wysiłku. Ratliff nie zdejmował z siebie ubrania przez ostatnie trzy noce, ale

Armstid prawdopodobnie nie zdejmował go od trzech tygodni.

— Dotknij jej tylko — szepnął Armstid. — Spróbuj.

— Zaczekaj — powiedział Ratliff. — Niech wuj Dick najpierw pokaże nam, gdzie to jest.

— Idź stąd — powiedział Armstid. — Ostrzegam. Odejdź od mego dołu. — Zaczął znowu kopać z furją.

Ratliff obserwował go przez sekundę.

— Chodźmy — powiedział. Zawrócił biegnąc, Bookwright za nim. Staruszek siedział na ziemi, tam gdzie go zostawili. Ratliff usiadł obok niego i zaczął szukać łopaty wśród chwastów. Najpierw namacał motykę, odrzucił ją i macał dalej. On i Bookwright natrafili na łopatę jednocześnie. Wstali, wyrywając ją jeden drugiemu, oddychając głośno, słysząc ponad własnymi oddechami szybkie ruchy łopaty Armstida. — Puść to — szepnął Ratliff — puść! — Staruszek pozostawiony własnym siłom próbował podnieść się na nogi.

— Czekajcie — powiedział. — Czekajcie.

Wtedy Ratliff jak gdyby zdał sobie sprawę, co robi. Puścił łopatę, prawie rzucił nią w Bookwrighta.

— Zabierz ją — powiedział. Odetchnął głęboko. — Mój Boże — szepnął. — Widzicie, co mogą zrobić z człowieka nawet te pieniądze, których jeszcze nie ma. — Pochylił się pomagając wstać staruszkowi gwałtownym gestem, z szorstkością nie zamierzoną, lecz wy-



nikającą z pośpiechu. Musiał go przytrzymać na chwilę, bo chwał się na nogach.

— Czekajcie — powiedział staruszek trzęsącym się głosem. Znali go wszyscy w okolicy. Nie miał żadnych krewnych, żadnych powiązań rodzinnych i starszy był od wszystkich. Nikt nie wiedział, ile ma lat. Wysoki chuderlawy człowiek w brudnym długim sur\* ducie, pod którym nie nosił koszuli, z długą, zupełnie białą brodą, sięgającą za pas. Mieszkał w lepiance nad rzeką, pięć czy sześć mil odległej od każdej drogi. Preparował i sprzedawał tajemnicze mikstury i fetysze; i mówiono o nim, że jada nie tylko żaby i węże, ale nawet robactwo, wszystko, co da się złapać. W jego chacie nie było nic prócz łóżka z wypchanym słomą siennikiem, kilku garnków do gotowania, ogromnej „Biblii” i dagero- typu, przedstawiającego młodego człowieka w mundurze konfederackim, według tych, którzy go widzieli — jego syna.

— Zaczekajcie — powiedział — w ziemi jest gniew. Trzeba przeszkodzić temu, co ją bije.

— Dobrze — powiedział Ratliff. — Nie uda się, dopóki ziemia nie będzie spokojna. Musimy go zatrzymać.

Znowu, kiedy stanęli nad nim, Henry nie przerwał kopania, znowu, gdy Ratliff go dotknął, odwrócił się z podniesioną łopatą

i stał, przeklinając ochrypłym szeptem, póki sam staruszek nie nadszedł i nie dotknął jego ramienia.

— Możesz kopać i kopać bez końca, młody człowieku — odezwał się słaby, drżący głos. — Ale co złożone w ziemi, ziemia ukryje, póki nie będzie gotowa tego pokazać.

— To prawda, Henry — powiedział Ratliff. — Musimy zrobić miejsce dla wuja Dicka, żeby znalazł, gdzie to jest. Przestań kopać. — Armstid opuścił łopatę i wyszedł ze swojej jamy (była już prawie na stopę głęboka). Ale nie odłożył łopaty, trzymał ją kurczowo w rękach, kiedy staruszek poprowadził ich na kraniec ogrodu i wyjął z kieszeni surduta rozwidloną gałązkę brzoskwini, na której końcu dyndał jakiś przedmiot przywiązany na sznurku. Ratliff, który widział to już kiedyś przedtem, poznał, co to jest: pusty sukienny woreczek po tytoniu, w którym znajdował się ząb ludzki ze złotą plombą. Potem starzec, pod eskortą skupionej, milczącej trójki, poszedł do zarośniętego chwastami kąta starego ogrodu, chwycił dwie odnogi gałązki w obie ręce. Sznurek z kapciuchem zwisał teraz przed nim prosty jak pion i nieruchomy. Staruszek stał przez chwilę mrużąc pod nosem.

— Ale jak... — Zaczął mówić Bookwright.

— Cicho — przerwał mu Ratliff.

Staruszek zaczął iść przed siebie, tamci

za nim. Posuwali się jak procesja, w której było coś z obrzędu obrażająco pogańskiego a zarazem ortodoksyjno-pogrzebowego, tam

i z powrotem przez ogród, wspinając się

stopniowo na zbocze zygzakowatą linią. Nagle staruszek przystanął. Armstid kusztyka- jący tuż za nim wpadł na niego.

— Ktoś mi się sprzeciwia — powiedział. Nie obejrzał się. — To nie ty — powiedział i wszyscy wiedzieli, że mówi do Ratliffa. —

I nie ten kulawy. To tamten. Ten czarny. Niech odejdzie z tej ziemi, żeby się uspokoiła albo zawieźcie mnie z powrotem do domu. — Odejdź na koniec ogrodu — powiedział Ratliff. — Wtedy wszystko będzie w porządku.

— Ale ja... — zaczął Bookwright.

— Wyjdź z ogrodu — powtórzył Ratliff. — Jest już po północy, za cztery godziny zrobi się jasno. —

Bookwright zawrócił do podnóża zbocza. To znaczy zniknął w ciemnościach, bo nie patrzyli za nim, szli teraz znowu. Armstid i Ratliff znaleźli ślady dołów wykopanych pierwszej nocy, kiedy Armstid go tu przyprowadził. Teraz Ratliff czuł, że Armstid znowu zaczyna dygotać. Staruszek przystanął. Tym razem nie zderzyli się i Ratliff nie wiedział, że Bookwright znowu jest z nimi, póki staruszek się nie odezwał.

— Dotknij moich łokci — powiedział. — Nie ty. Ty, co nie wierzysz.

Kiedy Bookwright zrobił to, ramiona wewnątrz rękawów chude i kruche jak uschnięta gałąź drżały lekko i miarowo. Stary zatrzymał się nagle i Bookwright wpadł na niego, czując, jak całe kruche ciało wypręża się i przegina w tył. Armstid klął bez przerwy.

— Dotknij tej gałązki — powiedział stary. — Ty, co nie wierzysz.

Kiedy Bookwright dotknął jej, gałązka była wygięta końcem do dołu, sznurek naprężony jak drut. Armstid wydał zdławiony okrzyk. Bookwright uczył jego rękę także na gałązce. Nagle starzec zachwiał się i gałązka rozprężona, wypadła z jego rąk i leżała bezwładnie, póki Armstid nie odrzucił jej, zaczynając z furią drażyć ziemię gołymi rękami.

Zawrócili jednocześnie i zeszli w dół urwiska, do miejsca, gdzie zostawili narzędzia. Ledwie mogli nadażyć za Armstidem.

— Nie dawaj mu kilofa — zawołał Bookwright — gotów kogoś zabić. — Ale Armstid nie szukał kiloia. Poszedł prosto do miejsca, gdzie położył łopatę, kiedy staruszek wyciągnął z kieszeni różdżkę i nie chciał iść dalej, póki Armstid nie rzucił łopaty? porwał ją i popędził z powrotem w górę zbocza. Kopał już, kiedy tamci go doścignęli. Zaczęli kopać wszyscy trzej jak szaleńcy, odrzucając ziemię na bok gwałtownymi ruchami, popychając się i zderzając, podczas gdy staruszek stał nad nimi w blasku gwiazd odbijającym się w jego białej brodzie i białych brwiach nad dwoma oczodołami i — nawet gdyby przerwali kopanie, żeby spojrzeć, nie dostrzegliby, czy patrzą na nich, czy nie te oczy nieobecne, dalekie, bez żadnego zainteresowania dla ich dyszącego szaleństwa. Nagle wszyscy trzej jak gdyby skamienieli, może

na sekundę. Potem jednocześnie skoczyli w głąb wykopanej jamy i sześć rąk w tej samej chwili dotknęło przedmiotu: ciężkiego worka z grubej tkaniny, przez którą można było wyczuć zaokrąglone brzegi monet. Zaczęli się szamotać, wrywając go sobie, szarpiąc, ciągnąc, dysząc.

— Przestańcie — dyszał Ratliff. — Czy nie jesteśmy wszyscy trzej partnerami, na równych prawach? — Lecz Armstid uczeplił się worka próbując wyszarpać go innym, przeklinając.

— Puść, Odum — powiedział Ratliff. — Niech go zabiera.

Puścili worek. Armstid zagarnął go sam, schylony, patrząc na nich, gdy wychodzili z jamy. — Niech go sobie zatrzyma. Nie wiecie, że to nie wszystko? — Odwrócił się prędko. — Chodźmy dalej, wuju Dick — powiedział. — Niech pan weźmie... — Stary stał nieruchomo za nimi, z odwróconą głową, jakby nasłuchiwał czegoś od strony, z której tu przyszli.

— Co to? — szepnął Ratliff. Wszyscy trzej stali teraz jak wryci, sztywni, jeszcze trochę pochyleni, jak w tym momencie, kiedy odeszli od Armstida, — Słyszycie? Ktoś jest na dole?

— Czuję zapach czterech krwi, w których wre chciwość — odezwał się staruszek. — Cztery krwie pożądamy śmieci.

— Jest nas przecież czterech — szepnął Bookwright.

■— Wuj Dick nie dba o pieniądze — odpowiedział Ratliff. — Ktoś się tutaj ukrywa... — Pobiegli wszyscy, Armstid ruszył pierwszy, nie puszczając łopaty. Znowu ledwie mogli dotrzymać mu kroku schodząc w dół zbocza.

— Zabić go — powiedział Armstid. — Przeszukajmy wszystkie krzaki i zabijmy.

— Nie — powiedział Ratliff. — Najpierw go złapmy.

Kiedy on i Bookwright dobiegli do krawędzi wąwozu, słyszeli, jak Armstid nie starając się wcale być cicho, rozzagnia ciemne krzaki łopatą, wymachując nią niby siekierą, z taką samą furją, z jaką kopał ziemię. Ale nie znaleźli nic, nikogo.

— Może wuj Dick nic nie słyszał — powiedział Bookwright.

— W każdym razie, jeżeli ktokolwiek tu był, to zniknął — powiedział Ratliff. — Może... — Przerwał. On i Bookwright patrzyli sobie w oczy. Wstrzymując oddech usłyszeli tętent konia. Dochodził od strony starej drogi, za cedrami, jak gdyby koń zrzucony został z nieba w pełnym galopie. Słyszeli go, póki tętent nie ucichł na piasku przy strumieniu. Potem rozległ się znowu na twardym gruncie za strumieniem, oddalający się, coraz słabszy. Potem ucichł zupełnie. Spoglądali na siebie w ciemnościach, tłumiąc oddech. Wreszcie Ratliff odetchnął głośno. — To znaczy, że mamy jeszcze czas do świtu — powiedział. — Chodźmy.

Jeszcze dwa razy brzoskwiniowa różdżka starca wyprężała się i zginała, jeszcze dwa razy znaleźli małe, pękate woreczki z rogoży, twarde i nieomyłne, nawet po ciemku.

— No, teraz każdy z nas ma po jednej dziurze do wykopania i czas na to do świtu. Kopmy, chłopcy.

Kiedy na wschodzie zaczęło szarzeć, nie znaleźli nic innego. Ale kopiąc trzy jamy naraz, nie mogli dotrzeć bardzo głęboko. A główna część skarbu na pewno znajdowała się głęboko, jak powiedział Ratliff, gdyby nie to, znaleziono by ją już dziesięć razy w ciągu trzydziestu lat, gdyż z pewnością niewiele było stóp kwadratowych w tych dziesięciu akrach, stanowiących powierzchnię dawnej posiadłości, które nie byłyby już przekopane, przetrząśnięte przez kogoś, kto kopał po ciemku, usiłując to robić prędko i cicho zarazem. Toteż w końcu on i Bookwright zdołali nakłonić Armstida do odrobiny rozsądku, przerwali robotę, wypełnili jamy i usunęli ślady kopania. Potem otworzyli worki w szarym świetle brzasku. Worek Ratliffa zawierał dwadzieścia pięć srebrnych dolarów, tak samo jak Bookwrighta. Armstid nie chciał powiedzieć, ile było w jego worku, ani pokazać jego zawartości. Położył się na nim, zwrócony plecami do towarzyszy, przeklinając, kiedy próbowali zajrzeć.

— Niech tak będzie — powiedział Ratliff. Potem uderzyła go pewna myśl. Spojrzał na Armstida. — Chyba żaden z was nie będzie taki głupi, żeby od razu wydać coś z tych pieniędzy.

— Co moje, to moje — zaprotestował Armstid. — Ja te pieniądze znalazłem. Ja sam na nie zapracowałem. Zrobię z nimi, co mi się podoba.

— Bardzo dobrze — powiedział Ratliff. — A jak to wytłumaczysz?

— Jak wytłumaczę? — spytał Armstid. Siedząc na piętach, podniósł wzrok na Ratliffa. Mogli teraz widzieć swoje twarze. Wszystkie trzy były zszarzałe, znużone bezsennością i wysiłkiem.

— Tak — powiedział Ratliff. — Jak wytlumaczysz ludziom, skąd je wzięłeś. Skąd wzięłeś 25 dolarów wybitych przed rokiem 1861? — Przestał patrzeć na Armstida. On i Bookwright spoglądali teraz na siebie spokojnie w rosnącym świetle. — Ktoś był w wąwozie i obserwował nas — powiedział. — Musimy to kupić.

— Musimy to kupić jak najprędzej — potwierdził Bookwright. — Jutro.

— Chcesz powiedzieć dzisiaj — poprawił go Ratliff. Tamten rozejrzał się wokół siebie. Wyglądał, jakby się budził z narkozy, jakby widział świt, ziemię, po raz pierwszy.

— To prawda — powiedział. — Już jest jutro.

Starzec spał pod drzewem obok wąwozu, rozciągnięty na wznak, z otwartymi ustami, z brodą potarganą i brudną, w rosnącym świetle brzasku. Nie zauważyli nawet jego

nieobecności od chwili, gdy zabrali się na serio do kopania. Obudzili go i pomogli mu się wygramolić na wóz. W pudle, gdzie Ratliff woził maszyny, były drzwiczki zamykane na kłódkę. Wyrzucił stamtąd resztkę kukurydzy, potem wepchnął w głąb worki z pieniędzmi, swój i Bookwrighta pod stertę najróżniejszych przedmiotów, którymi handlował i zamknął drzwiczki z powrotem.

— Włóż swój worek także, Henry — powiedział. — Teraz musimy zapomnieć o tych pieniądzach, póki nie znajdziemy reszty i nie wydobędziemy jej z ziemi.

Ale Armstid nie chciał. Sztywno wdrapał się na wóz za Bookwrightem, bez pomocy, odrzucając z góry pomoc, której nawet nie proponowano, ściskając swój woreczek pod plastronem swego wylatanego spłowiałego kombinezonu, i odjechali. Ratliff nakarmił konie i napił je w strumieniu; był już na drodze przed wschodem słońca. Dochodziła dziewiąta, kiedy zapłacił starszemu dolarą jako honorarium i wysadził go z wozu w miejscu, gdzie pięciomilowa dróżka do jego chaty schodziła w dolinę rzeki, i zawrócił żwawo, niestrudzone koniki w kierunku Sadyby Francuza. „Ktoś był schowany w tym wywozie, myślał. Musimy się diabelnie śpieszyć z kupnem.”

Później, myśląc o tym, miał wrażenie, że póki nie dojechał do sklepu Varnerów, nie zdawał sobie właściwie sprawy, jak bardzo będą się musieli śpieszyć. Niemal w tej samej chwili, kiedy sklep ukazał się przed jego oczyma, zobaczył na ganku nową twarz pośród innych, stale tu oglądanych, i poznał ją natychmiast: Eustace Grimm, młody dzierżawca zamieszkały w sąsiednim hrabstwie, o jakieś dziesięć czy dwanaście mil stąd. Ożenił się akurat przed rokiem i Ratliff zamierzał sprzedać im maszynę do szycia, jak tylko skończą spłacać kosztą urodzenia dziecka, które miało teraz dwa miesiące. Przywiązując zaprzęg do jednego ze słupów i wchodząc na wyszczerbione od obcasów schody, myślał: „Może sen daje człowiekowi wypoczynek, ale żeby mieć umysł naprawdę trzeźwy, trzeba nie spać dwie albo trzy noce, umęczyć się i najeść strachu”. Bo od pierwszej chwili, kiedy tylko poznał Grimma, coś go tknęło, chociaż dopiero w trzy dni później miał się dowiedzieć, co to było. Nie rozbierał się od przeszło sześćdziesięciu godzin, nie jadł dziś śniadania i jego odżywianie w ciągu ostatnich dwóch dni było mniej niż skromne. Wszystko to zdradzało jego twarz. Ale nie głos, ani nic innego, i ta bladeść była jedną niezwykłą rzeczą, jaką można w nim było zauważyć.

— Dzień dobry, panowie — pozdrowił ich.

— Niech mnie powiesz, jeżeli pan nie wyglądasz, jakbyś przez trzy noce nie kładł się do łóżka, V. K. — powiedział Freeman. — Co nowego kombinujesz? Lon Quick i jego chłopak widzieli dwa dni temu pański wóz ukryty w drzewach za domem Armstida, ale

im powiedziałem, że konie nie zrobiły chyba nic takiego, żeby się musiały ukrywać. Więc to chyba pan.

— Zdaje się, że nie — odpowiedział Ratliff. — Bo inaczej mnie by też przyłapano, tak samo jak konie. Myślałem zawsze, że jestem za sprytny, żeby mnie ktoś przyłapał w tej okolicy. Ale teraz już nie wiem. — Spojrzał na Grimma. Mimo bezsenności i zmęczenia jego twarz była tak nieprzenikniona i zagadkowa jak zawsze. — Trafieś pan-pod zły adres, Eustace.

— Na to wygląda — odparł Grimm. — Przyjechałem tu, żeby...

— Opłacił podatek drogowy — wtrącił Lump Snopes, subiekt siedząc, jak zwykle, na jedynym krześle w drzwiach. — Czy ma pan coś przeciwko temu, żeby on też korzystał z dróg hrabstwa Yoknapatawpha?

— Z pewnością nie — odpowiedział Ratliff. — A gdyby tylko opłacił odpowiedni podatek w odpowiednim miejscu, mógłby jeździć swoim wozem przez sklep i przez dom Wilia Varnera także. — Wszyscy zachichotali prócz Lumpa.

— Może jeszcze będę — powiedział Grimm. — Przyjechałem tu, żeby zobaczyć... ;— przerwał patrząc na Ratliffa. Siedział na piętach, idealnie nieruchomy, ze szczapą drzewa do strugania w jednej ręce i z otwartym i zatrzymanym wpół drogi scyzorykiem. Ratliff obserwował go,

— Wczoraj w nocy także go pan nie widziałeś?

— Kogo nie widziałem wczoraj w nocy? — spytał Grimm.

— Jak mógł wczoraj w nocy widzieć kogokolwiek w Sadybie Francuza, kiedy nie był w nocy w Sadybie Francuza? — powiedział Lump. — Idź do domu, Eustace — dodał. — Obiad już pewnie gotów. Ja też idę za parę minut.

— Muszę — powiedział Grimm.

— Musisz pojechać dwanaście mil, żeby dziś wieczorem być w domu — powiedział Snopes. — Teraz idź. — Grimm patrzył na niego jeszcze przez chwilę. Potem wstał i zszedł po schodach, na drogę. Ratliff przestał go już obserwować. Patrzył na Snopesa.

— Eustace jada obiady razem z panem, jak tu przyjeżdża? — spytał.

— Przypadkowo jada u Winterbottoma, gdzie ja przypadkowo także się stołuję — powiedział sucho Snopes. — Gdzie przypadkowo prócz nas jada jeszcze parę innych osób.

— Jasne — powiedział Ratliff. — Nie powinien go pan tak poganiać. Eustace prawdopodobnie nieczęsto ma okazję spędzić dzień czy dwa na oglądaniu okolicy i siedzeniu przed sklepem.

— Dzisiaj wieczorem będzie trzymał nogi pod własnym stołem — powiedział Snopes. — Może pan tam pojechać i zobaczyć.

Potem może się pan znaleźć na jego tylnym podwórku, zanim on otworzy usta.

— Na pewno — powiedział Ratliff, uprzejmy, chłodny, nieprzenikniony, z twarzą znużoną i noszącą ślady bezsenności. — Kiedy się pan spodziewa, że Flem wróci?

— Skąd wróci? — spytał Snopes swoim szorstkim głosem. — Z tego hamaka, gdzie wypoczywa razem z Willem Varnerem i śpi? Prawdopodobnie nigdy.

— On i Will z kobietami byli wczoraj w Jefferson — powiedział Freeman. — Will mówił, że mają wrócić dziś rano.

— Jasne — powiedział Ratliff. — Czasem człowiek potrzebuje więcej niż roku, żeby wytłumaczyć swojej nowej żonie, że pieniądze nie są stworzone wyłącznie na to, żeby je wydawać w sklepach. — Stał nad nimi oparty o słup ganku, swobodny, rozporządzający nieograniczonym czasem, jakby nie wiedział nawet, co znaczy pośpiech. „A więc Flem Snopes od wczoraj był w Jefferson, myślał. I Lump Snopes nie chce, żeby o tym mówiono. A Eustace Grimm... (znów coś w jego mózgu leciutko uderzyło na alarm, choć dopiero po trzech dniach miał się dowiedzieć, co to było, bo teraz zdawało mu się, że wie, że widzi wzór w całości) Eustace Grimm jest tutaj od wczoraj w nocy, od chwili, kiedy słyszeliśmy tego galopującego konia, w każdym razie. Może obaj jechali na tym koniu. Może dlatego tętent był taki ciężki. Słyszał to także Lump Snopes i Eustace Grimm

na jednym koniu galopujący w ciemnościach z powrotem do Sadyby Francuza, gdzie wciąż jeszcze nie było Flema Snopesa aż do późnego popołudnia. A Lump Snopes wołał, żeby

o tym także nie wspominać, myślał, i odesłał Eustace Grimma do domu, żeby ludzie nie mogli z nim rozmawiać. I Lump Snopes jest nie tylko zakłopotany i zły: boi się. Możliwe nawet, że widzieli ukryty wóz. Prawdopodobnie widzieli i w ten sposób rozpoznali przynajmniej jednego z tych, którzy kopali w ogrodzie, i teraz Snopes nie tylko musi porozumieć się pierwszy ze swoim kuzynem za pośrednictwem swego agenta Grimma, ale może także być zamieszany w walkę licytacyjną o tę posiadłość przeciwko komuś, kto (Ratliff dodawał to bez próżności) mógł wystąpić z ofertą wyższą niż on." Myślał — pogrążony w medytacji jak zawsze, ale wciąż nieodgadniony — że nawet Snopes nie może być bezpieczny przed innym Snopesem. „Trzeba działać diabelnie prędko", myślał. Odszedł od słupa i zawrócił ku schodom. — Muszę już iść — powiedział. — Do zobaczenia jutro, chłopcy.

— Chodź pan do mnie na obiad — zaproponował Freeman.

— Dziękuję bardzo — odpowiedział Ratliff. — Jadłem dziś bardzo późno śniadanie u Bookwrighta. Muszę po południu odebrać pieniądze za maszynę od Ike McCaslina i wrócić tu wieczorem. — Wsiadł do wozu i zawrócił konie na drogę. Zaczęły znowu

biec swoim zwykłym, dostosowanym cło s/e- lokiej drogi Iruchjkiem, nn swoich krótkich nogach, chor: właściwie posuwały się naprzód niezbyt szybko, póki nie minęły domu Varnerów, za którym droga skręcała w kie- runku farmy McCaslina i /nikolu z oczu tych, którzy siedzieli przed sklepem. Wbiegły na tę drogę galopem, kurz wzbijał się z ich włochatych grzbietów w długich smugach po każdym uderzeniu bału. Miały do przebycia trzy mile. J' o pierwszo] pół mili trzeba było cały czas jechać wąską, kręto, rzadko używam) ścieżką, ale mógł jo przebyć w dwadzieścia minut, i.edwie minęło południe, a Will VoTnor mógł wyciągnąć żonę z zebrania Kółka Opiekunek Kościoła prawdopodobnie gdzieś dopiero około dziewiątej. Przebył ten odcinek w dziewiętnaście minut, z wozem trzęsącym się i podskakującym na wybojach wśród tumanów kuf/.u i potem zwolnił trochę tempo, dając wytchnąć spienionym koniom, i skierował je na główną drogę do Jefferson o milę za wsią, pędząc je kłusom jeszcze przoz pół mili, polem znów zwalniając, żeby stopniowo ochłonęły. Alo jeszcze nie było ani śladu powozu, więc jechał stępa, aż do szczytu wzgórza, sk.pl mógł widzieć dość duży kawał drogi, /jechał trochę nu bok i stanął w cieniu drzewa. Dziś miał także być bez obiadu, Ale nie był głodny, n choć rano, gdy odwiózł staruszka i zawrócił do wsi, odc/.uwał nieprzepartą potrzebę N»U, teiaz i to także przeszło. Słodzi«!

nn wozie w wygodnej pozycji mrugając boleśnie oczyma w blasku południa, podczas gdy konie (nie używał nigdy wytoków) lekko pociągały luźno puszczone lejce i szczypały trawę, przechylając szyję ponad chomątem. I.udzie mogli tędy przejeżdżać i widzieć go, niektórzy prawdopodobnie jechali do wsi i mogli opowiadać, że go tu widzieli. Ale

o tym nie myślał w lej chwili, tak jakby sobie powiedział: „Teraz nareszcie mam wolną chwilę i mogę się odprężyć.”

Potem zobaczył powóz. Zanim mogła go dostrzec któraś z jadących w nim osób, jechał już swoim zwykłym truchtem, który znała cała okolica, drogą wypełnioną ruchem małych kopyt, które posuwały się niewiele prędzej niż dwa duże konie idące stępa. T wiedział, że dostrzegli go już i rozpoznali, kiedy stanął w odległości jakichś dwustu jardów i siedział na wozie, uprzejmy, gładki, idealnie pogodny, gdyby nie zmęczona twarz, póki Varner nie zatrzymał powozu obok niego.

— Dzień dobry, V. K. — powiedział Varner.

— Dzień dobry — odparł Ratliff. Uchylił kapelusza przed dwoma kobietami na tylnym siedzeniu, — Dzień dobry pani Varner, pani Snopes.

— Dokąd pan jedziesz? — spytał Var- nor. — Do miasta? — Katlift nie skłamał, nie próbował nawet, uśmiechając się lekko, uprzejmy, może nawet z odrobiną respektu.



— Wyjechałem na wasze spotkanie. Chciałbym zamienić dwa słówka z Fle- mem. — Spojrzał na Snopesa pierwszy raz. — Odwiozę pana do domu.

— Ha — powiedział Varner. — Przejechał pan dwie mile, żeby go spotkać, a potem zawrócić i przejechać te dwie mile z powrotem, żeby z nim zamienić dwa słowa?

— To prawda — powiedział Ratliff. Jeszcze patrzył na Snopesa.

— Za dużo pan ma rozumu, żeby próbować sprzedać Fiemowi cokolwiek. I na pewno nie jest pan taki głupi, żeby cokolwiek od niego kupować. No nie?

— Nie wiem — powiedział Ratliff tym samym uprzejmym, niezmiennym i nieprzeniknionym głosem mimo wymęczonej bezsennością twarzy, wciąż patrząc na Snopesa. — Zawsze uważałem się za niegłupiego, ale teraz już nic nie wiem. Odwiozę pana do domu — powiedział. — Nie spóźni się pan na obiad.

— Złaź i przesiądź się na jego wóz — zwrócił się Varner do swego zięcia. — Nie powie ci nic, dopóki tego nie zrobisz. — Ale Snopes już wysiadł. Splunął ponad kołem, odwrócił się i zszedł tyłem, po kole, ruchem swobodnym i zdecydowanym w swoich wy- plamionych jasnoszarych spodniach, białej koszuli i nowej czapce w kratę. Powóz ruszył dalej, Ratliff zablokował koło i Snopes wsiadł do wozu obok niego. Zawrócił konie,, które znowu podjęły swój zwykły niestru-

dzony drogowy truchcik. Ale tym razem Rat- liff hamował je, póki nie zaczęły jechać stępa — trzymał je w tym tempie, podczas gdy Snopes bez przerwy poruszał szczękami, żując tytoń. Nie patrzyli na siebie.

— Ten dom Starego Francuza — powiedział Ratliff. Powóz wyprzedził ich o jakieś sto jardów, jadąc noga za nogą we "własnym kurzu, tak samo jak oni. — Ile pan zamierza wziąć za to od Eustace Grimma? — Snopes splunął tytoniowym sokiem ponad obracającym się kołem. Żuł niezbyt prędko i nie uważał za konieczne przerywać żucia po to, żeby pluć jak oni i mówić. — On jest teraz w sklepie, prawda? — powiedział.

— Czy nie kazał mu pan dziś przyjechać? — spytał Ratliff. — Ile pan zamierza od niego zażądać? — Snopes powiedział mu ile. Ratliff wydał krótki okrzyk, coś przypominający zwykłe „ha" Varnera. — Pan uważa, że Eustace Grimm może mieć tyle pieniędzy?

— Nie wiem — powiedział Snopes. Splunął znów nad obracającym się kołem. Ratliff mógł był powiedzieć: „W takim razie nie chce pan tego sprzedać". Snopes byłby odpowiedział: „Sprzedam wszystko". Ale nie powiedzieli tego. Nie potrzebowali.

— W porządku — odezwał się Ratliff. — Ile pan chce za to ode mnie? — Snopes powiedział mu. Była to ta sama suma. Tym razem Ratliff posłużył się wykrzyknikiem Varnera. — Ja mówię tylko o tych dziesięć

ciu akrach, gdzie stoi siary dom. Nie chcę kupić od pana całego hrabstwa Yoknapawepesę. - - Przejechali ostatnio wzgórze, Powóz ruszył szybciej oddalając się; od nich, Do wsi było już blisko. — Mówimy tylko o tym - - powiedział Ratliff. — Czy pan chce za tę posiadłość Starego Francuza? — Jego konie próbowały także teraz przyspieszyć biegu, wyrывая naprzód, Ratliff hamował je na drodze, która zaczęła zakręcać biegnąc koło szkoły prosto do wsi. Powóz znikł już za zakrętem.

— Po co to panu potrzebne?

— Żeby założyć kozią farmę — powiedział Ratliff. — Ile? — Snopes splunął nad obracającym się kołem. Wymienił tę sarną sumę po raz trzeci. Ratliff rozluźnił lejce i małe, silne, niestrudzone koniki pobiegły truchcikiem przez ostatni zakręt, mijając szkołę. Było już widać wieś i toczący się przed nimi powóz, już za sklepem. — Ten facet, ten nauczyciel, któregoście mi tu trzy czy cztery lata temu, Labove. Czy nikt nie słyszał, co się z nim stało?

Wkrótce po szóstej tego popołudnia w pustym i zamkniętym na klucz sklepie Ratliff, Bookwright i Armstid kupili od Snopesa posiadłość Starego Francuza. Ratliff doręczył akt odstępujący jego prawa do restauracyjki przy bocznej ulicy w Jefferson, Armstid oddał na hipotekę swoją farmę łącznie z budynkiem, żywym i martwym inwentarzem, i około dwóch mil trzyczęściowego ogrodzenia

•A drutu, Hookwright zapłacił swoją część w gotówce. Polem Snopes wypuścił ich przez drzwi frontowe i zniknął. Je z powrotem na klucz. Stall na pustym ganku w gasnącym blasku sierpniowego wieczora i patrzyli za nim, jak odchodzi drogą w stronę domu Varnerów. To znaczy patrzyło ich dwóch, bo Armstid poszedł już naprzód i wsiał na wóz, gdzie siedział bez ruchu czekając na nich i ziewając swoją wrzącą, nieustającą furją. — Teraz ziemia jest nasza - powiedział Ratliff. — To najlepiej jedźmy tam od razu i pilnujmy, zanim ktoś inny przywiezie któreś nocy wuja Dicka Holivara i zacznie szukać zakopanych pieniędzy.

Pojechali najpierw do Bookwrighta (był nieżonaty), ściągnęli z jego łóżka materac i dwie kołdry, zabrali czajnik do kawy, patelnię i jeszcze jedną łopatą i kilof, potem pojechali do Armstida. Ten miał także tylko jeden siennik, ale miał żonę i pięcioro małych dzieci, zresztą Ratliff, który widział ten siennik, zorientował się, że nie wytrzyma on nawet transportu z jednego łóżka na drugie. Armstid wziął więc tylko kołdrę i pomogli mu wypełnić pusty worek łuskami kukurydzy, co miało służyć zamiast poduszki, i wrócili do wozu. W drzwiach domu stała jeszcze wciąż żona Armstida z czworgiem dzieci uczepionych jej spódnicy. Ale wciąż nie otwierała ust, a gdy Ratliff obejrzał się, siedząc na wozie już w ruchu, w drzwiach nie było nikogo.

Kiedy skręcili ze starożytności drogi i przez zapuszczony ogród podjechali pod rozwalony dom, było jeszcze dość jasno, żeby mogli dostrzec stojący przed nim wóz z mułami, i w tej samej chwili z domu wyszedł mężczyzna i zatrzymał się, patrząc na nich. Był to Eustace Grimm, ale Ratliff nie wiedział, czy Armstid go poznał, a nawet czy w ogóle zadał sobie ten trud, bo znowu, jasnym nim wóz stanął, Armstid już był na ziemi i wyciągnawszy łopatą spod nóg Bookwrighta ruszył naprzód krokiem kulejącym i pełnym furii w stronę Grimma, który cofnął się żywo i stanął za wozem spoglądając na Armstida. Armstid rzucił się na niego z podniesioną łopatą. — Trzymajcie go! — zawołał Ratliff. — Zabij go!

— Albo złamię sobie znowu tę przeklętą nogę — powiedział Bookwright. Gdy go dogonili, usiłował okrążyć wóz, wymachując wzniesioną łopatą niby toporem, ale Grimm uskoczył już na drugą stronę, skąd zobaczył nadbiegających Ratliffa i Bookwrighta, i odskoczył znowu, patrząc na nich czujnie i śmiało. Bookwright przytrzymał Armstida chwyciwszy go z tyłu za oba ramiona.

— Uciekaj pan, jeżeli nie chcesz czegoś oberwać — powiedział Ratliff do Grimma.

— Nie, nie chcę — odparł Grimm.

— W takim razie uciekaj, póki Bookwright go trzyma. — Grimm ruszył w stronę wozu obserwując Armstida z jakimś dziwnym wyrazem w oczach.

— Narobi sobie kłopotu przez tę manię — powiedział.

— Nic sobie nie narobi — powiedział Ratliff. — Teraz odejdz, pan stąd. — Grimm wsiadł na wóz i ruszył. — Możesz go teraz puścić — powiedział Ratliff. Armstid wyrwał się Bookwrightowi i zawrócił w kierunku ogrodu. — Zaczekaj, Henry — powiedział Ratliff. — Zjedźmy najpierw kolację. Przygotujemy spanie w domu. — Ale Armstid kuśtykając popędził dalej w stronę ogrodu w gęstniejącym mroku. — Najpierw musimy coś zjeść — powiedział Ratliff. Odetchnął głęboko, jakby westchnął, i wraz z Bookwrightem do wozu, Ratliff otworzył pudło, zamknięte na kłódkę, wyjęli dwie inne łopaty i kilofy i pobiegli w dół zbocza do ogrodu, gdzie Armstid już kopał. Na chwilę przedtem, nim go doścignęli, wyprostował się i zaczął biec w kierunku drogi. Podniesioną łopatą, i wtedy zobaczyli, że Grimm nie odjechał, tylko stoi z wozem na drodze obserwując ich przez żelazne pręty zrujnowanego ogrodzenia. Puszył dalej dopiero, gdy Armstid dobiegł prawie do płotu.

Kopali przez całą noc, Armstid w jednym miejscu, Bookwright razem z Ratliffem w drugim. Od czasu do czasu przerywali, żeby odpocząć chwilę i spojrzeć na konstelacje letnie wędrujące nad ich głowami. Ratliff i Bookwright przerywali kopanie od czasu do czasu, robili parę kroków tam i z powrotem, żeby odprężyć skurczone mięśnie, potem

przysiadali na piętach (nie palili, nie mogli ryzykować, żeby dostrzeżono jakiekolwiek światło. Armstid prawdopodobnie nawet nie miał pięciu centów, żeby kupić tytoniu) i rozmawiali cicho słuchając nieprzerwanego odgłosu łopaty Armstida pod (nimi. Kopał wciąż, kiedy oni wypoczywali, kopał dalej niestrudzony, kiedy zabierali się do roboty na nowo, choć od czasu do czasu któryś z nich przypominał sobie o nim i przerywał kopanie, żeby zobaczyć, jak siedzi na krawędzi wykopanej jamy, nieruchomy jak grudy ziemi, które zeń wydobył. Potem znów wracał do roboty, zanim zdążył naprawdę wypocząć. Tak było aż do świtu, kiedy Ratliff i Bookwright stali nad nim w szarym świetle usiłując skłonić go do zaprzestania. — Musimy przerwać — powiedział Ratliff. — Już jest dość jasno, żeby ludzie nas mogli zobaczyć. — Armstid nie przerywał kopania.

— Niech zobaczą — powiedział. — Teraz ta ziemia jest moja. Mogę kopać cały dzień, jeżeli tak mi się podoba.

— Bardzo dobrze — powiedział Ratliff. — W takim razie będziesz miał mnóstwo pomocników, — Wtedy Armstid zatrzymał się spoglądając na niego z dna wykopanej jamy. — Jak możemy kopać przez całą noc, a potem przez cały dzień pilnować, żeby ludzie tu nie przychodzili? Dajże już spokój. Trzeba coś zjeść, a potem trochę się przespać. — Ściągnęli siennik i kołdry z wozu i zanieśli je do domu, gdzie w hallu tkwiły

...

puste framugi od drzwi, a z sufitu zwisał szkielet czegoś, co niegdyś było kryształowym świecznikiem, i gdzie stopnie schodów od dawna rozkradziono i zabrano do reperacji stołów, kurników i ubikacji, a orzechowe poręcze i filary od dawna porąbano i spalono w piecach. Pokój, który wybrali, miał czternaście stóp wysokości. Były w nim szczątki połączanego filigranu na gzymsach nad pustymi oknami i szczątki jeszcze jednego żyrandola z rżniętego kryształu. Rozpostarli materac i kołdry na zasypanej odłamkami tynku podłodze, potem Ratliff i Bookwright wrócili do wozu i przynieśli zabrane z domu jedzenie i dwa worki monet. Ukryli dwa worki w kominku, zabrudzonym ekskrementami ptactwa, za gzymsem, z którego pozostały jeszcze kawałeczki pierwotnego marmuru. Armstid nie pokazał swego worka. Nie wiedzieli, co z nim zrobił. Nie pytali.

Nie rozpaKli ognia. Ratliff byłby się prawdopodobnie temu sprzeciwił, ale nikt tego nawet nie zaproponował. Połknęli zimne, niesmaczne jedzenie, zbyt znużeni, żeby czuć jego smak. Zdjęli z siebie tylko buty powalane wilgotną ziemią z coraz to głębszych wykopów, położyli się owinięci w kołdry i spali niespokojnie, za bardzo zmęczeni, żeby spać naprawdę, śniąc o złocie i skarbach. Około południa poszarpane, rozproszone okruchy słońca zaczęły wpadać przez dziurawy dach i dwie spróchniałe podłogi nad ich głowami i pełzać po podłodze i rozrzuconych

Czekał więc, póki placek się nie przyrumieni. Potem zdjął go z patelni, położył koło popiołów, ukrajał parę plasterków boczku i przysmażył je na patelni. Było to pierwsze gorące jedzenie, jakie miał w ustach od trzech dni. Zjadł placek bez pośpiechu, siedząc w kucki, popijając kawę, podczas gdy ostatni szkarłat zachodu zbierał się na zniszczonym suficie, a potem zniknął także i stamtąd, i pokój oświetlał jui tylko żar gasnącego ognia.

Eookwright i Armstid już kopali. Kiedy podszedł dość blisko, zobaczył, że dół Armstida, wykopany bez niczyjej pomocy, jest

o trzy stopy głębszy i prawie tak samo szeroki jak ten, który on i Eookwright wykopali razem. Podszedł do miejsca, gdzie Bookwright zaczął kopać nowy dół, i wziął swoją łopatę (Bookwright już ją tu przyniósł) i zaczął kopać. Kopał także i przez tę noc pod wędrującymi, dobrze znanymi gwiazdami, zatrzymując się od czasu do czasu, by odpocząć, choć Armstid nie szedł nigdy za ich przykładem, przysiadając na piętach nad krawędzią nowej jamy, i Ratliff mówił szeptem nie o złocie, o pieniądzach, ale o prawach anegdoty i żarty jak zwykle, jego niewidzialna twarz jak zwykle była nieprzenikniona i zagadkowa. Potem kopali dalej. Przy świetle dziennym będzie jeszcze dość czasu, żeby na to patrzeć — myślał. Bo już na to patrzyłem. Spojrzałem na to trzy dni temu. Potem zaczęło świtać. W pierwszym szarym świetle

ku odłożył łopatę i wyprostował się. Kilo? Bookwrighta podnosił się i opadał rytmicznie przed jego oczyma? o dwadzieścia stóp dalej widział teraz Annstida stojącego po pas w jamie, jakby przeciętego na pół w biodrach; jego martwy tors (nie wiedząc nawet, że jest martwy) poruszał się dalej rytmicznie; pochylając się i wyprostowując jak metronom, Armstid zakopywał się z powrotem w tej ziemi, która go zrodziła, aby stał się jej niewolnikiem przykutym do niej na zawsze, do śmierci. Ratliff wyszedł ze swego dołu i stał na świeżej, czarnej skopanej ziemi, z mięśniami drgającymi ze zmęczenia. Stał tak patrząc w milczeniu na Bookwrighta, aż Bookwright zauważył to i zatrzymał kilof podniesiony już do następnego uderzenia. Patrzyli chwilę na siebie — dwie wyniszczone, znużone nie ogolone twarze. — Odum — powiedział Ratliff. — Z kim ożenił się Grimm?

— Nie wiem — powiedział Bookwright,

— Ja wiem — powiedział Ratliff. — Z jedną z tych Doshey, z hrabstwa Calhoun. Ale to się nie zgadza. A jego matka była z domu Fite. I to też się nie zgadza. — Bookwright oderwał od niego wzrok. Położył swój kilof ostrożnym ruchem, prawie tak, jakby to była łyżka pełna po brzegi zupy albo nitrogliceryny i wylazł z jamy, ocierając rękę

o spodnie. — Myślałem, że to wiesz — powiedział. — Myślałem, że wiesz wszystko o wszystkich w tej okolicy.

— Teraz mi się zdaje, że wiem — powie

dział Ratliff. — Ale zdaje mi się, że musisz mi jeszcze powiedzieć.

— Fite to nazwisko jego drugiej żony. To nie ona jest matką Eustace'a. Ojciec mi to mówił jeszcze, kiedy Ab Snopes wydzierżawił to pole od Varnerów pięć lat temu.

— W porządku — powiedział Ratliff. — Powiedz mi.

— Matką Eustace'go jest najmłodsza siostra Aba Snopesa. — Patrzyli jeden na drugiego, mrużąc lekko oczy. Słońce miało się ukazać już za chwilę.

— ■ Jasne — powiedział Ratliff. — Skończyłeś?

— Tak — powiedział Bookwright. — Skończyłem.

— Założę się o dolara, że będę miał najstarszą monetę — powiedział Ratliff. Wspięli się z powrotem na zbocze i weszli do domu, do pokoju, gdzie spali. W pokoju było jeszcze ciemno, toteż gdy Ratliff wyciągnął po omacku dwa worki z kominka, Bookwright zapalił latarnię, postawili ją na podłodze i siedząc w kucki jeden naprzeciw drugiego otworzyli worki.

— Powinniśmy się od razu zorientować, że żadna tkanina na worku... — powiedział Bookwright. — Po trzydziestu latach... — Wysypali zawartość worków na podłogę. Każdy z nich wziął jedną monetę, przypatrywał się jej krótko pod światło latarni, potem położyli jedną na drugiej, niby damkę w warcabach. Potem kolejno oglądali inne monety

w mglistym świetle latarni. — AJe skąd wiedział, że to my będziemy? — pytał Bookwright.

— Nie wiedział — odparł Ratliff. — Nic go to nie obchodziło. Po prostu przychodził tu co noc i kopał przez jakiś czas. Odgadł, że nie upłyną dwa tygodnie, a już ktoś go zobaczy. — Położył ostatnią monetę i przysiadł z powrotem na piętach, czekając, aż Bookwright skończy. — 1871 — powiedział.

— 1879 — oświadczył Bookwright. — Mam nawet jedną z ubiegłego roku. Pobież mnie.

— Pobież — stwierdził Ratliff. Wziął dwie monety i włożyli pieniądze z powrotem do worków. Nie schowali ich w kominie. Zawinęli oba worki w kołdry i zgasili latarnię. Było już teraz jasno i mogli widzieć wyraźnie Armstida, jak schyla się i wyprostowuje na przemian w swoim dole, zakrywającym go po uda. Słońce miało się ukazać za chwilę i trzy sępy wzbiły się w górę wysoko na tle żółtawobłękitnego nieba. Armstid nie podniósł nawet oczu, kiedy się zbliżyli. Kopał dalej, nawet gdy stanęli na krawędzi jego dołu.

— Henry — powiedział Ratliff. Potem schylił się i dotknął jego ramienia. Armstid wzdrygnął się i odwrócił z podniesioną łopatą, która zabłysła w świetle jutrzeńki jak ostrze topora.

— Precz z mojej jamy! — zawołał. — Precz!

Wozy pełne mężczyzn, kobiet i dzieci nadjeżdżające od tej strony do wsi zatrzymały się i mężczyźni podeszli pod ogrodzenie domu Varnerów; patrzyli, jak Lump i Eck Snopowie i Murzyn Varnerów, Sam, ładuje meble, kufry i skrzynie na wóz stojący przy stopniach werandy. Był to ten sam wóz z tymi samymi mułami, którym Flem Snopes powrócił w kwietniu z Teksasu. Trzej mężczyźni krążyli między nim a domem. Eck i Murzyn we dwóch dźwigali ciężary, podczas gdy Lump dyrygował robotą wrzeszcząc i komenderując bez przerwy, przykładając oczywiście rękę do skrzyń i kufrów, ale sam nic nie nosząc ani ładując, przystając przed drzwiami i ustępując, by przepuścić panią Varner, wybiegającą z następną serią słoików z konserwami z jarzyn czy owoców. Widzowie stojący przy płocie lustrowali dźwigane przedmioty: rozebrane na części łóżko, komodę, umywalnię z porcelanowym kompletem w kwiaty: miską, dzbankiem na wodę, wiadrem i nocnikiem; kufer, który niewątpliwie zawierał ubranie żony i dziecka, drewnianą skrzynkę, w której, jak nieomylnie wyczuły wszystkie kobiety, zapakowane były talerze, sztuce i garnki do gotowania, i wreszcie ciasno zwinięty rulon brązowego płótna.

— Co to jest? — spytał Freeman. — ■ Wygląda jak namiot.

— To jest namiot — powiedział Tuli. — Eck w zeszłym tygodniu przywiózł go z miasta, z biura przesyłek na pocztę.

— Chyba nie przenoszą się do Jefferson po to, żeby mieszkać w namiocie — zauważył Freeman.

— Nie wiem — odpowiedział Tuli. Wreszcie skończono ładowanie wozu, Eck i Murzyn wyszli objuczeni przez drzwi hallu po raz ostatni, pani Varner wypadła z ostatnim hermetycznie zamkniętym słojem, Lump Snopes wrócił jeszcze raz do domu i wyszedł stamtąd ze słomianą walizką, którą wszyscy znali, potem wyszedł Flem Snopes i jego żona. Niosła w ramionach niemowlę, które było za duże, jak na dziecko urodzone po siedmiu miesiącach, ale które z pewnością nie chciało czekać do maja, i stała przez chwilę w progu olimpijska, wyższa o głowę od matki i od męża, w wełnianym kostiumie pomimo pełni lata, i tylko jej karnacja wskazywała na to, że nie ma jeszcze osiemnastu lat, bo twarz zastygła na kształt maski, nie widząca i bez wyrazu, nie miała wieku. Kobiety spoglądały na nią myśląc, że jest to pierwszy kostium angielskiego kroju, jaki kiedykolwiek widziano w Sadybie Francuza, i próbowały odgadnąć, w jaki sposób wydostaje od Flema pieniądze na ubranie, bo już nie Will Varner ją ubierał, a mężczyźni patrzyli na nią i myśleli o młodym człowieku nazwiskiem Hoake McCarron i o tym, że każdy z nich chętnie kupiłby jej ten kostium

czy cokolwiek innego, gdyby sobie życzyła. Dała dziecko do potrzymania pani Varner i patrzyli, jak zgarnia w jednej ręce spódniczkę odwiecznym kobiecym gestem i wspina się po kole na kozioł, gdzie Snopes siedział już z lejcami w ręku, a potem schyla się, by wziąć z powrotem dziecko od pani Varner. Wóz ruszył, przejechał przez podwórze w kierunku otwartej bramy, potem na ścieżkę i to było wszystko. To było pożegnanie, jeżeli w ogóle zostało wypowiedziane jakieś pożegnanie. Wozy, które zatrzymały się na drodze, znowu zaskrzypiały ruszając, a Freeman i Tuli i czterej inni mężczyźni odwrócili się tylko i stali plecami oparci o płot; twarze ich były wszystkie równie poważne, jakby zamaskowane i może nawet chłodnej' obserwowali niezbyt uważnie, jak naładowany wóz wyjeżdża ze ścieżki, a potem zbliża się i przejeżdża obok nich, czapka w szkocką kratę, żujące mocne szczęki, małeńka czarna muszka i biała koszula? patrzyli na tę drugą twarz, spokojną i piękną, podobną do rzeźby i maski pośmiertnej, z oczyma, które nie patrzyły z pewnością na nich, a może nawet na nic, cokolwiek znali.

— Do widzenia, Flem — powiedział Freeman. — Zostaw dla mnie jakiegos kotleta, kiedy już nauczysz się gotować.

Nie odpowiedział. Mógł nawet nie słyszeć. Wóz jechał dalej. Patrząc za nim, nie ruszając się, zobaczyli, jak skręca na starą drogę, na której jeszcze dwa tygodnie temu widoczne były tylko, tak samo jak przez dwadzieścia lat z górą, ślady kopyt tłustego białego konia Varnera.

— Będzie musiał robić dodatkowe trzy mile, żeby wjechać z powrotem na drogę, do miasta — powiedział Tuli z niepokojem w głosie.

— Może chce zabrać z sobą do miasta te trzy mile i przehandlować je z Aaronem Rideout za drugą połowę restauracji — powiedział Freeman.

— Może je przehandluje Ratliffowi, Book- wrightowi i Armstidowi za coś innego — powiedział trzeci mężczyzna, nazwiskiem Rideout, brat tamtego, kuzyn Ratliffa. — W mieście też znajdzie Ratliffa.

— A Henry Armstida znajdzie jeszcze

0 wiele bliżej — powiedział Freeman.

Tamta droga nie była już zanikającą, prawie zaleconą bliźną. Była teraz pełna kolein, bo tydzień temu padał deszcz, a wśród chwastów i trawy, którym nikt nie zakłócał spokoju przez trzydzieści lat, powstały cztery różne ścieżki: dwie na zewnątrz, któredy toczyły się żelazne obręcze kół, i dwie wewnętrzne, po których co dzień przebiegały zaprzęgi zwierząt, od tego popołudnia, kiedy wjechały w nią pierwsze rozklekotane, skrzypiące wozy, konie i muły z sierścią wytartą od uprzęży do pługów, mężczyźni, kobiety i dzieci wkraczające do innego świata, przejeżdżający przez inną ziemię, poruszający



się w innym czasie, innego popołudnia, bez czasu i bez nazwy.

Tam, gdzie piasek ciemniał w płytkiej wodzie strumienia, a potem znów jaśniał, wspinając się w górę, niezliczone ślady kół i podkutych kopyt były jak krzyki w pustym kościele. Potem znów zaczęły ukazywać się wozy stojące rzędem na brzegu drogi. Mniejsze dzieci, siedzące w kucki na dnie, kobiety na wiklinowych krzesłach, trzymając na rękach niemowlęta i karmiąc je w razie potrzeby, mężczyźni i starsi chłopcy stojąc nieruchomo wzdłuż zrujnowanego ogrodzenia z żelaznych prętów, oplątanych liśćmi ka- pryfolium, obserwowali, jak Armstid zgarnia łopata skopaną ziemię w dół urwiska w starym ogrodzie. Tak było przez dwa tygodnie. Po pierwszym dniu, kiedy pierwsi zobaczyli go przy tej czynności i wrócili do domu z nowiną, zaczęli napływać ludzie na wozach i na grzbietach koni lub mułów z miejscowości odległych o dziesięć i piętnaście mil; mężczyźni i kobiety i dzieci, osiemdziesięcioletni starcy i niemowlęta przy piersi, niekiedy cztery pokolenia w jednym rozklekotanym wozie, którego dno zaścielała jeszcze warstwa zeschniętego nawozu lub siana czy ziaren owsa, przybywały tu jak na uroczystość, z powagą i zainteresowaniem oszołomionego tłumu przypatrującego się sztuczkom czarnoksiężnika na jarmarku. Pierwszego dnia, kiedy pierwszy widz zsiadł z wozu i podszedł do płotu, Armstid wygramolił się ze swojej jamy i ruszył naprzód z podniesioną łopata, wlokąc sztywną nogę i klnąc ochryplym, zziębniętym szeptem, by odpędzić intruza. Wkrótce jednak zrezygnował z tego, wydawało się, że nawet nie dostrzega gapiów przy płocie obserwujących, jak przekopuje we wszystkich kierunkach zbocze z niesłabnącą, niestrudzoną furią. Ale nikt nie próbował wejść do ogrodu i tylko kilkunastoletni chłopcy czasem się z nim droczyli.

Pod wieczór ci, którzy przybyli z daleka, zaczynali się rozjeżdżać. Ale zawsze pozostawało kilku, choćby nawet mieli przez to wypręgać i karmić zwierzęta, a może nawet doić krowy po ciemku. Wtedy, przed samym zachodem słońca, przyjeżdżał ostatni wóz: dwa wynędzniałe podobne do królików muły, skrzypiące nie nasmarowane koła. Gapie ustawiali się wzdłuż ogrodzenia i patrzyli bez słowa, jak kobieta w szarej, workowatej sukni i spłowiałym kapeluszu wysiada i wyjmując spod siedzenia wozu blaszane wiadro i podchodzi pod płot, za którym pracujący mężczyzna nadal nie podniósł wzroku ani nie przerwał roboty. Stawiała wiadro w rogu pod płotem i stała jeszcze przez chwilę bez ruchu w szarej sukni z fałdami opadającymi sztywno, jakby były wyrzeźbione, aż na poplamione tenisówki, z rękoma założonymi i wsuniętymi pod fartuch na brzuchu. Nie mogli rozpoznać, czy patrzy na mężczyznę, i nie wiedzieli, czy patrzyła na cokolwiek,

f czy nie. Potem wracała do wozu (musiała nakarmić i wydoić krowę i przygotować kolację dla dzieci), wsiadała na kozioł biorąc lejce, zawracała wóz i odjeżdżała. Wtedy odjeżdżał też ostatni z gapiów, pozostawiając Armstida w połowie zbocza, które zaczynało już znikać, poruszającego łopatą z regularnością mechanicznej zabawki, w zapadającym mroku. Było coś potwornego w jego nieustającym wysiłku, jak gdyby zabawka była za lekka na to, co miała zrobić, albo zbyt mocno nakręcona. Rozmawiali o tym w gorące letnie przedpołudnia siedząc na piętach z batonami tytoniu do żucia albo laseczkami tabaki na ganku przed sklepem Varnera? na spokojnych rozdrożach w promieniach przedwieczornego słońca padały pytania od wozu do wozu, od jeźdźcy do jeźdźcy, od jeźdźcy do kogoś, kto czekał przed skrzynką pocztową lub furką:

— Jeszcze kopie?

— Jeszcze.

— Wpędzi się do grobu. AJe nie wiadomo, czy to będzie wielka strata.

— Nie dla jego żony, w każdym razie.

— To prawda. Nie będzie musiała co dzień przyjeżdżać i przywozić mu jedzenia. Ten Flem Snopes!

— Nikt inny nie zrobiłby tego.

— Nikt inny nie potrafiłby tego zrobić. Każdy mógłby oszukać Armstida. Ale tylko Hem Snopes mógł oszukać Ratliffa.

Teraz, chociaż zaledwie minęła dziesiąta, dzienny kontyngent gapiów był już w komplecie, kiedy nadjechał Flem Snopes, nikt się jeszcze nie zbierał do odjazdu, nawet ci, którzy jak Snopes mieli do przebycia całą drogę do Jefferson. Nie stanął w rzędzie na brzegu drogi, ale pojechał naprzód wymijając stojące wozy. Kobiety z dziećmi na rękach, niemowlęta odwróciły głowę podobnie jak mężczyźni przy płocie, żeby spojrzeć, jak przejeżdża, poważne zamknięte twarze, oczy wpatrzone w niego, jeszcze kiedy zatrzymał wóz i siedział, żując tytoń i spoglądając ponad ich głowami na ogród. Wtedy głowy wzdłuż płotu odwróciły się jakby po to, żeby iść za jego spojrzeniem, i patrzyli, jak dwaj kilkunastoletni chłopcy wynurzają się zza krzaków i skradając się przez ogród zachodzą Armstida od tyłu. Nie spojrzął na nich i nie przestał kopać, ale kiedy chłopcy zbliżyli się na jakieś dwadzieścia stóp, wyszedł ze swego rowu i pobiegnął ku nim z podniesioną łopatą. Nic nie mówił, nawet nie klął. Tylko rzucił się na nich, wlokąc sztywną nogę, potykając się o wykopane grudy ziemi, goniąc uciekających przed nim chłopców. Nawet gdy już znikli z powrotem w zaroślach, z których się wynurzyli. Armstid biegł za nimi, aż potknął się i runął jak długi. Leżał tak przez chwilę, podczas gdy ludzie za płotem obserwowali go w milczeniu tak głębokim, że słychać było cichy szmer zdyszanego oddechu. Potem wstał, najpierw podniósł się na czworaki jak małe dzieci, wziął

łopatę i wrócił do rowu. Nie spojrział w górę na słońce, jak zwykle robi człowiek, który przerwał pracę, żeby rozpoznać godzinę. Poszedł prosto do swoich okopów, śpiesząc do nich z powrotem z jakąś ciężką, bolesną powolnością. Jego wychudła nie ogolona twarz była teraz zupełnie twarzą szaleńca. Zszedł znowu na dno jamy i zaczął kopać. Snopes odwrócił głowę i splunął ponad kołem wozu. Szarpnął lekko lejcami.

— Jazda! — powiedział.